



C.W. GORTNER

PRZYSIĘGA
KRÓLOWEJ

HISTORIA
IZABELI KASTYLIJSKIEJ

między
słowa*mi*

C.W. Gortner

Przysięga królowej
Historia Izabeli Kastylijskiej

tłumaczenie Dorota Malina

między
słowami

*Dla mojej bratanicy Isabel Gortner
i mojej serdecznej przyjaciółki Judith Merkle Riley*

*„Przybyłam do tego kraju i nie mam zamiaru go opuszczać,
uciekać stąd ani stronić od pracy –
nie pozwolę, żeby moi wrogowie okryli się chwałą,
a moi poddani cierpieli”.*

Izabela I Kastylijska



Dynastia Trastámara





Prolog

1454



Nikt nie wierzył, że zostałam stworzona do rzeczy wielkich.

Urodziłam się w miasteczku Madrigal de las Altas Torres jako pierwsze dziecko z drugiego małżeństwa Jana II z Izabelą Portugalską, po której otrzymałam imię. Byłam zdrową i nadzwyczaj cichą infantką, a mojemu przyjsciu na świat towarzyszyły bicie dzwonów i zdawkowe gratulacje, ale nie fanfary. Pierwsza żona powiła już ojcu dziedzica, mojego przyrodniego brata Henryka, a kiedy dwa lata po moim urodzeniu matka wydała na świat mojego braciszka Alfonsa, zabezpieczając tym samym przetrwanie dynastii Trastámara, wszyscy spodziewali się, że zostanę odesłana do klasztoru i kądzieli do czasu, aż nie pojawi się jakiś intratny dla Kastylii kandydat na męża.

Jak to często bywa, Bóg miał inne plany.

Nadal pamiętam godzinę, w której wszystko się zmieniło.

Nie skończyłam jeszcze czterech lat. Ojciec od wielu tygodni chorował, leżał w okropnej gorączce zamknięty w swoim alkazarze w Valladolid. Nie znałam dobrze tego czterdziestodwuletniego króla, którego poddani przezywali El Inútil, Beznadziejny, ze względu na to, jak rządził. Do dziś pamiętam tylko wysokiego, szczupłego mężczyznę o smutnych oczach i bladym uśmiechu, który wezwał mnie raz do swoich prywatnych komnat i ofiarował mi wysadzany klejnotami grzebień z emalii w stylu mauretańskim. Za tronem ojca stał cały czas niski, śniady szlachcic – dłoń z krótkimi, grubymi palcami trzymał zaborczo na oparciu i uważnie mi się przyglądał.

Kilka miesięcy później usłyszałam, jak kobiety w domu mojej matki szepczą, że mały szlachcic został stracony, a jego śmierć pogrzyżyła ojca w głębokiej żałobie.

– Lo mató esa loba portuguesa – mówiły. – Portugalska wilczyca kazała zamordować konetabla de Lunę, bo był faworytem króla.

Potem jedna z nich syknęła:

– Cicho! Dziecko słucha.

Kiedy zauważyły, że siedzę we wnęce obok i wyżej słuch, zamarły wszystkie równocześnie, jak postaci utkane na gobelinie.

Ledwie kilka dni po podsłuchaniu tej rozmowy zostałam naprędce obudzona, otulona płaszczem i przegnana szybkim truchtem przez korytarze alkazaru. Tym razem jednak wprowadzono mnie do dusznej komnaty z ogniem na paleniskach. W pomieszczeniu rozbrzmiewały przytłumione psalmy klęczących mnichów i wypełniał go dym kadzideł. Z sufitu na złożonych łańcuchach zwiisały miedziane lampy, a blask palącej się w nich oliwy oświetlał migotliwie ponurych szlachciców w kosztownych ciemnych szatach.

Stojące przede mną wielkie łoże miało rozsunięte kotary.

Zatrzymałam się w progu, instynktownie rozglądając się za niskim szlachcicem, choć wiedziałam, że nie żyje. Następnie spostrzegłam w alkwie ulubionego sokoła ojca. Był przykutym łańcuchem do srebrnego słupka od łoża. Ptak odwrócił się w moją stronę i wbił we mnie

rozszerzone źrenice ciemnych oczu, w których odbijały się płomienie.

Zamarłam. Czułam, że w komnacie znajduje się coś strasznego, czego nie chcę oglądać.

– Chodź, moje dziecko – powiedziała moja aya, doña Clara. – Jego Wysokość twój ojciec cię wzywa.

Nie chciałam się nigdzie ruszać – uczepiłam się jej spódnicy i schowałam twarz w zakurzonych fałdach. Słyszałam zbliżające się od tyłu ciężkie kroki.

– Czy to nasza mała infantka Izabela? Podejź, moje dziecko, niech cię zobaczę – powiedział ktoś głębokim basem.

Coś w tym głosie sprawiło, że podniosłam wzrok.

Nade mną stał wysoki mężczyzna o szerokiej klatce piersiowej, w ciemnym stroju granda. Miał pulchną twarz z kozią bródką i jasnobrażowe przenikliwe oczy. Nie był przystojny – wyglądał jak rozpieszczony pałacowy kocur – ale zafascynowały mnie jego lekko skrzywione różowe usta. Miałam wrażenie, że uśmiecha się tylko do mnie, że pochłania całą jego uwagę – wydawało mi się, że tak naprawdę jedyną osobą, którą chce oglądać, jestem ja.

Wyciągnął do mnie rękę, która jak na mężczyznę jego postury była niezwykle delikatna.

– Jestem Carrillo, arcybiskup Toledo – powiedział. – Proszę ze mną, Wasza Wysokość. Nie ma się czego bać.

Nieśmiało się z nim przywitałam. Miał mocne, ciepłe palce. Poczułam się bezpieczna, kiedy objął nimi moją dłoń, a następnie przeprowadził mnie obok mnichów i odzianych w czerni dworzaków świdrujących mnie beznamiętnymi, anonimowymi oczami, takimi jak te u sokoła w alkowie.

Arcybiskup postawił mnie na krześle przy łożu, żebym mogła zbliżyć się do ojca. Słyszałam chrapliwy oddech króla. Jego rozciągnięta na kościach skóra już wtedy miała dziwny woskowy odcień. Leżał z zamkniętymi oczami i dłońmi skrzyżowanymi na piersiach, jakby był figurą na którymś z misternych grobowców, których pełno w naszych katedrach.

Musiałam dać jakiś wyraz swojemu przerażeniu, bo Carrillo wyszeptał mi do ucha:

– Musisz go pocałować, Izabelo. Pobłogosław ojca, żeby mógł opuścić ten padół łez w spokoju.

Choć była to ostatnia rzecz, na którą miałam ochotę, wstrzymałam oddech, nachyliłam się i szybko cmoknęłam ojca w policzek. Poczułam chłód skóry trawionego gorączką człowieka. Wzdrygnęłam się i spojrzałam na drugą stronę łoża.

Zobaczyłam tam jakąś sylwetkę. Przez przerażającą chwilę myślałam, że to duch zamordowanego konetabla, który zgodnie z tym, co mówiły kobiety, żądny zemsty straszy w zamku. Potem jednak jakiś zabłąkany błysk pochodni padł na twarz tajemniczego osobnika i rozpoznałam swojego przyrodniego brata, księcia Henryka. Byłam zaskoczona, bo z reguły trzymał się z dala od dworu i wolał przebywać w swojej ukochanej casa real w Segovii. Podobno służyli mu tam niewierni i miał w zamku menażerię dzikich bestii, które karmił własnoręcznie. Teraz jednak Henryk był tutaj, przy łożu śmierci naszego ojca. Owinął się czarnym płaszczem, a na głowie miał czerwony turban, który skrywał bujną czuprynę zmierzwionych jasnych włosów i uwydatniał jego dziwny płaski nos i małe, blisko osadzone oczy. Wyglądem przypominał nieco rozczochranego lwa.

Uśmiechnął się do mnie porozumiewawczo, a ja poczułam, jak ciarki przechodzą mi po plecach.

Arcybiskup wziął mnie na rękę i ruszył do wyjścia, jakby w komnacie nie było już dla nas nic ważnego. Zerkając ponad jego muskularnym ramieniem, zobaczyłam, że wokół łoża ojca gromadzą się dworzanie i grandowie. Śpiew mnichów stawał się coraz głośniejszy, a Henryk nachylał się z przejęciem, niemal ochoczo, nad dogorywającym królem.

Właśnie wtedy nasz ojciec, król Jan, wydał ostatnie tchnienie.

Nie wróciliśmy do domu. Przyciśnięta do szerokiej piersi arcybiskupa przyglądałam się w oszołomieniu, jak szybkim gestem przywołuje moją aya, która czekała przed drzwiami komnaty, i sprowadza nas krętymi schodami do warowni. Na nocnym niebie blade światło księżycy z trudem przebijało się przez zasłonę z chmur i mgieł.

Kiedy wyszliśmy z bezpiecznego cienia zamku, arcybiskup, wytężając wzrok, popatrzył w kierunku bocznej furty, ciemniejszego prostokąta w murze obronnym.

– Gdzie oni są? – zapytał pełnym napięcia głosem.

– Ja... ja nie wiem – wydukała doña Clara. – Wysłałam wiadomość, tak jak mi kazałeś, padre, z prośbą, żeby Jej Wysokość się tu z nami spotkała. Mam nadzieję, że nic się nie stało i...

Carrillo podniósł rękę.

– Chyba ich widzę.

Zrobił krok naprzód. Czulałam, że arcybiskup sztywnieje, w miarę jak zbliżały się do nas dźwięki uderzających prędko o kamienie pantofli. Na widok nadchodzących postaci zrobił nerwowy wydech. Na czele grupy szła moja matka. Była blada, kaptur płaszcza opadł jej na szczupłe ramiona, a spocone kasztanowe kosmyki wymykały się spod czepka. Za nią ciągnęły Portugalki z szeroko otwartymi oczami i don Gonzalo Chacón, guwerner mojego półtorarocznego brata, którego trzymał właśnie w silnych ramionach. Zastanawiałam się, co my tu wszyscy robimy, na zewnątrz, w środku nocy. Alfons był jeszcze bardzo mały, a my staliśmy na zimnie.

– Czy on...? – wysapała matka, nie mogąc złapać tchu.

Carrillo kiwnął głową. Matka zaskakała, wbijając we mnie niesamowite niebiesko-zielone oczy i przyglądając się swojej córce w ramionach arcybiskupa. Wyciągnęła do mnie ręce:

– Izabelo, hija mía*.

Carrillo postawił mnie na ziemi. Co ciekawe, wcale nie miałam ochoty się z nim rozstawać. Ruszyłam jednak naprzód w bezkształtnym kokonie swojego za dużego płaszcza. Dygnęłam, bo kazano mi to robić za każdym razem, kiedy przyprowadzano mnie przed oblicze mojej pięknej matki. Podczas naszych sporadycznych spotkań zawsze sumiennie przestrzegałam etykiety. Zdjęła mi czarny kaptur i jej wielkie błękitno-zielone oczy spotkały się z moimi. Wszyscy mówili, że mam oczy po matce, tylko trochę ciemniejsze.

– Moje dziecko – wyszeptala, a ja słyszałam w jej głosie drzenie i desperację. – Moja najdroższa córeczko, mamy teraz tylko siebie.

– Wasza Wysokość musi teraz skupić się na tym, co najistotniejsze – powiedział Carrillo.

– Trzeba zapewnić bezpieczeństwo waszym dzieciom. Śmierć Jego Wysokości króla oznacza, że są one...

– Wiem, kim są moje dzieci – przerwała mu matka. – Nie wiem natomiast, ile czasu nam zostało, Carrillo. Jak długo, zanim będziemy musieli porzucić wszystko, co znamy, i schronić się na jakimś odludziu?

– W najlepszym razie kilka godzin – odpowiedział beznamiętnie arcybiskup. – Nie uderzono jeszcze w dzwony, bo taką proklamację trzeba starannie przygotować. – Przerwał na moment. – Ale wkrótce zostanie ogłoszona, najpóźniej rano. Wasza Wysokość musi mi zaufać. Obiecuję, że ani wam, ani infantom nic się przy mnie nie stanie.

Matka odwróciła się od niego i położyła sobie dłoń na ustach, jakby chciała stłumić śmiech.

– A jak zamierzasz to zrobić? Henryk z dynastii Trastámara zaraz zostanie ogłoszony królem. Jeśli przez te wszystkie lata oczy mnie nie zwodziły, to Henryk będzie tak samo podatny na wpływy swoich faworytów jak Jan. W jaki sposób możesz zagwarantować nam

bezpieczeństwo? Chyba tylko zamykając nas w klasztorze razem ze strażą. Właśnie, czemu nie? Konwent to bez wątpienia najlepsze miejsce dla znienawidzonej królowej z zagranicy i jej pomiotu.

– Dzieci nie mogą wychowywać się w klasztorze – powiedział Carrillo. – Nie powinny też w tak młodym wieku być oddzielane od matki. Wasz syn Alfons pozostanie pełnoprawnym dziedzicem Henryka do czasu, aż żona nie urodzi mu syna. Zapewniam was, Wasza Wysokość, że Rada Królewska nie dopuści do zakwestionowania praw infantów. Szlachta zgodziła się nawet, żeby Wasza Wysokość wychowywała dzieci w zamku Arévalo w prowincji Ávila. Dostaniecie go jako oprawę wdowią.

Zapadła cisza. W milczeniu obserwowałam szkliste spojrzenie matki, która powtórzyła: „Arévalo”, jakby się przestęszczała.

Carrillo mówił dalej:

– W testamencie Jego Królewska Mość hojnie wyposażył infantów. Każde z dzieci po ukończeniu trzynastu lat dostanie kilka miast. Obiecuję, że niczego wam nie zabraknie.

Matka zmrużyła oczy.

– Jan prawie nie oglądał swoich dzieci. Nigdy mu na nich nie zależało. Nie zależało mu na nikim z wyjątkiem tego ohydneho konetabla de Luny. Tymczasem teraz mówisz, że zostawił dla nich zabezpieczenie. Jak się o tym dowiedziałeś?

– Niech Wasza Wysokość nie zapomina, że byłem jego spowiednikiem. Słuchał moich rad, bo bał się, że inaczej czeka go ogień piekielny.

Ożywiony ton Carrillo sprawił, że na niego spojrzałam.

– Nie mogę was jednak ochronić, Wasza Wysokość, jeśli mi nie zaufacie. Zgodnie z kastylijskim zwyczajem owdowiała królowa opuszcza dwór, ale z reguły nie pozwala jej się zabrać dzieci, szczególnie jeśli nowy król nie ma następcy. Dlatego musicie wyjechać dziś w nocy. Weźcie ze sobą tylko tyle, ile sami zdołacie udźwignąć. Resztę rzeczy wyślę wam, jak tylko będę w stanie. Kiedy będziecie w Arévalo, a testament króla zostanie ogłoszony, nikt nie odważy się was tknąć, nawet Henryk.

– Rozumiem. Ale my nigdy nie byliśmy przyjaciółmi, Carrillo. Czemu ryzykujesz dla nas życie?

– Powiedzmy, że wyświadczam Waszej Wysokości przysługę – powiedział. – W zamian za inną przysługę.

Tym razem matce nie udało się powstrzymać od gorzkiego śmiechu.

– Cóż ja mogę zaoferować najbogatszemu prałatowi Kastylii? Jestem wdową ze skromną pensyjką, z której muszę wykarmić dwoje dzieci i całą służbę.

– Dowiedcie się w odpowiednim czasie, Wasza Wysokość. Miejcie pewność, że na tym nie ucierpicie.

Po tych słowach Carrillo odwrócił się, żeby poinstruować jej służących. Słyszeli całą rozmowę i stali teraz przerażeni, z szeroko otwartymi oczami.

Sięgnęłam powoli, żeby wziąć matkę za rękę. Nigdy wcześniej nie dotknęłam jej bez pozwolenia. Była dla mnie zawsze piękną, ale niedostępną królową w błyszczących sukniach, roześmianą i otoczoną przez czołobitnych wielbicieli – matką, którą kochało się z daleka. Teraz wyglądała jak ktoś, kto przeszedł wiele mil kamienistą drogą – miała tak udręczony wyraz twarzy, że bardzo chciałam być starsza, większa, silniejsza, żeby ochronić ją przed okrutnym losem, który zabrał jej mojego ojca.

– To nie twoja wina, mamó – powiedziałam. – Tatuś poszedł do nieba. To dlatego musimy wyjechać.

Kiwnęła głową, a jej utkwione w dali oczy napełniły się łzami.

– Poza tym jedziemy do Ávila – dodałam. – To niedaleko, prawda, mamo?
– Tak – odparła cicho. – Niedaleko, hija mía, zupełnie niedaleko...
Wiedziałam jednak, że dla niej to był już inny świat.

* Hija mía (hiszp.) – moja córeczka (przyp. tłum.).

Część I



Infantka z Arévalo

1464–1468

Rozdział pierwszy



– Trzymaj go krótko, Izabelo. Nie daj mu wyczuć, że się boisz. W przeciwnym razie pomyśli, że to on ma nad tobą kontrolę, i będzie próbował cię zrzucić.

Siedziałam na grzbiecie szlachetnego czarnego ogiera. Kiwnęłam głową i chwyciłam mocniej wodze. Przez wytarte na palcach rękawiczki czułam naprężoną skórę rzemiennych pasów. Za późno zorientowałam się, że powinnam była pozwolić ojcu Beatriz, don Pedrowi de Bobadilli, kupić rękawiczki, które zaoferował mi na trzynaste urodziny. Niestety duma – grzech, z którym usilnie walczyłam, z reguły jednak bezskutecznie – sprawiła, że nie przyjął podarunku, bo to oznaczałoby przyznanie się do ubóstwa. Uparłam się, choć don Pedro, który z nami mieszkał, i tak wiedział, że klepiemy biedę. To również duma skłoniła mnie do podjęcia rzuconego przez brata wyzwania – Alfons stwierdził, że powinnam już osiąść prawdziwego konia.

Właśnie dlatego siedziałam teraz na grzbiecie wspaniałego zwierzęcia, a ręce miały chronić mi stare skórzane rękawiczki, cienkie jak jedwab. Choć koń nie był wielki, i tak się bałam. Ogier kręcił się i grzebał kopytem w ziemi, jakby zaraz zamierzał zerwać się do biegu, nie zważając, czy jestem w stanie się utrzymać, czy nie.

Alfons pokręcił głową i nachylił się ze swojego deresza. Rozsunął mi palce, tak że wodze się wokół nich zawinęły.

– W ten sposób – powiedział. – Mocno, ale nie za mocno, żeby nie zranić mu pyska. I pamiętaj, żeby w klusie siedzieć prosto, a w galopie pochylić się do przodu. Canela to nie jest jeden z tych głupich mułów, na których jeździcie z Beatriz. To czystej krwi arab jennet, godny samego kalifa. Jeździec musi przez cały czas go kontrolować.

Wyprostowałam się i przycisnęłam pośladki do tłoczonego siodła. Czułam się lekka jak dmuchawiec. Chociaż osiągnęłam już wiek, w którym większość dziewcząt zaczyna się rozwijać, nadal byłam tak płaska i chuda, że Beatriz, moja przyjaciółka i dama dworu, córka don Bobadilli, nieustannie nakłaniała mnie, żebym więcej jadła. Teraz przyglądała mi się zatroskana z grzbietu srokiego wałacha – jej wdzięcznie wyprostowana, znacznie bardziej kobieca sylwetka prezentowała się na nim wspaniale, zupełnie jakby Beatriz jeździła od urodzenia. Moja przyjaciółka miała orli nos i gęste czarne loki schowane pod siatką i czepkiem.

Zwracając się do Alfonsa, powiedziała:

– Ufam, że Wasza Wysokość sprawdził, czy ten arab jest odpowiednio ujeżdżony. Nie chcielibyśmy, żeby cokolwiek przydarzyło się waszej siostrze.

– Oczywiście, że jest ujeżdżony. Osobiście układałem go z don Gonzalem. Izabeli nic nie grozi, prawda, hermana*?

Choć przytaknęłam, ogarniały mnie paralizujące wątpliwości. Jak mogłam pokazać tej bestii, że to ja tutaj rządzę? Jakby czytając mi w myślach, Canela zaczął brykać na boki. Nabrałam nerwowo powietrza, szarpiąc za wodze. Koń zatrzymał się z prychnięciem, wyraźnie niezadowolony z nacisku, jaki wywierałam na jego wędzidło.

Alfons mrugnął do mnie łobuzersko.

– Widzisz? Radzisz sobie z nim.

Spojrzał na Beatriz.

– Potrzebujesz pomocy, pani? – zapytał żartobliwym tonem, który zdradzał, że od wielu lat prowadzi potyczki słowne z upartą jedynaczką naszego opiekuna.

– Nie trzeba, dziękuję – odparła cierpko Beatriz. – Jej Wysokość i ja damy sobie doskonale radę, kiedy przyzwyczajymy się do waszych mauretańskich rumaków. Proszę nie zapominać, że już jeździliśmy, nawet jeśli, jak to Wasza Wysokość określił, tylko na głupich mułach.

Alfons zachichotał, obracając swojego deresza niezwykle sprawnie jak na dziesięciolatka. Mój brat miał roziskrzone błękitne oczy, a sięgające do ramion jasne i gęste włosy stanowiły wspaniałą oprawę dla okrągłej twarzy o regularnych rysach.

– Proszę nie zapominać, że ja jeżdżę codziennie, odkąd skończyłem pięć lat. To doświadczenie czyni dobrego jeźdźca.

– Racja – huknął gubernier Alfonsa, señor Gonzalo Chacón, ze swojego ogromnego wierzchowca. – Infant Alfons już jest wytrawnym jeźdźcem. Jazda konna to jego druga natura.

– Nie mamy co do tego wątpliwości – wtrąciłam, zanim Beatriz miała szansę odpowiedzieć. Zmuszając się do uśmiechu, dodałam: – Chyba jesteśmy gotowe, braciszku. Ale błagam, nie za szybko.

Alfons zacisnął łydki i deresz ruszył z zamkowego dziedzińca w stronę zakratowanej głównej bramy.

Rzuciłam Beatriz pełne dezaprobaty spojrzenie.

Oczywiście to wszystko była jej wina. Znudzona codzienną rutyną w postaci lekcji, modlitw i szycia, tego ranka oświadczyła, że musimy zażyć trochę ruchu, bo inaczej przedwcześnie zamienimy się w staruchy. Powiedziała, że za długo nigdzie nie wychodziłyśmy, i miała rację – siedziałyśmy w zamku, bo zima w tym roku była wyjątkowo sroga. Kiedy poprosiła naszą guwernantkę doñę Clarę o pozwolenie, aya zgodziła się, bo w naszym wypadku konna przejażdżka oznaczała zawsze niespieszne okrążanie murów zamkowych i okolicznej wioski na starych mułach godzinę przed kolacją.

Kiedy jednak przebrałam się w strój jeździecki i wyszłam z Beatriz na dziedziniec, zastałam tam Alfonsa z don Gonzalem i dwoma imponującymi ogierami. Były prezentem od naszego przyrodniego brata, króla Henryka. Alfons oświadczył, że czarny jest dla mnie. Nazywał się Canela**. Kiedy stanęłam na podnóżku, żeby go dosiąść, musiałam tłumić strach. Wpadłam w jeszcze większą panikę, kiedy okazało się, że mam jechać okrakiem, a la jineta, na wąskim skórzanym siodle z krótkimi strzemionami, tak jak Maurowie. Czułam się nieswojo i bardzo niepewnie.

– Dziwne imię dla konia – zauważyłam, starając się ukryć zdenerwowanie. – Cynamon jest jasnobrązowy, a to zwierzę jest czarne jak noc.

Canela zarzucił grzywą i przekreślił pięknie ukształtowany łeb, jakby miał zaraz ugryźć mnie w nogę. Nie wróżyło to miłego popołudnia.

– Beatriz – syknęłam, kiedy wjeżdżaliśmy na równinę. – Dlaczego mi nic nie powiedziałas? Wiesz, że nie lubię niespodzianek.

– Właśnie dlatego – odpowiedziała również szeptem. – Gdybym cię uprzedziła, nie przyszłabyś. Powiedziałaś, że musimy czytać albo wyszywać, albo odmawiać nowenny. Mów, co chcesz, ale musimy się od czasu do czasu zabawić.

– Nie sądzę, żeby spadanie z konia było taką dobrą zabawą.

– Ba, wyobraź sobie, że to tylko przerośnięty pies. Owszem, jest wielki, ale zupełnie nieszkodliwy.

– A skąd ty to możesz wiedzieć?

– Bo inaczej Alfons nigdy nie pozwoliłby ci go dosiąść – odpowiedziała przyjaciółka,

wojowniczo potrząsając głową.

Gest ten stanowił przejaw jej nigdy niesłabnącej pewności siebie, dzięki której Beatriz została moją bliską towarzyszką i powiernicą. Jak zwykle jednak jej bezpośredniość wprowadzała mnie równocześnie w rozbowienie i zakłopotanie.

Dzieliły nas trzy lata i zupełnie odmienne charaktery. Beatriz zachowywała się tak, jakby za murami zamku znajdowała się wielka niezbadana przestrzeń pełna wspaniałych przygód. Zdaniem doñi Clary przyczyną jej lekkomyślności było to, że wkrótce po urodzeniu straciła matkę. Ojciec wychowywał ją w Arévalo sam, bez kobiecego nadzoru. Beatriz miała ciemne włosy, ja – jasne, ona miała kobiece krągłości, ja byłam kanciasta. Moja towarzyszka była też buntownicza, nieprzewidywalna i zbyt wygadana. Prowokowała nawet zakonnice z klasztoru Augustianek, gdzie chodziliśmy do szkoły, rozpraszać biedną siostrę Marię niekończącymi się pytaniami. Była lojalną przyjaciółką, miała też znakomite poczucie humoru – umiała znajdować radość tam, gdzie inni jej nie dostrzegali. Sprawiała jednak nieustanne kłopoty rodzinie i doñi Clarze, która na próżno starała się wpoić Beatriz, że dobrze wychowane damy nie poddają się impulsom, kiedy tylko najdzie je ochota.

– Powinnyśmy były powiedzieć prawdę doñi Clarze – powiedziałam, zerkając na swoje dłonie. Znów kurczowo ścisnęłam wodze, więc zmusiłam się, żeby je trochę poluzować. – Na pewno uzna takie wałęsanie się na koniach za nieprzyzwoite.

– Kogo obchodzi przyzwoitość? Rozejrzyj się!

Niechętnie zrobiłam, co kazała.

Słońce zniżyło się do horyzontu, zostawiając na beżowym niebie szafranową poświatę. Po lewej widać było położony na niewielkim wzgórzu zamek Arévalo, jego ciemnobrązową cytadelę z sześcioma wieżami i blankowaną warownią, graniczący z miasteczkiem o tej samej nazwie. Po prawej widać było główną drogę wiodącą do Madrytu, natomiast przed nami, jak okiem sięgnąć, rozciągał się bezmiar Kastylii – ogromne pola upstrzone polami jęczmienia i pszenicy, grządkami warzyw i kępami powykręcanych wiatrem sosen. Powietrze było nieruchome, przesycone wonią żywicy i topniejącego śniegu, która zawsze kojarzyła mi się z nadejściem wiosny.

– Czy to nie wspaniałe? – Beatriz zrobiła głęboki wdech, a jej oczy błyszczały.

Przytaknęłam, wpatrując się w ziemię, która niemal odkąd pamiętam, była moim domem. Oczywiście nie oglądałam jej po raz pierwszy – wielokrotnie podziwiałam okolicę z zamkowej warowni czy podczas dorocznych wypraw do sąsiedniego miasta, Mediny del Campo, gdzie odbywał się największy w Kastylii targ zwierząt. Nie umiałam wyjaśnić, dlaczego tego dnia wszystko wyglądało inaczej – zupełnie jak wtedy, kiedy człowiek zauważa, że często oglądany obraz zmienił się pod wpływem czasu – barwy nabrały nowego, pełniejszego blasku, pogłębiając kontrast między światłem a ciemnością.

Moja pragmatyczna natura podsunęła mi wyjaśnienie – oglądając okolicę, siedziałam wyżej niż zwykle, na grzbiecie Caneli, a nie muła, na którym dotychczas jeździłam. Mimo wszystko do oczu napłynęły mi łzy i bez ostrzeżenia naszły mi wspomnienia majestatycznej sali pełnej ludzi w aksamitach i jedwabiach. Obraz zaczął natychmiast blaknąć, niczym widmo z przeszłości. Kiedy Alfons, który jechał z przodu z don Gonzalem, przywołał mnie gestem, szybko zapomniałam, że jestem na grzbiecie nieznanego, potencjalnie niebezpiecznego zwierzęcia, i przycisnęłam pięty do jego żeber.

Canela skoczył do przodu, a ja runęłam na jego wygiętą szyję. Instynktownie chwyciłam go za grzywę, unosząc się z siodła i napinając łydki. W odpowiedzi ogier parsknął z zadowoleniem. Przyspieszył i galopem wyprzedził Alfonsa, zostawiając za sobą tuman brunatnego kurzu.

– Dios mío! – wysapał mój brat, kiedy mijałam go pędem.

Kątem oka zauważyłam, że Beatriz szybko rusza za mną, krzycząc do Alfonsa i zdziwionego don Gonzala:

– Lata doświadczenia, co?

Wybuchnęłam śmiechem.

To było wspaniałe uczucie. Właśnie tak wyobrażałam sobie latanie – zostawić za sobą szkolne trudy i naukę, chłód zamkowych murów, niekończące się kosze z ubraniami do cerowania, ciągle przebąkiwania na temat kłopotów finansowych i słabego zdrowia matki; być wolną i rozkoszować się pędem konia przemierzającego malownicze kastylijskie ziemie.

Kiedy zdyszana zatrzymałam się na wale, z którego rozciągał się widok na równinę, kaptur jeździecki zwiślał mi na plecach, przytrzymywany wyłącznie tasiemkami, a moje jasnokasztanowe włosy wyswobodziły się z warkoczy. Ześlizgnęłam się z siodła i poklepałam Canelę po szyi. Potarł chrapami o moją dłoń, a następnie zaczął skubać kruche, ciemiste krzewy, które wyrastały między skałami. Usiadłam na pobliskiej stercie kamieni i obserwowałam, jak Beatriz wjeżdża na wał. Kiedy czerwona z wysiłku znalazła się na szczycie, powiedziałam:

– Miałaś rację. Potrzeba nam było trochę ruchu.

– Trochę ruchu! – wysapała, zsiadając z konia. – Zdajesz sobie sprawę, że właśnie zostawiłyśmy Jego Wysokość i Chacóna w kłębach kurzu?

Uśmiechnęłam się.

– Beatriz de Bobadilla, czy ty zawsze musisz ze wszystkimi rywalizować?

Wzięła się pod boki.

– Kiedy chodzi o pokazanie, na co nas stać, to tak. Jeśli same nie udowodnimy naszej wartości, to kto nas wyręczy?

– Więc chcesz pokazać, jaka jesteś silna? Hmm. Wyjaśnij mi to, proszę.

Beatriz klapnęła obok mnie, wpatrując się w coraz mniejsze słońce. W Kastylii o tej porze roku zachodziło powoli, dzięki czemu mogłyśmy podziwiać piękne chmury ze złotą obwódką i fioletowoczerwone niebo. Ciągle jeszcze delikatny wieczorny wiatr poruszał spletanymi włosami Beatriz, a w jej wyrazistych oczach, które zawsze natychmiast zdradzały, co czuje, pojawiła się zaduma.

– Chcę udowodnić, że umiejętnościami dorównujemy mężczyznom, żebyśmy mogły cieszyć się tymi samymi przywilejami.

Zmarszczyłam brwi.

– Dlaczego? Co by nam to dało?

– Mogłybyśmy robić, co nam się podoba, i nikogo za to nie przeproszać, tak jak Jego Wysokość.

– Alfons wcale nie robi, co mu się podoba – zaprotestowałam, po czym poprawiłam kaptur i wcisnęłam tasiemki pod suknię. – Tak naprawdę ma dużo mniej swobody, niż przypuszczasz. Z wyjątkiem dzisiejszej wyprawy już go prawie nie widuję. Musi nieustannie ćwiczyć szermierkę, łucznictwo i walkę na kopie, że nie wspomnę nawet o jego lekcjach. Jest księciem, więc ma bardzo dużo zajęć.

Skrzywiła się.

– Tak, ale to ważne zajęcia, a nie tylko nauka szycia, wyrabiania masła i zaganiania owiec. Gdyby dane nam było żyć tak jak mężczyznom, mogłybyśmy przemierzać świat i wyruszać na bohaterskie wyprawy, jak błędni rycerze albo Dziewica Orleańska.

Nie dałam po sobie poznać, że jej słowa wzbudziły we mnie mimowolny entuzjazm. Odkąd w tę straszną noc dziesięć lat wcześniej uciekliśmy razem z matką i Alfonsem z Valladolid, nauczyłam się nie okazywać emocji, bo dużo lepiej rozumiałam, co wtedy zaszło.

Arévalo nie było na tyle odizolowane, żeby przez mesetę*** nie docierały tu sporadyczne wiadomości z królewskich rezydencji w Madrycie, Segovii i Valladolid. Nasi służący plotkowali o tych nowinach i jeśli udawało się obojętność, łatwo było ich podsłuchać. Wiedziałam, że kiedy Henryk wstąpi na tron, dwór stanie się dla nas niebezpieczny, bo władzę obejmą jego faworyci i chciwa królowa. Nigdy nie zapomnę namacalnego strachu, który towarzyszył mi w noc śmierci ojca – podczas długiej jazdy przez ciemne pola i lasy unikaliśmy głównych dróg, na wypadek gdyby Henryk wysłał za nami pogoń. To wspomnienie odcisnęło na mnie piętno, stanowiło niezapomnianą lekcję, że życie zawsze przynosi zmiany, niezależnie od tego, czy jesteśmy na nie gotowi, czy nie. Pozostaje nam tylko spokojnie robić, co w naszej mocy, żeby się do nich dostosować.

– Dziewica Orleańska została spalona na stosie – powiedziałam w końcu. – Czy to takiego wspaniałego końca nam życzysz, moja droga?

Beatriz westchnęła.

– Oczywiście, że nie, to straszna śmierć. Chciałabym jednak mieć przeświadczenie, że gdyby dano nam szansę, umiałybyśmy, tak jak ona, poprowadzić armię w obronie naszego kraju. Obecnie nasz los jest z góry przesądzony. – Gwałtownie rozłożyła ręce. – Ciągłe to samo, dzień w dzień, tydzień w tydzień, miesiąc w nudny miesiąc! Zastanawiam się, czy tak wychowuje się wszystkie kobiety ze szlacheckich rodów. Czy jesteśmy takie głupie, że naszymi przyjemnościami mogą być tylko zabawianie gości i dogadzanie przyszłemu mężowi, czy musimy się uczyć, jak uśmiechać się między daniami na uczcie i nigdy nie zabierać głosu? Jeśli tak, to możemy pominąć małżeństwo i dzieci, a przejść od razu do starości i świętości.

Popatrzyłam na nią. Beatriz zawsze zadawała pytania, na które nie było łatwych odpowiedzi, starając się zmienić porządek ustalony długo przed naszym urodzeniem. Niepokoiło mnie, że ostatnio sama zaczęłam podawać tradycję w wątpliwość i też nie mogłam znaleźć sobie miejsca, choć nigdy bym się do tego nie przyznała. Martwiłam się zniecierpliwieniem, które dręczyło mnie na myśl o przyszłości, bo wiedziałam, że nawet ja, infantka Kastylii, będę musiała pewnego dnia poślubić, kogo mi każą, i dostosować się do woli męża.

– Małżeństwo i troska o męża i dzieci nie są ani nudne, ani poniżające – powiedziałam. – Kobiety zajmują się tym od zarania dziejów.

– Powtarzasz tylko, czego cię nauczono – odparowała. – „Kobieta rodzi dzieci, a mężczyzna utrzymuje rodzinę”. Ale ja pytam: dlaczego? Dlaczego kobieta nie ma wyboru? Kto powiedział, że nie możemy wziąć miecza i krzyża i ruszyć na Grenadę, żeby odjąć ją z rąk Maurów? Kto powiedział, że nie umiemy podejmować decyzji ani dbać o własne sprawy tak dobrze jak mężczyzna?

– Nie ma znaczenia, kto to powiedział. Tak po prostu jest.

Przewróciła oczami.

– A Dziewica Orleańska nie wyszła za mąż. Nie szorowała, nie wyszywała i nie planowała, co weźmie w posagu. Włożyła zbroję i ruszyła na wojnę w obronie delfina.

– Który wydał ją Anglikom – przypomniałam jej i zamilkłam na chwilę. – Beatriz, Dziewica została wezwana do wypełnienia woli bożej. Nie możesz porównywać jej losu z naszym. Ona była narzędziem w rękach Boga, poświęciła się za ojczyznę.

Beatriz prychnęła nieuprzejmie, ale wiedziałam, że niewątpliwie zdobyłam punkt w sporze, który toczyłyśmy od dzieciństwa. Jak zawsze próbowałam udawać, że perory przyjaciółki zupełnie do mnie nie trafiają, ale wyobraziwszy sobie, jak energiczna Beatriz w zardzewiałej zbroi zagrzewa gromadę arystokratów do walki za la patria, nie byłam w stanie stłumić chichotu.

– A teraz się ze mnie śmiejesz!

– Nie, to nie tak. – Z całych sił próbowałam się opanować. – Wcale się nie śmieję. Pomyślałam tylko, że gdybyś spotkała Dziewicę, to bez wątpienia byś się do niej przyłączyła.

– Racja. – Podniosła się gwałtownie. – Wyrzuciłabym księgi i robótki przez okno i wskoczyła na pierwszego wolnego konia. Jakie to musi być cudowne – robić, co się człowiekowi podoba, walczyć za swój kraj, mieć tylko niebo za dach, a ziemię za podłogę.

– Przesadzasz, Beatriz. Krucjaty są dużo bardziej znojne niż opisują to kroniki.

– Być może, ale przynajmniej miałybyśmy prawdziwe zajęcie! Spojrzałam na jej dłonie, ściśnięte, jakby trzymała w nich broń.

– Takie wielkie łapska na pewno nadają się do dzierżenia miecza.

Hardo wysunęła podbródek.

– To ty jesteś księżniczką, nie ja. Miecz byłby w twoich rękach.

Zupełnie jakby dzień niepostrzeżenie zamienił się w noc, nagle ogarnął mnie chłód.

Zadrżałam.

– Chyba nie umiałabym prowadzić armii – powiedziałam cicho. – To musi być straszne patrzeć, jak wrogowie siekają twoich rodaków, i mieć świadomość, że sama zaraz możesz zginąć. Nie uważam też – podniosłam dłoń, żeby uciszyć protest Beatriz – że powinniśmy traktować Dziewicę Orleańską jako wzór do naśladowania. Walczyła za swojego księcia i spotkała ją za to okrutna śmierć. Nikomu nie życzę takiego losu, a już na pewno nie sobie. Możesz nazywać mnie nudną, ale wolę wyjść za mąż i urodzić dzieci, spełniając swoją powinność.

Beatriz popatrzyła na mnie przenikliwie.

– Powinności są dla słabeuszy. Nie mów mi, że sama nie masz żadnych obiekcji.

W bibliotece pożarłaś tę opowieść o krzyżowcach jak marcepan.

Zmusiłam się do śmiechu.

– Ty naprawdę jesteś niepoprawna.

Właśnie wtedy podjechali do nas Alfons i don Gonzalo. Guwerner wyglądał na zasmuconego.

– Wasza Wysokość, czcigodna pani de Bobadilla, nie powinnyście były tak galopować. Mogłyście się zranić albo jeszcze gorzej. Kto wie, co czyha wieczorem na tym pustkowiu?

Słyszałam strach w jego głosie. Choć król Henryk uznał, że możemy mieszkać w Arévalo, z dala od dworu, jego cień zawsze nam towarzyszył. Dawno już przyzwyczaiałam się, że grozi nam porwanie, właściwie zaczęłam zupełnie lekceważyć to ryzyko. Chacón jednak chronił nas z oddaniem i każde potencjalne zagrożenie traktował poważnie.

– Wybaczcie – powiedziałam. – To moja wina. Nie wiem, co we mnie wstąpiło.

– Cokolwiek by to było, jestem pod wrażeniem – wtrącił Alfons. – Kto by pomyślał, że taka z ciebie amazonka, siostrzyczko.

– Ja? Amazonką? Na pewno nie. Chciałam po prostu sprawdzić możliwości Caneli.

Nieźle się spisał, prawda? Jest dużo szybszy, niż wskazywałby na to jego wzrost.

Alfons uśmiechnął się szeroko.

– Tak, bardzo szybki. I tak, całkiem nieźle ci poszło.

– A teraz musimy wracać – oświadczył Chacón. – Już prawie noc. Chodźcie, pojedziemy główną drogą. I tym razem żadnego galopowania, rozumiano?

Wsiadłyśmy z Beatriz na konie i pod osłoną zmroku ruszyłyśmy za moim bratem i Chacónem. Z ulgą stwierdziłam, że Beatriz tym razem postanowiła być posłuszna i spokojnie jechała przy moim boku. Mimo to kiedy zbliżaliśmy się do Arévalo, a na niebie pojawiły się koralowe pasma, przypomniała mi się nasza rozmowa i choć starałam się odpędzić od siebie te myśli, zaczęłam się zastanawiać, jak to jest być mężczyzną.

* Hermana (hiszp.) – siostra (przyp.tłum.).

** Canela (hiszp.) – cynamon (przyp. tłum.).

*** Meseta (hiszp.) – równina (przyp. tłum.).

Rozdział drugi



W warowni nikogo nie było, nietypowo jak na tę porę dnia, a kiedy weszliśmy do sali reprezentacyjnej i okazało się, że długi porysowany stół nie jest jeszcze nakryty do wieczornego posiłku, wyczułam, że coś jest nie w porządku. Alfons i Chacón poszli do stajni, żeby rozsiodłać i wyszczotkować konie. Gdy Beatriz zdejmowała ze mnie płaszcz, spojrzałam na palenisko. Nawet ognia jeszcze nie rozpalono, jedynym źródłem światła były syczące pochodnie przy ścianach.

– Ciekawe, gdzie są wszyscy? – zapytałam, pocierając zdrętwiałe od trzymania wodzy ręce. Staralam się mówić obojętnym tonem. – Spodziewałam się, że doña Clara będzie czekać na mnie w warowni z różgą i reprimendą.

– Ja też. – Beatriz zmarszczyła brwi. – Tu jest za cicho.

Zastanawiałam się, czy podczas naszej przejażdżki matka znów się nie rozchorowała. Odezwało się we mnie poczucie winy. Powinnam była zostać w zamku, a nie wyjeżdżać tak pośpiesznie, nikogo nie uprzedzając.

Do sali weszła moja guwernantka, spiesząc w naszym kierunku.

– Oto przybywa – szepnęła Beatriz.

Ja jednak od razu zauważyłam, że troska na twarzy mojej aya nie miała nic wspólnego z nami. Nawet jeśli wcześniej doña Clara gniewała się z powodu naszej eskapady, teraz trapiło ją coś dużo poważniejszego.

– W końcu – powiedziała guwernantka bez zwyczajowej złośliwości. – Wielkie nieba, gdzie wy byliście? Jej Wysokość królowa matka pytała o ciebie.

Matka o mnie pytała. Serce zaczęło mi walić. Jakby z oddali usłyszałam słowa Beatriz.

– Doño Claro, jeździliśmy z Jego Wysokością. Mówiliśmy, że...

– Wiem, z kim byliście, zuchwała dziewucho – przerwała jej aya. – Pytam, gdzie byliście. Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę, że nie było was ponad trzy godziny.

– Trzy godziny? – Patrzyłam na nią z niedowierzaniem. – Miałam wrażenie, że to tylko...

– Zamilkłam na widok jej srogiego spojrzenia. – Czy coś się stało? Czy mama...?

Doña Clara kiwnęła głową.

– Pod waszą nieobecność przyszedł list. Bardzo ją zmartwił.

Poczułam ucisk w żołądku. Sięgnęłam po rękę Beatriz, a doña Clara dodała:

– To pismo z dworu. Sama odbierałam je od posłańca, więc widziałam pieczęć. Posłaniec nie czekał na odpowiedź, powiedział, że nie ma potrzeby. Kiedy Jej Wysokość przeczytała list, tak się zdenerwowała, że musiałam jej przygotować napar z nagietka i rabarbaru. Doña Elvira próbowała skłonić ją, żeby go wypić, ale Jej Wysokość odesłała całą służbę. Poszła do swojej komnaty i zatrzasnęła drzwi.

Beatriz ścisnęła moją rękę. Nie musiała wypowiadać na głos tego, co obie myślałyśmy. List z dworu zawsze oznaczał złe wieści.

– List? Teraz? – ciągnęła doña Clara. – Wyobrażacie sobie? Po dziesięciu latach milczenia! Nic dziwnego, że królowa jest zmartwiona. Mieszkamy tu przez te wszystkie lata i ani razu nie przyszło żadne wezwanie czy zaproszenie, jakbyśmy byli ubogimi krewnymi, których trzeba się wstydzić i trzymać w ukryciu. Tylko Carrillo nie złamał słowa i przysłał nam

pieniądze na utrzymanie, ale nawet on, książę Kościoła, nie może wycisnąć złota od niechętnych skarbników. Gdyby nie trzoda i pola, dawno pomarliśmy tu z głodu. A rozejrzyjcie się dookoła – potrzeba nam nowych gobelinów i dywanów, że nie wspomnę o ubraniach. Jego Wysokość dobrze o tym wie. Wie, że powietrze i nadzieja nie wystarczą, żeby wychować dwoje dzieci.

Jej zapalczywość nie była niczym nowym – właściwie to tak często narzekała na nasze położenie, że z reguły w ogóle nie zwracałam uwagi na jej biadolenia. Tym razem jednak czułam się tak, jakby ktoś nagle zerwał mi zasłonę z oczu, i po raz pierwszy zobaczyłam, jak naprawdę wygląda nasza sala reprezentacyjna – ściany z wilgotnymi zaciekami, wyblakłe kilimy, powyginane deski podłogowe i zniszczone meble pasowały do biednej wiejskiej chaty, a nie do rezydencji wdowy po królu Kastylii i królewskich dzieci.

Mimo wszystko, odkąd pamiętam, to właśnie był mój dom. Przeszedł mnie dreszcz, bo nagle wróciło do mnie to przelotne wspomnienie, to samo co podczas przejażdżki, i znów zobaczyłam odziane w aksamit postaci w wielkiej sali. Nie całkiem więc zapomniałam odległy dwór, w którym mieszkała niegdyś moja rodzina...

Chciałam iść do kaplicy i przez chwilę pobyc sama, żeby spokojnie pomyśleć. Chociaż była zimna i surowa, zawsze znajdowałam tam pocieszenie w trudnych momentach. Już samo to, że klękałam ze złożonymi rękami, przynosiło mi ukojenie i pozwalało się skupić, nawet jeśli nie byłam w stanie wystarczająco wyciszyć się do modlitwy.

– Musisz do niej iść – powiedziała doña Clara.

Wzdychając w duchu, przytaknęłam i z Beatriz przy boku ruszyłam w kierunku schodów. Na półpiętrze spotkałyśmy główną damę dworu i towarzyszkę matki, doñę Elvirę. Siedziała na stołku, ale na nasz widok się poderwała.

– O, Izabelo, moje dziecko! – zawołała, przyciskając do ust pokrytą brązowymi plamami dłoń i usiłując stłumić płacz.

Biedna doña Elvira zawsze była bliska łez. Nigdy nie spotkałam kobiety, która płakałaby równie często i rzewnie jak ona.

Dotknęłam jej szczupłego ramienia, żeby dodać jej otuchy. Była oddaną służącą, którą matka przywiozła z Portugalii i która stała przy jej boku w trudnych czasie. Miała bardzo nerwowe usposobienie i była bezsilna wobec ataków, których dostawała moja matka. Prawdę mówiąc, z wyjątkiem mnie nikt w zamku sobie z nimi nie radził.

– Proszę się nie martwić – powiedziałam cicho.

Elvira otarła łzy z przeoranych zmarszczkami policzków.

– Kiedy przynieśli ten list... Najświętsza Panienko, szkoda, że jej nie widziałyście. Zaczęła szaleć, krzyczała i przeklinała. Co to był za okropny widok! A potem... potem zatrasnęła drzwi i nikogo nie wpuszcza, nawet mnie. Błagałam, żeby wypić napar, żeby odpoczęła i się uspokoiła, zanim wrócicie, ale kazała mi odejść. Powiedziała, że tylko Bóg może jej teraz pomóc.

– Zajmę się nią – oświadczyłam. – Przygotuj, proszę, nowy napar. Tylko daj mi trochę czasu, zanim go przyniesiesz.

Jeszcze raz uśmiechnęłam się do niej krzepiąco i patrzyłam, jak odchodzi, powłócząc nogami. Następnie odwróciłam się twarzą do drzwi matczynej sypialni. Nie chciałam tam wchodzić. Miałam ochotę uciec.

– Poczekam tu – powiedziała Beatriz – na wypadek, gdybyś mnie potrzebowała.

Wzięłam głęboki oddech, żeby się uspokoić, i sięgnęłam do zasuw. Zamek od wewnątrz został już wcześniej usunięty, po tym jak matka zabarykadowała się w czasie jednego z ataków. Nie wychodziła przez ponad dwa dni, tak że w końcu don Gonzalo musiał wyważyć drzwi.

Gdy tylko weszłam, zauważyłam ślady po jej hysterii. W komnacie rozrzucone były

rozbite fiolki, papiery, zawartość przewróconych skrzyń. Mrugnęłam kilka razy, żeby przyzwyczaić oczy do mroku, a następnie zdecydowanym krokiem weszłam dalej do środka. Uderzyłam o coś stopą – błyszczący przedmiot z brzękiem potoczył się dalej, zostawiając po drodze mokry ślad.

Czarka z naparem dońi Elviry.

– Mamo? – odezwałam się. – Mamo, to ja, Izabela.

Poczułam lekki zapach pleśni – unosił się w zamku zawsze, bo płynęła pod nim rzeka. Z ciemności zaczęły wyłaniać się znajome przedmioty: łoże z kotarami, brokatowe zasłony, które dotykały wyścielającej podłogę trzciny, krosno, wrzeczono i kądziel z przędzą pod oknem z okiennicami, wygaszony piecyk, a we wnęce – tapicerowany tron matki, samotna pozostałość z dawnych czasów, przykryty królewską tkaniną z herbami Kastylii i jej ojczystej Portugalii.

– Mamo?

Głos mi drżał. Zacisnęłam pięści. Powtarzałam sobie, że nie ma się czego bać. Nie robiłam tego przecież pierwszy raz. To ja nieustannie odwodziłam matkę od przepaści. Ze wszystkich mieszkańców zamku tylko ja potrafiłam ją uspokoić, przywrócić do normalności po ataku hysterii. Nigdy mnie przy tym nie skrzywdziła.

Usłyszałam szelest materiału. Wpatrując się w cienie nad łożem, rozpoznałam jej sylwetkę. Przypomniała mi się ta straszna noc, kiedy umarł ojciec, a mnie wydawało się, że widzę ducha konetabla.

– Mamo, jestem przy tobie. Chodź. Powiedz, co cię tak przestraszyło.

Zaczęła ostrożnie podchodzić. Miała potargane włosy i bladą twarz, a długimi białymi dłońmi szarpała suknię.

– Hija mia, on znów tu jest. Znów przyszedł, żeby mnie prześladować.

– Nie, mamo, to tylko wiatr.

Podeszłam do kredensu. Kiedy przyłożyłam krzesiwo do świecy, matka krzyknęła:

– Nie, nie zapalaj! Zobaczysz mnie! On...

Przerwała w pół słowa, kiedy odwróciłam się do niej, osłaniając dłońmi płomień. Migoczący krąg oświetlił ścianę nad łożem.

– Widzisz, mamo? Nie ma tu nikogo oprócz nas.

Otwierając szeroko zielonkawoniebieskie oczy, rozglądała się po komnacie, jakby spodziewała się znaleźć swojego prześladowcę w którymś kącie. Już miałam ostrożnie się odsunąć, kiedy matka nagle opadła z sił. Wydałam ciche westchnienie ulgi, umocowałam świecę na kinkiecie przy ścianie i zbliżyłam się, żeby pomóc jej usiąść. Podsunęłam jej stołek i chwyciłam ją za lodowate ręce.

– Wiem, że mi nie wierzysz – powiedziała, a w jej głosie nadal słychać było paniczny strach. – Ale on tu był. Widziałam go przy oknie. Stał i wpatrywał się we mnie tak samo jak za życia, kiedy chciał udowodnić, jak wielką władzę ma nad twoim ojcem.

– Mamo, konetabl de Luna nie żyje. Nikt cię tu nie skrzywdzi, obiecuję.

Puściła moją rękę.

– Jak możesz mi coś takiego obiecać? Ty nic nie wiesz, nic nie rozumiesz. Nikt nie rozumie. Z wyjątkiem jego. On wie, że dług krwi musi zostać spłacony.

Przeszły mnie ciarki.

– Mamo, o czym ty mówisz? Jaki dług?

Wydawało mi się, że mnie nie słyszy.

– Nie miałam wyjścia – powiedziała. – Odebrał mi twój ojca. Był ohydny, demoniczny: uwiódł mojego męża, zabrał mi go. Ale oni obwiniali o to mnie. Grandowie, cały naród, nawet twój ojciec – wszyscy mówili, że to moja wina. Jan powiedział mi, że on też

chciałby umrzeć tamtego dnia, żeby być razem z ukochanym. I stało się: umarł. Nie próbował nawet przeżyć, dla mnie, dla własnych dzieci. Wołał... wołał tego wynaturzeńca.

Nie chciałam tego słuchać. Te słowa nie były przeznaczone dla moich uszu, nie byłam jej spowiednikiem. Jednak ponieważ nie tolerowałam nikogo innego, musiałam zostać i uspokoić ją na tyle, żeby dopuściła do siebie służbę. Pozostawała jeszcze kwestia listu, który był przyczyną jej hysterii – musiałam się dowiedzieć, czego dotyczy.

– Tatę zabiła choroba – powiedziałam powoli. – Nie zrobił tego celowo. Był chory. Miał gorączkę i...

– Nie! – Poderwała się. – Chciał umrzeć! Wybrał śmierć, żeby się ode mnie uwolnić. Najświętsza Panienko, to dlatego nie mogę zaznać spokoju, dlatego każdy dzień jest dla mnie męczarnią. Gdybym tego nie zrobiła, Jan żyłby nadal. Ja nadal byłabym królową. Dalej bylibyśmy u władzy!

Zupełnie jakby były z nami w pokoju, usłyszałam głosy z przeszłości, kobiety szepczące: „To ta portugalska wilczyca... Ona kazała zamordować de Lunę...”.

Matka zniszczyła przyjaciela ojca. To dlatego wierzyła, że prześladowuje ją jego duch, dlatego dostawała tych strasznych ataków. Była przekonana, że zaciągnęła dług krwi.

Zmusiłam się, żeby wstać.

– Zimno tu. Zapalę w piecyku.

– Oczywiście! Czemu nie? Roznieć ogień. Najlepiej przynieś pochodnie i podpal zamek. Będę miała przedsmak tego, co czeka mnie w piekle. – Znów zaczęła chodzić po komnacie. – Boże wszechmogący, co ja mam począć? Jak mam cię ochronić? – Odwróciła się w moją stronę.

Zamarłam, przygotowując się na najgorsze. Matka jednak nie zaczęła, jak przy poprzednich atakach, krzyczeć, zawodzić ani dziko się drapać. Sięgnęła tylko za stanik swej sukni i rzuciła we mnie zmietym pergaminem. Podniosłam go z ziemi i zbliżyłam się do świecy. Zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Kiedy zaczęłam czytać, komnata pogrążyła się w ciszy, którą zakłócało jedynie wycie wiatru za oknem. Nadawcą listu był król Henryk. Jego żona, królowa Joanna, urodziła córkę. Nadano jej imię Joanna, po matce.

– Henryk dokonał niemożliwego. Doczekał się następcy – odezwała się matka.

Zdumiona podniosłam wzrok znad pergaminu.

– To chyba powód do radości?

Zaśmiała się.

– O tak, będzie radość i świętowanie! Będą świętować moją klęskę. Wszystko, o co walczyłam, przepadło: nie mam korony, nie mam dworu, a twój brat Alfons zostanie wydziedziczony. I przyjdą po was. Zabiorą ciebie i Alfonsa. Zostawią mnie tu samą, żebym szczała, zapomniana przez wszystkich.

– Mamo, to nieprawda. Ten list zawiadamia tylko o narodzinach dziecka. Nie ma tu nic o tym, że mamy się gdzieś przenieść. Chodź, jesteś roztrzęsiona. Razem poszukamy ukojenia.

Wsunęłam list do kieszeni i podeszłam do klęcznika. Był to przynoszący pokrzepienie zwyczaj, który zaszczerpiła mi w dzieciństwie, wspólny rytuał, który bardzo ceniłyśmy – co wieczór razem odmawiałyśmy modlitwę.

Sięgałam właśnie po szkatułkę z macicy perłowej, w której matka trzymała różaniec, kiedy oświadczyła:

– Koniec z modlitwami. Bóg już mnie nie słucha.

Znieruchomiałam.

– To... bluźnierstwo. Bóg zawsze słucha.

W moich słowach nie słyhać było jednak przekonania i to mnie przeraziło. Czułam, jak przytłaczają mnie sprawy, które ledwo rozumiem, a które tworzą między nami przepaść. Już

miałam głośno westchnąć, kiedy rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Przed komnatą stała doña Elvira z czarką w ręce. Podając mi ją, popatrzyła na mnie pytająco. Gdy się odwróciłam, matka znów stała przy łożu i przyglądała mi się.

– Aha – odezwała się – przynieśli mój eliksir zapomnienia.

– To napar, który pomoże ci zasnąć. Mamo, musisz teraz odpocząć.

Podeszłam do niej, a ona nie protestowała. Wypiła zawartość czarki i położyła się na skotłowanej pościeli. Wyglądała bardzo staro – jej oczy były o wiele za duże w stosunku do wychudzonej twarzy, a jędrne niegdyś usta otaczały teraz zmarszczki. Miała trzydzieści trzy lata, była jeszcze młoda, a wyglądała tak, jakby od wieków przebywała w tej samotnej twierdzy.

– Odpoczywaj teraz – powiedziałam. – Jestem przy tobie. Nie zostawię cię. Prześpij się i wszystko będzie dobrze.

Zatrzepotała powiekami. Zaczęłam śpiewać jej cicho kołysankę, której uczą się wszystkie dzieci: „Duerme, pequeña mía; duerme feliz. Los lobos aúllan fuera pero aquí me tienes a mí – Śpij maleńka, śpij spokojnie. Na zewnątrz wyją wilki, ale ja jestem tu z tobą”.

Zamknęła oczy. Kiedy przestałam śpiewać, skrzywiła się lekko. Mamrotała coś, więc nachyliłam się, by usłyszeć jej słowa.

– Zrobiłam to dla was – powiedziała. – Dla ciebie i Alfonsa. Zabiłam de Lunę, żeby was ocalić.

Siedziałam przy niej nieruchomo, wracając myślami do tej odległej nocy, kiedy uciekaliśmy z Valladolid. Nigdy nie zastanawiałam się, dlaczego musieliśmy opuścić dwór, ale teraz zrozumiałam straszny sekret, który rozdzierał duszę matki.

Patrzyłam, jak śpi. Chciałam się za nią pomodlić – myliła się, na pewno nie miała racji: Bóg zawsze nas słucha, szczególnie w najtrudniejszych chwilach. Nie byłam jednak w stanie, bo cały czas zastanawiałam się, czy sama kiedyś też będę zmuszona popełnić coś nie do pomyślenia, a potem już zawsze z tego powodu cierpieć.

Beatriz czekała przed drzwiami. Wstała, kiedy wyszłam. Dołączył do niej mój brat.

– Słyszałem, że mama źle się czuje – powiedział. – Czy to...

Kiwnęłam głową.

– Miała bardzo ostry atak. Musimy ją zabawiać, być blisko niej. Ona nas teraz potrzebuje.

– Oczywiście, zrobię, jak mówisz – powiedział.

Wiedziałam jednak, że wolałby trzymać się od wszystkiego z daleka, zatracić się w fechtunku i jeździe konnej. Alfons nigdy nie rozumiał zachowania naszej matki, nie pojmował, dlaczego gorące uściski i wesołość nagle zamieniały się we wściekłość tak niepohamowaną jak szalejąca po równinach śnieżycy. Wyczuwałam, że mój brat boi się matki, i robiłam, co w mojej mocy, żeby nie musiał oglądać jej ataków. Kiedy pocałował mnie z zakłopotaniem w policzek i ruszył w stronę schodów, zauważyłam, że Beatriz mi się przygląda. Zmięty list ciążył mi w kieszeni niczym kamień.

„Przyjdą po was. Zabiorą ciebie i Alfonsa”.

Choć ze wszystkich sił starałam się temu zaprzeczyć, wiedziałam, że to może być prawda. Musieliśmy być przygotowani.

Rozdział trzeci



Wbrew moim obawom w następnych dniach nic się nie wydarzyło. List od króla schowałam w skrzyni w swojej komnacie. Beatriz oczywiście chciała wiedzieć, czego dotyczy, więc kiedy nie mogłam już dłużej znieść jej nieustannych pytań, przeczytałam go jej. Patrzyła na mnie zdumiona i chyba pierwszy raz w życiu odebrało jej mowę. Nie zapytałam jej, co o tym sądzi – zbyt absorbowano mnie własne niepokojące przecucie, że wkrótce czekają nas nieodwracalne zmiany.

Całkowicie poświęciłam się matce. Nie miała już więcej ataków, nie histeryzowała i chociaż nadal była blada i wychudzona, a jedzenie dziobała jak ptaszek, chętnie spędzała popołudnia ze mną i Alfonsem.

Wzruszyło mnie, kiedy odkryłam, że mój brat włożył trud w nauczanie się specjalnie dla niej portugalskiej piosenki, którą następnie odśpiewał z zapalem, choć nieco piskliwie. Alfons nie miał talentu muzycznego, ale kiedy matka usłyszała słowa z ojczystej ziemi, jej twarz złagodniała, ukazując przebliski dawnej urody. Ubrana w niemodną suknię, palcami pełnymi zmatowiałych pierścionków wybijała rytm na poręczy krzesła, a jej stopy poruszały się dyskretnie pod szatą, odtwarzając kroki tańca, w którym niegdyś była mistrzynią – popisywała się tą umiejętnością pod malowanymi sufitami wspaniałych sal balowych, gdzie była najpotężniejszą i najpopularniejszą kobietą na dworze.

Kiedy Alfons skończył i stanął z wysoko podniesioną głową i szeroko rozłożonymi rękami, matka entuzjastycznie biła brawo, jakby chciała, żeby cała komnata przeniknęła rzadkimi dźwiękami jej radości. Potem przywołała mnie.

– Zatańcz, Izabelo! Zatańcz z braciszkiem!

Zatem kiedy Beatriz uderzyła w struny małego cavaquinho, wzięłam Alfonsa za rękę i zaczęłam wykonywać wyuczone kroki, nie przerywając nawet, kiedy czerwony ze zmęczenia następował mi na stopy i przeproszał z zażenowanym uśmiechem.

– Walka na kopie jest dużo łatwiejsza – szepnęła, a ja się uśmiechnęłam.

Tylko w takich chwilach mój brat ujawniał swoją męską dumę – wołał popisywać się świetną jazdą konną z ostrą bronią myśliwską niż ryzykować, że wystawi się na pośmiewisko przed całą rodziną, potykając się o własne nogi. Ja natomiast uwielbiałam tańczyć – była to jedna z niewielu moich przyjemności. Musiałam więc tłumić łzy szczęścia, kiedy matka spontanicznie zerwała się z krzesła, wzięła nas oboje za ręce i zaczęła kręcić nami energiczne piruety.

– Tak to się robi! – wykrzyknęła, kiedy zatrzymaliśmy się, żeby złapać oddech. – Musicie nauczyć się dobrze tańczyć, dzieci. W waszych żyłach płynie krew Portugalii, Kastylii i Leónu. Nie możecie dać się zawstydzic napuszonym dworzanom Henryka.

Wzmianka o dworzanach zawisła w powietrzu jak pasmo gryzącego dymu, ale matka chyba nie zauważyła, co się jej wymknęło. Stała uśmiechnięta, kiedy doña Clara, doña Elvira i Beatriz biły brawo. Następnie Alfons zabawiał nas swoim fechtunkiem, demonstrując na środku pokoju różne ciosy i uniki. Matka śmiała się w głos, a doña Clara krzyczała do niego, żeby uważał i nie dźgnął któregoś z naszych psów.

Kiedy później całowałam mamę na dobranoc po wspólnej wieczornej modlitwie – którą, ku mojej ogromnej uldze, jednak odmówiliśmy – szepnęła:

– To był dobry dzień, Izabelo. Jeśli zdołam go zapamiętać, nic mi nie straszne.

Pierwszy raz od czasu ataku zrobiła aluzję do tajemnicy, którą dzieliłyśmy. Przytulając się do niej, przyrzekłam sobie, że zrobię co w mojej mocy, żeby odpędzić ciemne chmury gromadzące się nad moją rodziną.

Kilka dni później matka oznajmiła, że zamierza odwiedzić klasztor cysterski Santa Ana w Ávila. Byłyśmy tam wcześniej kilka razy, jeździłam nawet na lekcje do tamtejszych zakonnic, kiedy matka nauczyła mnie podstaw alfabetu. Było to jedno z moich ulubionych miejsc – spokojne krużganki, wewnętrzny dziedziniec z fontanną, pachnące zioła w ogrodzie i delikatny szelest zakonnych habitów ocierających się o kamienną posadzkę zawsze napelniały mnie spokojem. Pobożne siostrzyczki były doskonałymi hafciarkami – precudne szaty ołtarzowe, które wyszły spod ich ręki, zdobyły najważniejsze kastylijskie katedry. Spędziłam z zakonnicami wiele godzin, ucząc się wyszywać i wsłuchując się w ich przyciszone głosy.

Doña Elvira obawiała się, że podróż będzie dla matki za dużym wysiłkiem, ale doña Clara uznała, że to świetny pomysł, i pomogła nam się spakować.

– Właśnie tego potrzeba twojej matce – powiedziała moja aya. – Siostry zatroszczą się, żeby poczuła się lepiej, a zmiana otoczenia będzie dla niej dużo lepszym lekarstwem niż obrzydliwe napary Elviry.

Wyruszyliśmy przed świtem z don Bobadillą i czterema służącymi. W ostatniej chwili uznano, że Alfons, choć kaprysił i protestował, zostanie pod opieką doñi Clary i don Gonzala i poświęci się nauce, bo ostatnio ją zaniedbał. Jechałam na Caneli, który bardzo ucieszył się na mój widok – rżał i żarłocznie pochłaniał kawałki kwaśnego jabłka, które mu przyniosłam. Matka dosiadła starszej, spokojniejszej klaczy. Twarz częściowo przykrywała jej woalka – kremowa koronka podkreślała biel matczynej skóry i błękit jej oczu. Naburmuszona Doña Elvira, która wzbraniała się nawet przed kucykiem, jechała obok na mule, a wcale nie weselsza Beatriz siedziała na swoim ogierze i rozglądała się bez zainteresowania po okolicy.

– Myślałam, że chcesz przygody – powiedziałam, a potem musiałam tłumić śmiech, kiedy usłyszałam jej replikę.

– Przygody! Wątpię, czy jakakolwiek przygoda czeka na nas w Santa Ana. Spodziewam się raczej marnej pościeli i zupy z soczewicy.

Chociaż pewnie miała rację, i tak cieszyłam się z wyprawy do Ávila. Beatriz z pewnością spodziewała się, że list był zapowiedzią wielkich zmian, ja natomiast czułam ogromną ulgę, kiedy czas płynął i nic się nie działo. Widziałam jednak, że przyjaciółka nie znosi monotonii. Kiedy przestała już być podlotkiem i zupełnie wbrew woli zamieniała się w piękną młodą kobietę, zrobiła się jeszcze bardziej niecierpliwa, choć nikt nie odważył się powiedzieć tego głośno. Słyszałam, jak doña Clara mamrocze do doñi Elviry, że dziewczęta takie jak Beatriz muszą wcześniej wyjść za mąż, żeby ostudzić zbyt gorącą krew. Moja przyjaciółka zdawała się jednak nie zwracać uwagi na męskie zaloty – służących, którzy gwizdali i gapili się na nią, kiedy przechodziłyśmy obok, zupełnie ignorowała. Wieczorem w naszej komnacie z niesmakiem oglądała swoje coraz większe piersi i coraz szersze biodra – stanowiły zapowiedź tego, że niedługo nie będzie mogła już udawać, że nie dotyczy jej wszystko to, co wiąże się z byciem kobietą.

– Możesz poprosić don Bobadillę, żeby zabrał cię do miasta – zasugerowałam, sięgając do koszyka po chleb i ser, które przyszykowała dla nas doña Clara. – Wydaje mi się, że doña Elvira chce kupić kilka rzeczy. Wspominała wczoraj o materiałach na nowe suknie i płaszcze.

– Tak, i wtedy tata będzie mógł zabrać nas na przejażdżkę wokół murów Ávila w żółwym tempie – odparła. – Jakbym nie widziała wszystkiego już setki razy.

Wręczyłam jej kawałek miękkiego chleba, świeżo z zamkowego pieca.

– Przestań, nie bądź taka kapryśna, bo będziesz wyglądała, jakbyś jadła kwaśne jabłka. Na dźwięk słowa „jabłka” Canela nadstawił uszu. Poklepałam go po szyi. Alfons miał rację – chociaż muły uważano za najlepsze wierzchowce dla niezamężnych dziewczyc, ja nie zamierzałam już do nich wracać. Zajadająca chleb z serem Beatriz skrzywiła się.

– Mów, co chcesz, i tak wiem, że też jesteś ciekawa, co oznacza ten list z dworu. Widziałam, jak otwierasz skrzynię i do niego zaglądasz, kiedy myślisz, że śpię. Przeczytałaś go co najmniej tyle razy, ile razy ja okrążyłam mury Ávila.

Spuściłam wzrok, zastanawiając się, jak zareagowałaby Beatriz, gdyby się dowiedziała, jak bardzo jestem zaintrygowana i zaniepokojona.

– Oczywiście, że jestem ciekawa – powiedziałam, zniżając głos, żeby matka, która jechała na przodzie z don Bobadillą, niczego nie usłyszała. – Ale może król chciał tylko powiadomić nas, że królowa powiła córkę.

– Możliwe. Nie zapominaj jednak, że wcześniej to Alfons był jego następcą, a wielu twierdzi, że Henryk jest bezpłodny. Być może to dziecko nie jest jego.

– Beatriz! – wykrzyknęłam głośniejszym głosem, niż zamierzałam.

Matka obejrzała się za siebie. Uśmiechnęłam się.

– Ona zjada cały chleb – powiedziałam szybko, a matka spojrzała na Beatriz z naganą. Kiedy tylko się odwróciła, syknęłam: – Jak możesz coś takiego mówić? Albo raczej: od kogo to usłyszałaś i teraz powtarzasz?

Wzruszyła ramionami.

– Wszyscy służący o tym opowiadają. Chodzą na targ, plotkują z kupcami. To żadna tajemnica. Cała Kastylia rozprawia teraz tylko o tym. Mówią, że królowa postarała się o dziecko, żeby uniknąć losu pierwszej żony Henryka. Zapomniałaś, że jego małżeństwo z Blanką z Nawarry zostało anulowane, bo przez piętnaście lat nie dała mu potomka? Ona twierdziła, że związek nigdy nie został skonsumowany, ale Henryk oświadczył, że nie był w stanie dopełnić obowiązku w alkowie, bo ktoś rzucił na niego urok. W każdym razie Blanka została odesłana i szybko znaleziono w Portugalii jej następczynię – nową ładną królową, która, tak się składa, jest bratanicą twojej matki i wie, że ciotka ma dwoje dzieci, które pewnego dnia mogą zrobić z nią to samo, co Henryk z twoją matką.

Spojrzałam na nią gniewnie.

– Nonsens. Nigdy nie zwracam uwagi na głupie plotki i ty też nie powinnaś. Naprawdę, Beatriz, co cię napadło?

Odwróciłam głowę w kierunku coraz bliższych murów Ávila. Imponujące fortyfikacje z osiemdziesięcioma ośmioma basztami wzniesione kilka wieków wcześniej dla ochrony przed grasującymi Maurami trzymały całe miasto w wężowatym uścisku. Usytuowana na kamienistym, pozbawionym drzew i upstrzonym głazami zboczu Ávila górowała dostojnie nad prowincją o tej samej nazwie, a nierówne wieże jej alkazaru i katedry zdawały się wbijać w szafirowoniebieskie niebo.

Widziałam, że panorama zachwycała Beatriz, mimo deklaracji, że wszystko już widziała. Wyprostowała się w siodle, a na policzkach pojawiły się jej rumieńce. Miałam nadzieję, że ekscytacja z powodu pobytu w mieście odwiezie ją od powtarzania plotek i spekulacji, które, gdyby ktoś nas podsłuchał, sprowadziłyby na nas tylko kłopoty.

Przejechaliśmy przez łukowatą bramę i skierowaliśmy się do północno-wschodniej części Ávila, gdzie znajdował się klasztor. Mijaliśmy setki zajętych codziennymi sprawami ludzi, targujących się kupców i wozy stukające o bruk. Ja jednak prawie nie zwracałam na to wszystko uwagi, rozmyślając o tym, co usłyszałam od Beatriz. Chyba jednak nie udało mi się uciec od spraw, które chciałam zostawić w Arévalo.

Przeorysza przywitała nas na klasztorным dziedzińcu, bo uprzedzono ją o naszej wizycie. Don Bobadilla i służący zajęli się końmi, a my przeszliśmy do refektarza, gdzie czekał na nas posiłek. Beatriz zjadała z ogromnym apetytem, choć rzeczywiście podano nam zupę z soczewicy z kawałkami wieprzowiny. Następnie z dołą Elvirą poszły przekonywać don Bobadillę, żeby zabrał je do miasta. Ja postanowiłam zostać i pomodlić się z matką w kaplicy. Potem mama udała się na rozmowę z przeoryszą, z którą łączyła ją wieloletnia przyjaźń, bo ksieni sprawowała zwierzchnictwo nad zakonem na mocy królewskiego dekretu, a ja wybrałam się na spacer po ogrodach.

Chodziłam wśród drzew pomarańczowych i cytrynowych. Kilka zakonnic w milczeniu przekopywało grządki. Uśmiechnęły się do mnie przelotnie, kiedy je mijałam. Spacerowałam krętą ścieżką, wdychając zapach rozmarynu, tymianku, rumianku i innych wonnych ziół. Zupełnie straciłam poczucie czasu i zadowolona wygrzewałam się na słońcu, w którym skąpane były wypielegnowane ogrody. Żyzna ziemia zaspokajała prawie wszystkie potrzeby zakonnic, tak że nie musiały opuszczać świętych murów. Czułam się tak, jakby ostatnie tygodnie w ogóle się nie wydarzyły. Trudno było uwierzyć, że tutaj, w klasztorze Santa Ana, może nas spotkać coś złego, że świat zewnętrzny, pełen nieszczęść i intryg, jest w stanie naruszyć spokój tego miejsca.

Kiedy znalazłam się przy murze warzywnika, pełnego równiutko wytyczonych grządek, spojrzałam na przylegający do niego kościół i znieruchomiałam. Wysoko, na iglicy, zobaczyłam prześwitujący pęk gałązek – gniazdo uwite na niesamowitej, zapewniającej bezpieczną izolację wysokości.

– Bocianica jest dobrą matką. Umie chronić swoje młode – odezwał się ktoś blisko mojego ucha.

Odwróciłam się zdziwiona. Moim oczom ukazał się człowiek, na którego w ogóle nie spodziewałam się tu natknąć, ale który wyglądał dziwnie znajomo. Przypomniałam sobie, jak tamtej nocy wziął mnie na ręce i wyniósł z komnaty, w której umarł mój ojciec...

– Wasza Ekscelencjo, arcybiskupie – wyszeptałam i złożyłam mu głęboki ukłon z szacunku dla świętego urzędu.

Podnosząc wzrok, zobaczyłam, że duchowny się uśmiecha. Jego nierówne zęby jakoś nie pasowały do rumianych policzków, grubych warg i zakrzywionego nosa. Przenikliwe spojrzenie zadawało kłam serdeczności w jego głosie.

– Izabelo, moje dziecko, jak ty urosłaś.

Myślałam intensywnie. Co Carrillo, arcybiskup Toledo, robi w klasztorze Santa Ana? Czyżby przyjechał tu w jakiejś innej sprawie akurat podczas naszej wizyty? Coś mi mówiło, że to za duży zbieg okoliczności. Jego obecność nie mogła być przypadkowa.

Zaśmiał się.

– Wyglądasz, jakbyś zobaczyła ducha. Chyba mnie nie zapomniałaś?

– Nie, oczywiście, że nie – odpowiedziałam zmieszana. – Proszę mi wybaczyć, Wasza Ekscelencjo. Chodzi o to... po prostu nie spodziewałam się zobaczyć księdza arcybiskupa właśnie tu.

Przechylił swoją dużą głowę.

– Dlaczego nie? Arcybiskupi często podróżują dla dobra swoich zgromadzeń, a tutejsze siostrzyczki zawsze są dla mnie życzliwe. Poza tym uznałem, że najlepiej będzie spotkać się z twoją matką z dala od Arévalo. Właśnie odbyliśmy długą rozmowę. Kiedy jej powiedziałem, że chcę cię zobaczyć, skierowała mnie do ogrodów.

– Matka? – wpatrywałam się w niego. – Wiedziała, że Wasza Ekscelencja tu będzie?

– Oczywiście? Korespondujemy od wielu lat. Informowała mnie o postępach twoich i twojego brata. Właściwie to dziwi mnie, że zastałem cię samą. Gdzie córka Bobadilli?

Szkarłatny płaszcz z białym krzyżem zawirował, kiedy Carrillo rozglądał się naokoło, przykładając rękę do czoła. Zakonnice, które wcześniej pracowały przy grządkach, zniknęły. Teraz, kiedy znalazłam się z nim w ogrodzie sam na sam, miałam wrażenie, że powietrze przesiąkło ostrym zapachem wełny, potu, konia i jakiegoś drogiego piżmowego pachnidła. Nigdy wcześniej nie zetknęłam się z duchownym, który używałby perfum – wydało mi się to nieprzyzwoite.

– Beatriz pojechała do miasta kupić materiały – wyjaśniłam.

– Aha. – Uśmiechnął się szerzej. – A powiedziano mi, że jesteście nierozłączne.

– Tak, wychowywałyśmy się razem. Jest moją towarzyszką i przyjaciółką.

– W rzeczy samej. Człowiek potrzebuje przyjaciół, szczególnie w takim miejscu jak Arévalo.

Zamilkł i z rękami splecionymi na okrągłym brzuchu zaczął mi się wnikliwie przyglądać. Nie zdając sobie z tego sprawy, gapiałam się na niego. Nie miał dłoni typowych dla księcia Kościoła, białych, wypielęgowanych, miękkich. Ręka ozdobiona złotym biskupim sygnetem była spalona słońcem i pokryta bliznami, a paznokcie – czarne jak u wieśniaka.

Albo wojownika.

Ocknęłam się na dźwięk śmiechu arcybiskupa.

– Widzę, że jesteś nie tylko skromna, ale i spostrzegawcza. Te cechy bardzo się przydają na dworze.

Na dworze...

Ogród zaczął rozmywać się jak drugi plan obrazu.

– Na dworze? – powiedziałam mimowolnie.

Carrillo wskazał na kamienną ławkę.

– Usiądź, proszę. Widzę, że cię przestraszyłem. Nie chciałem.

Spoczął obok mnie. Kiedy w końcu przemówił, jego głos był przytłumiony:

– Może wyda ci się to dziwne, zważywszy, ile czasu upłynęło, ale Jego Wysokość wyraził ostatnio zainteresowanie tobą i twoim bratem. Kazał mi nawet osobiście sprawdzić, jak się miewacie. Właśnie dlatego tu jestem.

Czułam, jak serce wali mi pod gorsetem. Zacerpnęłam trochę powietrza i próbowałam się uspokoić.

– Jak Wasza Ekscelencja widzi, mam się dobrze. Mój brat również.

– Tak. Wielka szkoda, że infant Alfons nie mógł przyjechać. Powiedziano mi jednak, że narobił sobie zaległości w lekcjach i musiał zostać, żeby się uczyć.

– Wcale nie ma wielkich zaległości – wtrąciłam szybko. – Po prostu czasem nie może się skoncentrować. Lubi przebywać na powietrzu, jeździć konno, polować, zajmować się zwierzętami. Ja natomiast... ja wolę się uczyć. Oczywiście, też lubię jazdę konną, ale spędzam nad książkami więcej czasu niż Alfons.

Zdawałam sobie sprawę, że paplam, jakby potok słów mógł uchronić mnie przed tym, co nieuniknione. Arcybiskup nie reagował, tylko uważnie mi się przyglądał. W jego przenikliwym spojrzeniu było coś niepokojącego, ale nie wiedziałam co. Pozornie wcale się nie zmienił, był taki, jakiego pamiętałam go z dzieciństwa – imponujący, intrygujący, ale też dobroduszny i godny zaufania, człowiek, który pomógł mojej matce w potrzebie.

Mimo wszystko pragnęłam, żeby sobie poszedł. Wołałam nie słyszeć, co ma do powiedzenia.

Nie chciałam, żeby moje życie uległo zmianie.

– Jestem z was dumny – powiedział. – Cieszę się, że mimo trudnych warunków oboje tak świetnie sobie radzicie. Jednak zdaniem króla waszą obecną sytuację trzeba poprawić. Wyraził

życzenie, żebyście zamieszkali z nim na dworze.

Zaschło mi w gardle. Udało mi się wydusić cicho:

– Jestem oczywiście zaszczycona. Muszę jednak poprosić, żeby Wasza Ekscelencja przekazał, że nie możemy, ze względu na matkę. Jesteśmy jej dziećmi, a ona nas potrzebuje.

Milczał przez chwilę, po czym powiedział:

– Obawiam się, że to nie jest dobra decyzja. Nie chciałem o tym wspominać, ale wiem o... niedomaganiu waszej matki. Jego Wysokość naturalnie nie ma o niczym pojęcia. Gdyby się dowiedział, to na pewno uznałby, że jej zdrowie jest zbyt słabe, by mogła zajmować się dorastającymi dziećmi.

Czułam każdą kosteczkę w dłoni, którą ścisiskałam, żeby ukryć jej drzenie.

– My... nie jesteśmy dla niej ciężarem, Wasza Ekscelencjo.

– Nikt tak nie twierdzi. Jesteście jednak częścią rodziny królewskiej, a odkąd wasz przyrodni brat wstąpił na tron, mieszkacie z dala od dworu. Jego Wysokość chce to zmienić. – Delikatnie dotknął moich zaciśniętych pięści. – Moje dziecko, widzę, że jesteś zmartwiona. Nie chcesz sobie ulżyć, wyjawiając mi, co cię trapi? Jestem kapłanem. Cokolwiek powiesz, pozostanie w ścisłej tajemnicy.

Czułam się nieswojo z jego ciężką ręką na swojej dłoni. Nie byłam w stanie się powstrzymać i powiedziałam gniewnie:

– Przez tyle lat nie słyszeliśmy ani słowa od naszego królewskiego brata, a tu nagle wzywa nas na dwór? Wasza Ekscelencja wybaczy, ale zastanawiam się nad szczerością jego intencji.

– To zrozumiałe, ale powinnaś wyzbyć się wszelkich obaw. Król nie ma wobec was złych zamiarów, chce po prostu mieć ciebie i Alfonsa przy sobie w tych ważnych chwilach. Chyba chcesz zobaczyć swoją małą bratanicę, prawda? Królowa też chętnie was ugości. Dostaniecie nauczycieli, nowe pokoje, wspaniałe szaty. Alfons będzie miał własną służbę. Już czas, żebyście oboje zaistnieli w świecie.

Nie powiedział nic, o czym sama nie myślałam, odkąd przyszedł list od Henryka, tak jakbym zawsze wiedziała, że ten dzień kiedyś nastanie. Mimo tragedii, która wyгнаła nas do Arévalo, z dala od naszej dawnej rzeczywistości, przeznaczeniem królewskich dzieci nie jest mieszkanie w zimnych zamkach na odludziu.

– A co z naszą matką? – zapytałam. – Co z nią będzie?

– Jego Wysokość nie chce was rozdzielać na zawsze. Kiedy zadomowicie się na dworze, pošle po waszą matkę. Najpierw jednak ty i infant Alfons musicie przyjechać do Segovii, żeby uczcić narodziny księżniczki Joanny. Król chce, żebyście oboje byli na chrzcie.

Spojrzałam na niego.

– Kiedy musimy wyruszyć?

– Za trzy dni. Powiedziałem już waszej matce, wszystko rozumie. Doña Clara, reszta dwórek i służących się nią zaopiekują. Oczywiście możesz zabrać ze sobą swoją przyjaciółkę Beatriz. Będziesz też mogła wysyłać listy z dworu tak często, jak zechcesz.

Zamilkł. Przez krótką chwilę zdawało mi się, że na jego twarzy widzę niechęć. Następnie wstał i powiedział:

– Przykro mi, że cię niepokoję, ale obiecuję, że zadbam o was na dworze. Chcę, żebyś mi zaufała, bo jestem waszym przyjacielem. Przez te wszystkie lata wstawiałem się za waszą matką, żeby mogła mieć was przy sobie w Arévalo, ale nawet ja nie jestem cudotwórcą. Koniec końców, jestem tylko królewskim sługą i muszę robić to, co król rozkaże.

– Rozumiem. – Wstałam i pocałowałam pierścień na wyciągniętej do mnie ręce, a arcybiskup położył mi ją na głowie.

– Najdroższa infantko... – wymamrotał, po czym odwrócił się i zaczął się oddalać, a jego płaszcz nadymał się i falował.

Przysługa za przysługę...

Przypomniawszy sobie wypowiedziane wiele lat wcześniej zagadkowe słowa, chwyciłam mocniej za brzeg ławki. Nie widziałam, jak Beatriz wchodzi na arkadowe krużganki w części klasztoru przylegającej do ogrodów – zauważyłam ją dopiero, kiedy kłaniała się mijającemu ją szybko Carrillovi. Gdy tylko zniknął z pola widzenia, podkasła suknię i podbiegła do mnie. Wstałam, choć byłam tak zdezorientowana, że wątpiłam, czy utrzymam się na nogach.

– Dios mío! – wysapała. – To był arcybiskup Carrillo, prawda? Czego chciał? Co ci powiedział? – Na widok mojej miny zamarła. – Przyjechał po ciebie i Alfonsa, tak? Zabiera was na dwór.

Utkwiłam wzrok za jej plecami, tam, gdzie po raz ostatni widziałam arcybiskupa, zanim wszedł do klasztoru. Powoli przytaknęłam. Beatriz sięgnęła po moje ręce, ale ja się odsunęłam.

– Nie – wymamrotałam. – Chcę... chcę być sama. Odejdź, proszę. Zobacz, co z moją matką. Niedługo do was dołączę.

Odwróciłam się i zostawiłam Beatriz, wyraźnie urażoną. Po raz pierwszy wydałam rozkaz i wiedziałam, że ją zraniłam. Nie miałam wyjścia – musiała odejść.

Nie chciałam, żeby ktokolwiek widział, że płaczę.

Rozdział czwarty



Spędziliśmy noc w klasztorze, w pokojach nad dormitoriami przeznaczonych dla znamienitych gości. Matka miała własną niewielką komnatę, natomiast Beatriz i ja dzieliłyśmy sąsiednią. Nie wspomniałam o rozmowie z arcybiskupem, a ani matka, ani Beatriz o nic nie pytały, choć przez cały wieczór czułam na sobie badawcze spojrzenie przyjaciółki.

Nazajutrz wracałyśmy do Arévalo w ciszy. Matka jechała z przodu, z wysoko podniesioną głową, i rozmawiała z don Bobadillą. W ogóle na mnie nie patrzyła. Jak tylko dotarliśmy do zamku, udała się do swoich komnat. W ślad za nią pospieszyła doña Elvira obładowana belami materiałów, które razem z Beatriz kupiły w Ávila.

Gdy tylko weszłam z przyjaciółką do zamku, po schodach zbiegł Alfons z łukiem i kołczanem na ramieniu.

– W końcu – zawołał. Miał zmierzwione włosy i palce poplamione atramentem. – Myślałam, że zanudzę się tu bez was na śmierć. Chodźcie, postrzelamy do tarczy przed kolacją. Ostatnimi dniami nic tylko czytam. Bolać mnie oczy. Muszę rozciągnąć mięśnie.

Próbowałam się uśmiechnąć.

– Poczekaj chwilę, Alfonsie. Mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Beatriz zaczęła się oddalać. Położyłam jej rękę na ramieniu.

– Zostań. Ciebie to też dotyczy.

Zaprowadziłam ich do stołu. Alfons zdjął łuk i usiadł na jednym z twardych drewnianych taboretów. Zmarszczył brwi.

– No? O co chodzi? Czy coś się stało w Ávila?

– Tak – odparłam.

Zamilkłam, próbując przełknąć kulę w gardle. Potem o wszystkim mu powiedziałam. Patrzyłam, co maluje się na jego twarzy, gdy docierają do niego moje słowa. Siedząca obok mnie Beatriz znieruchomiała.

Kiedy skończyłam, Alfons przez chwilę się nie odzywał.

– Nie widzę powodu do zmartwień – odezwał się w końcu. – Wypełnimy swój obowiązek, weźmiemy udział w chrzcinach, a potem odeślą nas do domu.

– Chyba nie rozumiesz – powiedziałam, zerkając na Beatriz. – Carrillo nie wiedział, na jak długo tam jedziemy. Być może... w ogóle już tu nie wrócimy.

– Oczywiście, że wrócimy. – Alfons przeczesał włosy palcami. – Tu jest nasz dom. Henryk nigdy wcześniej się nami nie przejmował. Nie sądzę, żeby nagle się zmienił. – Alfons wstał. – To co, idziemy postrzelać?

Otwarłam usta, żeby zaprotestować, ale poczułam, że Beatriz kopie mnie w stopę. Pokręciła głową. Powiedziałam do brata:

– Idź sam, my jesteśmy zmęczone. Sprawdźmy, czy mama czegoś nie potrzebuje.

– Dobrze, jak chcecie.

Wziął łuk i wyszedł. Westchnęłam głośno i zwróciłam się do Beatriz:

– On nie zdaje sobie sprawy, co to wszystko znaczy. Jak mogę go chronić, skoro mnie nie słucha?

– To jeszcze dziecko – powiedziała. – Jakiej odpowiedzi się spodziewałaś? Niech myśli,

że wszystko jest w porządku, że jedziecie z krótką wizytą, a potem wracacie. Nigdy nie wiadomo, co przyniesie czas. Może ma rację, może rzeczywiście będziecie tam tylko na chwilę. To niewykluczone, prawda? W końcu Henryk przedtem nigdy nie chciał was na dworze.

– Tak, chyba masz rację, to możliwe – odparłam cicho. – Przepraszam za moje zachowanie w Santa Ana. Nie chciałam być niemila. Jesteś moją jedyną przyjaciółką, nie mam prawa ci rozkazywać.

Przytuliła mnie.

– Nie musisz przepraszać. Jesteś moją infantką, poszłabym za tobą na koniec świata.

– Mam wrażenie, że właśnie tam się wybieramy – powiedziałam, wyswobodzając się z uścisku. – Muszę sprawdzić, co matka.

– Idź, ja zacznę pakowanie.

Kiedy ruszyłam w stronę schodów, Beatriz dodała:

– Jesteś silniejsza, niż myślisz. Nie zapominaj o tym, Izabelo.

Wcale nie czułam się silna, wchodząc na górę do matczynej komnaty. Drzwi były uchylone. Usłyszałam, jak matka rozmawia z doñą Elvirą. Przygotowywałam się na najgorsze, spodziewałam się hysterii, które wstrząsną murami Arévalo. Kiedy jednak matka zobaczyła mnie w drzwiach, podeszła do łóżka na którym leżały rozrzucone materiały, i zawołała:

– Spójrz, Izabelo. Ten zielony brokat będzie idealny na nową dworską suknię dla ciebie.

Ładnie podkreśli twoją śnieżnobiałą cerę.

Popatrzyłam znacząco na Elvirę, która niechętnie wyszła z komnaty. Matka krzątała się przy tkaninach – właśnie rozwijała jedną z bel, żeby wyjąć kawałek czarnego adamaszku.

– A to – powiedziała, przykładając materiał do siebie i podchodząc do miedzianego lustra.

– To dla mnie. Wdowy powinny nosić czern, ale kto powiedział, że musimy wyglądać jak wrony?

Milczałam. Matka odłożyła adamaszek na łóżko.

– Czemu jesteś taka smutna? Nie podoba ci się ta zieleń? Dobrze, mamy jeszcze śliczny szaroniebieski materiał. Będzie jak znalazł na...

– Mamo – przerwałam jej. – Przestań.

Znieruchomiała z rękami zanurzonymi w tkaninach. Nie patrzyła na mnie.

– Nie mów mi o tym – wyszeptała. – Ani słowa. Teraz tego nie zniosę.

Podeszłam do niej.

– Wiedziałas, że on tam będzie. Dlaczego mnie nie ostrzegłaś?

Podniosła wzrok.

– Co miałam zrobić? Co mogłam zrobić? Wiedziałam od razu, jak tylko przyszedł ten list.

Mówiłam ci, że ten dzień kiedyś nadejdzie. To cena, którą muszę zapłacić, to mój dług.

Przynajmniej będę mogła spłacać go na swoich warunkach. Carrillo się tym zajął.

– Na twoich warunkach? – Spojrzałam na nią nieufnie. – Co to znaczy, mamo?

– A jak myślisz? Ta kanalia Henryk nie odbierze mojemu synowi prawa do dziedziczenia.

Alfons nie straci korony na rzecz jakiegoś bękart. Cokolwiek się stanie, mój syn, w którego żyłach płynie królewska krew, musi wstąpić na tron.

– Ale Henryk ma teraz córkę. To ona zostanie obwołana następczynią. Przecież wiesz, że w Kastylji nie obowiązuje prawo salickie, więc kobiety mogą dziedziczyć tron i sprawować rządy. Księżniczka Joanna...

Matka przekręciła się na łóżku, szybko jak kot.

– Skąd mamy pewność, że ona jest jego? Kto to wie? Henryk nie jest znany ze sprawności w alkowie. Tyle lat małżeństwa i ani jednego dziecka. Grandowie przebąkują, że to cudowne poczęcie, że królową musiał nawiedzić anioł! – matka wybuchnęła szyderym śmiechem. – Na

dworze nikt w to nie wierzy. Nikt się nie nabrał na tę farsę. Wszyscy wiedzą, że Henryk jest słaby, że manipulują nim katamici. Wiadomo, że to lubieżnik, który otacza się mauretańską służbą, a jego wyprawa na Grenadę zakończyła się kompletnym fiaskiem. To głupiec, który woli recytować wiersze i wkładać swoim chłopcom turbany, niż zajmować się królestwem, rogacz, który woli nie patrzeć, kiedy ta nierządnicą, królową, dzieli łożę z każdym służącym, który wpadnie jej w oko.

Zrobiłam krok w tył, przerażona jej słowami i wylewanym przez nią jadem.

– Za tymi murami cała Kastylia pogrążona jest w nędzy – ciągnęła. – Skarbiec jest pusty, grandowie mają większą władzę niż król, a lud sieje kurz i głoduje. Henryk sądzi, że to dziecko umocni jego pozycję, ale tak naprawdę przyniesie tylko niezgodę. Grandowie nie dadzą się nabrać. Rozszarpia go jak stado wilków. A kiedy to zrobią, my odzyskamy wszystko, czego nas pozbawił. Lekceważył nas, zostawił nas tu, żebyśmy szczęśli, ale w dniu koronacji Alfonsa Henryk z dynastii Trastámara przekona się, że gardzenie nami źle się kończy.

Przypomniały mi się słowa Carrilla: „Bocianica jest dobrą matką. Umie chronić swoje młode”. Chciałam zatkać uszy. Miałam wrażenie, że jej wzrok wypala we mnie dziurę, że w oczach matki tli się ogień podsycany długo tłumioną wściekłością, rozgoryczeniem i latami upokorzeń. Przyszedł czas, żeby stawić czoła prawdzie: ze względu na swoją urażoną dumę matka wzięła udział w zмовie, w wyniku której konetabl de Luna został skazany za zdradę. Ojciec pogrążył się w śmiertelnym smutku. Za swoją ambicję matka zapłaciła okrutną cenę – straciła wszystko: męża, pozycję, nasze bezpieczeństwo. Sądziła, że teraz znalazła sposób, żeby to wszystko odzyskać – spiskując z arcybiskupem i niezadowolonymi grandami i insynuując, że nowo narodzona księżniczka jest bękartem, chciała zniszczyć mojego przyrodniego brata. Nie rozumiała, że takie obmowy i podejrzewanie pary królewskiej o najgorsze są niemoralne. Tak gorliwie broniła praw Alfonsa, że była gotowa knuć intrygi, oczerniać, walczyć, a nawet, uchowaj Boże, zabić.

– Musimy to zrobić – powiedziała. – Ty to zrobisz, dla mnie.

Zmusiłam się do przytaknięcia, choć, ku swojemu przerażeniu, poczułam, że oczy zachodzą mi łzami bezsilności. Nie pozwoliłam im popłynąć. Mrugałam dotąd, aż zniknęły, i zacisnęłam zęby. Widziałam, że przyglądając mi się, matka nieruchomieje, jakby dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak daleko się posunęła.

– Powinnaś... powinnaś się wstydzic – wyszeptałam bezwiednie.

Wzdrygnęła się. Potem uniosła głowę i powiedziała obojętnie:

– Uszyjemy ci suknię z zielonego aksamitu z niebieskoszarymi wykończeniami. Alfons dostanie nowy dublet z błękitnej satyny.

Z determinacją wróciła do tkanin, jakbym ja całkiem przestała istnieć.

Wybiegłam i zatrzymałam się dopiero, kiedy dotarłam do swojej komnaty. Z impetem otworzyłam drzwi.

Beatriz, która pakowała właśnie nasze ubrania do skórzanego kufra z mosiężnymi okuciami, odwróciła się przestraszona.

– Co się stało? – zapytała, kiedy stanęłam w drzwiach i kurczowo chwyciłam za framugę.
– Co ci jest?

– Matka postradała zmysły – powiedziałam. – Myśli, że może użyć Alfonsa przeciwko królowi, ale jej się to nie uda. Nie pozwolę na to. Będę bronić brata do ostatniego tchu.



Na dziedzińcu służący w liberiach pakowali nasze bagaże na wozy. Zamkowe psy szczekały i biegały za Alfonsem, wyczuwając, jak to zwierzęta potrafią, że zbliżają się zmiany. Mój brat zawsze się o nie troszczył – zabierał je ze sobą na polowania i konne przejażdżki, karmił, dbał o to, żeby mieszkały w czystości. Patrzyłam, jak przystaje i głaska swojego ulubieńca, wielkiego ogara, który wabił się Alarcón. Stojąc przy zamkowych drzwiach i obserwując dziedziniec, zdałam sobie sprawę, jak żałośnie mała jest nasza służba w porównaniu z mrowiem krzątających się ludzi przysłanych przez Henryka, którzy mieli eskortować nas do Segovii.

Arcybiskup Carrillo nie przyjechał. Zastępowali go jego bratankowie, markiz de Villena i jego brat Pedro Girón. De Villena był możnowładcą i królewskim faworytem, natomiast Girón – wielkim mistrzem kalatrawensów, jednego z czterech zakonów rycerskich założonych kilka wieków wcześniej do walki z Maurami. Obaj byli wpływowi i zamożni, ale nie sposób wyobrazić sobie dwóch bardziej różnych ludzi – braci łączyła chyba tylko arogancja. Drobny de Villena z ciemnymi włosami i prostą grzywką był przystojny, ale było w nim coś złowieszczonego – miał wydłużony nos i dziwne żółtawozielone oczy, które chłód jego spojrzenia czynił jeszcze bardziej niepokojącymi. Wjechał na nasz dziedziniec, uśmiechając się szyderczo, i z wyraźnym niesmakiem patrzył na spacerujące po nim psy i kurczaki, świnię i owce w zagrodzie, ułożone pod ścianami paczki siana i górę obornika, gdzie gromadziliśmy też odpady. Sfermentowanego nawozu używaliśmy potem w sadach.

Obok markiza, na czarnym destrierze, przy którym wszystkie znane mi rumaki wyglądały jak kucyki, i z ciągnącą się za nim świtą służących w szkarłatno-złoty liberiach, siedział Girón. Był to gigant z czerwonymi żyłkami na twarzy i niesamowicie bujną brodą, którego oczy przypominały małe koraliki nieokreślonego koloru, ginące w nalanej twarzy, i który sływał z soczystego języka. Zeskakując z konia, dość zwinnie jak na swoje olbrzymie gabaryty, zaklął głośno:

– Miserables hijos de puta, żwawiej!

Następnie zaczął komenderować służącymi, wymachując przy tym wielkimi łapskami. Stojąca obok doña Clara zamarła.

Kiedy de Villena podszedł do nas, zaczął zachowywać się zupełnie inaczej. Z przesadną zamaszystością pokłonił się mojej matce, oświadczając, że nawet czas nie ośmiela się dotykać takiej piękności. W odpowiedzi mama uśmiechnęła się i zatrzepotała rzęsami. Dla mnie jego słowa brzmiały komicznie, jak kurtuazyjne formułki wypowiedane nieprzyjemnym, nosowym głosem. Z jego aksamitnych szat unosił się tak intensywny zapach ambry, że niemal zaczęłam się krztusić. Wyglądał wytwornie i elegancko, każdy jego ruch był wystudiowany i pełen wdzięku, jakby de Villena spędził długie godziny przed lustrem, opanowując sztukę obłudy. W ogóle nie zwracał na mnie uwagi, traktując mnie niemal jak powietrze – ukloniwszy mi się niedbale na powitanie, zwrócił się entuzjastycznie w stronę mojego brata. Przyglądał się Alfonsowi tak intensywnie, że ten zaczął się wiercić w swoim nowym sztywnym dublecie.

Następnie de Villena znów zaczął wdzięczyć się do naszej matki:

– Uroda infanta jest dla was jeszcze większym komplementem, pani. Na pierwszy rzut oka widać, że w jego żyłach płynie najczystsza królewska krew.

Musiałam się powstrzymać, żeby nie przewracać oczami. Alfons spojrzał na mnie pytająco, matka natomiast uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Gracias, su excelencia – powiedziała. – Czy wy i wasz brat macie może ochotę na trochę wina? Z myślą o was otworłam wyjątkowy rocznik.

Girón podszedł do nas ciężkim krokiem, przynosząc ze sobą duszący odór potu. Najpierw

lubieżnie przyjrzał się Beatriz, a potem przeniósł świńskie oczka na mnie. Uśmiechnął się, obnażając poczerńiałe zęby. Wstrzymałam oddech, kiedy wziął w wielką łapę moją dłoń i podniósł ją sobie do ust.

– Infantko – wymruczał.

Trzymał mnie tak mocno, że nie byłam w stanie się wyswobodzić.

Bałam się, że zmiażdży mi palce jak kosteczki kurczaka. Na szczęście doña Clara celowo w tym momencie weszła między nas z karafką i czarkami i poczęstunkiem sprytnie odwróciła uwagę Giróna, który chrząkając, porzucił mnie na rzecz wina.

Później, kiedy osuszył całą karafkę, a jego brat przespacerował się po sali reprezentacyjnej i z nieskrywanym rozbawieniem skomentował nasze, jak to ujął, „oryginalne” umebłowanie, obaj wrócili do warowni, żeby nadzorować służbę.

Właśnie wtedy matka wzięła mnie na stronę.

– De Villena zaczynał jako zwykły giermek, a teraz jest jednym z najpotężniejszych ludzi w Kastylii. Henryk go słucha, choć teraz chyba kto inny jest już faworytem. Natomiast jego brat Girón, mistrz kalatrawensów, ma większe oddziały niż całe królestwo. Z takimi ludźmi należy utrzymywać dobre stosunki, Izabelo. To tacy grandowie będą dbali o nasze interesy i nie pozwolą wydziedziczyć twojego brata.

Przyglądałam jej się z niedowierzaniem. Alfons i ja mieliśmy zaraz wyjechać z domu. Czy matka oczekuje, że jeszcze w ostatniej chwili nauczy mnie intryganctwa? Już się nasłuchiwałam rad jej i doñi Clary – miałam mętlik w głowie, bo od tygodni ostrzegały mnie przed zepsuciem na dworze, rozpustnymi faworytami mojego przyrodniego brata i rozwiązością królowej, opowiadały o dworskich intrygach i niebezpiecznych ambicjach szlachty. Niczym katechizm wpajano mi nazwiska kastylijskich grandów, ich koligacje rodzinne i powiązania. W końcu pewnego wieczoru nie wytrzymałam i po powrocie z matczynej komnaty oświadczyłam Beatriz z wściekłością, że nigdy nie zniżę się do podsłuchiwania pod drzwiami albo podglądania zza gobelinu. Przyjaciółka kiwnęła głową i powiedziała chłodno:

– Oczywiście, że nie. Kto widział, żeby kastylijska infantka zachowywała się jak pospolity szpieg? Zostaw to mnie.

Patrząc na nią teraz, kiedy podawała służącemu nasze bagaże, nie miałam wątpliwości, że stanęłaby na wysokości zadania. Odkąd dowiedziała się o naszym wyjeździe, była niezwykle podekscytowana – swoje obowiązki wypełniała w podskokach, jakbyśmy przygotowywały się do wielkiego święta. Kilka razy dziennie ćwiczyła poruszanie się z wdziękiem (okropnie wychodziły jej ukłony), a w końcu oświadczyła, ku oburzeniu doñi Clary, że wolałaby uczyć się władania mieczem. Żałowała chyba tylko rozłąki z ojcem – don Bobadilla miał zostać z moją matką. Podziwiałam entuzjazm i odwagę Beatriz, choć spodziewałam się, że spotka ją rozczarowanie. Wyczekiwać na przygody to jedno, ale być wrzuconym w wir wydarzeń to zupełnie co innego.

Stałyśmy razem na progu zamku, czekając, aż Alfons przywiąże psy, żeby za nami nie biegły. Udawał spokojnego, ale wiedziałam, że wcale nie jest taki pewny siebie. Zgodnie z radą Beatriz nie wspominałam przy nim o swoich obawach. De Villena był pierwszym dworzaninem, którego poznał Alfons, i przypuszczałam, że trochę się strapił – zaczęło chyba do niego docierać, z czym może wiązać się ten wyjazd.

Mimo to jak zwykle udawał odważnego.

– Markiz mówi, że musimy wkrótce wyruszyć, jeśli chcemy dotrzeć do Segovii przed zmrokiem.

Kiwnęłam głową i zwróciłam się w stronę matki, która siedziała na krześle owinięta szalem i trzymała upierścienioną rękę przy szyi. Kiedy wstała, wiatr odsłonił jej głowę, ukazując

srebrne kosmyki na skroniach. Alfons wspiał się na palce, żeby pocałować matkę w policzek. Jej twarz złagodniała, a przytulając syna, miała łzy w oczach. Słyszałam, jak mówi mu:

– Jesteś infantem z dynastii Trastámara, nigdy o tym nie zapominaj.

Alfons odsunął się, żeby zrobić mi miejsce.

Ucałowałam policzki matki.

– Adiós, mamó. Niech Bóg będzie z tobą. Napiszę jak najszybciej.

Kiwnęła tylko głową.

– Ty też, hija mía. Bądź zdrowa. Bóg z tobą.

Potem podeszłam do swojej aya. Nie pamiętałam dnia bez doñi Clary, bez jej upomnień i wskazówek, troski i opieki. Nie spodziewałam się jednak od niej wylewnego pożegnania, a mnie też nie pozwoliłaby się mazać. Mimo wszystko, kiedy mnie przytuliła, czułam, jak jej krzepkie ciało drży, a głos lekko jej się łamał, gdy mówiła:

– Pamiętaj o wszystkim, czego cię nauczyłam. Nigdy nie dawaj się ponieść pasji.

Chroniłam cię, jak długo mogłam. Teraz przyszedł czas, żebyś udowodniła światu, kim jesteś.

Kiedy mnie wypuściła, zdałam sobie sprawę, jak przerażające jest to, że musimy stąd wyjechać. Chciałam się rzucić na kolana i błagać matkę, by pozwoliła mi zostać. Jej twarz była jednak nieprzejednana, więc podążyłam za Alfonsem – miałam ochotę chwycić go za rękę i już jej nie wypuszczać.

Don Gonzalo, który na szczęście miał nam towarzyszyć w drodze na dwór, zaprowadził nas do koni. Kiedy pomógł mi dosiąść Caneli i zajął miejsce wśród świty, Girón burknął ze swojego wierzchowca:

– Ładny konik, ale do Segovii daleka droga, a my nie mamy czasu na delikatne kopytka. Nie wołałabyś, pani, jechać ze mną? W siodle jest mnóstwo miejsca.

– Canela jest bardziej wytrzymała, niż na to wygląda – odparłam i chwyciłam wodze. – Poza tym to prezent od króla.

Twarc Giróna spochmurniała. Oddalił się i krzyknął do służących, żeby ruszali. Kiedy przejeżdżaliśmy przez bramę, Alfons zrównał się ze mną. Uporczywie patrzyłam przed siebie i starałam się nie oglądać. Nagle Alarcón, pies Alfonsa, zerwał się z łańcucha i szczekając z determinacją, puścił się za nami pędem.

De Villena podniósł bat, a Alfons krzyknął:

– Nie, proszę nie robić mu krzywdy!

Markiz rzucił mu groźne spojrzenie, po czym spiał konia ostrogami i pogalopował naprzód. Mój brat natomiast został w tyle, wołając:

– Nie, Alarcón, wracaj! – Wyciągnął rękę w stronę zamku. – Wracaj do domu.

Pies usiadł i zaczął skomleć. Alfons spojrzał na mnie – tym razem nie zdołał ukryć zdumienia w oczach.

– On nie rozumie. Myśli, że wyjeżdżamy na zawsze. Wrócimy tu, prawda, Izabelo? Wracamy, tak?

Pokręciłam głową. Skończył się czas na oszczędzanie mu zmartwień.

– Nie wiem.

Choć żadne z nas się nie odwróciło, wiedzieliśmy, że Alarcón nadal siedzi przy zamkowej bramie i przygląda się smętnie, jak znikamy na pustej równinie.

Rozdział piąty



Nigdy wcześniej nie wyjeżdżaliśmy dalej niż do Ávila i w miarę jak zostawiliśmy za sobą wysoką mesetę, Alfons zapominał o smutku – absorbował go nieznaną krajobraz i odzywała się jego wrodzona ciekawość wszystkiego, co nowe. Brunatne równiny, wśród których dorastaliśmy, stopniowo ustępowały miejsca bujnej scenerii – kępom sosen, imponującym wąwozom, dolinom, przez które wiły się potoki, i łąkom, po których stada jeleni przemykały niczym rdzawe strzały, sprawiając, że mój brat nie mógł usiedzieć w siodle.

– Widziałeś tego rogacza? Był ogromny! To musi być świetny teren do polowań.

– Doskonały – powiedział przeciągle de Villena. – Król chce osobiście pokazać Jego Wysokości naszą zwierzynę. Dziki, łanie, niedźwiedzie – król poluje na wszystko. – Mówiąc to, spojrzał na swojego brata, który coś zajadał.

– Tak, król zaiste lubi polować – przytaknął niechętnie. – Jest świetnym łucznikiem.

W chichocie de Villeny było coś złowieszczonego. Widziałam, że bracia komunikują się bez słów, wyczułam jakiś fałsz, ale nie przestawałam się uśmiechać, kiedy Alfons wykrzyknął:

– Niedźwiedź! Jeszcze nigdy nie polowałem na niedźwiedzia!

Wokół nas rozpościerał się krajobraz przypominający trawiasty gobelin upstrzony twierdzami z ciemnobrązowego kamienia. Wiedziałam, że wiele z tych zamków należy do kastylijskich grandów i że zostały wzniesione w celach obronnych podczas rekonkwisty, kilkusetletniej wojny z Maurami. Teraz, kiedy niewierni zostali wypchnięci do górzystej Grenady, zamki pozostały wymownym symbolem ogromnej potęgi szlachty, która pod względem bogactwa i liczby wasali przyćmiewała króla.

Jednak kiedy przejeżdżaliśmy przez przycupnięte w cieniu tych twierdz wioski, w których na szubienicach wisiały ciała przestępców z odrąbanymi dłońmi i stopami, ogarnął mnie głęboki niepokój. Na polach wieśniacy z zapadniętymi oczyma harowali, nie odrywając wzroku od ziemi. Wśród ciemnych traw pasły się wychudzone krowy – miały obwisłą skórę i wystające żebra, były oblepione brudem i muchami. Przy boku rodziców pracowały dzieci o żółtej cerze, nawet starcy w łachmanach gręplowali wełnę, siedząc na progach, albo wlekli się obładowani drewnem na opał. Wyczuwało się panującą tam atmosferę desperacji, tak jakby każdy dzień był wiecznością, częścią życia pozbawionego radości, wygod i spokoju.

Najpierw sądziłam, że tę część Kastylii nawiedziła zaraza. Ilekroć do Arévalo docierały pogłoski o budzącej przerażenie dzumie, zawsze zamykaliśmy bramy i nie wychodziliśmy, póki niebezpieczeństwo nie minęło. W związku z tym nie wiedziałam, jak wygląda krajobraz po pladze. Kiedy zebrałam się na odwagę i zapytałam de Villenę, czemu ci ludzie tak nędznie wyglądają, usłyszałam:

– Głodują, jak całe chłopstwo. Wśród campesino lenistwo to prawdziwa plaga. Poza tym to nie są tłuste lata, a podatki trzeba płacić. Ci, którzy się wymigują, wiedzą, jaka czeka ich kara. – Wskazał na szubienicę nieopodal, na której wisiał rozkładający się trup. – W Kastylii buntów się nie toleruje.

Girón zaśmiał się głośno. Patrzyłam na nich z niedowierzaniem.

– Przecież właśnie przejechaliśmy przez ogromne pola, które leżały odłogiem. Czy biedacy nie mogliby ich obsiać, żeby zdobyć żywność?

– Wasza Wysokość musi się jeszcze wiele nauczyć – odparł chłodno de Villena. – Ziemia, jak to Wasza Wysokość ujęła, leżąca odłogiem należy do grandów. Mogą nią dysponować wedle uznania i nie chcą na niej byle wieśniaka z pługiem, wołem i gromadą zasmarkanych bachorów.

– Cała ta ziemia? Wszystko należy do szlachty?

Zanim markiz zdążył odpowiedzieć, Girón wtrącił rozeźlony:

– Powinno być tego więcej. Nie musielibyśmy wysyłać naszych własnych wasali do ochrony tych zapchlonych przysiółków, gdyby król nie wymógł na nas ustępstw. Twierdzi, że płacą mu podatki. – Uderzył się pięścią w piersi. – Ja protestowałem, mówiłem: niech sami się o siebie troszczą, ale przewagę mieli ci tchórzliwi doradcy.

Czułam, jak oblewa mnie rumieniec, i odwróciłam wzrok od pełnej pogardy twarzy Giróna. Beatriz spojrzała na mnie, unosząc brwi, jakby chciała mi przekazać, że to są sprawy, których nie jestem przeciw w stanie pojąć. Ja jednak rozumiałam. Przypomniałam sobie, co matka mówiła o nienasyconej chciwości grandów i o tym, że mój przyrodni brat jest gotów zrobić wszystko, żeby dali mu spokój. Nie przesadzała – najwyraźniej rozgrabili całe królestwo.

Jeszcze nigdy Arévalo nie wydawało mi się tak odległe jak w tej chwili. Omal nie wydałam okrzyku ulgi, kiedy w końcu zobaczyłam w oddali ciemne grzbiety wschodniego pasma Sierra de Guadarrama, a na ich tle skąpane w zachodzącym słońcu wieże Segovii. Miasto leżało na tle malowniczych wzgórz, między dolinami rzek Eresma i Clamores, otoczone murami obronnymi i strzeżone przez dumny alkazar na wzniesieniu. Kiedy zbliżyliśmy się do jednej z pięciu bram, zauważyłam, że przy podłużnym zamkowym donżonie, torre de homenaje, stoi rusztowanie.

De Villena powiedział:

– Jego Ekscelencja arcybiskup przygotował dla was mieszkanie w casa real niedaleko alkazaru. – Westchnął teatralnie. – Ponieważ król jak zwykle coś remontuje, a swoje kwatery mają tam też grandowie, obawiam się, że nie ma dla was miejsca na zamku.

Nie dałam po sobie poznać, jaką poczułam ulgę. Zauważyłam, że Beatriz nadyma wargi, wyraźnie rozczarowana tym, że nie będziemy mieszkać w samym sercu dworu. Byłam zmęczona podróżą i pełnymi niepokoju rozmyślaniami. W przeciwieństwie do przyjaciółki wolałam odpocząć na neutralnym gruncie, zanim zostanę wrzucona w wir dworskiego życia.

Wjechaliśmy do hałaśliwego miasta, które było dwukrotnie większe od Ávila i miało trzy razy tyle mieszkańców. Uliczki były wąskie, niektóre brukowane, inne pokryte grubą warstwą błota. Kiedy jechałyśmy z Beatriz za Alfonsem, otoczone przez de Villenę, Giróna, Chacóna i służbę, stukot podków odbijał się echem od stłoczonych budynków. W dusznym powietrzu czuć było końskie łajno, dym, gotowaną strawę, cuchnące garbarnie i zapachy z kuźni. Całą uwagę musiałam poświęcać kontrolowaniu Caneli, który na zgiełek przechodniów reagował nerwowymi podskokami. Drogę torowali nam wasale, którzy używali halabard do odpędzania wszystkich zagradzających przejazd. Niektórzy mieszkańcy przystawali i przyglądali się nam, szepcząc między sobą, zasłoniwszy usta dłonią.

Zastanawiałam się, o czym mówią i co widzą. Dziewczynkę, której włosy wymykają się spod chusty, i chłopca z wiejskim brudem za paznokciami – tak musieli nas postrzegać. Dwa niewiniątka przywiezione do świata, do którego nie należą.

Zerknęłam na markiza. Jechał swobodnie, owinięty płaszczem ze złotymi wykończeniami, unosząc wysoko głowę, jakby chciał uniknąć przykrych woni ulicznych. Zorientował się chyba, że mu się przyglądam, bo zwrócił ku mnie swoje beznamienne żółtawe oczy. Przez zdobioną kamienną koronką bramę w stylu mudejar wjechaliśmy do zamku. Na dziedzińcu czekał już na nas Carrillo z zatroskanym wyrazem twarzy.

– Spóźniliście się – powiedział, kiedy zsiadliśmy z koni. – Jego Wysokość chce, żeby infanci towarzyszyli mu dziś wieczór. – Uśmiechnął się do mnie przelotnie. – Moi drodzy, musicie się pospieszyć. Mamy być w alkazarze za godzinę.

– Obyśmy miały chociaż czas się wykapać – szepnęłam do Beatriz.

Ona zaczęła mi odpowiadać, kiedy z zamku wyszedł szczupły mężczyzna średniego wzrostu. Miał na sobie prosty półdługi dublet z czarnego aksamitu, idealnie skrojony i lekko rozkloszowany w pasie, by pokazać uda w eleganckich wyszywanych pludrach. Ukłoniwszy się nam, odezwał się wymodulowanym, dworskim głosem:

– Nazywam się Andrés Cabrera, jestem zarządcą alkazaru w Segovii. Będę miał zaszczyt zaprowadzić Waszą Wysokość do jej kwatery.

Natychmiast poczułam się przy nim swobodnie. Jego poważny wyraz twarzy, zakola nad czołem i głęboko osadzone piwne oczy przypominały mi ojca Beatriz, choć Andrés Cabrera był znacznie młodszy niż Pedro de Bobadilla. Beatriz też nie pozostała obojętna – wyraźnie się ożywiła i powiedziała:

– Jesteśmy bardzo wdzięczne za pańską pomoc, don Andrés.

– Cała przyjemność po mojej stronie. Proszę tędy.

Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, że nie ma z nami Alfonsa. Zerknęłam w stronę służących, którzy pakowali nasze bagaże, i zauważyłam, że Carrillo prowadzi go w przeciwnym kierunku. Za arcybiskupem włókł się usłużnie don Gonzalo, taszcząc kufer Alfonsa.

Ogarnął mnie strach.

– Dokąd idzie mój brat? – zapytałam. Choć siliłam się na spokój, w moim głosie słychać było drżenie.

Cabrera przystanął.

– Jego Wysokość ma oczywiście własne komnaty. – Uśmiechnął się serdecznie. – Proszę się nie martwić, infantko. Zobaczycie się na uczcie.

– Aha – odparłam z wymuszoną wesołością. – Oczywiście, ależ jestem niemądra.

Było jasne, że teraz, kiedy jesteśmy na dworze, Alfons musi mieć komnaty godne swojej pozycji. Skończyły się czasy, kiedy mieszkał kilka pokoiów dalej i zawsze mogliśmy się spotkać. Rozumiałam to, ale i tak byłam wstrząśnięta tak nagłym rozstaniem. Rozmyślałam o nim, kiedy z Beatriz przy boku oddalałam się od zamku i wchodziłam do gmatwaniny pomieszczeń w sąsiedniej casa real. Szłyśmy po krużgankach o żłobkowanych kolumnach, które otwierały się na wyłożone cytrynem tarasy. Nasze buty stukwały o jaspisowe i szmaragdowe płytki w komnatach pełnych alabastrowych ornamentów. Po miejskim zgiełku luksusem wydawała się panująca tu cisza, potęgowana jeszcze przez czysty dźwięk wody płynącej w niewidocznych fontannach i cichy szelest naszych sukien.

Wątpiłam, czy kiedykolwiek sama odnajdę się w tym labiryncie. Weszliśmy do przestronnego pokoju, którego okna o żłobkowanych szybach i rzeźbionych w drewnie okiennicach wychodziły na duży ogród. Niedaleko rozległ się ryk jakiejś bestii, który mnie przestraszył.

– Co to?

Cabrera znów się uśmiechnął.

– Lamparty Jego Królewskiej Mości. Pewnie są głodne, zbliża się pora karmienia.

– Lamparty? – powtórzyła zdumiona Beatriz. – Król trzyma tu dzikie zwierzęta?

– Tylko dwie sztuki. Nie ma powodów do obaw, są zamknięte w klatce i dobrze karmione. W domku myśliwskim el Balacín na pogórzach król ma znacznie większą menażerię: lwy, niedźwiedzie, dziwaczne wielkie ptaki z Afryki i różne inne stwory. Jego Wysokość uwielbia zwierzęta. Tutaj z reguły osobiście zajmuje się lampartami, ale dziś ten obowiązek spadł

na mnie.

– Czy król używa tych zwierząt na polowaniach? – zapytałam, zastanawiając się, jak blisko mojej komnaty mieszkają egzotyczne lamparty. – Słyszałam, że lubi polować.

Cabrera zmarszczył brwi.

– Wręcz przeciwnie. Jego Wysokość rzadko poluje, a jeśli już, to nigdy nie zabiera swoich zwierząt. Nienawidzi rozlewu krwi, zakazał nawet organizowania corridy w Segovii.

– Nie pozwala na walki byków? – zapytała Beatriz, zerkając na mnie. Słyszała, jak de Villena mówił Alfonsowi, że Henryk chce wprowadzić go w tajniki polowania.

Najwyraźniej markiz nas oszukał. Zaczęłam się zastanawiać, jakie inne kłamstwa usłyszeliśmy z ust de Villeny i jego nieokrzesanego brata. W głębi duszy ucieszyłam się jednak, że Henryk nie lubi corridy. Sama jej nienawidziłam – nigdy nie byłam w stanie pojąć, jak można czerpać przyjemność z oglądania krwi i makabrycznej walki na arenie. Choć dorastałam na wsi, gdzie zabijanie zwierząt na mięso jest na porządku dziennym, czynienie z cierpienia żywej istoty rozrywki dla tłumów uznawałam za wynaturzenie.

– Czy Alfons mieszka daleko stąd? – zapytałam, rozpinając płaszcz.

– Niezbyt daleko – odparł Cabrera. – Jego Wysokość ma komnaty w alkazarze, gdzie jest teraz dosyć tłoczno. Jego Ekscelencja arcybiskup uznał, że lepiej wam będzie bardziej na uboczu. Jeśli jednak Waszej Wysokości nie podoba się ta komnata, mogę spróbować zdobyć inną, bliżej infanta. Niestety byłaby mniejsza, bo wszystkie duże zajmują teraz grandowie, którzy przybyli zobaczyć nowo narodzoną księżniczkę.

– Nie, proszę się nie kłopotać – powiedziałam. – Tu mi odpowiada.

Cabrera odsunął się, żeby przepuścić dwóch służących, którzy wnieśli nasze kufry z ubraniami i postawili je na wykafelkowanej podłodze.

– Na stoliku pod oknem Wasza Wysokość znajdzie misę ze świeżą wodą i myjki. Przykro mi, ale ze względu na późną porę nie możemy przygotować gorącej kąpieli. Zrobimy to jutro.

– Dziękuję za pomoc – odparłam, pochylając głowę. – Jesteście bardzo życzliwi.

– Wasza Wysokość nie ma potrzeby mi dziękować. To dla mnie zaszczyt. Gdyby wam czegoś było potrzeba, to proszę bez wahania mnie wezwać. Jestem do waszej dyspozycji. – Ukłonił się. – Oczywiście to dotyczy również pani, señorita de Bobadilla. Jestem również do pani dyspozycji.

Kiedy wyszedł, z rozbawieniem stwierdziłam, że Beatriz oblała się rumieńcem.

– To taki miły człowiek – powiedziała. – Ale przecież ja mu się nie przedstawiałam. Skąd wie, jak się nazywam?

Nie odpowiedziałam, pochłonięta rozmyślaniami nie o Cabrerze, bo czułam, że jemu możemy zaufać, tylko o de Villenie.

– Beatriz, jak sądzisz, czemu markiz nas oszukał? Najpierw powiedział, że król jest wybitnym myśliwym, co zgodnie ze słowami don Andrésa nie jest prawdą, a potem, że w alkazarze nie ma żadnych wolnych komnat. To takie błahe kłamstewka, nie widzę w tym sensu.

– Pozornie może i błahe – powiedziała. Zdjęła ze mnie suknię, tak że stałam w koszuli i pończochach. – Ale pierwszym z nich przyciągnął uwagę Alfonsa, a za pomocą drugiego właściwie go od nas oddzielił. Cabrera powiedział też, że to Carrillo wybrał dla nas to mieszkanie, żebyśmy miały więcej prywatności. Może wcale nie chodzi o prywatność, tylko o to, żebyś była daleko od brata?

Nie podobała mi się ta wnikliwa ocena sytuacji. Kiedy poszłam zmyć kurz z twarzy i szyi lawendową wodą z miski, zostawiając Beatriz, żeby odnalazła w kufrze moją suknię, zastanawiałam się, co jeszcze wiem. Jeśli Carrillo i de Villena starali się odizolować mnie od

Alfonsa, wiedząc, że wychowywaliśmy się razem, to postępowali tak albo z okrucieństwa, albo kierowały nimi groźniejsze motywy. Ledwie przyjechaliśmy – dlaczego już chcieli wciągać Alfonsa w swoje intrygi? Czy działali razem?

Sięgnęłam po ręcznik i już miałam podzielić się swoją refleksją z Beatriz, kiedy na korytarzu rozległ się hałas. Zanim zdążyłam się ruszyć, drzwi nagle się otwały i do środka wtargnął rój kobiet.

Od dziesiątego roku życia nie rozbierałam się przy nikim z wyjątkiem Beatriz – nawet doña Clara nie śmiała wchodzić bez pukania. Stałam więc oniemiała, kiedy kobiety fruwały po komnacie niczym egzotyczne ptaki. Byłam zbyt zdumiona, by zrozumieć, co mówią. Moja nowa suknia z zielonego aksamitu kupionego w Ávila została wyrwana Beatriz i przechodziła z rąk do rąk. Jedna z kobiet zacmokała z dezaprobatą. Inna się roześmiała. Podczas gdy ja przysłuchiwałam się ich wesołości, Beatriz odebrała im suknię.

– Bez wątpienia jest nowa – oświadczyła. – I oczywiście ma rękawy do kompletu, Właśnie ich szukałam, kiedy tak obcesowo tu wpadłyście.

Patrzyła na nie rozwścieczona. Ja, z trudem łapiąc powietrze, uważnie się im przyglądałam.

Wszystkie były młode i ubrane w suknie, jakich jeszcze nigdy nie widziałam – z dużym dekoltem, który prawie odsłaniał piersi, i falbaniastymi spódnicami z błyszczącego materiału. Dodatkowo wokół ściśniętych talii pozawieszały mnóstwo jedwabnych woreczków i ozdób. Kobiety miały misterne loki i skomplikowane fryzury przystrojone delikatnymi welonami, grzebykami oraz sznurami pereł i monet. Ich usta były pomalowane na czerwono, a oczy grubo obwiedzione kohlem. Cera niektórych przybyszek była wyraźnie śniada, co wskazywało na to, że płynie w nich mauretańska krew. Te stojące przed Beatriz miały ciemne oczy, mlecznobiałą skórę i szczupłe dłonie.

Dama, której Beatriz odebrała moją suknię – zielonooka i w podkreślającej kobiece krągłości szkarłatnej sukni – wzruszyła ramionami.

– Está bien. Skoro infantka Izabela nie ma nic innego, musimy sobie jakoś poradzić. – Zwróciła się do mnie przepraszająco: – Obawiam się, że nie ma już czasu na szukanie odpowiedniej sukni, ale możemy przynieść kilka dodatków i ozdobić tę tutaj.

Odpowiedziałam lekko ochrypłym głosem:

– A kim... kim pani jest?

Zamarła, jakby nikt nigdy nie zadał jej takiego pytania.

– Nazywam się doña Mencía de Mendoza i jestem pierwszą damą dworu królowej Joanny. Mogę dostarczyć wszystko, czego Waszej Wysokości potrzeba.

Kiwnęłam głową i starałam się sprawiać wrażenie opanowanej, co nie było łatwe, zważywszy na to, że stałam przed nimi tylko w pończochach i koszuli.

– W tej chwili niczego mi nie potrzeba, dziękuję. Nie ma powodu do takiego zamieszania. Mencía de Mendoza otwarła szerzej oczy.

– To żadne zamieszanie. Królowa przysłała nas specjalnie po to, żebyśmy zajęły się Waszą Wysokością. Królowej szczególnie zależy, żeby wam niczego nie brakowało.

– Ja opiekuję się infantką – wtrąciła Beatriz. – I zapewniam, że absolutnie niczego jej nie brak.

– Ty się nią opiekujesz? – roześmiała się Mencía. – Przecież sama ledwie wyrosłaś z kołyski!

– Mam piętnaście lat – odparła Beatriz. – Wystarczająco dawno wyrosłam z kołyski, żeby znać swoje obowiązki. Jak Jej Wysokość powiedziała, niczego nam nie potrzeba.

Mencía przestała się uśmiechać i przymrużyła obrysowane na czarno oczy.

Dodałam szybko:

– Señorita de Bobadilla i ja jesteśmy bardzo wdzięczne królowej, ale nie chcemy żadnych ozdób. Mamy skromne upodobania. Poza tym nie jestem przyzwyczajona do wielu służących, więc jeśli pozwolicie, wolę, żeby zajęła się mną tylko señorita de Bobadilla.

Na twarzy Mencii nie pojawiło się już więcej oznak niezadowolenia, ale wyczułam w jej głosie pewną zgryźliwość, kiedy dygnawszy, powiedziała:

– Jak sobie życzycie. – Spojrzała znacząco na Beatriz. – Powinna się Wasza Wysokość przyzwyczajać do liczniejszego towarzystwa. Jesteście teraz pod opieką królowej, a Jej Wysokość lubi otaczać się kulturalnymi kobietami.

Po tych słowach wyprowadziła całą gromadę z komnaty, zostawiając mnie sam na sam z Beatriz.

– Co za bezczelność! – oburzyła się Beatriz, wracając do skrzyni.

Kiedy znalazła rękawy, stanęłam nieruchomo, a przyjaciółka zaczęła mnie ubierać.

– Za kogo ona się ma, ta Mencia de Mendoza? Kulturalne kobiety – widziałas, jakie były wymalowane? Bardziej niż ladacznice. Doña Clara by na ich widok zemdlała. Czy to możliwe, że królowa otacza się takimi kobietami?

Starałam się nie drzeć, kiedy Beatriz zawiązywała mi suknię i doczepiała do niej fałdowane rękawy z aksamitną podszewką.

– To nie byle kto – powiedziałam. – Mendozowie to jeden z najznakomitszych kastylijskich rodów. Mencia jest córką granda.

Beatriz prychnęła.

– Naprawdę? No cóż, nigdy wcześniej nie udzieliłam reprimendy córce granda.

Odwrociła mnie, wyjęła z futerału szczotkę i zaczęła rozczesywać moje długie do pasa złotokasztanowe włosy, aż ułożyły się w błyszczące fale. Potajemnie bardzo się nimi szczyliłam, choć starałam się walczyć z pychą, bo zakonnice w Santa Ana powiedziały mi, że kobiece warkocze są drabiną szatana.

– Gotowe – oznajmiła Beatriz. – Zobaczmy, co na to Mencia de Mendoza. Mogę się założyć, że nikt na dworze nie ma tak idealnej skóry ani takich złotych włosów jak ty.

– Próżność to grzech – skarciłam ją z uśmiechem.

Beatriz przebrała się w skromną czarną suknię i spięła włosy w kok. Wtedy właśnie rozległo się pukanie do drzwi, zapowiadające przybycie Carrilla.

Wyprostowałam się na jego widok. Ponieważ osobisty interes arcybiskupa związany był z naszym, wiedziałam, że dotrzyma obietnicy i będzie się nami opiekował. Doskonale zdawałam sobie jednak sprawę, że manipulował naszą matką, by zgodziła się nas odesłać, składając jej obietnicę, której nie mógł spełnić. Był wpływowym, bezwzględny człowiekiem, od którego byliśmy teraz uzależnieni. Musiałam uważać na to, co robię i co mówię, udawać uległość, żeby móc lepiej chronić brata. Na szczęście Carrillo chyba i tak nie oczekiwał ode mnie niczego więcej.

Spojrzał na mnie.

– Zostałem poinformowany, że wzgardziłaś pomocą dwórek samej królowej, choć je do ciebie przysłano. Czy to prawda?

– No cóż, tak – odparłam, starając się, by w moim głosie słyhać było zatroskanie. – Czy popełniłam błąd? Uznałam, że ich nie potrzebuję, skoro wszystko mogę zrobić sama.

Beatriz rzuciła mi sarkastyczne spojrzenie, ale Carrillo na szczęście tylko pobłażliwie się roześmiał.

– Od razu widać, że nie wychowywałaś się na dworze. Doña Mencia narzeka, że twoje szaty nadają się wyłącznie do przytułku. Osobiście uważam, że wyglądasz uroczo, choć ta suknia

rzeczywiście jest trochę staroświecka.

– Uszyła ją dla mnie matka i noszę ją z dumą.

– Oczywiście. – Pokiwał energicznie głową. – Dobrze, że jesteś dumna, oby tylko nie za bardzo. – Pogroził mi palcem ze złotym sygnetem. – Nie chcemy, żeby na dworze się do ciebie uprzedzono.

Mrugnął do Beatriz.

– A pani, señorita de Bobadilla, świetnie opiekuje się naszą infantką i równie świetnie robi sobie wrogów. Trzeba bardziej uważać, kogo się obraża, dobrze? Doña Mencía cieszy się zaufaniem królowej, a ja nie mam ochoty pośredniczyć w kobiecych kłótniach.

– Oczywiście – powiedziałam, zanim Beatriz zdążyła zaprotestować. – To się już więcej nie powtórzy, Wasza Ekscelencjo. – Oparłam rękę na jego ramieniu. – Jestem już gotowa.

Z uśmiechem na twarzy pozwoliłam mu zaprowadzić się na pierwsze spotkanie z królem.

Rozdział szósty



W wielkiej sali na wiszących żelaznych kandelabrach topiły się niezliczone cienkie świece, oświetlające złocenia na suficie, które połyskiwały niczym opalizujące niebo. Pod stropem wzdłuż ścian stały malowane figury wczesnych kastylijskich władców, poniżej wisały wielkie gobeliny z wełny i jedwabiu, których żywe kolory odbijały się na wypolerowanej posadzce. Sala wibrowała od rozmów i śmiechu, wśród tłumu niczym świetliki przemykali służący w połyskliwych strojach, a wokół unosił się zapach mirry, perfum i kadzidła.

Znałam historię alkazaru. Podczas mroźnych zim w Arévalo razem z Beatriz spędzałyśmy czas na głośnym czytaniu Crónicas, w których opisano historie królów i królowych zamieszkujących te mury. Podobnie jak inne kastylijskie twierdze, Segovia była początkowo mauretańską fortecą zdobytą przez chrześcijan w czasach rekonkwisty. Spodziewałam się, że będę czuła respekt, przebywając w starym zamku, w którym rezydowali moi przodkowie. Nie sądziłam jednak, że ogarnie mnie nagła fala emocji, jakby obudziło się we mnie coś od dawna drzemącego w mojej krwi. Żeby nie gapić się tak jak Beatriz, wbiłam wzrok w podwyższenie, na którym stał pusty tron.

Podszedł do nas Carrillo i poprosił moją przyjaciółkę, żeby się odsunęła, po czym poprowadził mnie w stronę podestu. Dworzanie się rozstąpili, lustrując mnie przez, w moim odczuciu, bardzo długą chwilę, zanim pochylili głowy, by okazać mi szacunek. Niemal słyszałam, co myślą: „Oto ona, przyrodnia siostra króla”. Miałam nieodparte wrażenie, że jestem oceniana przez stado głodnych drapieżników, ale starałam się je zlekceważyć. Zauważyłam Mencię w szkarłatnej sukni, stojącą przy de Villenie. Kiedy markiz się uśmiechnął, obnażając przy tym zęby, odwróciłam wzrok w stronę stołów pod ścianami, przygotowanych na wieczorną ucztę. Uginały się od wysadzanych klejnotami półmisek, andaluzyjskich pomarańczy ułożonych w wysokie minarety, wiśni z Estremadury, kandyzowanych migdałów, daktyli, fig, moreli – był to prawdziwy ogród rozkoszy, a frykasów było takie mnóstwo, że wydało mi się to niemal grzesznym marnotrawstwem.

Carrillo pokłonił się przed podwyższeniem i zawołał donośnym głosem:

– Infantka Izabela!

Złożyłam ukłon niemal do podłogi, starając się ukryć zdziwienie. Dlaczego arcybiskup mówi do pustego tronu?

Wtem usłyszałam cichy głos:

– Czyżby to była moja mała siostrzyczka?

Podniosłam wzrok i nieopodal, na stosie jedwabnych poduszek z frędzlami, zobaczyłam wysokiego, ubranego na czarno mężczyznę. Pod ręką miał półmisek pełen przysmaków, a obsługiwała mu zawołowana postać w długiej szacie. Tuż za nim, pod ścianą, stał rząd mauretańskich strażników – przy boku mieli pochwy z bułatami, ubrani byli w szarawary i turbany, tak że wyglądali, jakby właśnie wrócili z Grenady.

– Majestad – mruknęłam.

Mój przyrodni brat Henryk wstał. Kiedy ostatni raz go widziałam, byłam jeszcze dzieckiem, i nie myślałam, że będzie taki wysoki. Teraz górował nade mną dziwny, nieforemny mężczyzna z czerwonym arabskim turbanem na głowie, zbyt dużym w stosunku do jego

patykowatej sylwetki. Spod zwojów wydostały się cienkie pasma jasnorudych włosów, które opadały mu na chude ramiona. Henryk miał na sobie haftowany czarnymi i złotymi nićmi kaftan. Zwróciłam uwagę na zakręcone noski jego czerwonych pantofli i zadziwiająco drobne stopy.

Gapiałam się na niego, zapominając o dobrych manierach. Słyszałam, że z wyglądu przypomina ojca, ale prawie nie pamiętałam zmarłego króla, który spłodził nas oboje, więc bezskutecznie próbowałam dopatrzeć się rodzinnego podobieństwa.

– Jesteś... ładna – powiedział Henryk, jakby nigdy wcześniej nie myślał o mnie pod kątem urody.

Popatrzyłam w jego smutne bursztynowe oczy, lekko wytrzeszczone i z ciężkimi powiekami. Płaski nos, okrągłe policzki i mięsiste usta sprawiały, że jego twarz nie była atrakcyjna – wyróżniał się tylko imponującym wzrostem. Poza tym, chociaż tuniki w stylu mauretańskim nosili wszyscy Kastyljczycy, szczególnie podczas gorącego lata, nasza matka pozwalała nam je wkładać tylko w domowym zaciszu. Wiedziałam, jak by zareagowała na widok króla ubranego jak niewierny w nasz pierwszy wieczór na dworze. Nieśmiały uśmiech Henryka sprawił jednak, że podeszłam bliżej. Kiedy nachyliłam się, żeby pocałować go w rękę z kastylijskim sygnetem herbowym, przyciągnął mnie niespodziewanie i niezręcznie objął. Pachniał piżmem, trochę jak nieumyte zwierzę. Byłam wrażliwa na zapachy, ale ten nie wydał mi się nieprzyjemny, choć pewnie nie taką woń powinien roztaczać wokół siebie władca.

– Witaj, siostró – powiedział. – Witaj na moim dworze.

Otoczający nas dworzanie zaczęli klaskać. Henryk, nadal trzymając mnie za rękę, rozejrzał się po sali.

– A gdzie mój brat, infant Alfons? – zawołał.

Z tłumu gości wystąpił Alfons z jakimś krzepkim młodzieńcem przy boku.

Mój brat miał czerwone policzki – nieomylny znak, że pił nierozcieńczone wino, czego dotychczas nie było mu wolno. Najwyraźniej w jego wypadku wszelkie smutki z powodu opuszczenia domu zostały przyćmione przez ekscytujące nowe otoczenie. Nie widziałam też nigdzie don Gonzala, choć z reguły nie zostawiał Alfonsa samego.

– Zobacz, kto tu jest – powiedział mój brat, wskazując na swojego towarzysza. – To nasz kuzyn, Ferdynand Aragoński. Dzielimy komnatę, ale on cały czas pyta tylko o ciebie. Ferdynand mi się uklonił.

– Wasza Wysokość – zaczął drżącym głosem – to dla mnie wielki zaszczyt, choć nie sądzę, żeby Wasza Wysokość mnie pamiętała.

Mylił się. Pamiętałam go, a przynajmniej znałam go z imienia. Był jednak ostatnią osobą, którą spodziewałam się spotkać na dworze mojego przyrodniego brata.

Nasze familie łączyła krew rodu Trastámara, ale wzajemna wrogość i zachłanność sprawiły, że Kastylia i Aragonia od wieków toczyły wojny. Aragońscy władcy gorliwie strzegli niezależności swojego niewielkiego królestwa – toczyli nieustanne walki z Francją i zawsze byli podejrzliwi wobec Kastylii, choć nigdy nie na tyle, aby gardzić sojuszami małżeńskimi. Zawierali je w nadziei, że pewnego dnia aragoński król zasiądzie na kastylijskim tronie. Rok młodszy ode mnie Ferdynand, tak samo jak Alfons i ja, był dzieckiem z drugiego małżeństwa, w jego wypadku Jana Aragońskiego i Joanny Enriquez pochodzącej z rodu kastylijskich admirałów. Ferdynand miał objąć tron Aragonii, bo jego starszy przyrodni brat zmarł kilka lat wcześniej. Choć znałam podstawowe fakty dotyczące Ferdynanda i jego koligacji rodzinnych, nie słyszałam nic szczególnie interesującego o nim samym ani o jego królestwie. Właściwie to wiedziałam tylko tyle, że kiedy byłam dzieckiem, jego wiecznie knujący ojciec, król Jan, zaproponował Ferdynanda jako kandydata na mojego męża.

Przyglądając się księciu, który był moim dalekim kuzynem, stwierdziłam, że ma

niepokojąco atrakcyjne oblicze – wydatny nos, inteligentne usta i błyszczące piwne oczy, otoczone gęstymi rzęsami, których zazdrościłaby mu każda kobieta. Lewe było nieco mniejsze, lekko zezujące, co nadawało całej twarzy figlarny charakter. Ferdynand był niski, ale jak na swój wiek umięśniony, bujne ciemne włosy sięgały mu do ramion. Szczególnie urzekła mnie jego oliwkowa karnacja, która zbrązowiła od słońca. Przypuszczałam, że tak jak mój brat, aragoński książę przebywa głównie na powietrzu, ale podczas gdy Alfonsa cechowała alabastrowa bladość, Ferdynand był ogorzały, niemal jak Maur, i tryskał energią. Choć wyglądali zupełnie inaczej, wcale mnie nie dziwiło, że zachowują się jak starzy znajomi – odniosłam wrażenie, że mają bardzo podobne usposobienia.

Ocknęłam się, kiedy zdałam sobie sprawę, że książę przygląda mi się równie intensywnie jak ja jemu. Odezwałam się cicho:

– Jak mogę was pamiętać, kuzynie, skoro nigdy wcześniej się nie spotkaliśmy?

– Tyle o was słyszałem, Wasza Wysokość – odparł. – Mam wrażenie, że znamy się od zawsze.

Choć miał dopiero dwanaście lat i właściwie był jeszcze dzieckiem, z jakiegoś powodu Ferdynand Aragoński sprawiał, że traciłam dech w piersiach.

Siedzący obok mnie Henryk wyjaśnił:

– Ferdynand przyjechał, żeby razem z nami świętować narodziny mojej córki.

W jutrzejszej ceremonii zastąpi swojego ojca, bo król Jan cierpi na kataraktę i nie mógł przybyć. Mam nadzieję, że między naszymi królestwami zapanuje teraz zgoda. Dotychczas nie układało nam się za dobrze, choć w naszych żyłach płynie ta sama krew.

– W rzeczy samej, Wasza Wysokość – odpowiedział Ferdynand, nie odrywając ode mnie wzroku. – Musi zapanować zgoda, szczególnie teraz, kiedy francuski pajak* stoi u bram.

– Polityka zagraniczna z dziecięcych ust! – Carrillo wybuchnął śmiechem.

Henryk odpowiedział jednak poważnie:

– Ma rację. Ani Aragonia, ani Kastylia nie mogą sobie pozwolić na wojnę z Ludwikiem Francuskim. Rzeczywiście musimy mieć pokój.

Nagle Ferdynand zwrócił się do mnie z pytaniem:

– Czy Wasza Wysokość będzie siedziała przy naszym stole?

Z wahaniem spojrzałam na króla. Henryk się uśmiechnął.

– Czemu nie... – przerwał i niespodziewanie cały zeszywniał.

Zaintrygowana podążyłam za jego wzrokiem.

Posuwistym krokiem zbliżała się do nas kobieta z wysoko podniesioną głową. Kiedy przechodziła, dworzanie po obu stronach podestu natychmiast składali jej ukłony. Poruszała się rytmicznie i z wdziękiem, wąskie biodra miała przepasane złotym pasem z rubinami, a jej jedwabna suknia w kolorze kości słoniowej była wykończona wzorem z klejnotów. Za nią ciągnęły kobiety, które próbowały zająć się mną wcześniej w casa real.

Nie musiałam pytać, kim jest nowo przybyła. Też nisko jej się pokłoniłam.

– Henryku! – zawołała karcąco królowa Joanna. – Nie miałam pojęcia, że goście już przyjechali. Dlaczego nie wysłałeś nikogo z wiadomością? Właśnie kładłam naszą pequeñitę** spać.

Następnie obdarzyła olśniewającym uśmiechem Alfonsa, który oblał się ognistym rumieńcem. Dopiero później spojrzała na mnie.

Ani trochę nie przypominała kobiety, która właśnie odeszła od kołyski niemowlęcia. Prawdę mówiąc, trudno było uwierzyć, że w ogóle urodziła dziecko. Była bardzo szczupła i miała nienaganną fryzurę – jej błyszczące kasztanowe włosy były misternie zaplecione po obu stronach głowy i ozdobione drobnymi perełkami. Królowa miała nieskazitelną cerę, którą

upiększyła pudrem i różem. Szczególną uwagę zwracały jej piękne oczy – czarne jak onyks, szeroko rozstawione, z rzęsami ciężkimi od kohlu. Joanna przypominała idealnie pomalowany posąg.

– Wstań, moja droga – powiedziała. – Niech cię zobaczę. Bardzo urosłaś – mruzczała. – Jesteś już prawie dorosłą kobietą. A my spodziewaliśmy się małej dziewczynki z warkoczami.

Kiedy całowała mnie w policzek, przyduślił mnie mdlący zapach olejku różanego. Wzdrygnęłam się i zaczęłam się odsuwać. Spojrzenie królowej przeszywało mnie jak ostrze, było zimne i taksujące.

Przerwali nam paziowie, którzy zaczęli szurać stołami – odsuwali je od ścian, by przygotować salę do uczy.

Odezwał się Henryk:

– Właśnie omawialiśmy, kto gdzie będzie siedział. Izabela chciałaby jeść w towarzystwie brata i Ferdynanda. Nie widzę przeszkód...

– Nie ma mowy – przerwała mu Joanna. – Izabela musi usiąść z moimi dwórkami, jak każe obyczaj. Mówiłeś przecież, że to ja mam się nią opiekować, prawda?

Wyciągnęła w kierunku Henryka dłoń z długimi paznokciami. On się cofnął.

– Przestań – wymamrotał.

Joanna wzruszyła ramionami, po czym wzięła mnie pod ramię i zaczęła prowadzić do najbliższego stołu.

– Poczekaj – powiedział.

Królowa przystanęła.

– Wydaje mi się, że Izabela i infanci powinni być dzisiaj przy mnie.

– Ale z tobą je dzisiaj Beltrán de la Cueva, nie pamiętasz? Obiecałeś...

– Wiem, co obiecywałem, ale jestem królem i wolno mi zmienić zdanie. Beltrán de la Cueva to mój poddany. Najstosowniej będzie, jeśli usiądzie z innymi poddanymi.

Czułam, jak palce królowej wpijają mi się w ramię.

– Henryku, jesteś pewny, że to mądra decyzja? Wiesz, jak łatwo obrazić Beltrána, a ty przyrzekłeś okazać mu dziś przychyłność.

– Nie obchodzi mnie, czy się obrazi, czy nie – odpowiedział oschle Henryk. Choć był spokojny, miałam wrażenie, że nie lubi konfrontacji, a już szczególnie nie ze swoją żoną. – Krewni przyjechali do mnie po raz pierwszy, odkąd wstąpiłem na tron. Będą ucztować razem ze mną. To jest rozkaz.

Królowa zaśmiała się krótko.

– No cóż, skoro tak! Nie ma powodu rozkazywać, kochanie. Na podwyższeniu nie wystarczy jednak miejsca dla nas wszystkich. Chcesz, żebyśmy jedli na poduszkach, jak Maurowie?

Henryk odpowiedział znacznie ostrzejszym tonem:

– Mówiłem: Izabela i infanci. Ty możesz siedzieć, gdzie chcesz. W ten sposób zwolnisz miejsce dla Beltrána de la Cuevy, o którego honor tak się troszczysz.

Joanna zamarła. Nie wiedziałam, czy jest przerażona, czy wściekła.

– Ja usiądę z Jej Wysokością – pisnął Alfons. – Też będzie wtedy blisko rodziny.

Henryk zerknął na niego.

– Masz bardzo dobre maniery, braciszku. Jeśli Jej Wysokość sobie tego życzy, to oczywiście, możesz usiąść przy niej.

Alfons popatrzył entuzjastycznie na królową. W jego oczach była tylko kobieta, której wyrządzono przykrość. Mój brat był zbyt młody i niedoświadczony, by zdawać sobie sprawę z tego, co dla mnie było aż nadto jasne. Joanna powiła dziecko po latach bezpłodności, a król nie

okazywał jej szacunku ani uczuć. Czy zatem to, co usłyszałam od Beatriz w drodze do Ávila, było prawdą? Czy na dworze podawano w wątpliwość ojcostwo Henryka? Czy on sam zastanawiał się, czy to jego dziecko?

– Jak mogłabym się oprzeć takiej galanterii. – Uśmiechnęła się z lekką kokieterią, po czym gestem przywołała dwórki i wszystkie usiadły na ławie nieopodal.

Kiedy strażnicy usuwali tron i wnosili stół na podwyższenie, zerknęłam na arcybiskupa. Zmarszczył czarne, krzaczaste brwi w grymasie niezadowolenia i wpatrywał się w królową, która ostentacyjnie sadzała właśnie mojego brata po swojej prawej stronie, w otoczeniu dwórek. Bardzo zaskoczyła mnie jego nieskrywana pogarda – na chwilę zsunęła mu się jowialna maska i ukazało się znacznie ostrzejsze, mroczne oblicze duchownego.

– Jeśli Jego Wysokość wybaczy – zwrócił się do Henryka – mam pilną sprawę do załatwienia.

Mój przyrodni brat skinął nieuważnie. Carrillo pożegnał mnie, pochylając lekko głowę, i odszedł bez słowa. Miałam nieodparte wrażenie, że nie został na uczcie, bo czuł silną niechęć do królowej. Patrzyłam, jak się oddala, i nie zauważyłam, że Beatriz skrada się w moją stronę. Zdałam sobie sprawę, że przy mnie stoi, dopiero kiedy wyszeptała:

– Muszę ci coś powiedzieć.

– Nie teraz – odparłam. – Znajdź don Gonzala. Ja nie wiem, gdzie on jest, a Alfons nie może za długo zostawać sam z królową i jej damami.

Usiadłam na podwyższeniu obok Henryka, a Ferdynand zajął miejsce po drugiej stronie króla. Zdałam sobie sprawę, że drzę. Złożyłam to na karb głodu i zmęczenia – w Arévalo o tej porze już dawno byłabym w łożu, po kolacji i modlitwach. Jednak kiedy przyniesiono pierwsze dania – pieczonego dzika w sercach karczochów i smażoną dziczyznę w winnym sosie – nie byłam w stanie prawie niczego przełknąć. Całkowicie pochłaniało mnie obserwowanie królowej, która piła jedną czarkę riojy za drugą, aż na jej twarzy pojawiły się mocne rumieńce. Nachyliła się do Alfonsa, głaskała go po policzku i szeptała mu coś do ucha. Przy sąsiednim stoliku siedział samotnie brat markiza Pedro Girón, rozrywając wielki udziec gołymi rękami. Po brodzie spływał mu krwisty sos, a Girón niecierpliwym gestem kazał dolać sobie wina. Nigdzie nie widziałam de Villeny. Czyżby wyszedł za arcybiskupem?

– Pewnie to wszystko jest dla ciebie bardzo dziwne – odezwał się nagle Henryk.

Odwróciłam się na krześle, żeby na niego spojrzeć.

– Cały ten zbytek. Słyszałem, że nie mieliście tego w Arévalo. Podobno żyliście z matką bardzo skromnie.

– Tak, to prawda. Ale niczego nam nie brakowało. Skromność może być błogosławieństwem.

– Zauważyłem też, że wolisz wodę – powiedział, zerkając na moją czarkę, którą wcześniej zakryłam dłonią, żeby wszędobylski paź z karafką jej nie nappełnił. – Nie pijesz wina?

– Boli mnie po nim głowa, nawet jeśli je rozcieńczę.

Rozmawiając z królem, zdałam sobie z niepokojem sprawę, że Ferdynand przysłuchuje się nam z uwagą.

– Sam też nie lubię wina – powiedział Henryk. – Pijam je tylko podczas większych uroczystości. W Segovii mamy dużo dobrej wody, zimnej i świeżej, prosto ze sierry. W czasach rzymskich doprowadzano ją akweduktem, ale popadł w ruinę. Zawsze chciałem go naprawić. – Zamilkł, przygryzając dolną wargę. Po chwili dodał niespodziewanie: – Chciałbym cię przeprosić. Nie zatroszczyłem się należycie o dobro twoje i twojego brata. Nie dlatego, że mi na was nie zależy. Panowanie... wcale nie jest takie, jak myślisz. Teraz dużo lepiej rozumiem naszego ojca.

Spojrzałam mu w oczy.

– Dlaczego, Wasza Wysokość? – zapytałam cicho.

– Kiedyś ojciec powiedział mi, że wolałby urodzić się w pospolitej rodzinie, bo wtedy nie musiałby dźwigać całego świata na swoich barkach. – Henryk uśmiechnął się smutno. – Ostatnio też się tak czuję.

Nie spodziewałam się takich słów z ust króla. Władcy panowali z bożego namaszczenia, za swoje czyny odpowiadali przed Stwórcą. Urodzić się w rodzinie królewskiej to wielki przywilej, nie ciężar, którego człowiek chciałby się pozbywać. Niespodziewanie wróciłam myślami do ostatniego spotkania z Henrykiem. Przypomniłam sobie jego dziwny uśmieszek, kiedy przyglądał się, jak całuję ojca, niecierpliwość, z którą nachylał się nad umierającym królem. A może tylko wydawał się niecierpliwy? Może naprawdę był pełen obaw? Dziecku łatwo to pomylić, a Henryk nigdy nie sprawiał wrażenia człowieka, który lubi być w centrum uwagi.

– Właśnie dlatego cieszę się, że tu jesteście – ciągnął. – Rodzina powinna trzymać się razem, a my tak długo byliśmy rozdzieleni. Zgadzasz się ze mną? Jesteś zadowolona, że tu przyjechałaś?

Pod wpływem impulsu położyłam dłoń na jego ręce. Moje białe i delikatne palce kontrastowały z jego owłosioną, piegowatą skórą.

– Jestem rada, że was widzę, Wasza Wysokość. A Segovia jest piękna. Potrzebuję tylko trochę czasu, żeby się przyzwycząić. Jak wspomnieliście, wszystko jest tu dla mnie nowe.

Widziałam, że Ferdynand kiwa głową, a jego pełne aprobaty spojrzenie dodało mi pewności siebie. Z jakiegoś powodu zależało mi na jego uznaniu. Miałam wrażenie, że ma o mnie bardzo wysokie mniemanie.

– Co mogę zrobić, żebyś czuła się tu bardziej jak w domu? – zapytał Henryk z troską w głosie. – Chodzi o twoją matkę, tak? Nie chciałaś jej zostawiać. Tęsknisz za nią.

Wahałam się, nie wiedząc, co powiedzieć. Brakowało mi mojej małej, przytulnej komnaty w Arévalo, szczerkających nocą psów, hałasu, który robiły służące, nakrywając do stołu w sali reprezentacyjnej pod czujnym okiem doñi Clary. Czy tęskniłam za matką? Naprawdę nie umiałam odpowiedzieć.

– Zasugerowałam, że ona też może tu przyjechać – powiedział Henryk drżącym głosem – ale Carrillo mi to odradził. Twierdził, że wywierałaby zbyt duży wpływ na Alfonsa, jak to matka, i że infant musi pogodzić się z tym, że jest teraz drugi w kolejce do tronu.

Nie dałam po sobie poznać, jak bardzo zaniepokoiły mnie jego słowa. Czy matka wiedziała, że mogła zostać zaproszona na dwór? Czy raczej Carrillo oszukał ją, bo miał własne, ukryte powody, dla których chciał ją od nas odseparować?

Popatrzyłam Henrykowi w oczy. Nie było w nich przebiegłości, tylko szczerą chęć, by nas zadowolić. Nagle ogarnęła mnie ochota, żeby o wszystkim mu opowiedzieć. Był pierworodnym synem naszego ojca, byliśmy bratem i siostrą, rodziną. Powinniśmy się nawzajem chronić, a nie rywalizować ze sobą niczym pionki na szachownicy arcybiskupa.

Nie wiedziałam jednak, jak zareagować. Później – postanowiłam. Powiem mu o wszystkim później, jeśli coś się stanie. Nie zanim cokolwiek się stanie. Z pewnością usłyszę o ewentualnych spiskach, bo jeśli do czegośkolwiek dojdzie, to Alfons będzie kluczową postacią i arcybiskup musi liczyć na jego współpracę. Młodszy brat niczego by przede mną nie zataił – tak jak ja, on też nigdy nie zdradziłby Henryka.

Służący zabrali brudne noże i naczynia, a potem postawili przed nami miseczki z wodą różaną do wypłukania rąk i lniane serwetki do wycierania. Siedzący na galerii muzycy zaczęli grać na wiolach i lutniach. Kiedy sala wypełniła się melodyjnymi dźwiękami, dworzanie

porzucili swoje miejsca, a służący pospieszyli odsuwać stoły, żeby zrobić miejsce.

Bołała mnie głowa. Miałam już dość jak na jeden dzień, ale ponieważ Beatriz gdzieś zniknęła, odwróciłam się z powrotem w stronę Henryka. Postanowiłam, że będę zabawiać go rozmową, aż nadarzy się okazja, żeby poprosić o pozwolenie udania się na spoczynek.

Król opierał się wygodnie na krześle, a piękna zawoalowana postać, która wcześniej mu usługiwała, stała teraz na podwyższeniu i trzymała mu ręce na ramionach. Woalka zasłaniała nos i usta piękności, ale nie wspaniałe czarne oczy z ciężkimi od kohlu i złotego pudru powiekami. Postać szeptała coś królowi do ucha.

– Tak, kochanie – wymruczał Henryk – za chwilę. Muszę jeszcze trochę poudawać, że dobrze się tu bawię, rozumiesz? Cierpliwości. Pomasuj mi plecy, bardzo mnie bołą.

Postać zdjęła welon. Zamarłam. Nie zauważyłam, że Ferdynand wstał i podszedł do mnie. Wyczułam tylko jego obecność.

– Czy Wasza Wysokość zaszczyli mnie tym tańcem?

Nie mogłam się ruszyć.

Wymalowany chłopiec przebrany za mauretańską odaliskę uśmiechnął się do mnie z apatyczną obojętnością, głaskając króla po ręce. Henryk jęknął, po czym powiedział śpiącym głosem:

– Idź, Izabelo, zatańcz z Ferdynandem. Jesteście młodzi i powinniście się bawić.

Ferdynand wziął mnie za rękę, a jego mocny uścisk sprawił, że musiałam wstać. Nie czułam nóg i prawie nie wiedziałam, co się wokół mnie dzieje. Ocknęłam się dopiero na środku sali, ustawiając się do tańca. Otoczyli nas dworzanie. Muzyka zrobiła się głośniejsza. Wykonując kolejne figury skomplikowanej kastylijskiej segedilli, nie odrywałam wzroku od Ferdynanda. Czułam, że tylko dzięki niemu utrzymuję się na powierzchni.

Nie mam pojęcia, jak udało mi się nie pomylić zawitych kroków – pięta do palca, obrót, ukłon, znów pięta do palca. Jakimś cudem zdołałam dotrzeć do momentu, w którym razem z damami dworu dygnęłam, a Ferdynand stanął przede mną z wypiętą piersią. Był niższy niż pozostali mężczyźni i dużo od nich młodszy, ale bijąca od niego duma znacznie go postarzała.

– Dobrze tańczysz jak na kogoś, kto dorastał z dala od dworu – powiedział, oddychając szybko. – Wszyscy patrzą.

– Patrzą... na mnie?

Kiwnął głową.

– Tak, na ciebie. A najuważniej Beltrán de la Cueva.

Odwróciłam się i zobaczyłam, że przygląda mi się piękny mężczyzna w karmazynowym aksamicie z czołem zroszonym od potu. Beltrán de la Cueva stał przy boku królowej, z którą właśnie skończył tańczyć. Bujne jasne włosy koloru połyskującej w słońcu miedzi opadały mu na szerokie ramiona. Miał bardzo kształtny nos, pełne usta i wysokie kości policzkowe, a jego twarz zdobiła rdzawa broda, rzadki widok wśród w większości gładko ogolonych dworzan. Faworyt królowej, którego mimowolnie pozbawiłam przywileju ucztowania przy królu, był niemal zbyt piękny. Nadal trzymał Joannę za rękę, choć taniec się już skończył. Jego leniwy uśmiech był tak kuszący, a przenikliwe szmaragdowozielone oczy tak wymowne, że nie miałam odwagi się od niego odwrócić.

Królowa mnie zauważyła. Rzuciła mi pełne wrogości spojrzenie, po czym wolną ręką chwyciła Beltrána za podbródek i odwróciła jego twarz w swoją stronę. Wymamrotała coś, a on zaśmiał się w głos – zuchwale i z dużą pewnością siebie.

– Mówią, że straciła dla niego głowę – wyszeptał Ferdynand, zmuszając mnie, bym na niego spojrzała. – Mówią, że daje jej to, czego nie może dostać od króla. To dlatego jej dziecko nazywają la Beltraneja, córka Beltrána.

Te same oszczerstwa słyszałam z ust matki i Beatriz i widziałam już wystarczająco dużo, żeby niczego nie wykluczać. Mimo wszystko podniosłam dumnie brodę, ponieważ nie zamierzałam tolerować podobnych oskarżeń pod adresem żony mojego przyrodniego brata.

– Zapominasz, o kim mówisz. Niezależnie od wszystkiego, to nadal nasza królowa.

– A ty – odparł – nie możesz tak otwarcie okazywać emocji. Z twojej twarzy da się wszystko wyczytać. Jeśli chcesz przetrwać na dworze, musisz nauczyć się udawać.

Jego bezceremonialne słowa dotknęły mnie do żywego. Odsunęłam się o krok.

– Dziękuję za rady i za taniec. Obawiam się, że jest już późno i muszę udać się na spoczynek.

Ferdynand natychmiast zbladł.

– Nie chciałem cię obrazić...

– Nie obraziłeś – przerwałam mu. – Dobranoc, kuzynie – powiedziałam i wyciągnęłam do niego rękę.

On uklonił się i poczułam na dłoni jego ciepłe usta. Podniósł wzrok i w jego oczach zobaczyłam niemą prośbę. Zanim zdążył się odezwać, odwróciłam głowę w stronę podwyższenia. Było puste, a paziowie sprząтали zarzucony serwetkami stół. Kiedy rozglądałam się po sali, zauważyłam Beatriz, która przeciskała się przez tłum w moim kierunku, niosąc w ręce mój płaszcz. Zerknęłam na Ferdynanda. Nadal się we mnie wpatrywał, wyraźnie poruszony.

– Widziałas don Gonzala? – zapytałam przyjaciółkę, kiedy wkładała mi okrycie.

– Nie, ale zapytałam Andrésa de Cabrerę i okazało się, że markiz kazał Chacónowi zostać i wszystko rozpakować. Ale ma przyjść po Alfonsa.

– Jeśli uda mu się go znaleźć – odparłam.

Powietrze zrobiło się gęste od śmiechu i dymu. Pijani dworzanie zataczali się po sali, podczas gdy pary chowały się po kątach. Jeszcze nigdy nie byłam świadkiem takiej rozpusty – kobiety obciążały suknie, żeby pokazać piersi, a mężczyźni bezwstydnie je pieścili. Kiedy dotarliśmy do drzwi, zerknęłam w stronę arkady i zobaczyłam Alfonsa. Leżał rozciągnięty na poduszkach, a Girón poił go winem. U ich stóp klęczała kobieta, która całkiem rozwiązała gorset i miała sutki na wierzchu. Jej dłoń wędrowała po nodze mojego brata.

Wydałam cichy okrzyk przerażenia. Beatriz chwyciła mnie za ramię, żebym nie mogła do nich podbiec. Kiedy wyprowadzała mnie na korytarz, zauważyłam z ulgą, że w stronę Alfonsa zmierza Chacón z marsową miną.

Cabrera czekał na nas z czwórką imponujących mauretańskich strażników i służącym, który trzymał pochodnię.

– Niestety alkazar nocą nie jest bezpieczny – wyjaśnił, widząc, że zdziwiona przyglądam się strażnikom.

– Niebezpieczny? Ale przecież jestem królewską siostrą. Jak może mi tu coś grozić?

Cabrera popatrzył na mnie smutno.

– Obawiam się, że wielu tutaj nie uznaje władzy króla i nie przestrzega prawa. Nigdy bym sobie nie wybaczył, gdyby Waszej Wysokości coś się stało.

Zerknęłam na Beatriz. Ponury wyraz jej twarzy uciał moje dalsze protesty. Włożyłam kaptur, kiedy Cabrera wyprowadził nas na zamkowe korytarze, gdzie leżeli pijani dworzanie, a obok nich poprzewracane karafki. W powietrzu unosił się kwaśny zapach wina. Wasale grandów, których można było rozpoznać po specjalnych znakach na rękawach, rozłożyli się na podłodze, przy umocowanych w wosku świecach. Gapili się na nas. Jeden chwycił się za krocze i zawołał:

– Chodźcie tu, hermosas***, zabawimy się.

Pozostali wybuchnęli śmiechem i zaczęli wykrzykiwać inne sprośne zaproszenia.

Strażnicy przybliżyli się do nas, a my przyspieszyliśmy kroku. Miałam wrażenie, że na splendor tej twierdzy spadła klątwa północy i zmieniła go nie do poznania. Słyszałam jęki i stękania, widziałam wałęsające się wszędzie psy, które warczały, przyglądając się parom kopulującym pod ścianami niczym zwierzęta.

W końcu przeszliśmy przez puste krużganki i znaleźliśmy się na zewnątrz, pod rozgwieżdżonym niebem. Cabrera otworzył ciężkie drewniane drzwi w wysokim murze z kamienia. Nagle zapanowała cisza, a powietrze zrobiło się wilgotne – mieliśmy przed sobą wonny ogród, ten sam, który widziałam z okien swojej komnaty. Po drugiej stronie znajdowała się casa real.

Wcześniej tędy nie przechodziliśmy. W innych okolicznościach zachwyciłabym się wczesnowiosennym kwieciami, delikatnymi fontannami i ścieżkami ułożonymi z płytek, które przypominały mi klasztor Santa Ana. Teraz jednak prawie na nic nie zwracałam uwagi. Czułam się zagrożona. Dopiero kiedy Cabrera zaprowadził nas do komnaty, zapalił świece i zostawił przed drzwiami strażników, dałam upust emocjom.

– Nie możemy tu zostać ani dnia dłużej! Jutro porozmawiam z Henrykiem. Nawet on na pewno zdaje sobie sprawę, że to nie jest miejsce dla mnie ani dla Alfonsa.

– Możesz go przekonywać, ale obawiam się, że ci nie pomoże. – Beatriz spojrzała mi w oczy. – Jak tylko poszłicie z księciem zatańczyć, król opuścił salę. Zabrał ze sobą... przyjaciela.

Stałam nieruchomo.

– Wcześniej próbowałam ci powiedzieć, że podsłuchałam rozmowę dworzan – dodała, zniżając głos, jakby obite drewnem ściany miały uszy. W Arévalo nigdy nie czułyśmy, że musimy z czymkolwiek się kryć. – Mówili, że królowa nienawidzi ciebie i Alfonsa, bo stanowicie zagrożenie dla jej córki. Twierdzą, że was uwięzi, że zrobi wszystko, by odsunąć was od dziedziczenia. Jeśli tak bardzo się was obawia, jeśli rzeczywiście posunęłaby się tak daleko, to może te plotki są prawdziwe. Może jej dziecko faktycznie...

Przerwała, milknąc przezornie. W drodze do Ávila zbeształam ją za powtarzanie tych pogłosek, ale tym razem jej słowa wisiały nad nami, niepodważalne w swej złowieszczej logice.

Zamknęłam oczy. Słyszałam ryk zamkniętych w pobliżu zwierząt, myślałam o panującej w alkazarze rozpuście i kłębiącym się tam zepsuciu. Znów zobaczyłam, jak wymalowany młodzieniec pieści Henryka, jeszcze raz przed oczyma pojawiła mi się ta przerażająca scena z Girónem i Alfonsem, a kiedy przypominałam sobie uśmiech Beltrána de la Cuevy i zazdrosne spojrzenie królowej, miałam wrażenie, że się duszę.

Co jeśli królowa zdecydowała się na cudzołóstwo, żeby się ocalić? Co jeśli nowo narodzona księżniczka jest owocem romansu królowej z de la Cuevą? Wtedy katastrofa przewidywana przez moją matkę naprawdę się wydarzy. Gdyby Henryk uczynił bękarta swoim następcą, byłaby to zniewaga dla boskiego prawa królów. Doprowadziłby w ten sposób do podziału królestwa, rozwścieczyłby grandów i wprowadził ogólny chaos. Ściągnąłby boży gniew na Kastylię i na nas wszystkich.

„Jeśli chcesz przetrwać na dworze, musisz nauczyć się udawać”.

– Co zrobimy? – wyszeptwała Beatriz.

Otwarłam oczy.

Stała ze splecionymi rękami, blada ze zmartwienia. Musiałam być silna, dla niej i dla Alfonsa, zadbać o nasze bezpieczeństwo.

– Wszystko, co będzie konieczne.

* Ludwik XI nazywany był przez siebie współczesnych światowym pająkiem (l'universelle aragne), ze względu na skomplikowaną sieć intryg, którą zbudował (przyp. tłum.).

** Pequeñita (hiszp.) – maleńka (przyp. tłum.).

*** Hermosas (hiszp.) – ślicznotki (przyp. tłum.).

Rozdział siódmy



Miałam ciężką noc, dręczona snem, w którym idę w nieskończoność bardzo długim, ciemnym korytarzem. Przed sobą mam arkadowe drzwi pełne jasnego zimowego światła, ale mimo usilnych starań nie mogę do nich dotrzeć.

Obudziłam się, oddychając ciężko, w skotłowanej pościeli. Beatriz leżała obok, zwinięta w kłębek w moim łóżu, bo obie byłyśmy tak zdenerwowane, że nie chciałyśmy się rozdzielać nawet na noc. Opowiedziałam jej swój sen, a ona stwierdziła, że to znak – zapowiedź, że przyszłość przyniesie mi zarówno otuchę, jak i niebezpieczeństwa. Jak na praktyczną, racjonalną osobę, Beatriz była zadziwiająco przesądna – przypisywała to swoim marrańskim* korzeniom. Zlekceważyłam tę całą gadkę o omenach – może ludzie o żydowskim pochodzeniu wierzą w takie rzeczy, ale ja nie. Pokładałam całą ufność w Bogu, bo tylko On mógł być moim przewodnikiem.

Kiedy wyrzaliśmy za drzwi, strażników już nie było, a ogród oświetlały promienie chłodnego jeszcze majowego słońca. Cabrera przyniósł nam śniadanie: ciepły chleb, świeże owoce i ser. Służąca nadzorowana przez kobietę, która przedstawiła się jako señora Cabrera, matka Andrésa, przygotowała nam kąpiel. Rozkoszowałyśmy się z Beatriz gorącą wodą o zapachu rozmarynu, chlapiąc się i chichocząc jak małe dziewczynki, którymi w końcu byłyśmy.

Kiedy jednak włożyłyśmy suknie i udałyśmy się do alkazaru na zgromadzenie w sali ze złożonym kasetonowym sufitem, Sala de los Reyes, znów naszły mnie obawy. Nie miałam pojęcia, czego się spodziewać po dzisiejszych uroczystościach. Bardzo się ucieszyłam na widok Ferdynanda – uspokajała mnie już sama jego obecność, otuchy dodał mi też szybki uśmiech, którym obdarzył mnie, kiedy mijałam go w drodze na podwyższenie. Z całego dworu tylko on wydawał się normalny, niewplątany w sieć tajemnych intryg i sekretnych planów.

Alfons przybył przed nami. Czekał na podwyższeniu razem z rodziną królewską. Był wyraźnie zmęczony i blady, niewątpliwie z powodu dużych ilości wypitego poprzedniego wieczoru wina. Niebiesko-złoty haftowany dublet i wesoła czapka z piórami podkreślały kredową biel jego skóry. Tuż za Alfonsem stał arcybiskup Carrillo, który jak zwykle ciepło się do mnie uśmiechnął. Tylko że tym razem patrzyłam na niego mniej ufnie, wiedząc, że być może celowo uniemożliwił naszej matce przybycie z nami na dwór. Niepokoiło mnie wyrachowane zadowolenie w jego oczach, jakby patrzył w przyszłość, którą tylko on jest w stanie zobaczyć.

Królowa trzymała na rękach księżniczkę, zawiniętą w sięgający do ziemi biały aksamit wyszywany perłami. Jak tylko się ukloniłam, Joanna podsunęła mi niemowlę, tak że byłam zmuszona pocałować je w miękki biały policzek. Dziecko spało i przez chwilę rozczuliłam się na jego widok. Niemożliwe, żeby taka niewinna istotka była powodem jakichkolwiek waśni.

– Będziesz jej matką chrzestną – oznajmiła Joanna z uśmiechem tak sztucznym jak karminowa czerwień na jej ustach. – Mamy prezent, który jej wręczysz podczas wieczornych ceremonii: srebrną chrzcielnicę z jej wygrawerowanym imieniem. W końcu jak by to wyglądało: matka chrzestna z pustymi rękami?

Wymamrotałam jakieś podziękowania, unikając jej przenikliwego spojrzenia. Jeśli wstydziła się tego, co rzekomo zrobiła, to nie dawała niczego po sobie poznać. Zaczęłam wątpić

w prawdziwość wstrętnych pogłosek, w które jeszcze kilka godzin wcześniej byłam skłonna uwierzyć. W biały dzień wydawało się niemożliwe, żeby portugalska księżniczka, siostra obecnego króla Portugalii i krewna mojej matki, podjęła ryzyko, które mogła przypłacić utratą korony.

Zajęłam miejsce obok Alfonsa. Henryk siedział na tronie i widać było, że nie czuje się swobodnie w wysadzonym klejnotami diademie i pelerynie. Na twarzy miał zarost, a pod zaczerwienionymi oczami sine cienie. Nie spojrzał na mnie, za to cały czas rozglądał się nerwowo po sali, kiedy herold wygłaszał formułę, która nadawała małej Joannie tytuł księżniczki Asturii, czyniąc ją tym samym następczynią tronu.

Kastylijskie kortezy, zgromadzenie złożone z reprezentantów wszystkich ważniejszych stanów i prowincji królestwa, musiały zaakceptować nową sukcesję w drodze głosowania. Jednak kiedy grandowie podeszli do podwyższenia, by uklęknąć i przyrzec, że będą bronić praw księżniczki, ich twarze były jak granitowe maski, a słowa przysięgi wypowiadali monotonicznie, nadając chwili pogrzebowy charakter.

– Gdzie księżęta Alby, Cabry i Paredes? – syknęła królowa do Henryka, kiedy ostatni grandowie oddali cześć niemowlęciu. – Gdzie andaluzyjscy grandowie z Medyny-Sidonii i Cádiz? Czy pozwolimy im nas obrażać? Zostali wezwani wiele tygodni temu. Wszyscy powinni przybyć, żeby pokłonić się twojej córce.

Henryk jeszcze głębiej schował brodę w gronostajowy kołnierz. Kiedy Alfons miał złożyć przysięgę, Carrillo wyciągnął rękę i przez chwilę bałam się, że będzie chciał powstrzymać mojego brata. Arcybiskup jednak tylko poklepał go po plecach, jakby chciał dodać mu otuchy. Po tym jak Alfons wyrecytował formułę przysięgi, przyszła kolej na mnie. Uklękłam przed smutnym królem i powiedziałam:

– Ja, Izabela z dynastii Trastámara, infantka Kastylii, uroczyście oświadczam, że uznaję księżniczkę Joannę za jedyne prawowitego następcę tronu.

Słowa były jak popiół w moich ustach. Nie wiedziałam, czy w nie wierzę, czy nie, nie miałam pojęcia, czy nie popełniłam właśnie grzechu, uznając dziecko, którego pochodzenie było niepewne. Mimo to, kiedy wróciłam na miejsce, poczułam ulgę. Matka może pomstować, kiedy o tym usłyszy, grandowie mogą narzekać, a dworzanie siać wstrętne plotki, ale stało się. O ile kortezy nie zadecydują inaczej, mała Joanna jest od teraz dziedziczką Henryka. Oddaliśmy jej hołd. Złożyliśmy przysięgę i nie mogliśmy złamać danego słowa.

Zapadła grobowa cisza.

Henryk wstał – wyglądał władczo głównie dzięki szatom. Spodziewałam się, że coś powie, ale odwrócił się tylko na pięcie i szybko zszedł z podwyższenia. Z tłumy wystąpił jego towarzysz z poprzedniego wieczoru, tym razem ubrany w prosty dublet i pludry. Razem opuścili salę bocznymi drzwiami, co było dla reszty sygnałem, by się rozejść.

Ferdynand stał samotnie i przyglądał mi się.

Zwróciłam się do Alfonsa:

– Chodź, braciszku. Przyda nam się trochę świeżego powietrza przed popołudniowym posiłkiem.

Alfons zaczął zbierać się do wyjścia, kiedy odezwał Carrillo:

– Przykro mi, ale takie rozrywki muszą poczekać. Jego Wysokość ma teraz ważne obowiązki, prawda, księżę?

Alfons westchnął.

– Tak, chyba tak. Idź, Izabelo. Może spotkamy się później?

Kiwnęłam głową.

– Oczywiście.

Choć nie podobała mi się zaborczość arcybiskupa, musiałam mu zaufać i wierzyć, że chce dla Alfonsa jak najlepiej. Mimo to całując policzek brata na pożegnanie, szepnęłam:

– Nic nikomu nie obiecuj.

Alfons poruszył się, przestraszony. Odsunęłam się swobodnie, uśmiechając się do Carrilla, który odwzajemnił się tym samym. Potem weszłam na schody wiodące na podwyższenie, gdzie czekał mój kuzyn z Aragonii.

Ferdynand wyciągnął do mnie rękę.

– Przejdźmy się, Izabelo.

Poszliśmy do ogrodu, a Beatriz i Cabrera dyskretnie ruszyli za nami.

Dzień był nadal chłodny, ale ciepła bryza i pąki róż rozwijające się na kolczastych krzewach zapowiadały nadejście lata. Ścieżka pod naszymi stopami błyszczała od kwarcu. W regularnych odstępach stały ławki wyłożone płytkami, na których wymalowano bohaterskie czyny naszych dawnych królów, którzy walczyli, by odebrać Kastylię Maurom.

Ferdynand szedł obok mnie, stawiając starannie wymierzone kroki. Cisza między nami wcale nie była krępująca i nie chciałam pierwsza jej przerwać. Wystarczało mi, że mam chwilę odpoczynku, jestem w ogrodzie i mogę oddychać świeżym powietrzem. Kiedy jednak zbliżyliśmy się do fontanny, a Beatriz i Cabrera odwrócili się, by dać nam trochę prywatności, usłyszałam, że Ferdynand odchrząkuje.

– Chciałbym przeprosić za wczoraj. Nie zmierzałem cię obrazić.

Spojrzałam na niego. Wyczułam, że mimo młodego wieku nie ma w zwyczaju prosić o wybaczenie nikogo, a już zwłaszcza dziewczynę. Jako jedynemu dziedzicowi Jana Aragońskiego Ferdynandowi na pewno pobłażano, choć miałam wrażenie, że nie opływa w dobra materialne. Jego barchanowy dublet i wysokie skórzane buty były czyste, ale dość znoszone, a na kolanie płudrów miał zacerowaną dziurę, choć ktoś zaszył ją tak starannie, że prawie nie było jej widać. Zastanawiałam się, czy ubranie naprawiła mu matka, pochodząca z Kastylii aragońska królowa. Cera wyszła spod mistrzowskiej ręki, a tylko kobiety z monarszych rodów i zakonnice miały czas na doskonalenie takich umiejętności.

– Już ci mówiłam, że nie ma potrzeby przeproszać. Nie uraziłeś mnie.

– Ale nie powinienem był mówić tak o królowej – odparł.

– Racja, nie powinieneś.

Przygłodziłam dół sukni i usiadłam na jednej z kamiennych ławek przy fontannie.

Wolno płynąca woda połyskiwała w promieniach słońca, w ciemnych głębinach przemykały maleńkie kolorowe rybki. Podniosłam głowę, żeby spojrzeć Ferdynandowi w oczy. W tym świetle wyglądały wspaniale – były ciemnobrązowe z odrobiną miodowego odcienia w głębi, a lekko skośne kąciki jeszcze dodawały im uroku. Przyjdzie czas, kiedy księżę będzie topił serca jednym spojrzeniem. Już teraz był niesamowicie przystojny, a jeszcze nie osiągnął wieku męskiego.

Zupełnie bez zapowiedzi oświadczył:

– Wyjeżdżam dziś do Aragonii.

Poczułam w sercu ukłucie rozczarowania.

– Tak szybko?

– Niestety. Dostałem wiadomość od ojca. Matka... matka mnie potrzebuje. – Usta mu zadrżały.

Widząc, że jego oczy wilgotnieją, przesunęłam się i zrobiłam mu miejsce na ławce.

– Usiądź, proszę – powiedziałam, a on przysiadł przy mnie.

Był wyraźnie spięty, jakby bał się dać upust emocjom. Czekałam, aż się uspokoi. Kiedy ponownie się odezwał, mówił przyciszonym, nieznacznie już tylko drżącym głosem.

– Jest bardzo chora. Lekarze nie wiedzą, co jej jest. Cały czas słabnie. Zawsze wstawała przed wszystkimi i ostatnia kładła się spać, to ona zarządzała dworem. Ojciec już prawie całkiem oślepl, więc matka we wszystkim mu pomaga. Napisał, że zaniemogła kilka dni po moim wyjeździe i teraz o mnie pyta.

Widziałam po jego twarzy, ile wysiłku kosztuje go panowanie nad emocjami. Miałam ochotę go objąć, jakoś go pocieszyć, ale to byłoby wysoce niestosowne. W ogóle nie powinnam przebywać z nim sam na sam, choć Beatriz i Cabrera stali gdzieś niedaleko dla zachowania pozorów, że wymogi przyzwoitości są dochowane.

– Bardzo mi przykro – powiedziałam w końcu. – Utrata kogoś bliskiego musi być bardzo trudna.

Kiwnął głową. Widziałam, że zaciska zęby, bo na twarzy uwydatniły mu się kości szczęki. Odwrócił się w moją stronę.

– Sama straciłaś ojca. Wiesz lepiej niż inni, jakie to bolesne.

– Kiedy ojciec umarł, miałam tylko trzy lata. Prawie go nie znałam.

Przyglądał mi się z takim skupieniem, że poczułam się nieco skrępowana.

– Zawsze jesteś taka szczerą?

– Nie widzę powodu, czemu miałabym być nieszczerą.

– Zatem nie zastosujesz się do mojej rady o tym, że na dworze trzeba udawać?

Przez chwilę zastanawiałam się w milczeniu.

– Nie lubię kłamać.

– Nie twierdzą, że powinnaś kłamać. Musisz być jednak mniej bezpośrednia w okazywaniu uczuć, szczególnie tutaj. To niebezpieczne, nierozsądne. Czyhają tu zagrożenia, których nie rozumiesz.

– Sądziś, że znasz dwór mojego brata lepiej niż ja? – zapytałam.

Chciałam pokazać mu, gdzie jego miejsce, ale sama zdałam sobie sprawę, jak naiwnie brzmią moje słowa. Ferdynand wiedział, że dorastałam z dala od dworu i że on sam, książę z rodu naszych odwiecznych wrogów, choć czasem sojuszników, miał perspektywę, której mnie z racji wychowania brakowało.

Nie chodziło mu jednak o udowadnianie swojej wyższości, moje słowa go nie obraziły. Nachylił się do mnie i powiedział:

– Ferment wokół sukcesji będzie narastał.

– Czemu tak mówisz? Przecież mój brat ma następcę. Nie ma chyba powodów do niepokoju.

Popatrzył na mnie z ogromną niechęcią.

– Wiesz, o co mi chodzi.

– Tak – odparłam sucho. – Znow wracamy do gorszących plotek.

– To nie jest zwykła plotka. Znaczna część kastylijskiej szlachty jest bardzo niezadowolona z rządów króla i z jego wyboru następcy. Grandowie nie ufają Beltránowi de la Cuevie ani królowej. Ich zdaniem prawo do tronu ma twój brat Alfons...

Przerwałam mu.

– Już to słyszałam. Chcesz mnie jeszcze raz tym zadreć?

– Wybacz. – Zbliżył się i chwycił mnie za rękę.

Mimowolnie wydałam cichy okrzyk.

– Zanim wyjadę, muszę cię jednak ostrzec – powiedział – bo to dotyczy przyszłości naszych dwóch królestw.

– Czy mówisz w imieniu twojego ojca, króla Jana? – zapytałam.

Wzdrygnął się.

– Nie jestem rzecznikiem ojca. Chcę ci tylko pomóc, żebyś mogła obronić swój tron.

– Mój tron? – powtórzyłam dość szorstko. – Mogę zapytać, o który tron chodzi? Moja bratanica jest księżniczką Asturii i następcą tronu Kastylii. Jeśli, nie daj Boże, coś jej się stanie, to następny w porządku dziedziczenia jest mój brat. Ożeni się i będzie miał własne dzieci, które przejmą po nim tron. Ja nigdy nie zostanę królową.

– Zostaniesz! Mój ojciec zawsze gorąco pragnął, żebyśmy się pobrali. Będiesz królową, Izabelo, królową Aragonii i moją żoną.

Wpatrywałam się w niego.

– To będzie korzystny związek – dodał, ściskając mnie za rękę. Nie znałam człowieka, który miałby równie ciepłe dłonie. – Wiem, że Aragonia jest mniejsza, nie tak potężna i bogata jak Kastylia, ale łączą nas więzy krwi. Możemy zjednoczyć nasze królestwa, zaprowadzić między nimi pokój. – Przerwał, wbijając we mnie wzrok. – Co ty na to? Nie chciałabyś za mnie wyjść?

To była ostatnia rzecz, jaką spodziewałam się usłyszeć. Napotykając jego żarliwe spojrzenie, zdołałam wydukać:

– Ale ty jesteś jeszcze chłopcem, ja też jestem bardzo młoda...

– Nie! – powiedział podniesionym głosem. – Nie jestem małym chłopcem. W przyszłym roku skończę trzynaście lat. Zostałem już pasowany na rycerza, maczałem swój miecz we krwi, walcząc w obronie Aragonii. W swoim królestwie jestem już mężczyzną.

Były to chępliwe słowa, dokładnie takie, jakich się po nim spodziewałam. Kiedy jednak spojrzałam na nasze splecione dłonie, odniosłam wrażenie, że to dwa osobne pasma jedwabiu z tego samego motka – moja biała i szczupła, jego kwadratowa i opalona, ale obie prawie jednakowego rozmiaru i ze względu na nasz wiek jeszcze bez skazy.

Dlaczego wzbudzał me mnie takie uczucia? Był bezceremonialny i arogancki, zbyt bezpośredni jak na kogoś, kto udziela rad o konieczności udawania. Prawie go nie znałam. Nie mogłam się jednak oszukiwać – perspektywa małżeństwa z Ferdynandem wcale nie była nieatrakcyjna. Całe życie powtarzano mi, że pewnego dnia będę musiała stanąć na ślubnym kobiercu dla dobra Kastylii. Nigdy nie myślałam, że będę miała cokolwiek do powiedzenia w kwestii wyboru małżonka, ale to nie znaczy, że nie zastanawiałam się, kogo zgotuje mi los. Miałam takie same marzenia jak każda młoda dziewczyna. Nasz świat był pełen starych, grubych królów, więc nic dziwnego, że pociągała mnie propozycja młodego, zuchwałego księcia.

Oczywiście nie mogłam mu o tym powiedzieć. Nigdy nie podjęłabym tak ryzykownego zobowiązania. Ferdynand wyjeżdżał dziś do Aragonii. Kto wie, kiedy, jeśli w ogóle, znów się zobaczymy?

Wyswobodziłam dłoni.

– Kastylijska infantka może wyjść za mąż, kiedy skończy piętnaście lat. Jeśli chcesz odpowiedzi, przyjedź wtedy, a dostaniesz ją – jeśli najpierw poprosisz o moją rękę króla, mojego brata. – Zanim zdążył odpowiedzieć, dodałam: – Nie psujmy sobie już więcej tego spaceru. – Uśmiechnęłam się, żeby trochę zrekompensować mu urażoną dumę. – Chodź, przejdźmy się jeszcze. Opowiesz mi o Aragonii. Nigdy tam nie byłam, więc będę mogła zobaczyć ją twoimi oczami.

Ucieszył się z propozycji – znów zaczęliśmy się przechadzać, a Ferdynand szczegółowo opisywał mi swój kraj ojczysty. W jego głosie słyhać było dumę, kiedy mówił o aragońskich prowincjach, od bogatej północnej Huesca po lazurowe wody Walencji na południu. Opowiadał tak barwnie, że widziałam w wyobraźni imponujące poszarpane szczyty Aragonii, które pod wpływem lodowatego pirenejskiego wiatru zmieniają kolor z fioletowego na niebieski, głębokie wąwozy, w których kryją się doliny z roślinnością tak bujną, że rosną w nich dzikie drzewa

owocowe, oraz suche stepy, gdzie pasą się krowy i owce. Zobaczyłam też otoczoną murami stolicę Saragossę nad rzeką Ebro, z mauretańskim pałacem Aljafería i alabastrowym ołtarzem w słynnej bazylice, a także Barcelonę, miasto kupców zamieszkiwane przez nieokiełznanych Katalończyków, którzy niechętnie podporządkowali się aragońskim rządóm. Posmakowałam potrawki z krabów, która rzekomo zapobiegała chorobom, oraz słynnej pata negra, szynki z miasta Teruel. Dowiedziałam się, że Aragończycy toczą walki z przebiegłymi Francuzami, którzy nieustannie wdzierają się na ich terytorium, oraz że od wieków zaangażowani są w wojnę o władzę nad odległymi gorącymi królestwami Sycylii i Neapolu.

– Był czas, kiedy większość południowej Italii była w naszym posiadaniu – powiedział. – Mieliśmy też Korsykę i księstwo Aten. Byliśmy panami Morza Śródziemnego.

Oczywiście wiedziałam, jaki obszar zajmuje moje rodzinne królestwo Kastylia i Leónu, ale zafascynowała mnie jego opowieść o zamorskich posiadłościach Aragonii, gdzie przedsiębiorczy żeglarze wyprawiali się na poszukiwanie bogactw i skąd przywozili skrzynie przypraw, klejnotów i jedwabiu oraz bardzo cenny minerał, alun, wykorzystywany do farbowania tkanin.

– Jesteście jak Rzymianie – wysapałam. – Macie imperium.

– I upadliśmy jak oni! – Zaśmiał się, pokazując przy tym szparę między górnymi zębami, która z jakiegoś powodu wydała mi się urocza. – Widzisz, nasz skarbiec nigdy nie był tak wielki jak nasze ambicje, a utrzymywanie odległych posiadłości pochłania bardzo dużo pieniędzy. – Zamilkł i wyraźnie posmutniał. – A odkąd Turcy osmańscy zdobyli Konstantynopol, czyha na nas ogromne niebezpieczeństwo ze strony niewiernych. Ten podbój jest wielkim zagrożeniem dla całej Europy. W ten sam sposób Maurowie podbili nas kilka wieków temu. Historia może się powtórzyć. Mogą użyć Grenady jako furtki do Europy, tak samo jak Maurowie wykorzystali Gibraltar.

Przedstawiona przez niego wizja niewiernych zalewających nas ciemną falą przyprawiła mnie o dreszcze, ale podziwiałam rozległą wiedzę Ferdynanda. Sama nigdy nie zastanawiałam się nad katastrofalnym upadkiem Konstantynopola, jednego z najważniejszych miast chrześcijańskich, choć doszło do niego dwa lata po moim urodzeniu i wstrząsnął całym Kościołem. Wiedzę czerpałam wyłącznie z ilustrowanych kronik Kastylia, wierszy trubadurów i romantycznych traktatów takich jak *Księga dobrej miłości*.

Nigdy nie patrzyłam na świat tak jak Ferdynand – książę nie obierał punktu widzenia, w którym to my byliśmy w centrum, tylko postrzegał nasze królestwa jako części większej całości. Już samo słuchanie go mnie ekscytowało, jakbym stała na galeonie, który przecina spienione fale i zmierza ku nieznanym lądom...

Ferdynand westchnął.

– A teraz ten pajak, Ludwik Francuski zagraża Aragonii od północy, więc musimy utrzymywać armię w gotowości. Wojsko też kosztuje, więcej, niż sobie wyobrażasz. Grandowie nie zbiorą swoich wasali za darmo, a wasale nie będą walczyć bez odpowiedniej stawy. Moja matka była najlepszym zarządcą, jakiego mieliśmy. Doskonale wiedziała, jak można oszczędzać na dworze, żebyśmy mogli... – Zamilkł i odwrócił wzrok. – Nie mogę uwierzyć, że mówię o niej tak, jakby jej już nie było.

– Na pewno zrobiłeś to niechcący – powiedziałam.

Znów odwrócił się w moją stronę.

– Kiedy jesteś przy mnie, zbyt łatwo zapominam o troskach.

Zatrzymałam się. Dotarliśmy do okalających pałac arkadowych krużganków – nawet nie zdając sobie z tego sprawy, dwukrotnie okrążyliśmy ogród. Gdy pierwszy raz do niego weszliśmy, wydał mi się ogromnym labiryntem. Teraz, z głową pełną słów Ferdynanda, uznałam,

że jest ciasny, że to tylko stworzone ręką ludzką idealne żywopłoty, nienaturalnie przycięte drzewa i symetryczne ścieżki, które wiodą donikąd.

– Czy to nie twoja przyjaciółka? – zapytał.

Spojrzałam w stronę krużganków i zobaczyłam Beatriz, która siedziała na kamiennej ławce obok Cabrery. On gestykulował i opowiadał coś z niezwykłym ożywieniem, ona zaś wpatrywała się w niego z wielką uwagą.

Ferdynand zaśmiał się cicho.

– Ktoś mógłby powiedzieć, że on jest dla niej za stary, ale jej to najwyraźniej nie przeszkadza.

Natychmiast wzdrygnęłam się na tę aluzję.

– O czym tym mówisz? Don Andrés de Cabrera jest dla nas bardzo życzliwy. Na pewno nie ma żadnych ukrytych zamiarów...

Tym razem to ja zamilkłam, bo zdałam sobie sprawę, jak zachowuje się Beatriz – nie ulegało wątpliwości, że kokietuje: przechylała głowę i otwierała oczy znacznie szerzej niż zwykle, jakby Cabrera był najbardziej fascynującym człowiekiem, którego w życiu spotkała. Choć stałam na widoku, ledwie kilka kroków od niej, nawet mnie nie zauważyła.

Słumiłam chichot. Rzeczywiście wyglądało na to, że jest nim zauroczona.

Ferdynand szepnął mi do ucha:

– Muszę nauczyć cię tańczyć.

Moja wesołość natychmiast wyparowała.

– Tańczyć? Przecież tańczyliśmy wczoraj wieczorem. Wiem, jak to się robi, dziękuję ci bardzo.

– Tak, i to wspaniale, ale nie znasz żadnych aragońskich tańców. Musisz opanować chociaż jeden, żebyś miała po mnie pamiętkę.

Zanim zdążyłam zaprotestować, chwycił mnie za rękę i zaprowadził na wyłożony płytkami plac przy fontannie. Próbowалам się wyrwać.

– Nie – powiedziałam, a w moim głosie słychać było strach i zdenerwowanie. – Ktoś może nas tu zobaczyć.

– Kto? – Zachichotał, oglądając się w stronę krużganków. – Oni nic nie zauważą, nawet jeśli byśmy odpalili armatę. Nie obawiaj się, to tylko taniec.

– Nie, naprawdę. Nie powinnam. Nie tutaj, w ogrodzie. To... niestosowne.

Zamarł, wpatrując się we mnie.

– Zawsze jesteś taka poważna? – zapytał.

Choć to pytanie można było uznać za obraźliwe, wiedziałam, że nie chciał mnie urazić. Naprawdę był ciekawy.

– Oczywiście – odparłam, unosząc hardo podbródek. – Jestem infantką Kastylii i zawsze muszę o tym pamiętać.

Uniósł jedną brew.

– Zawsze? Czy nawet kastylijska infantka nie może się od czasu do czasu zabawić?

– Nie sędzę, żeby taniec w ogrodzie... – zaczęłam, ale on mnie zignorował.

Nucąc pod nosem, przeszedł na płytki. Ustawił się. Oszalał. On rzeczywiście zamierzał to zrobić. Będzie tańczył.

– Ten taniec – powiedział, odgarniając włosy z czoła – tańczy się na wsi po żniwach, żeby uczcić hojność natury.

I to chłopski taniec, wywodzący się z pogańskich rytuałów! Powinnam odejść. To nieprzyzwoite. On był nieprzyzwoity. Nie byłam jednak w stanie – stałam jak sparaliżowana, przyglądając się z fascynacją pewnym ruchom jego mocnego ciała: wyrzucał ręce na boki,

szeroko je rozkładając, podśpiewywał głośno i krzyżował nogi, szybko i precyzyjnie.

– To ma symbolizować wiązanie zboża w snopy – zawołał do mnie, nie przestając się kręcić i wykonywać skomplikowanych wyrzutów i podskoków. – Chodź! Nauczę cię!

Wyciągnął rękę w geście zaproszenia. Zbliżając się do niego, sama nie wierzyłam, że to robię. Z okien pałacu mogli przecież obserwować nas zgorszeni dworzanie, każdy, kto szedł kruzgankami, mógł nas zobaczyć. Teraz Beatriz już na pewno nas zauważyła i bez wątpienia przyglądała się z otwartymi ustami, jak wyciągam rękę, a Ferdynand ściska ją gorącymi palcami.

Był spocony i szeroko się uśmiechał.

– Zapłaczesz się w te spódnice – stwierdził, patrząc z dezaprobatą na moją suknię.

Zamarłam.

Nachylił się do mnie i szepnął:

– Bądź dzielna, Izabelo.

Zaschło mi w gardle. Szybko i sprawnie schyliłam się, zebrałam dół powłóczystej sukni i związałam go w supeł przy łydce. Spojrzałam na Ferdynanda.

– Robisz to nie pierwszy raz – powiedział, zuchwale przyglądając się moim obleczonym w beżowe pończochy kostkom. Nie lubiłam ich – były zbyt kościste i sprawiały, że moje stopy wyglądały niezgrabnie.

– Wbrew temu, co myślisz o rozpieszczonych infantkach – rzuciłam na tyle zgryźliwie, by oderwał wzrok od moich nóg i popatrzył mi o w oczy – dorastałam w zamku, gdzie się pracuje i trzyma trzodę. Brud i błoto były na porządku dziennym, a ja nie mogłam sobie pozwolić na niszczenie sukien.

Uklonił się i przysunął, a następnie objął mnie jedną ręką w talii.

– To prostsze, niż się wydaje – wymruczał. Był tak blisko, że czułam zapach słonego potu na jego skórze. – Po prostu rób to co ja.

Najpierw omal nie upadłam, bo Ferdynand podskoczył szybko i niespodziewanie, a kolejne kroki były bardzo skomplikowane. Za drugim razem niezdarnie mi się udało, a on klaskał zachęcająco. Później, znów nucąc melodię, która przypominała mi dźwięki piszczałki pasterza prowadzącego stado kóz w górach, wziął mnie za rękę, przekręcił tak, żebyśmy stali do siebie twarzą w twarz, i oznajmił:

– Na trzy podskakujemy razem, wyrzut nogi, obrót i powtórka.

– Nie dam rady – powiedziałam, zamykając oczy, by lepiej wczuć się w melodię.

Kiedy zaczął nucić i mocniej ścisnął mnie za rękę, wstrzymałam oddech. Podskoczyłam, machając nogami w przód i w tył. Kiedy wylądowaliśmy na ziemi, obróciłam się do niego tak szybko, że prawie spadło mi nakrycie głowy. A potem przestałam nad sobą panować, już nie wiedziałam, co wypada, a czego nie. Słyszałam głośne bicie własnego serca, a następnie wybuch śmiechu, który wystrzelił ze mnie niczym długo więziony ptak. Później zrobiliśmy to jeszcze raz.

Staliśmy zdyszani, nadal trzymając się za ręce, a woda w fontannie szumiała nam brawo. Kiedy Ferdynand spojrział mi w oczy, przestałam słyszeć walenie w swojej piersi. Na niebie pojawiła się chmura, która zasłoniła słońce. Dzięki niespodziewanej grze światła i cienia byłam w stanie zobaczyć, jak książę będzie wyglądał za wiele lat, jako dorosły mężczyzna: będzie miał szczuplejszą twarz, szersze czoło, ale jego oczy pozostaną radosne, a on sam pełen życia. Intuicja podpowiadała mi, że niezależnie od wieku Ferdynanda, jego uśmiech pozostanie niezmienny.

– Zarumieniłaś się. – Wypuścił moją rękę i zbliżył dłoń do mojej twarzy. – Masz taką jasną skórę, białą jak księżyc...

Stałam nieruchomo. Czułam dotyk jego palców i przyjemne ciepło, które rozchodziło mi się żyłami po całym ciele, tak że wstrząsały mną wewnętrzne dreszcze.

Kakofonia katedralnych dzwonów oznajmiających południe zwolniła mnie od odpowiedzi. Usłyszałam za sobą odgłos kroków. Ferdynand się odsunął. Kiedy się odwróciłam, zobaczyłam spieszącą w moją stronę Beatriz. Miała rumieńce na policzkach i wyglądała na tak samo poruszoną jak ja. Cabrera stał przy ławce, a na jego twarzy malowało się zdumienie. Czy to możliwe, że byli tak pochłonięci sobą, że nas nie zauważyli, i dopiero dzwony przywołały ich do porządku?

– O pani, wybacz. – Beatriz wykonała swoje niezgrabne dygnięcie. – Straciłam poczucie czasu. Czy Wasza Wysokość skończyła spacerować? Czy od dawna na mnie czeka?

Mówiła pospiesznie, ale w jej głosie wyczułam nutkę wesołości, która sugerowała, że chociaż Beatriz sama była zajęta, widziała, co robiliśmy.

– Nie – odparłam, zastanawiając się, czy moja radość też jest tak ewidentna. – Niezbyt długo.

Kiedy z nią rozmawiałam, wspomnienie tańca zaczęło się ulatniać, jak wonny dym czy piękny sen. Chciałam chwycić je w ręce, zanim zupełnie zniknie, i zamknąć w muszli niczym rzadką perłę. Przez moment czułam się całkiem beztroska, jakbym nie miała żadnych zmartwień, obaw ani wątpliwości.

Na chwilę, która szybko mi się wymykała, poczułam się wolna.

– Niestety czas już na nas – powiedziałam cicho do Ferdynanda. – Mamy wysłuchać seksty, a potem musimy przebrać się na ucztę. Zobaczymy się tam?

– Przykro mi, ale nie – odparł. – Służący pewnie się zastanawiają, gdzie się podziałem. Mieliśmy wyjechać przed sekstą. Podróż do Aragonii zajmie nam przynajmniej dwa dni.

– Aha. – Choć byłam rozczarowana, zmusiłam się do uśmiechu. – Dziękuję. Było mi bardzo miło, kuzynie. Mam nadzieję, że jeszcze się zobaczymy.

– Ja też, moja infantko.

Nie umknął mi nacisk, jaki położył na słowo „moja”. Chwycił mnie za rękę i uklonił się. Beatriz mnie szturchnęła, a ja rzuciłam jej groźne spojrzenie. Zwracając się do mojej przyjaciółki, Ferdynand powiedział:

– Señorita de Bobadilla, miło było mi panią poznać.

Beatriz dygnęła.

– To dla mnie zaszczyt, Wasza Wysokość.

Ferdynand spojrzął mi w oczy.

– Napiszę.

Zanim zdążyłam cokolwiek z siebie wydusić, ruszył przez ogród w stronę swojej komnaty. Szedł krokiem tak pewnym, jakby już setki razy przebył ten nieznamy przecież labirynt ścieżek. Patrzyłam, jak znika w pałacu. Musiałam się powstrzymać, żeby nie krzyknąć za nim, że miał rację. Taniec sprawił mi przyjemność. Nawet wielką.

– Podoba ci się – powiedziała Beatriz.

Przytaknęłam z udawaną nonszalancją.

– Jest dość zabawny, jak na chłopca.

– Już niedługo nie będzie chłopcem. Poza tym jest śmiały, jak na swój młody wiek.

– Racja. Tobie natomiast chyba dobrze rozmawiało się z don Andrésem.

Z satysfakcją patrzyłam, jak przyjaciółka się czerwieni, choć potrząsnęła głową i odpowiedziała niedbale.

– Cabrera? Phi, on nic dla mnie nie znaczy.

Po sekście wróciłyśmy do naszej komnaty i szybko przebrałyśmy się w dworskie suknie. W drodze do alkazaru powiedziałam Beatriz, że rzeczywiście potrzebujemy większej garderoby, zważywszy na to, w ilu ucztach musimy uczestniczyć. Niezbyt miałam jednak ochotę zwracać się

o pomoc do Mencii de Mendozy albo do królowej, zwłaszcza że już pochopnie odrzuciłam ich ofertę.

– Może poprosimy Andrésa, to znaczy señora Cabrerę. Jego matka może coś zaradzić – powiedziała Beatriz. – Była dla nas taka życzliwa. Na pewno chętnie nam pomoże.

Kiwnęłam głową.

– Tak, może nam też pomóc w szyciu sukien. Poradzę sobie, jeśli będę miała dobre wykroje. Ty natomiast szyjesz tak samo beznadziejnie, jak dygasz.

Skrzywiła się.

– Jakby kogoś obchodziło, co mam na sobie.

– Don Andrésa de Cabrerę chyba obchodzi – odparłam.

Położyła sobie ręce na biodrach, wyraźnie obruszona.

– Zamierzasz droczyć się ze mną z jego powodu przez cały dzień? Jeśli tak, proszę, daj mi znać, żebyśmy mogła cię ignorować.

– Nie złość się. – Pocałowałam ją w policzek. – Obiecuję, że już o nim nie wspomnę.

– To dobrze, bo nie ma o czym. Przyjemnie się z nim rozmawia, nic więcej.

Mrugnęła do mnie i obie musiałyśmy tłumić chichot, wchodząc do sali reprezentacyjnej. Na podłodze leżało pachnące rozmarynem sitowie, które chrzęściło nam pod nogami.

Ruszyłam w stronę podwyższenia, na którym Alfons siedział już między Henrykiem i królową. Drwiące spojrzenie Joanny, która przyglądała się, jak w pośpiechu zajmuję miejsce, sprawiło, że postanowiłam być odtąd bardziej punktualna. Jak na razie ciągle się spóźniałam.

Królowa miała na sobie aksamitną purpurową suknię skrojoną tak, by eksponowała jej idealny biust. Na szyi połyskiwał jej naszyjnik z pereł i diamentów, w których odbijało się ogniste światło. Kiedy zauważyła, że mu się przyglądam – bo jeszcze nigdy nie widziałam tak wspaniałych klejnotów – dotknęła naszyjnika i wymruczała:

– Podoba ci się?

– Jest bardzo piękny. – Nie dodałam, że wygląda też na bardzo drogi.

– To prezent od Henryka z okazji narodzin naszej córki. – Uśmiechnęła się pobłażliwie do króla, a potem zwróciła się do mnie. Sztuczna serdeczność w jej głosie nie zdołała całkiem ukryć jej pogardy. – Czy to nie ta sama suknia, którą miałaś na sobie wczoraj? Izabelo, kochanie, pozwól mi zająć się twoją garderobą. Musisz zawsze być ubrana stosownie do statusu. To nie jest Arévalo. Na dworze wygląd jest bardzo ważny.

Czułam się tak, jakby wylała na mnie kubel zimnej wody. Skąd wiedziała, że przed chwilą się tym zamartwiałam? Przypomniałam sobie nagle podziw w oczach Ferdynanda, kiedy tańczyliśmy w ogrodzie. On chyba nie przejmował się, co mam na sobie.

Henryk uśmiechnął się do mnie nieśmiało.

– Tak, Izabelo, pozwól, by Joanna ci pomogła. Zna się na wszystkich najnowszych modach.

– Poza tym – dodała królowa z nutką złośliwości w słodkim głosie – mogę ci dać swoją starą biżuterię. Każda infantka musi mieć ładne klejnoty, prawda?

Odwrociłam wzrok.

– Wasza Wysokość jest bardzo hojna. Będę zaszczycona.

– Oczywiście, że będziesz.

Potem zaczęła rozglądać się po sali, do której słudzy wnosili właśnie pierwsze potrawy. Uznałam, że Joanna i Henryk rozwiązali wszelkie spory z poprzedniego dnia, bo królowa śmiała się i szeptała coś do męża, jakby nic się nie stało. Zauważyłam też, że człowiek, z którym tańczyła, Beltrán de la Cueva, siedzi z jej damami dworu i szczególną uwagę okazuje Mencii de Mendozie. W świetle dziennym wydawał się jeszcze piękniejszy. Jego ozdobny błękitny dublet

uszyty na włoską modłę miał rozcięcia, a wystające rękawy koszuli i kołnier – wzór z drobnych diamentów. Królowa jednak zachowywała się tak, jakby w ogóle nie widziała de la Cuevy. Mnie natomiast zaprzętnęło nietypowe milczenie Alfonsa.

W końcu zapytałam, jak mu minął dzień.

– Dobrze. – Nabił kawałek pieczeni z dziczyzny na nóż.

– Nie wyglądasz, jakby wszystko było w porządku – odparłam, spoglądając na niego. – Co się stało? Każą ci się za dużo uczyć? Jeśli chcesz, zapytam arcybiskupa, czy mogę ci pomóc...

– Ty nic nie rozumiesz, Izabelo – rzucił pełnym wściekłości głosem. – Jesteś tylko głupiutką dziewczynką.

Henryk rzucił nam szybkie spojrzenie. Zmusiłam się do uśmiechu, choć czułam się urażona niespodziewanym atakiem brata. Zawsze był beztroski, rzadko dawał się ponieść emocjom. Wydawało mi się, że nagle zamienił się w zupełnie obcą osobę. Musiałam z całych sił tłumić napierającą falę łez. Zostałam już nazwana głupiutką dziewczynką, więc ostatecznie, czego mi teraz było trzeba, to rozplakać się jak dziecko.

– Daj spokój, Alfonsie – odezwał się król, zdradzając, że słyszał naszą wymianę zdań. – Jestem pewny, że Izabela po prostu się o ciebie martwi i...

Drzwi huknęły głośno, a następnie do sali weszli markiz de Villena w towarzystwie swojego olbrzymiego brata Giróna i sześciu wasali. Zmierzali w naszą stronę dumnym krokiem, a dźwięk obnażanego przez Giróna miecza w ciszy, która nagle zapadła, brzmiał jak syk węża.

Alfons zeszywniał. Czułam, że chwyta mnie pod stołem za kolano. Siedzący na tronie Henryk również znieruchomiał. Kiedy grandowie stanęli przed podwyższeniem, królowa wydała okrzyk przerażenia, a Beltrán de la Cueva poderwał się z krzesła.

De Villena się uśmiechnął. Girón zamachnął się i o mały włos nie trafił szerokim mieczem faworyta królowej.

– Sukinsyn – rzucił Girón. – Podejdź bliżej, a usmażę cię żywcem i nakarmię tobą psy.

De la Cueva nie był uzbrojony – zgodnie z prawem w obecności króla dworzanie nie mogli mieć przy sobie broni. Stał, dysząc ciężko, bo za późno zdał sobie sprawę, że popełnił błąd. Girón mu pogroził. Kiedy Mencía i reszta dam dworu usunęły się z drogi, Girón wymierzył de la Cuevie cios pięścią w twarz, tak że królewski faworyt runął na stół, zrzucając z hukiem sztućce, kielichy i talerze.

Królowa zaczęła jęczeć. Mauretańscy strażnicy ruszyli spod ściany z szablami w rękach i stanęli murem przed podwyższeniem. Henryk ścisnął kurczowo podłokietniki tronu.

– Co... co to ma znaczyć, markizie – zapytał drżąc.

De Villena wskazał na Beltrána, który był cały brudny od wina i jedzenia, a na twarzy już miał wielkiego siniaka. Szlochająca Mencía pomogła mu wstać. Dworzanie się rozpierzchli – niektórzy pobiegli do tylnych drzwi, jakby spodziewali się pożogi.

Głos de Villeny był niezwykle donośny.

– Chcecie mianować tego pyszałkowego błazna mistrzem zakonu Santiago? On ma stać na czele najważniejszego zakonu rycerskiego w Kastylii? Po tym wszystkim, co dla was zrobiłem, zamierzacie jemu dać godność, która należy się mnie!

– Jak śmiesz – zapiszczała Joanna.

Henryk jej przerwał.

– Zapominacie się, markizie. To ja jestem królem. Obdarzam honorami tego, kto mi się podoba.

– Raczej tego, kto podoba się waszej portugalskiej dziwce – odparł de Villena.

W żółtozielonych oczach markiza widać było lodowatą nienawiść. Łączyła ich z królem

wspólna burzliwa historia, o której nie wiedziałam. Nie mogłam uwierzyć, że którykolwiek grand, nawet najbardziej urażony, ma czelność tak się zachować przy swoim monarsze.

– Ona nie jest twoja – dodał de Villena. – Dziecko, które mianowałeś swoim następcą, nie jest twoje. Sądziłem, że o tym nie wiesz, ale widzę, że jest inaczej. Musisz wiedzieć, bo tylko świadomy rogacz nadaje tytuły kochankowi żony.

– Właśnie – wtrącił Girón, po czym splunął, przyglądając się strażnikom i ściskając w rękę miecz, jakby miał zamiar rzucić się na nieruchomych Maurów.

– Możesz się chować za swoimi niewiernymi brudasami, jak długo chcesz, ale w końcu boża prawda zwycięży!

Przez straszliwy moment myślałam, że Henryk każe wysiec markiza, jego brata i ich ludzi. Król jednak stał tylko roztrzęsiony, a na twarzy malowały mu się zdumienie i niedowierzanie.

– Zrób coś – syknęła do niego Joanna. – Każ ich aresztować. Oni kłamią. To zdrada.

– Czyżby? – zapytał chłodno Henryk.

Joanna się wzdrygnęła. Król spojrzał na de Villenę.

– Pozwalam wam odejść z dworu, jeśli nie zgadzacie się z moją polityką. Ale ostrzegam: zdrada stanu nie będzie tolerowana, niezależnie od tego, jak słuszne kierują wami motywy.

– Zapamiętam – odpowiedział de Villena, a potem ukłonił się pogardliwie, odwrócił się na pięcie i wyszedł.

Girón znów pomachał mieczem w stronę de la Cuevy, którego posiniaczona twarz była teraz chorobliwie blada. Następnie brat markiza ruszył ciężkim krokiem do wyjścia, rzucając sprośne uwagi stłoczonym przy drzwiach dwórkom.

Strażnicy stali nieruchomo. Henryk powiedział coś w ich języku, a wtedy wszyscy równocześnie się wycofali, jak dobrze wytresowane psy gończe. Byłam pewna, że gdyby dostali tak rozkaz, bez wahania zabiliby de Villenę i Giróna.

Joanna zeszła szybko z podwyższenia, dwórki ruszyły za nią i razem opuściły salę. Oszołomiony de la Cueva został sam. Spojrzał błagalnie na króla, ale ten odwrócił wzrok. Dopiero wtedy zauważyłam, że arcybiskup Carrillo wbiegł bocznym wejściem. Na jego rumianej twarzy widać było troskę. Towarzyszyło mu kilku zamkowych strażników.

– Wasza Wysokość – powiedział. – Właśnie mi o wszystkim doniesiono. To skandal! De Villena posuwa się za daleko. Czy mogę...

Henryk wyszeptał.

– Zabierz ich stąd.

Carrillo przywołał nas ruchem ręki.

– Chodźcie, moje dzieci. Szybko.

Alfons i ja zerwaliśmy się z krzesel. Beatriz wyszła z tłumu dworzan, by do nas dołączyć. Kiedy Carrillo nas wyprowadzał, zauważyłam, że Henryk skulił się na tronie i schował twarz w dłoniach, jakby właśnie dostał śmiertelny cios.

W korytarzu arcybiskup kazał Cabrerze zabrać nas do komnat.

– Przypilnuj, żeby nigdzie dziś nie wychodziły – polecił.

Coś w jego głosie, jakaś mroczna nuta, sprawiło, że spojrzałam na Alfonsa. Stał z Carrillem i strażnikami, a na jego twarzy malowało się przerażenie.

Cabrera pokierował nas na zewnątrz. Słyszałam szcęk zbroi, kiedy grupa z moim bratem ruszyła w przeciwnym kierunku. Nagle Alfons zawołał:

– Izabelo!

Odwróciłam się. Podbiegł do mnie i wpadł w moje objęcia.

– Przepraszam – wysapał. – Wcale tak nie myślę. Wcale nie jesteś głupia. Chodzi o to,

że... ja się boję.

– Dlaczego? Czego się boisz, Alfonsie?

Zadając mu to pytanie, spojrzałam za plecy brata, tam gdzie stał zniecierpliwiony Carrillo z rękami na biodrach. Miał białą, sięgającą do kostek szatę, która lekko się rozchodziła, odsłaniając czarną tunikę, i skórzany pas okalający jego szeroką talię. Pas był szerszy niż moja ręka i zwisał z niego miecz w pochwie.

Arcybiskup też nosił broń na dworze. Sługa boży wyposażony jak wojownik. Kiedy wyobraziłam sobie, jak żądny krwi biega po polu bitwy, wrzeszcząc, wymachując mieczem i ścinając kolejne głowy, serce zaczęło mi walić jak oszalałe.

– Zostań z nami – powiedziałam do Alfonsa. – Proszę cię, nie idź z nim.

Brat potrząsnął głową.

– Nie mogę. Obiecałem, że zrobię, co do mnie należy. Przykro mi, Izabelo.

Pocałował mnie lekko i wrócił do Carrilla. Ja stałam nieruchomo, przyglądając się, jak arcybiskup kładzie ręce na ramionach Alfonsa niczym dębową belkę i gdzieś go prowadzi.

Chciałam pobiec za nimi, wymóc na bracie obietnicę, że nie będzie narażał życia.

Wiedziałam jednak, że żadne moje słowa ani czyny nie są w stanie zmienić tego, co nastąpi. Miał rację: byłam tylko głupiutką dziewczynką, od której nic nie zależało i która w żaden sposób nie mogła wpłynąć na bieg naszego życia.

Wtedy zdałam sobie sprawę, że upłynie wiele czasu, zanim znów zobaczę brata.

Dwa dni później, kiedy siedziałyśmy z Beatriz przytulone i przy blasku świecy wsłuchiwałyśmy się w warczenie niezadowolonych lampartów z królewskiej menażerii, Cabrera przyniósł nam nowe wieści.

– Arcybiskup Carrillo opuścił dwór. Zabrał ze sobą infanta, twierdząc, że to jemu wasza matka powierzyła osobistą opiekę nad synem. Król wydał rozkaz, że mają zostać sprowadzeni z powrotem, ale nikt nie wie, dokąd pojechali. Carrillo ma wiele posiadłości i wiernych wasali. Może być wszędzie. Zrobię, co w mojej mocy, dla Waszej Wysokości, ale...

– Ale muszę też sama się o siebie zatroszczyć – dokończyłam, zmuszając się do uśmiechu.

Pod nieobecność Carrilla i Alfonsa to ten szlachcic i Beatriz byli moimi jedynymi przyjaciółmi na dworze. Cabrera sięgnął w zanadrze i wyjął złożony pergamin. Beatriz w milczeniu włożyła płaszcz.

– Zostawimy Waszą Wysokość samą z tym listem – powiedziała i wyszła na zewnątrz za Cabrera.

Dłuższą chwilę wpatrywałam się w przesyłkę, zanim złamałam woskową pieczęć z herbem Aragonii. Powoli rozłożyłam delikatny pergamin.

Było na nim zaledwie sześć słów:

Bądź dzielna, Izabelo. Czekaj na mnie.

* Marran – w średniowieczu Żyd mieszkający na Półwyspie Iberyjskim, który przyjął chrzest, żeby uniknąć prześladowań religijnych, ale w ukryciu nadal praktykował judaizm (przyp. tłum.).

Rozdział ósmy



Kiedy wiosna zamieniła się w ogniste lato, kupcy roznieśli wieść do oddalonych prowincji i miast, kumoszki rozsiały ją niczym nasiona między wasalami, a ci pospieszyli z nią do swoich rezydujących na zamkach panów. Jesienią już wszyscy wiedzieli o nagłym wyjeździe Alfonsa z Segovii i buncie markiza de Villeny. Wątpliwości co do tego, czy Joanna jest dzieckiem ślubnym, stały się pożywką dla plotek.

Nie dostałam żadnych wiadomości od brata ani od Carrilla, sama też nie odważyłam się wysłać żadnych listów. Choć mieszkałam w casa real i miałam niewielką służbę opłacaną przez króla i nadzorowaną przez Cabrere, uważnie mnie obserwowano i nie byłam w pełni wolna. Każdy wyjazd poza mury zamkowe wymagał zgody króla i odpowiedniej eskorty strażników.

Wszystkie dworskie plotki przekazywała mi Beatriz. To dzięki niej dowiedziałam się, że de Villena i kilku innych grandów zebrał się w północnym mieście Burgos, gdzie ogłosili zawiązanie koalicji w imię obrony praw Alfonsa. Groźba wojny domowej wisiała nad Kastylią niczym czarne chmury czekające na pierwszy grzmot. Nie było dnia, żeby nie słyszano tyrady Joanny, która nakłaniała Henryka do wysłania wojsk przeciw rebeliantom.

Nie kryła się z tym nawet w mojej obecności – pewnego ranka siedziałam skulona w kącie jej komnaty i starałam się nie zwracać na siebie uwagi, podczas gdy ona krzyczała do zdenerwowanego króla:

– Za wszystkim stoi Carrillo. Znalazł sposób na zemstę i zamierza go wykorzystać przeciwko tobie. Jak mogłeś dopuścić, by zabrał Alfonsa? Powinieneś był go zatrzymać, kiedy jeszcze się dało.

– Joanno, proszę cię. – Henryk stał przed nią, ściskając w rękach czerwony wełniany turban. – Alfons to jeszcze dziecko. Jakże on może stanowić zagrożenie dla...

– To dziecko, jak go nazywasz, może podburzyć przeciwko tobie całe królestwo! Boże wszechmogący, czy ty naprawdę jesteś aż taki ślepy, że nie widzisz, co naprawdę się dzieje? De Villena i Carrillo stoją na czele tej tak zwanej koalicji. Uknuli to całe zajście na dworze, żeby móc uprowadzić Alfonsa. Musisz położyć kres temu spiskowi, zanim będzie za późno!

Henryk zwiesił głowę i wymamrotał, że nie ma dowodów na zdradę, więc nie może nic zrobić. Spojrzał na mnie przepraszająco, po czym jak zwykle uciekł do swojej leśnej kryjówki, domku myśliwskiego El Pardo w Madrycie, zostawiając mnie z rozwścieczoną królową.

– Nie pozwolę obmawiać mojej córki, która jest prawowitą dziedziczką Kastylii – oznajmiła, pokazując na mnie upierścienionym palcem. – Jeśli Carrillo odważy się dołączyć do tej zgrai zdrajców w Burgos, zapłaci za to głową... Twój brat też. Na twoim miejscu modliłabym się teraz szczególnie żarliwie. Każę zabić każdego, kto będzie chciał pozbawić tronu moje dziecko.

Drżałam, słuchając tych pogroźek, a równocześnie było mi za nią wstyd. Przechadzała się w swoich jaskrawych sukniach, z rozłożonymi rękami, i poprzysięgała zemstę tak wulgarnie jak byle dziewczucha w gospodzie. Jej wrzaskliwość i to, że ostentacyjnie kazała przynosić kołyskę na wszystkie dworskie okazje, tak że biedne dziecko płakało i krztusiło się od sadzy spadającej z pochodni na narzutkę – wszystko to wydawało mi się brawurą tchórza targanego zawieruchą.

Gdziekolwiek spojrzalam, dworzanie gromadzili się i coś między sobą szeptali. Joanna

chyba zdawała sobie z tego sprawę. Plotek nie uciszył nawet ślub Beltrána de la Cuevy z Mencią de Mendozą. Wręcz przeciwnie – wszyscy mówili, że jeśli tytuł mistrza zakonu Santiago nie był wystarczającą nagrodą za wysiłki w królewskiej alkowie, to ręka przedstawicielki potężnego rodu Mendozów z pewnością nią jest, bo de la Cueva to dorobkiewicz, który może poszczycić się wyłącznie urodą, podczas gdy Mencia jest szlachetnie urodzoną córką granda.

W odpowiedzi na te plugawe spekulacje królowa wymusiła na mnie uległość, jakby publicznie mnie upokarzając, była w stanie powstrzymać mielące jęczory. Na wszystkich uroczystościach kazała mi chodzić za małą Joanną, żeby podkreślić moją niższą pozycję na dworze. Musiałam też siedzieć w jej komnacie przy kołysce i godzinami potrząsać srebrną grzechotką, podczas gdy królowa grała z dwórkami w kości. Szybko zorientowałam się, że choć nieustannie wszystkich napastowała, broniąc praw córki, dziecko tak naprawdę w ogóle jej nie obchodziło. Ani razu nie widziałam, żeby wzięła je na ręce, kiedy nie miała publiczności, a mała Joanna zawsze robiła się nerwowa w obecności matki, jakby wyczuwała jej obojętność. Było mi żal dziewczynki i starałam się okazywać jej uczucia, choć zdawałam sobie sprawę, że wpadam w zastawione sidła.

W kwietniu 1465 roku bez fanfar obchodziłam czternaste urodziny. Minął rok, odkąd ostatni raz widziałam brata. Na migdałowcach pojawiły się kwiaty, ziemia wchłaniała promienie ostrego kastyljskiego słońca, a Joanna zaczęła stawiać pierwsze chwiejne kroki, awansując z kołyski do szelek, w których uczyła się chodzić. Jak tylko zrobiło się wystarczająco ciepło, zaczęłyśmy przy każdej nadarżającej się okazji wykradać się z Beatriz do ogrodów, żeby uciec od duchoty dworu i kwaśnej miny królowej.

Joanna gaworzyła i dreptała na swoich pulchnych nóżkach za motylami, a niania trzymała końce jej szelek. Poszłyśmy obejrzeć lśniące cętkowane lamparty, które mieszkały na ogrodzonym terenie, gdzie starannie odtworzono im naturalne warunki. Leżały tam nawet przykryte liśćmi korpusy jeleni, nad którymi unosiły się roje much. Kiedy Joanna się zmęczyła i opiekunka ukoiła ją do snu, siedziałyśmy na kamiennych ławkach przy krużgankach, rozmawiając o błahostkach.

Często dołączał do nas Cabrera. Dotrzymywał słowa i opiekował się mną najlepiej, jak potrafił. Troszczył się, żebyśmy zawsze miały dość świec i dodatkowe przykrycia na łoża, natomiast jego matka nadzorowała moją komnatę. Pełniła też funkcję honorowej matrony, dbając o moją garderobę, bo mimo obietnic królowa nie dała mi ani jednej sukni, a tego, co przywiozłyśmy, szybko zabrakło. W tym okresie zaczęłam traktować Cabrerę jak przybranego wujka. Miał szerokie, opalone czoło, mądre piwne oczy i szczupłą sylwetkę, zawsze odzianą w elegancki czarny aksamit bez żadnych zdobień. Był przyjacielski, ale nigdy zbyt bezpośredni, cechował się niezwykłym taktem. Nie umknęło mojej uwagi to, że Beatriz oblewa się rumieńcem za każdym razem, kiedy Cabrera się do niej zwraca, ani to, jak on długo jej się przygląda. Moja przyjaciółka skończyła siedemnaście lat, była zjawiskowo piękną i wielce niezależną młodą kobietą. Wyczuwałam, że odwzajemnia uczucia Cabrery, nawet jeśli sama przed sobą jeszcze się do tego nie przyznaje. Zgodnie z obietnicą nie droczyłam się z nią ani nie byłam wścibska. Świadomość, że przyjaciółka być może znalazła miłość, była dla mnie jedną z niewielu pociech, a ich rozwijające się uczucie traktowałam jak cenny skarb, który sama kiedyś miałam nadzieję osiąść.

Nie dostałam żadnych więcej wiadomości od Ferdynanda, choć sama opisałam mu swoje lęki w spontanicznym liście, który Beatriz potajemnie wysłała. Początkowo brak odpowiedzi dotknął mnie bardziej, niż się spodziewałam. Wydawało mi się, że łączy nas coś wyjątkowego, więź, którą ceni. Obiecywał, że napisze, ale na razie dostałam tylko jedną krótką notatkę. Wstydziałam się, że byłam z nim taka bezpośrednia, że tak łatwo dałam mu na siebie wpłynąć, że

rozmawiałam z nim o wiele szczerzej, niż mam w zwyczaju. Moje rozczarowanie musiało być widoczne, bo pewnego dnia na początku czerwca Beatriz podeszła do mnie na krużgankach i oznajmiła:

– Cabrera właśnie opowiadał mi o sytuacji w Aragonii. Obawiam się, że nie jest dobrze. Zaskoczona podniosłam wzrok znad książki.

– Co się stało? Czy Ferdynand... – Nie potrafiłam dokończyć. Nawet nie byłam w stanie sobie tego wyobrazić.

Beatriz przyjrzała mi się uważnie.

– Tak myślałam. Chodzisz osowiała od tygodni, odkąd wysłałyśmy ten list.

– Wcale nie – odparowałam natychmiast, choć oczywiście wiedziałam, że ma rację.

Gdybym nie była smutna, przyjaciółka nigdy nie podpytywałaby Cabrery, żeby zdobyć dla mnie informacje. Westchnęłam.

– Masz rację. Martwiłam się.

– I nie bez powodu. – Usiadła przy mnie i powiedziała przyciszonym głosem: – Izabelo, on pojechał na wojnę. Francuzi najechali na sporne ziemie przy katalońskiej granicy. Podobno Aragonia i Francja od lat walczą o te tereny. Ferdynand stoi na czele armii, bo jego matka jest poważnie chora i ojciec nie odchodzi od jej łóża. Poza tym król Jan...

– Ślepnie – dokończyłam cicho. – Słyszałyśmy, że cierpi na kataraktę, pamiętasz? To dlatego na chrzest przyjechał Ferdynand, a nie król.

Kiwnęła głową.

– Tak, więc sama widzisz. Wcale o tobie nie zapomniał. Walczy w obronie swojego królestwa i dlatego nie odpisał. Ale jestem pewna, że twój list doszedł i książę odpowie, jak tylko będzie w stanie.

Zagryzłam wargi i spuściłam wzrok, unikając jej przenikliwych oczu.

– Musimy pomodlić się za jego bezpieczeństwo – wyszeptałam. – Jest taki młody i już na wojnie...

– Racja. A przy okazji możemy odmówić też kilka modlitw za ciebie.

– Za mnie? – Podniosłam szybko wzrok. – Dlaczego?

Westchnęła.

– Bo Cabrera powiedział mi też, że król przyjechał niespodziewanie z Madrytu i chce cię zobaczyć.

– Mnie? Nie wiesz po co?

Strach owinął mi się jak wąż wokół szyi, tak że nie mogłam złapać oddechu. Od wielu miesięcy nie widziałam Henryka – jeśli tylko się dało, unikał dworu i wolał przebywać z dala od królowej i jej utyskiwań.

– Nie wiem. Cabrera chce sam ci powiedzieć.

Beatriz wstała i ruszyła w stronę wejścia na krużganki. Andrés de Cabrera wyszedł z podcieni i pokłonił mi się nisko.

– Proszę mi wybaczyć, Wasza Wysokość. Nie chcę się wtrącać, ale uważam, że... powinienem was ostrzec. Królowa wpadła w furię. Kilka dni temu bez jej wiedzy Henryk spotkał się z de Villeną i jego koalicją. Postawili mu ultimatum i... – Przerwał, jakby nie był pewien, czy powinien mówić dalej.

– O cokolwiek chodzi – powiedziałam – muszę wiedzieć. Nie mogę wejść do jaskini lwa nieprzygotowana.

– Oczywiście, racja, Wasza Wysokość. Wygląda na to, że de Villena zażądał, by król podpisał dokument z oficjalnym oświadczeniem, iż Joanna nie jest jego córką. Domaga się też, żeby Beltrán de la Cueva został pozbawiony wszelkich honorów, a tytuł mistrza zakonu Santiago

trafił do samego de Villeny...

Stałam nieruchomo i oddychając płytko, czekałam na ciąg dalszy.

– Jego Wysokość odmówił podpisania – ciągnął Cabrera. – Zamiast tego zaproponował, żeby wszelkie spory rozwiązać na nadzwyczajnym posiedzeniu kortezów. De Villena się zgodził, ale jak tylko król odjechał, markiz wycofał się z danego słowa.

Wszystko wokół mnie zrobiło się nagle odległe i nieostre.

– De Villena wyruszył ze swoją armią do Ávila na spotkanie z Carrillem, waszym bratem i matką. Na oczach zgromadzonego tłumu obalili kukłę reprezentującą króla i ukoronowali Alfonsa. – Cabrera spojrzał na mnie. – Jego Wysokość jest ogromnie wzburzony. W imieniu Alfonsa rozesłano już dekrety. Wiele ważnych strategicznie miast, takich jak choćby Toledo, opowiedziało się po stronie infanta. Jesteśmy w stanie wojny, Wasza Wysokość. Wojny domowej. Kastylia ma teraz dwóch królów.

Świat ogarnęła ciemność. Czułam, jak uginają się pode mną kolana. Upadłabym, gdyby Beatriz nie podbiegła i nie chwyciła mnie pod ramię. Zaprowadziła mnie do ławki, na której usiadłam i z zamkniętymi oczami modliłam się o siłę.

I w końcu stało się – doszło do tego, czego się obawiałam, odkąd Carrillo uprowadził Alfonsa z dworu.

Czując serce w gardle, udałam się do apartamentów króla. Komnata, do której weszłam, była pogrążona w półmroku – zaciągnięte zasłony nie wpuszczały do wnętrza światła. Henryk siedział na tronie pod baldachimem, ze zwieszoną głową. Za nim stał odziany w złoto i szkarłat Beltrán de la Cueva. Wpatrywał się we mnie, kiedy podchodziłam. Królowi towarzyszył jeszcze Pedro de Mendoza, biskup Sigüenzy, od niedawna szwagier de la Cuevy – był szczupły i miał te same żywe ciemne oczy co jego siostra. Cieszył się opinią najbardziej ambitnego duchownego po Carrillu.

Henryk podniósł wzrok i spojrzał na mnie, odsuwając z twarzy pasma brudnych półdługich włosów. Miał czerwone, podkrążone oczy. Bardzo się postarzał – pokryte niechlujnym zarostem policzki wyraźnie mu się zapadły. Klęcząc przed nim, czułam zapach stęchlizny.

– Wasza Wysokość – powiedziałam cicho. – Proszę o wybaczenie.

Henryk westchnął.

– A zatem już wiesz.

– Tak, don Andrés Cabrera przyniósł mi nowiny i jestem oszołomiona. Nigdy nie przypuszczałam, że mój brat będzie zamieszany w tę straszną sprawę. Ale jestem pewna, że niczym nie zawinił. Nie miał zamiaru urazić Waszej Królewskiej Mości.

– Akurat – odezwała się Joanna.

Nie zauważyłam, że stoi w cieniu wnęki, i odwróciłam się przestraszona, kiedy z niej wyszła. Miała na sobie efektowną czarno-srebrną suknię, która opinała jej sylwetkę. W jasnobrażowych oczach królowej widać było wściekłość, a włosy rozsypały jej się beładnie na ramionach.

– Proszę, niby taka pokorna i pobożna – szydziła. – Litościwa jak siostrzyczka zakonna. Ale ja cię znam. W głębi serca jesteś wstrętną żmiją, tak jak twój brat. Szkoda, że was nie udusili zaraz po urodzeniu.

– Joanno, basta – przerwał jej Henryk. – Wezwałem Izabelę, żeby wysłuchać, co ma do powiedzenia.

– Po co? – Królowa odtrąciła rękę biskupa de Mendozy, który próbował ją uspokoić. – Jakie to ma teraz znaczenie, co ona powie? Carrillo i Alfons wypowiedzieli ci posłuszeństwo. Zebrali armię i ukoronowali Alfonsa na króla, oddając mu twój tron. Oczywiście, że wstawia się

za bratem. Nie możesz zwracać na nią uwagi. Musisz ją uwięzić do czasu, aż nie wyda się jej za jakiegoś zagranicznego księcia, żeby nie sprawiała już więcej kłopotów.

Kręciło mi się w głowie. Trudno było mi uwierzyć, że Alfons chciał obalić naszego przyrodniego brata, który bądź co bądź został namaszczony na króla. Jednak słysząc groźbę w głosie królowej, wiedziałam, że nie spocznie, dopóki mój brat nie będzie martwy, a ja – daleko za granicą.

– Joanno – Henryk wymówił imię żony starannie, oschłym tonem, którego nigdy wcześniej u niego nie słyszałam. – Alfons nie jest moim wrogiem. Owszem, popełnił błąd, pozwalając się ukoronować, ale poinformowano mnie, że sprawy posunęły się już tak daleko, że on, przy swoich ograniczonym możliwościach, nie był w stanie ich kontrolować. Najwyraźniej musiał się na wszystko zgodzić, bo inaczej mogliby zrobić mu krzywdę. Później dowiem się, kto tu jest winny, ale teraz chcę poznać opinię swojej siostry, Izabeli.

Zauważyłam, że celowo położył nacisk na nasze pokrewieństwo. Wściekła królowa podniosła ręce do góry i odwróciwszy się w stronę de Mendozy, rzuciła:

– Widzisz? Nie słucha mnie! Uważa, że moje rady są bezwartościowe, a przejmuje się, co mówi ta... ta krętaczka, która na pewno trzyma z bratem zdrajcą. Ostrzegałam go, że do tego dojdzie, ale on mówił: nie, to moi krewni, kochają mnie, nigdy nie zrobiliby mi krzywdy; niech Carrillo zajmie się Alfonsem, a Izabela może zostać na dworze. No i spójrz, co z tego wynikło! Zobacz, jak kochająca rodzina służy królowi i jak go wspiera!

– Dość tego! – warknął Henryk. – Wynoście się, wszyscy. Chcę zostać sam na sam z siostrą.

Beltrán de la Cueva podszedł do Joanny i wyprowadził ją z komnaty. Na odchodnym zdążyła jeszcze posłać mi nienawistne spojrzenie. De Mendoza wymamrotał:

– Niech Wasza Wysokość postępuje z nią delikatnie. To jeszcze tylko infantka.

Później zostałam z królem sama. Nie mogłam spojrzeć mu w oczy, bo nie poprosił, żebym wstała, więc nadal klęczałam w milczeniu. Wcześniej w stosunkach między nami nie dopuszczał żadnego ceremoniału. Nigdy dotkliwiej nie zdawałam sobie sprawy z tego, w jak niebezpiecznym znalazłam się położeniu. Bałam się, że wtrąca mnie do więzienia i wyślą armię, żeby zabić Alfonsa. Spotka mnie upokorzenie, nasze imiona okryją się hańbą. Alfons przejdzie do historii jako buntownik, który zdradził przyrodniego brata, a mnie zamkną w klasztorze albo wydadzą za mąż za granicę bez prawa powrotu do Kastylii.

Henryk znów westchnął, tak przeciągle i żałośnie, że podniosłam wzrok. Wytrzeszczone oczy miał pełne łez. Głos mu drżał, kiedy mówił:

– Przysięgnij, że o niczym nie wiedziałaś. Przysięgnij, że ani słowem, ani czynem nie wspierałaś tych zdrajców.

– Przysięgam – wyszeptalam.

Przyglądał mi się dłuższą chwilę.

– Ona chce, żebym cię uwięził. Jej zdaniem jesteście z Alfonsem pomiotem wilczycy, która zawsze życzyła mi śmierci. Czy to prawda? Chciałabyś, żeby twój brat zajął moje miejsce na tronie Kastylii?

Głos odmówił mi posłuszeństwa. Nie mogłam wyjawić mu, że przez lata moja matka go oczerniała ani że byłam rozdarta między miłością do Alfonsa a lojalnością wobec króla. Szukałam odpowiedzi, ale znajdowałam tylko ziewającą pustkę, aż niespodziewanie usłyszałam swój własny głos wypowiadający słowa:

– Wy jesteście moim suwerenem, bożym pomazańcem. Nigdy nie podważyłabym woli Boga.

Wzdrygnął się, jakby moje słowa go zabolaly.

– Wygląda na to, że wcale nie jesteś taka niewinna. Nawet ty wiesz, kto ma prawa, a kto ich nie ma.

Przyglądałam mu się. Obserwując, jak podchodzi do okna, prawie zapomniałam o obolałych kolanach. Rozsunął zasłony i pokój zalały promienie późnopołudniowego słońca.

– Myślisz, że ona jest moja? – zapytał nagle.

Ogarnął mnie strach.

– Ona...? – powtórzyłam, choć dobrze wiedziałam, o kogo mu chodzi.

Nie patrzył na mnie. Mówił cicho, jakby do siebie:

– Joanna zaklina się, że tak, ale ja nie jestem pewny. Nigdy nie byłem. A skoro sam nie mam pewności, jak mogę wymagać, żeby mieli ją inni? Jak mogę przelewać krew bliskiej rodziny za dziecko, które może wcale nie jest moje? – Zaśmiał się gorzko. – Powiedziała, że wystarczy tylko raz. I mieliśmy nasz jeden raz tamtej nocy, z Beltránem, kiedy wszyscy byli pijani. Twierdzi, że wtedy poczęła. Ale obaj z nią wtedy spaliśmy. Skąd wiadomo, czyje nasienie puściło pędy?

Odwrócił się w moją stronę. Na jego twarzy zobaczyłam udrękę, powątpiewanie. Nie znał prawdy lepiej niż ja. Nie wiedział, komu uwierzyć. Wstrzymywane powietrze zaczęło palić mnie w płucach. Henryk pochylił głowę. Jego następne słowa były tak ciche, że ledwo je słyszałam.

– Ale oczywiście to nie ma znaczenia. Ze względu na to, co zrobił twój brat, muszę wszcząć wojnę w obronie praw Joanny. – Podniósł na mnie wzrok. – I Alfons może w niej zginąć.

– Błagam – powiedziałam. – Błagam, nie róbcie mu krzywdy. On ma dopiero jedenaście lat. Nie rozumie, czego się dopuścił.

Henryk kiwnął głową.

– Nie, oczywiście, że nie. Jak mógłby rozumieć? Właśnie dlatego chciałem, żeby był przy mnie na dworze. Sądziłem, że kiedy lepiej mnie pozna, pomyśli dwa razy, zanim mnie zdradzi. Sam też nie jestem bez winy. Pozwoliłem mu wyjechać z Carrillem, choć od dawna wiem, że arcybiskup mną gardzi i zrobiłby wszystko, żeby mnie obalić. Łącznie z użyciem mojego własnego brata jako broni. Co nie zmienia faktu, że Alfons to zrobił. Dał sobie włożyć koronę na głowę, koronę, do której nie ma prawa. – Podniósł rękę, dając znak, że mogę wstać. – Czy masz jeszcze coś do powiedzenia?

Głos mi się trząsnął, nie byłam w stanie już dłużej kryć zdenerwowania.

– Błagam, Wasza Wysokość, nie idźcie jeszcze na wojnę. Pozwólcie mi do niego jechać. Wrócę do Arévalo i stamtąd wyślę do niego wiadomość. Przyjedzie. Na pewno przyjedzie, a ja przekonam go, żeby okazał skruchę. Przyprowadzę go na dwór, żeby na oczach wszystkich ukląkł i błagał Waszą Wysokość o wybaczenie.

Henryk pokręcił smutno głową.

– Wiem, że dotrzymałabyś słowa, ale obawiam się, że już za późno. Nie pozwolę, żebyś cierpiała za grzechy brata, ale rozkazuję, żebyś przeniosła się z casa real tu, do zamku. Beatriz nadal może ci służyć, ale wszystko nadzorować będzie Mencía de Mendoza. Ona przypilnuje, żebyś przestrzegała zasad. Rozumiesz? Twoja przyszłość jest w moich rękach, Izabelo. Nie róbcie nic, co zmusiłoby mnie do działania wbrew sumieniu.

Przytaknęłam i spuściłam głowę, czując, że zaraz mogę wybuchnąć płaczem,

– I nie będziesz się więcej kontaktować z matką. Arévalo zostanie jej odebrane i zamieszka w klasztorze. Już jej nie ufam. Za długo podżegała Carrilla do zdrady.

Wyciągnął rękę, a ja się pochyliłam i ucałowałam jego sygnet. Wstałam i krok za krokiem wycofywałam się z komnaty, aż znalazłam się na korytarzu. Kiedy szłyśmy z Beatriz korytarzem, dworzanie przyglądali się nam natarczywie i zaczęli szeptać między sobą, jeszcze zanim się

oddaliłyśmy.

Niezależnie od tego, jakie braterskie uczucia żywił do mnie Henryk, nadal byłam podejrzana o zdradę i panicznie przestraszona.

Rozdział dziewiąty



W alkazarze zamieszkałam w komnatach, które krótki korytarz łączył z apartamentem Joanny. Ściany moich pokojów były wyłożone połączoną boazerią, a podłogi alabastrem – cały ten splendor maskował fakt, że praktycznie znalazłam się w więzieniu. Już nie mogłam, kiedy mi się podobało, chadzać do ogrodu ani do katedry – wszędzie musiała mi towarzyszyć grupka wybranych przez królową kobiet, z Mencią na czele.

Codziennie mi groziły, powtarzając, że jeśli przyłapią mnie na tym, że w jakikolwiek sposób pomagam rebeliantom, zostanę wtrącona do lochu. To, że nawet w moim położeniu uważają mnie za wpływową, mogłoby mi pochlebiać, gdybym z takim niepokojem nie wyczekiwała wieści o wojnie. Wiedziałam, że król mianował Beltrána de la Cuewę dowódcą sił królewskich i że kilku kastylijskich szlachciców, wśród nich markiz de Santillana i potężny książę Alby, odpowiedziało na wezwanie Henryka i zgodziło się przysłać swoich wasali do obrony króla.

Mijały jednak tygodnie, a ja nie miałam żadnych nowin ze świata, bo Joanna całą korespondencję kazała kierować do swojego sekretarza. W końcu, rezygnując z wszelkiej roztropności, wysłałam Beatriz, żeby podsłuchiwała na krużgankach i podpytywała Cabrerę. Dowiedziała się, że armia królewska zgromadziła się w Tordesillas, tam gdzie Pisuerga wpada do Duero. Doszło do krwawej potyczki z buntownikami. Król i Alfons uciekli, ale wielu straciło życie.

Pocieszenie znajdowałam w modlitwie. Joanna nie zgodziła się, bym miała własnego spowiednika, a do katedry musiałam chodzić razem z nią. Podczas mszy nie kryła znudzenia, natomiast jej dwórki nieustannie plotkowały, ignorując nerwowego kapłana, który odprawiał nabożeństwo. Natychmiast po jego zakończeniu Joanna i jej świta wracały do komnat królewskich, gdzie zaaferowane polerowały i malowały paznokcie, wyskubywały sobie nawzajem brwi, szczotkowały włosy i przymierzały przeróżne woalki, pantofle i błyskotki, które Joanna zamawiała w ogromnych ilościach u kupców z Segovii. Nigdy nie czułam do niej aż takiej pogardy jak wtedy, gdy zupełnie lekceważyła fakt, że ludzie właśnie przelewają krew w obronie jej dziecka – dziecka, które być może poczęła w grzechu.

Każdego popołudnia, kiedy zwalniała mnie z konieczności oglądania tych krzykliwych przebieranek, szłam do kamiennej kaplicy w warowni i prosiłam Boga, by pomógł wszystkim tym, którzy musieli uciekać z ogarniętych wojną wiosek i gospodarstw. Modliłam się za biednych i głodnych, za chorych i niedołączonych, bo oni zawsze cierpieli najbardziej. Znosiłam też prośby w intencji mojej matki wypędzonej z Arévalo i Ferdynanda, o którym od miesięcy nie miałam żadnych wieści. Najzarliwiej modliłam się jednak za Alfonsa, którego ambicje naraziły innych na ogromne niebezpieczeństwo.

Nadejście zimy przyniosło to, czego moje modlitwy nie były w stanie sprawić – przerwanie walk. Henryk wrócił do Segovii błądy i wychudzony. W czasie raczej cichych obchodów Bożego Narodzenia prawie nie zwracał na mnie uwagi. Natychmiast po Epifanii opuścił dwór i popędził do domku myśliwskiego w Madrycie, gdzie, jak szydyczko stwierdziła Joanna, „towarzyszyli mu katamici i śmierdzące bestie”.

Więziona w Segovii, schudłam i zrobiłam się nerwowa. Musiałam siedzieć z Joanną i jej

dwórkami na ich głupich zabawach, podczas których królowa piła za dużo wina, całą noc tańczyła z fircykami w obcisłych pludrach i robiła słodkie oczy do Beltrána de la Cuevy, nawet kiedy leżał rozwalony na krześle z żoną przy boku. Nie mogłam wyrzucić z pamięci tego, co Henryk powiedział mi o dzieleniu łoża z Joanną i Beltránem. Przyglądając się, jak królowa głaska umięśnione ramię któregoś z dworzan, a jej karminowe usta otwierają się zapraszająco, musiałam wbić sobie paznokcie w dłoń, żeby nie zerwać się z krzesła i nie wybiec z sali.

Jak tylko stopniały śniegi, wojnę wznowiono. Beatriz dowiedziała się od Cabrery, że wiele miast nadal popiera Alfonsa. Było wśród nich Toledo, arcybiskupstwo Carrilla, najstarsze i najzasobniejsze miasto Kastylii. Stanowisko toledańczyków skłoniło wielu kastylijskich grandów, by wziąć stronę rebeliantów. Henryk tracił sprzymierzeńców, ale i tak żyłam w ciągłym strachu, że przyjdzie wiadomość o śmierci Alfonsa. W głębi duszy nadal wierzyłam, że ręka boża dosięgnie tych, którzy chcą obalić prawowitego króla.

Zaczęłam pościć, myśląc, że uświęcony przez tradycję rytuał przyniesie mi ukojenie, którego tak potrzebowałam. Beatriz błagała, żebym jadła, przekonywała mnie, że nie mogę sobie teraz pozwolić na to, by opaść z sił. Ja jednak przez wiele tygodni piłam tylko wodę, aż pewnej mroźnej marcowej nocy przyjaciółka wyrwała mnie ze snu.

Palcem przyłożonym do ust nakazała mi ciszę, zarzuciła mi płaszcz na ramiona i wyprowadziła mnie na korytarz. Minęłyśmy śpiącą służkę i wyszłyśmy z alkazaru. Powietrze było lodowate. Przeciąwszy wielki dziedziniec, znalazłyśmy się przed katedrą.

Czekał tam na nas Cabrera. Stęskniłam się za nim, bo nie widziałam go od kilku miesięcy. Nie miałam jednak szansy mu o tym powiedzieć – wprowadzając mnie do wnętrza przestronnej katedry, szepnął:

– Mamy mało czasu. Przeor klasztoru Santa Cruz chciałby porozmawiać z Waszą Wysokością. Twierdzi, że ma ważne wieści do przekazania. Rozmowa musi być krótka. Jeśli królowa dowie się, że pozwoliłem na to spotkanie, stracę stanowisko.

Kiwnęłam głową. Byłam bardzo zziębnięta. Co mogło być aż tak istotne, że przełożony najstarszego dominikańskiego klasztoru w Segovii chce mnie widzieć w środku nocy? Było tak zimno, że widziałam swój zamarzający oddech. Moje kroki odbijały się głośnym echem, kiedy szłam w stronę zdobionych drewnianych stalli. Przed ołtarzem Matki Bożej Bolesnej migotały wotywnie świece, oświetlając błyszczące łyzy na jej różowych policzkach i złotą rękonożkę sztyletu wystającą z obleczonej w aksamit piersi. Powietrze było nasycone wonią starego kadzidła, intensywnym, dymnym zapachem, którego nawet chłód nie zdołał stłumić.

Prawie nie zauważyłam czekającej w cieniu postaci. Człowiek ten miał długie, żylaste dłonie, które skrzyżował na białej szacie, i przygarbione, okryte czarną peleryną plecy. Był chudy i wysoki, ascetycznie kanciasty, tak że trudno było odgadnąć jego wiek. Zamyślane oczy miały niespotykaną szaroniebieską barwę i odwracały uwagę od płaskiego, szerokiego nosa i cienkich ust. Pochylił wygoloną na czubku głowę i odezwał się cichym, kulturalnym głosem, typowym dla ludzi wstrzemięźliwych, którzy nauczyli się zachowywać dyscyplinę cielesną.

– Wasza Wysokość, nazywam się fray Tomás de Torquemada. Jestem zaszczycony, że mogę was poznać.

Owinęłam się ciasniej płaszczem.

– Podobno chciał brat ze mną rozmawiać?

Przytaknął.

– Wasza Wysokość wybaczy. Na pewno jest wam zimno. Usiądźmy przy świecach. Choć ich płomień jest nikły, ogrzeje was bliskość Najświętszej Rodzicielki.

Przysiadłam w ławce obok niego. Milczał przez chwilę, wbijając wzrok w zbolalą twarz Maryi. Potem się odezwał.

– O ile mi wiadomo, Wasza Wysokość mieszka w Segovii już prawie dwa lata i nie ma osobistego spowiednika. Mimo to, kiedy zaoferowałem swoje usługi, spotkałem się z odmową.

– Naprawdę? – zapytałam zaskoczona. – Nie wiedziałam. Nikt mi o tym nie powiedział. Spojrzał na mnie. Nie mrugnął ani razu. Nawet kiedy siedział nieruchomo, biła od niego władza.

– Oczywiście, że nie. Propozycję złożyłem królowi. Nie zależy mu na zbawieniu waszej duszy. Sądząc po tym, co robi, wręcz przeciwnie. Jednak mimo usilnych starań całego dworu Waszej Wysokości udało się chyba uniknąć zepsucia. Wasze serce jest czyste.

Już nie było mi zimno. Czułam się... doceniona.

– Ale to dla was ciężka próba – dodał. – Wasza Wysokość jest młoda, niedoświadczona. Człowiek mniejszej wiary już by się poddał, nie oparłby się luksusom i rozpuście, dałby się zwieść na pokuszenie, nawet kosztem utraty bożej łaski.

Popatrzyłam na marmurową posadzkę.

– Nie... nie było łatwo – odparłam cicho.

– Na pewno nie. Ale Wasza Wysokość musi pozostać czysta, bo czekają was jeszcze wielkie poświęcenia. Musicie ufać prawdom naszej wiary, ufać, że nawet w najczarniejszej godzinie Bóg nas nie opuszcza i że nie pozwoli fałszywemu władcy panować w Kastylii.

Podniosłam wzrok. Miałam wrażenie, że jego niebieskie oczy palą się wewnętrznym ogniem. Była to jedyna oznaka jakichkolwiek emocji na posągowo niewzruszonej twarzy.

– Skąd brat to wie? – zapytałam. – Jak można mieć pewność?

Westchnął.

– Wątpliwość to służebnica szatana, którą on przysyła, żeby doprowadziła nas do wiecznej zguby. Henryk porzucił swój tron. Chowa się nawet wtedy, gdy jego królestwo pada ofiarą bezbożników. Nasz Kościół jest przeżarty moralną zgnilizną: mnisi i zakonnice łamią święte śluby w pogoni za uciechami cielesnymi, heretycy mogą swobodnie oddawać się swoim ohydnyemu rytuałom, a niewierni bezkarnie grabią nasze południowe ziemie. Szerzy się niezgoda i anarchia, bo ludzie są jak owce bez pasterza. Król wie o wszystkim, ale nie reaguje. Odwrócił się od obowiązków i uległ swoim słabościom. Teraz chce, żeby rządził nami bękart i pozbawił tronu jedyną osobę, która może nas uratować. Cokolwiek się stanie, Wasza Wysokość, proszę nigdy nie wątpić, że król jest skazany na porażkę.

Dotychczas tylko matka mówiła tak przy mnie o Henryku. Do pewnego stopnia wzbudzało to mój sprzeciw, bo nie chciałam, żeby szargano reputację mojego przyrodniego brata. Mimo to w surowej ocenie Torquemady odnajdywałam swoje własne odczucia – intuicyjnie wiedziałam, że Henryk jest na straconej pozycji, że nie radzi sobie z ciężarem korony.

– On nadal jest królem – powiedziałam po dłuższym milczeniu – namaszczonego przez Boga i kortezy do rządzenia. Czy brat chce, żebym wypowiedziała mu posłuszeństwo, które jestem mu winna jako siostra i poddana?

Torquemada uniósł brwi.

– Chcę tylko tego, żeby Wasza Wysokość postępowała zgodnie z własnym sumieniem. Wasz brat, infant Alfons, walczy o ocalenie Kastylii od potępienia i Bóg będzie go wspierał. Podczas gdy on wykorzystuje w walce miecz, Wasza Wysokość musi użyć silnej woli. Planują bowiem wkrótce wysłać Waszą Wysokość daleko stąd. Królowa rozpoczęła już tajne negocjacje, chce wydać Waszą Wysokość za swojego brata Alfonsa, władcę Portugalii.

– Za Alfonsa! – nie zdołałam stłumić okrzyku. – Ale on jest już wdowcem! I ma syna z pierwszego małżeństwa, ma dziedzica. Co na takim małżeństwie miałyby zyskać Kastylii? Byłabym jego drugą żoną, dzieci, które bym mu powiła, miałyby prawa do tronu tylko, jeśli jego pierworodny syn miałby umrzeć i... – urwałam, zrozumiałwszy, o co tak naprawdę chodzi. –

Królowa chce ze wszelką cenę skazać mnie na banicję.

– Na pewno będzie próbować – odparł Torquemada. – Najpierw musi unieważnić wasze prawo do dziedziczenia, bo kiedy pozbędzie się was, mało kto będzie oponował przeciwko jej bękartowi. Ale to wy, Wasza Wysokość, jesteście prawdziwą córką Kastylii, to w waszych żyłach płynie krew starożytnych królów. Jeśli wasz brat Alfons poniesie klęskę, to wy musicie objąć przywództwo, bo jesteście następnymi w kolejce do tronu.

Spojrzałam na swoje złożone na kolanach dłonie, a potem z powrotem na Torquemadę.

– Co ja mogę zrobić? – wyszeptałam. – Jestem bezsilna. Król może wydać mnie za kogo chce. Sam mnie ostrzegał. Powiedział, że moja przyszłość jest w jego rękach.

Oczy zakonnika błyszczały.

– Wasza Wysokość wcale nie jest bezsilna. Właśnie dlatego tu przyszedłem: żeby wam przypomnieć, kim jesteście. Dziś zwolnię was ze wszystkich dotychczasowych przysiąg, tak żeby Wasza Wysokość mogła odtąd żyć w cnocie, kierując się wyłącznie głosem serca.

Zdawał sobie sprawę, że złożyłam śluby wierności Joannie i że byłam zobowiązana do posłuszeństwa królowi. Jednak tak jak ja wiedział, że Joanna może być bękartem, że nawet król, który broniąc jej praw do tronu, pogrążył kraj w chaosie, sam powątpiewał, czy powinna na nim zasiąść. Byłam w ciągłych rozterkach, kwestionując poglądy swoje i wszystkich wokół. Czy ten ascetyczny mężczyzna był odpowiedzią na moje modlitwy? Czy Bóg przysłał Torquemadę, żeby pokazał mi prawdę?

Wyszłam z ławki, uklęknęłam, składając ręce, i powiedziałam:

– Pobłogosław mnie, ojcze, bo zgrzeszyłam.

Kiedy wyszłam z katedry, księżyc chował się za mroźnymi chmurami. Beatriz i Cabrera, którzy stali przy portyku, zbliżyli się do mnie pospiesznie. Podziękowałam Cabrerze, obiecując, że zachowam to spotkanie w tajemnicy, a potem razem z przyjaciółką wróciłam do alkazaru.

Kiedy na palcach weszliśmy do mojej komnaty, poczułam tak ogromną ulgę, że omal nie zaczęłam śmiać się w głos. Już się nie bałam. Nie obchodziło mnie, że Mencía czy nawet Joanna odkryją, że byłam nieposłuszna. Pozbyłam się zgryzot, które dręczyły mnie, odkąd Alfons ogłosił się królem. Pierwszy raz od wielu tygodni zrobiłam się głodna. Miałam ochotę na proste, pożywne jedzenie, takie, jakim ze smakiem posilałam się w Arévalo.

Przytuliłam Beatriz.

– Wiem, że to wszystko twoja robota – powiedziałam. – I kocham cię za to jeszcze bardziej. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Jeśli kiedykolwiek będziesz chciała odejść, żeby wyjść za mąż, obiecuję, że dostaniesz moje błogosławieństwo.

Odsunęła się.

– Wyjść za mąż? Zostawić cię? Nigdy w życiu!

– Nigdy w życiu to bardzo długo. A czy nadal trzymasz chleb i ser przy oknie? Jeśli tak, to przynieś.

Pospiesznie spełniła polecenie. Siedziałyśmy na łożu i zajadałyśmy do woli, szepcząc do siebie i rozsypując okruchy schowanym po kątach myszom. Beatriz nie zapytała mnie o szczegóły spotkania w katedrze, a ja niczego jej nie zdradziłam.

Obie jednak wiedziałyśmy, że jestem gotowa na wojnę.



Wezwanie do walki przyszło kilka miesięcy później.

W tym czasie postanowiłam, że mniej czasu będę spędzać w kaplicy, a więcej w zamkowej bibliotece, niesamowitym, zaniedbanym pomieszczeniu z wysokim szkarłatno-błękitnym sklepieniem i półkami pełnymi starych tekstów, wielkich tomiszczy i książek in folio. Zawsze żałowałam, że odebrałam tylko szcątkowe wykształcenie. Nigdy nie miałam okazji opanować łaciny ani greki, języków uczonych, więc wiele dzieł pozostawało dla mnie niedostępnych. Łapczywie pochłaniałam wszystko, co udało mi się znaleźć po kastylijsku, w tym statuty Alfonsa X, króla, który zyskał przydomek El Sabio, Mądry, ponieważ zlecił spisanie słynnego *Las Siete Partidas*, kodeksu, który stał się podstawą naszego systemu prawnego. Czytałam też tłumaczenia innych dzieł z czasów panowania Alfonsa, na przykład arabskie bajki czy *Zwierciadło dla książąt*, wielotomowy traktat przedstawiający władcom zasady dobrego rządzenia.

Kiedy odrywałam się od gorączkowego czytania, zawsze przyciągała mnie stojąca w kącie mosiężna kula z mapą świata. Była stara i pokryta kurzem, więc nie błyszczała już tak intensywnie. Fascynował mnie przedstawiony na niej ocean – rozległy obszar wody, którego żaden człowiek nie odważył się przepłynąć. Wielu wierzyło, że za morzami już nic nie ma, a w ich głębinach grasują straszne potwory, które tylko czekają, żeby zniecka wrzucić statki w otchłań. Zdaniem innych oprócz naszych ziem istnieją jeszcze nieznanne lądy. Pasjonowały mnie opowieści o tych odległych krainach i poszukujących ich śmiałkach. Nigdy nie miałam dość kronik Marca Pola, odkrywcy nowej drogi do Orientu, którą straciliśmy po upadku Konstantynopola, oraz portugalskiego księcia znanego jako Henryk Żeglarz, który finansował odważne wyprawy do Afryki.

Czytając o tych nieustraszonych podróżnikach, gotowych ryzykować wszystko, kiedy pojawiała się obietnica odkrycia, zapominałam, że siedzę sama z zapleśniałą księgą i że jestem tylko niedoświadczoną dziewczyną, która nigdy nawet nie widziała oceanu. Zupełnie zatracalam się w lekturze, stawałam się mężczyzną wykutym w soli i wyrzeźbionym z dryfującego na falach drewna, człowiekiem przyzwyczajonym do sztormów i znającym syreni śpiew, którego otacza wielki błękit. Książki te udowodniły mi, że drzemie w nas odwaga, z której nie zdajemy sobie sprawy, dopóki nie zostaniemy wystawieni na próbę. Ich słowa obudziły we mnie zapał, o który siebie nie podejrzewałam.

Gdy po kolejnej potyczce z rebeliantami Henryk wrócił do Segovii, czułam się gotowa na wszystko, czego może ode mnie zażądać. Natychmiast po wejściu do sali królewskiej, gdzie z nisz pod sufitem patrzyły na mnie wyniosłe pozłacane posągi przodków, zauważyłam przy boku Henryka szczupłą sylwetkę de Villeny.

Wtedy dopiero zdałam sobie sprawę, jak niewiele w istocie rozumiem.

Z niedowierzaniem wpatrywałam się w szyderczą twarz markiza. Był wyperfumowany i zachowywał się nonszalancko – wcale nie wyglądał na człowieka, który ostatnie dwadzieścia sześć miesięcy spędził na podżeganiu do buntu w obronie Alfonsa. Dziwiło mnie, że jeszcze żyje. Za zdradę, której się dopuścił, karano śmiercią.

Kłaniając się Henrykowi, widziałam, że czuje się niezręcznie. Zapytał, jak się miewam, a potem rzucił:

– Znaleźliśmy sposób na zakończenie tego piekielnego konfliktu.

– Cieszę się – odparłam z rezerwą, zastanawiając się, co w tym kontekście oznacza „my”.

Jeśli pogodził się z de Villeną, to czy wojna dobiegła końca? Skoro tak, to gdzie są Carrillo i Alfons? Choć byłam zdezorientowana, starałam się przybrać obojętny wyraz twarzy, zrozumiawszy w końcu, jak cennej rady udzielili mi Ferdynand na początku mojego pobytu na dworze.

– Raduje nas, że Wasza Wysokość nam sprzyja – wycedził markiz. – Bo tylko z waszą

pomocą osiągniemy sukces.

Nie odrywałam wzroku od Henryka, który zaczął wiercić się na tronie. Spojrzał w stronę biskupa de Mendozy. Był on wyraźnie zmartwiony i nie potrafił spojrzeć mi w oczy, kiedy król rozkazał:

– Powiedz jej.

De Mendoza odchrząknął. Darzyłam go ostrożną sympatią, odkąd próbował uspokajać królową atakującą mnie po tym, jak okazało się, że Alfons działa z rebeliantami. Choć był bratem Mencii i prominentnym członkiem jednego z najbardziej zachłannych rodów szlacheckich w Kastylii, wszyscy zgadzali się co do tego, że de Mendoza sumiennie wypełnia obowiązki biskupa, jest pobożny i powściągliwy, a mnie zawsze traktował z szacunkiem.

– Wydaje nam się... – zaczął. Zmarszczył brwi z zażenowaniem. – A raczej sądzimy... Zbliżają się urodziny Waszej Wysokości. Zgodnie z testamentem waszego świętej pamięci ojca króla Jana, kiedy Wasza Wysokość skończy piętnaście lat, ma otrzymać podatki z Trujillo i Mediny del Campo, i waszym obowiązkiem... to znaczy naszym obowiązkiem...

– Na rany Chrystusa – wtrącił ostro de Villena. – Nie trzeba udawać, że ona ma jakiś wybór! – Popatrzył na mnie. – Król chce zażegnać kryzys. Proponuje dwa małżeństwa: między swoją córką Joanną a infantem Alfonsem, które zostanie sformalizowane, gdy księżniczka skończy czternaście lat, oraz między wami a moim bratem Pedrem Girónem. Dzięki tym związkom zapanuje pokój i...

Hałas w mojej głowie zagłuszył jego słowa. Przypomniałam sobie, jak wyglądał Girón, kiedy ostatni raz go widziałam: lubieżny olbrzym, który groził Beltránowi de la Cuevie mieczem, machając nim tak, jakby był zabawką.

Henryk odwrócił wzrok, kiedy dukałam:

– Ja... nie zgadzam się.

De Villena zaśmiał się ordynarnie.

– Nie potrzebujemy waszej zgody.

Uniosłam dumnie brodę i oświadczyłam:

– W tym samym testamencie, na mocy którego dostaję miasta, ojciec nakazuje, że kortezy muszą wydać zgodę na mój ślub. Czy kandydatura pańskiego brata, markizie, została przedstawiona korteżom?

Zapadła cisza. Torquemada powiedział mi o tym zapisie w kontekście ślubu z królem Portugalii. Teraz przytoczyłam go w desperacji, mając nadzieję, że zgromadzenie stanowe nigdy nie zgodzi się wydać mnie za człowieka pokroju Giróna, niezależnie od jego potęgi i bogactwa.

Henryk gapił się na mnie z otwartymi ustami. De Villena warknął:

– Z kim ona rozmawiała? – Odwrócił się w stronę de Mendozy. – Czy to prawda?

Musimy mieć zgodę korteżów na jej ślub?

Biskup przyglądał mi się w zamyśleniu.

– Wydaje mi się, że ma rację. Zgodnie z postanowieniami testamentu króla Jana kortezy muszą zaaprobować kandydata na małżonka dla każdego z infantów. Nawet Wasza Wysokość musiał prosić o ich zgodę na powtórny ślub.

– Niemożliwe! Mówiliście, że wszystko da się łatwo zrobić – wyszczał de Villena do Henryka. – Mieliśmy ugodę: ja zostaję wielkim mistrzem zakonu Santiago, mój brat poślubia infantkę, a wy dostajecie Alfonsa. Dlatego odszedłem od Carrilla! Teraz on i jego wilki polują na moją głowę, a ta dzierlatka ma czelność krzyżować mi plany?

– Jestem infantką Kastylii – przypomniałam mu. – Sądziliście, że można mnie wykorzystywać jak marną monetę w waszych próżnych transakcjach?

– Dosyć – powiedział drżąc Henryk. – Musisz robić, co ci każe.

– Powiedziałaś, że mam nie robić niczego, co zmusiłoby cię do działania wbrew sumieniu – odparłam. – I nie zrobiłam. A tymczasem teraz ty każesz mi postępować wbrew mojemu sumieniu, naruszyć postanowienia ojcowskiego testamentu, tylko po to, żeby markiz dostał tytuł, który mu się nie należy, do którego uprawnienia ma jedynie mój brat, infant Alfons.

Henryk poruszał nerwowo ustami. Patrzył na mnie tak, jakby nagle zapomniał, kim jestem. W końcu odezwał się:

– Jak śmiesz? Nie ty tu rządzisz. Dłużej tego nie zniosę. Ciebie i twojego brata. Carrilla. Grandów. Wszyscy chcecie, żebym umarł, bo wtedy odbierzecie mi wszystko, co mam – jego głos robił się głośniejszy i coraz bardziej piskliwy. Poderwał się gwałtownie. – Chcę pokoju! A jeśli to znaczy, że musisz wyjść za Giróna, to wyjdiesz!

Stałam nieruchomo, przerażona. Król miał wytrzeszczone oczy i zginał palce jak pazury. Już chciałam ponownie zaprotestować, ale zanim zdążyłam się odezwać, Henryk wrzasnął:

– Wynocha!

Ktoś z hukiem otworzył drzwi. Usłyszałam za sobą szybkie kroki. Nie byłam w stanie się ruszyć, sparaliżowana widokiem nienawiści i strachu, które deformowały oblicze króla. Cała odwaga, tupet i siła, które znalazłam w bibliotece, opuściły mnie, kiedy zdałam sobie sprawę, że król stracił nad sobą panowanie. W desperacji był zdolny do wszystkiego.

Beatriz pociągnęła mnie za rękaw.

– Musimy iść.

Henryk miał ślinę na brodzie. Stał i gapił się na mnie, a ja zmuszałam się, żeby nie odwracać od niego wzroku. Chciałam wyryć sobie ten moment w pamięci, żeby już nigdy nie okazać słabości, nie poddać się wątpliwościom i nie zapomnieć, że to właśnie on był gotów mnie sprzedać.

– Zrobisz to – powiedział. – Poślubisz Giróna. W przeciwnym razie pożałujesz.

Te słowa chciałam usłyszeć. Pokłoniłam mu się niemal do podłogi.

De Villena uśmiechał się pogardliwie, kładąc szczupłą dłoń na ramieniu króla. Henryk się wzdrygnął. Wróciło do mnie nieprzyjemne wspomnienie z dzieciństwa: przypomniałam sobie, jak konetabl de Luna tak samo spoufalał się z moim ojcem.

Wtedy już nie miałam wątpliwości, że nic nie ocali Henryka przed losem, który go czeka.

Rozdział dziesiąty



Zostałyśmy przeniesione do alkazaru w Madrycie – ciasnej kamiennej twierdzy, w której klatki schodowe były duszne, mury popękane, a ściany pokryte pleśnią. Choć w zamku nie brakowało mebli, wewnątrz nie były tak luksusowe i ozdobne jak w ukochanej przez Henryka Segovii, której poświęcał całą uwagę i pieniądze. Król rozesłał po całej Kastylii wiadomość – z pewnością po to, by sprawdzić, czy rebelianci rzeczywiście chcą pokoju – że dla mojego własnego bezpieczeństwa zostałam przeniesiona do Madrytu, bo panujące na dworze swobody nie służą niewinnej dziewczycy, która ma wkrótce wyjść za mąż.

Królowa, którą również zmuszono do przeprowadzki, zaczęła mną gardzić i zabroniła mi kontaktu z małą Joanną. Nawet Mencia de Mendoza przestała udawać, że ma mi służyć, tak że razem z Beatriz zostałyśmy na łasce Inés de la Torre, służącej, którą Mencia zatrudniła, żeby nas szpiegowała. Inés jednak, z litości, z konieczności bądź z obydwu tych powodów, dała się przekupić i przeszła na naszą stronę. W zamian za kilka dodatkowych monet ograniczyła się do przynoszenia nam posiłków, ścielenia łóżek i sprzątania komnat, a w sprawozdaniach dla Mencii wspominała tylko o naszych najbanalniejszych czynnościach.

Byłam odcięta od wszystkich, na których mi zależało, z wyjątkiem Beatriz. Zrozpaczona perspektywą mojego rychłego małżeństwa i swojej rozłąki z Andrésem de Cabrera pewnego wieczoru chwyciła stary nóż do chleba i zawołała:

– Jeśli z powodu tego potwora spądanie ci choć włos z głowy, wbiję to ostrze w jego czarne serce!

Nie mogłam się nie roześmiać, bo przypomniały mi się czasy, kiedy chciała stanąć na czele krucjaty.

– Daj spokój, dobrze wiesz, że tym nożem trudno nawet ukroić ser. Nie możemy walczyć jak rycerze, bo nie mamy mieczy.

– No, ale co możemy? Czekać tu, aż nas sprzedadzą jak niewolników Maurom? Sama musisz przyznać, że bycie żoną Giróna to praktycznie niewola.

– Nie twierdzę, że mamy zrezygnować z walki. Potrzebna nam tylko inna broń – odparłam, pomna słów Torquemady. – Jak lwy, musimy wykorzystać nasze serca.

– Lwy mają też zęby – odburknęła, ale ukłękła obok mnie przed prowizorycznym ołtarzykiem z marmurowym wizerunkiem Dziewicy z Sagrario, patronki La Manchy, która wysłuchiwała wszystkich naszych smutków...

Powierzenie zmartwień Bożej Rodzicielce powinno było przynieść mi ukojenie. Nie przyniosło. W głębi duszy byłam przerażona możliwością dzielenia łoża z bratem de Villeny. Cały czas myślałam o Ferdynandzie – zastanawiałam się, jak by zareagował, co by powiedział na wieść o tym, że zmuszono mnie do małżeństwa z kim innym. Nie miał wątpliwości co do tego, że jesteśmy sobie przeznaczeni. Teraz, w tej złej godzinie, z całego serca zazdrościłam mu tej pewności. Nie mogłam znieść myśli, że potworny Girón zajmie miejsce księcia – wolałabym raczej umrzeć.

W końcu napisałam do Ferdynanda list, w którym przedstawiłam mu swoją obecną sytuację – koniecznie chciałam dać mu znać, że nadal o nim pamiętam. Paradoksalnie z Madrytu łatwiej było nam wysyłać potajemną korespondencję. Pewien uczynny giermek zauroczony

Beatriz zawiózł list do Segovii, a Cabrera bez niczyjej wiedzy wysłał go kurierem do Aragonii.

Ferdynand jednakże nie odpowiedział. Dni, a potem tygodnie upływały mi na czekaniu. Pisałam kolejne listy, dwa, trzy, pięć, aż stępiłam pióro i zaostrzyłam ton – zaczęłam wylewać na pergamin kotłującą się w mojej głowie gorycz. Wiedziałam, że trwa wojna z Francją, ale czy nie mógł wysłać nawet krótkiej wiadomości?

„Bądź dzielna, Izabelo – mówił. – Czekaj na mnie”.

Tymczasem najwyraźniej sam przestał na mnie czekać.

Wróciłam do modlitwy i czuwałam przy ołtarzu dwa razy dłużej niż zwykle. Nie poruszyłam się, kiedy do komnaty wpadła Mencia z wiadomością, że Girón wyjechał już ze swojego zamku i jest w drodze do Madrytu. Powiedziała, że ma ze sobą trzy tysiące lansjerów i nowe łoże, które będziemy dzielić. Nie spojrzałam na nią, kiedy śmiejąc się złośliwie, dodała, że powinnam się przygotować, bo Girón nie jest podobno delikatnym kochankiem. Nie pozwoliłam sobie wątpić, że jakimś cudem zostanę oszczędzona. Beatriz się o mnie martwiła. Wiedziałam, że jem za mało, jestem za chuda i zbyt blada. Przyjaciółka ostrzegała mnie, że się rozchoruję. Nie mogła pojąć, że dla mnie śmierć stanowiłaby rozwiązanie.

– Pozwól mi go zabić – błagała. – Jedno dźgnięcie mi wystarczy.

Ignorowałam jej obawy i propozycje aż do pewnego kwietniowego poranka, kiedy Girón miał przyjechać. Podnosząc się z poduszki, na której klęczałam, poczułam, jak komnata wiruje mi przed oczami. Chwiejnym krokiem podeszłam do przedzielonego słupkami okna, które otwierałam, żeby zaczerpnąć trochę powietrza. Na zewnątrz zobaczyłam stado bocianów krążących wokół ponurej warowni.

Z trudem złapałam oddech. Beatriz podbiegła do mnie, przekonana, że znalazłam sposób na przecięnięcie się przez wąski otwór i zamierzam rzucić się z dużej wysokości na bruk. Nie wiedziałam, co czuję, bo nie byłam przesądna i nie wierzyłam w omeny ani przepowiednie setek jasnowidzów i wróżbitów, którzy byli prawdziwą plagą na dworze.

Wtedy jednak to poczułam. Wiedziałam, że moje modlitwy zostały wysłuchane.

W końcu zmusiłam się do jedzenia i pozwoliłam, żeby Beatriz mnie wykapała i się o mnie zatroszczyła. Mencia przyszła, żeby mi podokuczać.

– Przyjedzie na pewno – powiedziała. – Zatrzymał się na nocleg w Jaén i wyruszył późno, ale na pewno tu będzie. Człowiek taki jak on, który dostał taką żonę – jeśli zajdzie potrzeba, to będzie czołgał się po zamku na kolanach.

– Zejdź nam z oczu, diablico. – Beatriz podniosła zgięte palce, żeby chronić nas przed złym okiem.

Zazwyczaj ganiłam ją za taką zabobonność, ale tym razem czekałam tylko nieruchomo. Wybawienie na pewno przyjdzie – już leciało do mnie, rączy jak jeleni.

Wieczorem odwiedziła mnie sama Joanna.

– Girón się rozchorował – oznajmiła.

Siedziałam na krześle, spokojnie haftując obrus ołtarzowy.

– Jego wyjazd z Jaén się opóźni, ale jak tylko wyzdrowieje, odbędzie się wasz ślub.

Podniosłam na nią wzrok, nieporuszona.

– Wyjdiesz za niego – rzuciła wściekle – nawet jeśli miałabyś stać przy jego łożu!

W nocy nie miałam problemów z zaśnięciem, nie dręczyły mnie żadne koszmary.

Obudziłam się później niż zwykle. Beatriz, już ubrana, stała, wyglądając przez okno.

– Beatriz? – odezwałam się.

Odwróciła się powoli. Trzymała rękę na szyi.

– Wiedziałaś – powiedziała. – Nie pisnęłaś ani słówka, ale zobaczyłaś bociany i wiedziałaś. Czemu trzymałaś to w tajemnicy? Dlaczego pozwoliłaś, żebym się martwiła?

Uniosłam się na łokciach.

– Co wiedziałam? O czym ty, na Boga, opowiadasz?

– O Girónie. Nie żyje. Bolało go gardło, miał gorączkę, położył się do łóżka i już nie wstał. Podobno dzień przed śmiercią widział na niebie stado bocianów. Bał się, że to jakiś omen, i zapytał swoich wasali, co sądzą. Odpowiedzieli mu, że to musi być dobry znak, bo ptaki leciały w kierunku Madrytu. Ale one nie wróżyły mu niczego dobrego. Były zwiastunem jego śmierci.

Przeżegnałam się.

– Boże, zmiłuj się nad jego duszą – wymamrotałam.

Wstałam i owinęłam się szatą. Podeszłam do przyjaciółki. Miała lzy w oczach. Wzięła mnie za rękę, podniosła ją sobie do ust i zanim zdążyłam zaprotestować, zaczęła gorliwie ją całować.

– Cabrera ma rację – wyszeptwała. – Torquemada powiedział mi, że sam Bóg nad tobą czuwa, że ma specjalny plan dla Izabeli Kastyljskiej.

Wyswobodziłam rękę. Nagle przeszedł mnie dreszcz.

– Nie mów tak... Nie chcę tego słuchać. Girón umarł, bo się rozchorował. Nie ma tu żadnego boskiego planu, to po prostu zwyczajna śmierć.

Kiedy to mówiłam, poczułam ulgę. Wygrałam. Pokonałam zarówno Joannę, jak i de Villenę.

– Naprawdę twierdzisz, że Bóg nie miał z tym nic wspólnego? – zapytała Beatriz.

Zmarszczyłam brwi.

– Oczywiście, że miał. Bóg decyduje o wszystkim, ale ja wcale nie jestem bardziej wyjątkowa niż inne jego dzieci. Tak jak wszyscy jestem tylko prochem. Nie myśl, że to straszne wydarzenie to część jakiegoś wielkiego planu, bo to nieprawda. To nie może być prawda. Nie pozwoliłabym, żeby ktokolwiek, nawet taki nikczemnik jak Girón, ginął z mojego powodu. – Odwróciłam oczy, żeby uniknąć jej przenikliwego spojrzenia. – A teraz przynieś mi śniadanie. Zgłodniałam.

Zostawiła mnie przy oknie. Popatrzyłam na niebo, ale bocianów już nie było. W Kastylii często wiły gniazda na wieżach. Widziałam jedno puste w Santa Ana, w dniu, w którym poznałam Carrilla, i moje życie zmieniło się na zawsze. Wczoraj zobaczyłam stado bocianów i Girón zaniemógł. Jednakże były to przecież tylko ptaki, istoty powietrzne, owszem, piękne, ale pozbawione duszy. Nie mogły być boskimi posłańcami. Nawet zastanawianie się nad tym było grzechem.

Mimo wszystko w głowie zaczęła mi kiełkować myśl: a co jeśli Bóg rzeczywiście ma dla mnie jakiś plan?



Wojna domowa pomiędzy moimi braćmi wybuchła na nowo z ogromną siłą. Śmierć Giróna położyła kres aspiracjom de Villeny i podważyła jego wiarygodność. Ponieważ nie udało mu się wżenić krewnego w rodzinę królewską, a rebelianci zaczęli nim gardzić, skrył się na dworze u boku króla i wychodził tylko z eskortą mauretańskich strażników. Planowane małżeństwo Joanny z moim bratem również nie doszło do skutku, a zwolennicy Alfonsa zdobyli liczne prowincje, tak że wierna Henrykowi została garstka mniej ważnych miast oraz Segovia.

Ziemia była spalona, plony zniszczone, a ludność uciemiona. Wymiana handlowa stała się prawie niemożliwa. Henryk, potrzebując funduszy, nieustannie kazał bić nowe monety, tak że

pieniądz stał się niemal bezwartościowy i kupcy przyjmowali tylko zapłaty w naturze. Beatriz codziennie przynosiła mi nową opowieść o cierpiącym z powodu wojny królestwie, a ja zastanawiałam się, jak długo Kastylia jeszcze wytrzyma, zanim ziemia zacznie się kruszyć i wszystko pograży się w otchłani.

W sierpniu 1467, cztery miesiące po moich szesnastych urodzinach, pojawiły się doniesienia, że armię Alfonsa widziano kilka mil od Madrytu. Królowa wpadła w panikę i wszyscy naprędce wróciliśmy do Segovii. Kiedy Henryk, de Villena i ich wasale udali się na spotkanie rebeliantów, bramy miejskie zostały zabarykadowane, katedralne dzwony przestały bić, a Joanna, oczekując na wynik bitwy, nie miała do roboty nic innego jak tylko chodzić tam i z powrotem po komnatach niczym lamparty króla po klatce.

Posłuchała rady Mencii i wysłała małą Joannę do twierdzy Mendozów w Manzanares el Real, na wypadek gdyby Segovia została zdobyta. Oburzyła mnie insynuacja, że Alfons byłby zdolny skrzywdzić dziecko, ale nie dałam niczego po sobie poznać – siedziałam z obojętnym wyrazem twarzy na stołeczku, trzymałam ręce na kolanach i przyglądałam się królowej. Nalegała, żebym jej towarzyszyła.

Niespodziewanie odwróciła się w moją stronę.

– Walczymy w słusznej sprawie i Bóg jest po naszej stronie. Już raz próbowałam i wykiwał mnie ten nadęty idiota de Villena. Ale nie tym razem. Jak tylko Henryk wróci z głową twojego braciszka w worku, sama dopilnuję, żebyś wyszła za mojego brata, króla Alfonsa. – Wyciągnęła palec, jakby chciała powstrzymać protesty z mojej strony, których wcale nie zamierzałam zgłaszać. – I ani mi się waż wspominać o kortezach. Nie obchodzą mnie żadne zgody. Osobiście zaciągnę cię do Portugalii, w kajdanach. Przypilnuję, żebyś wyszła za mąż i już nigdy nie wróciła do Kastylii.

Beatriz uniosła się z krzesła, patrząc gniewnie na królową. Joanna odwzajemniła się jej podobnie złowrogim spojrzeniem, po czym rozkazała dwórkom:

– Przynieście instrumenty! Chcę muzyki, tańca! Nastał czas zwycięstwa nad naszymi wrogami. Musimy to uczcić.

Beatriz spojrzała na mnie. Uparcie patrzyłam przed siebie. Rozgorączkowane kobiety brzdękały na lutniach, podczas gdy odziana w brokaty i błyszcząca od klejnotów królowa kręciła się w kółko, jakby cały dwór nadal zwracał uwagę tylko na nią. Zdumiewało mnie, że nie wyczuwa, jak bardzo jej nienawidzę. Dziwiłam się, że moja odraza nie zamieniła jej jeszcze w słup soli. Czulałam słonawy posmak w ustach, miałam wrażenie, że sól krąży mi też we krwi. Teraz dopiero zrozumiałam, że Joanna nie ma w sobie ani odrobiny współczucia. Moi bracia właśnie krzyżowali miecze na polu bitewnym, wokół nich leżał martwy kwiat kastylijskiego rycerstwa. Jeszcze więcej ludzi było rannych. A co robiła królowa? Tańczyła.

Wysłałabym, ale nie mogłam. Siedziałam więc cierpliwie, powtarzając cicho słowa modlitwy do Świętego Jakuba, walecznego patrona Hiszpanii, którego błagałam o ocalenie.

Kilka godzin później moje modły zostały wysłuchane. Do komnaty wbiegła Mencia w przekrzywionym kornecie i z włosami opadającymi na twarz.

– Ludzie wyważyli bramy! Bitwa się skończyła! Król i de Villena uciekli. Segovia stracona!

Joanna zamarła w pół kroku, z wyciągniętymi rękami, jakby chciała złapać ostatnie takty muzyki. Potem wydała z siebie nieludzki ryk i rzuciła się na mnie. Poderwałam się na nogi, odpychając stół. Złapałaby mnie, gdyby nie osłoniła mnie Beatriz. Zanim zdążyłam się poruszyć, chwyciła Joannę za nadgarstki.

– Tylko jej dotknij – powiedziała lodowatym głosem moja przyjaciółka – a dopilnuję, żeby to ciebie król Alfons zaciągnął do Portugalii w kajdanach.

Joanna dyszała głośno. Nawet stojąc za Beatriz obok przewróconego krzesła, widziałam obnażone zęby królowej.

Mencia powiedziała nerwowo:

– Wasza Wysokość, proszę. Nie ma czasu. Musimy wyjechać. Kto wie, co z nami będzie, kiedy przyjadą tu rebelianci?

Joanna wpatrywała się we mnie. Wyrwała rękę z uścisku Beatriz.

– Ty tu zostań – powiedziała zduszonym głosem. – Zostań, żeby ich powitać, zdradliwa suko.

– Nie mamy zamiaru nigdzie jechać – odparła Beatriz.

Przyjaciółka osłaniała mnie jak tarcza, podczas gdy Joanna lustrowała mnie po raz ostatni.

Potem razem z dwórkami wyszła pospiesznie z komnaty. W kilka minut apartamenty opustoszały. Wydawało się, że cały alkazar, cała Segovia, a nawet cała Kastylia nagle ucichły.

– Musimy iść na górę – powiedziałam w końcu.

Beatriz popatrzyła na mnie zdezorientowana.

– Na górę?

Chwyciłam ją za rękę.

– Tak, do warowni, żeby patrzeć, jak wchodzą!

Upał osaczył nas jak para z kotła – stojąc na wieży, widziałyśmy falujące nad wyschniętą równiną gorące powietrze. Promienie słońca odbijały się w zbrojach, kiedy na horyzoncie pojawiły się brudne sztandary, konie i rycerze, którzy wlekli się w stronę miasta. Przykładając rękę do czoła, starałam się dojrzeć, co przysłaniają tumany kurzu wzbite przez setki stóp i podków.

– Widzisz go? – zapytała z niepokojem Beatriz. – Jest tam Alfons?

Wspinając się na palce i wyglądając dalej, za niewysoki murek, już zaczynałam kręcić przecząco głową, kiedy nagle go zauważyłam. Jechał na czele swoich wojsk, a trudne do pomylenia jasnozłote włosy miał w nieładzie. Za nim podążał Carrillo w czerwonym płaszczu.

Zbiegłyśmy z Beatriz schodami z powrotem do zamku. Podniósłszy suknię nad kostki, popędziłam przez opustoszałe korytarze i sale, w których roznosiło się echo, na dziedziniec. Dotarłam tam zdyszana dokładnie wtedy, kiedy mój brat przejeżdżał przez bramę w towarzystwie wycieńczonych bitwą rycerzy.

Plac zamkowy wypełniali przestraszeni mieszkańcy, który szukali tu schronienia przed armią rebeliantów. Kiedy mój brat zsiadł z konia, wszyscy jak jeden mąż padli na kolana. Alfons rozejrzał się dookoła, więc ja też uklęknęłam. Wstrzymałam oddech, kiedy do mnie podszedł.

Miał czternaście lat – rozrósł się w ramionach, ale jego biodra nadal były wąskie. Jak wszyscy przedstawiciele dynastii Trastámara został obdarzony przez naturę okazałym wzrostem. Twarz mu się wyostrzyła – łączył w sobie mocne rysy przodków ze strony ojca i delikatne piękno portugalskiego rodu matki. W powyginanym, zbryzganym krwią napierśniku i z mieczem przy boku wyglądał zupełnie jak archanioł zemsty. Słowa powitania ugrzęzły mi w gardle niczym kurz.

Beatriz wydała okrzyk radości i pobiegła, żeby go uścisnąć. Alfons odwrócił się powoli, żeby na mnie spojrzeć. Nadal klęczałam.

– Hermana – powiedział łamiącym się głosem – czy to ty?

Chwyciłam wyciągniętą do mnie rękę i pozwoliłam, żeby pomógł mi wstać. Zaczęłam całować jego dłonie, żeby oddać hołd królowi, którym się obwołał, ale on wziął mnie w swoje szczupłe, twarde ramiona i nagle znów znalazłam się w objęciach brata. Poczułam tak ogromną ulgę, że załkałam. – Jestem tu – wyszeptał. – Zaopiekuję się tobą. Wracamy do domu.

Rozdział jedenasty



Zamek w Arévalo wydawał się bardzo ciasny i posępny. Zdążyłam zapomnieć, w jakiej izolacji od reszty świata dorastaliśmy. Mimo to czułam wyłącznie ulgę, kiedy wracałam tam razem z Beatriz, zawsze lojalnym komendantem Alfonsa Chacónem oraz garstką służby. Na szczęście mój brat zrezygnował z usług rzeszy doradców, którzy towarzyszyli mu przez ostatnie trzy lata.

Carrillo nie pochwalał decyzji o powrocie do Arévalo. Twierdził, że obowiązkiem Alfonsa jest zostać w Segovii i nadzorować pozbawianie Henryka resztek władzy. Arcybiskup ostrzegał, że dopóki nasz przyrodni brat i de Villena są na wolności, dopóty nasze zwycięstwo jest niepełne.

Ku mojemu zaskoczeniu brat nie dał się przekonać – z tego powodu byłam z niego bardzo dumna.

– Henryk już dosyć się wycierpiał – powiedział Carrillovi. – Jest banitą we własnym królestwie i musi polegać na pomocy kilku lojalnych wasali. Nie zamierzam go bardziej upokarzać. Chcę, żeby ogłoszono zawieszenie broni na następne sześć miesięcy. Przekaż mu, że jeśli zgodzi się spotkać, żeby omówić warunki, odstąpię od dalszego odwetu. Tymczasem pojedę z Izabelą w końcu odwiedzić matkę, która na pewno się o nas martwi.

Nie dał sobie tego wyperswadować, nawet kiedy wściekły, spocony arcybiskup wygłaszał w sali posiedzeń litanie wszystkich obowiązków, które sam zaniedbał, by w całości poświęcić się walce o tron dla Alfonsa.

– Zatem nie możecie już więcej niczego zaniedbywać – odpowiedział mój brat. – Jedźcie do Toledo zając się waszym biskupstwem i wszystkim, co trzeba załatwić. Spotkamy się w Ávila po Epifanii.

Zostawiwszy Carrilla z otwartymi ustami, wziął mnie za rękę i wyprowadził z komnaty.

– Przyda nam się trochę rozłąki. Ten człowiek jest tyranem – powiedział pod nosem.

Zaśmiałam się w głos, po raz pierwszy od bardzo dawna.

Tylko jedno wydarzenie zmąciło radość naszego wyjazdu z Segovii. Zanim Beatriz zdążyła mnie ostrzec, a ja dobiegłam do ogrodu, by zainterweniować, było już za późno. Piękne lamparty Henryka, które zmarniały podczas wojny, choć wierny Cabrera opiekował się nimi najlepiej, jak potrafił, leżały w kojcu martwe, przesyte strzałami.

Alfons stał nad nimi z łukiem w ręce. Kiedy dotarłam do ogrodzenia, bez tchu i przerażona widokiem leżących u jego stóp cętkowanych zakrwawionych ciał, brat spojrzał na mnie, a jego twarz była niepokojąco obojętna.

Cabrera stał niedaleko, trupio blady i wyraźnie poruszony bezsensowną śmiercią zwierząt. Kiedy jednak zabierałam się do udzielenia Alfonsowi reprimendy, Cabrera pokręcił tylko głową. Nie odezwał się ani słowem, ale zrozumiałam, że uznał to, co się stało, za jedyny akt zemsty, na który pozwolił sobie mój brat – jedyny upust dla wściekłości i smutku spowodowanych tym, że musiał spędzić młodzięcze lata, walcząc o tron, który i tak mu się należał. Choć okazał łaskę Henrykowi, los lampartów był sygnałem, którego nasz przyrodni brat nie mógł zignorować.

Odwróciłam wzrok, ale minęło jeszcze wiele tygodni, zanim po zamknięciu oczu nie

widziałam martwych lampartów i przestałam czuć ból na myśl o tym, co doprowadziło Alfonsa do takiego okrucieństwa.

A teraz byliśmy w domu. Arévalo znów znalazło się w posiadaniu naszej matki, która wróciła z klasztoru Santa Ana. Kiedy przejeżdżaliśmy obok stróżówki, służący wyszli, żeby nas powitać. Mieli łzy w oczach, a na ich twarzach czas i trudy życia odcisnęły swe piętno.

Sama prawie płakałam, przytulana przez doñę Clarę.

– Mi querida niña* – powiedziała – jak ty wypiękniałas. Jesteś już dorosłą kobietą. Jesteś taka podobna do matki.

Wzięła moją twarz w wysuszone, sękatę rękę. Wyraźnie się postarzała – była bardziej krucha niż aya, którą pamiętałam z dzieciństwa.

– Jak ona się ma? – zapytałam.

Niania pokręciła smutno głową.

– Kiedy byliśmy w Santa Ana, zmarła doña Elvira. Biedaczka dostała gorączki. Śmierć była bezbolesna, ale oczywiście wasza matka się załamała. Jeszcze się po tym nie otrząsnęła, ale cieszy się z waszego przyjazdu. Czeka w sali reprezentacyjnej.

Poczułam, że mam ściśnięte gardło.

– Zaprowadź mnie do niej – powiedziałam.

Zostawiłam Beatriz w ramionach ojca, don Bobadilli, zostawiłam roześmianego Alfonsa, którego obskakiwał i lizał po twarzy jego ulubiony ogar Alarcón, i weszłam do zamku. Choć niedawno okupowali go wasale Henryka, nie zauważyłam żadnych zmian.

Na widok matki stojącej przy pełnym zielonych gałązek palenisku przypomniałam sobie, jak wiele razy podchodziłam do niej pełna obaw, kiedy miała swoje ataki. Resztki tego strachu towarzyszyły mi nadal, czułam na karku delikatne ukłucia. Jednak w szafranowym świetle wrześnieowego słońca, które wpadało przez wysokie okna, matka wyglądała wspaniale nawet w staroświeckich aksamitnych szatach i zmatowiałych klejnotach. Dopiero gdy podeszłam bliżej, zauważyłam, że oczy błyszczą jej jak od gorączki – znak, że potrzebuje jednego ze swoich uspokajających naparów – i że jest wymizerowana: pod suknią wyraźnie rysowały się jej obojczyki, a rubinowe bransoletki zwisały z jej chudych nadgarstków.

– Hija mía – powiedziała z nieobecny uśmiechem, kiedy pocałowałam ją w policzek.

Miałam wrażenie, że nie słyszy mojego powitania – wzrok utkwiała za mną, na zewnątrz, gdzie Alfons śmiał się ze służącymi, którzy zajmowali się jego psami.

W końcu się odezwała:

– Widzisz? A nie mówiłam, że Alfons nas pomści? Spójrz na niego: mój syn jest królem Kastylji. W końcu odzyskaliśmy należną nam pozycję. Wkrótce przeniesiemy się na dwór i na zawsze porzucimy ten okropny zamek.

W jej głosie słychać było dumę. Kiedy Alfons przyszedł, żeby się z nią przywitać, a ona uściskała go mocno, nie wspomniał o żadnych trudnościach. Po kolacji usiedliśmy przed paleniskiem przy matce, Beatriz przy boku ojca, a doña Clara z robótką nieopodał. Alfons zabawiał nas opowieściami o swoich rycerskich wyczynach godnych samego Cyda. Opisywał, jak walczył z Henrykiem, przedstawiając ich utarczki jako bohaterskie pojedynki. Matka nachylała się do przodu na krześle i klaskała, dając wyraz temu, jak bardzo cieszy ją zwycięstwo nad człowiekiem, którego obwiniała za wszystkie nasze nieszczęścia.

Gdy nad Arévalo zapadła noc, matka zrobiła się wyraźnie zmęczona, więc Alfons zaprowadził ją do komnaty. Trzymała się jego ramienia jak małe dziecko.

Przypomniałam sobie, jak dawniej mój brat od niej stronił. Siedziałam w milczeniu, zadumana. Beatriz i don Bobadilla życzyli nam dobrej nocy i odeszli, zostawiając mnie sam na sam z moją aya. Odezwała się dopiero po dłuższej chwili:

– Alfons sprawił, że jest szczęśliwa. Niektóre matki chcą tylko jednego – syna, na którym mogą polegać.

– Nie powiedział jej prawdy – odparłam. – Nie wyjawiał jej, co tak naprawdę się stało i co jeszcze może się stać. Alfons nie jest jeszcze królem Kastylii.

– My o tym wiemy, ona nie musi. Już nie byłaby w stanie poradzić sobie z prawdą – powiedziała doña Clara, odkładając przedzę. – Tobie natomiast ona bardzo służy. Już od dziecka dawałaś dowody wewnętrznej siły. Dzięki niej wyrosłaś na kobietę, która nie pozwala sobą manipulować ani rządzić. Ciesz się, że w końcu wyzwoliłaś się spod wpływów matki. Lepiej, że teraz to u twojego brata szuka pocieszenia na tym leż padole.

Z trudem podniosła się z krzesła, stękając przy tym jak staruszka, podreptała do kredensu, otworzyła jedną z szafek i wyjęła z niej szkatułkę ze skóry i z mosiądzu. Następnie położyła mi ją na kolanach. Puzderko, choć wyglądało bardzo solidnie, okazało się zaskakująco lekkie.

– Wyrabiają je Żydzi. Służą do przechowywania ważnych dokumentów i pieniędzy – wyjaśniła. – Kupiłam ci ją w Ávila, kiedy zaczęły przychodzić listy.

– Listy? – Ręka zamarła mi nad pokrywą.

– Tak – odparła, patrząc mi w oczy. – No dalej, otwórz, to sama zobaczysz.

Zaparło mi dech w piersiach, kiedy zobaczyłam leżący w środku stosik przewiązany wstążką.

– Tu musi być co najmniej tuzin!

– Dokładnie dwadzieścia cztery. Liczyłam. Musiałaś zrobić na nim spore wrażenie. Jak zaczęły przychodzić, to już nie przestały. Przysyłał je kurierem do Santa Ana. – Zaśmiała się. – Wynajęcie prywatnego posłańca, który przejeżdżał całą Kastylię, musiało kosztować go majątek. Jest bardzo zdecydowany, ten książę Aragonii. Zostawię cię teraz, żebyś mogła je przeczytać. Na pewno ma ci wiele do powiedzenia.

Kiedy zostałam sama w sali reprezentacyjnej, złamałam pieczęć pierwszego z listów. W migoczącym świetle świecy zobaczyłam całą stronę pokrytą niewyrobnym pismem:

Najdroższa,

kiedy otrzymałem Twój list, z ogromnym wysiłkiem powstrzymałem się od porzucenia ojczyzny i wojny, którą ojciec toczy z francuskimi wilkami. Chciałem zostawić wszystko i popędzić do Ciebie. Nie mogę spać, nie mogę jeść. Nieustannie myślę tylko o Tobie i o tym, że Ty na dworze brata też walczysz z wilkami, które chcą Cię stłamsić. Ponieważ nie mogę być tam z Tobą, by mieczem przebić serca wszystkich tych, którzy źle Ci życzą, pozostaje mi tylko zapewnić Cię, że jesteś dużo odważniejsza, niż sądzisz. Nie możesz zgodzić się na małżeństwo, które dla Ciebie planują, bo jeśli Bóg pozwoli, musimy się spotkać i sprawdzić, czy przyjdzie nam dzielić wspólny los...

Zamarłam.

Ferdynand o mnie nie zapomniał. To była odpowiedź na mój pełen niepokojów list wysłany ponad rok wcześniej z Madrytu, kiedy czekałam na przyjazd Giróna. Z jakiegoś powodu nie mógł wysłać mi jej bezpośrednio, więc skierował ją do klasztoru, w którym przebywała moja matka. I nie poprzestał na jednym liście. Przeczytałam pozostałe – mijały nocne godziny, świece robiły się coraz mniejsze, a przy moich nogach drzemał ogar Alfonsa. Dziwiło mnie, jak uważnie książę Aragonii śledził z daleka moje losy. Wiedział o wszystkim, co mi się przytrafiło od czasu naszego spotkania, interesował się mną, choć sam borykał się z wieloma trudnościami. Opisywał mi je szczerze, niczego nie ubarwiając, co uznałam za przejaw wewnętrznej siły.

Po długiej, strasznej chorobie jego matka w końcu umarła. Ojciec i syn ledwie zdążyli ją opłakać, kiedy Aragonię znów najechali podstępni Francuzi. Choć nie skończył jeszcze czternastu lat, to właśnie Ferdynand stanął na czele armii, która miała bronić spornej granicy

hrabstw Rosselló i Cerdaya przed zakusami króla Ludwika. Udało mu się zagrzać swoich rycerzy do odważnej walki z najeźdźcą. Ponieważ Francuzi znacznie przewyższali liczebnie siły aragońskie, Ferdynand przegrał bitwę. Aragonia była zadłużona, a ludność zaczynała się buntować, bo wrogowie objadali królestwo jak wygłodniałe wilki, którymi w głębi duszy byli. Księżę musiał umocnić granice i powstrzymać kolejne najazdy, a równocześnie, ze względu na postępującą ślepotę ojca, praktycznie to na jego barkach spoczywało rządzenie pogrążonym w wojnie królestwem.

Pisał:

Wezwaliśmy żydowskiego medyka, wykształconego w mauretańskiej sztuce uzdrawiania, o której cudownych możliwościach wiele słyszeliśmy. Podobno medyk ten uzdrowił kiedyś kalifa Grenady z tej samej choroby, na którą cierpi teraz mój ojciec. Mówi się, że w usuwaniu katarakt jest cudotwórcą. Stwierdził on, że wzrok ojca da się poprawić. Jest to jednak niebezpieczna operacja, wymagająca czterech osobnych zabiegów z igłami, co mnie martwi. Ojciec przekroczył już sześćdziesiątą wiosnę, ma słabe serce, a śmierć matki osłabiła w nim także ducha. Nalega jednak, żeby procedura została przeprowadzona. Oświadczył, że nie chce być ślepy m starcem w dzień naszego ślubu.

Uśmiechnęłam się, czytając te słowa. Były bardzo w jego stylu. W zasadzie w każdej linijce listu dawał wyraz niezachwianemu przekonaniu, że ostatecznie to on zwycięży. Na zakończenie, jakby chciał to jeszcze podkreślić, zawsze dodawał:

Bądź dzielna, Izabelo. Czekaj na mnie.

Dopiero przeczytawszy ostatni list, zdałam sobie sprawę, że spędziłam całą noc zanurzona w jego słowach. Ciemność zaczynała się już rozjaśniać. Świece zgasły, wszystkie z wyjątkiem tej jednej najbliższej mnie, która migotała jeszcze blado i którą w ciągu nocy wiele razy zapalałam, parząc sobie przy tym palce. Kiedy i ona zamieniła się w kałużę płynnego wosku, siedziałam ze szkatułką na kolanach i z zamkniętymi oczami, wyobrażając sobie tego roześmianego, energicznego chłopca, którego przelotnie spotkałam w Segovii. Teraz był mężczyzną, którego nie znałam, więc jak to możliwe, że wydawał mi się tak nieodłączną częścią mnie samej? Bezskutecznie próbowałam się przekonywać, że postępuję niemądrze i jestem zbyt sentymentalna, powierzając swoją przyszłość komuś tylko dlatego, że złożył mi solenną obietnicę, pięknie się uśmiechał i porwał mnie do tańca. Prawdę mówiąc, do tego ograniczała się nasza znajomość. Dowiedziałam się od niego czegoś o sobie. Pokazał mi, że mogę zaufać intuicji i sama wytyczać swoją ścieżkę. A intuicja podpowiadała mi, że mimo odległości, która nas dzieli, i wielu wyzwań, którym musimy sprostać, nie ma na świecie nikogo, kto lepiej nadawałby się na towarzysza mojego życia.

Niezależnie od wszystkiego Ferdynand Aragoński i ja byliśmy sobie przeznaczeni.

* Mi querida niña (hiszp.) – kochane dziecko (przyp. tłum.).

Rozdział dwunasty



Śnieg przyszedł wcześniej – spadał z ołowianego listopadowego nieba, pokrywając mesetę lodowatym białym płaszczem. Zawsze uwielbiałam początek zimy, zapomniałam, że podstępny chłód zrobi się później tak przenikliwy, że oddech będzie zamarzał mi w płucach. Ta zima była szczególnie mroźna. Choć wydawało się, że schroniliśmy się przed niebezpieczeństwem w zaciszu naszego dawnego życia, była to tylko ułuda i bałam się, że zostaniemy sprowadzeni na ziemię, szybciej niż się spodziewamy.

Mimo wszystko rozkoszowaliśmy się wolnością – codziennie odbywaliśmy konne przejażdżki z don Gonzalem, który opowiadał nam o tym, jak trwał wiernie przy boku Alfonsa, choć de Villena próbował za wszelką cenę go skompromitować.

– Arcybiskup Carrillo jest człowiekiem, któremu mogę zaufać – oświadczył Chacón, a jego czarne oczy świeciły z zapalem na brodatej twarzy. – W końcu zadaniem duchownego jest troska o dobro infanta. Ale markiz to prawdziwy szatan. Robił, co mógł, żeby zdemoralizować Alfonsa. Pewnej nocy złapałem go nawet na tym, jak próbował się zakraść do łóżka infanta. Nigdy nie widziałem bardziej zdziwionego człowieka niż de Villena, kiedy potknął się o mój siennik i zobaczył, że śpię ze sztyletem w dłoni.

Zerknęłam na Beatriz. Po tym, co widziałyśmy na dworze, opowieść o postępkach de Villeny wcale nas nie zaskoczyła. Od dawna podejrzewałam, że markiz trzyma Henryka w garści. Teraz wiedziałam dlaczego.

Chacón mówił dalej:

– Na dodatek Jego Wysokość powiedział, że to nie był pierwszy raz. Podobno kiedy nasza ich taka fantazja, de Villena i jego brat Girón zachowywali się jak kochający chłopców Maurowie. Obrzydliwość, moim zdaniem. Komu potrzeba więcej dowodów, że to potępieńcy? – Splunął, po czym zaczerwienił się i powiedział: – Wasza Wysokość musi mi wybaczyć. Wygląda na to, że odzwyczaiłem się od towarzystwa dam.

Uśmiechnęłam się do niego poczekaj.

– Rozumiem. Wasza lojalność wobec mojego brata zasługuje na najwyższą pochwałę, don Gonzalo. Ma szczęście, że się nim opiekujecie.

– Oddałbym życie za Alfonsa. Za Waszą Wysokość też. Zawsze stawiam was i waszego brata na pierwszym miejscu.

Kiedy pogalopował naprzód, by dogonić mojego brata zajętego polowaniem, Beatriz powiedziała:

– Nadal masz wątpliwości, że Girón został pokarany za swoje zepsucie?

– Nie mam. – Patrzyłam, jak mój brat zawraca konia, a Chacón jedzie tuż za nim. Alfons szybko podniósł łuk i wystrzelił, trafiając zaskoczonego zająca w biegu. – Ale to nie oznacza, że szatan umarł razem z nim. De Villena nadal żyje i całkowicie kontroluje Henryka.

– Czy to dlatego jesteś ostatnio taka cicha. Martwisz się o Alfonsa?

– Jak mogę się nie martwić?

Zając zadrżał, kiedy Alfons podniósł go za tylne łapy. Kropelki szkarłatnej krwi spływały na obleczoną w biel zimną ziemię.

– Kastylija ma przecież dwóch królów.

Beatriz spojrzała na mnie tak samo jak wtedy, gdy dowiedziałyśmy się o śmierci Giróna. Odwróciłam się od jej przenikliwych oczu i poklepałam Canelę, który cieszył się, że może rozciągnąć mięśnie – tak jak my za dużo czasu spędził zamknięty na zamku w Segovii.

– Brr! – zawołałam. – Chodź, Beatriz, ścigamy się z powrotem. Ostatnia będzie musiała skubać bażanty na kolację.

Beatriz krzyknęła, że to niesprawiedliwe, bo mam szybszego konia, ale podjęła wyzwanie i ruszyłyśmy przez wielką równinę w stronę przycupniętego koło zamku miasteczka. Śmiałyśmy się przy tym na całe gardło, a wiatr szczypał nas w policzki i nadymał nasze suknie. Przez chwilę zapomniałam, że gdzieś tam jest Henryk, który knuje zemstę.



Boże Narodzenie przyniosło ze sobą wyjące wiatry i śnieżyce tak silne, że świat za zamkowymi murami zamienił się w białą pustkę nie do przebycia. W lodowatych komnatach układaliśmy stopy polan na paleniskach, wymienialiśmy się prezentami własnej roboty, a dla zabicia czasu bawiliśmy się i graliśmy na instrumentach. Niedługo po Epifanii matka dostała jednego ze swoich ataków, pierwszy raz, odkąd przyjechaliśmy. Twierdziła, że słyszy duchy chodzące po korytarzach, i pewnej nocy wybiegła na blanki boso i w samej koszuli. Byłaby zamarzła na śmierć, gdyby doña Clara nie czuwała i nie wyszła za nią. Nakłonienie ją do powrotu wymagało perswazji ze strony wszystkich domowników oraz siły mięśni Chacóna. Zanim sprowadziliśmy ją do środka, zrobiła się sina z zimna i miała odmrożenia na rękach i nogach.

Następnie założyliśmy z powrotem zewnętrzny zamek w drzwiach komnaty matki, a ja spałam obok niej na małym łóżu, na wypadek gdyby obudziła się w nocy. Choć miałam nadzieję, że atak jak zwykle minie, matce tylko się pogarszało. Wyrywała się, kiedy chcieliśmy opatrzeć jej dłonie i stopy, i twierdziła, że za swoje grzechy zasługuje na ich utratę. Wpadała w taką histerię, że musieliśmy na siłę wlewać jej uspokajające napary do gardła. Później siedziała cicho, zapatrzona przed siebie, a ja próbowałam nakłonić ją do zjedzenia kilku łyżek rosółu, żeby nie umarła z głodu.

Jej zamykanie się w sobie musiało przypominać Alfonsowi dzieciństwo i mieszkanie z matką, której nie rozumiał. Zaczął uciekać z zamku tak często, jak tylko się dało, nie zważając na wiatr i śnieg. Naprawiał zagrody dla zwierząt, czyścił stajnie i ogrzewał je, paląc w kotłach. Często też szczotkował konie i zabierał je na wybieg. Jak tylko pogoda się poprawiła, wrócił do polowań – czasami zniknął na całe dni i wracał o zmroku, obładowany wczesnowiosennymi przepiórkami, bażantami i zającami.

W kwietniu skończyłam siedemnaście lat. Urodziny, jak wiele poprzednich, świętowałam cicho. Matka od miesiący nie wychodziła z komnaty i nie wiedziała, że ptaki już śpiewają, zapowiadając długo wyczekiwany odwilż. Żeby się czymś zająć, nadzorowałam generalne porządki w zamku. Kazałam służącym wytrześć nasze stare gobeliny i dywany, wygotować pościel w wodzie z tymiankiem i przewietrzyć zakurzone, zawilgocone ubrania. Dopilnowałam też, by wszystkie podłogi zostały wyszorowane. Mojej uwadze nie umknęły nawet wygódki. Pracowałam razem ze służbą, mimo ostrzeżeń doñi Clary, że zniszczę sobie ręce, i co wieczór padałam wyczerpana na łożo, zbyt zmęczona, by śnić.

W czerwcu przyjechał posłaniec z wiadomością od Carrilla. Choć przez całą zimę Henryka prześladowało nieszczęście, tak że był zmuszony tułać się na koniu i szukać schronienia u każdego, kto otworzył mu drzwi, wraz z nadejściem wiosny wrócił do Madrytu i odmówił

uznania swojej porażki. Kiedy odkrył, że królowa nosi w łonie dziecko kochanka, odesłał ją do odległego zamku, gdzie przebywała w zasadzie w niewoli. Henryk poinformował Carrilla, że teraz już wierzy w nieślubne pochodzenie Joanny i jest gotów ogłosić Alfonsa swoim następcą, ale tylko jeśli przyrodni brat wyrzeknie się wszelkich roszczeń do tronu za jego życia. Żeby poprawić sytuację Henryka, de Villena przekupił większość grandów, skłaniając ich do powrotu na stronę króla. Rozpowszechniał też pamflety, w których oskarżał Alfonsa o bezprawne przywłaszczenie sobie korony. Carrillo ostrzegał, że to tylko kwestia czasu i w końcu wszystko się zawali. Arcybiskup jechał właśnie z Alfonsem do Toledo, gdzie zamierzali opracować strategię obronną.

Nad krajem znów zawisło widmo wojny domowej, ale tym razem nie zamierzałam już stać z boku. Kiedy Carrillo przyjechał z wasalami do Arévalo, czekałyśmy z Beatriz na dziedzińcu. Nasze konie były gotowe do drogi, a torby spakowane i przypięte do siodeł. Arcybiskup przyjrzał mi się uważnie, marszcząc krzaczaste brwi. Siedział na ogromnym rumaku, przy którym mój Canela wyglądał jak kucyk. Pulchne policzki duchownego były zaczerwienione od upału, czoło miał zroszone potem, a na głowie nosił słomkowy kapelusz z szerokim rondem, taki sam, jaki rolnicy wkładali do pracy w polu.

– Rozumiem, że Wasza Wysokość zamierza nam towarzyszyć? – powiedział bez wylewnych powitań, jakbyśmy widzieli się w zeszłym tygodniu.

Kiwnęłam głową.

– Tak. Odtąd gdzie mój brat, tam i ja.

Zaśmiał się.

– Racja, Arévalo nie jest dobrą kryjówką. Słyszałem, że Alfons Portugalski nadal jest skory do ślubu z wami. Obiecał nawet de Villenie kolonię w Afryce, jeśli się zgodzicie. Nie możemy dopuścić, żeby wydał was za tego prostackiego intryganta.

Nie zaszczyciłam go odpowiedzią. Nie miałam złudzeń, że bez skrupułów oddałby moją rękę temu prostackiemu intrygantowi, gdyby dzięki temu Alfons miał pewny tron. W jego oczach byłam tylko kolejną infantką, którą można było wykorzystać. Odwróciłam się od niego, by pożegnać się z dołą Clarą. Uścisnęła mnie mocno.

– Będę się opiekować twoją matką – wyszeptala. – Obiecuję.

Wsiadłam na Canelę i ruszyłam za Alfonsem.

Wieczorne niebo nad Ávila miało odcień lawendowy. To tam planowaliśmy pierwszy postój w drodze do Segovii. Nagle przed nami pojawił się młody Cárdenas, jeden z ulubionych giermków Carrilla, pochodzący z położonej na południu Andaluzji. Został wysłany przodem, żeby sprawdzić, czy nocleg dla nas jest gotowy. Teraz stanął nam na drodze niczym zjawa, trupio błąd, i wypowiedział straszliwe słowa:

– W Ávila wybuchła zaraza. Musimy zawracać.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe. Wzbudzający powszechny postach pomór zaatakował wcześniej w tym roku. Z reguły atakował dopiero jesienią. Carrillo rzucił krótkie rozkazy swoim wasalom i skierował nas do pobliskiego miasteczka Cardeñosa. Mieliśmy spędzić tam noc, a o brzasku wyruszyć w dalszą drogę.

– Będziemy jeść i pić tylko to, co przywieźliśmy ze sobą – powiedział, gdy obolali i zmęczeni zsiadliśmy z koni. – Wszystko inne może być siedliskiem zarazy.

Alfons się skrzywił.

– Czy ktokolwiek zaraził się dżumą, jedząc zupę? Po całym dniu w siodle nie zamierzam zadowalać się orzechami i suszonym mięsem zajęczym. Znajdźcie kogoś, kto da nam porządną posiłek.

Carrillo wysłał ludzi przodem, żeby wyszukali dla nas nocleg. Burmistrz chętnie

zaoferował nam miejsce u siebie i podał późną kolację w postaci świeżo złowionego pstrąga, sera i owoców. Tylko tyle udało mu się zorganizować naprędce i byliśmy mu za to wdzięczni. Wyczerpani poszliśmy do swoich pokojów. Rozebrałyśmy się z Beatriz do koszul i natychmiast zasnęłyśmy.

Obudziło nas mocne pukanie do drzwi. Okazało się, że to Cárdenas. Powiedział, że arcybiskup chce mnie natychmiast zobaczyć. Szybko włożyłam ubłocone ubrania, wepchnęłam włosy pod siatkę i udałam się za jasnowłosym giermkim na dół. Przez okna w sali, w której jedliśmy poprzedniego wieczoru, zobaczyłam na horyzoncie jutrzeńkę.

Carrillo stał przed pokojem Alfonsa. Rzut okna na jego twarz wystarczył, by ugięły się pode mną kolana. Bez słowa otworzył drzwi. W środku na łożu leżał nieruchomo mój brat w koszuli i pończochach. Przy jego boku klęczał Chacón. Kiedy weszłam, podniósł głowę. Uderzyła mnie widoczna w jego oczach udreka.

– Tak go znalazłem – wyszeptał. – Położył się jak zwykle. Żartował, że będzie mi zimno na podłodze w samym płaszczu. Ale kiedy próbowałem go obudzić, nie reagował. On... on chyba mnie nie słyszy.

Nie byłam w stanie się ruszyć. Wyteżałam wzrok, wypatrując typowych dla zarazy obrzęków. W gardle tak mnie ścisnęło, że z trudem łapałam oddech.

– Nie ma owrzodzeń – powiedział Chacón, wyczuwając mój strach. – Nie ma gorączki. To nie pomór. Nigdy nie widziałem, żeby tak się objawiał.

Zebrałam siły i podeszłam do łoża. Alfons był całkowicie nieruchomy, tak że przypominał posąg. Wyglądał, jakby już nie żył. Kiedy się nad nim pochylałam, wbiłam sobie paznokcie w dłoń. Stojąca za mną Beatriz wyszeptała:

– Czy on...?

Kiwnęłam głową.

– Tak, oddycha.

Dotknęłam jego ręki. Miał wychłodzone ciało, tak jakby spał na zewnątrz. Spojrzałam zdezorientowana na Chacóna.

– Jeśli to nie zaraza, to co? Co mu jest?

– Pokaż jej – rzucił Carrillo beznamiętnym tonem.

Patrzyłam, jak Chacón otwiera usta mojego brata i wyjmuje z nich poczerńiały język. Wydałam mimowolny okrzyk. Kiedy odwracałam się, żeby spojrzeć w świdrujące oczy Carrilla, wiedziałam już, co powie.

– To robota Henryka. Wasz brat został otruty.

Beatriz, Chacón i ja na zmianę czuwaliśmy przy łożu Alfonsa. Przyglądaliśmy się bezsilnie, jak miejscowy medyk wezwany przez Carrilla upuszcza mojemu bratu krew. Leciała powoli. Lekarz powąchał ją kilka razy, po czym stwierdził, że nie znajduje żadnych śladów trucizny. Język Alfonsa był opuchnięty, ale już nie czarny. Tej jedynej oznace poprawy towarzyszyło niestety narastające zeszytnienie, jakby stopniowo i nieubłagane z mojego brata uchodziło życie.

Po całym dniu i całej nocy słaśniałam się ze zmęczenia na stołku. W końcu Beatriz wymogła na mnie, żebym poszła coś zjeść z Chacónem, którego odesłała wcześniej. Ledwie wyszłam na korytarz, usłyszałam krzyk.

Przyjaciółka stała roztrzęsiona przy łożu. Kiedy się do niej zbliżyłam, zobaczyłam, że Alfons się nam przygląda. Miał przejrzyste niebieskie oczy, marmurowo bladą twarz i rozchylone wargi. Głęboko z gardła wydobywało mu się zdławione bulgotanie. Z ust i nosa popłynęła mu czarna ciecz. Jego ciało wygięło się spazmatycznie, a na twarzy pojawił się nienaturalny grymas.

Potem znieruchomiał.

– Najświętsza Panienko, nie – wyszeptała Beatriz. – Nie, to niemożliwe.

Ogarnął mnie dziwny spokój, miałam wrażenie, że jestem całkowicie sparaliżowana. Wiedziałam, że mój brat nie żyje, ale i tak chwyciłam go za nadgarstek i sprawdziłam puls, co podpatrzyłam u medyka. Później w milczeniu oczyściłam twarz Alfonsa z ohydnych płynów i złożyłam mu dłonie na piersiach.

– Kocham cię, braciszku – wyszeptałam i po raz ostatni go pocałowałam. Ręce tylko lekko mi drżały, kiedy zamykałam mu oczy. – Musisz zawiadomić innych – powiedziałam do Beatriz. – Trzeba przygotować jego ciało.

Wyszła z pokoju. Padłam na kolana, żeby pomodlić się za jego duszę, bo nie otrzymał przed śmiercią ostatniego namaszczenia. Nie płakałam, choć spodziewałam się, że smutek wrzuci mnie na dno otchłani. Alfons nie przeżył nawet piętnastu wiosen – piękny księżę z nieograniczonymi możliwościami został zabrany w kwiecie wieku.

Straciłam ukochanego brata. Moja matka straciła jedyne dziecko.

Kastylija straciła nadzieję.

Mimo wszystko, kiedy klęczałam przy łożu śmierci i wsłuchiwałam się w dobiegające z korytarza hałasy – płacz służących i protesty niedowierzającego Carrilla – myślałam tylko o tym, że właśnie stałam się dziedziczką tronu Kastylii.

Część II



Zakazana unia

1468–1474

Rozdział trzynasty



– Princesa, muszę dostać odpowiedź. Znów tu są. Czekają.

Miałam wrażenie, że głos przeoryszy dochodzi do mnie z bardzo daleka. Powoli odwróciłam się od ołtarza w klasztornej kaplicy, przed którym klęczałam. Chodziłam tam codziennie od pogrzebu brata, szukając spokoju, którego nie mogłam odzyskać.

Zdałam sobie sprawę, że matka przełożona tym razem jest stanowcza i nie da się zbyć. Postanowiłam schronić się w klasztorze Santa Ana w Ávila, choć Beatriz miała obawy, że zarazę się dżumą, a Carrillo nalegał, bym wypełniła swoje obowiązki. Widziałam, jak ciało mojego brata jest przenoszone do opactwa franciszkanów w Arévalo, gdzie zawinęłam je w całun, podczas gdy zakonnicy śpiewali nieszpory za zmarłych. Kiedy Alfons został pochowany w tymczasowej mogile i opłaciłam budowę nagrobka, udałam się do zamku, żeby przekazać straszną nowinę pogrążonej w apatii matce. Kiedy to zrobiłam, odwróciła się i bez słowa poszła z powrotem do swojej komnaty. Wiedziałam, że smutek ogarnie ją później i pogrąży w czarnej rozpacz, więc kazałam Beatriz dopilnować, żeby matka nigdy nie zostawała sama, nawet w nocy, bo może zrobić sobie krzywdę.

Sama czułam tak nieodpartą potrzebę ucieczki, że kwarantanna, którą objęto Ávila, w ogóle nie stanowiła dla mnie przeszkody. Okazało się, że chorzy przebywają w biedniejszych dzielnicach, a siostry przyjęły mnie z otwartymi ramionami. Rozumiały, jak to tylko zakonnice potrafią, że w czasach niepokoju i żałoby człowiek najbardziej pragnie samotności i miejsca, gdzie może spokojnie pomyśleć.

Schroniłam się więc za klasztorną bramą, włożyłam żałobną biel i zrezygnowałam z wszelkich przywilejów – żyłam tak jak zakonnice, a rytm mojego dnia wyznaczały dzwony wzywające na modlitwę. Odrętwienie, które ogarnęło mnie po śmierci brata, szybko ustąpiło miejsca bezdennej rozpacz. Nieustannie mi się przypominał – najpierw jako zafascynowane przyrodą dziecko w Arévalo, potem jako młodzieniec rozkochany w łowach, który miał dar uspokajania koni i psów, w końcu jako buntowniczy, zagubiony książę, którym już na zawsze pozostanie.

Wreszcie przyszła zgoda. Zdałam sobie sprawę, że muszę znaleźć sposób, by żyć dalej, i to było największe stojące przede mną wyzwanie. Jednak gdy rozdzierający ból stopniowo ustępował, spędzałam bezsenne noce na planowaniu kolejnych kroków. Próbowałam zagłuszyć paralizujący strach, który ogarniał mnie na myśl, że Carrillo chce się mną posłużyć, by zwiększyć swoją władzę, Henryk zbiera przeciwko mnie wojsko, a de Villena i inni grandowie spiskują, żeby mnie zniszczyć.

Znałam naszą historię na tyle dobrze, by wiedzieć, że choć, inaczej niż w Aragonii, w Kastylii księżniczki mogły dziedziczyć tron, to i tak nikt nie wierzył, że kobiety są w stanie rządzić. Nieliczne, którym udało się zasiąść na tronie, spotkały się z ostrą opozycją i musiały poświęcić wszystko, żeby utrzymać się u władzy. Żadna z nich nie miała szczęśliwego życia, wszystkie zapłaciły wysoką cenę za przywilej nazwania się królową.

Czy tego chciał ode mnie Bóg?

Pytanie to gnębiło mnie nieustannie. Jeśli zrezygnuję z prawa do sukcesji po Henryku, zgadzając się dochować złożonej Joannie przysięgi, to skażę Kastylię na chaos, wystawię ją na

pastwę łupieżców takich jak de Villena. Po śmierci Henryka posadzą Joannę na tronie, wydadzą ją za jakiegoś księcia, którym da się manipulować, i będą plądrować królestwo jak własną spiżarnię, dopóki wszystkiego nie rozgrabią. Jeżeli jednak zdecyduję się stawić im opór, to na całe życie naznaczę Joannę piętnem bękarta. Będę musiała stawić czoła tym samym siłom, które zamieniły moich braci we wrogów i przez które Kastylia już tak wiele wycierpiała.

Żadna z opcji nie mogła przynieść mi szczęścia. Jednakże po miesiącu modlitw, rozterek i wielokrotnego odsyłania grandów, którzy co tydzień pukali do furty klasztornej, prosząc o audiencję, w końcu dotarłam do jednej, nieuchronnej prawdy.

Moje pragnienia nie były ważne. Nie, kiedy stawka była tak wysoka. Spojrzałam na przeoryszkę, która zajmowała się mną z niezwykłą troską. Nigdy nie udzielała mi rad, ale zawsze, zwracając się do mnie „princesa”, czyli tytułem zarezerwowanym dla uznanej dziedziczki, dawała mi do zrozumienia, jak jej zdaniem powinnam postąpić.

– Przyjmę ich dzisiaj – powiedziałam.

Przeorysza kiwnęła głową i poszła przygotować pokój, w którym miałam skonfrontować się z losem. Przyklękłam jeszcze raz, a potem wstałam.

Dzisiaj zostanę prawdziwą księżniczką – ale tylko na swoich warunkach.

W pokoju gościnnym nad dormitoriami czekało na mnie czterech mężczyzn – wśród nich Carrillo, biskup de Mendoza, którego obecność mnie ucieszyła, a przy stole uzbrojony w pióro i pergamin sekretarz. Choć biskup był doradcą Henryka, nie zapomniałam okazanej mi przez niego życzliwości. Czwartym przybyszem był nie kto inny, jak de Villena, obficie skropiony drogim piżmem i odziany w czarny aksamit ze złotym haftem. Oczy koloru siarki świeciły mu tak, jakby zaraz miał dostać nagrodę. Czyżby sądził, że po tym wszystkim, co zrobił, raduję się na jego widok?

Carrillo podszedł do mnie energicznie.

– Cieszymy się, że Wasza Wysokość jest w dobrym zdrowiu – powiedział, kłaniając się przed moją wyciągniętą ręką.

Zaskoczyła mnie jego ceremonialność. Kiedy patrzyłam, jak pozostali składają mi ukłon, opuściła mnie pewność siebie. Nie do końca wiedziałam, czy zdołam zyskać ich autorytet, po tym jak długo byłam lekceważona.

– Martwiliśmy się – odezwał się de Villena. Jego zatroskany ton klócił się z lodowatym spojrzeniem. – Obawialiśmy się, że Wasza Wysokość będzie w nieskończoność zaniedbywała swoje obowiązki.

Przypomniałam sobie tamto popołudnie, kiedy markiz i Girón wpadli do sali reprezentacyjnej w Segovii i grozili Henrykowi. Wiedziałam, że nie przyjechał zapytać, czy przyłączę się do buntu. Chciał sprawdzić, na ile jestem gotowa oraz jakie są moje słabe i mocne strony. Bez wątplenia już zaplanował dla mnie kolejne małżeństwo. Mogłam sobie łatwo wyobrazić, jak informuje mnie o tym z szyderczym uśmieszkiem. W końcu kiedy się mnie pozbędzie, droga do realizacji wszelkich jego ambicji stanie otworem. Przypomniałam sobie, że ma syna. Może nawet już zaczął knuć, jak go wydać za Joannę? To byłby najbardziej logiczny krok, po tym jak opłacił kogoś, kto wlał truciznę do kielicha mojego brata...

Na samo wspomnienie zacisnęły mi się pięści. Wybuchnęłam:

– Choć jestem tylko grzesznikiem, nigdy nie zaniedbałabym swoich obowiązków. Nie poświęciłam tego czasu na oddawanie się przyjemnościom. Musiałam przemyśleć wydarzenia, które sprawiły, że znalazłam się w obecnym położeniu. Jak każda oddana siostra oplakuję swego świętej pamięci brata Alfonsa. Jednak sumienie i serce dyktują mi, że jak długo żyje król Henryk, tylko on jest prawowitym władcą. Może gdyby Alfons miał lepszych doradców, sam zdałby sobie z tego sprawę i w królestwie nie zapanowałaby tyrania, a ludzie tyle by nie wycierpieli. Wtedy

Bóg by nas nie pokarał i mój brat może byłby jeszcze na tym świecie.

Przerwałam, żeby zaczerpnąć tchu. Carrillo odsunął się zdeglustowany, ale w oczach biskupa widziałam cień aprobaty, natomiast u de Villeny – dziką furję.

Zanim ktokolwiek zdążył mi przerwać, mówiłam dalej:

– Zatem proszę was, panowie, z całą pokorą, byście przywrócili królestwo mojemu bratu don Henrykowi i zaprowadzili pokój w Kastylii. Mnie wystarczy tytuł księżniczki Asturii, dziedziczki tronu. Niech miłościwy król Henryk panuje nam jak najdłużej.

Tak, powiedziałam to. Stałam nieruchomo, z podniesioną głową, a w pokoju zapadła głucha cisza.

Pierwszy odezwał się de Mendoza:

– Wasza Wysokość jest niezwykle mądra, jak na swój młody wiek. Czy rzeczywiście życzyście sobie, żebyśmy przekazali wasze słowa królowi?

– Tak – odparłam.

Kiwnął głową i ruszył w stronę wyjścia. Sekretarz z zapisanym pergaminem pospieszył za nim. Markiz uklonił się niedbale i też wyszedł. Byłam pewna, że de Mendoza dołoży wszelkich starań, by przekazać królowi moje przesłanie i nie wypaczy go, co zrobiłby zapewne podstępny markiz knujący kolejne intrygi.

Arcybiskup Carrillo przyglądał mi się spod przymrużonych powiek, a następnie zaśmiał się sarkastycznie.

– To było świetne. Prawie mnie przekonałaś. Dyplomata lepiej by sobie nie poradził. Zyskałaś czas potrzebny nam na opracowanie planu.

Podeszłam do krzesła, które wcześniej zajmował sekretarz de Mendozy, i spokojnie usiadłam. Carrillo wyjął z torby plik papierów i rzucił je na stół przede mną.

– To listy z miast, które obiecują wesprzeć cię w walce o tron. Segovia oczywiście jeszcze się nie zdecydowała, ale jestem pewny, że kiedy ogłosisz swój zamiar, przyłączy się do nas. Twój brat walczył w słusznej sprawie i...

– Już ogłosiłam swój zamiar – oświadczyłam, nie patrząc na listy.

– Może temu głupcowi de Villenie – parsknął – ale przecież nie pozwoliłaś, żeby przepadło to, o co walczyliśmy przez cztery lata. Alfons nie mógł zginąć na próżno.

– Alfons umarł, bo Bóg nie pozwolił mu żyć. – Poderwałam się z krzesła i stanęłam z Carrillem twarzą w twarz. – Zginął, bo chciał odebrać tron namaszczonego królowi. Jego śmierć była wyrokiem boskim. Ja, Ekscelencjo, nie zamierzam podzielić jego losu.

Zacisnęła wargi. Niespodziewanie przypomniałam sobie dzień, kiedy naszedł mnie w ogrodzie tego klasztoru. Biła z niego odwaga i determinacja. Bałam się go wtedy i w pewnym sensie nadal wzbudzał we mnie strach. Wiedziałam już jednak, że lepiej tego po sobie nie pokazywać – Carrillo zerowałby tylko na moim lęku. Jego być albo nie być zależało od mojej uległości.

– Czy mam rozumieć, że mówiłaś szczerze? Naprawdę byłabyś gotowa zrzec się wszystkiego, bo w twojej niewieściej głowie uroiło się coś o bożym gniewie?

– Może to arcybiskup nazywać, jak chce. Nie zamierzam kłamać. Nie będę przyczyną dalszych walk. Jeśli mam wstąpić na tron, chcę to zrobić z czystym sumieniem, a nie z krwią niewinnych na rękach.

– Z czystym sumieniem! – Walnął pięścią w stół. – A co z sumieniem Henryka? Co z kłamstwami, które szerzy, fałszem, który sankcjonuje? Zabrał cię matce i uwięził na dworze, zapewnił sukcesję bękartowi i być może otruł twojego brata. Pozwolisz, żeby ta dziwka, królowa, ukradła to, co zgodnie z prawem ci się należy?

Spojrzałam na jego zacisniętą pięść. Przez straszliwy moment miałam przed oczami scenę

z dzieciństwa, przyprowadzając o ciarki wspomnienie mężczyzny, który stoi za tronem mojego ojca i wyciąga rękę, by dotknąć królewskiego ramienia... Potem przypomniał mi się sam Carrillo kładący dłoń na ramieniu mojego brata, kiedy wybuchła wojna – zabrał go wtedy ode mnie i doprowadził do buntu, wojny domowej i chaosu.

Ku śmierci.

Nie chciałam skończyć tak jak ojciec albo bracia – nie zamierzałam być marionetkowym władcą, ofiarą czyhających za mną cieni. Mogłam jednak podzielić ich los, jeśli od razu rozważnie nie wybiorę swojej drogi. Każdy krok mógł przybliżyć mnie do chwały albo do tragedii, żaden wybór nie był bez konsekwencji. Mój los był w moich rękach.

– Ekscelencja zapomniał, z kim rozmawia – powiedziałam w końcu. – Jestem dziedziczką Kastylii i w związku z tym sama mogę doskonale podejmować decyzje.

Ruszyłam już w stronę drzwi, kiedy usłyszałam wycedzone przez zęby:

– Jeśli odmawiasz zaangażowania się w walkę we własnej sprawie, jak możesz oczekiwać, że będę cię bronił? Dziedziczka czy nie, i tak cię dopadną. Zmuszą cię do małżeństwa z królem Portugalii i do końca życia będziesz banitką. Nie dopuszczą, żebyś zasiadła na kastylijskim tronie.

Zastanawiałam się przez dłuższą chwilę, zanim odwróciłam się w jego stronę.

– Jeśli chcecie mnie bronić, to wynegocjujcie z Henrykiem traktat, który zabezpieczy moje prawo do sukcesji. Chcę podpisać go w obecności króla, tak żeby nikt nie mógł oskarżyć mnie o zdradę. Możecie też pomóc mi zorganizować własną siedzibę poza dworem. Nie chcę tam mieszkać.

Grymas na jego twarzy sugerował, że nie spodziewał się z mojej strony rozkazów.

– Coś jeszcze?

Milczałam przez moment. W głowie słyszałam głos Ferdynanda, tak wyraźny, jakby księżę stał obok.

„Bądź dzielna, Izabelo”.

– Tak – odparłam, patrząc arcybiskupowi w oczy. – Mówiliście, że zmuszą mnie do małżeństwa. A co jeśli umieszczę w traktacie z Henrykiem postanowienie, że kandydat na męża musi uzyskać akceptację moją i kortezów?

– Akceptację? – Zaśmiał się szyderczo. – Tego jeszcze nie było: księżniczka chce decydować, kogo poślubi. W rodzinie królewskiej podstawą do małżeństwa jest polityczna konieczność, nie osobiste preferencje.

– Nie śmiem się z tym nie zgodzić – odpowiedziałam. Zaskoczył mnie spokój w moim głosie, bo serce waliło mi jak oszalałe. Po raz pierwszy mówiłam głośno o czymś, co dotychczas było tylko trzymaną w tajemnicy możliwością. – Motywy polityczne są oczywiście najważniejsze. W związku z tym trudno chyba o lepszego małżonka dla mnie niż księżę Aragonii? – Carrillo otworzył szerzej oczy. – Doskonale się nadaje – ciągnęłam. – Jesteśmy prawie w tym samym wieku i łączą nas więzy krwi. Jest Hiszpanem, a nie cudzoziemcem, który mógłby próbować podporządkować Kastylię swoim zagranicznym posiadłościom. Już teraz walczy w obronie swojego królestwa, więc będzie umiał chronić mnie, a ja jego. Kiedy Kastylija i Aragonia się zjednoczą, Francuzi zastanowią się dwa razy, zanim zaatakują, a jeśli zaistnieje taka potrzeba, będę miała dowódcę dla swoich wojsk. Choć sama nie mogę włożyć zbroi ani walczyć na polu bitwy, chcę, by darzono mnie takim samym szacunkiem jak władcę, który może. Poza tym księżę z pewnością wart jest...

– Nie tutaj – przerwał mi Carrillo. – Jeszcze żadnego Aragończyka nie uznano godnym tronu Kastylii. Nawet z pozycją, do której go wyniesiesz.

Przestałam się uśmiechać.

– Moim zdaniem jest godny. To wystarczy. A może arcybiskup myśli tak jak reszta jego towarzyszy?

Carrillo zastanawiał się w milczeniu.

– Gdyby nawet tak było – odezwał się w końcu, a w kącikach ust czaił mu się ironiczny uśmiezek – to co za różnica? Wydaje się, że już i tak podjęłaś decyzję. – Podniósł rękę, ucinając moje protesty. – Tak się składa, że nie zamierzam oponować. Prawdę mówiąc, uważam, że to doskonały wybór. Wszyscy wiedzą, że król Jan od lat dąży do unii małżeńskiej. Kastylija też by na tym skorzystała. Jeśli więc sam książę jest przychylny pomysłowi...?

– Jest – odparłam. – Wiem o tym.

– No więc po co zwlekać? – zapytał cicho Carrillo. Przekrzywił głowę. – Dodamy do traktatu postanowienie, o którym wspomniałaś, i wyślemy prywatny list do króla Jana. Niech wypełni się wasze przeznaczenie.

Kiedy mi się kłaniał, musiałam tłumić śmiech, którym w każdej chwili mogłam wybuchnąć. Trudno mi było w to uwierzyć, ale właśnie wydałam pierwszy rozkaz jako przyszła królowa Kastylii.

Rozdział czternasty



Nikt nie wiedział, dlaczego w Guisando postawiono cztery kamienne byki. Sięgały czasów, kiedy jeszcze nie spisywano kronik, i stanowiły milczący, wyniosły symbol epoki, w której kastylijskie ziemie były podzielone i pogańskie.

Mimo to uznałam je za odpowiednich świadków mojego pierwszego politycznego triumfu, jeśli można było to tak określić. Byki stały kilka mil od Ávila, w smaganej wiatrem dolinie, gdzie nie dało się zaatakować nikogo z ukrycia. W ciepły wrześniowy poranek, ledwie dwa miesiące po śmierci brata, właśnie tam spotkałam się z Henrykiem, żeby zawrzeć ugodę.

Jadąc w stronę króla, czułam, jak pod szatą spływają mi kropelki potu. Suknia miała wyszukany gorset i zbyt wiele drogocennych ozdób, ale Beatriz nalegała, bym ją założyła. Przyjaciółka wróciła do mnie razem ze służącą Inés de la Torre, która wypowiedziała złożoną Mencii przysięgę wierności i błagała, żebym ją do siebie przyjęła. Nie miałam nic przeciwko temu – Inés nigdy mnie nie zdradziła, a zdecydowanie potrzebowałam jeszcze jednej pary zwinnych rąk. Jak zauważyła Beatriz z typową dla siebie szczerością, nikt inny nie chciał u mnie służyć, bo moja przyszłość była jeszcze niepewna. Poza tym potrzebowałyśmy umiejętności krawieckich Inés. Stare suknie okazały się na mnie za ciasne, bo jadłam pożywne klasztorne posiłki, a całe dni klęczałam przed ołtarzem. Na spotkanie z Henrykiem musiałam być ubrana po królewsku. Beatriz pomogła służącej przygotować dla mnie strój – poszerzyły moją purpurową aksamitną suknię z misterną srebrną aplikacją, dodały wstawki z haftowanego jedwabiu i nowe zielone rękawy ze zdobionej perełkami satyny. Na wierzch włożyłam krótką pelerynkę wykończoną gronostajem, symbolem władzy królewskiej. Włosy miałam rozpuszczone, a na nich siatkę z klejnotami i kornet. Nawet Canela miał wyszukaną uprząż ze złożoną skórzaną uzdą, na której wytłoczono moje inicjały.

To wszystko było na pokaz, bo tak naprawdę nie mogłam sobie pozwolić na ubrania, które miałam na sobie. Koszty pogrzebu Alfonsa i stałe opłaty związane z utrzymaniem matki znacznie nadwerężyły nasz skarbiec. Wszyscy powtarzali mi jednak, że muszę się odpowiednio prezentować. Traktat, który Carrillo rzekomo wynegocjował z Henrykiem, miał mi zapewnić odpowiednie dochody.

Mimo wszystko czułam się śmiesznie wystrojona, kiedy zauważyłam króla wśród jego świty. Henryk miał bowiem na sobie prostą czarną tunikę bez żadnych zdobień, tak że w ogóle się nie wyróżniał. Postarzał się – jego twarz była przeorana zmarszczkami, szczególnie wokół oczu, jakby za długo mrużył je na słońcu, a w rozczochranej brodzie pojawiły się liczne siwe pasma. Siedział jednak na wspaniałym białym rumaku – stanowiącym jedyną oznakę luksusu – i patrzył na mnie bez wyraźnego strachu ani zdenerwowania.

Kazałam Carrillovi się zatrzymać.

– Idźcie go powitać. Pojadę z orszakiem za wami.

– Nie – syknął arcybiskup. – Niech on przywita was najpierw.

Rzuciłam mu zniecierpliwione spojrzenie – męczyły mnie już te jego ciągle nalegania, żebyśmy zawsze demonstrowali naszą przewagę. Giermek pomógł mi zsiąść z konia i sama przeszłam kamienisty odcinek dzielący mnie od Henryka. Celowo nie patrzyłam na de Villenę i pozostałych grandów otaczających króla, bo wiedziałam, że w odpowiedzi dostanę wyłącznie

pogardliwe spojrzenia. Ostatni raz kobieta rządziła Kastylią ponad dwieście lat temu i nie powodziło jej się najlepiej. Poczułam ulgę, gdy zobaczyłam, że Henryk wychodzi mi naprzeciw.

– Hermana – wymruczał.

Kiedy nachylił się, żeby pocałować mnie w policzek, poczułam ostrą woń konia, potu i niemytego ciała.

– Bardzo mnie zasmuciła wieść o śmierci Alfonsa – powiedział – ale niezmiernie się cieszę, że mogę cię znów zobaczyć po tak długiej rozłące.

Jego powitanie brzmiało teatralnie. Odsunęłam się najuprzejmiej, jak potrafiłam, i odpowiedziałam mu ostrożnym uśmiechem. Teraz, kiedy znów się spotkaliśmy, wróciło do mnie wspomnienie wszystkiego, co się między nami stało, i na nowo zaczęły dręczyć mnie wątpliwości. Jak mogłam zaufać temu dziwnemu, podatnemu na wpływy władcy, skoro pozwolił, by w jego królestwie tak źle się działo, i wyprawił się z armią na własnego brata w obronie dziecka, które, jak teraz wszystkich zapewniał, nie było jego?

– Też się cieszę, że cię widzę – powiedziałam w końcu, świadoma, że patrzy na mnie z zaciekawieniem.

Zapomniałam, że sama też na pewno bardzo się zmieniłam. Przez ostatnie dwa lata, które spędziłam na dworze, prawie mnie nie widywał, a teraz nie byłam już łatwowierną młodą dziewczyną, jaką pamiętał. W duchu podziękowałam Beatriz za to, że nalegała na bogaty strój. W oczach Henryka musiałam wyglądać jak ktoś, kto zaraz weźmie do ręki jego berło i zasiądzie na jego tronie.

Nauczyłam się już, że odrobina strachu to najlepszy sposób na wzbudzenie szacunku.

Henryk tarł butem o ziemię, jakby wdepnął w coś obrzydliwego. Przygryzł nerwowo wargi, po czym powiedział:

– Jestem rad, że zdecydowałaś się być posłuszna. Jako moja dziedziczka, dostaniesz ode mnie Ávila, Medinę del Campo, Escalonę i... – Urwał, a na jego twarzy pojawił się wyraz bólu i niepewności.

– Huete, Oviedo, Moline, Olmedo i Ocañę – odpowiedziałam. – A ponadto środki na utrzymanie siedziby w mieście, które wybiorę, oraz prawo do odrzucenia wszelkich propozycji małżeństwa, które nie spotkają się z moją aprobatą i nie uzyskają zgody korteżów.

Cytowałam bezpośrednio z postanowień traktatu, a zdziwiony Henryk zrobił wielkie oczy.

– Tak – wymamrotał. – Oczywiście, jak sobie życzysz.

– Życzę sobie tylko tego, co zostało uzgodnione. Nie proszę o nic więcej.

Zauważyłam, że skóra pod jednym okiem drży mu delikatnie. Ogarnął mnie niepokój. Nagle usłyszałam, jak wiatr ociera się o wielkie, miejscami omszałe byki, szeleści rosnącymi nieopodal karłowatymi sosnami i łopocze płaszciami obserwujących nas grandów.

Henryk odwrócił wzrok. Kiedy arcybiskup podszedł do nas z traktatem przyczepionym do przenośnego drewnianego pulpitu, który niósł Cárdenas, de Villena wypełznął z orszaku i zajął miejsce przy królu jak służalczy cień.

– Czy nadal jesteśmy zgodni...? – burknął Carrillo, dając do zrozumienia, że wołałby rzucić pulpit z traktatem na bok i dobyć miecza.

Spojrzałam Henrykowi prosto w oczy. Zaszło mi w gardle. Przez niebywale długi moment król nie poruszył się ani nie odezwał. Później, ku mojej uldze, podniósł namoczone w atramencie pióro.

– Niniejszym ogłaszamy, że nasza siostra doña Izabela obejmie po nas tron Kastylii – wydeklamował. – Na mocy tego dokumentu otrzymuje ona tytuł księżniczki Asturii i wszystkie związane z nim posiadłości, podatki i cła. Jest naszym jedynym prawowitym dziedzicem i po

naszej śmierci zostanie obwołana królową Kastylii na podstawie niniejszego traktatu i proklamacji, która zostanie ogłoszona w całym kraju. Postanowienia te zostaną zatwierdzone przez oficjalne zgromadzenie kortezów.

Nachylił się nad pulpitem i złożył podpis na pergaminie. De Villena wyjął sygnet z kastylijskim herbem, odbił go w czerwonym wosku, którym następnie opieczetował dokument.

– I ja, Izabela – zaczęłam, kiedy wręczono mi pióro – aby w królestwie zapanował pokój, niniejszym zgadzam się, by mój brat sprawował władzę do końca swoich dni, i oświadczam, że do jego śmierci zadowolę się tytułem księżniczki Asturii i jedyne następcy tronu.

I również podpisałam traktat.

Kiedy pieczęcie schły, a atrament przesypywano piaskiem, objęliśmy się z Henrykiem, a potem grandowie klękali przede mną po kolei, żeby złożyć mi przysięgę wierności. Uśmiechałam się, choć zdawałam sobie sprawę, że na mocy tego jednego aktu Joanna została oficjalnie uznana za bękartą i na zawsze odsunięta od sukcesji. O ile bardziej królowa zacznie mnie nienawidzić, kiedy się o tym dowie? Co pomyśli mała Joanna o ciotce, której ufała, kiedy podrośnie na tyle, by zrozumieć, co zrobiłam dla zapewnienia sobie praw do tronu?

Przekonywałam się, że to wszystko dla Kastylii, że działałam w imię pokoju i bezpieczeństwa, że chcę uczcić pamięć zmarłego brata i królewską krew w moich żyłach, której nie skaziła jeszcze żadna zdrada.

Postanowiłam już dłużej nad tym nie rozmyślać. Ruszyłam przy boku Henryka do Ávila, gdzie mieliśmy zjeść wspólny posiłek i świętować nową ugodę. Cały czas miałam jednak przed oczami Alfonsa, który przygląda mi się, stojąc nad pokrwawionymi ciałami lampartów.



Zdecydowałam się zamieszkać w położonym w centralnej Kastylii mieście Ocaña. Nie był to ważny ośrodek administracyjny, raczej otoczona murami osada na skraju mesety, która mogła poszczycić się rynkiem, kościołem parafialnym i rozpadającymi się ruinami z czasów rzymskich. Łącznie miasto miało ledwie dwa tysiące mieszkańców. Pilnie potrzebowałam jednak pieniędzy, a to stąd mogłam zacząć czerpać dochody, zanim opieszała biurokracja królewskiej kancelarii wprowadzi zmiany związane z moim nowym statusem. Poza tym, choć nie tak stara jak Toledo ani tak słynna jak Segovia, Ocaña była bardzo dogodnie położona – na tyle blisko, że mogłam stąd dojechać do obu tych miast na obrady kortezów, a równocześnie na tyle daleko, bym nie musiała cały czas się pilnować, co mówię. Nadworni szpiedzy, chętni donosić de Villenie lub królowi, by zyskać ich przychyłość, nie stanowili tu zagrożenia.

Mieszkańcy Ocañi zorganizowali mi wspaniałe powitanie: paradę powitalną – przynieśli najpiękniejszą figurę Matki Bożej odzianą w niebieski aksamit i koronki, żeby pobłogosławiła mój dom, wygodną trzypiętrową willę o stropach z drewnianych belek i pokojach wyłożonych płytkami. Galeria wychodziła na zamknięty wewnętrzny dziedziniec z fontanną, wokół której stały ceramiczne donice z bujnymi roślinami. Głównym zarządcą mianowałam Chacóna, Beatriz została naczelną damą dworu i miała nadzorować moje komnaty, natomiast Inés de la Torre awansowała na dwórkę. Siedemnastoletni giermek arcybiskupa Cárdenas, młodzieniec o dużych zielonych oczach i kędzierzawych blond włosach, miał pełnić funkcję mojego sekretarza.

W ten sposób zorganizowałam pierwszą siedzibę księżniczki Asturii.

Beatriz zaczęła regularnie jeździć do Segovii po gobeliny, srebrną zastawę i inne niezbędne nam sprzęty. Przypuszczałam, że przyjaciółka utrzymuje potajemną korespondencję

z Andrésem de Cabrera. Moje podejrzania się potwierdziły, kiedy pewnego wieczoru wróciła i poinformowała mnie, że Andrés w końcu poprosił ją o rękę.

– I co mu odpowiedziałas? – zapytałam, nie dając po sobie poznać dojmującego bólu, który poczułam na myśl o tym, że mogę ją stracić.

– Powiedziałam, że jeszcze za wcześnie, że może później, kiedy Wasza Wysokość będzie mnie mniej potrzebować.

– Beatriz, ja zawsze będę cię potrzebować. Jeśli kochasz tego człowieka tak bardzo, jak on najwyraźniej kocha ciebie, to musisz przestać szukać wymówek i pójść za głosem serca.

Spojrzała na mnie z nieskrywaną tęsknotą. Nie przypuszczałam, że kiedykolwiek zobaczę u swojej niezłomnej przyjaciółki taki smutek. Musiałam powstrzymać się, żeby nie zacząć się z nią droczyć, kiedy dodała:

– Ale musielibyśmy zamieszkać w Segovii. Nadal jest zarządcą alkazaru i królewskim skarbnikiem, choć ten szatan de Villena wiele razy próbował pozbawić go tych stanowisk tylko dlatego, że Cabrera jest ci wierny. Jak mogłabym cię zostawić?

– Pewnie nam obu będzie ciężko – powiedziałam cicho. – Ale poradzimy sobie. – Chwyciłam Beatriz za rękę i dodałam, mrugając do niej: – Poza tym to, że będziesz blisko skarbcza, może okazać się błogosławieństwem. Kto wie, czy nie nastanie dzień, kiedy będę potrzebowała pilnie z niego skorzystać.

Zaśmiała się.

– Andrés będzie go dla ciebie strzegł jak oka w głowie! – Przytuliła mnie, sprawiając że łzy, które usiłowałam powstrzymać, popłynęły mi z oczu. – Być może ty będziesz następna – wyszeptala. – Ferdynand na pewno o tobie nie zapomni.

Beatriz poszła odpisywać Cabrerze, a ja odwróciłam się do okna zamyślona. Minęły dwa miesiące, odkąd Carrillo wysłał naszą propozycję do Aragonii. Jediną odpowiedzią, jaką otrzymaliśmy, było oficjalne pismo od króla Jana, który odzyskał wzrok dzięki niebezpiecznej operacji wspomnianej w jednym z listów Ferdynanda. Choć król wyraził zainteresowanie proponowanym małżeństwem, nie poczynił żadnych zobowiązujących deklaracji. Arcybiskup zapewnił mnie, że powodem zwłoki muszą być kwestie wiana. Aragonia miała wiecznie pusty skarbiec, a dodatkowo ślub z kastylijską księżniczką nie był błahym wydatkiem. Nie podobał mi się krytyczny ton, z jakim Carrillo o tym mówił. Było mi zupełnie obojętne, co Ferdynand wniesie do naszego związku – najważniejsza była dla mnie jego osoba – ale arcybiskup nalegał, by wszystkie formalności zostały dopełnione.

Przyszedł też list od Ferdynanda, w którym złożył mi kondolencje z powodu śmierci Alfonsa i zdał szczegółową relację z walk o odzyskanie hrabstw pirenejskich przywłaszczonych przez Ludwika Francuskiego. Ku mojemu rozczarowaniu, w ogóle nie wspomniął o małżeństwie. Oczywiście, było to zgodne z obyczajem, bo pertraktacje musiały toczyć się za pośrednictwem naszych przedstawicieli, ale mimo wszystko brak jakiegokolwiek wzmianki na ten temat dotknął mnie bardziej, niż oczekiwałam. Ton jego listu wydał mi się sztywny i pozbawiony typowej dla Ferdynanda wylewności – zupełnie jakby był niechętny pomysłowi, podczas gdy ja spodziewałam się fali entuzjazmu z powodu tego, że w końcu poruszyłam kwestię naszej wspólnej przyszłości.

Martwiłam się, że coś jest nie w porządku. Napisałam nawet potajemnie do brata Torquemady, żeby poprosić go o radę. W końcu łamałam przecież postanowienia traktatu, który sama zawarłam z królem, ponieważ powinnam była zapytać go o zgodę, jeszcze zanim zaczęłam rozważać małżeństwo z władcą Aragonii. Chciałam się dowiedzieć, czy popełniłam poważny błąd, czy obraziłam Stwórcę, próbując ustalić małżeństwo z Ferdynandem za plecami Henryka. Torquemada odpowiedział, że już dawno zwolnił mnie z wszelkich przysięg danych królowi ze

względu na jego nieprawości. Jeszcze raz poradził mi, żebym pokładała ufność w wierze, a ona mnie poprowadzi.

Kiedy moje sumienie zostało oczyszczone, zaczęłam się zastanawiać, czy nie wezwać Carrilla z Yepes, gdzie rezydował, i nie zażądać, żeby wyjaśnił przyczynę zwłoki. Nie chciałam jednak, żeby się zorientował, jak bardzo zależy mi na tym ślubie. Nikt nie mógł się dowiedzieć, że darzę uczuciem księcia, którego spotkałam tylko raz – z trudem przychodziło mi przyznanie się do tego przed sobą samą.

Rozmyślałam o Ferdynandzie często, szczególnie nocą. Zastanawiałam się, jak teraz wygląda, jak mu się powodzi i czy w ogóle o mnie myśli. Nie łudziłam się, że jest jeszcze niewinny i nie zaznał rozkoszy cielesnych – mężczyznom nie stawiano tak wysokich wymagań. Choć nie byłam zachwycona tym, że księżę dzieli łożę z innymi kobietami, przekonywałam się, że jestem w stanie to zdzierżyć, pod warunkiem że pozostanie mi wierny, kiedy się pobierzemy.

Kiedy się pobierzemy...

Te słowa stały się moją litanią, promykami nadziei. Dni jednak mijały bez wieści od Ferdynanda i powoli zaczynałam wątpić. Okoliczności się zmieniły, a jak powiedział Carrillo: „w rodzinie królewskiej podstawą do małżeństwa jest polityczna konieczność, nie osobiste preferencje”. Być może jako dziedziczka Kastylii miałam poślubić kogoś potężniejszego niż zubożały aragoński książe, choć to on właśnie przypadł mi do gustu. Może powinnam szukać męża na tyle wpływowego i bogatego, by pomógł mi obronić moje dziedzictwo i pokonać wrogów.

Mimo że się nad tym zastanawiałam, od początku zdawałam sobie sprawę, że pragnę małżeństwa tylko z Ferdynandem. Bogaty czy biedny, był tym, kogo potrzebowałam – jego wytrwałość mogła jednoczyć narody, a siła, odwaga i determinacja dawały mi pewność, że zawsze będę mogła na nim polegać. Ciągle pamiętałam naszą rozmowę przy fontannie i to, co z taką śmiałością wtedy wyszeptał. Podczas tych pozornie frywolnych chwil ofiarował mi coś bardzo cennego, coś, co dało mi siłę na te wszystkie burzliwe lata, pełne niebezpieczeństw, strachu, ale też nadziei.

Najważniejsze było jednak to, że w Ferdynandzie znalazłabym sprzymierzeńca, nie pana. Wiedziałałam, że realizowałby moją wizję, nie próbując spychać mnie na dalszy plan. Rozumiał, że muszę być pełnoprawnym władcą Kastylii, tak samo jak on musi władać Aragonią. On byłby moim królem małżonkiem tu, a ja jego królową małżonką tam. Moglibyśmy zjednoczyć nasze królestwa, a zarazem pozostać niezależni. Nikt nie musiałby udowadniać, że jedno z nas jest silniejsze.

Ferdynand nauczył mnie, jak ufać sobie samej.

Jeśli Bóg pozwoli, zaufamy sobie nawzajem.



W październiku 1468 roku w Segovii Beatriz poślubiła Andrésa Cabrerę. W ceremonii brali udział wszyscy ważniejsi dworzanie, a nawet sam król, który chciał w ten sposób zaszczyścić swojego wiernego sługę.

Beatriz wyglądała przepięknie w aksamitnej sukni w kolorze ciemnej zieleni, który symbolizował stałość. Na bujnych ciemnych włosach miała wianek ze świeżych kwiatów i długi jedwabny welon, a na szyi – sznur szarych pereł, które dostała ode mnie w prezencie ślubnym. Stojący przy jej boku Cabrera uśmiechał się tak promiennie, że jego twarz przypominała letnie

słońce. Widząc, jaki jest szczęśliwy, poczułam ukłucie zazdrości, bo zdałam sobie sprawę, że moja Beatriz, z którą dorastałam i która od dziecka była moją przyjaciółką, należała teraz do niego.

Podczas przyjęcia w alkazarze obserwowałam Henryka. Nie widzieliśmy się od czasu podpisywania ugody w Guisando i niepokoiło mnie jego rozbiegane spojrzenie, niechlujny wygląd i to, że celowo unikał patrzenia mi w oczy. Wyglądał tak, jakby od wielu tygodni się nie kąpał, a nieustanne bębnienie palcami w stół ujawniało jego zdenerwowanie. Obok niego siedział de Villena, jak zwykle wymuskany i wystrojony, i szeptał nie wiadomo jakie bezceństwa do ucha naiwnego Henryka.

Kiedy odsunięto stoły, żeby zrobić miejsce, markiz zmierzył mnie gadzim spojrzeniem z przeciwnego końca podwyższenia, a z jego oczu łatwo wyczytałam, co zamierza. Zamarłam. Czy będzie na tyle bezczelny, żeby poprosić mnie do tańca? Miałam nadzieję, że wykorzystam czas, kiedy inni będą zajęci zabawą, na rozmowę z królem. Chciałam go zapytać o zwołanie kortezów, które obiecał mi w Guisando, a które jeszcze się nie odbyło. Carrillo nie chciał przyjechać ze mną do Segovii, żeby omówić tę kwestię. Zamiast tego ledwie parę godzin przed naszym wyjazdem wpadł do Ocañi, przysławszy wcześniej kilka utrzymanych w ostrym tonie wiadomości, i zaczął krzyczeć, że to wszystko podstęp i że Henryk nie ma najmniejszego zamiaru zwoływać kortezów i ogłaszać mnie następcą.

– Jeśli tam pojedziesz – ostrzegął – wtrąca cię do więzienia. Słyszałem, że ta dziwka Joanna urodziła kolejnego bękart i znów knuje, jak tu odzyskać przychyłność Henryka. Uciekła z aresztu, znalazła schronienie u Mendozów i teraz stara się nawiązać dobre stosunki z de Villeną, bo wie, że król go słucha. Jeśli pojedziesz do Segovii, gorzko tego pożałujesz.

Zlekceważyłam jego ostrzeżenia, bo opuszczenie ślubu ukochanej przyjaciółki nie wchodziło w rachubę. Kiedy jednak markiz, w butach na wysokich obcasach, zaczął się do mnie zbliżać, spodziewałam się najgorszego. Ponieważ był faworytem Henryka, musiałam go tolerować, ale nie zamierzałam dać się zastraszyć. Bez względu na wszystko kortezy muszą zostać zwołane. Jedyną zadowalającą mnie odpowiedzią będzie konkretna data.

– Król chce porozmawiać z Waszą Wysokością – oświadczył de Villena swoim irytującym, nosowym głosem, po tym jak uklonił mi się z impertynencką wręcz niedbałością. – Sprawa jest dość pilna. Czy jutro rano wam odpowiada?

Skinęłam głową. Ulżyło mi, że nie próbuje prosić mnie do tańca.

– Oczywiście. Proszę przekazać Jego Wysokości, że jestem do dyspozycji.

– To się jeszcze okaże – odparł.

Zanim zdążyłam zareagować, markiz ruszył z powrotem do króla. Kiedy szeptali coś między sobą, Henryk po raz pierwszy tego dnia na mnie spojrzał.

Na widok jego nieufnych oczu przeszedł mnie dreszcz.

Tamtej nocy nie mogłam spać. Chodziłam tam i z powrotem po komnacie alkazaru, a biedna Inés przyglądała mi się, nie wiedząc, co powiedzieć ani jak mnie uspokoić. Jeszcze się ze sobą nie zżyłyśmy i choć służyła mi z oddaniem, to nie była moja Beatriz. Nie wymyśliła nic oprócz naparu z rumianku, który nieustannie mi przynosiła. Zamiast uczynić mnie senną, zioła sprawiały tylko, że musiałam co pół godziny chodzić za potrzebą.

Miałam wrażenie, że ściany złotej klatki, w której jako młoda dziewczyna spędziłam tyle samotnych i nerwowych dni, zaciskają się wokół mnie. Oczyma duszy cały czas widziałam złośliwy uśmiech królowej Joanny, a w uszach dzwonił mi triumfalny śmiech Mencii de Mendozy. W głowie nieustannie przewijały mi się słowa Carrilla, niczym odczytywana przed egzekucją lista skazańców: „Wtrąca cię do więzienia”.

Dlaczego tu przyjechałam, wiedząc, do czego zdolny jest Henryk? Powinnam była dać

Beatriz prezent w Ocañi i wyjaśnić, że nie mogę wziąć udziału w jej ślubie. Zrozumiałaby – nikomu nie zależało na moim bezpieczeństwie bardziej niż jej. Ja jednak zlekceważyłam ostrzeżenia arcybiskupa. Z typowym dla siebie uporem nie przyjmowałam do wiadomości, że Henryk może złamać słowo. W efekcie skończyłam uwięziona w jego alkazarze, tak samo jak podczas buntu Alfonsa, a za obrońców miałam wyłącznie Cárdenasa i Chacóna. Carrillo był bardzo daleko – nawet gdybym natychmiast po niego wysłała, zanim zebralby swoich sprzymierzeńców i przybył z odsieczą, byłoby już za późno.

Znów tkwiłabym w więzieniu.

Gdy tylko na horyzoncie pojawiły się pierwsze oznaki jutrzenki, byłam gotowa uciekać z Segovii w samej koszuli. Kiedy Inés mnie ubierała, starałam się oddychać powoli i głęboko. Wybrałam stonowaną suknię z niebieskiego aksamitu, a do niej drapowane kanarkowe rękawy. Inés założyła mi na włosy siatkę zdobioną turmalinami. Na ramiona i dekolt założyłam szeroką krezę obszytą czarną koronką. Wytworny strój dawał mi poczucie bezpieczeństwa. Cárdenas i Chacón zaprowadzili mnie do prywatnej sali, w której czekał na mnie Henryk.

Kiedy zbliżaliśmy się do dwuskrzydłowych dębowych drzwi zwieńczonych zawilą arabską, powiedziałam do Chacóna:

– Jeśli nie wyjdę w ciągu godziny, natychmiast wyślij Cárdenasa do pałacu arcybiskupa.

Don Gonzalo pokiwał głową, a Cárdenas popatrzył na mnie z podziwem w pięknych zielonych oczach. Wiedziałam, że jeśli zaszłaby potrzeba, pobiegłby do Yepes nawet boso, żeby zaalarmować arcybiskupa. To, że miałam przyjaciół, było dla mnie źródłem pocieszenia.

Weszłam do komnaty, w której czekali na mnie de Villena i Henryk. Nie było tam nikogo więcej – żadnych strażników, służących ani kręcących się w pobliżu sekretarzy. Wyprostowałam się, podchodząc do nich. Samo to, że zostałam tu wezwana, a sala oczyszczona z ciekawskich uszu, świadczyło, że czeka mnie jakaś przykrość.

– Oszukałaś mnie – oświadczył Henryk bez żadnych wstępów.

Spojrzałam mu w oczy, pomna, jak szybko i bezpodstawnie wzmaga się jego podejrziwość.

– Oszukałam cię? – zapytałam. – W jaki sposób, czcigodny bracie?

– Okłamałaś mnie. Powiedziałaś, że będziesz mi posłuszna we wszystkich sprawach, a potem za moimi plecami knujesz małżeństwo z Ferdynandem Aragońskim. Proszę, nie próbuj zaprzeczać. Przejeliśmy kilka twoich listów, ale po przeczytaniu zalakowaliśmy je i przesłaliśmy do króla Jana. – Stukał palcem w złożony podłokietnik tronu. – Wygląda na to, że jesteś bardzo oddana księciu. Sam, jak wiesz, też darzę go sympatią, ale oczywiście nie mogę na to przystać. Nie wyjdiesz za nikogo bez mojej zgody.

Stojący za królem de Villena uśmiechał się triumfująco.

Milczałam wstrząśnięta. Dowiedzieli się. Jakaż ja byłam naiwna! Powinnam była się domyślić, że będą mnie obserwować jak jastrzębie. Co teraz zrobią? Jak zdołam uciec z pułapki, którą dla mnie przygotowali? Kiedy w końcu się odezwał, mój głos był zachrypnięty:

– Przykro mi, że przysporzyłam ci zmartwień, ale zgodnie z postanowieniami traktatu zachowuję prawo do...

– Nie – przerwał mi Henryk. – Nie masz żadnych praw oprócz tych, które ci przyznam.

Przyglądał mi się z lodowatym spokojem, który przerażał mnie o wiele bardziej niż jego wcześniejsze wybuchy. Najwyraźniej od dawna czekał, żeby się na mnie zemścić. Okazał się dużo bardziej podstępny, niż ktokolwiek przypuszczał. Wszyscy daliśmy się nabrać.

– Ten cały twój traktat – ciągnął – to była farsa, wielka ujma dla mojej godności.

Powinienem był aresztować zdrajców i wszystkich ściągć. Przez nich stałem się żebrakiem we własnym państwie, musiałem szukać ugody z tymi, którzy nadużyli mojego zaufania. To było

upokorzenie.

Tym razem nie byłam w stanie się powstrzymać i zrobiłam krok w tył, kiedy król podniósł się z tronu i stanął nade mną, przygarbiony, a jednocześnie tak wielki, że zdawał się wypełniać sobą całą komnatę.

– Twój brat powinien być skończyć na szubienicy – ciągnął. – Zdołał uciec przed moim gniewem, ale tobie, kochana siostrzyczko, tobie się to nie uda, jeśli jeszcze raz postąpisz wbrew mojej woli.

Nie mogłam oderwać od niego wzroku, nawet kiedy usłyszałam, jak de Villena cedzi:

– Król podpisał traktat w Guisando pod przymusem. Księżniczka Joanna, córka, którą powiła mu królowa, jest prawowitą dziedziczką Kastylii.

Zwróciłam się do Henryka:

– Więc znów wierzysz, że jest twoją córką?

Zagryzł wargi. Nie zapomniał, co wyznał mi wiele lat wcześniej. Zanim jednak zdążyłam wykorzystać tę przewagę, markiz dodał:

– Zgadamy się jednak, byś zachowała prawo do tronu, jeśli poślubisz, kogo ci każemy.

– My? – spojrzałam na niego zdumiona.

– Tak. – Podeszedł do stolika i podniósł czerwoną skórzaną tekę, którą pomachał w moją stronę. – Wasza Wysokość wyjdzie za Alfonsa V, króla Portugalii.

Choć to zarządzenie nie było dla mnie nowością – królowa od dawna optowała za tym kandydatem na mojego męża – czułam się tak, jakby ktoś kopnął mnie w brzuch. Henryk wybrał rozwiązanie, które dla mnie było nie do przyjęcia, co niezaprzeczalnie potwierdzało, że kieruje nim chęć zemsty. Wolałabym trafić do więzienia – przynajmniej tam mogłabym mieć nadzieję na uwolnienie. Ślub z Alfonsem V, często zwanym Afrykańczykiem ze względu na swoje zamorskie ekspedycje, bratem królowej Joanny, był dokładnie tym, przed czym przestrzegał mnie Carrillo. Do końca życia byłabym więźniem, straciłabym szansę na tron Kastylii, a de Villena zamieniłby królestwo we własne koryto.

– Nie – odezwałam się bez zastanowienia, w nagłym przypływie wewnętrznej siły. – Absolutnie nie. Choć królowi należy się lojalność, nie mogę zgodzić się na to małżeństwo.

– Kim ty niby jesteś, żeby odzywać się w ten sposób – warknął markiz. – Skoro mówimy, że wyjdiesz za króla Alfonsa, to za niego wyjdiesz. Na wszystkie świętości, albo zrobisz, co ci każemy, albo pożałujesz.

Spojrzałam mu w oczy.

– Na wszystkie świętości, markizie, to nie wy jesteście moim królem.

– Ale ja jestem. – Henryk wbił we mnie wzrok. – Jestem twoim królem i bratem i mówię, że tak właśnie zrobisz. Właściwie to rozkazuję ci tak zrobić.

Przyglądałam mu się w milczeniu. Nie widać było u niego żadnych oznak utarty kontroli, co musiało być efektem wielotygodniowych manipulacji de Villeny. Henryk traktował mnie jak jedno z bezbronnych stworzeń w swojej menażerii, choć podejrzewam, że zwierzę cierpiące w klatce wzbudziłoby w nim więcej współczucia.

Właśnie wtedy zgasła we mnie ostatnia iskierka sympatii wobec Henryka, którą tak usilnie starałam się zachować – to ona odwiódła mnie od wzięcia strony Alfonsa w konflikcie i uodporniła na pogardę Carrilla. Teraz widziałam już tylko człowieka niegodnego sprawowania władzy nad tym prastarym królestwem i już się nie bałam. Nie Henryka.

– Przemyślę tę propozycję, ponieważ złożył ją mój władca – powiedziałam, nie zwracając uwagi na de Villenę. – Teraz, jeśli Wasza Wysokość pozwoli, chciałabym wrócić do swojego domu w Ocañi. Tutejsze powietrze mi nie służy.

Markiz zaczął protestować, ale Henryk podniósł rękę.

– Nie – przerwał – pozwól jej odejść. Niech ktoś jedzie z nią do Ocañi. Równie dobrze może tam zastanawiać się nad moją propozycją.

– Najjaśniejszy Panie, ona będzie próbowała uciec – oponował de Villena. – Niech Wasza Wysokość nie zapomina, że ona umie świetnie kłamać. Jak wszystkie kobiety odziedziczyła po Ewie przebiegłość. Zatrzymajcie ją tu, pod strażą, do wiosny, kiedy mamy negocjować z Portugalią...

– Nie ucieknę – przerwałam mu, nie odrywając wzroku od Henryka. – Ślubuję ci to uroczyście jako twoja siostra.

Przez długą chwilę patrzył mi w oczy, a następnie skinął lekko głową. Pokłoniłam mu się do samej podłogi. Jeśli myślą, że zmusili mnie do uległości, niech tak będzie.

Nigdy nie pozwolę im przejąć kontroli nad swoim losem.

Rozdział piętnasty



Do Ocañi eskortował mnie de Villena i dwustu uzbrojonych rycerzy. Kiedy wjeżdżaliśmy do miasta, podnosiłam wysoko głowę. Mieszkańcy zgromadzili się, by mnie powitać – kobiety i dzieci trzymały w rękach bukiety jesiennych kwiatów, a mężczyźni zdjęte z głów czapki. Ich spontaniczne okrzyki radości prawie natychmiast umilkły na widok otaczających mnie pik i hełmów. Zaskoczenie szybko zamieniło się w panikę, kiedy okazało się, że miasto musi ugościć oddział de Villeny, który miał zostać w Ocañi i pilnować, żebym nie uciekła.

Markiz co prawda nie ośmielił się umieścić ludzi w moim zamku, ale udało mu się zwabić Mencię de Mendozę z powrotem na służbę. Znalazłam ją w swojej komnacie, jak tylko weszłam. Dygnęła przede mną i oświadczyła, że teraz, kiedy Beatriz zamieszkała z mężem w Segovii, właśnie ją król mianował moją główną damą dworu.

Inés rzuciła jej spojrzenie spode łba. Przejścia na dworze sprawiły, że w końcu się do siebie zbliżyłyśmy. Zdumiał ją więc widok kobiety, która wcześniej płaciła jej za to, by mnie szpiegowała, i przeciwko której się zwróciła, aby mi służyć.

– Nie będziesz usługiwać mojej pani w sypialni – oświadczyła. – To należy do mnie.

Mencia zacisnęła wargi. Właśnie zamierzała coś powiedzieć, pewnie coś niemilego na temat szlachetnego pochodzenia, którym w przeciwieństwie do Inés mogła się poszczycić, ale jej to uniemożliwiłam:

– Zajmie się pani teraz naszą kolacją, señora de la Cueva.

Zauważyła, że celowo użyłam jej mężowskiego nazwiska, każąc jej spełnić najprostszą posługę. Znów dygnęła przede mną sztywno i jak burza wypadła z komnaty.

– Najświętsza Panienko, miej nas w swojej opiece – powiedziała Inés, rozpinając mi płaszcz. – Czemu ona tu jest?

– Oczywiście z tego samego powodu, dla którego kiedyś przysłała ciebie, żeby szpiegować.

Podeszłam do dębowego sekretarzyka, zastanawiając się, czy Mencia już w nim myszkowała. Przed wyjazdem na dwór schowałam w nim teczkę z kopiami moich listów do Ferdynanda i jego odpowiedziami oraz duplikaty korespondencji między arcybiskupem a królem Janem Aragońskim, a także mojej z Torquemadą. Wszystko umieściłam pod dolną szufladą, w tajnej skrytce. Z ulgą stwierdziłam, że Mencia jeszcze jej nie znalazła. Teraz jednak, kiedy zamieszkała z nami na dworze, żadna kryjówka nie była bezpieczna.

– Inés – przywołałam ją, a ona odwróciła się pospiesznie w moją stronę. – Daj to Cárdenasowi. Powiedz, żeby schował gdzieś w stajni. – Pozwoliłam sobie na uśmiech. – Przypuszczam, że Mencia uważa się za zbyt wielką damę, żeby grzebać w końskim łajnie.

Dziewczyna wyszła. Sama w komnacie, zaczęłam chodzić tam i z powrotem. Co ja mam robić? Co jestem w stanie zrobić? Jak mogę nie wpaść w zastawione na mnie sidła, skoro miasto jest pełne ludzi de Villeny, a w zamku obserwuje mnie Mencia? Markiz wrócił do Segovii, ale przed wyjazdem ostrzegwał, że czeka mnie nieprzyjemny koniec, jeśli z jakiegoś powodu odważę się opuścić Ocañę. Nadchodziła zima. Nic się nie rozstrzygnie, kiedy światem targają wiatry i szaleją na nim śnieżyce, ale najpóźniej w marcu dojdzie do spotkania z Portugalczykami. Pertraktacje mogą zakończyć się w kilka dni, a potem zostaną natychmiast wezwana. Może się

okazać, że już w kwietniu, przed osiemnastymi urodzinami, będę żoną króla Alfonsa.

Wbiłam sobie paznokcie w rękę, żeby zatrzymać spiralę daremnych rozmyślań. Nie pozwolę na to. Muszę uciekać. Muszę skryć się przed nimi w bezpiecznym miejscu. Między mną a Henrykiem toczyła się wojna – niewypowiedziana, ale rzeczywista.

Niezależnie bowiem od pogroźek przyrodniego brata nie zamierzałam poślubić nikogo innego niż Ferdynanda.



Noc była bezksiężycowa, mroźna i cicha, jak większość marcowych nocy w Kastylii, kiedy ziemia wciąż jeszcze śpi w objęciach zimy.

Inés powiedziała, że Chacón przeprowadzi arcybiskupa przez bramę miasta w przebraniu. Zaśmiałam się nerwowo, kiedy to usłyszałam. Jak don Gonzalo zamierza tego dokonać? Przecież Carrillo musi być chyba najbardziej rozpoznawalnym człowiekiem w całym królestwie – imponująca postać w charakterystycznej szkarłatnej pelerynie i z mieczem u pasa nie mogła przejść gdziekolwiek niezauważona. W listach przekazywanych za pośrednictwem Cárdenasa, który stawiał czoła mroźnym wichurom i z przebiegłością lisa wymykał się z Ocañi, Chacón zapewniał mnie jednak, że Carrillo jakoś sobie poradzi.

Teraz czekałam więc, chodząc tam i z powrotem po wydeptanej podłodze i nerwowo zerkając na drzwi, za którymi mogło kryć się moje wybawienie – albo moja klęska.

Przez ostatnie pięć miesięcy, podczas których Cárdenas prznosił potajemnie wiadomości, a Inés toczyła wojnę domową z Mencią, strażnicy rozmnożyli się w zamku jak szarańcze. Wkrótce zaczęłam odnosić wrażenie, że de Villena przysłał do Ocañi całą armię. Kiedy zabroniono mi wyjechać do Arévalo i spędzić Epifanię z matką, w końcu odważyłam się zapytać Mencię, dlaczego na ulicach tuż przed bramą zamku jest aż tylu żołnierzy.

Siląc się na obojętność, odparła:

– O ile wiem, na południu wybuchło powstanie pod wodzą markiza de Cádiz. Król i de Villena muszą jechać do Andaluzji, żeby je stłumić. Oczywiście bardzo zależy im na tym, żeby pod ich nieobecność Wasza Wysokość była bezpieczna.

– Oczywiście – odparłam sucho, choć zapaliła się we mnie iskierka nadziei. Markiz de Cádiz był znanym mąciwodą – ten wybuchowy grand miał ogromne włości w Andaluzji i odwiecznego wroga w osobie swojego rywala, księcia Mediny-Sidonii. Razem tych dwóch dokonało większych spustoszeń niż Maurowie. Ich spór mógł zaburzyć delikatną równowagę sił w tym regionie, co zagroziłoby całemu królestwu i uniemożliwiło spotkanie z Portugalczycami. Henryka i de Villeny nie będzie co najmniej miesiąc, bo Sewilla leżała dużo dalej od Kastylii niż Portugalia, więc miałam idealną okazję do ucieczki.

Carrillo musiał podzielać moje zdanie, bo ledwie kilka dni później Cárdenas przyniósł mi list od niego. Zapakowałam tylko niezbędne rzeczy, a Inés zaniósła walizki do stajni, żeby schować je w sianie. Kolejne kilka tygodni spędziłyśmy na nerwowym oczekiwaniu, udając, że absorbują nas zwykłe codzienne czynności: zarządzanie zamkiem, haftowanie, czytanie. Do sypialni wracałyśmy tuż po zmroku pod pretekstem oszczędzania świec. Wszystko było obliczone na to, by Mencia popadła w śmiertelną nudę. Kiedy Inés doniosła mi, że señora de la Cueva zaczęła zadawać się z jednym z żołnierzy, krępkim młodzieńcem, do którego wymykała się na conocne igraszki, musiałam tłumić swój raczej niestosowny entuzjazm.

– A ona przecież jest mężatką – stwierdziła zniesmaczona Inés. – Pospolita ladacznica ma

więcej skrupułów.

Uznałam, że okoliczności są wyjątkowe i mogę nie reagować na bezwstydną Mencii – nie, kiedy jej rozrywki mogły przysłużyć się mojemu celowi. Udałam więc, że zupełnie nie zauważam śladów pocałunków na jej szyi i pożądlivego spojrzenia.

Tamtej nocy znów się wymknęła, jak tylko usłyszała, że zamykam za sobą drzwi od sypialni. Inés pobiegła na dół otworzyć bramę. Mogłyśmy tylko mieć nadzieję, że strażnicy, którzy zwykle patrolowali ten teren, postanowili schronić się przed zimnem i poszukać rozrywki w jednej z gospód przy rynku. Nacięcia na świecy przy moim łożu wskazywały, że minęła druga w nocy. O tej porze wartownicy już na pewno nie przebywali na zewnątrz...

Zamarłam na odgłos kroków dobiegający od strony schodów. Przerazająca myśl, że to mogą być ludzie de Villeny, zmroziła mi krew w żyłach. Ktoś mógł się dowiedzieć, że pisałam do Carrilla – bez wątpienia on też był pilnowany w Yepes tak jak ja tutaj. W końcu przechwycili już moje listy do Aragonii. Dios mío, a co jeśli przyszli mnie aresztować?

Wstrzymałam oddech, kiedy rozległo się pukanie. Potem usłyszałam szept Inés:

– Pani? Pani, to my.

Odryglowałam drzwi i moim oczom oprócz dwórki ukazały się dwie wysokie, zakapturzone postaci w długich płaszczach. Kiedy weszły do środka, odetchnęłam z ulgą. Obaj przybysze mieli pod spodem franciszkańskie habity, a jednego z nich natychmiast rozpoznałam jako Chacóna. Kiedy wyższy mężczyzna zdjął kaptur, uśmiechnęłam się.

– Witajcie w Ocañi, Ekscelencjo.

Carrillo prychnął, jak zwykle marszcząc krzaczaste brwi.

– Mówiłem, że będą chcieli cię skrzywdzić. – Rozglądał się uważnie po komnacie. – Boże miłosierny, tu jest jak w przytułku dla ubogich. Nie znaleźli nic lepszego dla przyszłej królowej Kastylii?

Bawiło mnie, że po ponadrocznej rozłące nadal się tym wszystkim oburza.

– Było tu całkiem dobrze, dopóki de Villena nie zapełnił zamku szpiegami.

– De Villena to wąż – odburknął Carrillo, jakby nie łączyło go już z markizem żadne pokrewieństwo. – Posiekam go na kawałki, jak tylko zaprowadzę cię tam, gdzie twoje miejsce.

Spojrzałam na Chacóna, który wyjaśnił:

– Tuż przed wyjazdem z Yepes Jego Ekscelencja dostał od admirała ostrzeżenie. De Villena spiskuje...

– Zdrada! – huknął Carrillo tak, że się aż skrzywiłam. – Mój kuzyn, ten napuszony salonowy piesek, ma czelność oskarżać mnie o zdradę! No więc jestem! Niech przyjdzie i mnie aresztuje, kanalia! – Przerwał i zaśmiał się. – To jest, jeśli nasi andaluzyjscy przyjaciele z Mediny-Sidonii i Cadíz nie posiekają go wcześniej na kawałki. Albo jeszcze lepiej, przerzucają go za mury Malagi, żeby Maurowie mieli się czym bawić.

– Ekscelencjo – wtrącił surowo Chacón – Jej Wysokość słucha.

Carrillo przerwał. Jego rumiane policzki zrobiły się jeszcze czerwieniejsze.

– A racja, wybacz. Jestem ordynarnym ramolem, któremu brak ogłady.

Przechyliłam głowę.

– Już późno, może powinniśmy... – Nie dokończyłam.

Nie miałam pojęcia, co planowali, ale nawet ja wiedziałam, że wędrowni mnisi nie podróżują z uzbrojoną strażą. Ani z uciekającymi księżniczkami. Ich przebranie wcale nie ułatwi nam uciezki.

Kiedy zobaczyłam wyraz twarzy arcybiskupa, zakłuło mnie serce.

– Nie zabieracie mnie ze sobą.

Carrillo podszedł do kredensu, żeby nalać sobie czarkę wina. Nie był zadowolony, kiedy

okazało się, że moja karafka zawiera tylko czystą, świeżą wodę. To był jeden z moich kaprysów – gdziekolwiek dało się znaleźć dobrą wodę (a w miastach z akweduktami było jej pod dostatkiem), kazałam zastępować nią wino w swoich komnatach. Nie lubiłam alkoholu, bo odbierał ludziom jasność myślenia. Patrzyłam więc z rozbawieniem, jak Carrillo krzywi się przy picciu wody.

– To nie byłoby rozsądne – powiedział, odstawiając czarkę. – Jeszcze nie teraz. Wszędzie płacze się za dużo ludzi de Villeny. Pełno ich w całej Kastylii. Ten łotr ma oczy dookoła głowy. Poza tym sytuacja w Aragonii jeszcze się nie wyklarowała. Nadal mamy kilka ważnych spraw do załatwienia.

– Co na przykład? – Starałam się tłumić rozdrażnienie. – Mówiliście, że król Jan jest oburzony tym, że Henryk chce mnie wydać za kogoś innego. Sądziłam, że jest przychylny mojej sprawie i przyśle do nas z Aragonii posłów z umową przedślubną, formalizując tym samym zaręczyny.

Carrillo pokiwał głową.

– Tak właśnie postąpił. Mamy jego kapitulację, ale to jeszcze nie wszystko. Trzeba jeszcze uzgodnić kwestię twojego wiana i uzyskać dyspensę papieską, bo jesteście z Ferdynandem kuzynami w drugiej linii. No i oczywiście trzeba ustalić warunki waszego panowania. Kastylia musi zawsze mieć pierwszeństwo przed Aragonią. Nie możemy sobie pozwolić na uwikłanie w ich odwieczny spór z Francją ani na opróżnianie naszego skarbcza, by wspomóc Aragończyków. Takie pertraktacje wymagają czasu i...

– Nie obchodzą mnie żadne wiana – przerwałam mu. – Jeśli chodzi o dyspensę, to Jego Świątobliwość z pewnością nam nie odmówi. Warunki mojego panowania można ustalić później. Z bożą pomocą, jeszcze długo nie zostanę królową.

Kąciki ust Carrilla opadły. Odezwał się beznamiętnym tonem:

– Po tym wszystkim, co ci zrobił, nadal utrzymujesz, że ta tchórzliwa gnida ma prawo do korony?

– To nasz król i pozostanie nim aż do śmierci. Nie wypowiem mu wojny tak jak Alfons, ale nie zamierzam też przystawać na wszystko, co dla mnie przewidział. – Zamilkłam i spojrzałam na Carrilla niecierpliwie. – Myślałam, że wyraziłam się dość jasno: chcę tylko wyjść za księcia, którego wybrałam, i zamieszkać w bezpiecznym miejscu, z dala od szpiegów de Villeny.

– W takim razie proponuję, żebyś wyprowadziła się poza Kastylię – odparował. – Skoro bowiem uparcie bronisz Henrykowego prawa do tronu, nie zaznasz spokoju w tym królestwie, nie po ślubie z Ferdynandem.

Długo tłumiona wściekłość wrzała we mnie tak, że niemal czułam, jak parzy mi gardło. Nie mogłam uwierzyć, że przyjechał tylko po to, żeby udzielić mi reprimendy. Czy był aż takim arogantem, że miał nadzieję zastraszyć mnie jak dziecko i skłonić do robienia, co mi każe? Jeśli tak, to bardzo się pomylił.

Chacón i Inés zamarli, patrząc, jak stoimy naprzeciw siebie niczym wojownicy. Następnie Carrillo wydał jedno ze swoich teatralnych westchnień. Sięgnął do kieszeni habitu i wyjął skórzaną tubę posłańca.

Nagle zdałam sobie sprawę, że wstrzymuję oddech. Arcybiskup zaśmiał się nerwowo.

– Nie zaszkodzi trochę poczekać, co? Na wypadek gdyby Wasza Wysokość zmieniła zdanie.

Odetchnęłam głęboko. Wzięłam od niego skórzaną tubę, podeszłam do sekretarzyka, zdjęłam z niej pokrywkę i lekko przechyliłam. Na blat wypadły zwoje pergaminów z wiszącymi pieczęciami. Szybko przebiegłam wzrokiem długie akapity, nie próbując nawet zrozumieć

zawiłych paragrafów z postanowieniami szczegółowo określającymi każdy aspekt wzajemnej relacji – wszystkie małżeństwa w rodzinie królewskiej uzgadniano w najdrobniejszych szczegółach. Zamiast się w nie wczytywać, spojrzałam na dół karty, gdzie nagryzmolone pismem, które już tak dobrze znałam, widniało: „Yo, Fernando de Aragón”.

Podpisał akt zaręczyn. Nadal mnie chciał.

Nie byłam w stanie się poruszyć. Kiedy złożę podpis na dokumencie, już nie będzie odwrotu. Chociaż nie chciałam przywłaszczać sobie tronu, w oczach Henryka zaręczyny będą równoznaczne z wypowiedzeniem wojny. Zabronił mi zawierania jakichkolwiek układów bez swojej zgody, a kiedy dowie się o moim nieposłuszeństwie, szybko weźmie odwet. Właśnie miałam zaryzykować wszystko dla księcia, którego od lat nie widziałam – miejsce w porządku sukcesji, panowanie, być może nawet życie.

Zatrzymałam rękę tuż nad kałamarzem:

– A dyspensa...? – zapytałam.

– Będziemy ją mieli przed ślubem. Król Jan i ja już złożyliśmy prośbę w Rzymie.

Carrillo przyglądał mi się, w ogóle nie mrugając. Chacón i Inés stali przy drzwiach jak posągi. Miałam wrażenie, że cały zamek wstrzymuje oddech – wokół panowała taka cisza, że słyszałam szczekanie psa gdzieś na polach za murami.

Zamknęłam oczy i przywołałam obraz Ferdynanda, jakiego zapamiętałam z czasów naszego ostatniego spotkania w Segovii. Widziałam jego piwne szczere oczy, kiedy brał mnie za rękę i mówił: „Możemy zjednoczyć nasze królestwa, zaprowadzić między nimi pokój”.

Wzięłam pióro, zanurzyłam je w atramencie i wykaligrafowałam starannie na dole karty: „Yo, Isabel de Castilla”.

Stało się. Na dobre czy na złe, byłam teraz zaręczona z Ferdynandem. Zwróciłam się do Carrilla:

– A gdzie będę mieszkać? W obecnej sytuacji nie mogę przecież tu zostać.

– Nie, nie możesz. – Podeszedł do pulpitu, zasypał pergamin piaskiem, który potem zdmuchnął. – Sądzę, że Valladolid będzie dla ciebie najlepsze. Miasto przyrzekło ci wierność i masz tam lojalnych przyjaciół. Pojedziemy najpierw do Madrygu i zatrzymamy się tam na noc. Miejmy nadzieję, że do naszego przyjazdu admirał, dziadek Ferdynanda, zbierze swoich wasali. Valladolid to jego dominium. Zatrączy się o twoje bezpieczeństwo, kiedy wyślemy akt zaręczyn do Aragonii.

– Rozumiem – odparłam, starając się stłumić uśmiech.

Nie powinnam była w niego wątpić. Choć Carrillo był drażliwy i wyrachowany, nikt lepiej niż on nie potrafił zorganizować obrony.

Odchrząknął.

– Jak mówiłem, nie widziałem przeciwwskazań, by trochę poczekać. Jeśli zdecydowałabyś się iść na wojnę, zamiast do ołtarza, siły admirała też by się przydały.

– Oczywiście – odpowiedziałam. – Gdybym postąpiła zgodnie z wolą Waszej Ekscelencji.

Spojrzał mi w oczy.

– Zamiast tego postąpiłaś zgodnie ze swoją. Teraz możemy się tylko modlić, żeby cała Kastylia nie spadła nam na głowę. – Zrolował pergaminy i włożył je do tuby. – Radzę teraz pójść po płaszcz. Najlepiej uciekać od razu.

Osiodłane konie już na nas czekały. Cárdenas pomógł mi wsiąść na Canelę. Włożyłam obszyty futrem kaptur płaszcz i obrzuciłam zamek długim spojrzeniem. Nie mieszkałam tu długo, ale to było pierwsze miejsce, które nazywałam swoim, i nie chciałam się stąd wyprowadzać. Nużyło mnie już to, że nigdzie nie mogłam osiąść na stałe. Odkąd wyjechałam

z Arévalo, we własnym kraju czułam się jak zbłąkana dusza.

Stojąca obok mnie Inés powiedziała:

– Dałabym wszystko, żeby zobaczyć twarz Mencii, kiedy wróci ze schadzki i zastanie pustą komnatę.

Zerknęłam na nią i na widok jej radosnych oczu sama omal nie wybuchnęłam śmiechem.

– Możemy tylko mieć nadzieję, że przysporzy jej to tylu przykrości, ilu ona nam przysporzyła. – Ostatni raz spojrzałam na swój zamek. – W końcu to tylko ściany, krzesła, stoły i łoża. Zawsze możemy kupić sobie nowe.

Ruszyliśmy za mężczyznami. Ulice były opustoszałe. Z ciemnego nieba padał drobny deszczyk. Kiedy zbliżyliśmy się do murów miejskich, musiałam powtarzać sobie w myślach, że nikt nie spodziewa się mojej ucieczki, szczególnie nie dziś i nie o tej porze. De Villena kazał otoczyć miasto i uznał, że udało mu się zastraszyć księżniczkę i zmusić ją i jej świtę do posłuszeństwa. Strażnicy na pewno byli niedbali, przeświadczeni, że mają mnie w garści. Jeśli jednak ktoś zacząłby nas nagabywać, Carrillo kazał mi puścić się galopem i nie zatrzymywać, aż dojadę do Valladolid.

Przy bramie w prowizorycznej budce siedziało wokół dymiącego piecyka trzech wartowników z bukłakiem wina. Kiedy się zbliżyliśmy, podnieśli głowy i spojrzeli na nas nieprzyjaźnie.

– Czy przypadkiem dopiero co was nie wpuściliśmy? – zapytał jeden podejrzliwie, patrząc na Chacóna.

Mój główny zarządca odparł:

– Wpuściliście, a teraz wyjeżdżamy. Jak już mówiliśmy, ojciec tej damy leży w naszym klasztorze ciężko chory i chce zobaczyć się z córką.

Wartownik spojrzął za Cárdenasa i Carrilla, w stronę, gdzie stałam razem z Inés. Spuściłam głowę, żeby uniknąć patrzenia mu w oczy.

– Widzę dwie damy. Czy obie mają ojców umierających w waszym klasztorze?

Carrillo wydał pomruk zniecierpliwienia.

– Dama oczywiście podróżuje ze służącą. A może nigdy wcześniej nie widziałeś szlachcianki ze służącą, nieokrzesany świński synu?

Na widok malującej się na twarzy strażnika wściekłości ścisnęłam mocniej wodze. Od razu wiedziałam, że arcybiskup nie powinien był tego mówić. Podkreślając swój autorytet, zdołał równocześnie obrazić wartownika i wzbudzić jego podejrzliwość.

– Posłuchajcie – powiedział mężczyzna – ja tylko wypełniam rozkazy. Markiz de Villena zakazał otwierania bramy między zachodem a wschodem słońca. Już raz was przepuściłem, choć nie powinienem...

– Dostałeś za to zapłatę – przerwał mu Chacón. – I to całkiem sowitą, o ile pamiętam.

– Żeby raz otworzyć bramę – odparł strażnik, mrugając porozumiewawczo do kolegów, którzy ręce w skórzanych rękawiczkach trzymali teraz na rękojęściach mieczy.

Nawet ja wiedziałam, że nie będzie łatwo dobyć ich z pochew. Zimno sprawiało, że metal przyczepiał się do skóry. Mimo wszystko pojedynek na miecze w środku nocy przy bramie nie mógł przysłużyć się naszej sprawie. Nie chciałam też, żebyśmy taranowali tych mężczyzn i przeciskali się na siłę, ryzykując zranienie koni.

– Jeśli dojdziemy do odpowiedniego porozumienia, to chętnie znów otworzę bramę – dodał strażnik.

Choć domagał się łapówki dość jowialnym tonem, wyczułam w nim nutę groźby. Jeżeli nie zrobimy, co każe, nie ruszy tych rygli i, co gorsza, pewnie wezwie posiłki.

Bez ostrzeżenia uderzyłam konia piętami i podjechałam przed wartownika. Zadarł głowę,

by na mnie spojrzeć, zdziwiony i przez moment dezorientowany. Podniosłam rękę i nie zważając na stłumiony okrzyk Carrilla, zdjęłam kaptur.

Strażnik zamarł. Poruszały mu się tylko usta i sprawiał wrażenie człowieka, któremu nagle zabrakło powietrza.

– Wiesz, kim jestem? – zapytałam cicho.

Kiwnął głową, nadal stojąc w miejscu jak sparaliżowany. Nie wiedziałam, czy naprawdę jest zbyt zaskoczony, by jakoś zareagować na zmianę sytuacji, czy tylko gra na zwłokę, rozważając potencjalne straty i korzyści.

– Powinieneś zadzwonić na alarm – powiedziałam. – Ale jako twoja przyszła królowa, z bożą pomocą dopiero za wiele lat, jestem pewna, że tego nie zrobisz. W zamian za to, dobry człowieku, nigdy nie zapomnę, jak mi tej nocy pomogłeś.

Sięgnęłam do wiszącej przy siodle torby i wyjęłam z niej aksamitną sakiewkę, którą następnie rzuciłam mu pod nogi.

Kiedy dotknęła zmarzniętej ziemi, rozległ się obiecujący brzdęk. Ten dźwięk był dla strażnika sygnałem do działania. Szybko schylił się i podniósł woreczek. Gdy rozsupłał sznureczki i zajrzał do środka, na jego twarzy pojawił się pożądlivy uśmiech. Obejrzał się na pozostałych dwóch towarzyszy, którzy przyglądali się nam z szeroko otwartymi oczami.

– To rozumiem – powiedział, pomachał do mnie lekko, a potem warknął na podwładnych: – No dalej, słyszeliście, co powiedziała dama. Otwierać bramę.

Odsunięto rygle, a my jak najszybciej wyjechaliśmy z miasta na pogrążone w mroku przepastne pola.

Gdy tylko oddaliliśmy się od murów, Carrillo rzucił rozdrażniony:

– To raczej nie był najlepszy moment na udowadnianie swojej pozycji. Mogli byli nas aresztować.

– Mogli – odparłam. – Ale nie aresztowali. Miejmy nadzieję, że de Villena usłyszy, jak wymknęliśmy się z jego siideł. Niech to on dla odmiany naje się trochę strachu.

Zwykle poważny Chacón zarechotał. Inés szepnęła:

– Czy to były twoje klejnoty?

– Tak – odpowiedziałam jej cicho. – Jak już mówiłam, zawsze możemy kupić nowe.

A potem ruszyliśmy galopem do Valladolid.

Rozdział szesnasty



Położone w środkowej Kastylii nad Pisuergą Valladolid słynęło ze wspaniałych win, żyznych ziem i imponującego gotyckiego kościoła Santa María la Antigua o masywnych romańskich wieżach.

Zamieszkałam w pałacu rodziny Vivero, klanu grandów wiernych admirałowi. Byłam obolała po trzech dniach w siodle i jeździe bocznymi drózkami lub przez zdradliwy las. Unikaliśmy głównych traktów, które mogli patrolować ludzie króla. Nie mieliśmy złudzeń co do tego, że moje zniknięcie zostanie rozgłoszone. Mencía z pewnością podniosła larum natychmiast po powrocie do opuszczonego zamku. Liczyliśmy jednak na to, że zanim posłańcy dotrą do Andaluzji, gdzie przebywali Henryk z markizem, i przywiozą z powrotem ich wścieklą odpowiedź, zdążymy wysłać naszego ambasadora do Aragonii z podpisanym aktem zaręczyn. Najdalej za kilka tygodni Ferdynand przyjedzie do Kastylii i wtedy się pobierzemy, a nawet taki intrygant jak de Villena nie odważy się rozdzielić tego, co złączył Bóg.

Ledwo zdążyłam się wprowadzić, gdy w odwiedziny przybył dziadek Ferdynanda, señor Fryderyk Enríquez, książę Mediny i admirał Kastylii. Przyjął go w reprezentacyjnej malowanej sali. Ukłonił się przed moją wyciągniętą ręką. Był niski, szczupły, zupełnie łysy na czubku głowy i miał spojrzenie krótkowidza. Jego ubranie uszyte było z posępnego szarego adamaszku, popularnego wśród kastylijskich elit. Admirał, jeden z najpotężniejszych grandów Kastylii, nie brał udziału w bratobójczych walkach na dworze. Jako ojciec ukochanej żony Jana II Aragońskiego i matki Ferdynanda Joanny Enríquez, był obiektem niezmordowanych machinacji de Villeny, które pochłaniały go całkowicie.

Wystarczyło mi jedno spojrzenie, by zorientować się, że nie przynosi dobrych wieści. Zauważyłam też, jak zaskoczyło go to, że przy moim boku stoi tylko Inés – z reguły księżniczki mają święty nieodstępujące ich ani na krok.

– Jego Ekscelencja arcybiskup Carrillo zamieszkał w klasztorze Augustianów – wyjaśniłam, wiedząc, że admirał jest zbyt uprzejmy, by wprost mnie o to zapytać. – Jest teraz zajęty załatwianiem różnych formalności związanych z zaręczynami. – Wskazałam na dwa rzeźbione krzesła z wysokimi oparciami ustawione przed pełnym zielonych gałęzi paleniskiem. – Czy zakończyliście już post, don Fryderyku? Poczęstujecie się chlebem i serem? Mamy też świeże figi.

Pokręcił głową.

– Nie, Wasza Wysokość, dziękuję. To nie będzie konieczne.

Uśmiechnęłam się, a on przysiadł na krawędzi krzesła. W zaistniałych okolicznościach byłam gotowa niemal na wszystko, ale i tak wzdrygnęłam się, gdy przemówił:

– Król Henryk wydał nakaz aresztowania Waszej Wysokości. Twierdzi, że okazaliście mu nieposłuszeństwo, opuszczając Ocañę wbrew obietnicy. Dał swoim ludziom rozkaz, żeby zabrali was do alkazaru w Madrycie i tam uwięzili. Król zamierza wrócić z Andaluzji, jak tylko zakończy oblężenie należącego do de Cádiz miasta Trujillo.

Z całych sił starałam się zachować spokój. Czy już nigdy nie zaznam więcej niż kilku dni wytchnienia, zanim stanę się ofiarą kolejnego pościgu?

– Wasza Wysokość nie musi się jeszcze niczego bać – ciągnął, błędnie interpretując moje

milczenie. – Razem z arcybiskupem mamy do dyspozycji ponad ośmiuset ludzi. Wasalom de Villeny nie będzie łatwo was schwytać. Pomyślałem jednak, że Wasza Wysokość będzie chciała wiedzieć, że król został o wszystkim poinformowany i zamierza za wszelką cenę pokrzyżować wam plany. – Zniżył głos, choć oprócz Inés nie było z nami nikogo: – Jak wiadomo, wiele razy oświadczał, że surowo zabrania wam wiązać się z Ferdynandem Aragońskim, a złamanie tego zakazu zostanie uznane za zdradę.

Był to dla mnie duży cios, choć oczywiście należało się tego spodziewać.

– Rozumiem – odpowiedziałam cicho. – Dziękuję. Jestem wam wdzięczna za sumienne wypełnianie obowiązków.

– O, to nie sumienność mnie tutaj przywiodła – odparł niespodziewanie beztróskim tonem.

Wstał i podszedł do miejsca, w którym zostawił płaszcz, po czym wyjął z kieszeni płaską szkatułkę obitą błękitnym aksamitem. Podając mi ją, uśmiechał się szeroko, tak że skóra wokół oczu jeszcze bardziej mu się zmarszczyła.

– To prezent urodzinowy – wyjaśnił. – Od mojego wnuka, księcia Aragonii.

W środku na wyściółce ze śnieżnobiałej satyny leżał najpiękniejszy rubinowy naszyjnik, jaki kiedykolwiek widziałam. Krwistoczerwone szlifowane kamienie lśniły takim blaskiem, jakby wewnątrz każdego tkwiło maleńkie słońce. Na złotych ogniwach pomiędzy rubinami wisiały duże szare perły.

– Jest... zachwycający – powiedziałam w podziwieniu.

– I będzie jak znalazł – wtrąciła Inés. – Jej Wysokość właśnie straciła wszystkie klejnoty. Przyda się na ślub.

Na widok gasnącego uśmiechu admirała zamknęłam szkatułkę.

– Wolalabym podziękować księciu Ferdynandowi osobiście, ale sądząc po wyrazie waszej twarzy, nadzieje na rychłe spotkanie są raczej płonne.

Admirał westchnął ciężko.

– Pojawiły się komplikacje. Francuzi najechali Gironę. Jako następca tronu Ferdynand musi dowodzić wojskami obrony. – Wyjął z zanadru zapieczętowany papier. – Prosił mnie, żebym to Waszej Wysokości przekazał.

Wzięłam przesyłkę z niedowierzaniem. Komplikacje? Wiedziałam, że Aragonia boryka się z najeźdźcami, ale co ja miałam w tym czasie robić? Jak mogłam się obronić? Ferdynand z pewnością zdaje sobie sprawę, że nie będę w stanie stawiać oporu w nieskończoność, że już teraz Henryk i de Villena działają przeciwko mnie, przeciwko nam.

– Naturalnie, Wasza Wysokość będzie chciała przeczytać list w samotności – powiedział admirał, po czym mi się pokłonił. – Jeśli pozwolicie, pójdę teraz przywitać się z Carrillem. Może później będziemy mogli zjeść razem obiad?

Kiwnęłam głową, usiłując ukryć zdenerwowanie.

– Oczywiście... będę zaszczycona.

– To ja będę zaszczycony – odparł z galanterią, która od razu mnie ujęła. – Wasza Wysokość nie może tracić nadziei. Mój wnuk znajdzie sposób, by do was dotrzeć, nawet jeśli po drodze będzie musiał wysieć całą francuską armię.

Inés odprowadziła go do drzwi. Kiedy zostałam w sali sama, złamałam pieczęć listu. Moim oczom ukazały się napisane jego ręką słowa i kleksy, będące oznaką zniecierpliwienia i walki z nienaostrozonym piórem.

Najdroższa Izabelo,

przyjechał do mnie Twój poseł i teraz już wiem, że to, o czym od tak dawna marzyłem i w co zaczynałem już wątpić, stało się faktem. Zostaniemy mężem i żoną. Nie jestem w stanie

opisać słowami, jak wielka jest moja radość i jak niecierpliwie czekam na nasze spotkanie. Niestety, mój dziadek don Fryderyk zapewne powiedział ci już, że Aragonia przechodzi kolejną ciężką próbę i nie mogę jej teraz opuścić. Ojciec, który mimo podeszłego wieku jest nadal bardzo odważny, wysłałby mnie do Ciebie bez względu na wszystko, ale co byłby ze mnie za mężczyzna? Jakiego męża mogłabyś się spodziewać po kimś, kto porzuca swoje królestwo, by zaspokoić osobiste pragnienia? Wiem, że sama nigdy byś tak nie postąpiła, więc i ja nie mogę. Bóg nam sprzyja. Tym razem pokonam Ludwika i jego francuskie pająki, a potem popędzę do Ciebie. Zanim to nastąpi, wiedz, że nie ma godziny, żebym o tobie nie myślał.

Bądź dzielna, Izabelo. Czekaj na mnie.

Nie podpisał się. Nie musiał. Nie próbowałam powstrzymać łez, pozwoliłam im płynąć swobodnie po twarzy i zmyć rozczarowanie, strach i wyniszczające wątpliwości.

Zaczekam. Zaczekam, nawet jeśli samej przyjdzie mi stanąć na czele armii. Ferdynand i ja byliśmy sobie przeznaczeni. Wbrew wszelkim przeciwnościom znajdziemy sposób, by być razem.

A kiedy już się złączymy, nic z wyjątkiem śmierci nas nie rozdzieli.



Osiemnaste urodziny obchodziłam spokojnie. Wieści z Aragonii zepsuły mi nastrój, a na dodatek niemal codziennie dochodziły nas plotki o nowych czyhających na mnie zagrożeniach. Jak na razie nic konkretnego się jeszcze nie wydarzyło. Wiedziałam, że andaluzyjska wyprawa Henryka nie przebiega pomyślnie i na razie król musi ograniczyć się do wysyłania pogroźek. Jego przebywający w Kastylji wasale nie chcieli atakować Valladolid i walczyć z siłami admirała. Nie ulegało jednak wątpliwości, że gdy tylko sytuacja na południu zostanie uregulowana, de Villena i jego wilki po mnie przyjadą.

Pod koniec września, po długim upalnym lecie, które wysuszyło dopływy Pisuergo i spaliło plony na polach, przysłała wiadomość, że matka zachorowała i gorączkuje. Nie widziałam jej od ponad roku, więc postanowiłam jechać do Arévalo. Arcybiskup protestował, twierdząc, że opuszczanie Valladolid jest dla mnie niebezpieczne i ani on, ani admirał nie są w stanie zagwarantować mi bezpieczeństwa, jeśli zacznę „szwendać się po Kastylji”. Po pięciu miesiącach prawie codziennych kontaktów z Carrillem moja cierpliwość się wyczerpywała. Oświadczyłam, że nie zamierzam objeżdżać wszystkich kastylijskich włości, i nalegałam, by rozpoczęto przygotowania do podróży.

Właśnie miałam wyruszać, kiedy przybyła delegacja królewska, której od dawna się spodziewaliśmy. W tym czasie wieść o moich zaręczynach z Ferdynandem dotarła już niemal wszędzie. W ramach strategii obronnej sama rozesłałam heroldów do wszystkich większych miast, by pokazać, że nie zrobiłam nic złego i nie mam nic do ukrycia. Teraz więc nie było wyboru – musiałam udowodnić, że naprawdę jestem niewinna, i przyjąć posłów Henryka.

Włożyłam suknię z szarego aksamitu i aragońskie rubiny. Ich ciężar dodawał mi otuchy, kiedy do sali weszli grandowie. Przy boku miałam Carrilla i admirała. Zacisnęłam zęby na widok de Villeny, którego się tu nie spodziewałam. Zerknęłam na arcybiskupa i z jego twarzy wyczytałam, że jego też zaskoczyła obecność markiza. Oczy tak mu pociemniały, jakby zaraz miał naskoczyć na de Villenę i z miejsca udusić go gołymi rękami.

Uprzedziłam go.

– Markizie – powiedziałam mocnym, czystym głosem – mam szczerą nadzieję, że

przybyliście tu prosić o nasze wybaczenie. W przeciwnym razie ostrzegam, że nie będziemy tolerować takich słów, jakich użyliście przeciwko nam w przeszłości.

Cieszyła mnie bladość jego twarzy. Celowo użyłam pluralis majestatis, co wytrąciło go nieco z równowagi. Bien. Bardzo zależało mi, by widział we mnie przyszłą królową, a nie bezsilną infantkę, którą tak często prześladował.

Po chwili markiz uśmiechnął się szyderczo i wyrwał z rąk towarzyszącego mu giermka imponujący dokument opatrzony licznymi pieczęciami.

– Oto amnestia dla Waszej Królewskiej Mości – oświadczył. – Ze względu na nieprzewidziane okoliczności król nie mógł przybyć tu dziś osobiście, ale z szacunku dla łączących was więzów krwi proponuje wymazanie wszelkich win za wasze nieposłuszeństwo, jeśli zerwiecie nielegalne i nieusankcjonowane zaręczyny z Ferdynandem Aragońskim.

– Żalony kundlu – rzucił Carrillo. – Nie jesteś godzien lizać jej butów...

Podniosłam rękę, dając mu znak, by zamilkł. Zrobiłam krok w przód, zerkając znacząco na admirała. Don Fryderyk przechylił głowę. Miał ze sobą sześćdziesięciu uzbrojonych wasali, żeby pokazać, że dysponuję teraz znacznymi siłami.

– Myślicie, że uda się wam przestraszyć królewskiego ambasadora? – odezwał się de Villena. – Dostałem od króla pełne uprawnienia. Mógłbym Waszą Wysokość natychmiast aresztować.

Zatrzymałam się zaledwie krok od niego, tak blisko, że czułam mdlącą woń kosztownego piżma, a pod nią lekki zapach potu. Spojrzałam na stojących z tyłu grandów. Wielu z nich poznałam, albo przynajmniej ich widziałam, podczas pobytu na dworze. Z trudem ukryłam zaskoczenie na widok byłego kochanka królowej, męża Mencii, Beltrána de la Cuevy. Postarzał się, jego delikatna uroda spospoliciała, ale oczy lśniły mu jak dawniej. Unikał mojego spojrzenia i widziałam, że nie czuje się dobrze w roli, którą przyszło mu odgrywać.

Kiedy zdałam sobie z tego sprawę, poczułam się silniejsza. Może markiz chce mnie skrzywdzić, ale grandowie chyba raczej woleliby tego uniknąć. Chociaż byli zachłanni, większość nie lubiła patrzeć na cierpienie kobiety, a de Villena jak zwykle nie poczynił żadnych starań, by zaprzyjaźnić się z ludźmi, których teraz chciał zaprząć do brudnej roboty.

– Proszę więc mnie aresztować – powiedziałam, kierując wzrok na markiza. – Ale zanim to zrobicie, markizie, musicie powiedzieć mi przy tych szlachcicach, o co dokładnie jestem oskarżona. Nawet najpodlejszy wyrobnik w Kastylii ma do tego prawo. Owszem, zgodnie z postanowieniami traktatu, który podpisałam z Jego Królewską Mością, zobowiązałam się nie wychodzić za nikogo bez jego zgody. Król jednak obiecał, że sam nie będzie narzucał mi swojego kandydata. Zerwał naszą ugodę, chcąc wydać mnie za władcę Portugalii. Proponuję zatem, byśmy przedstawili nasz spór kortezom i to im pozwolili zadecydować.

Kocie oczy de Villeny zwięzły się w małe szparki.

– Jak długo żyje król, nie będzie kolejnego zebrania kortezów – syknął. – Nigdy! Straciliście prawo do nazywania siebie dziedziczką Kastylii. Jeśli ośmielicie się wejść w ten związek z Aragonią, nie sądzę, że długo pożyjecie. Król nie będzie tolerował zdrajców. Jeśli się nie podporządkujecie, zapłacicie za to wy i wszyscy wasi poplecznicy.

Zamrugałam kilka razy powiekami. Krople jego śliny osiadły mi na twarzy. Patrząc w jego ogniste oczy, oświadczyłam:

– Pewnego dnia pożałujecie tych słów, markizie.

Zdecydowanym krokiem ruszyłam w stronę odległych drzwi.

De Villena zawołał za mną:

– To wy pożałujecie, doño Izabelo!

Nie odwróciłam się. Słyszałam, jak Carrillo warknął:

– Wynocha, natychmiast! Zanim posiekam wszystkie pchły w waszej sierści.

Potem rozległy się protesty i wywiązała się sprzeczka, która na szczęście ze względu na obecność wasali admirała ograniczyła się do wymiany obelg.

Gdy tylko zamknęłam za sobą drzwi, opadłam z sił i z walącym w piersi sercem oparłam się o ścianę. Inés podeszła do mnie ze szmatką w dłoni.

– Pozwól, że otrę ci twarz.

Kiedy wycierała ślinę markiza z moich policzków, słyszałam stłumione dźwięki towarzyszące wyprowadzaniu na zewnątrz królewskiej delegacji przez ludzi admirała. Chwilę później Carrillo z impetem otworzył drzwi. Był czerwony, wściekły i z tego powodu jeszcze bardziej energiczny niż zwykle. Zdawało się, że to człowiek, który karmi się niezgodą.

– Ten królewski fagas miał czelność mi grozić, że wróci tu z całą armią i rozbije te mury w drobny mak. Ha! Niech no tylko spróbuje. Ci wszyscy grandowie wyglądali tak, jakby chcieli zapaść się pod ziemię. – Uśmiechnął się do mnie z podziwem. – To twoje zwycięstwo. Pokazałaś im, co to znaczy prawdziwy władca.

– Jeszcze nie jestem władcą – odparłam i spojrzałam na stojącego w progu admirała, który miał dużo mniej entuzjastyczną minę.

Rozumiał, czemu musieliśmy teraz sprostać. Tak dobrze jak ja wiedział, że nie możemy sobie pozwolić na zlekceważenie pogroźek de Villeny. Kiedy zjawi się następnym razem, będzie miał ze sobą wojsko i nakaz aresztowania mnie.

– Nie mogę już dłużej tego odwlekać – powiedziałam, przenosząc wzrok z powrotem na Carrilla. – Muszę napisać do Ferdynanda. Niezależnie od tego, co go teraz zajmuje, musi tu przyjechać, zanim będzie za późno.

Rozdział siedemnasty



Na wewnętrznym dziedzińcu, gdzie płonęły skropione cytrynowym olejkiem pochodnie mające odstraszać owady, panowała nocna duchota. Chodziłam tam i z powrotem po otoczonym krużgankami placu, bo nie byłam w stanie usiedzieć w zamku.

Po prawie dwóch tygodniach w końcu dostałam wiadomość, że Ferdynand jest w drodze. Księżę i kilku zaufanych służących przekroczyli potajemnie granicę między naszymi królestwami przebrani za pospolitych woźniców. Wśród towarzyszy Ferdynanda był też Cárdenas, którego wysłałam z listem do Aragonii. Jak na razie udało im się uniknąć patroli de Villeny. Wiedziałam o tym, bo hrabia Palencii przysłał wiadomość, że mój narzeczony bezpiecznie dotarł do jego zamku. Następnego wieczoru Ferdynand wyruszył pod osłoną nocy do Valladolid i przez ostatnie dwa dni nie mieliśmy od niego żadnych wieści.

W Kastylii roilo się od królewskich szpiegów. Henryk dał de Villenie wolną rękę w dysponowaniu skarbcem, tak by markiz mógł opłacić rzesze donosicieli i uniemożliwić Ferdynandowi przekroczenie granicy. Andrés Cabrera i moja jak zwykle energiczna Beatriz odmówili jednak de Villenie wstępu do zamku, choć nadawało im to piętno zdrajców. Napotkawszy takie trudności, markiz zaczął zbierać fundusze wśród pozbawionych skrupułów grandów, którym bez żenady obiecywał za to ziemie i zamki. W rezultacie udało mu się postawić najemników na wszystkich drogach i we wszystkich miasteczkach. Ich jedynym zadaniem było wypatrywanie księcia Aragonii i jego towarzyszy.

Inés pocieszała mnie, że przecież nikt nie szukał woźnicy i poganiaczy mułów, ale ja i tak spodziewałam się najgorszego. Księżę mógł mimowolnie się ujawnić na wiele różnych sposobów – używając złota zamiast typowych miedziaków czy bez zastanowienia wydając polecenie służącym, których oficjalnie wcale nie miał. Nawet sposób, w jaki się poruszał i wypowiadał, mógł go zdradzić. Jeśli Ferdynand choć na chwilę się zapomni, a któryś z ludzi de Villeny to zauważy, będzie to dla niego, dla nas, koniec. Markiz miał królewski nakaz aresztowania księcia za przekroczenie granicy Kastylii z zamiarem bezprawnego poślubienia księżniczki.

Przerwałam nerwowe spacerowanie, żeby spojrzeć na spowity chmurami księżyc wysoko na rozgwieżdżonym niebie. Okropny letni upał jeszcze nie zelżał, choć był już październik. Ciemna kastylijska pszenica, niezbędna do wypieku chleba, zwiędła na polach. Wszyscy przewidywali powszechny głód. Jakby tego było mało, w Ávila i Madrigal wybuchła epidemia czarnej śmierci, która pochłonęła setki ofiar. Wysłałam posłańca do matki, żeby dowiedzieć się, jak się ma, ale nie otrzymałam żadnych wieści. Podsyciło to tylko moje obawy – martwiłam się, że matka i jej starsi już służący cierpią z powodu braku żywności, bo zaraza sparaliżowała wymianę handlową. Omenów przybywało, tak że targowi prorocy i czarnowidze wychodzili na ulice i obwieszczali początek apokalipsy.

Twierdzili, że Bóg się gniewa.

Powtarzałam sobie, że na pewno nie na mnie. Nie dążyłam do tego małżeństwa z pobudek egoistycznych i nie prosiłam Ferdynanda, żeby porzucił dla mnie Aragonię. Nie, wezwałam go tutaj, ponieważ nie było innego wyjścia – tylko on mógł mi pomóc ocalić Kastylię. Razem będziemy znacznie silniejsi i lepiej przygotowani do stawienia oporu Henrykowi. Mój przyrodni brat może do woli nazywać nas zdrajcami, ale mój ślub z Ferdynandem zmusi go do szukania

kompromisu, jeśli nie chce prowadzić wojny równocześnie z buntującymi się w Andaluzji grandami i całą Aragonią.

Mimo wszystko nękały mnie wyrzuty sumienia. Ferdynand zostawił starego, chorego ojca z francuską hordą napierającą na jego królestwo. Narażał swoją wolność, a może nawet życie, żeby spełnić moją prośbę. Czy działałam zbyt impulsywnie? Może powinnam była poczekać – rozstawić strażę przy drzwiach zamku, okopać się jak kret i przeczekać zimę. De Villena, choć mocny w gębie, był opieszalszy i raczej nie rozpoczęłyby oblężenia zamku, wiedząc, że wkrótce zacznie się wielomiesięczna mroźna zima...

Chodziłam naokoło dziedzińca, wydeptując ścieżkę swojego prywatnego czyścica. Napisałam nawet spóźniony list do Torquemady, prosząc, by mnie pokierował. Spowiednik powtórzył to, co powiedział mi już w Segovii:

Czekają was wielkie poświęcenia. Musicie ufać prawdom naszej wiary, ufać, że nawet w najczarniejszej godzinie Bóg nas nie opuszcza.

Inés wyrosła na krużgankach jakby z podziemi.

– Pani, on tu jest – oznajmiła.

Zatrzymałam się i spojrzałam na nią, jakby mówiła niedorzecznie.

– Kto?

– Książę. Czeka w sali reprezentacyjnej. Przyjechał kilka chwil temu. Pytał o ciebie.

Podniosła lekki szal, który zostawiłam zwinięty w kącie. Założyła mi go na ramiona, a ja, zupełnie oszołomiona, próbowałam wygładzić potarganą fryzurę.

– Ugryzł cię komar – skarciła mnie Inés. Zwilżyła palec i starła smużkę krwi z mojej szyi.

– Mówiłam, żebyś przed wyjściem na zewnątrz skropiła się olejkiem z lawendy. Taka delikatna skóra jak twoja przyciąga owady.

Potem wprowadziła mnie do zamku. Serce waliło mi tak szybko, jakbym zaraz miała zemdleć. Nagle znalazłyśmy się przed drzwiami sali reprezentacyjnej.

Oślepiąca migoczącym światłem świec, stanęłam i zaczęłam mrugać.

W pomieszczeniu znajdowało się kilka osób – mężczyźni z czarkami w dłoniach, señora Vivero i garstka towarzyszących jej dam. Wszyscy stali, rozmawiając w niewielkich grupach, a zamkowe psy leżały na posadzce przed kominkiem. Wśród obecnych wypatrzyłam Carrilla, który z wypiekami na twarzy rozprawił głośno z niedawno przybyłym nuncjuszem papieskim. Poczulałam ulgę na widok drogiego memu sercu Chacóna, który wyjechał na spotkanie Ferdynanda. Nieopodal zauważyłam dzielnego Cárdenasa, który, wyraźnie zmęczony, przysiadł na parapecie i głąskał jednego z ogarów. Podniósł wzrok i na mój widok szeroko się uśmiechnął. Wszyscy jak jeden mąż odwrócili się, by na mnie spojrzeć.

Następnie nisko mi się pokłonili. Stałam sparaliżowana na progu, jakby podłoga nagle zamieniła się w morze nie do przebycia. W moją stronę ruszyli admirał oraz barczysty mężczyzna w skórzanym dublecie i wysokich ubłoconych butach. Człowiek ten miał szerokie czoło i potargane kasztanowe włosy, a w nikłym świetle jego opalona skóra wydawała się tak ciemna, że początkowo uznałam go za mauretańskiego strażnika, takiego, jakimi lubił otaczać się Henryk. Nieznajomy nie był co prawda wysoki, ale niezaprzeczalnie biła od niego moc – miał umięśnioną sylwetkę, poruszał się cicho i pewnie, tak że przywodził mi na myśl królewskie lamparty.

Kiedy stanął przede mną, zauważyłam błysk wesołości w jego oczach, które dzięki jakimś magicznym sztuczkom światła lśniły jak oglądane pod słońce bursztyny. Miał silne, żylaste ręce. Kiedy chwycił mnie za ręce, poczułam ciepło jego stwardniałej skóry. Uniósł moje dłonie do swoich ust. Na policzkach miał cień zarostu, którego szorstkość poczułam pod palcami.

– Co? – zapytał tak cicho, że tylko ja go słyszałam. – Nadal mnie nie poznajesz?

W jego wyrazistych oczach widziałam teraz dawnego chłopca, ale przez nękające mnie lęki, wyczekując z niecierpliwością tej chwili, zapomniałam, że upłynęło wiele lat. Był już siedemnastoletnim mężczyzną, a nie śmiałym wyrostkiem, który oświadczył mi się w zamkowym ogrodzie.

– Nie... nie rozpoznałam cię – odparłam automatycznie.

– Na to wygląda. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, pokazując lekko krzywe zęby. –

A teraz, kiedy już wiesz, kim jestem, podobam ci się?

– Tak – szepnęłam. – Podobasz.

Ścisnął mnie mocniej za rękę, jakby chciał wyjawić mi tajemnicę, sprawiając, że ogarnęła mnie fala emocji.

– Ty mnie też, Izabelo – odparł. – Nawet bardzo. Mam naszą dispensę – dodał z uśmiechem. – Ojciec i Carrillo zdobyli ją dla nas ledwie dzień przed moim wyjazdem z Aragonii.

– Dispensę... a, tak, oczywiście. Dziękuję.

Trudno było mi się skupić na tym, co mówi, bo zdawałam sobie sprawę, że wszyscy nas obserwują. Słyszałam cichy chichot Inés i wiedziałam, że Cárdenas patrzy na nas z dumą, jakby przyniósł tu Ferdynanda na plecach. Stanowili oni jednak tylko niewyraźne tło, które ledwie zauważałam – odgłosy ich obecności były przytłumione jak szmer odległej rzeki.

Chociaż nasze pierwsze spotkanie odbywało się w zatłoczonej sali na oczach wielu przysłuchujących się nam osób, tylko ja i Ferdynand zdawaliśmy sobie sprawę, że gdyby przyszło nam żyć osobno, byłaby to tylko próżna męka.

– Czekają na nas – powiedział, przerywając magiczny moment.

Kiwnęłam głową i wyswobodziłam rękę z jego uścisku. Razem odwróciliśmy się w kierunku zgromadzonych, a wszyscy podnieśli czarki do góry. Wypili za nas toast i zaczęli klaskać. Hałas zalał mnie niczym potop – był tak głośny, że aż się zachwiałam. Poczułam na plecach dłoń księcia.

Wiedziałam, że niezależnie od tego, co przyniesie przyszłość, z Ferdynandem przy boku nic mi nie będzie straszne.

Przez kolejne cztery dni zamek wypełniał się po brzegi radością – rozesłano zapowiedzi i lojalni grandowie wraz ze świtami zjechali się z całej Kastylii, by nam towarzyszyć. Nie mieliśmy z Ferdynandem okazji, żeby pobyć ze sobą na osobności, bo nieustannie otaczały nas rzesze ludzi. Od czasu do czasu nasze oczy spotykały się w tłumie i wtedy wzajemna świadomość, że w końcu się odnaleźliśmy, sprawiała, że robiło mi się ciepłej na sercu.

W wigilię ślubu pracowałyśmy z Inés gorączkowo, żeby dokończyć ozdabianie mojego stroju. Pieniądzy jak zwykle brakowało, więc przez kilka dni musiałyśmy psuć sobie wzrok i kłuć palce, ślęcząc nad suknią.

Nagle drzwi się otwarły. Byłam tak zmęczona, że kiedy do komnaty weszła Beatriz, początkowo myślałam, że śnię. Potem, kiedy stanęła z rękami na biodrach, uśmiechając się szeroko, powoli się podniosłam. Byłam całkowicie zaskoczona. Nie spodziewałam się, że przyjedzie, nie tak późno. Zdawałam sobie sprawę z napiętej sytuacji w Segovii, gdzie Cabrera musiał miotać się między żądaniami de Villeny a sumiennym sprawowaniem powierzonej mu przez Koronę funkcji. Sądziłam, że Beatriz nie będzie chciała przysparzać mężowi jeszcze więcej kłopotów, biorąc udział w zakazanej ceremonii.

Kiedy wzięłam ją w ramiona, wyszeptalam:

– Nie powinnaś była przyjeżdżać. To zbyt niebezpieczne.

– Nonsens. – Zaśmiała się, lekceważąc zagrożenie i wyswobodziła z mojego uścisku. –

Jak by de Villena i cała królewska straż mogli mnie zatrzymać! Za nic w świecie nie

opuściłabym twój ślub.

Nabrała krągłości i miała rumiane policzki. Chociaż jak dawniej była zjawiskowo piękna, zauważyłam u niej jakąś nową łagodność. Małżeństwo musiało jej służyć. Rozpięła płaszcz.

– A teraz dajcie mi wolną igłę, pomogę wam. Inés, tylko spójrz na ten rękaw – do niczego! Nikt cię nie nauczył, jak chować szew?

Siedziałyśmy całą noc, tak jak w dzieciństwie, śmiejąc się i zwierając się sobie nawzajem. Wielomiesięczna rozłaka zdawała się stopniowo znikać, aż w końcu wzięłam Beatriz za rękę i wyznałam:

– Nie mogę sobie wyobrazić tego dnia bez ciebie.

W jej oczach pojawiły się łzy, na które nieczęsto sobie pozwalała.

Rano, jak za dawnych czasów, pomogła mi się ubrać. Wplotła jedwabne kwiaty w moje długie do pasa włosy i upięła na nich cienki jak pajęczyna welon wyszywany złotą nicią. Obie z Inés zaprowadziły mnie do sali reprezentacyjnej i stanęły za mną, kiedy dołączyłam do Ferdynanda. Dla uczczenia okazji książe został wcześniej ukoronowany przez ojca na króla Sycylii. Carrillo odczytał na głos udzieloną nam przez papieża dyspensę na ślub mimo pokrewieństwa, jednak kiedy przyszła kolej, żebym złożyła przysięgę małżeńską, ogarnęła mnie paraliżująca panika.

Co ja robię? Sprzeciwiam się woli króla, ryzykując wszystko, co mi drogie – mogę zostać uznana za zdrajcę i pozbawiona prawa do tronu Kastylji. A wszystko po to, by poślubić człowieka, którego prawie nie znam.

Pod suknią z błękitnego brokatu poczułam spływający pot. Ferdynand stał sztywno obok mnie w obszytym złotem kaftanie z wysokim kołnierzem. Jakby wyczuwając moje wahanie, spojrzał na mnie. I mrugnął.

Zalała mnie fala ulgi, chłodna jak wiosenny deszcz. Musiałam powstrzymać się od śmiechu. Wymieniliśmy się obrączkami i wyszliśmy na taras nad dziedzińcem. Ludzie gromadzili się tam od rana z chorągiewkami i bukietami jesiennych kwiatów. Gdy się pojawiliśmy, zaczęli nimi do nas machać. Mężczyźni sadzali sobie dzieci na ramionach, żeby lepiej widziały, matki i córki brały się za ręce, sękaty wdowy i staruszki podnosiły do góry roześmiane oczy.

– Ich Królewskie Wysokości Izabela i Ferdynand, książe i księżniczka Asturii i Aragonii, król i królowa Sycylii – obwieścili heroldowie.

Staliśmy pod sklepieniem idealnie lazurowego nieba, powietrze przesycił zapach pieczonego mięsa, bo w sali reprezentacyjnej służba przygotowywała właśnie ucztę. Przyjrzałam się setkom anonimowych ludzi, którzy uśmiechali się do nas radośnie – na chwilę zapomnieli o własnych zmartwieniach i entuzjastycznie dzielili z nami moment szczęścia. Na ich widok ogarnęła mnie euforia.

– Robimy to dla nich – powiedziałam. – Żeby dać im sprawiedliwość i szacunek. Żeby zaprowadzić pokój.

Ferdynand się roześmiał.

– Tak, ale będzie jeszcze dość czasu, żeby się o nich troszczyć. Dzisiaj, żono, robimy to dla siebie.

Zanim zorientowałam się, co zamierza zrobić, obrócił mnie w swoją stronę i na oczach całego dworu i przyszytych poddanych pocałował mnie z nieposkromioną pasją. Był to nasz pierwszy prawdziwy pocałunek jako męża i żony.

Miał ciepłe usta, na których wyczuwałam zapach jakiejś przyprawy i wina. Jego ciało było idealnie ukształtowane i niezwykle silne. Obejmujące mnie ramiona były jak umięśnione skrzydła, bezpieczne i wszechogarniające, tak że chciałam rozpląnąć się w ich uścisku. Nigdy

wcześniej nie doświadczyłam popędu cielesnego, którym często zachwycają się poeci, a teraz czułam wewnątrz taki żar, że wydałam z siebie mimowolny okrzyk. Ferdynand znów się zaśmiał, tyle że tym razem głos zdradzał niezbiecie jego intencje, a ja poczułam, że twardnieje.

Kiedy po dłuższej chwili się odsunął, nadal czułam na ustach mrowienie od jego pocałunku, a cały świat wydawał się kołysać. Z tłumu dobiegły nas lubieżne pogwizdywania i entuzjastyczne oklaski.

– Zacerwieniłaś się – powiedział, a ja zagryzłam wargę, bardzo mocno, tak żeby czuć ból, a nie palące pożądanie.

Obejrzałam się na zgromadzonych w sali. Wszyscy, łącznie ze służącymi i paziami, stali nieruchomo i przyglądali się nam.

– Czy wszystko, co robimy, musi zostać zapamiętane dla potomności? – wymamrotałam.

Ferdynand odchylił głowę i wybuchnął śmiechem – śmiałym, szczerym śmiechem, który sprawił, że zaczęłam się zastanawiać nad jego nonszalanckim stosunkiem do zasad przyzwoitości. Po raz kolejny zdałam sobie sprawę, że on nadal jest mi obcy. Wzięłam głęboki oddech i postanowiłam się nie zamartwiać. Był mężczyzną, a mężczyźni lubią popisywać się swoją sprawnością, zarówno na polu bitwy, jak i w sypialni. Naturalnie, chciał wszystkim pokazać, że teraz należę do niego.

Nie mogłam udawać, że mnie to nie cieszy.

Kiedy zśliśmy na przybrane girlandami podwyższenie, Beatriz spojrzała mi porozumiewawczo w oczy. Żałowałam, że nie mogę się z nią wymknąć. Nagle pojawiły się tysiące pytań, na które pilnie potrzebowałam odpowiedzi. To, w jaki sposób Ferdynand mnie pocałował, niezbiecie świadczyło, że miał już doświadczenia cielesne. Nie chciałam go rozczarować, choć zupełnie nie wiedziałam, jak tego dokonać. Czułam się zakłopotana. Wymagało się ode mnie, żebym była dziewicą – to właśnie czystość księżęta cenili ponad wszystko inne. Teraz zaś przyszło mi się zamartwiać, że nie zdołam odpowiednio zaspokoić męża, że nie dam mu tego, do czego być może przywykł.

Straciłam apetyt, mimo że stoły uginały się od półmisków z pieczonymi prosięciem, kaczką i czaplą w sosie śliwkowym i figowym. Cały czas przyglądałam się kwadratowym dłoniom Ferdynanda, kiedy kroił mięso albo podnosił do góry czarkę. Choć zrezygnował z wina na rzecz cydru, jadł z wyraźną przyjemnością, śmiał się w głos z tego, co Carrillo nachalnie szeptał mu do ucha (arcybiskup, jako nasz najczcigodniejszy doradca, siedział po lewej stronie księcia), i uśmiechał się do każdego, kto podchodził do podwyższenia z gratulacjami. Wyglądało na to, że w nim zbliżająca się noc poślubna nie budzi żadnych obaw, podczas gdy mnie jawiła się jako ogromna, tajemnicza brama do nieznanego świata.

Podczas ostatniego dania wyczułam jednak zmianę w jego nastroju. Odstawił czarkę i odwrócił się w moją stronę. W sali pełnej rumianych gości, którzy nie skąpili sobie wina, jego spojrzenie było tak bezpośrednie i trzeźwe, że bałam się, iż czymś go uraziłam. Nie wiedziałam czym – tak samo jak on byłam zajęta zabawianiem siedzących obok grandów lekką rozmową i udawaniem, że ciekawią mnie wszelkie opowiadane mi anegdoty.

Zanim zdążyłam się odezwać, położył dłoń na mojej ręce.

– Nie bój się – powiedział. – Wyrzucę ich stąd. Do ostatniego. W alkowie będziemy sami, bez świadków. – Zamilkł na moment, a w jego oczach pojawił się błysk. – Sądzę, że pokaz naszego prześcieradła będzie dla nich wystarczającym dowodem.

Nie miałam odwagi się rozglądać, choć byłam ciekawa, czy ktoś z naszych współbiesiadników go usłyszał. Nie wiedziałam, czy mam się cieszyć, czy bać, kiedy podniósł mnie z krzesła i zostawiając ogołoczone półmiski na poplamionym obrusie, ruszył, by rozpocząć tańce. Mieliliśmy zatańczyć tylko raz, a potem zostać odprowadzeni do sypialni. Kiedy sala

wypełniła się dźwiękami muzyki, które stworzyły wokół nas niewidzialną bańkę, przypominałam sobie nasze pierwsze wspólne płasy. Miałam wrażenie, że zdarzyło się to wieki temu. Byliśmy wtedy jeszcze dziećmi, dwojgiem nieznajomych na dziwnym dworze. Zbeształam go wtedy za niecierpliwość, nie wiedząc, że właściwie przewidział nasze przyszłe losy. Teraz byliśmy mężem i żoną, parą na progu nowego wspólnego życia. Niezwykle cieszyło mnie, że mogę otwarcie trzymać go za rękę i że w końcu, po długich zmaganiach, należę do niego. Zapomniałam o obawach dotyczących nocy poślubnej, wykorzystując jedną z niewielu okazji zaspokojenia swojej pasji do tańca. Zauważyłam, że mimo problemów, z którymi musiał borykać się w Aragonii, Ferdynand najwyraźniej nie zaniedbał edukacji dworskiej, ponieważ tańczył energicznie i z łatwością. Pocałunek, którym obdarzył mnie niespodziewanie, kiedy odwróciliśmy się w stronę dworzan, wywołał głośne brawa.

Na pewno oblałam się paśowym rumieńcem, zwłaszcza że zaraz potem rozbawiony tłum porwał nas na górę. Najpierw zaprowadzono nas do osobnych pokojów, gdzie czekali już nasi służący, którzy mieli nas przygotować. Zanim zniknął za drzwiami swojej komnaty, Ferdynand spojrzał na mnie i uśmiechnął się z niezachwianą pewnością siebie.

Beatriz i Inés przygotowały już moją haftowaną lnianą koszulę i suknię z adamaszku. Kiedy mnie rozbierały i delikatnie ściągały mi welon, żeby nie zniszczyć kwiatów, które miałam we włosach, nie byłam w stanie już dłużej znieść tej ciszy.

– No i? – zapytałam, przyglądając się im wyzywająco. – Żadna z was nie zamierza nic powiedzieć? Wolicie, żebym poszła do sypialni jak owieczka na rzeź?

– Wasza Wysokość, przecież to noc poślubna, nie ukrzyżowanie! – wykrzyknęła Inés. – Poza tym, co ja mogę na ten temat wiedzieć? Jestem dziewicą.

Spojrzała znacząco na Beatriz, która zagryzała wargi, jakby tłumiała śmiech.

– Co chcesz wiedzieć? – zapytała.

– Prawdę. – Zamilkłam na chwilę, a potem wyszeptalam: – Czy... będzie bolało?

– Tak, na początku zwykle boli. Ale jeśli będzie obchodził się z tobą delikatnie, tak jak powinien, po kilku razach to nie będzie już takie bolesne. A potem... cóż, sama zobaczysz. – Beatriz nie była już w stanie ukryć uśmiechu. Czaił się w kącikach jej ust, jak u małej, psotnej dziewczynki.

Sama byłam bliska śmiechu. Nagle zdałam sobie sprawę, jak niedorzecznie się zachowuję – bałam się wejść do łoża, do którego z taką determinacją dążyłam. Uniosłam brodę, bez słowa odwróciłam się na pięcie i pomaszerowałam krótkim korytarzem do małżeńskiej sypialni, przed której drzwiami zgromadził się tłum. Nie zwracając uwagi na dworzan, weszłam do oświetlonej świecami komnaty, której centralnym elementem było wielkie przykryte brokatową narzutą łoże z baldachimem. Obok niego stał Ferdynand otoczony grupką szlachciców.

W ręce trzymał czarkę i podniósł wzrok, gdy usłyszał, że ktoś przybył. Miał na sobie rozpiętą szatę w kolorze przygaszonej czerwieni. Pod luźno związaną sięgającą do kolan koszulą widziałam umięśnioną klatkę piersiową. Nawet bez zaglądania do środka wiedziałam, że tym razem jego czarka zawiera wino. W powietrzu unosił się intensywny zapach riojy zmieszany z perfumowanym woskiem świec ze świecznika.

Przyglądał mi się w ciszy i z takim skupieniem, że nawet rozprawiający przed drzwiami gapie zamilkli.

– Wynocha – powiedział, nie odrywając ode mnie wzroku. – Wszyscy.

Beatriz podeszła szybko, żeby pomóc mi z suknią, ale odprawiłam przyjaciółkę machnięciem ręki. Razem z Inés skierowały się więc ku wyjściu, gdzie napotkały kilku upartych maruderów – powołując się na obowiązujący na wszystkich dworach Europy barbarzyński obyczaj, chcieli koniecznie przyglądać się, jak tracę dziewictwo. Beatriz odpędziła ich zgorziona

i zamknęła za sobą drzwi.

W końcu byliśmy z Ferdynandem sami.

Trudno było mi uwierzyć, że faktycznie jest moim mężem. Stosunkowo niewielki wzrost nadrabiał żywotnością i charyzmą – mocny nos, przenikliwe oczy, kształtne usta i szerokie czoło sprawiały, że uznałam go za najpiękniejszego mężczyznę, jakiego kiedykolwiek widziałam. Doszłam do tego wniosku ze spokojem i obojętnością, które mnie samą zaskoczyły. Serce wcale nie biło mi szybko. Nie miałam spoconych dłoni. Opuścił mnie lęk, który nękał mnie wcześniej – miałam wrażenie, że kiedy nastął w końcu ten moment, niezmacony spokój zwyciężył nad wzburzeniem, które powinnam czuć.

Mężczyźni i kobiety robili to od zarania dziejów i, o ile mi wiadomo, jeszcze nikt od tego nie umarł.

– Chcesz...? – zaczął, machając ręką w kierunku stolika z karafką i dodatkową czarką. – Zgodnie ze zwyczajem mamy pić z jednego kielicha, w łożu. Nago.

– Wiem. – Uśmiechnęłam się lekko, przypomniałszy sobie, czego nam oszczędził. – Ale ja nie lubię wina, boli mnie po nim głowa.

Przytaknął i odstawił swoją czarkę.

– Mnie też. Prawie w ogóle nie piję, ale dziś uznałem, że muszę. – Zamilkł. Ręce, w których nie trzymał już naczyń, wisiały mu teraz niezgrabnie po bokach, jakby nie wiedział, co z nimi zrobić.

– Czemu? – zapytałam.

– Co? – Zmarszczył brwi.

– Czemu uznałeś, że musisz? Denerwujesz się?

Zadałam to pytanie pod wpływem impulsu. Jak tylko je wypowiedziałam, zaczęłam się zastanawiać, dlaczego to robiłam. Który mężczyzna przyzna się do strachu w noc poślubną!

– Tak – odparł cicho, ku mojemu zaskoczeniu. – Denerwuję się. Nigdy się tak nie czułem, nawet przed bitwą. – Rozwiązał koszulę, obnażając jeszcze więcej klatki piersiowej. Między potężnymi, szerokimi mięśniami wyrastały ciemne kędzierzawe kępki błyszczące jak brązowa satyna. – Serce wali mi jak szalone – dodał. Podszedł i powiedział: – Czujesz?

Położyłam dłoń na jego skórze. Miał rację, czułam, że serce bije mu bardzo szybko.

– Nie mogę uwierzyć, że jesteś moja – wyszeptał to, co sama pomyślałam.

Mówiąc, patrzył mi prosto w oczy, bo bez butów byliśmy niemal równego wzrostu. Nagle przypomniałam sobie nasze splecione dłonie i to, że przypominały mi dwa osobne pasma jedwabiu z tego samego motka...

– Tanto monta, monta tanto* – wyszeptałam.

Spojrzał na mnie zdezorientowany.

– Co?

– To ma być nasze motto, które oznacza, że jesteśmy sobie równi. – Przerwałam. – Nie czytałeś? To część naszej umowy przedmałżeńskiej, naszych kapitulacji.

– Czytałem kapitulacje, oczywiście – odpowiedział nieco ochrypłym głosem. – Ale szczerze mówiąc, niezbyt uważnie. Zależało mi tylko na tym, żebyś była moja. – Wziął moją twarz w dłonie i przybliżył do siebie. – Cała moja – wyszeptał i przyłożył usta do moich ust.

Poczułam płomień ekscytacji, jakby nagle rozkwitło we mnie pole ognistych kwiatów.

Pokierował mnie na łożo, a po drodze jego palce wyswobadzały mnie z ubrania – pociągały za koronki, rozwiązywały wstążki – aż poczułam, że koszula zsuwa mi się na podłogę. Gorąco buchające z piecyka sprawiło, że moja jasna skóra się zaróżowiła.

W oczach Ferdynanda widziałam uwielbienie.

– Eres mi luna – wyszeptał mi do ucha. – Jesteś moim księżycem. Taka biała, tak

nieskalana...

Choć w głębi duszy wiedziałam, że nie jestem jego pierwszą kobietą, bo żaden mężczyzna nie potrafi od razu tak dotykać kochanki, wolałam wyobrazić sobie, że oboje jesteśmy niewinni. Oddałam się przyjemnościom ogrodu rozkoszy, który we mnie zasiał – naprężyłam się i zrobiłam się wilgotna. Do tego stopnia bardzo pragnęłam jego ciała, że zaczęłam mimowolnie krzyczeć w uniesieniu.

Potem poczułam, że we mnie wchodzi. Ból, o którym mówiła Beatriz, okazał się tak ostry, że odebrało mi dech w piersi. Nie dałam jednak nic po sobie poznać. Objęłam go mocniej nogami i zachęcałam, by zanurzał się szybciej, głębiej, nawet kiedy krwawe znaki mojego utraconego dziewictwa pojawiły się na pościeli.

Kiedy później leżeliśmy przytuleni, tak że moje rozmierzwione włosy przykrywały jego pierś, zapytał:

– Byłem zbyt brutalny?

Pokręciłam przecząco głową, choć cierpiałam. On zaśmiał się, gładząc rękami moje krągłości, najpierw leniwie, a potem coraz szybciej i energiczniej. Widziałam, że w jego oczach znów pojawił się ogień pożądania, więc położyłam się obok, by znów go do siebie wpuścić. Przekonywałam siebie, że chociaż teraz boli, każdy kolejny raz będzie mniej bolesny.

Kiedy drżał i sapał w ekstazie, która łagodziła trochę przeszywający mnie ból, usłyszałam, jak mówi:

– Daj mi syna, mój księżycu. Daj mi dziedzica.

* Tanto monta, monta tanto (hiszp.) – dosł. wszystko takie samo; motto Królów Katolickich, nawiązujące albo do węzła gordyjskiego, z którym rozprawił się Aleksander Macedoński („Tanto monta, monta tanto, cortar como desatar” – Wszystko takie samo, cięcie, jak i rozwiązanie), albo do równości królowej Izabeli i króla Ferdynanda („Tanto monta, monta tanto, Isabel como Fernando” – Wszystko takie samo, Izabela taka sama jak Ferdynand) (przyp. tłum.).

Rozdział osiemnasty



Już od dawna uważałam się za kobietę.

Przemyślałam, co pociąga za sobą kobiecość, i starałam się spełniać te niełatwe wymogi. Jednak po naszym ślubie, kiedy październik ustąpił miejsca listopadowi, spadły pierwsze śniegi, a my siedzieliśmy przy buzujących ogniem paleniskach, podczas gdy na zewnątrz szalał mroźny wiatr – zdałam sobie sprawę, że wcześniej nie doświadczyłam, co tak naprawdę znaczy bycie kobietą.

W naszym skrzypiącym łożu, otuleni futrami, odkrywaliśmy królestwo cielesnych rozkoszy, jak dwoje wygłodzonych dzieci, które poświęcają się tylko temu. Teraz myślę, że służące i damy dworu musiały pewnie chodzić po lodowatych korytarzach na palcach i wypełniać swoje obowiązki, tłumiąc śmiech, raczone dźwiękami dobiegającymi z naszej sypialni, w której zapamiętałe oddawaliśmy się przyjemnościom. Oczywiście, musieliśmy jeść – przynoszono nam półmiski z jedzeniem, a my karmiliśmy się nawzajem zimnym kurczakiem w sosie z granatów i kawałkami sera na figach, nie mogąc się nadziwić, że nic nie smakuje tak intensywnie jak skóra ukochanej osoby. Leżałam, śmiejąc się w głos, kiedy Ferdynand przebiegał boso zimną, wyłożoną płytkami posadzkę, żeby dorzucić do ognia, a potem wracał pędem pod futra. Był nagi, po drodze przeklinał, a kiedy wskakiwał do łoża, miał lodowate dłonie i stopy.

– Przestań! – wołałam, kiedy brał mnie w objęcia i dotykał chłodnymi opuszkami palców.

Wkrótce jednak znów wyginałam się z rozkoszy, gdy wplątywał mi gorące już wtedy ręce we włosy i zanurzał się, by wypełnić mnie nasieniem.

Epifania minęła nam niemal niezauważenie. Zorganizowaliśmy święto dla domowników, na które zadłużyliśmy się u Carrilla, i zaraz po mszy i wymianie prezentów wróciliśmy z powrotem do naszego kokonu, gdzie nie groziły nam pustoszące Kastylię wiatry. Nic nie zakłócało naszej idylli we dwoje, naszego luna de miel. Wystarczało nam własne towarzystwo: oglądanie tylko siebie, przebywanie tylko ze sobą. Udawaliśmy, że cały świat się zatrzymał.

Oczywiście tego nie zrobił i w końcu musieliśmy wyjść z łoża, żeby wysłać dobre przemyślany list do mojego przyrodniego brata. Carrillo poinformował nas, że gdy tylko Henryk dowiedział się o naszym ślubie, przerwał walki w Andaluzji i wrócił do Kastylii. Przez całą drogę ani razu się nie odezwał – nawet de Villenie nie udało się przerwać jego mrocznego milczenia. W liście, który napisaliśmy w łożu, w przerwie między jednym a drugim oddawaniem się rozkoszy – oboje gryźliśmy przy tym pióra i plamiliśmy się nawzajem atramentem – błagaliśmy go o wyrozumiałość. Był to nasz pierwszy wspólny wysiłek jako męża i żony, dzięki któremu chcieliśmy obwieścić królowi nasz nowy stan, a zarazem zapewnić go o naszej lojalności. Mimo to, kiedy wysłaliśmy posłańca z listem, bałam się, że Henryk powziął już decyzję o zemście i żadne nasze słowa ani czyny nie zdołają jej zmienić.

Ponieważ nad światem panowała zima, pozostawało nam tylko czekać. Po pewnym czasie przenieśliśmy się z Ferdynandem z łoża przed palenisko i zaczęliśmy odkrywać wspólne zainteresowania. Okazało się, że oboje lubimy grać w szachy i w karty oraz że łączy nas pasja do jazdy konnej. Zaskoczyło mnie, że chociaż lubi polować, tak samo jak ja nienawidzi walk byków – uważał je za barbarzyństwo. Zgodził się, byśmy nigdy nie pozwalali organizować korridy na naszą cześć. Też czuł się nieswojo w nadmiernym zbytku, bo sam dorastał na zubożałym dworze,

gdzie liczył się każdy grosz. Najważniejsze, że podobnie jak ja, Ferdynand również wolał zachowywać ostrożny optymizm, koncentrować się raczej na tym, co można osiągnąć, niż na tym, co się straciło. Był nadmiernie pewny siebie i nie znosił sprzeciwu. Na początku naszego małżeństwa nie wtrącałam się w to, co mówi, pozwalałam mu wypowiadać się swobodnie. Wchodził do naszej komnaty i ogłaszał swoją wizję przyszłości, a ja siedziałam spokojnie przy ogniu, cerując jego pończochy i koszule.

– Strzały i jarzmo – oznajmił płomiennie. – To będzie nasza dewiza: „flechas” dla Ferdynanda i „yugo” dla Izabeli. To będą nasze symbole, a nad nimi będzie widniał napis: „Tanto monta”. To idealne godło dla króla i królowej Kastylii, nie uważasz?

Uśmiechnęłam się, po czym podniosłam zacerowaną koszulę i przyglądałam się, jak wkłada szczupłe ręce do rękawów. Na widok jego ciała prześwitującego przez sprany i wielokrotnie naprawiany materiał nagle ogarnął mnie strach. Ferdynand z niesamowitą spostrzegawczością, którą często się wykazywał, zauważył, że zaszła we mnie jakaś zmiana. Chwytał mnie za podbródek i podniósł moją twarz w kierunku swojej.

– Co się stało? – wymruczał. – Czemu mój księżyc jest smutny?

– Przecież wiesz – odparłam.

Zawahał się.

– To przez Henryka – powiedział w końcu, a ja przytaknęłam.

– Nadal nie odpisał. Jak myślisz, jak długo każe nam czekać? Nie mamy pieniędzy, Ferdynandzie. Jako księżniczka miałam wejść w posiadanie kilku miast, ale jak na razie nic nie dostałam. To wszystko – wskazałam na komnatę szerokim gestem, dając mu do zrozumienia, że chodzi mi o cały zamek – opłaca Carrillo. Jesteśmy od niego całkowicie uzależnieni.

– Ale w liście poprosiliśmy o to, co się nam należy. Henryk na pewno nie odmówi nam środków do życia zgodnego z naszą pozycją. Przecież nie potrzeba nam wiele.

Westchnęłam.

– Nie znasz go. Martwi mnie ten brak wiadomości. Boję się, że szykuje dla nas jakąś pułapkę.

– Ale przecież już się pobraliśmy, a ty zostałam obwołana jego dziedziczką. Co mógłby teraz zrobić?

Pokręciłam głową i sięgnęłam do leżącego na ziemi koszyka po następną koszulę Ferdynanda.

– Nie wiem. Ale cokolwiek by to było, musimy mieć się na baczności. Nie możemy dopuścić, żeby wygrał.

Zaciśnięte zęby i uniesiony podbródek męża były dla mnie sygnałem, że nie zamierza nikomu dać nas pokonać. Nawet Ferdynand nie był jednak w stanie przewidzieć odpowiedzi Henryka, którą w końcu przywiózł nam sam arcybiskup.

Odziany w ciężką wełnę, przesiąknięty zimną wilgocią deszczowego lutowego popołudnia arcybiskup rzucił pergamin na stół w komnacie, w której na co dzień jedliśmy posiłki razem z służbą.

– To od tego głupca i wynaturzeńca – oznajmił szydlerzo Carrillo i porwał czarnekę gorącego cydru przyniesioną natychmiast przez przytomnego Cárdenasa.

Zdjął otulające jego masywną sylwetkę warstwy i stanął przy ogniu, by się osuszyć. Upił duży łyk, przyglądając się, jak Ferdynand sięga po list. Mój mąż w miarę czytania robił się coraz bledszy.

Poczułam ucisk w żołądku.

– Co pisze?

Podniósł wzrok znad pergaminu. Pierwszy raz, odkąd złożyliśmy sobie przysięgę,

widziałam, że się waha.

– Izabelo, mi amor... to... nie chcę, żebyś...

– Powiedz jej – przerwał arcybiskup. – Wie, czym ryzykowała. – Wyrwał list z rąk Ferdynanda i zaczął czytać na głos: – „... dlatego nie uznajemy małżeństwa doñi Isabeli i księcia Ferdynanda za wiążące w oczach prawa państwowego ani prawa kanonicznego, ponieważ dyspensa, na której podstawie je zawarto, jest fałszywa. Ponadto...”.

Wydałam nerwowy okrzyk, a arcybiskup podniósł głos:

– „... nasza siostra świadomie sprzeciwiła się władzy królewskiej, bla bla bla”. – Carrillo rzucił mi pergamin na kolana. – Innymi słowy: kwestionuje małżeństwo i może próbować wydziedziczyć cię na rzecz Joanny la Beltranei. A przynajmniej na pewno spróbuje wydać ją za jakiegoś zagranicznego księcia, który go wspomógł, bo ponieśli z de Villeną ogromne straty, bezsensownie atakując Andaluzję.

Siedziałam nieruchomo. Słyszałam, jak nóż Beatriz spada z brzękiem na stół, kiedy poderwała się, żeby się mną zająć. Zbierając całą energię, chwyciłam się poręczy krzesła i wstałam. List zsunął mi się z kolan na ziemię. Ferdynand nie zareagował, ale Carrillo otworzył usta ze zdumienia, kiedy bez słowa ruszyłam do drzwi. Beatriz i Inés pospieszyły za mną. Unikałam wzroku gapiącej się służby, choć zauważyłam pełne zrozumienia i troski spojrzenie skarbnika Ferdynanda, Luisa de Santángela, rzucone w kierunku księcia. Zakłuło mnie serce, kiedy zdałam sobie sprawę, że mój mąż zwierzył się ze swoich trosk innym, a przede mną trzymał wszystko w tajemnicy.

Gdy wspinałam się po schodach do naszej komnaty, miałam wrażenie, że się duszę. Zamknęłam za sobą drzwi, zostawiając za nimi zmartwione towarzyszki. Przekręciłam klucz, a potem zaczęłam szarpać za swój gorset, starając się poluzować kościane fiszbiny, by móc głęboko zaczerpnąć powietrza. Opadłam na podłogę pod drzwiami z rękami przyciśniętymi do piersi. Zamknęłam oczy i brałam krótkie, nerwowe oddechy. W końcu rozległo się pukanie.

Nawet zanim przybysz się odezwał, wiedziałam, kim jest.

– Izabelo, proszę, wpuść mnie.

Słyszałam, jak Beatriz mówi coś cicho, a Ferdynand rzuca jej szorstką odpowiedź. Zapukał ponownie, tym razem mocniej.

– Izabelo, otwórz te drzwi. Jestem twoim mężem. Musimy porozmawiać.

Gniew w jego głosie sprawiał, że miałam ochotę zostawić go tam jeszcze trochę, żeby go trochę podręczyć. Nie chciałam jednak dawać jeszcze więcej pożywki plotkarzom, więc wstałam i przekręciłam klucz. Cofnęłam się do środka komnaty, a on wszedł i zatrzasnął za sobą drzwi, znów przed nosem Beatriz.

– Wiedziałaś o wszystkim – powiedziałam, zanim zdążył się odezwać. – Od kiedy?

Zanim złożyliście sobie przysięgę czy dopiero potem?

Popatrzył na mnie. Skóra pod lewym okiem drżała mu lekko, jak zawsze, gdy był zdenerwowany.

– No więc? Nie odpowiesz mi?

– Daj mi chwilę – odparł.

Zrobiłam krok w jego kierunku.

– Po co ci chwila? To proste pytanie.

– Z tobą zawsze wszystko jest proste, prawda? – powiedział oschle. – Dobry albo zły, czarny albo biały, święty albo grzesznik – tak Jej Wysokość doña Izabela postrzega świat.

Zamarłam, zaskoczona jego pogardliwym tonem.

– Ze mną jest inaczej.

Podszedł do kredensu i sięgnął po karafkę. Choć wcześniej deklarował abstynencję,

odkryłam, że Ferdynand lubi wieczorem, na osobności, napić się trochę wina, więc poleciłam Inés, żeby zawsze trzymała jakieś w pogotowiu. Teraz, kiedy napełniał czarękę, zastanawiałam się, czego jeszcze dowiem się o swoim mężu.

– Ja widzę wszystkie odcienie szarości pomiędzy nimi – ciągnął. – Widzę, że ludzie są równocześnie dobrzy i źli, że jesteśmy zdolni zarówno do wielkiej podłości, jak i do ogromnych poświęceń. W przeciwieństwie do ciebie, jestem świadom, że nic na świecie nie jest takie proste, jak nam się wydaje.

Zastanowiłam się przez chwilę.

– Bez wątpienia masz rację – odezwałam się w końcu. – Nie wiem o wielu sprawach. Ale dyspensa od Jego Świątobliwości albo jest ważna, albo nie jest. A król twierdzi, że ta, którą zdobyli twój ojciec i arcybiskup, nie jest.

– Ojcu niczego nie można zarzucić. Prosił w Rzymie o dyspensę, wiele razy, ale ten nadęty osioł papież Pius cały czas zwlekał. W końcu ją przysłał, ale z zastrzeżeniem, że nabierze ważności dopiero po naszym ślubie. Kto mógł przypuszczać...

– Papież Pius nie żyje od pięciu lat – przerwałam. – To papież Paweł musiał udzielić dyspensy. – Widziałam, że się skrzywił. – Ale przynajmniej odpowiedziałeś na moje pytanie. Czyli jeszcze przed ślubem wiedziałeś, że dyspensa jest nieważna.

– Izabelo. – Wypił wino do dna, podszedł i chwycił mnie za rękę. – Dios mío, jesteś zimna jak lód – wymamrotał.

Cofnęłam się.

– Nie lubię, jak się mnie okłamuje.

Wypuścił powietrze zniecierpliwiony.

– A co mieliśmy zrobić? Sama powiedz. Pisałaś, że jesteś w niebezpieczeństwie, bo Henryk spiskuje, żeby wydać cię w Portugalii. Błagałaś, żebym natychmiast przyjeżdżał do Kastylii. Ale Aragonia prowadziła wtedy wojnę z Francją, nie mieliśmy czym przekupić papieża, który już dostał łapówkę od de Villeny, żeby odmówić nam dyspensy. – Przerwał i spojrzał mi w oczy. – Tak, to prawda: de Villena wysłał ambasadorów do Rzymu, żeby pokrzyżować nam plany. Na szczęście ojciec ma przyjaciół w kurii i nasz kardynał Borgia z Walencji w końcu przysłał nam dyspensę antydatowaną na ostatni rok panowania Piusa.

– A podpis...?

Ferdynand odwrócił wzrok.

– Carrillo miał jakieś dokumenty napisane ręką Piusa.

– Więc duchowny sfalszował podpis zmarłego papieża. – Odwróciłam się do okna.

Mocny deszcz ze śniegiem sprawiał, że prawie nie widziałam miasta. – A król, mój brat, oskarża nas o życie w grzechu, ponieważ w oczach Boga nasze małżeństwo jest nieważne.

– Wcale nie. – Ferdynand się nie poruszył, ale w jego głosie słyszałam błagalną nutę. – Carrillo zapewniał mnie, że w świetle prawa świeckiego i kanonicznego, w oczach świętych, Kościoła i samego Boga jesteśmy połączeni węzłem małżeńskim.

– Nie bluźnij – powiedziałam, wyglądając bezmyślnie przez okno.

– Dyspensa to tylko drobna formalność. Owszem, jesteśmy spokrewnieni, ale to bardzo dalekie pokrewieństwo. Nie jesteśmy przecież bratem i siostrą. W rodzinach królewskich zdarzały się związki między dużo bliższymi krewnymi.

– Czy właśnie o to ci chodzi? – Odwróciłam się w jego stronę. – To zabawa, żeby zobaczyć, jak dużo nam się upiecze?

– Nie, oczywiście, że nie. Chodziło mi tylko o to...

– Bo dla mnie to bardzo poważna sprawa. Potrzebna nam dyspensa. Nieważne, czy to tylko formalność, czy nie. Podpis papieża został sfalszowany. Musimy to naprawić. Musimy

poprosić o jeszcze jedną dyspensę, ważną i prawomocną.

– No to poprosimy. – Zbliżył się i znów chwycił mnie za rękę, tym razem mocniej, żebym nie była w stanie się wyswobodzić. – Obiecuję. Sam napiszę do kardynała Borgii. Ale teraz nie czas na to. Mamy ważniejsze zmartwienia.

– Co może być ważniejsze niż legalność naszego małżeństwa? Henryk oskarża mnie o życie w niełasce, żeby móc posadzić na tronie nieślubne dziecko królowej – głos zrobił mi się piskliwy, choć starałam się go kontrolować. – Przez ciebie, przez twój ojca i Carrilla moje prawa do tronu Kastylii są zagrożone!

– Tak samo jak nasze bezpieczeństwo – powiedział, a ja zamarłam. – Wyszłaś, zanim Carrillo zdążył przekazać ci resztę wiadomości. De Villenie udało się skłonić grandów do zawiązania przeciwko nam koalicji. Jesteśmy teraz wrogami, Izabelo, ty i ja. Nie możemy tu zostać. Valladolid leży na równinie, przez co jesteśmy praktycznie bezbronni. Dziadek zaoferował, że przyśle nam swoich wasali do ochrony, ale musimy przenieść się do zamku z fosą i murami na tyle grubymi, by oddziały króla ich nie sforsowały.

Popatrzyłam mu w oczy – te szczerze piwne oczy, które tak dobrze znałam, i wierzyłam, że nawet gdy usta będą kłamać, one zawsze powiedzą mi prawdę. Nie znalazłam w nich fałszu.

– Dokąd możemy jechać? – wyszeptalam, wzdrygając się na myśl o kolejnej pospiesznej, ukradkowej ucieczce, jeszcze jednym galopie do jakiejś twierdzy pod osłoną nocy. Miałam wrażenie, że odkąd Henryk pojawił się w moim życiu, nic, tylko przed nim uciekam.

– Zdaniem Carrilla na razie wystarczy zamek w Dueñas.

– Dueñas – powtórzyłam przygnębiona. – Przecież stamtąd jest wszędzie daleko.

– Tak, ale brat Carrilla jest tam burmistrzem. Będziemy bezpieczni. – Przez chwilę w milczeniu gładził mnie po rękę, po czym zapytał: – Przebaczyłaś mi?

Kiwnęłam głową.

– Ale nie możesz mnie już nigdy więcej okłamywać. Obiecuj mi to, Ferdynandzie.

Zbliżył usta do moich ust, po czym wyszeptał:

– Obiecuję.

Zrobiło mi się cieplej już od jego dotyku, od pożądania, które między nami zapłonęło. Jednak kiedy wróciliśmy do sali, ogarnęło mnie niepokojące uczucie, że spiesząc się do małżeństwa, obraziliśmy Boga. Choć nie wiedziałam, jakie czekają nas trudy, bałam się, że zostaniemy ciężko doświadczeni.

A ja już czułam, że porusza się we mnie nowe życie.

Rozdział dziewiętnasty



Inés stanęła przy moim krześle, dzierżąc jeden ze swoich niezawodnych naparów ziołowych.

– Doktor Santillana powiedział, że musisz to wypić. Rumianek pomaga na zły nastrój. Skrzywiłam się.

– Jestem brzemienna, zły nastrój to nic nadzwyczajnego. Od rumianku dostanę tylko zaparcie, a tego najmniej mi teraz potrzeba.

Pomachałam, żeby się odsunęła, i wstałam niezgrabnie, podtrzymując ręką sterczący brzuch. Byłam brzemienna już od siedmiu miesięcy i czułam się tak, jakbym w każdej chwili mogła urodzić – miałam spuchnięte stopy i kostki, problemy z trawieniem i łagodnie mówiąc, zmienne samopoczucie. Taka kondycja zupełnie mnie zaskoczyła – spodziewałam się, że aż do rozwiązania będę w pełni sił. W końcu miałam dopiero dziewiętnaście lat, a, jak zapewniła mnie akuszerka: „dziewczęta w tym wieku są płodne jak jałówki na łące”.

Jak na razie wcale nie szło gładko. Oprócz wszystkich innych dolegliwości cierpiałam też na bezsenność. Jedyne mój apetyt nie uległ żadnej dziwnej przemianie. Ferdynand powtarzał mi, że jestem piękna, że przypominam bujne Madonny z włoskich obrazów, ale nie do końca mu wierzyłam. Choć próżność nigdy nie była moją przywarą, w głębi duszy zaczęłam się zamartwiać, że nigdy nie odzyskam dawnej figury, zniekształconej przez niewidzialną istotę, która właśnie z uporem kopała moje wnętrze.

Chłopiec. Akuszerka oświadczyła, że to musi być chłopiec, co oczywiście sprawiło, że Ferdynand stał się jeszcze troskliwszy, a jego ojciec zaczął przysyłać z Aragonii masę przedwczesnych prezentów. Carrillo podzielał ich entuzjazm. Za każdym razem kiedy przybywał w odwiedziny, przynosząc najnowsze wieści i pieniądze na nasze utrzymanie, nie omieszkał mi przypomnieć, że dzięki narodzinom chłopca nasza sytuacja stałaby się dużo korzystniejsza. Chłopiec mógłby odziedziczyć zarówno Kastylię, jak i Aragonię. Nasz syn byłby pierwszym władcą panującym w obu królestwach.

– Męski potomek, który będzie naszym następcą – wymamrotałam – podczas gdy Henryk ma tylko to dziecko, które wszyscy nazywają la Beltraneja. – Oparłam się o parapet w swojej komnacie, żeby wyjrzeć przez podzielone na nierówne szybki okno. – Cały kraj zjednoczyłby się pod naszym sztandarem...

– Pani? – zapytała Inés, bo zajęta przy moich skrzyniach, nie dosłyszała, co mówię.

Odwrociłam się, wzdychając. Biedna Inés najwięcej ucierpiała z powodu naszego przymusowego zamknięcia w, jak je nazywałam, „więzieniu Dueñas”. Ja i tak musiałam ograniczyć aktywność, więc Ferdynand często wyjeżdżał ze swoimi wasalami na całodzienne polowania, dzielnie znosząc niezwykle mokrą jesień, by łapać jelenie, zające i inną zwierzynę, której mięsa potrzebowaliśmy na przetrwanie zimy.

Beatriz niechętnie wróciła do Segovii. Henryk przebywał teraz w Kastylii, więc de Villena jeszcze mocniej naciskał na jej męża, żeby udostępnił pieniądze ze skarbcza. Cabrera potrzebował wsparcia żony. Najdziwniejsze było to, że król polubił Beatriz. Tylko ona była w stanie odwieść go od ulegania szalonym żądaniom markiza, który chciał na przykład wysłać przeciwko mnie armię. Z jej listów dowiedziałam się, że sama zdołała przekonać Henryka do

zostawienia nas na razie w spokoju. Uprosiła go, żeby okazał wyrozumiałość z uwagi na mój błogosławiony stan. Jednak choć odwiodła go od oficjalnego pozbawienia mnie praw do tronu, nawet jej nie udało się sprawić, by nie zatrzymał naszych dochodów i nie zmusił do życia w biedzie. Bałam się, że jak tylko urodzę, posunie się znacznie dalej.

– Czy mój list jest już w drodze? – zapytałam, wracając na wyściełane krzesło do sterty bielizny, którą szyłam dla biednych.

Pomagałam licznym wdowom i nędzarzom, mieszkańcom miasta, które udzieliło mi schronienia, bo przez targające królestwem niepokoje wielu z nich cierpiało nędzę.

– Tak, Cárdenas sam zabrał go rano do Segovii. – Inés przerwała i przyjrzała mi się uważnie. – Pani, nie powinnam nic mówić, ale naprawdę spodziewasz się, że Jego Wysokość ci odpisze? To już szósty list, który mu wysłałaś w ciągu sześciu miesięcy.

– Wiem – powiedziałam i usiadłam. Ze smutkiem stwierdziłam, że krótki spacer przez komnatę okazał się dla mnie wyczerpujący. – Ale nie mam odwagi przestać. Choć mnie lekceważy, może jeśli będę wysyłać mu listy z deklaracją lojalności wobec króla i brata, to nie zacznie traktować nas gorzej, niż robi to teraz.

– Ale to nie on jest problemem – odparowała Inés.

Przypatrywałam jej się chwilę w milczeniu.

– Racja – odpowiedziałam cicho. – To nie on. De Villena owinął go sobie wokół palca. Dopóki ten człowiek ma posłuch i serce króla, mogę liczyć tylko na ułaskawienie...

Nagły skurcz sprawił, że zabrakło mi tchu. Krzyknęłam i instynktownie położyłam ręce na brzuchu. Chwycił mnie kolejny spazm. To niemożliwe: byłam brzemienna dopiero od siedmiu miesięcy, zostały mi jeszcze dwa...

Trzeci skurcz był tak silny, że zaczęłam ciężko dyszeć. Czułam, że po udach spływa mi ciepły płyn. Kiedy zmoczył rąbek sukni, zawołałam do Inés:

– Idź szybko. Przyrowadź akuszerkę. Pomyliła się. Zaczynam rodzić teraz.

Prawie nie pamiętam następnych czterestu godzin. Akuszerka i jej kumy krzątały się wokół mnie, a ja jęczałam na krześle do porodu, które miało otwór w siedzeniu. Komnata była przegrzana, unosiły się w niej ziołowe opary mieszające się z kwaśną wonią mojego potu i moczu. Poprosiłam o przykrycie mi twarzy jedwabnym welonem, żeby nikt nie widział wykrzywającego ją grymasu. Bóle były silne, ale do zniesienia. Nadal byłam w stanie zatroszczyć się o swoją godność. Zaczęłam odmawiać modlitwy do Dziewicy wspomagającej kobiety w porożu, ale w miarę upływu czasu ból zaciskał się wokół mnie jak imadło, tak że modły ustąpiły miejsca sapaniu i krzykom.

Nigdy wcześniej nie cierpiałam takich katuszy. Dałabym wszystko, żeby wrócić do poprzednich dolegliwości. W środku nocy, kiedy twarze otaczających mnie kobiet zlały mi się w jedną anonimową postać, która nakłaniała mnie do parcia, zdałam sobie sprawę, że mogę umrzeć. Nie miałam już prawie siły, żeby oddychać. Tak naprawdę zawsze mi towarzyszyła – niewidzialna zjawa nieustannie deptająca mi po piętach. Była to klątwa ciężąca na naszej płci, kara za grzech Ewy. Kobiety codziennie umierały w porożu, zarówno proste wieśniaczki, jak i wielkie królowe. Trochę o tym myślałam podczas codziennej modlitwy, zastanawiając się, jak przygotować swoją nieśmiertelną duszę. Wielogodzinne próby wypchnięcia dziecka z łona sprawiły, że ogarnął mnie paniczny strach. Własne krzyki przypominały mi wycie obłąkanego zwierzęcia.

Potem, jakimś cudem, kiedy nad Dueñas pojawiła się druga październikowa jutrzienka, otwarłam usta, żeby krzyknąć z bólu, ale niespodziewanie napięcie minęło i zamiast jęku wydałam westchnienie ulgi. Spojrzałam w dół między rozłożone pokrzwawione uda i zobaczyłam, że akuszerka bierze na ręce pokryte śluzem stworzenie, które w ogóle nie przypomina człowieka.

Miałam tak spieczone usta, że zdołałam tylko wyszeptać:

– Dios mío, czy to...

Kobiety stłoczyły się wokół akuszerki. Słyszałam plusk wody, dźwięk przecinającego coś noża i głośne klepnięcie. Inés, zalana potem i tak wymęczona, jakby to ona właśnie urodziła, otarła mi czoło szmatką i patrzyła w stronę odzianych na czarno kobiet.

Odwróciły się do nas. Chwyciłam Inés za rękę tak mocno, że jeszcze przez kilka dni miała siniaka. Akuszerka, która uznała, że musiała się pomylić przy obliczaniu daty poczęcia, podeszła do mnie i wyciągnęła sękatę rękę z nagim, kwilącym niemowlęciem.

– Dziewczynka, Wasza Wysokość – oznajmiła sucho. – Jak widać, bardzo foremna.

Zaraz po swoim niechętnym przyjściu na świat moja córeczka zaczęła lamentować i od razu podbiła moje znękaną serce.

Ferdynand był zachwycony. Upewnił się tylko, że dobrze się czuję, po czym poświęcił całą uwagę małej Izabeli – nazwanej tak na cześć mojej matki. Z dumą wziął na ręce zawinięte w jedwabie niemowlę, żeby pokazać je wszystkim mieszkańcom zamku.

– Jest idealna – wyszeptał do mnie w nocy, kiedy wkradł się do mojej komnaty.

Naruszył tym samym zakaz zabraniający mi go przyjmować, zanim błogosławieństwo duchownego nie oczyści mnie ze skazy porodu. Siedział obok mnie na łożu, Izabela była wtulona między nas. Podnosiła rączki do góry i zaciskała maleńkie piąstki, a Ferdynand przyglądał się jej w nabożnym milczeniu, jakby była najpiękniejszą istotą, jaką kiedykolwiek widział.

– Myślałam, że będziesz zawiedziony, bo nie jest chłopcem – powiedziałam w końcu.

– Mój ojciec jest zawiedziony – odparł. – Carrillo też. Arcybiskup zachowuje się tak, jakby to była jego osobista porażka. Biadoli nad tym, że kobiety nie mogą dziedziczyć tronu, bo w Aragonii obowiązuje prawo salickie, i wieszczy katastrofę.

– To jakiś absurd to prawo salickie – odparowałam rozsierzona. – Jak można wykluczać z dziedziczenia połowę królewskich dzieci? Skoro ja, będąc kobietą, jestem uważana za zdolną do objęcia tronu Kastylii, to czemu Izabela miałaby nie panować w Aragonii?

Ferdynand się uśmiechnął.

– Ja jestem szczęśliwy. Dziecko jest zdrowe, a my jesteśmy jeszcze młodzi. Będziemy mieć synów.

Rzuciłam mu gniewne spojrzenie, zirytowana jego obojętnością.

– Oczywiście – odparłam. – Tylko proszę, pozwól mi najpierw wydobrzeć po pierwszym połogu.

Jego śmiech obudził Izabelę. Zamrugęła powiekami, przez chwilę wlepiła w ojca swoje piękne niebieskie oczy, a potem znów zasnęła. Kiedy gładziłam jej ciepły, delikatny policzek, poczułam nagły przyływ waleczności.

– Nie dam jej skrzywdzić – oświadczyłam. – Nie obchodzi mnie, że wszyscy są rozczarowani. Nie pozwolę, by czuła się niechciana. – Spojrzałam na Ferdynanda. – Są jakieś wieści z dworu? Henrykowi pewnie spadł kamień z serca, a de Villena niechybnie planuje kolejne uderzenie. Ze względu na to prawo salickie nasza sytuacja jest jeszcze bardziej niebezpieczna.

Oczy Ferdynanda błyszczały.

– Nie do końca – powiedział zagadkowo, po czym nachylił się i uciszył wszelkie moje pytania pocałunkiem. – Przeszłaś męczarnię, której niewielu mężczyzn poddałoby się dobrowolnie. Pozwól, że teraz to ja wezmę na siebie ciężar wojny, a ty zajmij się naszą córką, dobrze?

Wyszedł, nim zdążyłam odpowiedzieć. Chciałam wstać, ale kiedy przytuliłam się do swojego dzieciątka, zmogło mnie zmęczenie. Chociaż mieliśmy teraz mamkę, krzepką

wieśniaczkę wybraną ze względu na swoje zdrowe zęby, łagodny temperament i wytrzymałość, potajemnie sama karmiłam Izabelę. W ten sposób przynosiłam ulgę obolałym, pełnym mleka piersiom i przypinałam córce łątkę niejadka, który wszelako rósł jak na drożdżach. Cieszyłam się, że mogę z nią przebywać w przytulnej, bezpiecznej komnacie, wolna od zmartwień wielkiego świata. Ponieważ Dueñas przykrywała gruba warstwa śniegu, przez jakiś czas mogłam udawać, że nie jestem osaczoną księżniczką, która musi walczyć o swoje prawa, tylko zwykłą matką zakochaną w pierwszym dziecku.

Tak właśnie robiłam. Osobiście nadzorowałam wszystko, co dotyczyło się Izabeli, a kiedy Ferdynand jadł z nami obiad, powstrzymywałam się od zadawania mu jakichkolwiek pytań, choć wiedziałam, że spędził długie godziny na dyskusjach z Carrillem. Raz usłyszałam dobiegające z sali reprezentacyjnej ich głośne krzyki. Tego samego dnia Ferdynand wpadł do mojej komnaty z wypiekami na twarzy i oznajmił, że Carrillo to apodyktyczny osioł, który ma za wysokie mniemanie o sobie, a za niskie o innych.

– Jeśli jeszcze raz zacytuje mi te przekłete kapitulacje, to ostrzegam, że nie ręczę za siebie! Co się stało z naszym „tanto monta”, że śmie mi wmawiać, że powinienem słuchać jego dobrych rad?

Poszłam nalać mu czarkę ciepłego cydru ze stojącej przy palenisku karafki.

– Rzeczywiście w umowie przedmałżeńskiej zgodziliśmy się uznać go naszym pierwszym doradcą.

– Nieustannie mi o tym przypomina. – Ferdynand wypił cydr jednym haustem. – Powinienem być uważniej przeczytać te kapitulacje.

W jednej chwili zrozumiałam, o co chodzi. Carrillo przywykł do stawiania na swoim. Zawsze wierzył w swoją wyższość, nawet kiedy udzielał wskazówek Alfonsowi. Ferdynand nie był jednak typem uległego księcia, który dawałby sobą rządzić. Mój mąż miał w sobie upór, którym co najmniej dorównywał arcybiskupowi. Nie chciałam, żeby zaczęli skakać sobie do oczu, nie, kiedy nadal czekałam, aż król odpowie na moje niezliczone, coraz ostrzejsze w tonie listy.

– Może powinnam brać udział w waszych naradach? – zaproponowałam. – Znam dobrze kapitulacje i...

– Nie.

Odstawił czarkę tak głośno, że wystraszył leżącą w kołysce Izabelę, która zaczęła płakać. Podbiegłam i wzięłam ją na ręce, rzucając mu wrogie spojrzenie.

Ferdynand zacisnął zęby.

– Pozwól, że sam zajmę się Carrillem – powiedział i wyszedł, prostując się z determinacją.

Kołysałam Izabelę, szepcząc jej czułe słówka. Inés, która siedziała w kącie na wyściełanym taborecie i cerowała moją spódnicę, podniosła pytająco brwi.

Następnego ranka ubrałam się w najlepszą suknię z szarej wełny, na włosy założyłam pozłacaną siatkę i ruszyłam do komnaty, w której dyskutowali Ferdynand i Carrillo. Zastałam ich siedzących przy stole naprzeciwko siebie. Obok stali admirał Enríquez i Chacón, wyraźnie skrepowani.

– Nie masz pojęcia, jak się postępuje w Kastylji – mówił Carrillo, czerwony z wściekłości. – To nie jest aragoński zaścianek, gdzie możesz zajmować miasta, kiedy ci się żywnie podoba.

Ferdynand pomachał mu przed oczami jakimś papierem.

– Spójrz tutaj, staruszkule! To od samego burmistrza Toro, który prosi nas o zajęcie swojego miasta. Czego więcej nam potrzeba, co? Mamy wysłać po proklamację wrytą

w kamieniu? Czy to zaspokoi przerośniętą pychę arcybiskupa?

– Potrzebna nam zgoda księżniczki – warknął Carrillo.

Widząc, że pięść Ferdynanda zaciska się na dokumencie, przekroczyłam próg.

– Oto jestem, panowie, więc możecie o nią poprosić.

Na twarzy admirała widać było wyraźną ulgę. Ferdynand natomiast, co zauważyłam od razu, był wściekły, ale nie miał wyboru, więc się opanował. Zgodnie z postanowieniami ugody przedmałżeńskiej zobowiązał się do zachowania dominacji Kastylii nad Aragonią, więc Carrillo trzymał mu nóż na gardle. Intuicja mnie nie zawiodła – Ferdynand mnie tu potrzebował, chociaż nigdy by się do tego nie przyznał.

Usiadłam przy stole, po którym walały się papiery i pióra.

– O co chodzi? – zapytałam, przyglądając im się spokojnie.

Con blandura – powtarzałam sobie w duchu. Taktem i delikatnością można wiele zdziałać, nawet z tak wybuchowymi mężczyznami.

Carrillo uklonił się i powiedział:

– Wasza Wysokość, przepraszam, że zakłócam wasz spokój, ale książę i ja nie jesteśmy w stanie osiągnąć porozumienia co do...

– Chodzi o to – przerwał mu Ferdynand, kładąc przede mną kartkę – że zdaniem Jego Ekscelencji arcybiskupa powinniśmy zrezygnować z obrony naszych praw, choć każdy widzi, że Henryk i de Villena tracą grunt pod nogami. Cenny grunt, który my moglibyśmy w pełni wykorzystać.

– Czyżby? – Przebiegłam wzrokiem podany mi dokument. Kiedy zdałam sobie sprawę, o czym traktuje, serce zaczęło mi szybciej bić. Henryk szukał dla Joanny la Beltranei narzeczonego w Portugalii. Kazał też sprowadzić do Segovii samą królową, która miała przysiąc przed ołtarzem, że dziecko jest jego. Podniosłam wzrok z niedowierzaniem. – Mam... mam stracić wszelkie przywileje księżniczki. Oficjalnie mnie wydziedziczył.

– Czytaj dalej. – Ferdynand zastukał w kartkę.

Próbowałam się skupić, ale miałam wrażenie, że znalazłam się w gęstej mgle, zza której dochodzą mnie tylko pojedyncze słowa. Nic nie miało sensu. W końcu musiałam wyszeptać:

– Nie dam rady. Powiedz mi, o co w tym wszystkim chodzi.

Ferdynand rzucił Carrillovi spojrzenie spode łba.

– Chodzi o to, że wydziedziczając cię, Henryk popełnił swoją ostatnią pomyłkę.

W królestwie zaczęły się rozruchy. Od Vizcayi po Jaén i we wszystkich miastach między nimi ludzie protestują przeciwko pozbawianiu cię praw do tronu. – Zaczął mówić coraz szybciej: – Ávila wyrzuciło oddziały de Villeny, Medina del Campo deklaruje, że będzie walczyć za ciebie do upadłego. Mówią, że Joanna la Beltraneja to wypisz wymaluj jej rozpustna matka i że to ty jesteś jedyną dziedziczką Kastylii. Ludzie chcą ciebie, Izabelo. Ten list z Toro to zaproszenie do zajęcia miasta, dostaliśmy dziesiątki takich listów z całej Kastylii: miasta zobowiązują się, że otworzą nam bramy.

– Przekupione, dodajmy – wtrącił pogardliwe Carrillo – obietnicami, których nie możemy spełnić.

– Przekupione? – Spojrzałam w płomienne oczy Ferdynanda. – Jak to? Przecież nie mamy im nic do zaoferowania.

– Z wyjątkiem obietnicy pokoju, sprawiedliwości i dobrobytu – odparł. – Rozmawialiśmy o tym, pamiętasz? To nasze „tanto monta” w praktyce. Miasta wiedzą, co mamy im do zaoferowania, bo rozesłałem heroldów, żeby ich o tym poinformować. Nie mogą już dłużej znosić głodu, klótni, psucia monety i aroganckich grandów. Wszyscy pogardzają królem, a my jesteśmy ich jedyną nadzieją na naprawę sytuacji w państwie. To jest nasza szansa. Musimy ją

wykorzystać.

– Jak? – Carrillo podniósł ręce do góry. – Z pomocą stajennych, giermków i służących? – Ryknął śmiechem. – Tak, czemu nie? Niech Chacón przejmie w waszym imieniu władzę w Toro!

– Pomogę – powiedział cicho admirał.

Carrillo zamarł. Fryderyk zbliżył się do nas – niski, pewny siebie człowiek w eleganckim czarnym aksamicie.

– Obiecałem Jej Wysokości swoich wasali i mogę wezwać ich więcej. Na pewno zdołamy przejąć Toro i Tordesillas.

– A co z innymi? – odparł Carrillo. – Co z Ávila? Medina del Campo? Segovią? Czy te miasta admirał też zdobędzie ze swoimi wasalami? Nie sądzę, że nawet głowa potężnego rodu Enríquez jest w stanie zebrać tylu ludzi.

Admirał przytaknął, chyląc łysą głowę.

– Racja, ale o ile wiem, markiz de Mendoza ma nam pomóc, a w Sewilli ksiązę Medina-Sidonia też obiecał nas wesprzeć. Wszyscy razem z pewnością zdołamy zgromadzić wystarczające siły, żeby król musiał poważnie się zastanowić, zanim spróbuje wcielić swoje dekrety w życie.

– Markiz de Mendoza jest po naszej stronie? – Carrillo odwrócił się powoli w stronę Ferdynanda. – Ale przecież Mendozowie zawsze popierali króla. Jak wam się udało...?

– Bez trudu – odparł z uśmiechem mój mąż. – Jak każdy grand, markiz de Medoza prowadzi bardzo wystawny tryb życia, a to kosztuje. W zamian za obietnicę kapelusza kardynalskiego i okazałej renty dla swojego brata biskupa markiz bardzo ochoczo przyjął nasze warunki.

– Kapelusz kardynalski...? – Ośłupiały Carrillo wpatrywał się w Ferdynanda, a jego twarz zrobiła się nagle kredowobłada. – Obiecaliście temu hipokrycie, biskupowi de Mendozie, nagrodę, która należy się mnie?

– Ja niczego mu nie obiecywałem – oświadczył Ferdynand zimnym tonem. – Zrobił to kardynał Borgia z Walencji. Obiecał też przysłać dyspensę, której wy, arcybiskupie, nie zdołaliście zdobyć. Dzięki temu małżeństwo księżniczki i moje zostanie usankcjonowane. Jak widać, nie ma powodu, żeby Izabela wstrzymywała się z interwencją.

Carrillo patrzył na Ferdynanda, wytrzeszczając oczy.

– Ale to moje! – Jego krzyk rozniósł się echem po całej sali, tak że śpiące przy palenisku ogary podskoczyły i zaczęły warczeć. – Moje! – Zaczął bić tłustymi pięściami w piersi. – To kardynałstwo należy się mnie. Zgodnie z prawem kanonicznym to ja powinienem je dostać. Od zawsze służę Kościołowi w Kastylii. To ja przez te wszystkie lata stałem po stronie Jej Wysokości i walczyłem o jej interesy!

Ciężko dyszał, a z ust ciekła mu ślina. Miałam ochotę poprosić go o przyzwoite zachowanie, ale się powstrzymałam. Nagle zdało się, że w komnacie nie ma nikogo prócz Ferdynanda i Carrilla, tkwiących naprzeciw siebie jak wojownicy. Reszta z nas stała się tłem, tak nieistotnym jak gobeliny, świeczniki i warczące psy – byliśmy widzami pojedynku silnej woli między człowiekiem, który zdominował moje życie, odkąd po raz pierwszy zetknęłam się z nim w Ávila, a moim mężem, któremu oddałam serce.

Ferdynand stał nieruchomo i nie odrywał wzroku od Carrilla. Pozwolił, by otworzyła się między nimi otchłań ciszy. Potem zwrócił się do mnie i powiedział:

– Mój dziadek i ja uważamy, że powinnaś wystosować list potępiający. Jeśli oficjalnie napiętnujesz działania króla i jeszcze raz podkreślisz, że zostałaś skrzywdzona, na pewno zyskasz poparcie miast. Nie potrzebujemy armii, ale ją zbierzemy. Wystarczy twój list przybity do drzwi wszystkich kościołów i na wszystkich placach. Con blandura – dodał z uśmiechem. – Czy nie to

zawsze powtarzasz?

Przez rok wspólnego życia poznał mnie lepiej niż Carrillo przez te wszystkie lata. Rozumiał coś, czego arcybiskup nie był w stanie pojąć – wiedział, że nienawidzę chaosu, który panował w państwie rządzonym przez Henryka, i że nawet dążąc do przejęcia tronu, wolałam zachowywać pozory pokoju. Nie chciałam przysparzać cierpień poddanym, którzy już i tak zostali ciężko doświadczeni. Nie mogłam dopuścić, by w moim imieniu zabijano i siano zniszczenie.

Kiwnęłam głową, czując na sobie świdrujący wzrok Carrilla.

– Tak, to zawsze mówię.

Przeniosłam wzrok z Ferdynanda na arcybiskupa. Obudziło się we mnie współczucie – chciałam go jakoś pocieszyć, bo nagle wydał mi się stary i zmęczony. Nigdy wcześniej nie zauważyłam popękanych żyłek na jego twarzy, zażawionych oczu, obwisłych policzków ani siwizny w jego bujnej czuprynie. Tak długo postrzegałam go jako niezmordowanego wojownika, że nie zauważyłam, jak potraktował go czas.

– Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby wasze zasługi dla Kościoła i państwa zostały docenione – powiedziałam. – Zapewniam, że Ekszelencja zostanie w gronie naszych najbardziej zaufanych doradców.

Przez długą chwilę patrzył mi w oczy. Nie byłam w stanie odgadnąć, co czuje – miałam wrażenie, że coś się w nim zamknęło, a jego twarz stała się nieprzenikniona. Przeraziła mnie ta nagła pustka. Wcześniej nigdy nie krył przede mną swoich emocji.

Carrillo odwrócił się i wyszedł. Nikt za nim nie zawołał. Kiedy zaczęłam wstawać, by pójść jego śladem, Ferdynand pociągnął mnie lekko za rękaw.

– Nie, niech idzie – wymamrotał. – Już go nie potrzebujemy.

Słyszałam cichnący odgłos ciężkich kroków arcybiskupa w korytarzu. Psy zaskomlały, po czym ułożyły się z powrotem na wystrzępionym dywanie przed paleniskiem. Admirał czekał, aż się odezwiemy, nie patrząc w naszą stronę. Chacón spojrział na mnie znacząco. Też zdawał sobie sprawę, że właśnie wszystko diametralnie się zmieniło.

Nagle uwolniłam się od człowieka, który sterował mną, odkąd pamiętam.

Zwróciłam się do Ferdynanda.

– Potrzebuję nowego pióra i atramentu – powiedziałam cicho, po czym usiadłam i wzięłam czystą kartę papieru.

Dokonałam wyboru.

Od teraz sami z Ferdynandem przejmujemy ster.

Rozdział dwudziesty



List, który rozesłałam, brzmiał następująco: „Jeśli pod wpływem gniewu i złych doradców Henryk odebrałby mi prawo do dziedziczenia, byłoby to wielką hańbą dla całego królestwa. Jeśli tak się stanie, król odpowie przed Bogiem za to wielkie zło, natomiast Jego Wysokość książę i ja będziemy niewinni”.

Było to bardzo śmiało stwierdzenie – po raz pierwszy sugerowałam, że Henryk stanowi zagrożenie dla kraju. W ciągu kolejnych miesięcy mój list wywołał dokładnie taką reakcję, jak przewidywał Ferdynand. Miasta i miasteczka, które wcześniej popierały Henryka albo zachowywały neutralność, przeszły na naszą stronę – mieszkańcy wywieszali na murach sztandary z naszymi splecionymi inicjałami i skandowali: „Kastylija dla Izabeli!”. Kiedy oponowałam, mówiąc Ferdynandowi, że nie chcę, by postrzegano mnie jako uzurpatorkę przywłaszczającą sobie Henrykowe prawa do tronu, on zaczął się śmiać.

– Jakie prawa? Ávila, Medina del Campo i sześć innych miast już są nasze, a dziś jadę wyrzucić urzędników de Villeny z Sepúlvedy na prośbę mieszkańców. Jak tak dalej pójdzie, do Epifanii zdobędziemy całą Kastylię.

Był w swoim żywiole: wkładał właśnie kolczugę i napierśnik, przygotowując się do zebrania wasali admirała i ludzi przysłanych z Medyny-Sidonii. Chciał przekształcić ich w skuteczne oddziały infiltracyjne. Miały one wspinać się na mury, otworzyć bramy i w środku nocy obezwładnić garnizon królewski, a wszystko przy świetle li tylko księżycy. W połowie 1472 roku kontrolowaliśmy ponad połowę z czternastu głównych miast, które były w naszym zasięgu, a na początku 1473 czuliśmy się na tyle bezpiecznie, że w końcu przeprowadziliśmy się z Dueñas do nowej wspaniałej rezydencji w Aranda de Duero niedaleko Valladolid. Kiedy zamieszkaliśmy w pałacu, nawet najbardziej oporni grandowie, którzy wcześniej zdecydowali się stanąć po stronie Henryka i jego nikczemnego faworyta, zaczęli potajemnie przysyłać nam deklaracje poparcia.

– Nic dziwnego – skomentował zgryźliwie Ferdynand. – Wiedzą, że jeśli tego nie zrobią, zrównam ich zamki z ziemią, a potem nabiję ich głowy na włócznie.

Choć nigdy nie powiedziałabym tego głośno, ta deklaracja była najlepszym dowodem na słuszność pochopnego zarzutu Carrilla, że Ferdynand nie ma pojęcia o rządzeniu Kastylią. Prześladowanie grandów było bezsensowne, a nawet niebezpieczne. Duma i ambicja to dwie strony tej samej monety dla szlachty, która przez stulecia dręczyła swoich władców, manipulowała nimi lub zupełnie ich lekceważyła. Trzeba ich zwabić i przekabacić tak, żeby się nawet nie zorientowali. W przeciwnym razie będą gryźli jak wściekłe psy, którymi poniekąd są. Obserwowałam to przez całe dzieciństwo, bezpośrednio doświadczyłam chaosu, który zasiał Henryk, próbując pogodzić rywalizujące frakcje – wpłatał się w bratobójcze walki między grandami i oparte na intrygach sojusze, tak że stał się tylko marionetką w rękach silniejszych.

Dlatego też gdy tamtego roku Ferdynand przejął kontrolę nad sprawami wojska, ja zajęłam się dyplomacją. Na pisaniu listów spędzałam niekończące się godziny, przerywając dopiero, kiedy przed zaczerwienionymi oczami pojawiały mi się mroczki, a opuszki palców zaczynały mi krwawić. Na każdą wiadomość odpowiadałam osobiście. Nigdy nie omieszkłam zapytać o stan chorego członka rodziny, pogratulować narodzin czy złożyć kondolencji.

Koniecznienie chciałam dać się poznać z dobrej strony tym aroganckim grandom, którzy równie dobrze mogli nas obalić, jak ocalić. Mała Izabela bawiła się przy mnie albo spała w wyściełanej kołysce przy ogniu, a ja pracowałam ciężiej niż kiedykolwiek przedtem. Wiedziałam bowiem, że te pozornie błahe wyrazy uznania z mojej strony, ta prosta wymiana informacji i uprzejmości mogą sprawić, że grandowie staną po mojej stronie, kiedy będę tego najbardziej potrzebowała.

Przy pracy wyobrażałam sobie rozpacz Henryka, który znów był bezsilny i musiał patrzeć, jak królestwo zwraca się przeciwko niemu. Podobno nawet de Villena rozchorował się ze zgryzoty na widok ruiny, w jaką popadł jego pałac władzy i kłamstwa. Chociaż nie cieszyło mnie fizyczne cierpienie innych, z satysfakcją stwierdziłam, że dzięki chorobie markiza będę mogła spokojnie odwiedzić matkę, nie bojąc się zatrzymania przez gorliwe patrole de Villeny. Czas płynął, a ja, zajęta pracą dyplomatyczną i opieką nad dzieckiem, zaniedbałam potrzeby własnej matki. Chociaż kiedy tylko mogłam, wysyłałam do Arévalo pieniądze i listy, odpowiedzi doña Clary przychodziły z opóźnieniem, a ich powściągliwy, raczej oficjalny ton mówił mi, że w domu nie dzieje się dobrze.

Miałam nadzieję, że Ferdynand pojedzie ze mną do Arévalo, ponieważ nie poznał jeszcze mojej matki. Został jednak niespodziewanie wezwany do Aragonii, żeby powitać delegację kardynała Borgii z naszą długo wyczekiwaną dyspensą. Kardynał miał w planach zwołanie rozmów pokojowych między Aragonią a Francją, a rozejm był nam bardzo potrzebny. Gdyby Aragonii udało się jakoś zażegnać spór ze swoim znacznie większym i bardziej agresywnym sąsiadem, moglibyśmy skierować dużo liczniejsze wojska do walki w Kastylii. Mimo wszystko była to nasza pierwsza rozłąka od czasu ślubu, która mogła trwać miesiącami. Wiedziałam, że będę bardzo tęsknić za mężem, chociaż starałam się tego po sobie nie pokazywać. Zapakowałam mu pełne torby czystych kaftanów, własnoręcznie uszytych, pocałowałam go na pożegnanie i zaczęłam snuć własne plany – myślałam, że jeśli zorganizuję sobie dużo zajęć, czas będzie płynął szybciej, a powrót Ferdynanda nastąpi wcześniej.

Nie wiedziałam, w jakim stanie jest Arévalo, więc niechętnie zostawiłam Izabelę, już prawie czteroletnią, pod opieką służby w naszej nowej rezydencji. Wyruszyłam wiosną 1474 roku w towarzystwie Inés i Chacóna oraz eskorty żołnierzy. Podróż przebiegła spokojnie, ale na miejscu okazało się, że moje obawy nie były bezpodstawne. Zastałam zamek w jeszcze większej ruinie, niż pamiętałam go z dzieciństwa. W brudnych zagrodach tłoczyły się zwierzęta, a salę reprezentacyjną przesycił zapach pleśni i dymu. Matka była wychudzona, straszliwie się postarzała, a w rozmowie zacierała granicę między przeszłością i teraźniejszością, traktując czas jak bezkresną rzekę. O Alfonsie mówiła tak, jakby jeszcze żył, a mnie czasem nie rozpoznawała – przyglądała mi się niewidzącymi oczami, które kłuły mnie w serce jak druty. Doña Clara, choć miała teraz śnieżnobiałe włosy, mimo podeszłego wieku nadal była tak energiczna jak dawniej. Poinformowała mnie, że matka rzadko opuszcza swoje komnaty i nie jeździ nawet do ukochanego klasztoru Santa Ana. Dodała, że podróżowanie w tak burzliwych czasach jest niebezpieczne i kosztowne, a matka utrzymuje się z tego, co ja od czasu do czasu przysyłam, bo de Villena w ramach zemsty na mnie wstrzymał wypłacaną jej ze skarbcza rentę.

– Czasem mamy do jedzenia tylko kurczaka, soczewicę i kilka cebul – powiedziała doña Clara.

Oburzałam się po cichu, że nawet drewno na opał – którego na suchej równinie zawsze brakowało – było aż tak ściśle reglamentowane. W zamku panował taki ziąb, że zimą powieszono u powały mięso w ogóle się nie psuło.

– Ale jakoś to znosimy, mi niña. Co innego nam pozostało? – dodała.

Kiedy siedziałam, haftując z matką i przyglądając się, jak kruchymi palcami szarpie za igłę i przebija nią materiał, dławił mnie wstyd. Nie mogłam pozwolić, by dłużej tak wegetowała,

niezależnie od tego, jak ograniczone miałam środki. Przedwcześnie stawała się niedołączona, beczynność oraz żalosne warunki, w których przyszło jej żyć, zrobiły z niej kalekę. Trzeba kupić przynajmniej nowe gobeliny, dywany, piecyki i materiały na ubrania. Zamek wymaga czyszczenia od strychu po piwnicę. Podczas gdy Chacón i żołnierze zabrali się do naprawiania płotów i zapełniania spiżarni dziczyzną, ja odłożyłam na bok dumę i napisałam do Carrilla. Nie widzieliśmy się od jego nagłego wyjazdu z Dueñas, choć wielokrotnie wysyłałam mu pojednawcze wiadomości. On jednak odrzucał je niczym, jak to ujął Ferdynand, „nadąsane sześćdziesięcioletnie dziecko”. Teraz zdecydowałam się upokorzyć, by zdobyć fundusze, których potrzebowałam. Coś w mojej prośbie musiało trafić mu do serca, bo pewnego wieczoru, kiedy przygotowaliśmy się do obiadu, Chacón wszedł i oznajmił, że przy bramie stoi człowiek, który domaga się przyjęcia.

– O tej porze?! – wykrzyknęła doña Clara, która przywykła do życia w takiej izolacji, że każdy gość stanowił w jej oczach potencjalne zagrożenie.

Pozostałe starsze kobiety wymieniły zaniepokojone spojrzenia. Zdarzało się, że buńczuczni oficerowie de Villeny wdzierali się do zamku, by je prześladować i zastraszać.

Kazałam Chacónowi zaprosić gościa do środka. Mieliśmy akurat świeżą potrawkę z zająca oraz sałatkę z suszonych jabłek i marchwi z mlekiem migdałowym, a sześć porcji zawsze można podzielić między ośmiu biesiadników. Jednak kiedy do sali weszła niewielka owinięta płaszczem postać i sięgnęła, by zdjąć kaptur, nie mogłam powstrzymać się od płaczu. Ku zdziwieniu zgromadzonych podbiegłam, by uściskać przybysza na powitanie.

– Jak to możliwe? Co ty tu robisz? – zapytałam, przytulając swoją najdroższą przyjaciółkę.

– Oczywiście wszystko przez Carrilla – odparła Beatriz, wyswobodzając się z uśmiechem. – Prosił, żebym ci to dała – wcisnęła mi do ręki skórzany woreczek pełen monet – i przekazała następujące wieści: de Villena umiera na guza żołądka, a zaręczyny la Beltranei z portugalskim władcą nie doszły do skutku. Król anulował swoje małżeństwo z królową i wysłał ją do klasztoru. Ma już dość walk. Chce się z tobą spotkać osobiście w Segovii.



Wyjechałam z Arévalo, gdy ziemię spowijały miedziane jesienne mgły. Nie chciałam pokazać, jak bardzo zależy mi na rozejmie, zbyt skwapliwie korzystając z propozycji Henryka. Wystosowałam do niego powściągliwą odpowiedź – napisałam, że zajmuję się właśnie organizowaniem opieki dla matki i jeśli chce udowodnić mi szczerą swoich zamiarów, to powinien wypłacić mi fundusze, które od dawna mi się należą. Potem czekałam. Pieniądze przyszły szybko, najlepszy dowód, że de Villena rzeczywiście jest na łożu śmierci. W jednym z listów Ferdynand radził mi jednak, żebym trzymała się z dala od Segovii, dopóki nie będę pewna, że choroba całkowicie pokonała markiza. Jego zdaniem mogła to być bowiem tylko misterna pułapka, za pomocą której chcieli mnie zwabić. Uznałam to za rozsądną radę, więc postanowiłam poczekać. Kazałam przywieźć Izabelę do Arévalo i dzięki nowo zdobytym funduszom zaczęłam odnawiać zamek.

Pomagała mi w tym Beatriz, zabawiając mnie równocześnie opowieściami o Carrillu. Podobno arcybiskup najpierw uzał się nad sobą, odgradzony od świata w pałacu w Alcali, a potem, zupełnie niespodziewanie, zaapelował do króla, zuchwale próbując wrócić do jego łask.

– Dowiedział się, że de Villena jest chory, a Henryk błąka się między Segovią

a Madrytem jak zagubiona dusza, nie mogąc się pogodzić z nieuchronną utratą faworyta. – Beatriz uniosła brwi – nigdy nie kryła swoich uczuć i teraz też nie zamierzała udawać, że żal jej de Villeny. – Henryk zgodził się z nim spotkać i razem opracowali plan ugody z tobą.

Spojrzałam na nią uważnie – mierzyłyśmy właśnie baldachim nad łóżem matki, bo chciałyśmy go wymienić.

– Przypuszczam, że ty i Cabrera nie mieliście z tym nic wspólnego?

– Tego nie powiedziałam. Prawdę mówiąc, mieliśmy z tym bardzo dużo wspólnego. To mój mąż doręczył list Carrilla królowi, po tym jak przez długie miesiące leżał na stosie zapomnianej korespondencji tak wysokim jak sam zamek. A kiedy zdołał przekonać Henryka, żeby zobaczył się z arcybiskupem, ja wkroczyłam do akcji. – Zrobiła efektowną pauzę. – Powiedziałam królowi, że jeśli zawrze z tobą rozejm, to przywróci pokój w Kastylui, że królestwo będzie „niczym drzewo, którego wysuszone gałęzie znów się zazielenią i już nigdy nie zwiędną”.

– Naprawdę tak powiedziałaś? – Nie mogłam się nie uśmiechnąć. – Nie przypuszczałam, że jesteś poetką.

– Wszystko dla mojej księżniczki – odparła cierpko, po czym popatrzyła mi w oczy i obie wybuchnęłyśmy śmiechem, co przestraszyło siedzącą przy oknie Izabelę.

– Tak bardzo za tobą tęskniłam – powiedziałam, ocierając załzawione od śmiechu oczy. – Nie wiem, jak wytrzymałam tak długą rozłąkę.

– Najważniejsze, że wytrzymałaś – odparła. – Masz śliczną córeczkę i tę oto señoritę – spojrzała dobrotliwie na Inés, która rozkładała właśnie nowy adamaszek – jako nową pomocnicę, że już nie wspomnę o twoim walecznym księciu, który broni cię tarczą i mieczem.

– Tak – odparłam cicho. – Rzeczywiście mam szczęście.

Choć przyjaciółka była piękna jak dawniej, odkąd wyszła za mąż, zrobiła się pulchniejsza. Też sprawiała wrażenie szczęśliwej, ale zdałam sobie sprawę, że chociaż od dawna jest mężatką, nie doczekała się jeszcze dziecka. Nie sądziłam, że to z nią jest coś nie tak. Gdy para nie miała potomstwa, o bezpłodność oskarżano zazwyczaj kobietę, ale Beatriz była okazem zdrowia o rumianych policzkach i z błyskiem w oku. Uznałam, że powodem może być wiek Cabrery – być może tak jak kobiety, mężczyźni po pewnym czasie też tracą płodność.

– O czym myślisz? – zapytała, przerywając moje spekulacje.

– O tym, jak się cieszę, że jesteśmy razem – odparłam, a ona rzuciła mi przenikliwe spojrzenie, jakby potrafiła przejrzeć mnie na wylot.

Nie odezwała się jednak, tylko schyliła i porwała zachwyconą Izabelę w ramiona. Moja córka od razu polubiła Beatriz, którą nazwała tía* Bea, a po twarzy przyjaciółki widziałam, że też bardzo przywiązała się do mojego dziecka. Trudno było wyobrazić sobie lepszą matkę – nawet opiekując się mocno posuniętym w latach, schorowanym señorem Bobadillą, który był teraz przykuty do łóża i któremu nie zostało już wiele czasu, wykazywała się stoicką cierpliwością i zawsze, nawet w środku nocy, była gotowa spieszyc mu z pomocą. Miałam nadzieję, że może jeszcze uda jej się urodzić.

Na początku listopada, niedługo po tym, jak pochowaliśmy don Pedra, a Beatriz rozpoczęła żałobę, w końcu przyszła wiadomość o śmierci de Villeny. Mój najzacieklejszy wróg, który prześladował mnie od śmierci brata i który zdradził bądź oszukał każdego, z kim miał do czynienia, w końcu umarł. Skonał w wielkich męczarniach, zjedzony żywcem przez chorobę żołądka, ale trudno było mi wykrzesać dla niego nawet odrobinę współczucia. Teraz, kiedy markiza już nie było, nie musiałam się martwić, że jego jadowity język i zawile intrygi obróć Henryka przeciwko mnie. W końcu mogłam swobodnie odbudować dobre stosunki z przyrodnim bratem i zakończyć kryzys sukcesyjny w Kastylui.

Wysłałam pilną wiadomość do Ferdynanda. Odpowiedzi mogłam spodziewać się

najwcześniej za dwa, trzy tygodnie, więc pożegnawszy się z matką, opuściłam jej strzeżony przez nowy garnizon zamek. Zawiozłam Izabelę do Arandy de Duero, a potem razem z Beatriz pojechałam do Segovii. Choć czułam się teraz dużo pewniej, nadal bałam się zabierać córkę na dwór królewski.

Kiedy zamek pojawił się na horyzoncie – surowy i wbijający się niczym kiel w ołowiane zimowe niebo – nagle ogarnął mnie niepokój. Od siedmiu lat nie postawiłam stopy w Segovii. Nie miałam miłych wspomnień z niewoli w ozdobnych komnatach tej twierdzy. Teraz, jako dorosła, dwudziestotrzyletnia kobieta i matka znów stanęłam u jej bram.

Odwróciłam się w stronę Beatriz i w jej spokojnych oczach zobaczyłam zrozumienie.

– Nie martw się, Andrés wszystko przygotował razem z rabinem Abrahamem Seneorem. Będziesz bezpieczna.

Poznałam rabina podczas poprzedniego pobytu na zamku. Był erudytą, żydowskim uczonym, którego Henryk zawsze bardzo cenił, mimo że de Villena i inni przeciwnicy sefardyjskich wpływów na dworze starali się mu zaszkodzić. Don Abraham pełnił funkcję głównego poborcy podatkowego króla. Stanowił też nieocenioną pomoc dla Cabrery, który usilnie strzegł skarbcza i klejnotów koronnych. Skoro rabin miał być jedną z podejmujących mnie osób, mogłam być pewna, że nic mi nie grozi. Kiwnęłam więc tylko głową i skierowałam Canelę na główny dziedziniec, gdzie czekały na mnie setki ludzi.

Zaczął padać lekki śnieg, który przypudrował czapki z piórami i wykwinne aksamity kłaniających mi się dworzan. Podkowy Caneli stuknęły o bruk, a metaliczny dźwięk rozniósł się echem po placu. Kiedy niepewnie przejechałam wzrokiem po morzu anonimowych twarzy, ogarnął mnie strach. Co, jeśli Beatriz się myliła? Jeśli mimo wszelkich zapewnień Henryk będzie próbował mnie uwięzić?

Potem zauważyłam postać stojącą samotnie wśród tłumu dworzan – słup czerni z odwiecznym czerwonym turbanem.

Gdyby nie nakrycie głowy, nigdy bym go nie rozpoznała. Kiedy z pomocą Chacóna zsiadłam z konia i podeszłam do króla, musiałam maskować przerażenie na widok skrajnego wychudzenia Henryka. Miał pożółkłą twarz i ostre, wystające kości policzkowe. Jego oczy były smutne, matowe, podbite głębokimi cieniami – oczy człowieka pograżonego w żalobie, który widział już dno rozpacz. Zamrugałam powiekami, by odpędzić cisnące się łzy, po czym ukloniłam się królowi, wzięłam jego rękę z sygnetem i podniosłam ją sobie do ust.

– Majestad – powiedziałam – czuję się zaszczycona, że znów mogę być w waszej obecności.

Henryk się nie odezwał. Podniosłam wzrok roztrzęsiona, zastanawiając się, czemu nie każe mi wstać. Czy wezwał mnie tylko po to, by upokorzyć mnie przed swoim dworem? Wlepiał we mnie piwne oczy i wcale nie krył się z tym, że są wilgotne. Łzy, które zaczęły płynąć mu po twarzy, mieszały się z płatkami śniegu opadającymi z turbanu, a usta króla drżały. Milczał, bo nie był w stanie nic powiedzieć. Emocje, które tak długo tłumił, teraz wzięły nad nim górę.

Nie czekałam na pozwolenie, tylko wstałam i wzięłam go w ramiona, nie przejmując się tym, co pomyślą grandowie. W tej chwili liczyło się wyłącznie to, że w naszych żyłach płynie ta sama krew. Byliśmy rodziną, bratem i siostrą.

– Hermano – wyszeptalam, tak żeby tylko on mógł mnie usłyszeć – bardzo mi przykro.

Czułam, że tłumy szloch. Jego wynędzniałe ciało przylgnęło do mojego. W końcu odezwał się cicho, jakby z dziecięcym przerażeniem:

– Nie, to moja wina. Moja. Jestem przeklęty. Niszczę wszystko, czego się tknę...

Odbyliśmy konno uroczysty przejazd ulicami miasta, by pokazać poddanym, że panuje między nami zgoda. Zareagowali z ogromnym entuzjazmem – wymachiwali proporcami

i pokrzykiwali z aprobatą. Kiedy pociemniało, zapalili pochodnie, a śnieg wokół zamienił się w strugi wody.

Po powrocie do zamku zjedliśmy kolację w wielkiej złoczonej sali. Siedziałam z Henrykiem na podwyższeniu górującym nad wypolerowanym parkietem i przepelnionymi stołami, jakby nic się między nami nie stało, a wieloletni konflikt nigdy się nie wydarzył. Królowi jak zwykle usługiwał jakiś młodzieniec – zawsze miał wokół siebie pięknych chłopców o łagodnych oczach i wyperfumowanych dłoniach, którzy podawali mu talerze, napełniali jego czarękę i kroili mu mięso. Za Henrykiem nieodmiennie stała jego mauretańska straż, wyniosła i wyposażona w bułaty. Aby dopełnić ten dziwny obrazek z przeszłości, brakowało tylko odzianej w ekstrawagancką czerwień, powszechnie krytykowanej teraz królowej.

Nie wszystko było jednak takie, jakie się wydawało. Wyczuwałam, że w Henryku zaszła głęboka zmiana. Chociaż siedział na tronie jako król, a przy boku miał mnie, czyli swojego prawowitego dziedzica, miałam wrażenie, że jest osamotniony. Przyglądał się dworzanom – grandom i drobnym szlachcicom, którzy pili jego wino i raczyli się jego jedzeniem, udając uległość, nawet kiedy lustrowali nas niczym drapieżnicy – a na jego twarzy malowały się wyłącznie znużenie i obojętność, zupełnie jakby oglądał pantomimę, która już nic dla niego nie znaczy.

W końcu zapytałam, czy mogę udać się na spoczynek. Byłam zmęczona po całym dniu. Kiedy całowałam go w policzek, wymamrotał:

– Jutro porozmawiamy, tak? Mamy tyle do omówienia, tyle do zrobienia... – Zamilkł.

Wydawał się jeszcze głębiej zatopiony w myślach, jakby najbliższe dni miały stanowić ciężką próbę, a on nie był pewien, czy przejdzie ją pomyślnie.

– Mamy czas – odparłam. – Mój mąż dotychczas nie przyjechał, być może będzie musiał spędzić w Aragonii jeszcze długie tygodnie. Nie ma powodu do pośpiechu. Nacieszmy się najpierw naszym spotkaniem, dobrze?

Już wypowiadając te słowa, poczułam w sercu bolesne ukłucie. Nagle ogarnęła mnie fala tęsknoty za Ferdynandem – chciałam, by przy mnie był, pragnęłam zobaczyć jego twarz, poczuć jego dotyk, dowiedzieć się, czy stanie za mną murem niezależnie od tego, jakim intrygom będę musiała sprostać.

Znękane oblicze Henryka powiedziało mi, że on żywił takie same uczucia do markiza.

Uśmiechnął się do mnie blado.

– Tak, czemu nie? Cieszymy się.

Następnie sięgnął po czarękę i opróżnił ją jednym haustem. Podczaszy pospieszył, by dolać królowi wina, a ja nie miałam wątpliwości, że – sądząc po żółtym odcieniu jego skóry – Henryk zamierza upić się do nieprzytomności. I że robił to regularnie od śmierci de Villeny.

Kiedy szłam wśród tłumu w stronę wyjścia, niespodziewanie ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. Inés dołączyła do mnie przy drzwiach i zostałyśmy odprowadzone do mojego apartamentu, zbyt wąskich i pełnych przepychu komnat, które wcześniej zajmowała Joanna. Przez całą drogę zastanawiałam się, czy częściowo nie ponoszę winy za żalostny stan Henryka. Być może gdybym była bardziej sumienna, mniej uparta i konfrontacyjna? Może gdybym otoczyła go siostrzaną miłością i współczuciem, a nie buntowała się przeciw niemu, nie skończyłby tak tragicznie? Może zwróciłby się o pomoc do mnie, a nie zaufał zachłannemu markizowi, którego śmierć doprowadziła go do takiej rozpacz...

Z zamyślenia wyrwał mnie okrzyk Inés. Stała jak sparaliżowana na progu mojej komnaty audiencyjnej i przyglądała się widmowej postaci, która zdawała się unosić nad wyłożoną malowanymi płytkami posadzką. Kilka zapalonych świec, które zamiast oświetlać, zaciemniały pomieszczenie, czyniło przybysza jeszcze bardziej bezcielesnym.

Skłonił wygoloną na czubku głowę.

– Wasza Wysokość, przepraszam za najście. – Mówił niskim, stłumionym głosem. W półmroku jego blade oczy były nieprzeniknione, jak u wilka.

– Fray Torquemada – powiedziałam i położyłam rękę na bijącym jak szalone sercu. Przez przerażający moment myślałam, że to zabójca przebrany za dominikańskiego mnicha, pośmiertna zemsta de Villeny. – Przestraszył nas brat. Nie spodziewałam się tu gości, nie o tej porze.

– Jak mówiłem, przepraszam za najście. To, co chcę Jej Wysokości powiedzieć, nie może czekać.

Wpatrywał się w nas, w ogóle nie mrugając, co wyraźnie przestraszyło Inés – trzęsły jej się ręce, kiedy zapalała dodatkowe świece. W ich blasku zobaczyłam, że Torquemada jest chorobliwie blade i wychudzony, niczym pustelnik, który od wielu tygodni nie widział słońca.

Pokazałam Inés, żeby poszła do sypialni. Nie powinnam zostawać sama z mężczyzną, który nie jest moim mężem. Gdyby nie to, że należał do kleru, natychmiast bym go odprawiła, niezależnie od tego, jak ważne wieści przyniósł. Torquemada był jednak moim spowiednikiem, pomógł mi, kiedy zwątpiłam w małżeństwo z Ferdynandem, i nie stanowił dla mnie zagrożenia. Obojętnie, czyje komnaty odwiedzał i o której godzinie, nikt nigdy nie zakwestionuje, że dochował celibatu.

Mimo wszystko, by podkreślić, że ta wizyta jest wielce nieestosowna, nie usiadłam ani nie zachęciłam go, by to zrobił. Powiedziałam tylko:

– Ta wiadomość rzeczywiście musi być bardzo pilna. Dopiero przyjechałam. Gdyby brat trochę poczekał, zapewniam, że znalazłabym odpowiedni czas i dogodnie miejsce na rozmowę.

– Nie ma czasu na czekanie – odparł. – Przysłał mi do was Bóg, bo odpowiedni moment nastanie lada chwila. Wkrótce Wasza Wysokość będzie dzierżyć w ręce berło i wasza chwalebna misja zostanie ujawniona.

Ciarki przeszły mi po plecach. Torquemada mówił jak jeden z tych okropnych wróżbitów, którzy często czaili się na dworze, sprzedając talizmany i twierdząc, że znają przyszłość.

– Proszę, niech brat mówi prościej – powiedziałam. – Jestem zmęczona. To był długi dzień.

Zbliżył się o krok. Ze zdziwieniem zauważyłam, że spod wystrzępionego habitu wystają bosa stopy, sine z zimna i pokryte krwawymi strupami. Pewnie z klasztoru do zamku przeszedł bez sandałów. Znów zadrżałam.

– Bóg ofiarował wam Ferdynanda – powiedział uroczyście Torquemada. – Wysłuchał waszych błagań i dał wam ziemską miłość, której tak bardzo pragnęliście. Dał wam siłę, by sprostać wszelkim wyzwaniom i pokonać wszystkich wrogów. W zamian jednak musicie mu służyć. Wypełnianie woli boskiej musi być dla was najważniejsze. Bóg domaga się, byście byli jego królową na ziemi.

Zamilkł, a jego słowa wybrzmiewały złowieszczo w zamkniętej komnacie. Z trudem przełknęłam ślinę, bo nagle zupełnie zaschło mi w gardle. Dlaczego on to do mnie mówi? Czyżby oskarżał mnie o brak pobożności?

– Zapewniam brata, że służę Stwórcy. Codziennie – oświadczyłam. – Jestem jednak tylko marnym sługą...

– Będziecie kimś więcej niż tylko sługą – przerwał mi.

Instynktownie chciałam się odsunąć, kiedy się ku mnie nachylił – miałam wrażenie, że oczy tłą mu się w trupiej twarzy. Udało mi się jednak powstrzymać.

– Wasza Wysokość nie wyprze się tego, że też widziała znamię szatana na naszym przeklętym królu. Henryk jest skazany na potępienie, śmierć już się do niego zakrada. Obraził Wszchemocnego swoją perwersją, tym, że porzucił ścieżkę prawości i folgował swojej grzesznej

naturze. Ale wy – zrobił kolejny krok w moim kierunku, tak że czułam stary dym świec, którym przesiąkł jego habit – wy jesteście jego wybranką. To w was płonie boże światło, was wypełnia boży gniew. Tylko wy jesteście w stanie wyrwać to królestwo ze szponów diabła i odbudować je w świętości. Tylko wy dzierżycie miecz, którym można przebić serce zła pustoszącego nasze ziemie.

Znieruchomiałam i nie potrafiłam oderwać od niego wzroku.

– Zapowiadanie śmierci króla jest zdradą – powiedziałam bez zastanowienia.

– Ja nie przewiduję. – Podniósł kościsty palec, jakby zamierzał mnie zbesztać. – Jestem prochem, tak jak wszyscy ludzie, nawet król. Umrze i wy obejmiecie rządy. Musicie przyrzec, że oczyścicie Kastylię z zepsucia, wykorzenicie wszelkie jego przejawy i wrzucicie je w głąb otchłani. Na waszą duszę.

– Jakie zepsucie? – zapytałam szeptem, choć dobrze znałam odpowiedź i napawała mnie ona przerażaniem. – O co... o co bratu chodzi?

Spojrzał mi w oczy.

– O herezję. Czai się wszędzie. Przeniknęła wszystkie skały, wody i ziemie w tym królestwie. Skrywa się w roześmianym dziecku, kobiecie czerpiącej wodę ze źródła i mężczyźnie jadącym na osle, który mija was na ulicy. Jest w powietrzu, którym oddychamy. W fałszywych chrześcijanach, którzy przyjmują świętą hostię, a potem wypluwają ją z obrzydzeniem, którzy udają, że modlą się w naszym Kościele, a potajemnie praktykują judaizm. To oni są jątrzącą się raną Kastylii, oni są kończyną, która jest powodem grzechu, chorym członkiem, który trzeba uciąć i spalić, aby oczyścić jedyną prawdziwą wiarę.

Mówił o przechrztach, żydach, którzy przeszli na katolicyzm. W Kastylii były ich tysiące – wielu przyjęło chrzest w czasie masowych nawróceń w 1391, po straszliwej fali antyżydowskich rozruchów. Zawierali małżeństwa z chrześcijanami, wychowywali dzieci w naszej wierze. Beatriz i Andrés Cabrera mieli przechrztów wśród przodków, podobnie jak wielu kastylijskich możnych. Czystość krwi była abstrakcją, prawie nikt w królestwie nie mógł stwierdzić, że może się nią poszczycić.

– Chce brat, żebym prześladowała swoich poddanych? – zapytałam z niedowierzaniem.

– To nie jest prześladowanie, jeśli działa się w imię Boga. Są nieczyści i fałszywi. Kalają Kościół swoimi żmijowymi językami. Udają, że oddają cześć Świętej Dziewicy, ale to wszystko kłamstwo. Zawsze kłamią. Trzeba ich zdemaskować. Zrobić z nimi porządek. Wyeliminować ich.

Zapomniałam się i zaczęłam się gorzko śmiać.

– Ale oni stanowią ponad połowę moich poddanych! Sama mam domieszkę krwi żydowskiej, Ferdynand też. Zaiste, brat sam jest potomkiem przechrztów. Wszyscy zatem jesteśmy fałszywi?

Torquemada miał kamienny wyraz twarzy. Kiedy się odezwał, w jego głosie słyszałam coś silniejszego niż nienawiść. Nie potrafiłam tego nazwać, bo nigdy tego nie odczułam i miałam nadzieję, że nigdy czegoś takiego nie poznam.

– Pozwólcie, że wam udowodnię, jak bardzo się mylicie – odparł.

Przyglądałam mu się w ciszy. Potem uniosłam brodę.

– Jest brat bardzo zuchwały. Nie jestem jeszcze królową i z bożą pomocą jeszcze długą nią nie zostanę, bo to oznaczałoby dla mnie stratę jedynego brata, jaki mi pozostał. A nawet gdyby moja koronacja miała się odbyć jutro, za nic w świecie nie dopuszczę do prześladowania moich poddanych.

– To wasz obowiązek. – Jego oczy były chłodne, zupełnie bez wyrazu. – Nie możecie dopuścić, by herezja kwitła pod waszymi rządami. Z woli Boga spotka was wielki zaszczyt, a to

zawsze pociąga za sobą wielką odpowiedzialność.

Jak on śmiał przypominać mi o obowiązkach po tym wszystkim, co przeszłam, by bronić swojego prawa do ich wypełniania? Chciałam, żeby natychmiast wyszedł. Jego zaciekłość i arogancja budziły we mnie odrazę. Dopiero wróciłam do Segovii. Henryk był pogrążony w żałobie i bardzo chory, a ja przebywałam sama, bez zaufanych doradców, odizolowana od męża i dziecka, na dworze, na którym nigdy nie czułam się bezpieczna. Jak on mógł nakładać na mnie taki ciężar?

– W pełni zdaję sobie sprawę ze swoich obowiązków – oświadczyłam ostro. – I obiecuję, fray Torquemada, że herezja nie będzie kwitła, jeśli to ja zasiądę na tronie. Nie zamierzam wszelako karać niewinnych. To moje ostatnie słowo.

Schyliłam głowę z szacunku dla jego duchowej wyższości.

– A teraz musi mi brat wybaczyć, ale już dawno powinnam była się położyć.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyłam w kierunku sypialni. Kiedy przekręcałam gałkę, odwróciłam się za siebie. Już wyszedł, drzwi na korytarz były zamknięte, a stojąca nieopodal nich świeca paliła się jednostajnie, jakby duchowny, wychodząc, nawet nie poruszył powietrza, jakby Torquemady w ogóle tu nie było.

„To wasz obowiązek... Z woli Boga spotka was wielki zaszczyt... To zawsze pociąga za sobą wielką odpowiedzialność”.

Zadrzałam, po czym weszłam do ciepłej sypialni. Inés już przygotowała mi posłanie, rozpałała w piecykach i czekała na mnie z koszulą nocną i szczotką w ręku.

Choć usilnie starałam się wyrzucić z pamięci słowa Torquemady, przyłgnęły do mnie jak cień.

* Tía (hiszp.) – ciocia (przyp. tłum.).

Rozdział dwudziesty pierwszy



Następne kilka tygodni wypełniły męczące uroczystości, wystawne kolacje i wycieczki. Chociaż Henryk wyglądał na wycieńczonego, koniecznie chciał hucznie uczcić nasze pojednanie, więc mieliśmy zaplanowaną każdą godzinę każdego dnia. Ciepło odziani chodziliśmy na msze do katedry, odwiedzaliśmy pałace ważnych szlachciców, słuchaliśmy chórów dziecięcych w przytułkach dla sierot i spotykaliśmy się ze znamienitymi kupcami. Co wieczór zakładaliśmy ciężkie regalia i uczestniczyliśmy w dworskich ucztach, jakby samo to, że pokazujemy się razem i dzielimy stół, miało zdusić wszelkie intrygi, które knuli potajemnie grandowie.

Unikałam tylko kontaktów z doradcą Henryka. Chociaż Carrillo przyjechał na dwór i niczym ponury olbrzym przyglądał się wszystkim naszym działaniom, ograniczyłam się do wymieniania z nim uprzejmości. Pewnego wieczoru nie wytrzymał i zapytał mnie opryskliwie:

– Zamierzasz skłonić go, żeby ogłosił cię następcą, zanim zapije się na umór? Jeśli nie, to daj mi znać, żebym mógł wracać do siebie. Tylko dlatego zorganizowałam wam to spotkanie.

Spojrzałam na niego znacząco.

– O ile mi wiadomo, nigdy oficjalnie nie pozbawił mnie prawa do tronu. Joanna la Beltraneja została uznana za bękartą, a królowa jest w klasztorze. Mianował mnie już swoją dziedziczką w Guisando. Poza tym – dodałam, a Carrillo się skrzywił – nie ma ze mną Ferdynanda. Nie będę nic ustalać pod nieobecność męża.

Uśmiechnął się złośliwie.

– A, tak. Słyszałam, że twój mąż nadal jest w Aragonii i próbuje rozwiązać drażliwą kwestię zarzutów ze strony Francuzów – choć wygląda na to, że Borgia w końcu dostarczył obiecaną dyspensę. Wierzę, że wkrótce będziemy cieszyć się towarzystwem księcia Ferdynanda. Sprawy jego królestwa może i są ważne, ale dla nas najważniejsza jest przyszłość kastylijskiej Korony, prawda?

Zacisnęłam zęby i powstrzymałam się od komentarza. Carrillo miał niemal nadludzki dar tropienia niezgody, a ja nie zamierzałam informować go, że podzielam jego opinię. Prawdę mówiąc, niewiele wcześniej dostałam od Ferdynanda list, który bardzo mnie zaniepokoił. Mąż pisał, że rozejm zawarty po jego ostatnim zwycięstwie nad Francuzami okazał się krótkotrwały, bo gdy tylko przestał ich pilnować, wrogowie natychmiast wznawiali ataki. Zamiast prowadzić pertraktacje pokojowe, znów musiał wrywać kluczowe aragońskie posiadłości z rąk Francuzów, więc nie wiedział dokładnie, kiedy będzie mógł przyjechać. Tymczasem ostrzegał mnie tylko, żebym nie zawierała żadnych układów z Henrykiem ani nie powierzała naszych spraw arcybiskupowi. „Carrilla nie obchodzą nasze interesy – pisał. – Chce tylko przypodobać się królowi i znów zacząć tobą manipulować”.

Uraziły mnie jego oschły ton i brak wiary w moje umiejętności. Odpisałam, że jak do tej pory sama doskonale troszczyłam się o swoje sprawy i nie ma powodu, bym powierzała je Carrillo ani komukolwiek innemu. Poprosiłam też, by jak najszybciej uporał się z sytuacją w Aragonii, bo jest potrzebny tutaj. Choć starałam się ukryć niepokój, musiał być widoczny na mojej twarzy, bo arcybiskup zaczął uśmiechać się jeszcze złośliwiej, uradowany moim milczeniem. Doskonale zdawał sobie sprawę, że czuję się samotna z dala od nowej rodziny i na

łasce króla o dziwnych upodobaniach.

Bo w istocie były dziwne. Wypijanie ogromnych ilości wina – po prawie całkowitej abstynencji przez całe życie – sprawiło, że Henryk stał się pośmiewiskiem. Pod koniec uczył belkotał, krążył między dworzanami, ciągnąc za sobą świtę Maurów oraz paziów, i spoufalał się z ludźmi o niskim statusie. Był bardzo hojny wobec aspirujących faworytów – wszystkich obdarowywał prezentami, szczególną uwagę poświęcając jednak synowi de Villeny. Przystojny i rozpustny Diego, który odziedziczył po ojcu tytuł i ziemię, wkrótce stał się dla mnie powodem do zmartwień. Kiedy siedziałam wyprostowana na podwyższeniu i przyglądałam się, jak Henryk paraduje z młodym de Villeną, przypomniał mi się okres straszliwej niewoli, gdy jako bezbronna infantka nie miałam żadnego wpływu na swoją przyszłość.

Tęskniłam za zamkiem w Arandzie, swoimi przedmiotami i służącymi. Nienawidziłam pozłacanej dworskiej obłudy, gorączkowych szeptów i nieustannych knowań, od których alkazar syczał jak gniazdo żmij. Dotkliwie brakowało mi mojej małej Izabeli, rozłąka sprawiała mi niemal fizyczny ból. Najbardziej jednak tęskniłam za Ferdynandem. Gdy siedziałam, przyglądając się, jak mój przyrodni brat i jego nowy przyjaciel robią pośmiewisko z miłości, niemal czułam na sobie ręce męża, który podnosi mi spódnice, a potem razem opadamy roześmiani na łożo. Kiedy wznagało się we mnie pożądanie, zaciskałam mocno pięści i przypominałam sobie, że nie czas teraz dać się zmóc namiętności.

Tamtej nocy wpadłam w takie przygnębienie, że byłam gotowa spakować się i opuścić Segowię w godzinę. Od zamiaru odwołała mnie dopiero Beatriz, która wymogła na mnie obietnicę, że zostaniemy przynajmniej do Epifanii.

– Musisz za wszelką cenę umocnić swoją pozycję – powiedziała. – Pamiętaj, że nie po to tak długo się starałaś, żeby teraz wszystko zaprzepaścić z powodu złości.

Choć niechętnie jej słuchałam, wiedziałam, że ma rację. Przez tyle lat walczyłam o prawo do tytułu dziedziczki Kastylji, poślubienia mężczyzny, którego wybrałam, i życia zgodnie w własnym uznaniem, że nie mogłam teraz zrezygnować i uciec tylko dlatego, że tęsknię za domem. Powoli zaczęłam jednak tracić współczucie dla Henryka. Bałam się, że brakuje mi chrześcijańskiego miłosierdzia, więc spędzałam długie godziny, klęcząc w kaplicy. Wiedziałam, że król zasługuje na litość. Nadal opłakiwał śmierć de Villeny i jak wielu z nas szukał pocieszenia w nieodpowiednim miejscu. Nie byłam jednak w stanie pogodzić się z tym, że oto rodzi się nowy faworyt, który znów utrudni mi życie, bo zdradliwość swego ojca ma we krwi. Nie mogłam też pojąć, jak Henryk, który tyle wycierpiał z powodu folgowania swoim skłonnościom, mógł tak niewiele się nauczyć.

Grudzień przyniósł porywiste wiatry i śnieg, który okrył alkazar białym całunem. Podczas gdy dworzanie tańczyli, ja zmuszałam się do uśmiechu, nie dając po sobie poznać, jaką odrazę wzbudza we mnie widok Henryka – król leżał na wyściełanej kanapie pod baldachimem obok młodego Diego de Villeny na wyszywanych koralikami poduszkach i karmił go pikantnym mięsem kuropatwy. Widziałam, że wszyscy im się przyglądają, a Carrillo krzywi się z obrzydzeniem. Zastanawiałam się, ile jeszcze czasu upłynie, zanim któryś z grandów oświadczy, że ma już dość tego gorszącego zachowania, i wiedziony zazdrością, dumą lub oburzeniem dobędzie miecza, tak jak kiedyś sam de Villena.

Pewnego pamiętnego wieczoru, kiedy po posiłku Henryk jak zwykle rozpoczął libację, a ja wstałam, by udać się do swojej komnaty, zapadła nagle cisza. Podniosłam wzrok i zobaczyłam zdumienie na twarzy Beatriz. Następnie jej mąż, Cabrera, ruszył przez parkiet w kierunku niby-namiotu, który Henryk kazał ustawić sobie w alkowie.

Król leżał zgięty wpół na poduszkach, zdenerwowany Diego de Villena klepał go po plecach, jakby władca się zakrztusił. Tylko Cabrera pospieszył mu z pomocą. Kiedy zakasałam

suknię, żeby móc szybciej biec, a dworzanie jeden po drugim odsuwali się pod ściany, zobaczyłam Carrilla stojącego samotnie przy kredensie z czarką w dłoni i zamyślonym wyrazem twarzy.

Henryk dyszał i wił się na posłaniu. Cabrera zapytał szybko:

– Co jadł? Gdzie jego półmisek?

Kiedy się zbliżyłam, trupio blady Henryk wstał i wyszeptał:

– Czemu właśnie teraz? Czemu, skoro wkrótce dałbym ci to wszystko? – Potem się skrzywił i znów zgiął się wpół. Wydał z siebie długi jęk, a z ust pociekła mu krwawa piana. Opadł na kolana, zawodząc: – Boli. Boże, ulituj się. Piecze!

Kiedy zaczęłam się nad nim nachylać, młody de Villena wyciągnął rękę i syknął:

– Zostaw go. To twoja robota. Zrobiłaś to, żeby ukraść jego tron.

Uklęknął i wziął wijącego się króla w objęcia.

Już miałam zaprotestować, przerażona jego oskarżeniem, ale zanim zdążyłam się odezwać, poczułam na ramieniu dłoń ściskającą mnie jak imadło i usłyszałam głos Carrilla:

– Chodź. Natychmiast.

Henryk jęknął. Obok stał bezsilny Cabrera. Spojrzałam w jego smutne oczy i powiedziałam:

– Będę czekać na wiadomości.

Kiwnął głową. Wiedziałam, że dopóki on będzie we wszystko zaangażowany, nikt mnie oficjalnie nie oskarży. Kiedy jednak odwróciłam się do swoich towarzyszek, które czekały wśród dworzan, miałam wrażenie, że znów słyszę straszliwe słowa młodego de Villeny.

Oni wierzyli, że ja to zrobiłam.

Wierzyli, że otrułam własnego brata.

Cabrera przyszedł do mnie kilka godzin później. Czekając na niego, cały czas krążyłam gorączkowo po komnacie i zapewniałam Beatriz oraz Inés o swojej niewinności.

– Jego Wysokość ma się trochę lepiej – powiedział zmęczonym głosem, a Beatriz wstała, by przynieść mu czarkę wina. – Przenieśli go do prywatnej komnaty, by odpoczął, ale de Villena uparł się, że nie mogą tu zostać. Wyruszyli do Madrytu.

Przyglądałam mu się z niedowierzaniem.

– Ale przecież on jest chory, a podróż do Madrytu to prawie cały dzień na bardzo wyboistej drodze. Czy oni postradali zmysły? Gdzie jest Carrillo? Jak mógł do tego dopuścić? Jak obaj mogliście na to pozwolić?

– Wasza Wysokość, sam król kazał osiodłać sobie konia. Nie chciał słuchać żadnego odradzania.

– Madryt należy do markizatu de Villeny – powiedziałam, zwracając się do Beatriz. – Zbiorą przeciwko mnie ludzi. Dopomóż nam, Panie. To wszystko wina Diego de Villeny – jest taki sam jak ojciec. Zatruje wszelkie porozumienie, jakie udało mi się zbudować z Henrykiem.

Dając upust swoim żalom i obawom, wypowiedziałam to jedno słowo, którego nigdy nie powinnam była mówić na głos. Reakcją na mój wybuch była niezręczna cisza. Zwróciłam się znów do Cabrery:

– Znasz mnie, odkąd przyjechałam tu jako mała dziewczynka. Z pewnością nie wierzysz, że mogłabym... że byłabym zdolna...

Pokręcił głową.

– Wszyscy wiemy, że młody de Villena chce omotać króla tak jak wcześniej jego ojciec i że obawia się sympatii, jaką darzy was Jego Wysokość. Nie martwiłbym się tym. Cokolwiek zostało powiedziane podczas uczy, nie może być traktowane poważnie. Król był wtedy niespełna rozumu. Jego zdrowie jest jednak poważnie zagrożone.

Zamilkł. Widziałam, że wymienia z Beatriz znaczące spojrzenia. Potem dodał:

– Nie chcieliśmy kłopotać tym Waszej Wysokości, ale jednym z głównych powodów, dla których tak zabiegaliśmy o zgodę między wami, jest kondycja króla. Od wielu miesięcy cierpi na chorobę żołądka, bardzo podobną do tej, którą miał de Villena: król wymiotuje krwią i krwawi z odbytu. Nie pomagają mu ignorowanie zaleceń medyków, którzy ostrzegają, że nadmiar wina, mięsa, jazda konna i... inne ekscesy tylko pogarszają jego stan.

Poczułam ogromną ulgę. Choroba – Henryk był chory. Nie został otruty.

Później zamarłam.

– Czy to znaczy...?

Cabrera popatrzył mi w oczy.

– Możliwe, że właśnie teraz umiera. Nie przebywa już w Segovii, więc nie możemy się o niego zatroszczyć. Wasza Wysokość, musimy się przygotować. Jeśli on...

Podniosłam dłoń, by go uciszyć, i oszołomiona odwróciłam wzrok. Podeszłam do wąskiej ambrazury, przez którą za dnia można było dojrzeć wartownię. Teraz widziałam tylko wirujące w ciemności płatki śniegu. Wpatrując się w pustkę, miałam przed oczami udręczoną twarz przyrodniego brata w tej strasznej chwili, kiedy ugięły się pod nim nogi.

„Czemu właśnie teraz? Czemu, skoro wkrótce dałbym ci to wszystko?”

Sądziłam, że było to oskarżenie pod moim adresem, ale myliłam się. Od wielu miesięcy zdawał sobie sprawę, że jest śmiertelnie chory. Zgodził się ze mną spotkać nie tylko z powodu rozpaczki po śmierci de Villeny. W głębi serca wiedział, że jego czas dobiega końca, podobnie jak ja wiedziałam, że czas, na który sama tak długo czekałam, o który walczyłam i w którego imię cierpiałam, wkrótce nastanie. W tak doniosłym momencie byłam sama, z ledwie garstką zaufanych przyjaciół. Ferdynand przebywał setki mil stąd, w swoim ogarniętym wojną królestwie, podczas gdy niedługo miała nastąpić najważniejsza chwila w moim życiu. Znów zamarzyłam, ogarnięta wielką tęsknotą, by przy mnie był. W tej właśnie chwili samolubnie pozwoliłabym Francji opanować Aragonię, jeśli dzięki temu mąż znalazłby się u mego boku.

Usłyszałam dźwięk zamykanych drzwi. Cabrera wyszedł.

Beatriz stanęła za mną.

– Proszę, posłuchaj mnie. Nie możemy zwlekać. Jeśli jest tak, jak przypuszczamy, liczy się każda godzina. Są tacy, którzy zrobią wszystko, by nie dopuścić cię do tronu. Andrés i arcybiskup Carrillo chcą wysłać zaufanego człowieka do Madrytu, żeby obserwował sytuację, ale potrzebują twojej zgody.

Wydawało mi się, że bardzo długo nie jestem w stanie się odezwać. Kiedy w końcu się przemogłam, powiedziałam spokojnym tonem:

– Róbcie to, co konieczne.

Trzy dni później, wieczorem 12 grudnia, odbywszy długą i niebezpieczną podróż, w czasie której zajeżdżał dwa konie, nasz szpieg przywiózł wiadomość, że król Henryk IV nie żyje.

Część III



Miecz obosieczny

1474–1480

Rozdział dwudziesty drugi



Obudziłam się przed świtem po zaledwie kilku godzinach snu. Przykryłam ramiona wykończoną futrem z kuny szatą, odrzuciłam zapleciony ze świeżo umytych włosów warkocz na plecy i podeszłam do okna. Potarłam oszronione szybki, by zobaczyć, jak różowy świt wstaje nad równiną. Wpatrywałam się jak zahipnotyzowana w przeźroczystą, opalizującą lunę, która przypominała światło odbijające się od wnętrza wspaniałej perły.

Zapowiada się piękny dzień – pomyślałam, kiedy usłyszałam dźwięk otwieranych drzwi. Odwróciłam się i zobaczyłam, że to Beatriz i Inés, które niosły części mojego stroju i zdobioną emalią szkatułę.

– Wyspałaś się? – zapytała Inés.

Delikatnie rozkładały błękitną aksamitną suknię obszytą gronostajem, moim ulubionym futrem, satynowe halki w kolorze morwowym, tunikę ze złotymi aplikacjami oraz siatkę na włosy z perłami i złotem. Spędziłyśmy gorączkowe godziny, szyjąc to wszystko między pogrzebem Henryka a przygotowaniami do mojej koronacji.

– Nie zmrużyłam oka.

Podeszłam do szkatuły, którą Beatriz położyła na stole. Otworzyła ją kluczem i uniosła rzeźbione wieko, a naszym oczom ukazały się sznury pereł, błyszczące szmaragdy, różowe rubiny oraz zachwycające diamenty w naszyjniku z szafirami o głębokiej barwie.

Ze ściśniętym gardłem przyglądałam się klejnotom, wspaniałym symbolom władzy królewskiej, które przystrajały wiele kastylijskich królowych, jak choćby Berenguelę z Leónu i sławetną Urrakę.

– Są wszystkie, co do jednego – powiedziała Beatriz. – Andrés zadbał, by Joanna niczego nie wywiozła. Wysłał nawet urzędników do klasztoru, w którym jest więziona, żeby odzyskać to, co mogła ukraść przy pierwszej ucieczce z dworu. Nie było tego dużo.

Wzięłam do ręki szmaragdową bransoletę z misterną mauretańską zapinką ze złota.

– Przypuszczam, że nie jest zadowolona z obrotu wydarzeń – powiedziałam.

Przypomniałam sobie, że tę samą bransoletę widziałam kiedyś na nadgarstku Joanny. Czy Cabrera konfiskował jej kosztowności, podczas gdy ona biadoliła i narzekała zamknięta w świętych ścianach, z których teraz uwolnić mogła ją tylko śmierć?

– Jest... przygaszona. Błaga o łaskę dla swojej córki. – Beatriz spojrzała mi w oczy, zapinając mi bransoletę na nadgarstku.

Była cięższa, niż się spodziewałam, a kwadratowe zielone kamienie połyskiwały na tle mojej skóry.

– Co zamierzasz zrobić? Na razie la Beltraneja pozostaje pod opieką Mendozów, ale jej matka cały czas utrzymuje, że to dziecko Henryka, a mała Joanna też w to wierzy. W końcu będziesz musiała jakoś się z nią uporać.

– Tak – odparłam bezmyślnie, zahipnotyzowana blaskiem szmaragdów. – Zrobię to, ale nie dzisiaj.

– Oczywiście, że nie – wtrąciła Inés. – Dziś jest koronacja, Wasza Wysokość będzie...

– Majestad – przerwała jej Beatriz. – Pamiętaj, że Izabela jest teraz królową.

Inés oblała się rumieńcem.

– Zapomniałam! Wasza Królewska Mość, proszę o wybaczenie – zwróciła się do mnie zdenerwowana.

Przyglądałam jej się przez chwilę surowo, po czym uśmiech, który starałam się ukryć, pojawił się na moich ustach. Stojąca za mną Beatriz zaczęła chichotać.

Inés nadepnęła jej na stopę.

– To nie było zbyt miłe. Myślałam, że naprawdę popełniłam gafę!

Wzięłam ją za rękę.

– Przepraszam. Jest mi zupełnie obojętne, jak zwracacie się do mnie na osobności. – Uśmiechnęłam się, wyciągając drugą dłoń w kierunku Beatriz. – Nadal nie mogę uwierzyć, że to się dzieje. Jak to możliwe, że jestem królową Kastylii?

– Cóż, jesteś – odparła Beatriz. – I będziesz bardzo spóźnioną królową, jeśli zaraz nie zaczniemy cię ubierać.

Kiedy się koło mnie krzątały – zdjęły ze mnie szatę i wkładały kolejne warstwy ozdobnej szaty – zdałam sobie sprawę, że przez ostatnie dwa dni targały mną tak sprzeczne uczucia, że zamieniłam się w bezstronnego obserwatora własnych rozterek. Nie wiedziałam, co myśleć o Henryku po jego śmierci, tak samo jak kiedy jeszcze żył. Włożyłam żałobną białą serżę i po cichu wezwałam do siebie nowo mianowanego kardynała de Mendozę, by wysłuchać strasznego sprawozdania o ostatnich godzinach Henryka. Umierał w mroźnej komnacie starego madryckiego zamku, a towarzyszyli mu wyłącznie jego wierni Maurowie. Służba i dawni kompani, w tym zdradziecki Diego de Villena, opuścili go, jak tylko stało się jasne, że nie przeżyje. Kardynał powiedział, że zostawili króla jak zdychającego psa, tak że de Mendoza musiał wynająć ludzi, by przygotowali ciało Henryka do pochówku.

Zgodnie ze zwyczajem nie brałam udziału w pogrzebie. Zamówiłam natomiast mszę w katedrze w Segovii i uczestniczyłam w niej, podczas gdy orszak żałobny podążał do klasztoru Matki Bożej z Guadalupe, gdzie spoczął Henryk. Modląc się za jego duszę, wspominałam nie kapryśnego króla, któremu przestałam ufać, ale dziwnego, nieśmiałego człowieka, którego poznałam wiele lat wcześniej i który potraktował mnie serdecznie. Nie mogłam szczerze powiedzieć, że będę za nim tęsknić, nie po tym wszystkim, co się między nami wydarzyło, ale dotknęła mnie jego strata – poczułam się samotna, wiedząc, że z trojga dzieci, w których płynęła krew naszego ojca, zostałam już tylko ja.

Nawet gdybym chciała na dłużej pograżyć się w żałobie, musiałam zająć się niecierpiącymi zwłoki sprawami. Najważniejsza była decyzja, czy od razu ogłosić, że wstępuję na tron, czy poczekać na powrót Ferdynanda. Carrillo twierdził, że nie mamy czasu do stracenia. Obaj z Cabrera uważali, że wszelkie odroczenia mogą doprowadzić do utraty korony. Poza tym nie było pewne, że Ferdynand w ogóle będzie mógł przyjechać, zważywszy na nieustanne kłopoty Aragonii. Mimo wszystko wahałam się prawie cały dzień, zanim miałam szansę zasięgnąć rady kardynała de Mendozy po jego powrocie z pogrzebu. Ufałam temu umiarkowanemu prałatowi, który wspierał mnie, pozostając lojalnym wobec Henryka. W milczeniu słuchał o moich wątpliwościach, o obawie, że Ferdynand poczuje się urażony, a nasze małżeństwo ucierpi, jeśli ogłoszę się królową pod jego nieobecność.

Następnie powiedział cicho:

– Zdaję sobie sprawę, jak trudne musiało być dla was kilka ostatnich dni i jak wiele teraz macie problemów, ale Wasza Wysokość jest jedyną dziedziczką tego królestwa. Jako wasz mąż, Ferdynand Aragoński będzie miał tytuł księcia małżonka, ale poza tym nie ma żadnych praw do Kastylii, co zresztą sam uznał, podpisując kapitulację w umowie przedmałżeńskiej. Prawo do tronu należy się wyłącznie wam, moje dziecko.

Cały wieczór modliłam się przed ołtarzem w swojej komnacie, męcząc się z podjęciem

decyzji. Błagałam o wskazówkę, odpowiedź, która zdjęłaby ciężar wyrzutów sumienia z moich barków. Choć w Kastylii panowały już królowe, żadna długo nie utrzymała się na tronie. Czy grzeszyłam pychą, sądząc, że zdołam dokonać czegoś, co nie udało się jeszcze żadnej kobiecie? Królestwo, które miałam odziedziczyć, było kotłem rozpusty i hipokryzji, skarbiec świecił pustkami, a ludzie cierpieli niedolę. Większość grandów, może nawet wszyscy – nie wspominając nawet Ojca Świętego w Rzymie i zagranicznych władców – sądziła, że Kastylia potrzebuje rządów twardej ręki księcia takiego jak Ferdynand. Jego odwaga i wigor przeszły próbę wojny i dlatego uważano, że lepiej podoła czekającym nas licznym wyzwaniom.

Obawiałam się, że sam Ferdynand może być tego zdania.

Mimo to, nawet kiedy próbowałam przekonać samą siebie, że się do tego nie nadaję, jakaś część mnie protestowała. Nie po to tak długo walczyłam, by teraz uchylać się od obowiązku. Korona rzeczywiście należała się mnie jako księżniczce z dynastii Trastámara. W moich żyłach płynęła krew władców, którzy panowali w Kastylii przez ponad sto lat. Poddani spodziewali się, że zasiądę na tronie, i nie mogłam dopuścić, by zastąpił mnie władca Aragonii. Zwłokę albo szukanie kompromisu uznano by za oznakę słabości. Nie chciałam, by kiedykolwiek mówiono, że Izabeli Kastylijskiej zabrakło odwagi.

Kiedy jednak Beatriz mocowała mi ozdobne przybranie na głowie, starannie układając przyczepiony do niego jedwabny biały welon, a Inés uklękła, by włożyć mi skórzane trzewiki, zastanawiałam się, co się stanie, gdy Ferdynand przeczyta wysłany przeze mnie list.

Katedralne dzwony zaczęły bić, wzywając tłumy na pilnowane przez strażników ulice, którymi miałam przejechać ze świtą na plaza mayor.

– Szybko! – powiedziała Beatriz, zapiąwszy klamrę mojego płaszcza z czarnego adamaszku.

Razem z Inés chwyciły jego długi tren i szybkim krokiem ruszyłyśmy w stronę warowni. Tam, pod wspaniałym zimowym niebem, tak błękitnym, że aż raziło w oczy, czekali duchowni oraz wybrani grandowie zaproszeni na koronację. Pokłonili się nisko, zdejmując z głów czapki i wystawiając łysiejące głowy, rzędzące grzywki albo ufryzowane loki na poranny mróz. Rozpoznałam Carrilla w charakterystycznej szkarłatnej pelerynie, kardynała de Mendozę w ozdobionych klejnotami szatach oraz ukochanego przez Beatriz Andrésa, jak zwykle ubranego nienagannie w czarny aksamit.

Zamyśliłam się. Z wyjątkiem mnie i moich dwórek nie było tu żadnych kobiet. Wiedziałam, że matki, żony, córki, a nawet kochanki tych mężczyzn stoją wystrojone w najlepsze szaty wzdłuż drogi, by móc mnie zobaczyć, ale miałam wrażenie, że snop światła spadł z niebios prosto na mnie, to mnie wyróżniając spośród wszystkich innych.

Podeszłam do Caneli, który prychnął niecierpliwie. Stał z adamaszkowym rzędem, na którym wyhaftowano herb Kastylii – zamek i lwa uniesionego na tylnych łapach. Przy wodzach zwisały śmieszne frędzle, które wyraźnie nie przypadły do gustu mojemu ogierowi.

Trzymał go señor Chacón. Ubrany był w sztywny zielony dublet, a gęstą ciemną brodę miał elegancko przyciętą. W jego piwnych oczach widziałam dumę. Od śmierci Alfonsa wiernie stał u mego boku jako towarzysz i sługa, na którym zawsze mogłam polegać. Jego obecność dodała mi pewności siebie. Dzisiaj w uznaniu zasług miał dostąpić przywileju przeprowadzenia mnie przez ulice Segovii.

Orszak się zebrał. Najpierw ruszył Cárdenas z podniesionym wysoko nagim mieczem. Kiedy przechodził, tłumy milkły, a ja widziałam zdziwienie malujące się na twarzach szlachciców, którzy stali na najlepszych miejscach. Ten stary, zaśnieżony miecz, który na moje żądanie wygrzebano spod stosów rdzewiejącej w skarbcu broni, był świętą relikwią dynastii Trastámara, symbolem sprawiedliwości i władzy. Jeszcze żadna królowa nie kazała nieść go

przed sobą w czasie ceremonii intronizacji. Podniosłam głowę i skierowałam wzrok na znajdujący się przede mną główny plac miejski, gdzie na ozdobionym szkarłatnymi chorągiewkami podwyższeniu przed kościołem San Miguel czekał na mnie tron.

Chacón ostrożnie pomógł mi zsiąść z konia. Stałam sama na przykrytym krwistoczerwonym dywanem podium, przed którym ustawiły się tysiące mieszkańców Segovii, i wsłuchiwałam się w dźwięk łopoczających na wietrze chorągwi królewskich. Następnie w kryształowym powietrzu rozległo się wołanie herolda:

– Kastylia! Kastylia dla Jej Wysokości doñi Izabeli, władczyni tego królestwa, i dla Jego Wysokości don Ferdynanda, jej małżonka!

Kiedy tłum zaczął jednym głosem powtarzać te słowa, łzy napłynęły mi do oczu. De Mendoza z Biblią w ręku wspiął się na podwyższenie.

– Majestad – oznajmił uroczyście. – Czy przyjmujecie aklamację i przysięgacie wypełniać święty obowiązek, który powierzył wam Bóg?

Położyłam dłonie na Piśmie Świętym i otwarałam usta, by wyrecytować tekst przysięgi, który bardzo starannie wyćwiczyłam. Coś jednak mnie zatrzymało. Wśród tysięcy zgromadzonych zauważyłam widmową postać trzymającą się nieco na uboczu. Błede oczy tego człowieka wydawały się płonąć, a jego twarz była biała jak płótno...

Poczułam ucisk w gardle. Nie byłam w stanie odwrócić wzroku.

– Wasza Królewska Mość? – wymamrotał de Mendoza. – Czekamy na przysięgę.

Zamknęłam oczy, a kiedy ponownie je otworzyłam, postać zniknęła. Przełknęłam ślinę i wyrecytowałam drżącym głosem:

– Przyjmujemy powierzony nam zaszczyt i przysięgamy na te święte Ewangelie, że będziemy żyć zgodnie z nakazami Kościoła, przestrzegać praw tego królestwa i troszczyć się o dobrobyt wszystkich naszych poddanych, a także, wzorem naszych wspaniałych przodków, powiększać nasze terytorium oraz bronić naszych zwyczajów, wolności i przywilejów jako prawomocnie namaszczone królowa.

Kiedy wszyscy zgromadzeni na placu padli na kolana, rozległ się szelest przypominający trzepotanie skrzydeł przelatującego na niebie olbrzymiego sokoła. Grandowie wychodzili z tłumem jeden po drugim, żeby złożyć mi przysięgę wierności. Dworscy dostojnicy składali insygnia swoich urzędów na ręce Cabrery, co symbolizowało zmianę rządów, a ja uklęknęłam przed de Mendoza, który zrobił mi nad głową znak krzyża.

– Niech Bóg błogosławi królową Izabelę!

A moi poddani, lud Kastylii, zaczęli radośnie klaskać.

Było już po północy, kiedy w końcu wróciłam do swojej komnaty. Miałam obolałe stopy i usta zdrętwiałe od ciągłego uśmiechu. Wysłuchałam uroczystego *Te Deum*, pojechałam z powrotem do zamku na ucztę, a potem przez długie godziny siedziałam na podium i przyjmowałam życzenia od licznych szlachciców, w tym od nieufnych grandów, którzy oddając mi pokłony, na pewno zastanawiali się, jaki będzie mój następny krok.

Widziałam swoje odbicie w ich źrenicach tak wyraźnie, jakbym stała przed lustrem – białą dłoń z pierścieniem na każdym palcu, którą do nich wyciągałam, błyszczący złoty materiał sukni przykrywający ramię niedoświadczonej dwudziestotrzyletniej kobiety. Ich pogardę dostrzegałam w tym, jak lekko krzywili usta, zamieniając uprzejme powitania w szyderstwa.

W ich oczach nie stanę się królową, dopóki nie udowodnię, że jestem od nich silniejsza.

Na samą myśl o tym poczułam się wyczerpana. Jak tylko moje równie zmęczone dwórki rozebrały mnie i chwiejnym krokiem wyszły z komnaty, gasząc po drodze świece, zwinęłam się w kłębek na łożu i zamknęłam oczy. Pomyślałam, że muszę posłać po swoją córkę. Chciałam mieć Izabelę blisko siebie.

Zanim zasnęłam, zdążyłam jeszcze wyszeptać:
– Ferdynandzie, czekam na ciebie. Wracaj do domu.



Mroźny wiatr z płatkami śniegu sprawił, że chorągiewki i dywany zawieszane na balkonach, by uroczyście przywitać mojego męża, całkiem zeszywniały. Jak tylko otrzymałam wiadomość, że Ferdynand jest w drodze, poprosiłam arcybiskupa Carrilla, admirała Enríqueza i kilku wysoko postawionych grandów, by wyjechali mu naprzeciw i towarzyszyli jako eskorta do Segovii, oddając mu w ten sposób należny honor i szacunek. Przerwał podróż na jeden dzień, aby odpocząć i włożyć nowy strój, który dla niego zamówiłam: tunikę z bordowego aksamitu obszytą sobolowym futrem, buty z krótką cholewką z wytłaczanej kordobańskiej skóry, nasączone perfumami rękawice i złoty łańcuch, który wcześniej należał do Henryka – kazałam go wypolerować i ozdobić medalionem wykonanym przez najwybitniejszego złotnika w Toledo przedstawiającym nasz herb ze strzałami i jarzmem. Tymi podarunkami chciałam dać wyraz swojej radości z jego powrotu. Teraz czekałam niecierpliwie w sali reprezentacyjnej i wyobrażałam sobie zimową zawieruchę targającą jego orszakiem. Wsłuchiwałam się też w przytłumione okrzyki tłumu, który zebrał się, by powitać go u bram miasta.

Byłam ubrana w fioletowy jedwab, a włosy miałam zaplecione w twarzowy, miałam nadzieję, warkocz upięty wokół głowy. Szarpałam nerwowo wystającą z mankietu nitkę. Miałam ochotę wybiec do warowni i powitać go z otwartymi ramionami po długiej nieobecności, ale władcy nie wypadało publicznie okazywać emocji. Poza tym, ponieważ byłam królową, to on musiał podejść do mnie pierwszy.

Wpatrując się w odległe drzwi, czułam, jak pod suknią między łopatkami gromadzi mi się pot i spływa po plecach. W sali było i gorąco, i duszno, bo służba, chcąc ochronić nas przed popołudniowym chłodem, rozpałała w zbyt wielu piecykach i przyniosła za wiele lamp oliwnych. Gdzie on jest? Co zajmuje mu tak długo? – zastanawiałam się.

Wtem usłyszałam głosy i stukot obcasów. Niemal zerwałam się z tronu, kiedy do sali wpadła grupa mężczyzn. Dworzanie pokłonili mi się równocześnie. Nawet z daleka natychmiast go rozpoznałam – jego zwartą, umięśnioną sylwetkę w nowym dublecie, która dużymi krokami posuwała się w moim kierunku. Kiedy znalazł się przy podwyższeniu, przestałam się powstrzymywać i uśmiechnęłam się szeroko.

– Najdroższy mężu – wyszeptałam, prawie płacząc na widok dumnego, silnego mężczyzny, który właśnie przede mną stał.

Zdjął czapkę. Włosy urosły mu tak, że opadały na ramiona niczym całun z ciemnobrązowego jedwabiu. Jego kwadratowa twarz była obramowana krótko przyciętą brodą. Schylił głowę.

– Majestad – powiedział suchym, oficjalnym tonem. – To dla mnie wielki zaszczyt, że znów mogę was widzieć.

Zrobiło mi się słabo. Dłoń, którą do niego wyciągnęłam, pozostawała między nami nietknięta.

– Dla mnie też – odezwał się w końcu.

Zeszłam z podwyższenia, by go objąć. Jego ciało było szczupłe, twarde, zahartowane w wielomiesięcznej wojnie z Francuzami. Nie odwzajemnił mojego uścisku. Kiedy zrobiłam krok do tyłu, przyglądał mi się w lodowatym skupieniu.

Miałam wrażenie, że jestem ostatnią osobą, którą ma ochotę oglądać.

– Jak mogłaś? Jak mogłaś mi to zrobić?

Staliśmy razem w mojej prywatnej komnacie, gdzie schowaliśmy się tak szybko, jak to tylko było możliwe. Wcześniej wiele godzin spędziliśmy na niekończącej się uczcie, podczas której siedziałam obok męża pełna obaw i ze ściśniętym gardłem.

Ferdynand nie zjadł prawie nic z pięćdziesięciu potraw, które kazałam przygotować, i wypił ledwie odrobinę wina. Kiedy przyniesiono mu naszą córeczkę, przywitał się z nią niedbałym pocałunkiem. Potem, podczas gdy cały dwór ucztował, mój mąż tkwił przy stole zamyślony i widziałam, że gotuje się w nim złość.

Teraz dał jej upust, nawet nie próbując się pohamować.

– Zostałem upokorzony – ciągnął głosem ostrym jak brzytwa. – O wszystkim dowiedziałem się z listu na dworze ojca w Saragossie. Zostałem poinformowany, że moja żona ogłosiła się królową, gdy dzieliły ją ode mnie setki mil.

Gwałtownie zbliżył się do stołu, na którym Inés przygotowała półmisek suszonych owoców i dzbanek wina. Nalał sobie hojnie, a ja widziałam, jak bardzo trzęsą mu się ręce.

Jego gniew zupełnie mnie zaskoczył, tak że przez chwilę nie wiedziałam, co powiedzieć. W końcu zebrałam się na odwagę i odparłam:

– Myślałam, że zrozumiesz. W liście wszystko ci wyjaśniłam. Nie mogłam zwlekać, bo śmierć Henryka była bardzo nagła. Musiałam działać natychmiast, w przeciwnym razie jakiś grand mógłby coś sobie ubzdurać i wszcząć bunt w obronie praw la Beltranei. Carrillo, de Mendoza, nawet twój dziadek admirał radzili mi, by tak właśnie postąpić.

Przyglądał mi się znad brzegu pucharu.

– Więc takie masz wytłumaczenie? Obwiniasz doradców za to, że nie wzięli mnie pod uwagę?

Zabolało mnie jego oskarżenie.

– Nikogo nie obwiniam – odparłam. – To ja musiałam podjąć decyzję. Sytuacja była wyjątkowa. Kierowałam się dobrem Kastyliei.

– Rozumiem – powiedział i odstawił puchar na stół. – Kastylia jest ważniejsza ode mnie. Sądziłem, że zobowiązaliśmy się rządzić razem, jako dwóch równoprawnych władców, tak by zlikwidować stare podziały między naszymi królestwami. Wygląda na to, że się myliłem.

– Jesteś... jesteś ważny – odparłam drżącym głosem. – Ale w Kastyliei prawa suwerena biorą górę nad wszystkim. Jestem zobowiązana ogłosić się królową najpierw, zanim...

Patrzył na mnie z taką złością, że przerwałam i zapanowała niezręczna cisza. Zbyt późno zdałam sobie sprawę, że choć miałam szlachetne intencje, popełniłam straszliwy błąd.

– Kim ja dla ciebie jestem? – zapytał cicho.

Poruszyłam się nerwowo na krześle.

– Mężem, oczywiście.

– Nie. Kim ja jestem? – powtórzył. – Mam zostać współrządcą Kastyliei czy ty też, jak wielu innych, uważasz, że aragoński książę nie ma tu żadnych praw? Sądzisz, że powinienem zadowolić się funkcją księcia małżonka, a moją jedyną rolą jest zapewnienie Kastyliei dziedzica?

Niemal poderwałam się z krzesła.

– Jak możesz o coś takiego pytać?

Wiedziałam, że muszę zapanować nad głosem, bo on mówił cicho. Poza tym zgłaszane przez niego wątpliwości, choć sprawiły mi przykrość, nie były bezpodstawne. Niestety, zupełnie straciłam głowę. Słyszałam wyłącznie to, że mi nie ufa i obojętnie traktuje dylemat, który przysporzył mi tyle cierpienia.

– Długo męczyłam się z podjęciem decyzji! – wykrzyczałam. – Modliłam się długie

godziny! Radziłam się, kogo tylko mogłam, ale w końcu musiałam...

– Nie poradziłaś się mnie – przerwał. – Nawet nie napisałaś, żeby zapytać, co o tym wszystkim sądzę. Ogłosiłaś się królową i kazałaś nieść przed sobą miecz sprawiedliwości. To wszystko sprawia wrażenie, że jesteś tu jedynym monarchą.

Przyglądałam mu się z oburzeniem. Po wielu tygodniach chaosu i niepewności, wyczerpujących spotkań z doradcami i prób opanowania sytuacji w Kastylii, podczas gdy on walczył z Francuzami, nie oczekiwał chyba, że będę mu współczuć! Później jednak zauważyłam wyraz jego twarzy, rodzaj przelotnej bezbronności w piwnych oczach. Ścisnęło mi się serce, kiedy rozpoznałam, co to było.

Strach.

Ferdynand się bał. Obawiał się, że chcę odsunąć go od władzy i że stanie się pośmiewiskiem dworu – Aragończyk, który dzieli z królową łóżce, ale nie ma nic do powiedzenia w kwestii jej rządów. Jego męska duma została urażona.

Poczułam ogromną ulgę. Z tym umiałam sobie poradzić.

– Zrobiłam to, co było konieczne – powiedziałam łagodniejszym tonem. – Nie chciałam cię prosić, byś porzucił Aragonię w godzinie próby. Już raz to zrobiłam, kiedy przyjechałeś na nasz ślub, i wiem, jak wiele cię to kosztowało. Staralam się tylko zabezpieczyć nasze królestwo do czasu, aż przyjedziesz i będziemy mogli razem objąć w nim rządy.

Nie umknęło jego uwagi, że położyłam nacisk na „nasze królestwo”, choć tego nie skomentował. Nie zamierzał poddać się tak łatwo.

– Mogłaś była poczekać – wymamrotał, spuszczać wzrok.

– Owszem, mogłam, ale gdybym to zrobiła, istniało ryzyko, że oboje stracimy Kastylię.

– To ty tak twierdzisz. – Zamilkł na moment, po czym dodał, raczej niechętnie: –

Przypuszczam, że sam też nie jestem bez winy.

Stałam w milczeniu, czekając na ciąg dalszy

– Podpisałem te przekłete kapitulacje – powiedział. – Tak się spieszyłem, żeby zostać twoim mężem, żeby ocalić cię przed Henrykiem i de Villeną, że zrezygnowałem ze swoich praw. Ledwie kilka godzin temu przypomniał mi o tym Carrillo, kiedy jadąc tutaj, robiłem mu wyrzuty, że powinien był udzielać ci rad zgodnych z prawem. Odparł, że tak właśnie uczynił, bo zgodnie z kastylijskim prawem twoje prerogatywy są nadrzędne. To ty jesteś królową. Po twojej śmierci, za wiele lat, nasze najstarsze dziecko zasiądzie na tronie Kastylii. Ja nigdy nie będę pełnoprawnym królem. Zdaniem arcybiskupa nie powinienem o tym zapominać.

W środku gotowałam się ze złości. Carrillo posunął się za daleko! Czy nie zdawał sobie sprawy, że w tym kluczowym momencie nie możemy sobie pozwolić na publiczną waśń między mną a Ferdynandem? Nie byliśmy jeszcze bezpieczni, a nasza władza w Kastylii – ugruntowana. Grandowie nie omieszkaliby wykorzystać niezgody między nami do własnych celów. Zamieniliby nasze panowanie w katastrofę jeszcze przed jego rozpoczęciem.

Musiałam znaleźć sposób na zażegnanie tego sporu i ukrócenie bezczelności Carrilla. To on nie miał tu żadnych uprawnień, nie Ferdynand.

– Możemy zmienić prawo – powiedziałam zdecydowanie, choć tak naprawdę nie miałam pojęcia, czy to rzeczywiście jest w naszej mocy.

Podniósł wzrok.

– Co powiedziałaś?

– Mówiłam, że możemy zmienić prawo. – Myślałam gorączkowo, starając się naprędce sklecić jakieś rozwiązanie. – Zbierzemy specjalną grupę prawników, z naszym reprezentantem, coś na kształt sądu. Zlecimy im zbadanie wszystkich precedensów, statutów, każdego postanowienia naszej umowy przedmałżeńskiej. Jeśli da się zniwelować jakąkolwiek różnicę

w naszym statusie, to ją zniwelujemy.

Przerwałam. Nie miałam pojęcia, czy którekolwiek z proponowanych przeze mnie rozwiązań da się wcielić w życie, ale chciałam dać mu do zrozumienia, że jestem gotowa zrobić wszystko, żeby postrzegano nas i traktowano jak równych.

Zagryzł dolną wargę.

– Zrobiłabyś to dla mnie?

– To i o wiele więcej – wyszeptałam. – W moim sercu to ty jesteś najważniejszy.

Ugięły się pode mną kolana, kiedy błyskawicznie przyciągnął mnie do siebie i zaczął całować. Potem wziął mnie na ręce i zaniósł na łóżko. Zdarł z siebie dublet, a potem zaczął mocować się z koszulą i pończochami. Nie odrywałam od niego wzroku, nawet kiedy sama walczyłam z oporną suknią, niezliczonymi wstążkami i koronkami... Znieruchomiałam na widok jego nagości – pokryte bliznami, muskularne ciało, którego brakowało mi bardziej, niż zdawałam sobie sprawę. Tęskniłam za nim i chciałam go spróbować, tak jak spragniony wędrowiec, który marzy o wodzie na pustyni.

– Mam nadzieję, że jesteś dziś głodna – wymamrotał Ferdynand. – Jak loba podczas pełni księżyca.

Spojrzałam na niego zaskoczona, a potem się roześmiałam.

– Czyżbyś właśnie nazwał mnie wilczycą?

– Tak. Widzisz, jak bardzo lubię wilczyce – odparł, szczerząc zęby, równocześnie chłopięco bezczelny i lubieżny, tak że zaczęłam jeszcze bardziej chichotać. – Lubię je tropić, zabijać i obdzierać ze skóry, szczególnie jeśli traktują siebie tak poważnie. Grrr! – krzyknął, po czym rzucił się na mnie, obłapiając mnie i mruczając, tak że osłabłam ogarnięta falą pożądania i ulgi.

Sprawnie skończył mnie rozbierać, a ja czułam, jak serce zaczyna mi coraz szybciej bić. Kiedy zdejmował mi koszulę przez głowę, rozburzył misterną fryzurę, tak że rozpuszczone włosy zaczęły wić się niepokornie. Wydałam z siebie cichy jęk – mimowolną oznakę pożądania, która sprawiła, że jego członek zeszytniał.

– Więc jesteś głodna – wysapał, a potem znalazł się na mnie, we mnie.

Droczył się, zmieniał pozycję, przesunął, wchodził głębiej... Objęłam go udami i cały świat, wszystkie kłopoty, lęki, słabości i rozczarowania nagle się rozplynęły.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy ucieszyłam się, że rzeczywiście jestem tylko kobietą.



Już w następnym tygodniu zleciłam dochodzenie prawne grupie wysoko postawionych grandów, w tym admirałowi. Na naszego sekretarza mianowałam swojego nowego spowiednika, melancholijnego hieronimitę brata Hernanda de Talaverę, który też odebrał wykształcenie prawnicze. Kardynał de Mendoza został moim rzecznikiem, a, kierowana przewrotną chęcią zemsty, na reprezentanta Ferdynanda wybrałam Carrilla. Byłam wściekła na arcybiskupa za to, że sprowokował gniew mojego męża, i dałam mu do zrozumienia, że oczekuję od niego pełnej pasji, dobrze uargumentowanej obrony równości praw Ferdynanda do kastylijskiej korony. Trzeba przyznać, że doskonale wywiązał się z tego zadania i zdołał zdobyć dla mojego męża poparcie nawet najbardziej opornych grandów. Większość zgodziła się, że kapitulacje – kontrowersyjny dokument, który Carrillo forsował przez wiele miesięcy i który uważał za swoje największe osiągnięcie – był bezprecedensowy i, zważywszy na nasze małżeństwo, praktycznie

nieegzekwowalny.

Kiedy jednak poruszono kwestię naszej sukcesji, wstałam i sama zabrałam głos:

– Mi señor – powiedziałam, spoglądając w stronę tronu, na którym siedział Ferdynand w czerwono-złotym monarszym płaszczu – ze względu na związek, który nas łączy, to królestwo na zawsze będzie dziedzictwem naszych dzieci. Ponieważ jak na razie Bóg obdarzył nas córką, to jej musi przyspaść w udziale tron Kastylii. Aragońskie prawo nie pozwoli jej objąć rządów w twojej ojczyźnie. Pewnego dnia będzie zmuszona poślubić jakiegoś księcia, który może wykorzystać kastylijskie ziemie do własnych celów. Po naszej śmierci, jeśli Stwórca zdecyduje nie dać nam synów, może zamienić zarówno Kastylię, jak i Aragonię w swoje lenna. Na pewno zgodzisz się, że byłby to dla nas ogromny ciężar na sumieniu i katastrofa dla naszych poddanych.

Wyraźnie się zachmurzył. Słusznie podejrzewałam, że trudno mu było pogodzić się z bezwzględными prawami własnego królestwa, w którym nasza córka nie mogła zostać mianowana dziedziczką. Wbiło to między nami klin, choć żadne z nas nie ponosiło za to winy. Byłam skłonna pójść na duże ustępstwa – zgodziłam się, żeby w oficjalnych dokumentach i podczas ceremonii to jego imię pojawiała się pierwsze, pozwoliłam mu zostać najwyższym dowódcą naszych sił zbrojnych i wymierzać sprawiedliwość – ale w tej kwestii byłam nieugięta. Izabela musi zostać pełnoprawną dziedziczką, Kastylii nie może paść ofiarą archaicznych aragońskich przepisów wykluczających kobiety z dziedziczenia.

Po długiej chwili Ferdynand w końcu pokijał głową.

– Zgadzam się. Nie mówmy o tym więcej. – Uśmiechnął się do mnie blade, po czym podszedł i pocałował mnie w policzek. – Wygrałaś – wymruczał. – Powinnaś była zostać prawnikiem, mój księżycu. – I podnosząc moją rękę do góry, oświadczył:

– Niech się tak stanie! Aby uczcić nasze porozumienie, Jej Wysokość i ja rozkazujemy, by wykuto nowy herb z zamkami i lwami Kastylii oraz złotymi i czerwonymi pasami Aragonii.

– A pod nimi – dodałam – nich znajdują się strzały i jarzmo połączone węzłem gordyjskim, jako symbol trwałości naszej unii.

Grandowie zaczęli klaskać. Ferdynand uśmiechnął się, dumny z ich uznania, i wraz ze świętą poszedł przebrać się na popołudniową ucztę.

Westchnęłam i ruszyłam do przeciwległych drzwi, przy których czekały moje dwórki, kiedy nagle zatrzymał mnie Carrillo. Za naszymi plecami urzędnicy zaczęli zbierać prawnicze dokumenty.

– Popeliłaś poważny błąd – oznajmił arcybiskup. – Dając mu te wszystkie przywileje, naruszyłaś postanowienia kapitulacji przedmażeńskich i naraziłaś na niebezpieczeństwo suwerenność samej Kastylii.

Przyglądałam mu się chłodno.

– Zgodziłam się tylko na to, by mojego męża otaczano szacunkiem, jaki mu się należy. Nadal tylko do mnie należy mianowanie i awansowanie duchownych, to ja mam ostatnie słowo w kwestiach skarbcia i podatków, tylko ja mogę wypowiedzieć wojnę. Wyjąwszy kilka drobnych ustępstw, suwerenność Kastylii pozostaje nietknięta. Tron po mnie odziedziczy moja córka, a Ferdynand nigdy nie będzie mógł rządzić tu sam. Czy Ekscelencja sam nie doradzał mu, by się na to wszystko zgodził?

Zignorował mój kąśliwy ton i zaczął lekceważąco wymachiwać potężną dłonią z wielkim pierścieniem.

– Nie znasz Aragończyków tak dobrze jak ja. Oni nie uznają żadnych granic. Jeśli umrzesz wcześniej, bez syna, który by po tobie dziedziczył, Ferdynand nigdy nie dopuści do tronu waszej córki. Pozbawi ją praw i uczyni z Kastylii aragońskiego wasala.

– Ekscelencja posuwa się za daleko – odparłam. – On jest ojcem mojego dziecka, a ja

przysięgałam mu wierność. Choć żałuję, że w jego królestwie tylko mężczyźni mogą dziedziczyć tron, zrobię wszystko, by w naszym małżeństwie panowała zgoda.

Zaśmiał się sarkastycznie.

– Zapewniam, że do tego kilka ustępstw nie wystarczy.

Podniosłam głowę do góry. Miałam już dość jego protekcjonalizmu i czułam ogromną ochotę odprawienia go na zawsze.

– Co arcybiskup ma na myśli? Proszę wyrażać się jasno.

– Chodzi mi o to – zaczął kąśliwym tonem – że Jego Wysokość okłamuje cię od miesięcy.

Ma w Aragonii kochankę – to dlatego przyjechał tak późno. Podobno jest brzemienna i błagała go, by został. Oczywiście, jak zapewne wiesz, nie po raz pierwszy zszedł z dobrej drogi.

Nie reagowałam. Nawet nie drgnęłam. Czułam, że wzbiera we mnie fala emocji, gorąca jak lawa i utrudniająca oddychanie. Carrillo uważnie mi się przyglądał.

– A może nie wiedziałaś? Myślałem, że powiedział ci o swoim synu, bękarcie, którego urodziła mu inna kobieta, zanim się pobraliście? To żadna tajemnica. Cała Saragossa wie, jak rozpieszcza tego chłopca. Nawet król Jan kazał przywieźć dziecko na swój dwór i obsypał je prezentami. Mało tego, chcą mu nawet podarować biskupstwo.

Miałam ściśnięte gardło. Nie byłam w stanie zaczerpnąć do płuc wystarczającej ilości powietrza.

– Oczywiście, że wiedziałam – wydusiłam. – Mówicie, że teraz ma kolejne...?

– Tak, z inną kobietą, córką jakiegoś drobnego szlachcica. – Carrillo wzruszył ramionami.

– Są zepsuci do szpiku kości. Nic dziwnego, że Francuzi tak chętnie ich najeżdżają. Aragonia ma więcej wspólnego z tym zdegenerowanym narodem, niż gotowa jest przyznać.

Zacisnęłam pięści. W tym momencie, choć z całych sił walczyłam z rozdierającym mnie od środka szlochem, dopuściłam do świadomości uczucie, które towarzyszyło mi od zawsze – skomplikowana sieć emocji, która od samego początku była stałym elementem moich kontaktów z Carrillem, zamieniła się teraz w jedno klarowne doznanie.

Miałam już dość. Chciałam, by ten człowiek zniknął z mojego życia.

– Opuście dwór natychmiast – poleciłam. – Jedźcie do swojego pałacu w Acuña albo w Alcali de Henares i tam zostańcie. Nie życzę sobie więcej waszej obecności.

Mrugnął oczami z niedowierzaniem.

– Nie... nie mówisz poważnie.

– Najzupełniej – oparłam. – Nigdy nie mówiłam poważniej. Nikt, Ekscelencjo, nie uwłacza przy mnie mojemu mężowi. Nawet wy.

– Ale ja jestem twoim doradcą! Pomogłem ci zdobyć tron. Nie możesz beze mnie panować.

– Nie potrzebuję, by ktokolwiek rządził za mnie. Obędę się też bez doradcy, który nie uznaje moich decyzji. Dlatego rozkazuję, byście opuścili dwór. Natychmiast.

– Rozkazujesz...? – Twarz zrobiła mu się szara, a oczy wytrzeszczono. – Masz czelność odesłać mnie, arcybiskupa Toledo, człowieka, który utorował ci drogę do władzy? Zwalniasz mnie jak służącego? Gdyby nie ja, nie byłoby cię tu dziś, doño Izabelo. Lata temu wydaliby cię za mąż i wysłali na banicję, żebyś rodziła portugalskie bachory i czeźła w jakimś zimnym zamku na wybrzeżu, spędzając dni na szyciu!

Nie dałam się sprowadzić na manowce.

– Przypisujecie sobie zbyt wielkie zasługi, a moje za bardzo umniejszacie. Nie będę powtarzać. Macie godzinę na opuszczenie zamku. W przeciwnym razie przyślę straż, która was wyprowadzi.

Wyciągnęłam do niego dłoń, żeby pocałował ją na pożegnanie. Nie odezwał się ani

słowem, tylko, celowo nie składając należnego mi hołdu, odwrócił się gwałtownie i ciężkim krokiem ruszył do drzwi. Kiedy do nich dotarł, spojrzał za siebie i rzucił wściekle:

– Będziesz tego żałować.

Następnie wyszedł i zaczął głośno przywoływać swojego giermka.

Na mój sygnał również przestraszeni urzędnicy czmychnęli z sali, zostawiając mnie samą przy stole. Chwilę później pojawił się Ferdynand.

– Izabelo, mi amor, co się stało? Podobno Carrillo właśnie wrzeszczał jak poganiacz mułów...

Spojrzałam na niego.

– Czy to prawda?

Zanim zdążył otworzyć usta, zobaczyłam odpowiedź wypisaną na jego twarzy – najpierw zbladł, a potem oblał się rumieńcem, który utwierdził mnie w przekonaniu o jego winie. Jego słowa dochodziły do mnie jakby z oddali:

– Więc ci powiedział. Powinienem być się domyślić. Ten stary łajdak nie mógł znieść, że jesteśmy szczęśliwi. Nigdy nie był w stanie się z tym pogodzić. Zawsze zależało mu tylko na tym, żeby...

– To nie on złamał złożoną przysięgę. – Musiałam oprzeć się mocno o stół, czując, że otwiera się we mnie przerażająca przepaść. – To ty. I na dodatek mnie okłamywałeś.

– Na miłość boską, nie kłamałem. To się stało, zanim się pobraliśmy. – Podszedł do mnie. – Przysięgam, że miałem zamiar ci powiedzieć, Izabelo, naprawdę. Chłopiec... on ma tylko dwa lata i...

– Nie mówię o twoim pierwszym dziecku. Chodzi mi o to, które ma się teraz urodzić.

Zamarł. Poczulałam w ustach smak krwi – przegryzłam sobie wargę.

– Nie zaprzeczasz – powiedziałam. – Czy... czy kochasz tę kobietę?

– Nie, przysięgam, że nie. – Patrzył na mnie bezsilnie. – To była chwila słabości, szaleństwa. Byłem tak daleko od ciebie, od domu. Miałem już dość wojny, ciągłego czekania na atak Francuzów. Wydawało mi się, że cały świat na mnie patrzy, że wszyscy czekają na moją klęskę... Potrzebowałam pocieszenia.

– Więc wzięłeś sobie nałożnicę, podczas gdy ja tutaj borykałam się z matką, z naszą córką, z kryzysem po śmierci Henryka? Zdradziłeś mnie, bo byłeś zmęczony i potrzebowałeś pocieszenia?

– Tak. – Zamilkł i potrząsnął głową. – Nie twierdzę, że postąpiłem słusznie. Bóg jeden wie, jak bardzo tego teraz żałuję, ale jestem tylko człowiekiem, Izabelo. Nigdy nie twierdziłem, że jestem idealny.

Czułam się tak, jakby uderzył mnie w brzuch.

– Jesteś pewny, że to twoje dziecko? – zapytałam głosem, którego nie poznawałam: zimnym, bezosobowym, zupełnie niepodobnym do mojego.

Skrzywił się. Najwyraźniej nigdy się nad tym nie zastanawiał.

– Wydaje mi się, że tak – odparł cicho. – Nie mam powodów, żeby w to wątpić.

– Więc dobrze. Kiedy dziecko się urodzi, musisz zadbać o jego utrzymanie. Znajdziesz dla niego jakieś stanowisko – w Kościele, jeśli to chłopiec, w pałacu jakiejś szlachcianki, jeśli dziewczynka. Nie pozwolę, by mówiono, że król Kastylii zaniedbuje swoje obowiązki. – Starłam się zachować spokój i zadać ostateczne pytanie, choć wcale nie chciałam znać na nie odpowiedzi. Kiedy ją poznam, już nie będę mogła zaprzeczać rzeczywistości. – To pierwsze dziecko, ten chłopiec – jak ma na imię?

– Alfons – wyszeptał. – Jak twój zmarły brat.

– Aha. – Spojrzałam mu w twarz i zobaczyłam na niej miłość, poczucie winy i smutek,

szczerą skruchę. Wtedy zalała mnie fala wstrzymywanych wcześniej emocji. Miałam wrażenie, że moje życie leży teraz roztrzaskane na ziemi, niczym kawałki delikatnego szkła. – Przez ten cały czas siedzieliśmy, dążąc do ustanowienia między nami równości, wychwalając nasze „tanto monta”... Cóż, proszę bardzo. Na papierze jesteśmy teraz równi. Oboje jednak wiemy, że nie będzie między nami prawdziwej równości. Nie, jeśli jedno z nas ma takie sekrety.

– Izabelo, proszę cię. To była zwykła pomyłka! To nic dla mnie nie znaczyło!

– Być może. Ale dla mnie to znaczy bardzo wiele.

Odwrociłam się, żeby widział, jaka jestem zdruzgotana i zagubiona. Nie chciałam ujawniać swoich emocji.

– Izabelo – powiedział z niedowierzaniem. – Chyba nie mówisz poważnie. Odejdiesz ode mnie, skoro przyznałem się do błędu? Nie dasz mi nawet szansy, by go naprawić?

Miałam wrażenie, że widzę wszystko jak przez mgłę. Zignorowałam pytanie Ferdynanda i bez słowa wyszłam z pokoju. Niejasno zdawałam sobie sprawę, że nagle pojawiły się koło mnie Inés i Beatriz. Utorowały mi drogę między stłoczonymi na korytarzu dworzanami, przeprowadziły przez hol, w którym czekali grandowie, i pomogły wejść po krętych schodach do mojej komnaty. Jak tylko drzwi zostały zaryglowane, chciałam wydać pierwotny skowyt, dając upust wściekłości i smutkowi, które się we mnie kotłowały.

Zamiast tego wyszeptalam tylko:

– Muszę się wykąpać.

– Wykąpać? Ale nie ma ciepłej wody – odpowiedziała Beatriz, bawiąc się nerwowo rąbkiem sukni. – Musiałybyśmy przynieść ją z kuchni.

– To nic. – Zaczęłam zdzierać z siebie ubrania, przerywając paznokciami wiązania i targając delikatny materiał. – Zdejmij to ze mnie. Duszę się. Nie mogę oddychać...

Beatriz i Inés pospiesznie uwolniły mnie ze stroju, zdejmując ze mnie kolejne ozdobne warstwy, aż zostałam w samej jedwabnej bieliźnie. Trzęsąc się z zimna, poleciłam:

– Polejcie mnie wodą z karafki.

– Ależ, Wasza Wysokość, to woda z akweduktu, do picia – wykrzyknęła Inés. – Jest lodowata. A Wasza Wysokość cała drży.

– Lej!

Beatriz wzięła karafkę, a ja zamknęłam oczy i wyciągnęłam ręce przed siebie. Przyjaciółka wylała mi zawartość naczynia na głowę, tak że woda – zaczerpnięta ze źródeł aluwialnych zasilających rzymskie wodociągi w Segovii – spłynęła po mnie lodowatym strumieniem, a ja wydałam cichy, przenikliwy okrzyk.

Ten jeden mimowolny dźwięk, przypominający pisk zwierzęcia, które wpadło w pułapkę, to było wszystko, co mogłam z siebie wydusić. Choć przepelniał mnie smutek, nie byłam w stanie płakać. Nie umiałam w żaden sposób sobie ulżyć. Milczałam jak grób, stojąc nieruchomo i starając się wymazać z pamięci wspomnienie miłości, a po piersiach i udach spływały mi strugi zimnej wody.

Pozwoliłam, by Beatriz zdjęła ze mnie przemoczoną koszulę, okryła jedwabiem i posadziła na krześle przy ogniu, który Inés nerwowo poruszała pogrzebaczem. Nie odezwałam się ani słowem. Siedziałam tylko, wpatrzona w płomienie.

Byłam królową Kastylii. Pokonałam wszystkie przeszkody, by wypełnić swoje przeznaczenie.

I jeszcze nigdy nie czułam się taka samotna.

Rozdział dwudziesty trzeci



Czas był zarówno moim sprzymierzeńcem, jak i wrogiem.

Tyle było do zrobienia, by przygotować się na nadchodzące miesiące, że dzień miał za mało godzin. Noce natomiast wydawały się ciągnąć w nieskończoność, kiedy leżałam sama w łóżu i wpatrywałam się w cienie rzucane na ścianę przez migoczące świece.

Razem z Ferdynandem ustaliliśmy skład Rady Królewskiej na podstawie kompetencji poszczególnych kandydatów. Nie poddaliśmy się presji arystokratycznej hierarchii. Szlachetna krew nie miała żadnego znaczenia, jeśli nie towarzyszyła jej gotowość do poświęceń na rzecz królestwa i wyraźny brak pychy. Wybitni Żydzi, tacy jak rabin Abraham Seneor, zajęli się naszym opustoszałym skarbcem. Wierny Cabrera zachował stanowisko zarządcy. Cárdenas został mianowany moim osobistym sekretarzem, a Chacón – naszym głównym koniuszym. Wysokie pozycje na dworze znalazło też kilku zaufanych aragońskich służących Ferdynanda, a wśród nich jego skarbnik, Santángel.

Oczywiście nie spodobało się to grandom, którzy podejrzewali, że naszym ostatecznym celem jest ograniczenie ich przywilejów. Od wieków mieli prawo wznosić twierdze i utrzymywać oddziały wasali. Dlatego, choć kortezy uznały nas za pełnoprawnych monarchów, nie wszystkie miasta się nam podporządkowały, a kilku szlachciców – w szczególności andaluzyjski markiz de Cádiz i Diego, nowy markiz de Villena – energicznie protestowało przeciw naszym rządom. Utrzymywali, że tron należy się Joannie la Beltranei.

Nieślubna córka królowej okazała się prawdziwym cierniem w naszej koronie. Szczególnie martwiły mnie doniesienia, że Diego de Villena próbował rzekomo wkraść się do zamku, w którym była przetrzymywana. Należało raczej zamknąć ją w klasztorze, choć pomimo obraźliwego przydomka la Beltraneja, który przylgnął do niej już na stałe, nadal była tylko dwunastoletnią dziewczynką, bez żadnej pozycji, nawet bez matki, która wprowadziłaby ją w zawilości życia. Chociaż od lat jej nie widziałam, nadal mi na niej zależało i ciągle pamiętałam ją jako ślicznego noworodka. Beatriz krytykowała moją wyrozumiałość, przypominając, że Joanna stanowi dla mnie zagrożenie, że jest figurantką, wokół której mogą zgromadzić się moi przeciwnicy. Nie zamierzałam jednak skazywać jej na niepotrzebne cierpienie, ponieważ niczym nie zawiniła. Pozostali wpływowi grandowie, tacy jak admirał czy markiz de Santillana, głowa potężnego rodu Mendozów, chętnie złożyli nam przysięgę wierności, zdając sobie sprawę, że kryzys w Kastylii trzeba rozwiązać, zanim kraj popadnie w całkowitą ruinę. Strategicznie ważne miasta, takie jak Medina del Campo, Ávila, Valladolid i Segovia, uznały moje wyłączne prawa do tronu.

Z żelazną determinacją angażowałam się we wszystkie przedsięwzięcia, nie dopuszczając, by osobiste zmartwienia wzięły nade mną górę. Oburzałam się, czytając z Ferdynandem raporty rozesłanych przez nas po królestwie urzędników, z których wyłaniał się obraz pełnego zepsucia kraju oraz skorumpowanego, rozwiązłego duchowieństwa. Słabe zbiory i targające Kastylią konflikty zubożyły naszych poddanych. Henryk pozwalał na hurtowe bicie monety, tak że pieniądź zupełnie stracił wartość i kupcy przestali przyjmować płatności gotówką, co doprowadziło do upadku handlu z zagranicą i opóźnień w spływaniu podatków do skarbcza. Ferdynand zaproponował, żebyśmy zostawili tylko pięć ze stu pięćdziesięciu mennic

i zreformowali cały system pobierania rent. Było to rozsądne, długoterminowe rozwiązanie, na które przystałam, a on zyskał uznanie w oczach naszych kastylijskich doradców.

Mimo że nasz plan uzdrowienia Kastylii przebiegał pomyślnie, ból spowodowany mężowską zdradą towarzyszył mi nieustannie. Przebywanie w towarzystwie Ferdynanda było męczarnią, choć nigdy nie dawałam tego po sobie poznać. Uśmiechałam się, uważnie słuchając wszystkiego, co mówi, i z nienaganną uprzejmością witałam razem z nim ambasadorów, którzy zjeżdżali się z całej Europy, przysłani przez ciekawskich władców. Wszyscy europejscy monarchowie chcieli jak najszybciej nas wybadać, ocenić, jak można zdobyć nad nami przewagę i jakie są nasze słabe punkty. Od pająka Ludwika Francuskiego po nikczemnego Alfonsa z Portugalii, od zasiadającego na tronie Piotrowym biskupa po zwaśnionych Plantagenetów z Anglii – z którymi zresztą byłam spokrewniona – wszyscy się uśmiechali, patrzyli i czekali. Jeśli odnieśliśmy sukces, czekała nas nagroda w postaci traktatów i sojuszy, które miały rozszerzyć strefę naszych wpływów i zapewnić nam mocną pozycję. Porażka uczyniłaby z nas padlinę.

Wiedziałam, że skoro cały świat przygląda się naszym pierwszym ostrożnym próbom rządzenia, muszę ukrywać swój ból. To nie był czas ani miejsce na osobiste słabości. Nadal jednak zdarzało się, że po kolacji w sali reprezentacyjnej Ferdynand niepewnie się do mnie zwracał i patrzył na mnie pytająco. Za każdym razem miałam ochotę kiwnąć głową, przebaczyć, ustąpić. Chciałam znów go poczuć, doświadczyć dotyku jego ciała. Moje cielesne pragnienia zawstydzaly mnie tak, że postanowiłam wypowiedzieć się u brata Talavery. Pouczył mnie, że grzechy męża nie zwalniają mnie ze świętego posłuszeństwa, które winna jestem Ferdynandowi jako żona. Fray Talavera nie posunął się tak daleko, by przypominać, jakie obowiązki ma królowa, ale doskonale zdawałam sobie sprawę, co sugeruje: choć nasza mała Izabela była zdrowa, lepiej niż ktokolwiek inny wiedziałam, że tragedia może wydarzyć się szybko i zupełnie niespodziewanie. Mieliśmy z Ferdynandem obowiązek zapewnić ciągłość naszej linii, wzmocnić nasze rządy czymś więcej niż tylko reformami.

Musiał się nam urodzić syn.

Ja jednak nie byłam w stanie ustąpić. Miałam wrażenie, że nie jestem sobą, że przerażona przyglądam się swoim poczynaniom jakby z boku. Wiedziałam, że odmawianie Ferdynandowi prowadzi donikąd, ale nie potrafiłam się przełamać. To, że nie błagał, że nie wpadał we wściekłość, tylko spokojnie dopijał wino i wracał do swoich komnat, stało się moją wymówką.

Mówiłam sobie, że kiedy przeprosi, kiedy otwarcie się pokaja, wtedy mu wybaczę. Doskonale wiedziałam jednak, że, tak samo jak ja, nie jest do tego zdolny – nie należeliśmy do ludzi, którzy mogli się płaszczyć, nawet przed sobą nawzajem. Ferdynand był skłonny przyjść do mnie, tylko jeśli dałabym mu do zrozumienia, że go przyjmę takiego, jaki jest.

Ten impas między nami mógł trwać w nieskończoność i zamienić nas w obcych sobie ludzi, którzy dzielą tylko dach nad głową, gdyby w grze nie pojawiły się wyższe siły.

A tak właśnie się stało.



Był kwiecień 1475 roku.

Pojechaliśmy do Valladolid, by wziąć udział w uroczystościach na cześć potężnego rodu Mendozów, który zamierzał oficjalnie nas poprzeć i zdusić wszelkie załamki buntu.

Mimo że nasz skarbiec świecił pustkami, nie poskapiłam złota na tę okazję – zdawałam

sobie sprawę, że tylko jeśli olśnimy rozmiłowanych w luksusie grandów, uda nam się przeciągnąć ich na swoją stronę. Jako że nasz program reform nabierał rozpędu, potrzebowaliśmy jak najszerszego poparcia.

Byłam uprzejma, ale czujna, kiedy szlachta zjechała się do miasta, by skorzystać z naszej hojności. Choć to Mendozowie wydawali ucztę, sama ułożyłam listę gości. Większość z nich zaprosiłam celowo właśnie dlatego, że nie złożyli nam jeszcze przysięgi. Kiedy podeszli przed nasze podium, dużo wysiłku kosztowało mnie ukrywanie konsternacji – zamożność, z którą się afiszowali, była zdumiewająca. Mieli podszyte złotogłowie płaszcze, a ich żony i córki tyle klejnotów, że można by za nie opłacić kilka armii. Najwyraźniej nie wszyscy w królestwie klepali biedę i cieszyłam się, że tym razem postanowiłam nie ograniczać wydatków. Było to bezwstydnym epatowaniem bogactwem, ale jako nowi władcy Kastylii nie mogliśmy dać się przyćmić.

Na odbywający się pod gołym niebem turniej włożyłam suknię wyszywaną szmaragdami i złotem, za którą zapłaciłam, sprzedając jeden ze swoich naszyjników. Miała rozcinane rękawy z karmazynową podszewką, gronostajowe wykończenia i rubiny na mankietach. Na włosy założyłam wyszywaną perłami siatkę. Ferdynand również wziął przykład z najzamożniejszych poddanych i wjechał na arenę we wspaniałej zbroi wykutej w Toledo. Na inkrustowanym złotem i srebrem lśniącym napierśniku miał nasz herb ze strzałami i jarzmem. Ścisnęło mi się serce, kiedy podjechawszy rumakiem przed podium, pokłonił mi się i zgodnie z tradycją czekał na znak uznania. W błyszczącej zbroi wyglądał zupełnie jak legendarny rycerz. Starając się zapomnieć o jego przewinach, przyglądałam się, jak w ferworze atakuje przeciwników i powala wszystkich co do jednego.

Kiedy na stojąco biłyśmy brawo, Beatriz szepnęła mi do ucha:

– Niezależnie od tego, co zrobił, nie zamierzasz chyba już zawsze mu odmawiać.

Spojrzałam na nią ostro. Tyle razy jej powtarzałam, że w miejscach publicznych musi się do mnie zwracać z uniżeniem, bo tylko wtedy krnąbrni szlachcice nauczą się, że nie jestem takim samym władcą jak mój zmarły brat. Mimo upomnień Beatriz mówiła, co chciała i kiedy chciała.

– No? – dodała, kładąc ręce na biodrach. – Czego ci więcej potrzeba? Właśnie skruszył dla ciebie kopię. Teraz sugeruję, żebyś dała jego lancy pochwę, zanim to zrobi jakaś ladacznica.

Zamarłam. Potem, ku mojemu ogromnemu zdziwieniu, ogarnęła mnie taka wesołość, że musiałam zaciskać usta, żeby nie wybuchnąć śmiechem na oczach całego dworu.

– Wysłać do niego wiadomość? – zapytała.

Uniosłam hardo brodę.

– Tak – syknęłam. – Ale zrób to dyskretnie. Nie chcę, żeby ktokolwiek wściubiał nos w moje sprawy.

Tamtego wieczoru ubrałam się niezwykle starannie w błękitny jedwab, po czym skropiłam nadgarstki i szyję kosztownym olejkiem z lawendy. Inés zapaliła tyle perfumowanych świec, że wystarczyłoby ich do oświetlenia katedry. W końcu powiedziałam jej, że o ile nie chce oślepić Ferdynanda, musi część zgasić.

Zdenerwowana usiadłam przed paleniskiem w towarzystwie swoich dwórek. Udawałyśmy, że wyszywamy, ale oczywiście koncentrowałyśmy się na nasłuchiwaniu odgłosów za drzwiami. Kiedy w końcu dobiegł nas dźwięk jego kroków, wszystkie wstałyśmy równocześnie.

Nie wiedziałam, czego się spodziewać, dopóki nie zobaczyłam go na progu – miał na sobie tunikę do kolan, tę samą co na uczcie, a jego twarz pozostawała w cieniu.

Serce zaczęło mi walić jak oszalałe.

Pokazał ręką w stronę drzwi.

– Damas, chcę pomówić z żoną na osobności.

Inés i Beatriz wyszły pospiesznie, zostawiając nas sam na sam po raz pierwszy od trzech długich miesięcy. Teraz, kiedy patrzyłam na jego posepną twarz, ten czas wydawał mi się wiecznością. Kiedy nasze spojrzenia się spotkały, zobaczyłam, że jego oczy są matowe, niemal zbolale.

– Izabelo – zaczął, a ja pokiwałam głową.

Spodziewałam się, że będzie dążył do pojednania, którego sama tak bardzo pragnęłam. Teraz jednak zdałam sobie sprawę, że nie jestem jeszcze na nie gotowa, bo jeśli ustąpię, dam mu do zrozumienia, że pochwalam to, co zrobił.

Jego następne słowa zupełnie mnie zaskoczyły. Czułam się tak, jakby dźgnął mnie sztyletem.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć. Alfons Portugalski wypowiedział nam wojnę.

Wpatrywałam się w męża, jakby wybełkotał coś niezrozumiałego.

– Nam? – zapytałam zdumiona. – Ale... dlaczego?

– La Beltraneja – odparł krótko. W jego spojrzeniu nie widziałam wyrzutu, choć, tak jak Beatriz, wielokrotnie radził mi, by ją uwięzić. – W zamian za pomoc w zdobyciu Kastylii zgodziła się poślubić Alfonsa i uczynić go królem. Ich zdaniem to ona jest prawowitą królową, a ty uzurpatorką.

– Ale przecież Alfons jest jej wujem! Poza tym ona jest w naszych rękach.

Ferdynand westchnął ciężko.

– Obawiam się, że już nie. Uciekła z de Villeną, korzystając z tego, że jesteśmy zajęci gdzie indziej. Markiz zawarł układ z Alfonsem, pozyskał dla ich sprawy też Cádiz w Andaluzji i wielkich mistrzów kalatrawensów i zakonu Alcántara. Zebrali przeciwko nam ogromną armię, prawie dwadzieścia tysięcy ludzi.

Chwyciłam za oparcie krzesła. Dwadzieścia tysięcy... nie mogłam sobie tego nawet wyobrazić. Takie siły znacznie przewyższały wojsko, które mogliśmy zebrać bez pomocy grandów.

– Rozmawiałem z Santillaną i admirałem – ciągnął Ferdynand. – Santillana oczywiście się obwinia, w końcu to w jednym z jego zamków rzekomo pilnowano Joanny. Mówi, że da nam tyłu wasali, ilu tylko uda mu się zebrać. Razem z admirałem będą jeszcze zachęcać resztę szlachty, żeby nas wsparła, ale, Izabelo, my nadal cię potrzebujemy.

– Mnie?

– Tak. To ty jesteś królową. Do ciebie należy wypowiedzenie Portugalii wojny. Jesteś też w stanie zebrać ludzi. Miasta, które nadal się wahają, mogą odpowiedzieć na twoje wezwanie. Jeśli chcemy pokonać Alfonsa, musimy zgromadzić jak największe wojsko. Mamy bardzo mało czasu na przygotowanie ofensywy.

Spojrzałam na swoje zbiegłe knykie i zmusiłam się do puszczenia oparcia. Nie mogłam poddać się panice. Rozumiałam wiszące nad nami zagrożenie – łatwo mogliśmy zostać unicestwieni. Portugalia była małym, ale silnym krajem, bo w przeciwieństwie do Kastylii, nie miała za sobą wielu lat grabieży i słabych rządów. Ponadto Alfons był zaprawionym w boju przywódcą, który rozgromił Berberów i niezwykle się przy tym wzbogacił. Musieliśmy działać szybko i uzyskać wystarczające wsparcie od grandów, żeby pokonać jego i de Villenę. W przeciwnym razie groziła nam utrata tronu.

– Oczywiście – odpowiedziałam cicho. – Natychmiast napiszę do miast. Roześlę dekryty, obietnice całkowitego ułaskawienia dla wszystkich więźniów i przestępców, którzy zgodzą się nas wesprzeć. Zrobię wszystko, co się da.

Kiwnął potakująco głową, jakby to rozumiało się samo przez się.

– Jest jeszcze coś, o czym powinnaś wiedzieć – powiedział, a ja zamarłam. – We wszystko zamieszany jest Carrillo. To on pomógł de Villenie uzyskać dostęp do la Beltranei. List, dzięki któremu markiza wpuszczono go zamku, podpisał Carrillo.

„Będiesz tego żałować...”

Kipiałam z wściekłości.

– W takim razie odpowie za to. Sama się o to zatroszczę.

– Nie. – Ferdynand zbliżył się do mnie gwałtownie i chwycił mnie za rękę. – Arcybiskup jest niebezpieczny. Nie ufam mu. Nigdy mu nie ufałem.

Znieruchomiałam. Nawet przez materiał sukni czułam ciepło jego dotyku.

– Nie odważy się mnie skrzywdzić – odparłam.

Choć starałam się przybrać hardy ton, głos mi się łamał, jednak nie ze strachu przed Carrilem tylko z powodu bliskości męża.

Spojrzał mi w oczy.

– Izabelo, ty nic nie rozumiesz. Jeśli cokolwiek by ci się stało, ja... ja bym tego nie zniósł. Nie przeżyłbym tego.

To niespodziewane wyznanie stopiło we mnie ostatnie lody. Podniosłam rękę i pogłaskałam go po gładkim policzku.

– Przeżyłbyś. Nie miałbyś wyboru. Co Kastylia by bez ciebie zrobiła?

Na razie stać mnie było tylko na takie wybaczenie i w tamtej chwili moje słowa nas wyzwoliły. Choć w ciemnych zakamarkach umysłu czaiła się myśl, że Ferdynand może znów mnie zdradzić, że mężczyzna taki jak on może być niezdolny do wierności, nie potrafiłam już dłużej silić się na wyniosłość. Postanowiłam, że już więcej nie będę próbowała go zmienić, przestanę udawać, że moje naciski doprowadzą do jakiejś cudownej metamorfozy mojego męża.

Niezależnie od tego, jaka przyszłość nas czekała, musieliśmy stawić jej czoła razem, jako mąż i żona.

– Kocham cię – wyszeptał, a na dłoni poczułam jego łzy, drogocenne niczym klejnoty. – Nie chciałem cię zranić. Nigdy bym cię nie skrzywdził ani nie oszukał naumyślnie.

– Wiem o tym.

Przyciągnęłam go do siebie, a on objął mnie w pasie. Położył głowę na mojej piersi i płakał cicho, podczas gdy ja głaskałam go po jasnych włosach. Wyczuwałam, że przeredziły się na czubku – tylko w tym jednym miejscu ujawniała się jego kruchość.

Rozmyślałam o tym, że z nas dwojga to ja jestem silniejsza. Ferdynand zsunął rękę do mojej talii i zaczął rozwiązywać mi suknię. Początkowo chciałam protestować – miałam silne zasady, które pozwalały mi przezwyciężyć grzeszną słabość ciała. Jednak kiedy poczułam jego podniecenie, gorące, głodne usta przyciskające się do mojej szyi, mnie samą ogarnął płomień.

Na kilka krótkich godzin przestałam myśleć.



Siedziałam na grzbiecie Caneli, przemierzając targaną wiatrami równinę, która dzieliła mnie od Alcali de Henares. Podróżowałam bez wytchnienia, mimo protestów Ferdynanda i obaw zgłaszanych przez admirała, który twierdził, że nasza pozycja może się osłabić, jeśli się rozdzielimy. Nie było jednak wyjścia. Ktoś z wystarczającym autorytetem musiał osobiście zagrozić miastu do walki. Kto mógł zrobić to lepiej niż ja, ich królowa? Ferdynand tymczasem – pełnoprawny władca, którego wyposażyłam w prerogatywy równe swoim – miał wypowiedzieć

wojnę i zacząć gromadzenie broni, bo dysponowaliśmy tylko niewielką jej ilością, na dodatek w złym stanie.

Powierzyliśmy opiekę nad Izabelą Beatriz i Cabrerze, polecając, by pod żadnym pozorem nie wyprowadzali jej z zamku. Teraz znalazłam się u bram miasta Carrilla. Gdyby udało mi się doprowadzić do konfrontacji, mógł ustąpić. Przyglądając się Cárdenasowi, którego wysłałam do pałacu arcybiskupa, żeby powiadomił go o moim przybyciu, i który teraz do mnie wracał, nie do końca wiedziałam jednak, czego się spodziewać. Powiew wiatru zerwał mu z głowy czapkę i potargał jasną czuprynę, ale mój sekretarz zupełnie to zignorował. Zbliżał się do mnie szybkim galopem, jakby po piętach deptały mu ogary.

Ścisnęłam mocno wodze, tak że Canela zaczął grzebać kopytem w twardej ziemi.

– No i co? – zapytałam, kiedy Cárdenas zatrzymał się przede mną.

Wiedziałam, że uważnie przygląda nam się cała świta: don Gonzalo, Inés, kilku dodatkowych sekretarzy i służących, których ze sobą zabrałam. Byli na tyle liczni, by podkreślić mój królewski status, ale nie zbyt liczni – tak by nie spowalniać podróży.

Cárdenas odpowiedział niepewnie:

– Mówi, że jeśli Wasza Wysokość wjedzie jedną bramą, on wyjedzie inną.

Siedziałam nieruchomo w siodle.

– Odmawia mi posłuszeństwa?

Cárdenas przytaknął, wyraźnie zakłopotany tym, że przynosi złe wieści.

– Dodał, że to on wyniósł Waszą Wysokość do obecnej pozycji, więc on może teraz was obalić.

Stojący obok mnie Chacón huknął:

– Ten tchórzliwy łotr zasługuje na stryczek! Dostanie, na co zasłużył, tak mi dopomóż Bóg. Osobiście zaciągnę go na szubienicę.

– Nie. – Wyciągnęłam rękę z udawanym spokojem.

Chacón zaprotestował:

– Majestad, jeśli teraz się z nim nie rozprawimy, to się nigdy nie skończy. To on ciągnie za wszystkie sznurki. Aresztowanie go będzie jak ostrzeżenie dla całej reszty.

Spojrzałam w kierunku miasta, na bastiony starej twierdzy, i myślałam o bocianach, które pewnie wiły gniazda na strzelniczych blankach.

– Już za późno – wyjaśniłam. – Nawet jeśli teraz każę go uwięzić, to, co się stało, już się nie odstanie. De Villena i la Beltraneja są na wolności, do Kastylii zbliżają się wojska portugalskie. Nie zamierzam tracić czasu na poszukiwania jednego człowieka, skoro mogę poświęcić go na kompletowanie armii.

Chacón zmarszczył brwi.

– W takim razie dokąd teraz jedziemy?

Zdecydowanie zwróciłam Canelę do wiatru.

– Do Toledo, diecezji Carrilla. Jeśli zjednamy sobie to miasto, arcybiskup straci źródło dochodów. Takiego ostrzeżenia nawet on nie będzie mógł zlekceważyć. – Wyszepiałam jeszcze cicho do siebie: – Wszchemogący Boże, uczyn mi królową. Bądź mi przychylny i otocz mnie opieką.

W Toledo spotkałam się z bardzo przychylnym przyjęciem. Miasto zaoferowało nam duży kontyngent żołnierzy oraz znaczne wsparcie finansowe na zakup broni. Poczułam ogromną ulgę, bo kapitulacja Toledo, kolebki kastylijskiego Kościoła i głównego źródła dochodów Carrilla, stanowiła zarówno strategiczne, jak i symboliczne zwycięstwo.

Moja walka wszelako dopiero się rozpoczęła. Trzeba było przekonać jeszcze kilka ważnych ośrodków, a wśród nich północne Burgos, które ze względu na swój status było

kluczowym elementem naszej obrony. By zjednać sobie poparcie jeszcze niezdecydowanych miast, musiałam odwiedzić je wszystkie, na klęczkach, jeśli to będzie konieczne. Należało zaapelować też do każdego większego miasteczka, gdyż nadal brakowało nam żołnierzy. Bardzo wielu.

Ferdynand przysłał pilną wiadomość, że Portugalczycy przekroczyli kastylijską granicę uzbrojeni po zęby. Miasto Plasencia w Estremadurze otwarło bramy najeźdźcom. To w tamtejszej monumentalnej katedrze nad rzeką Jerte w towarzystwie de Villeny i reszty zdrażliwych grandów doszło do zaręczyn Alfonsa V i la Beltranei. Na szczęście nie mogli się pobrać przed otrzymaniem papieskiej dyspensy, bo łączyło ich pokrewieństwo.

Ponieważ z własnego doświadczenia wiedziałam, jakie problemy może stwarzać uzyskanie papieskiego pozwolenia, napisałam do Watykanu list, w którym przedstawiłam argumenty na nieślubne pochodzenie Joanny (pozbawiające ją wszelkich praw do tronu) i poprosiłam Jego Świątobliwość, by nie uświęcał jej związku z królem Portugalii. Dołączyłam też prywatną notkę do kardynała Borgii, który pomógł mi uregulować kwestię mojego własnego małżeństwa. Obiecałam mu sowitą nagrodę, jeśli uda mu się przekonać papieża.

Komunikując się za pośrednictwem Cárdenasa, ustaliliśmy z Ferdynandem, że on rozpocznie ofensywę, podczas gdy ja nadal będę objeżdżać kraj w poszukiwaniu dodatkowych pieniędzy i rekrutów. Miałam odwiedzić Burgos, potem Ávila, a następnie spotkać się z mężem w twierdzy w Tordesillas, która była umocniona i łatwa do obrony.



Burgos opuściłam w strugach deszczu. Po prawie miesiącu negocjacji z upartymi urzędnikami, z których wielu obawiało się, że razem z Ferdynandem odbierzemy im stare przywileje feudalne, udało mi się uzyskać ich poparcie. Byłam rozdrażniona, niewyspana i tęskniłam za mężem. Na domiar złego po wieloletniej suszy niebiosa właśnie wtedy zdecydowały się otworzyć i zesłać długo gromadzoną wodę na spieczoną ziemię. W rezultacie rzeki wylały, a drogi zamieniły się w morza błota.

Nadmiar deszczu był prawie taką samą katastrofą jak jego brak – marne plony gniją, słabe korzonki duszą się i pleśnią w mokrej ziemi. Kastylię czekał kolejny rok bez ziarna, czas głodu i rozruchów w miasteczkach. Dla mnie bezpośrednim problemem było dotarcie do celu – w tym potopie mogło mi to zająć wiele tygodni. Kiedy patrzyłam prosto przed siebie na oślepiającą ścianę deszczu, z przyklejonym do głowy kapturem i przemoczoną suknią, czułam, jak narasta we mnie wzburzenie tak samo gwałtowne jak ulewa.

Jak Bóg mógł na to pozwolić? Dlaczego mnie opuścił? Kiedy zda sobie sprawę, że jestem gotowa poświęcić życie, żeby wypełnić jego wolę, którą przecież musiała być przyszła potęga Kastylii? Czy nie dość już wycierpiałam? Czy ta znękana ziemia nie wycisnęła z siebie już dość krwi, potu i łez? Czyż nie poświęciliśmy naszych synów, kobiet, gospodarstw – naszego pokoju? Czego on jeszcze od nas chce?

Czego więcej żąda ode mnie?

Nie zdawałam sobie sprawy, że krzyczę, dopóki własne słowa nie wróciły do mnie echem, któremu zawtórował grzmot pioruna. Przestraszony Canela wierzgnął i zaczął rzeć. Odwróciłam się i spojrzałam na swoją świtę. Wszyscy przyglądali mi się tak, jakbym straciła rozum.

– Wasza Wysokość jest przemęczona – odezwał się Chacón – Może powinniśmy

zawrócić.

– Zawrócić? Mowy nie ma! Jedziemy dalej i nie zatrzymamy się, dopóki...

Straszliwy skurcz w podbrzuszu sprawił, że nie byłam w stanie oddychać. Zgięłam się wpół na siodle, wypuściłam wodze i instynktownie położyłam ręce na brzuchu. Ból był jak szpony, które rozdzierały mnie od środka. Pewnie zaczęłam się przechylać, spadać z konia, bo resztkami świadomości, którymi nie zawładnął jeszcze ból, zarejestrowałam krzyk Chacóna, który zeskoczył z konia i podbiegł do Caneli, by chwycić wodze. Inés przycwalała i podtrzymała mnie, zanim ześlizgnęłam się na ziemię. Ogromnym wysiłkiem woli udało mi się wyprostować, choć zdezorientowana niewyobrażalnym bólem zdołałam złapać tylko za lęk.

A potem to poczułam – zaczęło się ze mnie lać coś lepkiego i ciepłego. Spojrzałam w dół i przyglądałam się oszołomiona, jak na sukni pojawia mi się karmazynowa plama. Skręcając się z bólu, myślałam z niedowierzaniem, że nie miałam pojęcia. Nawet nie podejrzewałam, że noszę w łonie dziecko...

Inés wrzasnęła:

– Królowa ma krwotok! Szybko, coś jej jest!

Spowila mnie ciemność. Bóg odpowiedział na moje pytanie.

– Wasza Wysokość musi odpoczywać – powiedział doktor Díaz, nasz nadworny medyk. Przyjechał galopem do miasteczka Cebreros, gdzie się zatrzymaliśmy, ledwie kilka mil od Ávila.

– Po mniej więcej tygodniu Wasza Wysokość powinna odzyskać siły.

– Ja... nie mogę – odparłam zbolalym głosem. – Ferdynand... Jestem mu potrzebna w Tordesillas.

– Król został poinformowany o tym, co was spotkało. Nie życzy sobie, żeby Wasza Wysokość więcej narażała swoje zdrowie.

Díaz odwrócił się ode mnie, jakby dyskusja dobiegła końca, i powiedział do Inés:

– Zostawiam ci ten wyciąg z ziół. Królowa musi brać zalecaną dawkę o wyznaczonych porach. Jeśli znów zacznie krwawić, ściśnij ją tak, jak ci pokazałem. Muszę jechać po lekarstwa do Ávila, ale wrócę najpóźniej jutro wieczorem.

– Już nas tu nie będzie – powiedziałam.

Inés wstała ze stołka. Czuwała przy mnie przez całą noc, kiedy w gorączce rzucałam się po łożu. Była wyczerpana, ale jej głos brzmiał zdecydowanie:

– Owszem, będziemy. Gracias, doktorze. Z Bogiem.

Kiwnął głową, włożył czapkę i ostatni raz skierował na mnie mądre brązowe oczy. Był człowiekiem uczonym, marranem, tak jak wielu naszych najlepszych lekarzy. Znał się zarówno na żydowskiej, jak i na mauretańskiej sztuce medycznej. Leczył moją córkę z katarów i innych drobnych dolegliwości. Właśnie ocalił mi życie. W tym celu musiał posłużyć się kuracjami zakazanymi przez Kościół, w którym dominowało przekonanie, że choroba ciała jest skutkiem grzesznej duszy, więc wyleczyć ją mogą tylko modlitwa i pokuta.

– Odpoczynek jest konieczny – powiedział jeszcze i wyszedł.

Inés przysunęła taboret do łoża, namoczyła szmatkę w stojącej na podłodze misce rumianku i położyła mi ciepły kompres na czole. Zamknęłam oczy. Zapach przypomniał dzieciństwo, upalne suche lata w Arévalo, gdzie roślina pleniła się niczym chwast.

W końcu zebrałam się na odwagę i zapytałam.

– Czy to był...?

Inés westchnęła.

– Było za wcześnie, żeby stwierdzić.

Rozdział dwudziesty czwarty



Krążyłam tam i z powrotem po swojej komnacie w Tordesillas. Znajdowała się w wysokiej wieży, jej okna wychodziły na wioskę noszącą tę samą nazwę co zamek, szeroką, mulistą rzekę Duero, a dalej, jak okiem sięgnąć, ogromną, pokrytą rdzawym pyłem mesetę. Gdzieś na tej równinie, w okopach pod Zamorą, Ferdynand walczył z Alfonssem V i jego armią.

Spotkaliśmy się ledwie na moment, kiedy, zignorowawszy zalecenia doktora Díaza, dokładnie dwa dni po stracie dziecka opuściłam Cebreros. Inés biegała koło mnie w popłochu, Chacón podnosił ojcowskie protesty, a Díaz ostrzegał, że może dojść do poważnych komplikacji. Nic do mnie nie trafiało. Zależało mi tylko na tym, by uciec z tej okropnej komnaty, w której wszystko przypominało mi o zgasłej nadziei. Czułam, że muszę wsiąść na konia, przejechać galopem przez swoje królestwo i znów zobaczyć twarz ukochanego.

Czekał na mnie w warowni. Niebo było burzowe, a ja, idąc po bruku w stronę Ferdynanda, już z daleka widziałam smutek na jego twarzy i w zapadniętych oczach. Wpadłam w objęcia męża, nie zważając na to, że przyglądają się nam żołnierze, urzędnicy, dworzanie i grandowie. Wtulając twarz w jego szyję, która pachniała solą i słońcem, wyszeptałam:

– Tak mi przykro. Jest mi tak bardzo przykro.

Objął mnie mocniej.

– Izabelo, moje kochanie, mój księżycu – co ja bym bez ciebie zrobił?

Nie zależało mu na dziecku, nie, jeśli miałabym przyplącić je życiem. Razem udaliśmy się do komnat, które kazał dla mnie przygotować – zdobiły je gobeliny i meble sprowadzone na jego rozkaz aż z Segovii.

– Nie powinienesz był tego robić – skarciłam go, choć oczy zaszczyły mi łzami. – Taki wydatek...

– Ech, co to jest kilka dodatkowych maravedís? – odparł z uśmiechem.

Kiedy tamtej nocy leżeliśmy przytuleni w łóżu, wsłuchując się w nieustający deszcz, który uderzał o mury zamku, Ferdynand zapewnił mnie, że Izabela miewa się dobrze. Beatriz i Andrés pilnowali jej w alkazarze, gdzie nic jej nie groziło. Nie rozmawialiśmy o siłach, które nas atakowały, ani o niebezpieczeństwie, przed którym nikt nie mógł nas ochronić. Oddawaliśmy się pieszczotom i pocałunkom. Upojeni swoim zapachem i dotykiem zawarliśmy milczącą zgodę, że już nigdy nie będziemy wspominać o stracie, która dla nas obojga była tak dotkliwa.

Ferdynand wyruszył przed świtem, odziany w zbroję, na czele naprędce zebranej armii złożonej z wasali, służących, ochotników z odległych wiosek, furmanów, giermków, mieszczan, drobnej szlachty i więźniów, którym skrócono wyroki, tak by mogli walczyć w obronie Kastylii. Przejeżdżając przez most zwodzony w otoczeniu łopoczących sztandarów, na których wyhaftowano strzały i jarzmo, mój mąż odwrócił się i podniósł dłoń w rękawicy.

– Izabelo, mi amor! – zawołał. – Czekaj na mnie!

Czekałam zatem przez wiele tygodni, podczas gdy wilgotny czerwiec ustąpił miejsca upalnemu lipcowi. Posłańcy kursujący nieustannie między zamkiem a obozem Ferdynanda informowali mnie o wszystkim. To od nich dowiedziałam się, że Alfons tchórzliwie chowa się za murami niezdobytej twierdzy Zamora i odmawia jej opuszczenia. Nie chciał stanąć do walki, choć Ferdynand wyzwał go na pojedynek. Naszym żołnierzom pozostało tylko kopanie okopów

i zatrucie studni. Czekanie trwało tak długo, że naszym wojskom zaczynało brakować zarówno zapasów, jak i cierpliwości, tak że ofensywa przygotowana dzięki nadziei, pożyczkom i sile woli zaczęła tracić impet.

– Daj nam zwycięstwo – modliłam się. – Pozwól nam zatriumfować. Zabrałeś mi dziecko, więc teraz daj mi chociaż to.

Nadal się nie nauczyłam, że targi z Wszechmogącym ściągają tylko jego gniew.

22 lipca, kiedy przebywałam w zamku w Tordesillas, przyniesiono mi wiadomość nabazgraną pismem, którego początkowo nie rozpoznałam. W miarę jak czytałam, rosło moje przerażenie. Podniosłam wzrok na wyczerpanego posłańca i powiedziałam ostrym jak brzytwa tonem:

– Wracaj, skąd przyjechałeś. Przekaż królowi, że się nie zgadzam. Nie możemy oddać im ani jednej kastyljskiej wieży.

– Majestad – odparł kurier, kuląc ramiona – już za późno. Portugalczycy zajęli Toro i odcięli dostawy dla naszej armii. Naszym ludziom brakowało świeżej wody i jedzenia. W obozie wybuchła biegunka. Chorzy żołnierze zaczęli przebąkiwać o porzuceniu naszej sprawy i przejściu na stronę Portugalii. Zanim zdążyli zdezerterować, król zarządził odwrót. Właśnie tu wracają.

Poszarpana kartka z wiadomością spadła na ziemię.

– Przynieście mi kapelusz – zawołałam. – I osiodłajcie konia!

Upał, który panował na zewnątrz, był jak demon ziejący piekielnym ogniem, tak że miałam trudności ze złapaniem oddechu. Przejechałam przez most zwodzony, a następnie pogalopowałam opadającą w dół drogą, która wiodła obok wioski i przez groblę na rozpaloną słońcem równinę. Kazałam ustawić tam baldachim, przenośny tron i stolik. Canela, podobnie jak moi sekretarze i Inés, ciężko dyszał. A ja czekałam. Czarka wody stała na blacie nietknięta. Mijały godziny. Kiedy nad mesetą pojawił się fioletowy zmierzch, w końcu na czerwonej linii horyzontu zauważyłam zabiedzonych żołnierzy posuwających się powoli w moją stronę.

Dosiadłam Caneli i zdecydowanym ruchem dłoni zabroniłam, by ktokolwiek mi towarzyszył. Sama wyruszyłam na spotkanie powracającej armii, na czele której jechał Ferdynand z admirałem. Skrajne zmęczenie malowało się na ich twarzach, mieli spaloną słońcem, łuszczącą się skórę oraz skołtunione, brudne włosy. W sakwach przyczepionych do boków zdrożonych koni pobrzękiwały pancerze.

To właśnie dźwięk porzuconych zbroi, nienaznaczonych krwią naszego wroga, najbardziej mnie rozżłościł.

Ferdynand podniósł oczy i bardzo się zdziwił na mój widok. Potem pognał naprzód, jakby chciał maksymalnie oddalić się od wpatrzonych w nas grandów i kłótliwych żołnierzy – to ich brak wiary skazał nas na porażkę, jeszcze zanim zaatakowaliśmy jakiegokolwiek Portugalczyka.

– Izabelo – zaczął z wahaniem Ferdynand. – Ja... nie mieliśmy wyboru. Zaparli się i nie chcieli opuścić miasta. Ukryli się za szanćami Zamory i zasypywali nas gradem strzał, kamieniami, własnym łajnem. – Głos mu drżał z upokorzenia. – Alfons stał na blankach i się śmiał – szydził ze mnie! Powiedział, że byłby lepszym królem na nocniku niż ja na tronie Kastylii. Odrzucił propozycję pojedynku. Stwierdził, że woli poczekać i popatrzeć, jak zdychamy powoli, niczym muchy uduszone jego gównem.

Przez dłuższą chwilę patrzyłam mu w oczy. Chciałam wzbudzić w sobie współczucie, wykrzesać cokolwiek z grobowca, w którym wcześniej znajdowało się moje serce. Zamiast tego powiedziałam chłodno:

– Nie powinieneś być wracać. Nie, kiedy Alfons ma choć jedną kastyljską wieżę. Zmrużył oczy.

– Co miałem zrobić? Nie mieliśmy machin oblężniczych, armat, prochu. Wiedziałaś o tym. Od samego początku byliśmy zupełnie nieprzygotowani do walki.

– To bez znaczenia. – Uderzyłam się w pierś. – Bóg jest po naszej stronie. To my mamy rację, nie ci, którzy przyjechali zabrać, co do nich nie należy. Miałeś wiarę i armię jak nasza, jak mogłeś pozwolić, by drwiny Alfonsa Portugalskiego pozbawiły cię odwagi, która popycha mężów do walki?

Wzdrygnął się, a jego ton zrobił się ostrzejszy:

– Izabelo, ostrzegam cię. Skończ już z tym. Nie było cię tam. Nic nie rozumiesz.

Do mnie jednak nie docierały już jego słowa, nie myślałam rozsądnie. Miałam wrażenie, że wszystkie obelgi, lęki i ucieczki, wszystko, co musiałam znosić od dzieciństwa, stopiło się w jedno wielkie, dotkliwe upokorzenie – w tę nieprawdopodobną chwilę, kiedy mój mąż, słynny aragoński wojownik, podkulił ogon i uciekł przed wrogiem, którego jedynym celem było odebranie nam tronu.

– Możesz sobie mówić, że nic nie rozumiem – odparłam. – Wielu mężczyzn uważa, że kobiety nie mogą się wypowiadać w sprawach wojny, bo nie narażają życia na polach bitewnych. Ale wiedz, że nikt nie ryzykuje bardziej niż ja, bo narażam swojego męża i króla, którego kocham ponad życie. – Głos mi się łamał. – Dla dobra tego królestwa położyłam na szali swoje serce, wiedząc, że jeśli przegramy, mogę stracić wszystko. – Moje słowa niosły się po cichej równinie. Nasze wojska stały nieruchomo – długie szeregi ludzi, twarzy, których nie znałam. Ferdynand siedział nieruchomo na swoim ogierze, a jego twarz przybrała wyraz kamiennej maski. – Gdybyś zgodnie z moją wolą zburzył mury Zamory, pozbylibyśmy się Portugalczyków z naszego królestwa i nie znaleźlibyśmy się w tak haniebnym położeniu.

Uderzył rękami w siodło, a jego koń zaczął nerwowo skrobać kopytem o ziemię.

– Nie wierzę. Po tym wszystkim, przez co przeszliśmy, narzekasz, bo wróciliśmy cali? Może nie wygraliśmy bitwy, ale jej też nie przegraliśmy.

– Nie? – odparowałam. – Może twoim zdaniem porażka też jest chwalebna, ale mnie zadowoli tylko zwycięstwo.

Jak tylko skończyłam mówić, zdałam sobie sprawę, że posunęłam się za daleko. Twarz mu skamieniała.

– No cóż – powiedział cicho. – W takim razie obawiam się, że czeka nas ciężka przeprawa, bo wygląda na to, że nie zadowolisz się wysiłkami zwykłego śmiertelnika.

Jego głos przebił się przez opary mojego gniewu i przywołał mnie do rzeczywistości. Dopiero wtedy zdałam sobie sprawę, co widzę – naszą armię, zabiedzoną i obdartą, ale, co próbował mi uświadomić, nadal całą, samego Ferdynanda, żywego, a nie leżącego gdzieś na stosie trupów. Wyprostował się w siodle, a ja znów zobaczyłam księcia, którego wybrałam ze względu na jego odwagę i który tyle razy walczył w obronie swojej ojczyzny. Był królem, który dziś podjął najtrudniejszą decyzję, by jutro oszczędzić nam ofiar. Był też moim mężem, człowiekiem, który z miłości do mnie i mojego królestwa ruszył na wojnę z naszym wrogiem, gotów, jeśli to konieczne, umrzeć za Kastylię.

Z bolesną świadomością spjrzałam w stronę równiny. Dopiero wtedy zauważyłam utrudzonego admirała, który przyglądał mi się z konsternacją, i żołnierzy, dzielnych wojowników, wyniszczonych biegunką, głodem i upałem. W ich oczach widziałam respekt, ale i rozczarowanie, które ścisnęło mi serce. Byłam ich królową, ale zamiast cieszyć się, że wrócili cało, karciałam ich za to, że nie chcieli zginąć.

Miałam ochotę zapaść się pod ziemię. Czy Ferdynand miał rację? Czy jakiegokolwiek wysiłki, przede wszystkim moje własne, są w stanie mnie zadowolić?

– Wybacz mi – wyszeptalam do Ferdynanda i zmusiałam się, by spojrzeć mu w oczy.

Bałam się, że będzie zimny, że oddali się ode mnie, być może na zawsze. Skrytykowałam go przed jego ludźmi, co dla dowódcy jest największą obelgą. Miał prawo mnie winić, ale zdecydował, choć niechętnie, okazać mi zrozumienie, jakby doskonale znał źródło mojego gniewu.

– Nie ma czego wybaczać – odparł. – Wykażmy pokorę w obliczu Stwórcy, przed którym nawet najpotężniejsi są słabi, tak aby w godzinie próby okazał nam łaskę.

Głos uwiązał mi w gardle. Zabrakło mi słów – żadne nie wydawały się odpowiednie, by wymazać te, które tak bezmyślnie wypowiedziałam. Zawróciłam Canelę i razem z Ferdynandem ruszyliśmy do zamku, a wojsko podążyło za nami.



Zwołaliśmy zebranie korteżów do Valladolid, gdzie przedstawiłam żarliwy apel o pomoc. Na ziemiach kastylijskich stacjonowała teraz obca armia, która chciała nas zniszczyć. Reprezentanci miast, zubożałych po poprzednich darowiznach, nie przyznali nam jednak nowych funduszy. „Pozostał nam tylko Kościół” – stwierdził kardynał de Mendoza, kiedy z czerwonymi od niewyspania oczami siedzieliśmy na zebraniu Rady Królewskiej. Jeśli ogłosiłabym, że władze kościelne muszą przekazać nam połowę swojego złota i srebra na ochronę królestwa, moglibyśmy przetopić kruszce na niezbędne monety. W przeciwnym razie czekały nas układy z Alfonsem i de Villeną.

– Mowy nie ma – stwierdził kategorycznie Ferdynand. Spojrzał na mnie, dodając: – Ani jednej wieży, pamiętasz? Nie możemy oddać im nawet jednej wieży.

Musiałam powstrzymać się od uśmiechu. Konfrontacja w Tordesillas okazała się punktem zwrotnym naszego małżeństwa. Choć zachowałam się zbyt buńczucznie i ostentacyjnie, dałam mu do zrozumienia, że jestem gotowa sama przywdziać zbroję i chwycić za miecz, że jeśli będzie trzeba, nie zawaham się poświęcić życia w obronie swojego królestwa. Odkrycie tej strony mojej osobowości rozbudziło w nim płomień pożądania – posiadał mnie w sypialni tak namiętnie, że jeszcze długo byłam obolała. Co ciekawe, zaczął też dopuszczać do sytuacji takich jak ta, kiedy podjęcie ostatecznej decyzji pozostawiał w moich rękach – rękach, które uważał teraz za tak samo sprawne jak u mężczyzny.

– Rzymowi się to nie spodoba – odparłam ostrożnie. – Jego Świątobliwość nie udzielił jeszcze dyspensy, której Alfons potrzebuje do poślubienia Joanny la Beltranei. Jeśli skonfiskujemy dobra kościelne, może rychło to uczynić.

Z twarzy kardynała wyczytałam, że się ze mną zgadza.

– Owszem, może tak zrobić, ale Jego Świątobliwość zostanie poinformowany, że w jego własnym interesie leży zwycięstwo Waszych Wysokości, ponieważ zobowiązujecie się przez kolejne lata być gorliwymi i szczodrymi krzewicielami wiary.

Uczyniona przez de Mendozę aluzja była przejrzysta, ale ogarnięty zapałem zdobywania nowych środków Ferdynand jej nie rozumiał.

– Tak – powiedział mój mąż. – Oczywiście, że się zobowiązemy. Spiszcie to wszystko. – Spojrzał mi w oczy. – Izabelo, co sądzisz? Potrzebujemy armat, prochu, najnowszego uzbrojenia. Można je zamówić z Niemiec i Włoch, ale będą chcieli zapłaty z góry. To nasza jedyna nadzieja.

Wiedziałam, że ma rację, ale mimo wszystko byłam niechętna takiemu rozwiązaniu. Nie chciałam zadłużać się wobec Kościoła, ponieważ nawet najskrupulatniej wypełnione zobowiązania pociągają ukryte odsetki. Brak nowych funduszy był jednak prawie równoznaczny

z detronizacją. Mogliśmy nadal gnębić Portugalczyków, co czyniliśmy od czasu odwrotu, odcinając im dostawy i podpalając okoliczne pola, żeby nie mieli czego plądrować – praktycznie więziliśmy ich w Zamorze, Toro i kilku innych miastach Estremadury, które zdobyli. Nie byliśmy jednak w stanie się ich pozbyć. Mnożyli się jak robactwo, roznoszące chorobę niezgody. W końcu uda im się osłabić opór naszych poddanych. Stopniowo ich obecność przestanie wzbudzać protesty, może nawet staną się mile widziani, jeśli złożą wystarczająco szczodre obietnice.

Gdyby do tego doszło, Alfons i la Beltraneja zwyciężą. Dopilnują, żebyśmy z Ferdynandem zostali pojmani albo nawet zabici, i sami zawładną Kastylią.

Skinęłam niechętnie głową.

– Niech tak będzie. Ale tylko pod pewnymi warunkami: spłacimy cały dług najpóźniej za trzy lata, a każdy wybity maravedí pójdzie na finansowanie wojny. Ani jeden nie trafi do naszej prywatnej kasy.

Kardynał pochylił głowę, sygnalizując swoją aprobatę. Ferdynand wstał energicznie i nachyliwszy się w moją stronę, wyszeptał:

– Zmiotę tych łajdaków z powierzchni ziemi.

Mówił poważnie. Kierowały nim wstyd i wściekłość. Jeszcze nigdy Ferdynand Aragoński nie musiał nikogo o nic prosić. Teraz rzucił się w wir wyposażania armii – niezmordowanie sprawdzał inwentarze, nadzorował zakupy broni, odbierał nowe dostawy i organizował ich bezpieczny transport z portów do naszych obozów.

Ja natomiast zajęłam się zaopatrzeniem w żywność, zaciągiem i szkoleniami. Zawierałam umowy z grandami, wysłałam nawet Cárdenasa do kalifa Grenady, któremu złożyłam pisemną obietnicę, że nie będziemy nękać Maurów w ich królestwie i że osobiście zrekompensuję im krzywdę, jeśli andaluzyjscy grandowie naruszą granice kalifatu. W zamian za to kalif przysłał mi cztery tysiące swoich najlepszych konnych łuczników – każdy z nich był w stanie wystrzelić sto strzał, jedna za drugą.

Ciężka praca do późna bardzo mi odpowiadała – tak samo jak Ferdynand kipiałam z wściekłości z powodu zniewagi, która nas spotkała. Resztki współczucia dla Joanny zgasły we mnie w czasie tych gorączkowych miesięcy, kiedy razem z mężem poświęcaliśmy każdą minutę na obronę tego, co ona tak bezdusznie ofiarowała Alfonsowi.

Czasem przez długie miesiące nie widziałam Izabeli, ale utrzymywałam z Beatriz regularną korespondencję. Zaniechałam czytania i wyszywania, porzuciłam wszelkie kobiece zajęcia, które zawsze sprawiały mi wielką przyjemność. Odbyłam krótką podróż do Arévalo z nowym kontyngentem strażników, bo wcale by mnie nie zdziwiło, gdyby de Villena próbował zrównać zamek z ziemią. Na miejscu zastałam domowników szarych jak popiół, zupełnie odizolowanych od świata. Prawie nie zdawali sobie sprawy z szalejącej za murami Arévalo zawieruchy, której jedyną oznaką były dla nich nieustanne kłopoty z aprowizacją. Matka początkowo zachowywała się tak, jakbyśmy widziały się przed tygodniem, a potem, popadając w zwyczajowe delirium, zupełnie zapomniała, kim jestem. Doña Clara, powykęcana i wyraźnie słabnąca, nie przyjęła mojej propozycji zakończenia służby – upierała się, że chce umrzeć u stóp mojej matki, do końca pełniąc przy niej posługę. Nie miałam wątpliwości, że tak właśnie będzie. Mimo wszystko do cięższych prac najęłam kilka okolicznych wieśniaczek. Miałam cichą nadzieję, że może przyszedł już czas, by zabrać matkę na dwór, gdzie przyjęłaby należną jej rolę królowej wdowy, a ja mogłabym otoczyć ją lepszą opieką. Podczas wizyty z bólem serca zdałam sobie jednak sprawę, że matka już nigdy nie będzie nadawała się do publicznego życia. Nie mogłam ryzykować – nie mogłam dopuścić, by mówiono, że pochodzę z rodziny dotkniętej szaleństwem, ani zaprzepaścić szans Izabeli na korzystne małżeństwo. Chociaż plotka

niewątpliwie się rozejdzie, nikt nie mógł zobaczyć żywego dowodu. Wiedziałam, że matka musi do śmierci pozostać w Arévalo, zapomniana przez wszystkich. Opuszczając zamek, czułam się dezorientowana, jak zawsze przy powrotach do domu. Towarzyszyło mi też głębokie poczucie winy, bo skazałam własną matkę na życie w izolacji. Zrobiłam to wszakże dla dobra jej samej i całej Kastylii.

Boże Narodzenie obchodziliśmy skromnie. Zima uniemożliwiła jakkolwiek walkę zbrojną, więc Ferdynand, korzystając z tymczasowego spokoju, wyruszył do Walencji po oddział aragońskich żołnierzy, który miał zasilić nasze szeregi. Ja natomiast w końcu pojechałam do Segovii na spotkanie z Izabelą. Miała już prawie pięć lat i wyglądała przecudnie – jasne włosy lśniły jej jak złoto, a turkusowozielone oczy przypomniały oczy mojej matki. Do szczęścia wystarczyły mi zimowe spacerunki po ogrodach alkazaru z Beatriz. Obie byłyśmy opatulone futrami, a mała Izabela biegała wokół nas oczarowana magią śniegu. W tym czasie udawałam, że nie mam innych zmartwień oprócz tego, czy rozpalono już na palenisku.

Niestety, nieubłaganie przyszedł Nowy Rok i jeszcze zanim nastąpiła odwilż, Ferdynand wyruszył na wojnę z nowo wyposażonymi i świetnie przećwiczonymi oddziałami. Naszą kawalerię wzmocnili waleczni Maurowie na niskich genetach. Zaprzężone w muły wozy obciążone były niemieckimi działami i prochem z Italii. Za podążającą krętymi drogami procesją zakutych w żelazo uzbrojonych żołnierzy niczym ociężałe olbrzymie ciągnięto naoliwione maszyny oblężnicze i katapulty.

Początek wojny był obiecujący. Wielomiesięczna przerwa rozleniwiła Portugalczyków, którzy spaśli się na tym, co zagrabili w naszych miastach, tak że Ferdynand szybko opanował Zamorę. Wściekły Alfons przyznał z sąsiedniego Toro i naprędce zarządził atak. Potyczka ta miała odwrócić naszą uwagę, podczas gdy jego przebiegły syn wymykał się przez kontrolowaną granicę. Byłam zaskoczona i wściekła, kiedy okazało się, że wrócił z Portugalii z posiłkami. Niespodziewanie armię, którą z takim mozolem zbieraliśmy przez osiem miesięcy, otoczył ze wszystkich stron ocean wrogiego, znacznie liczniejszego wojska.

Ferdynand zarządził pospieszny odwrót za masywne mury Zamory. Ja natychmiast wysłałam oddziały rezerwowe, które miały nękać Portugalczyków i wypchnąć ich z powrotem do Toro. Miałam nadzieję, że dzięki temu do Ferdynanda będzie należeć pierwsza salwa. Po trzech tygodniach drobnych utarczek i wzajemnego obrzucania się obelgami przez miejskie mury stało się jednak jasne, że choć uwięziony w Toro zmarznięty Alfons nie wygrywa, my też nie zbliżamy się do zwycięstwa. Na domiar złego pożyczone z kościelnego skarbcza pieniądze szybko się wyczerpywały, a Ferdynandowi i jego ludziom, zabarykadowanym w Zamorze, którą wcześniej ogołocili Portugalczycy, zaczynał doskwierać głód. Komunikacja między nami była prawie niemożliwa, ale jednemu czy dwóm posłańcom udało się do mnie dotrzeć.

„Jeśli wkrótce nic się nie zmieni, będziemy musieli zacząć jeść nasze konie”.

Wiedziałam, że tym razem prędzej to właśnie zrobi, niż się podda. Rozkazałam zająć bądź zburzyć wszystkie zamki w promieniu stu mil od Zamory i Toro. Następnie ustawiłam garnizony na wszystkich rozstajach, by zablokować Portugalczykom wszelkie drogi ucieczki z wyjątkiem tej, którą przybyli. Ogłosiłam też, że wszyscy mężczyźni, kobiety i dzieci, z chłopstwa czy ze szlachty, skończą na stryczku, jeśli dadzą najeźdźcy choćby okruszynę chleba.

Noce spędzałam przy kapiących świecach, zdrętwiałymi palcami pisząc niezliczone listy do grandów, petycje do miast i odezwy do ludności, by odeprzeć jakiegokolwiek myśli o rozejmie z Portugalczykami. Chadzałam też do kaplicy i długo klęczałam przed ołtarzem. Nie zносиłam żadnych prośb, nie targowałam się, nie składałam żadnych obietnic. Zamykałam tylko oczy i pozwalałam, by ogarniała mnie głęboka, niczym niezmacona cisza.

Prawie nie sypiałam, a kiedy już udawało mi się zasnąć, w moich snach pojawiały się stary okrzyk bojowy: „Santiago!”, zagłuszany przez szcęk mieczy i końskie rzenie, oraz poczucie zapadania się, kiedy ziemia pod stopami zamieniała się w grzęzawisko krwi i błota. Budziłam się zdyszana, kurczowo ściskając prześcieradło.

Bałam się, że go stracę. Mój mąż mógł zginąć.

W pewien wietrzny marcowy poranek, prawie dwa miesiące od przejścia przez Ferdynanda Zamory, Inés przyprowadziła do mnie posłańca. Był jeszcze dzieckiem, najwyżej dwunastoletnim. Kiedy rzucił się przede mną na kolana, przemoczony do suchej nitki przez szalejącą ulewę, zwróciłam uwagę, sama nie wiem dlaczego, na jego płaszcz – był tak brudny, że nie dało się określić jego koloru.

– Majestad – wyszeptał głosem wskazującym na skrajne wyczerpanie i podał mi skrawek papieru poplamiony błotem i czymś rdzawym.

Kiedy brałam go do ręki, musiałam przypominać sobie o oddychaniu.

Nie miał pieczęci. Czując na sobie nerwowe spojrzenie Inés, stanęłam przy oknie i podniosłam papier do bladego światła. Odczekałam chwilę. Powtarzałam sobie, że niezależnie od tego, czego dotyczy wiadomość, nie mogę się załamać. Nie mogę zemdleć ani płakać. Muszę być silna. Tego właśnie oczekuje ode mnie Ferdynand i sama tego bym od niego wymagała.

Rozłożyłam karteluszek i odczytałam trzy słowa:

Zwycięstwo jest nasze.

Natychmiast wyjechałam mu na spotkanie. Dowiedziałam się już, że Alfons zarządził odwrót, ponieważ odcięłam mu dostawy zaopatrzenia, a zburzenie sąsiednich zamków pozbawiło Portugalczyków szans na schronienie się gdzie indziej. Ferdynand ruszył za nimi. Do starcia doszło na nadrzecznych mokradłach, gdzie nasi ludzie walczyli tak zaciekle, że choć mniej liczni, odnieśli miażdżące zwycięstwo.

Alfons czmychnął przez granicę do swojego królestwa, lamentując nad stratami – poległa ponad połowa jego żołnierzy, a ich broń i przedmioty osobiste trafiły do naszego skarbcza. Później odkryłam, że również Joanna la Beltraneja uciekła do Portugalii w poszukiwaniu azylu na dworze narzeczonego. Przysięgam, że nie dopuszczę, by kiedykolwiek postawiła stopę na kastylijskiej ziemi, chyba że przyjechałaby jako mój więzień.

Kiedy na podwyższeniu z surowego drewna, które ustawiono niedaleko pola bitwy, zobaczyłam Ferdynanda – wymizerowanego, ale z uśmiechem na twarzy, w szacie ze wspaniałego czerwonego adamaszku, z podniesioną głową i miną człowieka, który udowodnił swoją wartość – z trudem powstrzymałam się, by nie puścić się do niego galopem. Tym razem spotykaliśmy się jednak w ceremonialnej atmosferze, której wymagało jego waleczne zwycięstwo. Chwyciliśmy się za ręce i razem zwróciliśmy się do rozentuzjasmowanych żołnierzy, by przyjąć podarty sztandar Portugalii. Człowiek, który go nosił, oddał życie w jego obronie, rozszarpany na polu bitwy. Obiecałam złożyć chorągiew jako wotum w nowej katedrze w Toledo, by w ten sposób upamiętnić nasze zwycięstwo. Później wysłuchaliśmy mszy w intencji poległych i ruszyliśmy do Segovii, gdzie czekała na nas córka wraz z całym dworem.

Kastylija w końcu była nasza.

Rozdział dwudziesty piąty



Mauretańska mądrość głosi, że każdy mężczyzna musi przed śmiercią zobaczyć Sewillę. Moim zdaniem dotyczy to także kobiet, a latem 1477 roku w końcu dostałam swoją szansę.

Poprzedni rok był czasem nieprzerwanej pracy, ponieważ razem z Ferdynandem musieliśmy uregulować sytuację po wojnie portugalskiej. Jeździliśmy nieustannie po kraju i karaliśmy zdradzieckich grandów, którzy potajemnie wspierali Alfonsa – burzyliśmy im zamki, pozbawiając ich tym samym luksusowych fortec, w których mogliby się schować. Zbyt wiele prywatnych twierdz wyrosło na kastylijskiej ziemi podczas bezprawia za panowania mojego ojca i Henryka – niektórzy grandowie nadal uważali się za ważniejszych niż sam monarcha. Niczym feudalni watażkowie zbierali haracze z okolicznych wiosek, a cały kraj upstrzony był wznoszonymi przez nich orlimi gniazdami, które obsadzali wierną tylko sobie załogą. Niektórzy zignorowali nawet nasze powołanie pod broń po najeździe Portugalczyków. Zaraz po wojnie postanowiliśmy z Ferdynandem dać im nauczkę, którą zapamiętają na długo. Ogłosiliśmy, że w Kastylii mogą pozostać tylko zamki, które uzyskają nasze oficjalne pozwolenie. Jeśli grandowie sami nie wyburzą swoich nielegalnych fortec, my ich w tym wyręczymy, ale właściciel zostanie obciążony wysoką grzywną i ukarany.

Zwołaliśmy też kortezy, by kontynuować reformy systemu podatkowego i prawa oraz odnowić Santa Hermandad, bractwa samoobrony mające za zadanie egzekwowanie prawa. Hermandady, jak wiele instytucji w Kastylii, pogrążone były w chaosie. Dzięki nim chcieliśmy zaprowadzić porządek w odległych prowincjach – bractwa miały ścigać nieuczciwych kupców oraz innych złoczyńców. Stopniowo, miasto po mieście, miasteczko po miasteczku, wioska po wiosce – czasem wydawało się nawet, że kamień po kamieniu – przejęliśmy władzę nad całą Kastylią.

Złajany i porzucony przez portugalskich sojuszników Diego de Villena przybył na dwór, by na kolanach błagać nas o wybaczenie. Groziła mu utrata wszystkiego, a w przeciwieństwie do ojca, nie mógł liczyć na kapryśnego Henryka. Choć zdaniem Ferdynanda powinien zapłacić za zdradę głową, ja obstawałam za tym, by przywrócić go do łask – okazując mu litość, udowodnimy, że stać nas na wielkoduszność nawet w obliczu otwartej zdrady, i tym samym zyskamy lojalność grandów. Była to ryzykowna decyzja, ale opłaciło się – niedługo potem kilku szlachciców, którzy wcześniej odmawiali spełnienia rozkazu dotyczącego zmniejszenia swoich włości, poprosiło o audiencję i choć z ociąganiem, złożyło nam przysięgę wierności.

Co się tyczy Carrilla, to arcybiskup wyraził skruchę. Nie miałam wyboru, mogłam tylko nakazać mu, pod rygorem więzienia, porzucenie wszelkich ziemskich uciech i zamieszkanie na stałe w klasztorze San Francisco w Alcali. Arcybiskup, który sam zgotował sobie klęskę, który został opuszczony przez wszystkich łącznie ze służącymi i który ciemną nocą próbował uciekać z resztkami dobytku, nie mógł pozwolić sobie na nieposłuszeństwo. Pod eskortą straży udał się do klasztoru, w którym miał dożyć końca swoich dni w ubóstwie i zapomnieniu. Choć żałowałam, że śmiały duchowny i odważny wojownik upadł tak nisko, bo nie umiał się podporządkować, nie okazałam mu miłosierdzia. W przeciwieństwie do de Villeny, którego do sojuszu z Alfonsem Portugalskim popchnęły młodzieńcza zuchwałość i lekkomyślność, Carrillo świadomie mścił się na mnie za to, że wybrałam na doradcę Ferdynanda, a nie jego. Tym razem

nie mogło być mowy o przebaczeniu.

Mimo że na dobre wyzwoliłam się od arcybiskupa, a realizacja naszego planu obudowy królestwa przebiegała pomyślnie, nadal trapiły mnie osobiste zmartwienia. Od czasu gdy straciłam dziecko, nie udało mi się ponownie począć. Znamienici medycy, u których zasięgałam porady, nie potrafili tego wyjaśnić. Wszyscy sugerowali, że powinnam więcej odpoczywać i oddawać się zajęciom bardziej odpowiednim dla delikatnego kobiecego temperamentu. Najwyraźniej zakładali, że niewiasta, która prowadzi się jak mężczyzna, nie może począć dziecka. Uznałam to za niedorzeczne. Przecież wykonywanie obowiązków królowej z pewnością nie uniemożliwia kobiecie spełniania roli, którą wyznaczył jej Stwórca?

Cały czas dręczyły mnie jednak obawy, szczególnie kiedy obcowałam z Ferdynandem. Z pomocą Inés zdobyłam potajemnie gorzki napar z werbeny, który miał zrównoważyć moje wewnętrzne soki. Podwoiłam codzienną dawkę modlitwy. Wybrałam się nawet do północnego Burgos i mimo szalejącej zawieruchy udało mi się dotrzeć do odległej kapliczki San Juana de Ortegi, w której znajdowała się kamienna płaskorzeźba rzekomo przedstawiająca kobietę brzemienną. Przez wiele godzin klęczałam przed nią na zimnej posadzce, błagając o wspomnienie. Złożyłam ofiarę na budowę większego kościoła pod wezwaniem świętego. Moje krwawienia były jak zwykle nieregularne, ale w końcu zawsze się pojawiały, a często towarzyszył im taki ból, że musiałam zaciskać zęby. Nie rozumiałam, dlaczego Bóg, który był dla nas taki szczodry, doprowadzając nas do zwycięstwa nad Portugalią, odmawiał Ferdynandowi i mnie tego jednego błogosławieństwa, które uczyniłoby nas szczęśliwymi – czemu nie chciał obdarzyć nas synem, który po naszej śmierci objąłby władzę w obydwu królestwach, na zawsze jednocząc Kastylię i Aragonię.

Ferdynand w końcu zauważył, jaka jestem zatroskana. Nocą, w prywatnych komnatach, kiedy audiencje dobiegły już końca, a my zdjęliśmy już drogocenne insygnia, mąż szeptał mi do ucha słowa pociechy, próbując mnie uspokoić.

– To się stanie, kiedy przyjdzie czas – przekonywał łagodnie, kiedy leżałam w jego ramionach nieruchoma jak głaz. – Najdroższa, będziemy mieć syna, kiedy Bóg tego zechce.

Miałam ochotę krzyczeć, płakać, rozbijać wszystko w zasięgu ręki – zrobić cokolwiek, by dać upust smutkowi i rozczarowaniu. Nie pomogło mi odkrycie, że z aragońskiego romansu Ferdynanda na świat przyszedł kolejny chłopiec. Chociaż mój mąż zacisnął wargi i wysłał posłańca z prezentem dla dziecka, udając, że ono nic dla niego nie znaczy, ja postrzegałam je jako dowód jego męskości i bolesne przypomnienie, że nie jestem w stanie dać mu tego, co tamta kobieta.

Latem 1477 prawie nie mogłam patrzeć na męża, stroniłam też od innych. Byłam tak nieszczęśliwa, że niemal ucieszyło mnie doniesienie o wybuchu kolejnego konfliktu między najpotężniejszymi grandami Andaluzji: księciem Mediną-Sidonią i markizem de Cádizem.

Ferdynand był zdumiony, kiedy oświadczyłam, że chcę osobiście doprowadzić do zawarcia trwałego rozejmu między arystokratami z południa. Już wcześniej postanowiliśmy zlikwidować ostatnie gniazda szlacheckiego oporu w Estremadurze, więc w ogóle nie wchodziło w grę, byśmy oboje przebywali poza Kastylią w tak ważnym momencie. Skoro jednak Ferdynand nie mógł wyruszyć do Andaluzji, uznałam, że sama się tym zajmę. Próbował mi to wyperswadować, wymieniając niebezpieczeństwa czyhające na podróżnych w pełnej Maurów krainie bezprawia. Nie dałam się jednak przekonać. Pocałowałam męża i zdumioną Izabelę na pożegnanie, skompletowałam orszak, dosiadłam Caneli i uciekłam na południe.

W andaluzyjskim upale, wśród ogrodów, w których granaty, figi, daktyle i cytryny błyszcząły na drzewach niczym klejnoty na szyi sułtanka, i w białych miasteczkach nad błękitnymi zatokami mogłam być sama ze swoim smutkiem.

Znałam oczywiście opowieści o Sewilli. Któż ich nie znał? Było to jedno z naszych najstarszych i największych miast, dawna mauretańska stolica przejęta w XIII wieku przez kastylijskiego króla Ferdynanda III. Wzniesiona nad brzegami szmaragdowego Gwadalkiwiru, z portem, do którego codziennie dobijały statki kupieckie z Afryki, Lewantu, odległej Anglii i Niderlandów, Sewilla była bielonym skarbcem ażurowych wież i zwisających nad krętymi uliczkami koronkowych balkonów. Cienia dostarczały jej wspaniałe palmy i drzewa gorzkich pomarańczy, których owoce o grubej skórce były niejadalne, ale wytwarzało się z nich wspaniałą wonny olejek. To w Sewilli przemoc i krwawa wendeta – chleb powszedni w Andaluzji – wrzały pod połączoną powierzchnią miasta. To tam, w samym sercu świata, w którym Maurowie, Żydzi i chrześcijanie współegzystowali niegdyś zgodnie, wszystko było możliwe.

Spodziewałam się, że słynne *ciudad de los reflejos** mnie zachwyci, że odurzy mnie przesycone zapachem pomarańczy powietrze i przeniosę się do czasów, w których podziały między ludźmi o różnych wyznaniach i kolorach skóry nie były aż tak ostre. I nie myliłam się. Kiedy wysiadłam z barki na moście Magdaleny, gdzie czekali sewilczycy, sypiąc płatki róż i grając na gitarach, nie powiedziałam nikomu, że piękno tego miasta dostarczyło mi czegoś więcej niż tylko wrażeń estetycznych. Gdy stałam przed jego wspaniałą otwartą bramą, w końcu buchnął we mnie płomień, który sprawił, że krew popłynęła mi szybciej. Bałam się, że zgasł już na zawsze, ale teraz znów zapłonął.

Znowu czułam, że żyję.

Zamieszkałam w wystawnym alkazarze w centrum miasta, nieopodal niewykończonej jeszcze katedry wyrastającej na gruzach wielkiego meczetu. W pałacu na wszystkie zmysły oddziaływała woda – spływała w mozaikowych fontannach, opadając pełnymi wdzięku kaskadami na spokojną powierzchnię ogrodowych basenów, i wypełniała pokryte nenufarami sadzawki. Woda i upał – to kuszące połączenie sprawiało, że miałam ochotę zrzucić krępujące ubrania i nago niczym dzika kocica przemierzać cichaczem komnaty, które przechodziły jedna w drugą, tworząc labirynt z drzewa sandałowego, malowanych kafli i marmuru.

Salę audiencyjną kazałam zorganizować w największej z nich. To tam, na tronie pod herbowym baldachimem, spocona nawet w najłżejszej sukni, przyjął księcia Medinę-Sidonię, który administrował Sewillą i większością okolicznych terenów.

Wysoki i wychudzony, wręcz ascetyczny, z przyprószonymi siwizną czarnymi włosami, które zaczesywał do tyłu, i zaognioną blizną na skroni był uosobieniem dumnego południowca. Patrzył na mnie z lekką pogardą, która klóciła się z jego nienagannymi manierami i wskazywała na to, że nie zwykł podporządkowywać się nikomu, a już na pewno nie kobiecie.

Kłaniając mi się z wyćwiczoną elegancją, powiedział:

– Składam Waszej Królewskiej Mości hołd i przekazuję w wasze ręce klucze do mojego miasta, nad którym odtąd wy musicie sprawować najwyższą władzę.

Jego deklaracja była oczywiście symboliczna – tak naprawdę nie miał ze sobą żadnych kluczy. Stał przede mną z pustymi rękami, jakby same słowa stanowiły wystarczający dowód jego lojalności, jakby przez ostatnie dziesięć lat wcale nie traktował południa jak prywatnego skarbcza, prowadząc wojny z Cádizem, konfiskując ziemie i zamki prawnie należące do Korony i pozwalając, by kraj pograżył się w anarchii, podczas gdy on gromadził bajeczne bogactwa i odmawiał płacenia podatków.

Nie dawałam po sobie poznać, jak bardzo śmieszy mnie jego powaga. Człowiek z choć odrobiną wstydu na jego miejscu byłby błady i skruszony. Księżę natomiast oświadczył:

– Nie można ode mnie wymagać, Majestad, bym oddał coś jeszcze, kiedy Cádiz nadal grasuje na wolności. Nic go tak nie cieszy, jak płądrowanie moich ziem i okradanie mnie z plonów, koni, bydła, a nawet chłopów.

– W takim razie on też musi odpokutować za swoje czyny i złożyć nam hołd – odparłam sucho.

– Odpokutować? Cádiz? – Księżę zaśmiał się gorzko. – On nigdy tego nie robi. Gardzi wszelką władzą, nawet swojego monarchy. To pospolity przestępca! Wasza Wysokość powinna wydać rozkaz, żeby go pojmać i za nieposłuszeństwo wypruć mu flaki.

– Zaiste?

Nie podobał mi się jego ton ani to, że poucza mnie przed całym dworem. Najwyraźniej nie zdawał sobie sprawy, że ani on, ani Cádiz nigdy nie mieli żadnych praw do niezliczonych posiadłości, które każdy z nich sobie przywłaszczył. W rzeczywistości dumny książę był takim samym złoczyńcą jak jego adwersarz i miałam ochotę go o tym poinformować. Powstrzymałam się jednak i spokojnie powiedziałam:

– Zapewniam, że przyjechałam tutaj dopilnować, by sprawiedliwości stało się zadość, a spór między wami a markizem został zakończony raz na zawsze. W tym celu markiz de Cádiz zostanie natychmiast wezwany przed nasze oblicze.

– Zobaczymy, ile czasu zajmie mu przybycie – zadrwił Medina-Sidonia. – O ile w ogóle się stawi.

Nie zamierzałam się poddawać. Czekając, aż Cádiz odpowie na wezwanie, postanowiłam dać księciu dobry przykład. Kazałam ustawić w sali audiencyjnej podwyższenie, tak by móc każdego ranka przyjmować w niej poddanych. Kiedy dowiedzieli się, że chcę poznać ich bolączki, ustawiali się do mnie w długich kolejkach. Zażądałam, aby Medina-Sidonia ku przestrodze był obecny przy tych posłuchaniach, przypuszczałam bowiem, że miasto boryka się z wieloma problemami, które przede mną zatajono. Pod bajecznym bogactwem Sewilli było ciemne, zdegenerowane serce. Każdy chciał się wybić, co z reguły pociągało za sobą śmierć albo nędzę rywali, tak jak w wypadku mężczyzny, który powiedział mi podczas audiencji, że banda złodziei terroryzujących okolicę ukradła mu stado kóz. Złożył skargę u sędziego pokoju, ale zamiast pomocy dostał grzywnę. Kiedy odmówił zapłacenia, do jego domu włamali się zamaskowani mężczyźni, pobili go, a potem na jego oczach zgwałcili mu młodą córkę. Słuchałam go ze zgrozą.

– Nikt mi nie wierzy – mówił, obracając czapkę w sękatych rękach i zerkając nerwowo w kierunku Mediny-Sidonii, który stał jak granitowa kolumna przy moim tronie. – Twierdzą, że wszyscy kłamiemy, bez wyjątku, ale później na targu widziałem, jak ktoś sprzedaje całe moje stado. Majestad, błagam o sprawiedliwość. Żyję tylko z moich kóz, potrzebuję ich mleka na ser, który sprzedaję, żeby utrzymać rodzinę. A moja córka... – Głos mu się załamał. – Została zbezczeszczona. Żaden szanujący się mężczyzna już jej nie zechce.

– Kogo obchodzi jeszcze jedna zbezczeszczona Żydówka? – wtrącił Medina-Sidonia, zanim zdążyłam się odezwać.

Kiedy odwróciłam się, by na niego spojrzeć, dodał:

– Ten człowiek bluźni, tak jak cała ich plugawa rasa. Oczywiście, że złamał prawo i wyszedł poza getto. Jeśli upiera się, żeby handlować swoim serem na targu, to co sędzia może na to poradzić?

Bezdušność księcia wcale mnie nie zaskoczyła. Codziennie zjawiał się na dworze odziany w drogie jedwabie i aksamity ze świtą godną możnowładcy. Jego miecz był dziełem sztuki płatnerskiej, na rękawicach i mankietach pyszniły mu się klejnoty i złote ozdoby. By żyć w ten sposób, trzeba było mieć ogromne dochody. Bez wątpienia, tak jak większość grandów już od pokoleń, również Medina-Sidonia wspierał sędziów, którzy w zamian płacili mu procent od wszelkich łupów zagrabionych przez bandy swoich rabusiów. Był to uświęcony tradycją sposób na finansowanie rozrzutnego życia i utrzymywanie kontroli nad ogromnymi połaciami kraju. Był

to też przejaw dokładnie takiego nikczemnego zepsucia, jakie w swoim królestwie koniecznie chciałam wykorzenić.

Nie odrywając wzroku od księcia, zapytałam:

– Czy Żydom nie wolno stykać się z chrześcijanami na targu?

Wiedziałam, że nie ma takiego zakazu. W przeciwieństwie do Kastylii, gdzie o tolerancję, mówiąc ogólnie, nigdy nie było łatwo, stosunki w Andaluzji zawsze były bardziej serdeczne. Od wieków nie zmuszano Żydów do życia w gettach, choć wielu wolało pozostać na wyznaczonych dla nich dawniej terenach.

Medina-Sidonia wyraźnie się zdziwił.

– Nie – odparł – ale zdrowy rozsądek nakazuje...

– Zdrowy rozsądek? Mości książę, nawet gdyby Żydzi mieli zakaz wstępu na targ, którego nie mają, tego człowieka napadnięto i ograbiono, stracił źródło utrzymania, a jego córka została nikczemnie zhańbiona. W imię jakiej racji mieszkańcy Sewilli mają się obawiać utraty dobytku, a nawet życia? – Spojrzałam znów na mężczyznę, który stał skulony, jakby chciał zapaść się pod ziemię. – Czy znasz ludzi, którzy naszli cię w domu?

Kiwną głową i odpowiedział niemal szeptem.

– Ci sami, co ukradli mi kozy... Ograbili też innych, a wszystko za wiedzą sędziów.

Okradają nas, bo nie możemy się bronić – Żydom nie wolno używać broni przeciw chrześcijanom.

Przywołałam Cárdenasa, który na tych posłuchaniach pełnił funkcję mojego głównego sekretarza i nadzorował grono uczonych prawników z lokalnego uniwersytetu.

– To mój sekretarz – zwróciłam się do mężczyzny. – Powiedz mu, kim są ci rabusie i gdzie można ich znaleźć, a ja dopilnuję, żeby ich aresztowano i – popatrzyłam znacząco na księcia – osadzono. Jeśli zostaną uznani za winnych, w co nie wątpię, zostaną wypatroszeni, a kawałki ich ciał porozwieszane przy bramach miejskich. Dzięki temu każdy się dowie, że Izabela Kastylijska opiekuje się wszystkimi poddanymi, niezależnie od wyznania czy pozycji.

Mężczyzna pochylił głowę, a po policzkach spływały mu łzy.

– Niech was Bóg błogosławi, Majestad – wyszeptał, a Cárdenas zaprowadził go do stołu, by zarejestrować jego skargę.

– Wasza Wysokość nie powinna pobłażać temu motłochowi – odezwał się Medina-Sidonia egzaltowanym tonem. – To tylko zachęca ich do nieposłuszeństwa.

– Wydaje mi się, że to wy, książę, pobłażacie motłochowi – odparowałam, patrząc na niego ze złością.

Pokłonił się nisko, mamrocząc jakieś przeprosiny.

W ustach miałam metaliczny posmak. Zwróciłam się z powrotem w stronę stojących w kolejce poddanych. Medina-Sidonia wiedział, czego od niego oczekuję, i ucieszyłam się, kiedy kilka dni później powiedziano mi, że bramy Sewilli zdobią pokrwawione członki skazańców. Jeśli mieszkańcy tego gniazda anarchii spodziewali się z mojej strony litości albo unikania trudniejszych spraw tylko dlatego, że jestem kobietą, byli w błędzie. Przysięgam sobie, że nie spocznę, dopóki nie skłonię ich do całkowitego posłuszeństwa. Przystąpiłam do wymierzania sprawiedliwości bez baczenia na pozycję czy płeć, nie pozwalając, by żaden przestępca pozostał bezkarny. Aby zaczęto się mnie bać i przestrzegać notorycznie łamanych praw, pewnego popołudnia w sali audiencyjnej celowo napomknęłam głośno, że nic nie sprawia mi większej przyjemności niż oglądanie złodzieja wchodzącego na szubienicę. Po tej uwadze wielu poddanych skuliło ramiona, a niektórzy naprędcie czmychnęli z kolejki.

W końcu arcybiskup Sewilli poprosił o prywatną audiencję.

Ruchem ręki odprawiłam Medinę-Sidonię, a kiedy usłyszałam, co arcybiskup miał mi do

powiedzenia, pogratulowałam sobie, że to zrobiłam. Duchowny cieszył się reputacją człowieka życzliwego, słynał z mądrości i miłosierdzia, jednak jego słowa zupełnie mnie zaskoczyły.

– Wasza Wysokość pokazała wszystkim, że jest uosobieniem cnoty – zaczął. – Ale lud Sewilli... zaczyna się bać. Wielu opuszcza miasto ze strachu, że wasze przybycie odbiera wszelką nadzieję na ulaskawienie.

Zmarszczyłam brwi, zerkając na Cárdenasa.

– Czy to prawda?

Cárdenas zajrzał do swoich dokumentów, po czym potwierdził, patrząc na mnie spokojnymi zielonkawoniebieskimi oczyma.

– Tak, Majestad. Ponad sto skarg, które dotychczas rozpatrzyliśmy, pozostaje nierozstrzygniętych ponieważ ani skarżący, ani oskarżony nie stawili się na rozprawę.

Z zażenowaniem spojrzałam na arcybiskupa.

– Nie miałam o niczym pojęcia. Żałuję, jeśli wzbudziłam strach w swoich poddanych. Nie to było moją intencją.

– Nigdy was o to nie podejrzewałam – zapewnił pospiesznie. – Chodzi o to, że... cóż, tu, na południu, ludzie mają większe skłonności do zła. Za długo władali nami nieudolni grandowie i borykali się z ciągłym zagrożeniem ze strony Maurów. Przybycie Waszej Wysokości to dla nas błogosławieństwo i wielki zaszczyt, ale proszę mi wybaczyć śmiałość, choroby nękającej nasze miasto nie da się wyleczyć z dnia na dzień.

Wstrząsnęły mną jego słowa. Nagle zdałam sobie jasno sprawę, że gorliwe próby zaprowadzenia ładu w Sewilli miały częściowo na celu przekonanie Boga, że nadal warto mnie wspierać. Zostawiałam córkę i męża, porzuciłam swoje obowiązki w Kastylii, bo chciałam udowodnić, na co mnie stać. Po raz kolejny pozwoliłam, żeby próżność wzięła górę nad rozumem, zupełnie jak tamtego straszego dnia na równinie przed Tordesillas, kiedy zganiłam Ferdynanda na oczach jego żołnierzy.

– Nie, pewnie nie – odparłam cicho. – Postąpił arcybiskup słusznie, informując mnie o tym. – Wstałam, a wyszywana klejnotami szata rozlała się po podłodze niczym płynne złoto. Inkrustowana drogocennymi kamieniami korona wbijała mi się w czoło. Marzyłam, by wrócić do swojej komnaty i rzucić z siebie te wszystkie atrybuty monarsze, które nagle wydały mi się bez znaczenia.

– Proszę, przekażcie poddanym, że wcale nie zamierzam być bezlitosna – powiedziałam.

– Wszyscy, którzy dopuścili się zbrodni, zostaną ulaskawieni, pod warunkiem że już więcej nie będą łamać prawa. Nie dotyczy to oczywiście heretyków ani morderców – dodałam.

Arcybiskup pokiwał głową.

– Dziękuję, Majestad – powiedział i kierując się do wyjścia, dodał jeszcze: – Skoro mowa o heretykach, to jest jeszcze coś, czym Wasza Wysokość, mam nadzieję, się zajmie.

Spojrzałam na niego.

– Tak?

– Chodzi o Żydów – wyjaśnił, a kiedy tylko wypowiedział to słowo, miałam wrażenie, że wokół nas pociemniało. – W Sewilli wzmaga się przeciw nim nienawiść. Ściśle rzecz biorąc, nie są heretykami, bo się nie nawrócili. Jednak odkąd przyjechaliście, doszło do kilku incydentów w dzielnicy żydowskiej. Uznałem, że powinniście o tym wiedzieć.

Skinęłam głową, dając mu znak, by kontynuował, choć bałam się, co jeszcze usłyszę. Przypomniałam sobie nieszczęśnika, któremu ukradziono kozy. Mogłam sobie tylko wyobrażać, o ilu podobnych zbrodniach nie miałam pojęcia.

– Rodzina pasterza z getta, którego skargi Wasza Wysokość ostatnio wysłuchała, została niedawno wywleczone z domu i ukamienowana – powiedział arcybiskup. – Ponadto

sprofanowano parę synagog, a jedną doszczętnie spalono. Wielu Żydom zabrania się kupowania i handlowania na targu, a jeśli w ogóle są tam wpuszczani, to muszą słono płacić za ten przywilej. – Westchnął. – Obawiam się, że to nic nowego. Ta nienawiść przychodzi i odchodzi, jak mór. Tym razem jednak niektórzy prześladowcy powołują się na obecność Waszej Wysokości – twierdzą, że królowa Kastylii nie będzie tolerować morderców Chrystusa wśród swoich poddanych, i biorą prawo w swoje ręce, choć Wasza Wysokość sama ukarała tych, którzy skrzywdzili Żyda.

Zesztywniałam.

– Każdego, kto samozwańczo wymierza sprawiedliwość w moim imieniu, czeka surowa kara. Żydzi w tym królestwie to też moi poddani, więc również nad nimi sprawuję pieczę.

– Tak. Niestety, jeszcze nie tak dawno Żydów w Kastylii zmuszano do nawrócenia się pod karą śmierci. Nie chciałbym, żeby znów musieli tak cierpieć. Mówi się, że sami są sobie winni, bo gromadzą bogactwa, podczas gdy chrześcijanie głodują. Są też posądzani o spiskowanie z marranami i próby podkopania autorytetu Kościoła. Nie widziałem jednak na to żadnych dowodów.

Zaskoczył mnie. Nie spodziewałam się, że duchowny będzie cytował okrucieństwa z przeszłości, na które władze kościelne dały przyzwolenie, ani że wstawi się za Żydami.

– Przemyślę to – odparłam i zwróciłam się do Cárdenasa: – Tymczasem ogłoś dekret, że wszelkie nękanie Żydów i naruszanie ich własności podlega natychmiastowej karze. Niech obwieszcza to na wszystkich placach miejskich.

Kiedy znów popatrzyłam na arcybiskupa, na jego obliczu dostrzegłam nieklamany podziw.

– Muszę przyznać, że początkowo nie byłem pewny, jakim Wasza Wysokość okaże się władcą – powiedział. – Mieliliśmy już wielu królów, którzy obiecywali zmiany, ale Wasza Wysokość, przekracza wszelkie oczekiwania. Ten dekret na pewno pomoże naprawić krzywdy, jakich doznali sefardyjczycy. Mimo to – zamilkł na chwilę, jakby zastanawiał się, jak sformułować myśl – Wasza Wysokość musi wiedzieć, że będą konsekwencje. Niewielu podziela wasze poczucie sprawiedliwości.

Uśmiechnęłam się.

– Nie boję się konsekwencji. Niech przyjdą tu ci, którzy się ze mną nie zgadzają, a rychło dowiedzą się, co o tym myśli królowa Kastylii.

Pokłonił się i wyszedł. Kiedy wysłuchałam reszty skarg i zasiadłam do popołudniowego posiłku, głowy nie zaprzętały mi już kłopoty osobiste. Tego dnia ujrzałam przyszłość, której za wszelką cenę chciałam uniknąć. Waśnie tłące się między Żydami i chrześcijanami mogły się rozprzestrzenić i przerodzić w pożogę, która obejmie całe królestwo. Nie mogłam pozwolić, by osiągnięta po tak długich walkach krucha jeszcze jednoż znów została zagrożona.

– Musimy przedsięwziąć dalsze kroki w celu obrony Żydów – oznajmiłam następnego ranka na posiedzeniu Rady Królewskiej. – Choć sama wyznaję inną wiarę, nie pozwolę, by ich prześladowano albo oskarżano o podburzanie marranów, którzy zdaniem większości są pobożnymi chrześcijanami.

Przerwałam i przyglądałam się, jak mój spowiednik brat Talavera wymienia znaczące spojrzenia z señorem Chacónem. Mój koniuszy posiwiął, przerzedziły mu się włosy, a masywne, umięśnione ciało z wiekiem zwiotczało. Jego charakter jednak się nie zmienił, Chacóna nadał cechowała niezwykła wnikliwość i nauczyłam się szanować sporadycznie wygłaszane przez niego opinie.

– Być może Wasza Wysokość powinna wybrać się z nami jutro na kazanie – powiedział.

– Kazanie? – Zmarszczyłam brwi. – Czyje? Na jaki temat?

– Najlepiej będzie, jak Wasza Wysokość po prostu przyjdzie – odezwał się Talavera z powagą w ciemnych oczach. – Nikt nie musi wiedzieć, że tam jesteście. Mogę zadbać o miejsce dla Waszej Wysokości na galerii powyżej ambony, za specjalnym parawanem.

– A dlaczego miałabym się chować?

– Bo jeśli kaznodzieja będzie wiedział, że go słuchacie, może nie być całkiem szczery – wyjaśnił mój spowiednik. – Proszę mi wierzyć, Majestad, to, co ma do powiedzenia, na pewno was zainteresuje.

Kiedy następnego dnia siedziałam za parawanem z Inés przy boku, grzmiący głos dominikanina ojca de Hojedy wprowadził mnie w przerażenie.

– Specjalnie przywdziewają obłudne maski, by potajemnie odprawiać swoje plugawe rytuały – huczał kaznodzieja. – Czują wstręt do sakramentów, nie uznają świętych, nie wierzą w czystość naszej Najświętszej Panienki. Tych dwulicowych marranów za dnia można zobaczyć na mszy, ale nocami drwią z obrządków, dzięki którym zostali przyjęci na łono Kościoła. Obcuja wtedy ze swoimi podłymi pobratymcami, którzy podżegają ich do nieposłuszeństwa. Trzeba ich odnaleźć, ujawnić i odciąć, zanim wszyscy się zarazimy!

Jego słowa głęboko mną wstrząsnęły. Natychmiast po powrocie do alkazaru zapytałam brata Talaverę, co o tym myśli. Powiedział, że też słyszał doniesienia o Żydach podburzających marranów – podobno zachęcali przechrztów, by wrócili do starej wiary potajemnie, udając, że nadal żyją zgodnie z naszą religią. Wielu twierdziło nawet, że sefardyjczycy już od wieków uprawiają ten proceder w Kastylii, tyle że gnuśni księża woleli tego nie widzieć, sami zepsuci i pogrążeni w ciemności.

– Te doniesienia mogą oczywiście być przesadzone – powiedział Talavera – ale uznałem, że Wasza Wysokość powinna poznać wszystkie fakty, zanim zacznie wstawiać się za Żydami. – Zamilkł na chwilę. – To może być brzemiennie w skutki – dodał z emfazą, nieświadomie powtarzając ostrzeżenia arcybiskupa Sewilli. – Niewiele będzie przychylnych obrońców ludzi, których obwiniają za ukrzyżowanie naszego Zbawiciela. Choć przez stulecia główną zasadą naszej polityki wobec Żydów była convivencia**, to wcale nie oznacza, że wszyscy się z nią zgadzają. Zaryzykowałbym nawet stwierdzenie, że znakomita większość chrześcijan chętnie by się ich stąd pozbyła.

– Rozumiem – odpowiedziałam. – Jak zwykle dziękuję bratu za szczerość. Natychmiast napiszę do kardynała de Mendozy, żeby zasięgnąć jego cennej rady.

Tamtego wieczoru po wysłaniu listu wyglądałam przez arkadowe okna. Noc była parna. Choć potępiałam wszelkie zło wyrządzane Żydom – przecież tak wiernie służyli mi na dworze, a duża część szlachty, w tym moja ukochana Beatriz, miała żydowskie korzenie – nie mogłam lekceważyć tego, że w wyniku moich działań Kościół, który już i tak miał zszarganą reputację, mógł jeszcze stracić na znaczeniu. Za rządów moich poprzedników morale duchowieństwa znacznie osłabło. Długoletnie wojny domowe i spory ze szlachtą doprowadziły do przegnicia fundamentów Kościoła. Dla nikogo nie było tajemnicą, że wielu księży ma nałożnice, a rozwiązłość i całkowite nieprzestrzeganie nakazów Pisma jest w klasztorach chlebem powszednim. Koniecznie chciałam przywrócić Kościołowi jego dawną świetność, ale ze względu na niepokoje targające królestwem, odkąd wstąpiłam na tron, jeszcze nie znalazłam czasu, by podjąć się tak epokowego zadania.

„Con blandura” – brzmiało moje motto – „taktownie i delikatnie”. Nie chciałam powtórki z przeszłości. Na samą myśl o rozlewie krwi i cierpieniu, po tym wszystkim, co Kastylija już przeszła, czułam jeszcze większą determinację, by już nigdy do tego nie dopuścić. Jednocześnie zdawałam sobie sprawę, że nie mogę wiecznie unikać kwestii potencjalnie zagrażającej jedności królestwa. Zdawałam sobie sprawę, że aby liczyć się na arenie międzynarodowej i zawrzeć

sojusze z obcymi królestwami, które pozwolą odeprzeć Francuzów i wzmocnić naszą suwerenność, Hiszpania musi prezentować zjednoczony, katolicki front. Jacykolwiek odstępcy mogliby osłabić naszą pozycję.

Konieczne było wszczęcie śledztwa w celu sprawdzenia niepokojących doniesień o marranach, a jeśli okażą się prawdziwe, nie obędzie się bez środków zaradczych. Jako chrześcijańska królowa nie mogłam zaniechać działania. Troska o duchowe dobro poddanych była dla mnie tak samo istotna, jak dbanie o ich byt materialny – może nawet ważniejsza, bo przecież ciało to tylko tymczasowa powłoka, która w końcu zamieni się w proch, natomiast dusza jest wieczna.

Tęskniłam za Ferdynandem. Przysyłał mi listy z opisami swoich wyczynów w Estremadurze, gdzie z zapalem rozprawiał się z resztkami Portugalczyków i ich sympatykami. Bardzo chciałam przytulić się do niego w łóżu, opowiedzieć mu o swoich troskach i wysłuchać jego mądrej rady – wiedzieć, że nie jestem sama, że cokolwiek się stanie, on zawsze przy mnie będzie.

Zamknęłam oczy. Niemal zdołałam go sobie wyobrazić – rękę na mojej talii, lekko ochryply od wieczornego wina głos szepczący mi do ucha...

Rozległo się pukanie do drzwi. Owinęłam się ciasniej szatą, a do komnaty wpadła Inés z rozpuszczonymi do snu włosami.

Na korytarzu w blasku przytwierdzonych do ścian pochodni zobaczyłam sylwetkę Chacóna.

– Przepraszam za najście, Majestad, ale przybył markiz de Cádiz i prosi o audiencję.

– O tej porze? – oburzyłam się i już miałam odmówić, ale coś mnie powstrzymało. Skoro Cádiz rzeczywiście przyjechał, najlepiej będzie, jeśli go przyjmę. Zważywszy na nienawiść, jaką darzyli się z Mediną-Sidonią, nie chciałam, żeby najpierw wpadł na niego, zanim sama będę miała szansę wy badać intencje markiza. – Dobrze więc – odparłam – zaprowadź go na mój prywatny taras.

Kiedy wyszłam z sypialni na alabastrowy balkon, gdzie wieczorne powietrze przesycił zapach jaśminu, zupełnie zaskoczył mnie widok czekającego tam mężczyzny. Słuchając utyskiwań Mediny-Sidonii na Cádiz, stworzyłam sobie w głowie obraz nieokielzanego drapieżnika. Tymczasem szlachcic, który właśnie mi się kłaniał, wyglądał na bardzo młodego, liczącego niewiele więcej niż moje dwadzieścia sześć lat. Był średniego wzrostu, szczupły, miał grzywę bujnych rudych włosów, piegi i zielone oczy z długimi brązowymi rzęsami – piękne oczy, w których pobłyskiwały drobinki złota, jakie powstać mogły tylko w tym regionie, gdzie miesza się krew różnych ludów.

Jego strój uszyty był z fioletowej satyny i miał srebrne wykończenia. Jedwabna podszewka płaszcza zaszeleściła, kiedy markiz składał mi wytworny ukłon. Zachowywał się w sposób egzaltowany, obliczony na to, by mi się przypodobać. Z trudem tłumiłam śmiech. Podczas gdy Medina-Sidonia uosabiał surowość andaluzyjskiej arystokracji, Cádiz reprezentował jej teatralność.

Wyprostowałam jednak plecy i zaostrzyłam ton, bo żaden człowiek, nawet najlepiej ubrany, nie powinien sądzić, że atrakcyjnym wyglądem przewycięży moje niezadowolenie.

– Dostaliście nasze wezwanie już miesiąc temu, markizie. Ufam, że macie coś na usprawiedliwienie tej karygodnej zwłoki.

– Majestad – zaczął melodyjnym głosem, którego pozazdrościłby mu każdy trubadur – na swoją obronę mogę powiedzieć tylko tyle, że posłańcowi Waszej Królewskiej Mości dotarcie do mojego zamku w Jerez zajęło wiele dni. Musiał bowiem przejechać przez wrogie mi tereny, które Medina-Sidonia obstawia patrolami, bezprawnie infiltrując moje posiadłości. Również ja

musiałem tamtędy przejechać. Podróż odbyłem w przebraniu, by dotrzeć cało przed oblicze Waszej Wysokości.

Uderzyłam stopą o podłogę na tyle głośno, żeby usłyszał.

– Mam szczerą nadzieję, że nie przybyliście z tak daleka tylko po to, by mi o tym opowiedzieć. Jeśli nie pamiętacie, jestem waszą królową. Nie darzę sympatią tych, którzy szyczą z mojej władzy. Szlachcic czy wieśniak – każdy musi stawić się na wezwanie.

Przyklęknął i podniósł na mnie swoje piękne oczy, w których malowała się tak ujmująca skrucha, że słyszałam, jak Inés głośno nabiera powietrza. Choć nie dawałam po sobie poznać, że jego pozerstwo wywiera na mnie jakiegokolwiek wrażenie, w głębi duszy musiałam przyznać, że ten mężczyzna jest czarujący.

– Wasza Wysokość ma nade mną pełną władzę – powiedział, rozkładając szeroko ręce. – Mogę tylko zapewnić was o swojej niewinności i ufać, że nie ulegniecie gniewowi, który podsyciły w was kłamstwa mojego wroga. Nie przybyłem tu również – kontynuował żarliwie – tylko po to, by opowiadać. Przyjechałem działać. Jestem gotów w każdej chwili przekazać Waszej Wysokości twierdze w Jerez i Alcali, którymi się teraz dla was opiekuję, a jeśli którakolwiek z moich posiadłości może się wam przysłużyć, oddam ją wam natychmiast. Sam oddaję się całkowicie na wasze usługi.

Po jego płomiennej przemowie na tarasie zapanowała cisza. Spojrzałam na Chacóna. Stał z rękami skrzyżowanymi na masywnej piersi, a uniesione brwi były wyrazem jego sceptycyzmu. Jako Kastylijczykowi z krwi i kości nie imponowały mu uroda ani pompatyczność. Jednak kiedy zwróciłam się znów do markiza, nadal klęczącego, nagle postanowiłam przyjąć jego deklaracje za dobrą monetę. Bez wątpienia był przebiegły i umiał wykorzystywać swoje atuty. Jeśli jednak zrozumiał moje zamiary i wiedząc, że chcę zaprowadzić ład w jego nierządnych włościach, jak to czyniłam w Sewilli, zdecydował się mi podporządkować i zaniechać zdradzieckich demonstracji swojej potęgi, zupełnie mnie to satysfakcjonowało. Po jego kapitulacji połowa zachodniej Andaluzji – ziemie w większości przejęte bezprawnie za panowania mojego ojca i przyrodniego brata – znalazłaby się z powrotem pod moją władzą, a wraz z włościami odzyskałabym liczne zamki, miasta i wasali.

– Markizie – zaczęłam – co prawda nie słyszałam na wasz temat zbyt pochlebnych opinii, ale wasza oferta sugeruje, że działacie w dobrej wierze. Przekażcie mi te twierdze, a obiecuję pośredniczyć w sporze między wami a Mediną-Sidonią, tak abyście obaj zachowali honor.

Uśmiechnął się entuzjastycznie, pokazując idealne białe zęby.

– Wasza Wysokość, jestem waszym najpokorniejszym sługą. Wszystko, co posiadam, jest do waszej dyspozycji.

Też pozwoliłam sobie na uśmiech. Ten człowiek może i był łobuzem, ale miał nieodparty urok.

– Cárdenas, mój sekretarz, sporządzi wszystkie dokumenty. Jak tylko klucze do tych zamków znajdą się w moich rękach, omówimy warunki pańskiej służby.

Wyciągnęłam rękę, a markiz był na tyle zuchwały, że przycisnął do niej usta. Flirtował ze mną otwarcie, niemal bezczelnie, a ja nie posiadałam się z radości. Być może Cádiz odniósł zwycięstwo nad Mediną-Sidonią, który, kiedy dowie się o naszym nocnym spotkaniu, też będzie zmuszony mi się poddać, ale w ostatecznym rozrachunku to ja wygrałam.

Poskromiłam najpotężniejszych grandów Andaluzji, nie rozlewając przy tym ani kropli krwi.

Tak jak się spodziewałam, Medina-Sidonia natychmiast przelicytował Cádiz, oferując mi sześć ze swoich piętnastu zamków, na co markiz odpowiedział, oddając mi jeszcze dziesięć swoich. Pośredniczenie między nimi okazało się dość łatwe, zaważywszy, że włości obu znacznie

się zmniejszyły. Resztę ich domen rozdzieliłam po równo, lwią część pozostawiając dla Kastylii. W zamian za to Cádiz poprzysiągł wszcząć świętą wojnę przeciwko Maurom – jego zuchwała deklaracja niezwykle mnie rozbawiła – a Medina-Sidonia zaproponował, że przedstawi mi genueńskiego żeglarza, któremu patronował. Człowiek ten miał podobno plan ominięcia kontrolowanych przez Turków szlaków i dotarcia do skarbów Kataju inną drogą. Uprzejmie odrzuciłam jednak propozycję, przesuwając ewentualne spotkanie na bardziej sprzyjający moment, choć po cichu chichotałam, myśląc o rzekomej hojności księcia. Medina-Sidonia być może dał się ujarzmić, ale nie zamierzał tracić więcej majątku ani ryzykować życia, jeśli nie było to absolutnie konieczne. Zdecydowanie wolał ofiarować mi swojego protegowanego, którego niewątpliwie sam uznał za niewartego zachodu.

Zaprowadziwszy pokój na południowych ziemiach królestwa, zaczęłam przygotowywać się na spotkanie z Ferdynandem i zarządziłam gruntowny remont przestarzałych komnat sewilskiego alkazaru. Sukcesy mojego męża w Kastylii były nie mniej istotne niż moje – zmusił do posłuszeństwa ostatnich krnąbrnych grandów w Estremadurze, podporządkowując sobie cały region, i zabezpieczył nieosłoniętą granicę z Portugalią przed przyszłymi atakami. Zasługiwał na godne przyjęcie, które zamierzałam mu zorganizować.

Byłam już zmęczona waśniami. Jedyne, czego pragnęłam, to czas spędzany z rodziną.

Wrzesień przyniósł do Sewilli wielkie upały. W południe na ulicy można było usmażyć jajko, a kolejne godziny wszyscy spędzali w domach, szukając ochłody za zamkniętymi okiennicami. Niefortunnie się złożyło, że Ferdynand przybył do miasta właśnie w czasie popołudniowego upału. Kiedy jednak płynął Gwadalkiwirem na barce przybranej aksamitnymi chorągiewkami i girlandami, siedząc na tronie pod baldachimem, w koronie i z nową brodą okalającą jego szeroką twarz, głośnie trąbki heroldów aż nadto rekompensowały brak witających go tłumów.

Z trudem zdołałam się opanować, kiedy pomagał Izabeli i Beatriz wysiąść na brzeg. Choć byłam zwolenniczką rygorystycznego przestrzegania etykiety w miejscach publicznych (Bo jak inaczej można wzbudzić w poddanych zdrowy szacunek dla władzy?), natychmiast wybiegłam im na spotkanie, zmuszając swoją równie wystrojoną i ślaniającą się od upału switę do truchtania za mną po pomoście.

Ferdynandowi błyszczały oczy.

– Mi luna – wymruczał, biorąc mnie za rękę. – Wyglądasz pięknie. Policzki ci nawet trochę zbrązowiwały.

Droczył się ze mną – często żartował, że słońce odbija się ode mnie jak od tarczy. W ferworze ostatnich dni w ogóle niczego nie zauważyłam, bo nie byłam na tyle próżna, by zbyt często spoglądać w lustro. Oczywiście te wszystkie wyprawy i przebywanie na zewnątrz musiały przyciemnić moją alabastrową zazwyczaj skórę. On też wyglądał dobrze. Wielomiesięczna kampania wyrzeźbiła mu sylwetkę – promieniował energią niczym krzepki młody wół. Kiedy oderwałam wzrok od łobuzerskiego uśmiechu męża, zobaczyłam, że moja córka składa mi ukłon.

– Majestad – powiedziała uroczyście tonem, zdradzającym długie przygotowania. – Jestem zaszczycona, że mogę tu być, i chciałam pogratulować wam wielkiego sukcesu, osiągniętego dzięki waszym wysiłkom.

Ścisnęła mnie w gardle.

– Dziękuję, hija mía. Wstań, proszę. Niech ci się przyjrę.

Trudno było mi uwierzyć, że tak piękna istota mogła wyjść z mojego łona. Nie skończyła jeszcze siedmiu lat, ale już było widać, że wzrost odziedziczyła po mojej rodzinie – była wysoka i smukła. Włosy miała kasztanowe, ciemniejsze niż ja, a tęczówki z bursztynowymi plamkami, niczym poprzecinane złotymi żyłkami turkusy. Kiedy patrzyłam jej w oczy, nadal przejrzyste

i niewinne, ogarnęło mnie poczucie winy. Izabela musiała wyglądać dokładnie tak jak moja matka w jej wieku, zanim samotność i wdowieństwo odcisnęły piętno na jej twarzy. Już prawie dwa lata nie byłam w Arévalo...

– Tylko patrzcie, jaka ona jest śliczna – powiedziałam.

Izabela uśmiechnęła się szeroko, ukazując dziurę po niedawno straconym zębie. Musiała nagle sobie o tym przypomnieć i błyskawicznie przykryła usta dłonią, oblewając się purpurowym rumieńcem. Wzięłam ją za rękę i trzymałam przy sobie podczas powitania z Beatriz, która pod naszą nieobecność zajmowała się Izabelą w Segovii.

– Jesteś zdrowa, najdroższa przyjaciółko? – zapytałam cicho, a Beatriz przytaknęła.

Była jak zwykle dumna i piękna, a czarne oczy błyszcząły jej jak klejnoty. Miała na sobie suknię z błękitnego jedwabiu, zaczerwienioną od gorąca oliwkową skórę zraszały jej kropelki potu, zwłaszcza na obfitej piersi. Nagle poczułam nieodpartą chęć, by chwycić przyjaciółkę za rękę i pobiec z nią do komnaty na górze, gdzie mogłybyśmy jak za młodszych czasów szeptać sobie sekrety.

Tamtego wieczoru uczta odbyła się pod gołym niebem. Siedziałam na podwyższeniu, z mężem i córką przy boku, śmiejąc się i dzieląc opowieściami z Beatriz, podczas gdy sewilczycy z niebywałym entuzjazmem witali w mieście króla i księżniczkę. Ferdynand pił więcej niż zwykle, wkładał rękę pod obrus i głośno mówił po nodze. Właśnie w tamtą noc poczułam.



Kilka tygodni później popłynęliśmy Gwadalkiwirem do zamku Mediny-Sidonii, gdzie wreszcie mieliśmy odpocząć.

To tam pierwszy raz w życiu zobaczyłam morze.

Natychmiast urzekła mnie gra światła na jego powierzchni – słońce przeszywało wodę promieniami, a ta ciągle przybierała nowe barwy, zmieniając szatę z indygo na ciemny turkus lub wieczorny ametyst. Fascynował mnie również dźwięk morza, które ryczało, uderzając o skały, ale na piaszczystej plaży, kiedy obmywało moje stopy, mówiło prawie szeptem. Podkasywałam suknię, słony wiatr (później czułam go wszędzie, jakby sól wniknęła mi w skórę) łopotał moim welonem, a ja miałam ogromną ochotę wskoczyć w błyszczącą morską toń, choć nigdy nie nauczyłam się pływać.

Gdzieś głęboko w sercu czułam pierwotny zew, silny jak pokusa do grzechu.

Właśnie w tamtej chwili, kiedy przestwór wody przede mną wezwał wody ukryte we mnie, zdałam sobie sprawę, że noszę w łonie dziecko. Odwróciłam się podekscytowana, żeby podzielić się nowiną z Ferdynandem. Stał na brzegu z Mediną-Sidonią i czytał pismo, które książę właśnie mu wręczył. Zanim zdążyłam się odezwać, przerwał i ruszył w moim kierunku. Na jego poważnej twarzy malował się niepokój.

– O co chodzi? – zapytałam. – Co się stało?

Podał mi pergamin.

– To od kardynała de Mendozy. Tak jak kazałaś, zbadał sytuację marranów w całym królestwie. Píše, że doniesienia, które słyszałaś w Sewilli, w ogóle nie oddają skali problemu. Urzędnicy de Mendozy twierdzą, że przechrzty bardzo często odprawiają potajemnie zakazane żydowskie rytuały, udając, że przestrzegają zasad naszej wiary.

Zaschło mi w gardle. Nie chciałam nawet patrzeć na ten list.

– De Mendoza pyta, czy może zwrócić się do Rzymu o powołanie w Kastylii trybunału

świętej inkwizycji – ciągnął Ferdynand. – Sprawa jest poważna, Izabelo. Kardynała popiera Torquemada, który podobno dowiedział się o twojej pobłażliwości względem sewilskich Żydów i jej nie pochwała. Skarży się, że nie wypełniamy monarszych obowiązków z należytą starannością. Zarówno on, jak i de Mendoza są przekonani, że przywrócenie inkwizycji pozwoli wykorzenić fałszywych chrześcijan i pomoże w planowanej przez ciebie reformie Kościoła.

Kiedy stałam u boku męża na szerokiej plaży, nad którą zapadał zmrok, a wilgotny wiatr niósł ku nam śmiech naszej córki, poczułam przejmujący chłód. Zwinęłam pergamin i wsunęłam go razem z pieczęciami do jedwabnego woreczka przy pasie.

– Ta prośba jest przedwczesna – powiedziałam. – Święta inkwizycja już od wielu lat nie działała w Kastylii. Sama potrzebuje reformy, tak jak i cały Kościół. Poza tym zaprzatają nas teraz inne sprawy. Jeszcze nie zwołaliśmy kortezów, żeby wprowadzić poprawki do kodeksów i ograniczyć przywileje szlachty, nie wspominając nawet o tym, że tak jak wszyscy nasi poprzednicy, musimy prowadzić rekonkwistę przeciw Maurom. Nie czas teraz podejmować kolejne zobowiązania, szczególnie tak ogromne.

Ferdynand wpatrywał się w fale, a światło zachodzącego słońca łagodziło jego orli profil. Po długim milczeniu powiedział z namysłem:

– Niewątpliwie masz rację, ale błędem byłoby zignorowanie sugestii kardynała. Odkąd objęliśmy władzę, patrzy na nas cały świat, czekając, aż powtórzymy klęskę naszych poprzedników. Nie chciałbym, żeby nasi duchowni skarżyli się Rzymowi na nasz brak pobożności, bo skoro, jak mówisz, mamy podjąć rekonkwistę przeciwko Maurom, potrzebna nam będzie zgoda Stolicy Apostolskiej. Jego Świątobliwość może jej nie udzielić, jeśli nie wykazemy się chęcią wykorzenienia herezji z Hiszpanii. Poza tym – dodał – chyba dość łatwo poradzimy sobie z kilkoma przechrztami, którzy zeszli z dobrej drogi?

Dotknęłam jego ramienia.

– Ferdynandzie, ich może nie być kilku. Nie rozumiesz tego? Jeśli de Mendoza i Torquemada mają rację, to może oznaczać, że będziemy musieli aresztować i przesłuchać setki, jeśli nie tysiące naszych poddanych. Ludzie zaczną się nas bać w czasie, kiedy próbujemy zdobyć ich zaufanie.

– Ale to nie działa w ten sposób. Święty Dominik za cel inkwizycji uważał oddzielanie wiernych od niewiernych i oczyszczanie z grzechów tych, których dusze mogą zostać potępione. Nie wydaje mi się, żeby były ich tysiące, ale jeśli tak rzeczywiście jest, to nie lepiej uporać się z nimi od razu?

Mówił tak, jakby wszystko było już przesądzone, a powołanie trybunału świętej inkwizycji – jedynym rozsądnym rozwiązaniem. Przez chwilę nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć. Nie miałam wątpliwości, że jest tak samo bogobojny, jak ja – oboje regularnie słuchaliśmy mszy i uczestniczyliśmy w prywatnych nabożeństwach. Dla nas Kościół był tylko jeden, jedna była też wiara. Jak zatem wyjaśnić lęk, który ogarniał mnie na myśl o wstąpieniu na tę ścieżkę?

– Czy naprawdę tego chcemy? – zapytałam. – Mamy się zgodzić, by w naszym królestwie działała instytucja, która całkowicie podlega Rzymowi i ma nad nami pełną jurysdykcję? Jeśli poprosimy Jego Świątobliwość o powołanie Świętego Oficjum, będziemy musieli zaakceptować jego zwierzchnictwo w tym zakresie. Osobiście wolałabym, żeby papież nie dyktował nam, jak i kiedy powinniśmy działać.

Z ulgą zauważyłam, że Ferdynand marszczy brwi. Podzielał moją niechęć do angażowania Rzymu w nasze wewnętrzne sprawy. Nie szukaliśmy zwady ze Stolicą Apostolską, ale nie chcieliśmy też, by owoce naszych wysiłków zasilaty bezdenne skarbcze watykańskie, zwłaszcza że nasze były prawie puste. Żeby królestwo mogło prosperować, sami musieliśmy

kierować swoją polityką wewnętrzną, nawet w tak delikatnych sprawach jak jedność religijna.

– A jeśli byśmy poprosili, żeby inkwizycja była pod naszą kontrolą? – zasugerował. – Jako władcy Kastylii moglibyśmy nadzorować jej działanie, powoływać trybunały, mianować sędziów. Można byłoby stworzyć nową świętą inkwizycję, dostosowaną do naszych potrzeb.

– Można by – odparłam, zaskoczona jego natychmiastową receptą. Czasem Ferdynand potrafił zadziwiająco szybko opracować plan działania. – Ale czy Jego Świętobliwość się zgodzi? O ile mi wiadomo, jeszcze żadnemu monarsze nie przyznano takich prerogatyw.

– Może żaden monarcha o to nie poprosił?

Odwróciłam wzrok. Wiatr przybrał na sile, morze zrobiło się bardziej spienione. Czy taki był zamysł Stwórcy? Czy Ferdynand i ja mieliśmy zostać bożymi płomieniami i oczyścić naszą wiarę? Nie znałam odpowiedzi – towarzysząca mi z reguły niezachwiana pewność zupełnie mnie opuściła.

– Jeśli się na to zgodzę – odezwałam się w końcu, nie odrywając wzroku od wzburzonego morza – będziemy musieli postępować ostrożnie i z należytą starannością. Kardynał de Mendoza musi obiecać, że zrobi, co w jego mocy, by zbłąkane owce sprowadzić z powrotem do Kościoła bez użycia siły. Nie zgodzę się na żadną przemoc, jeśli to nie będzie absolutnie konieczne. Nie życzę sobie też, żeby jakakolwiek krzywda spotkała Żydów. Inkwizycja będzie badać tylko marranów, co do których istnieją podejrzenia, że nie przestrzegają zasad naszej wiary.

Popatrzyłam na Ferdynanda. Nasze spojrzenia się spotkały. Twarz mojego męża była posępna.

– Będzie, jak każesz – odparł. – Osobiście się tym zajmę.

– W takim razie dobrze – powiedziałam cicho. – Napisz do kardynała i powiedz, że wyrażamy zgodę, ale tylko na wystosowanie prośby do Rzymu. Rezerwuję sobie prawo do działania, dopiero kiedy uznam to za stosowne.

Przytaknął i wziął mnie za rękę.

– Dios mío, lodowate. – Rzucił gniewne spojrzenie w stronę Inés, która stała nieopodal z resztą dam dworu. – Jej Wysokość jest zmarznięta! Proszę przynieść jej płaszcz.

Kilka chwil później wracaliśmy pospiesznie biegnącą wzdłuż klifu ścieżką do zamku Medyny-Sidonii. Dwórki trajkotały wesoło, a policzki małej Izabeli zarumieniły się od słońca. Była zachwycona i na czas popołudniowych igraszek zupełnie porzuciła sztywną etykietę.

– Jest piękne, prawda, mamusiu? – wysapała, wsuwając rękę do mojej, gdy przystanęłyśmy na szczycie, by spojrzeć na morze rozpostarte aż po horyzont jak niekończący się płat jedwabiu. – Ale takie ogromne. Beatriz powiedziała, że można po nim żeglować bez końca i nigdy nie dopłynąć na drugą stronę. Jest się wtedy pewnie bardzo samotnym.

– Tak – odparłam w zadumie – pewnie tak.

* Ciudad de los reflejos (dosł. miasto odbić) – określenie Sewilli, której zabudowa odbija się w wodach Gwadalkiwiru (przyp. tłum.).

** La convivencia (hiszp.) – polityka pokojowego współżycia i tolerancji (przyp. tłum.).

Rozdział dwudziesty szósty



Wszystkie akuszerki – a było ich moim zdaniem o wiele za dużo – zapewniały mnie, że urodzę syna. Omawiając szczegóły moich drobnych dolegliwości i zapach moczu, twierdziły, że wszystko na to wskazuje. Oczywiście, już to wcześniej słyszałam – wygłaszały prawie identyczne uwagi, kiedy nosiłam w łonie Izabelę. W miarę upływu czasu, który spędzaliśmy w sewilskim alkazarze, pełnej przepychu przystani, gdzie miałam zmagać się z bólami rozwiązania, widziałam, że przepowiednie i pochlebstwa akuszerek wywierają na Ferdynanda ogromny wpływ. Podczas gdy mnie coraz bardziej irytowała ciągła krzątanina wokół mojej osoby, mąż stawał się coraz troskliwszy.

Nie zważając na to, że od kobiet przy nadziei zazwyczaj oczekiwano bezczynności, postanowiłam koniecznie znaleźć sobie jakieś wartościowe zajęcie. W tym celu zaczęłam szukać dla siebie nauczyciela łaciny. Niemal codziennie odczuwałam dotkliwy brak znajomości języka międzynarodowej dyplomacji. Nie lubiłam być uzależniona od tłumaczy – miałam wrażenie, że inni postrzegają mnie wtedy jako prowincjonalną królową bez wykształcenia i ogłady. Poszukiwania przerwało mi jednak przybycie posła z Anglii, który przywiózł podarunek w postaci kolejnej chrzcielnicy (mieliśmy ich już dziesiątki). Kiedy ją prezentował, wspomniał mimochodem, że jego władca wyraził zgodę na otwarcie pierwszej w kraju drukarni.

– Naprawdę? – Pochyliłam się z uwagą na tronie, zapominając o opuchniętych stopach i ciasnych trzewikach. – Słyszałam o wspaniałym odrodzeniu nauk i sztuk we Włoszech, gdzie zapomniane starożytne teksty znów stały się dostępne właśnie dzięki drukowi.

Posel się uśmiechnął.

– Zaiste, Wasza Wysokość. Malarstwo, muzyka, poezja i rzeźba kwitną pod patronatem wielu światłych władców, od Medyceuszy we Florencji po austriackich Habsburgów. Zapewniają oni artystom dostęp do klastycznych tekstów. Jego Wysokość król Edward IV koniecznie chce, aby to niezrównane bogactwo kultury i nauki dotarło także do Anglii.

– To wspaniale! – entuzjazmowałam się.

Słyszałam, że maszyna drukarska może wyprodukować setki książek w ponad dwa razy krótszym czasie niż skrybowie. Kilka takich wspaniałych maszyn pozwoliłoby mi na uzupełnienie braków w bibliotekach, które po latach niepokoju i wojen domowych świeciły pustkami. W Kastylii czytać umieli mnisi, niektórzy uczeni i garstka możnych. Zwykli ludzie nie znali alfabetu, nie mówiąc nawet o posiadaniu pieniędzy na zakup książek.

W końcu znalazłam istotną sprawę, w którą mogłam się zaangażować.

Natychmiast postanowiłam ustanowić specjalny fundusz na edukację. Kazałam Cárdenasowi kupić w Niemczech dwadzieścia maszyn drukarskich z przeznaczeniem do Salamanki i innych ośrodków uniwersyteckich. W podzięk za patronat drukarnia z Walencji przysłała mi pierwszą wydrukowaną książkę – śpiewnik z hymnami maryjnymi z dedykacją dla mnie i mojego nienarodzonego dziecka. Fascynował mnie ten wspaniały hymnarnz oprawiony w cielejącą skórę i pachnący farbą drukarską. Nie mogłam do końca uwierzyć, że coś takiego mogła stworzyć maszyna. Ferdynand, z którym wielokrotnie dzieliłam się swoim entuzjazmem, odpowiedział ze śmiechem:

– Nie rozumiem, o co tyle hałasu. To przecież nadal tylko książka, prawda?

Przyglądałam mu się zdziwiona, trzymając rękę na wystającym brzuchu.

– Nie widzisz, że dzięki drukarniom możemy zacząć szerzyć wiedzę w całym królestwie?

Patrzył na mnie z rozbawieniem. W dłoni miał czarkę z winem, a na stole przed nim leżał tłusty talerz z resztkami kuropatwy. Od jakiegoś czasu wieczorny posiłek jedliśmy dla wygody w mojej komnacie, żebyśmy w swoim stanie nie musiały wchodzić po stromych schodach na podwyższenie.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej.

– Rozumiem, że mówiąc: „w całym królestwie”, masz na myśli także wśród kobiet?

– Oczywiście. Dlaczegoż by nie? We Włoszech kobiety mogą studiować na uniwersytetach i zdobywać stopnie naukowe. Masz coś przeciwko temu, by niewiasty uczyły się czegoś więcej niż tylko prac domowych?

– Ja? Przeciwno? – Z egzaltacją rozłożył ręce. – Uchowaj Boże!

Przyjrzałam mu się uważnie.

– Zgadzasz się ze mną tylko dlatego, że akuszerki ci kazały? Jak wiadomo, wielu mężczyzn, którzy często sami ledwo umieją czytać i pisać, uważa, że edukacja osłabia już i tak chwiejną moralność kobiet.

– Pierwsze słyszę – odparł. – Chociaż chyba coś w tym jest.

Syknęłam zniecierpliwiona i już miałam odparować, ale zauważyłam błysk w jego oku i w ostatniej chwili się powstrzymałam.

Robił, co mógł, by nie wybuchnąć śmiechem.

– To dobrze – odezwałam się, opierając się o poduszki na swoim wielkim wyściełanym fotelu. Irytowało mnie, że beztrudno traktuje tak istotne sprawy. – Zamierzam bowiem wydać pozwolenie na to, by kobiety mogły zarówno studiować, jak i wykładać na naszych uniwersytetach. Postanowiłam też znaleźć sobie nauczycielkę łaciny.

– Ciekawe, czy takie cudo istnieje? – zażartował Ferdynand.

– To zaistnieje – odcięłam się. – Jeśli postawię na swoim.

Nie dał rady się dłużej powstrzymać. Wybuchnął szczerym śmiechem, który przywołał niechętny uśmiech na moje usta. Następnie Ferdynand wstał i podszedł mnie pocałować.

– W takim razie koniecznie wydaj to pozwolenie – wymruczał. – Przypuszczam, że już niedługo większość mężczyzn w Kastylii zacznie złożyć Gutenbergowi i przeklinać jego maszynę.

– Jesteś niemożliwy – odpowiedziałam zrzędliwie.

Kiedy wyszedł, podniosłam leżącą na stoliku książkę i pogłaskałam złoconą okładkę.

Przyszedł czas, by pokazać poddanym, że dzięki edukacji także kobiety będą mogły realizować wyższe cele. Któregoś dnia moja córka wyjdzie za mąż i będzie naszą reprezentantką na obcym dworze. O ileż łatwiejsze będzie jej zadanie, jeśli zdobędzie wykształcenie, którego mnie brakuje? Ona, jak i cała Kastylia, muszą skorzystać z cudów nowej ery. Chciałam, by edukacja kobiet i głód wiedzy stały się powszechne w moim królestwie.

Mój stan błogosławiony zniweczył jednak wszelkie ambitne plany. Rozwiązanie nastąpiło kilka tygodni po przewidywanym terminie, jakbym opierała się połogowej izolacji. Po kilku dniach odosobnienia z akuszerkami odeszły mi wody i rozpoczął się bolesny poród.

Dusząc się pod przepoconym welonem, który przykrywał mi twarz, zaciskałam zęby i parłam z całych sił. Cierpienie było niewyobrażalne, rozdzierało mnie od środka. W chwili skrajnego wyczerpania pomyślałam, że na pewno nie przeżyję, że dziecko, które przez dziewięć miesięcy otaczałam taką troską, przyniesie mi zgubę.

– Przyj, Izabelo – wyszeptła mi do ucha Beatriz i położyła przyjemnie chłodną rękę na przepoconej woalce. – Akuszerka mówi, że już widać główkę. Już niedługo...

– Przenajświętsza Panienko – wysapałam, zbierając siły na kolejne parcie. – Proszę, niech to będzie chłopiec. Niech urodzi się ksiązę.

W tamtej chwili wszystko, co wiedziałam, wszystko, do czego dążyłam, ograniczało się do jednego urywanego oddechu. Zaczepnęłam powietrza, poczułam przeszywający ból, a potem wyczekiwany potok gorącej krwi.

– Już! – wykrzyknęła akuszerka. – Dziecko się narodziło!

Siedziałam na stołku i przyglądałam się desperacko, jak pochylona kobieta odcina i zawiązuje pępowinę, wyciera maleńkie ciało z krwi i wlewa do otwartych usteczek kroplę miodu. Czekałam rozgorączkowana na pierwszy zdumiony krzyk, a kiedy nastąpił, akuszerka spojrzała na mnie triumfująco.

– Kastylija ma księcia – ogłosiła, jakby wszystko było jej zasługą.

Nazwaliśmy go Jan, na cześć jego obu dziadków i naszego patrona, Świętego Jana Chrzyciela.

Usłyszałam później, że Ferdynand prezentował go dworzanom ze łzami w oczach. Ja odpoczywałam w prywatnej komnacie i miałam pokazać się publicznie dopiero po chrzcie syna i obrzędzie wyvodu. Beatriz informowała mnie jednak o wszystkim – wiedziałam o dumie, z jaką mój mąż podnosił małego infanta przed zgromadzonymi (sprawiając, że ten wybuchnął płaczem), oraz o hucznych zabawach organizowanych w całym królestwie. W Segovii ludzie tańczyli wokół ognisk, a w Salamance zaszlachtowano sto byków – wpadłam w gniew na wieść o tym okrutnym widowisku i nie omieszkałam wyrazić swojej dezaprobaty. Król Jan przysłał nam z Aragonii wielką złotą chrzcielnicę – by zanieść ją do kościoła Santa María, potrzebnych było sześciu mężczyzn. Dołączył też list, w którym prosił o darowanie Carrillovi dawnych przewinień i przywrócenie mu dochodu zarówno w ramach dziękczynienia za narodziny syna, jak i z szacunku dla arcybiskupa, który tak zaciekle walczył o nasze prawa do tronu, a teraz był „smutnym, zrujnowanym człowiekiem”.

Zgodziłam się. W moim sercu nie było miejsca na złość. Postawiłam na swoim – po ośmiu latach małżeństwa zapewniłam naszej dynastii ciągłość, wydając na świat syna, który miał odziedziczyć po nas i Kastylię, i Aragonię. Zaskarbiłam sobie uznanie najbardziej zatwardziałych poddanych, a kilka dni po narodzinach Jana pozostała garstka sewilskich przestępców uciekła do kontrolowanej przez Maurów portowej Malagi. Dzwony, które rozdzwoniły się w całym królestwie, były dla księży sygnałem do ukrycia konkubin i bękartów oraz chwycenia za Biblię – wiedzieli doskonale, że powiwszy męskiego dziedzica, wkrótce będę mogła poświęcić całą swoją uwagę reformie Kościoła.

Sześć tygodni po porodzie, w dzień Świętej Marty, razem z Ferdynandem uroczyście zaprezentowaliśmy syna ludowi Sewilli. Przemierzaliśmy tłoczne ulice, odgradzone sznurami, by nasze konie mogły przejechać, pod słońcem tak silnym, że wybieliło niebo. Czułam, jak pod wysadzonymi perłami białym* i koroną gromadzi mi się pot. Niezłomny Canela udekorowany z równym przepychem stąpał nerwowo, krzesząc kopytami iskry na rozpalonym bruku.

Wiwaty tłumu wystraszyły gołębie z dachów. Jan jechał przed nami przykrytym baldachimem powozem w ramionach swojej matki chrzestnej, księżnej Mediny-Sidonii. Markiz de Cádiz eskortował infanta, pławiąc się w uznaniu z nonszalancją przystojnego mężczyzny. Ksiązę Medina-Sidonia jechał z przodu z naszym sztandarem – uprzywilejowana pozycja była wyrazem naszego uznania.

Niespodziewanie owacje przycichły, a potem zamilkły. Ludzie niemal równocześnie zadarli głowy, wokół pociemniało, a nasze cienie się wydłużyły. Jadący obok mnie Ferdynand ściągnął wodze. Spojrzał w górę, a wysadzany rubinami diadem przekrzywił mu się na czole. Zamarł.

– Dios mío – wyszeptał – El sol se apaga.
– Co? Słońce nie może zgasnąć! – wykrzyknęłam i zadarłam głowę, podążając za jego wzrokiem, choć ze względu na ciężar przybrania i korony bolała mnie od tego szyja.
Na rozpalonym niebie zobaczyłam cień przecinający tarczę słoneczną niczym czarny sierp.

Wszędzie wokół słyszałam przerażone okrzyki. Ludzie rzucali się na kolana. Sama byłam jednak spokojna. Kiedy jeszcze jako księżniczka grzebałam w bibliotece w Segovii, natrafiłam na kilka dokumentów opisujących to zjawisko – o ile się nie mylę, nazywało się zaćmienie. Powiedziałam o tym Ferdynandowi, który siedział nieruchomo, przyrośnięty do konia.

– Zaćmienie? – powtórzył, jakby to słowo było zupełnie niezrozumiałe.
– Tak, czasem Księżyc zasłania Słońce, przyćmiewając jego światło, ale potem się przesuwa i wszystko wraca do normy – wyjaśniłam niecierpliwie.

Było niewyobrażalnie gorąco. Pot lał się ze mnie strumieniami. Chciałam dojechać do podwyższenia na głównym rynku, wypełnić nasz obowiązek i schronić się w zamku, zanim zagotujemy się w strojnych szatach. Martwiłam się też o synka, który w takim piekielnym upale mógł dostać wysypki.

– Ale... to omen – wyjąkał ku mojemu zdziwieniu Ferdynand. – To całe... zaćmienie przydarza się dokładnie tego samego dnia, kiedy prezentujemy naszego syna? Nic dobrego to nie wróży.

Musiałam się powstrzymać, by nie zacząć przewracać oczami. Mimo posiadania zamorskich kolonii Aragonia nadal była krajem niezwykle zabobonnym, tak jak Andaluzyja.

– To żaden omen – odparłam dużo ostrzej, niż zamierzałam. – Nasz syn został już ochrzczony, uzyskał boże błogosławieństwo. To tylko księżyc zapomniał, gdzie jego miejsce. – Uśmiechnęłam się i ściszyłam głos, by zażartować: – Kto jak kto, ale ty powinienes coś o tym wiedzieć.

Odwzajemnił mój uśmiech, ale widziałam, że jest naprawdę przestraszony, jakby wierzył, że to nieistotne zjawisko na niebie stanowiło przepowiednię na przyszłość. Pomachałam zniecierpliwiona do Medyny-Sidonii, który z pogardą przyglądał się panującej wokół panice.

– Mości księżę, moglibyście...?

Warknął na znieruchomiałych wasali, którzy tkwili wokół nas niczym posągi i wpatrywali się w na wpół zasłonięte słońce.

– Dalej! Jej Wysokość każe ruszać!

Stukot podków naszych koni roznosił się echem po ulicach, na których teraz panowała cisza. Zanim dotarliśmy do rynku, a tłum zajął miejsca, światło słoneczne zaczęło powracać, bo księżyc stopniowo się usuwał.

Weszłam na podium, wzięłam Jana od księżnej i wpatrywałam się w morze anonimowych ludzi, zmuszając ich, by oderwali wzrok od nieba i spojrzeli na mnie i dziecko w moich ramionach.

Nie wierzyłam w znaki. Dla mnie nie było nikogo potężniejszego niż Bóg. Stwórca zaś nigdy by nie pozwolił, by mojemu synowi stało się coś złego.



Wczesną wiosną 1479 roku opuściliśmy andaluzyjskie ogrody i ruszyliśmy do Kastylii. Podróżowaliśmy wolno i etapami, ze względu na małego Jana, którego cały czas

trzymałam przy sobie, bo miał skłonności do kolki. W ciągu sześciu miesięcy dwa razy zmieniałam mu mamkę, ale nie pomogło. Tak bardzo martwiłam się o jego zdrowie, że dałam sobie wyperswadować karmienie piersią, choć wymiana mamek wcale mu się nie przysłużyła. Zasięgnęłam też opinii wielu uczonych medyków, żydowskich i mauretańskich, oraz złożyłam bardzo hojną ofiarę sewilskiej Virgen de la Antigua i jej Dzieciątka, bo figura słynęła z cudów uzdrawiania. Ferdynand próbował mnie uspokajać, twierdząc, że kolka jest powszechna wśród dzieci, a większość z niej wyrasta. Ja jednak czułam cierpienie synka całym swoim jestestwem i nie byłam w stanie skupić się na niczym innym. Jechaliśmy jednym powozem z małą Izabelą, Beatriz i Inés, podskakując na wyboistych drogach. Moja córka gaworzyła i machała srebrnymi grzechotkami przed Janem, żeby odwrócić jego uwagę od bólów brzucha.

Wkrótce po przybyciu do Segovii odkryłam, że znów jestem brzemienna. Kiedy podniosłam głowę znad wiadra, do którego właśnie zwróciłam śniadanie, Beatriz popatrzyła na mnie współczująco. Ferdynand nalegał, bym dopuściła go do łoża, na długo zanim czułam się gotowa. Nie był brutalny, ale nie dawał za wygraną. W przyływie szczerości zwierzyłam się Beatriz, że mój mąż nie przyjmuje do wiadomości odpowiedzi „później”. Jedno jej spojrzenie powiedziało mi dlaczego. Ferdynand, choć udawał beztroskę, wiedział, jak kruche jest nasze dziecko. Niemowlęta umierały każdego dnia z powodu kolki lub innych przypadłości. Nasza sukcesja nadal była niezabezpieczona. Potrzebowaliśmy kolejnego syna.

W tym przekonaniu utwierdziła nas dodatkowo wiadomość o śmierci króla Jana Aragońskiego, który dokonał żywota po długiej chorobie. Ferdynand natychmiast wyruszył do ojczyzny na pogrzeb i spotkanie z kortezami – na mocy podpisanych przez nas przed ślubem kapitulacji Aragonia i Kastylia miały odrębne zgromadzenia stanowe. Chciałam mu towarzyszyć, bo śmierć jego ojca doprowadziła do całkowitego zjednoczenia królestw pod naszym wspólnym panowaniem. Nie mogłam jednak podróżować – nie z dzieckiem, które wymagało opieki, i z drugim w drodze.

Już od pierwszego miesiąca ciągle czułam się nieswojo: zaczynałam tęsknić za Ferdynandem, jak tylko wychodził, brakowało mi sił, by przejść na drugą stronę komnaty, bo dręczyły mnie nieustanne nudności. Złe samopoczucie sprawiało, że ze strachem myślałam o czekających mnie miesiącach wyrzeczeń.

Nastroju nie poprawiły mi doniesienia o kolejnych powstaniach w obronie Joanny la Beltranei, które wybuchły w Estremadurze. Prowodyrem całego buntu był ten stary cap król Alfons, którego poniesiona w starciu z nami porażka i papieska odmowa wydania dyspensy na ślub z Joanną gryzły jak siarkowe opary. Przekupił bandę warcholów, by zorganizowali powstanie, korzystając z nieobecności Ferdynanda.

– Co ja mam robić?! – wykrzyknęłam do Beatriz. Siedziałam przy pulpicie i czytałam ostatnie sprawozdania admirała, którego wysłałam do tłumienia rewolty. – Don Fryderyk pisze, że aresztował wszystkich szlachciców zamieszanych w rebelię. Zostaną oczywiście pozbawieni majątku i skazani. Musiał też podpalić pola, zgromadzić wieśniaków i przegnać Portugalczyków z powrotem za granicę jak zgraję dzikich psów. – Wymachiwałam listem, bo ze zmęczenia traciłam nad sobą panowanie. – Te łajdaki splądrowały nasze kościoły i uciekły z workami kosztowności na plecach! Nie możemy sobie teraz pozwolić na takie straty! Potem jeszcze kpili z naszych żołnierzy, pokazując im obraźliwe gesty przez granicę! – Rzuciłam kartkę na pulpit, tak że płomień świecy zachybotał. – Nie mogę puścić tego Alfonsowi płazem. Najwyraźniej byłam naiwna, sądząc, że wygnanie do Portugalii uciszy Joannę. Zgodnie z tym, co pisze don Fryderyk, na przesłuchaniach szlachcice w większości przyznali, że buntują się przeciwko moim rządóm, bo Joanna obwołała się prawdziwą córką Henryka i jedyną królową Kastylii! Jak ona śmie kwestionować moje prawa do tronu, skoro wszyscy wiedzą, że jest bękartem Beltrána de la

Cuevy?

Beatriz stała przy łożu, skrapiała moją pościel olejkami z lawendy i anyżku, po czym zwijała ją i wkładała do skrzyni. Przerywając pracę, powiedziała:

- Może powinnaś zaproponować jej układ pokojowy?
- Wolałabym raczej salwę z armaty – prychnęłam.

Przyjaciółka zachichotała.

– Nie wątpię, ale proch jest drogi, a Alfons to tchórz. Schowa się w swojej twierdzy, a ty będziesz się wysilać. Ale jeśli zaoferowałabyś Portugalii traktat pokojowy i nalegała, by prowadzić pertraktacje z siostrą twojej matki, księżniczką Beatrycze, wtedy będziesz mogła...

– ... zażądać, żeby Joannę trzymano w ścisłym areszcie – dokończyłam z uśmiechem. – Beatriz, powinnaś być dyplomatą. To idealne rozwiązanie: Alfons nie odważy się mi odmówić, zwłaszcza jeśli na osłodę obiecuję mu, że kiedy moja Izabela osiągnie pełnoletność, rozważymy wydanie jej za syna jego następcy. Nie ożenił go z la Beltraneją ze względu na różnicę wieku. Mogę pokonać go w jego własnej grze, nadal dając mu to, czego chce – prominentną pozycję i zasilenie skarbcza pokaznym wianem.

Beatriz przytaknęła, podnosząc stos mojej pościeli.

– Zabierz się więc do pracy. Wszystko, żeby tylko przez następne miesiące nie musiała słuchać, jak stękasz i marudzisz.

Roześmiałam się i z nową energią zanurzyłam pióro w kałamarzu.

Król Alfons odpowiedział, że spotka się ze mną na granicy, by omówić moją propozycję. Napisał, że najwyższy czas zakończyć ten spór raz na zawsze. Kiedy jednak, zostawiwszy dzieci pod opieką Beatriz, odbyłam dwudniową podróż lektyką do chłostanego wiatrem zamku Alcántara, powiedziano mi, że król się rozchorował. Po dwóch tygodniach nerwowego oczekiwania otrzymałam wiadomość, że Alfons wysłał do mnie samą Joannę w towarzystwie wybranej przeze mnie reprezentantki, mojej ciotki Beatrycze.

Przywitałam uściskiem tę wysoką, elegancko ubraną krewną, którą widziałam po raz pierwszy. Jej zielononiebieskie oczy i owalna twarz boleśnie przypomniały mi matkę. Od razu wyczułam, że w Beatrycze mam sojusznikę. Rzeczywiście, natychmiast po wymianie serdeczności stwierdziła, że zależy jej na zaprowadzeniu trwałego pokoju między naszymi królestwami.

– Jesteśmy sąsiadami. Nic nie wskóramy, skacząc sobie do gardeł – oświadczyła, unosząc jasne brwi. – Zwłaszcza że łączą nas więzy krwi i granica.

– Zgadzam się w zupełności – odparłam. – A czy król przystał na to, byście przejęli opiekę nad Joanną?

– Tak, zgodził się. – Beatrycze zamilkła na chwilę. – Obawiam się, że ona sama jest innego zdania – dodała, wstając z krzesła, by otworzyć drzwi.

Do komnaty weszła Joanna. Stała przede mną, sztywna jak kołek, odziana w kosztowny ciemny aksamit.

Zmusiłam się do uśmiechu.

– Moje dziecko, jak cudownie znów cię widzieć. Jesteś już kobietą.

Rzeczywiście, była niepokojąco dojrzała. Zapomniałam, że nie jest już małą dziewczynką, z którą spacerowałam po ogrodach alkazaru, pulchnym oseskiem, którego można sobie podporządkować. Szesnastoletnia Joanna mogłaby być piękna, gdyby nie przedwcześnie zgorzkniała wyraz twarzy. Kiedy przyglądałam jej się ukradkiem, szukając podobieństw do swojego zmarłego brata, w rysach Joanny widziałam tylko jej matkę. Dziewczyna była smukła jak cis i miała matczyne ciemne oczy, lśniące włosy i lekko wydęte usta. Próbowałam zignorować to, że ostentacyjnie mi się nie pokłoniła ani w żaden inny sposób nie okazała

szacunku, ale na jej widok poczułam ukłucie w sercu. Była moim nieprzejednanym wrogiem i zawsze mogła poślubić jeśli nie Alfonsa, to jakiegoś innego władcę, który będzie zatruwał nam życie. Ostatnie, czego potrzebowałam, to rywalka śledząca każdy mój krok, figurantka, wokół której mogli zebrać się awanturnicy tacy jak ci w Estremadurze.

– Pamiętasz mnie? – zapytałam i z oczu Joanny wyczytałam, że tak, choć wołała milczeć, udając, że mnie nie zna.

– Odpowiedz królowej – zbesztła ją ostro Beatrycze.

Joanna zmrużyła oczy.

– Nie widzę tu żadnej królowej – oświadczyła wysokim, donośnym głosem. – Chyba że chcesz, żebym odpowiadała sama sobie?

Beatrycze spojrzała na nią groźnie, po czym zwróciła się do mnie:

– To dziecko nabrało na dworze manier, które jej nie przystoją. Za dużo czasu spędziła, chłonąc cudze poglądy.

– Najwyraźniej – odparłam.

Nie odrywałam wzroku od Joanny. Ku mojemu zażenowaniu ona nie spuściła oczu, tylko gapiała się na mnie tak bezczelnie, że zaczęłam zaciskać schowane pod mankietami pięści.

– Więc uważasz, że masz większe prawa do korony niż ja? – zapytałam ostro.

Ledwie widoczne skrzywienie było dla mnie wskazówką, że dziewczyna nie jest tak pogardliwa, za jaką chce uchodzić. Nie odpowiedziała od razu. Zaciskała usta, jakby gryzła od środka dolną wargę.

Po chwili wyrzuciła z siebie:

– Wierzę, że jestem jedyną dziedziczką króla Henryka. Wierzę, że ty, księżniczko Izabelo, przywłaszczyłaś sobie mój tron i rozsiewasz plotki, że jestem bękartem. Ale w moich żyłach płynie krew tak czysta jak w twoich, bo ja też jestem potomkiem dynastii portugalskiej i kastylijskiej.

– Czyżby? – zapytałam z kamienną twarzą.

Czułam, jak od środka ogarnia mnie lodowaty chłód. Już nie miałam wątpliwości, że Joanny trzeba się pozbyć. Nie mogłam dłużej tolerować niebezpieczeństwa, jakie stwarzała.

Zwracając się do ciotki, oznajmiłam:

– W takim razie nie mamy o czym rozmawiać. Okazuje się, że mój pierwotny zamysł był zbyt pobłażliwy.

Na tę otwartą groźbę Joanna zareagowała dokładnie po mojej myśli.

– Nie dam sobie odebrać korony! – wybuchnęła. – Nie omamisz mnie swoimi intrygami i paskudnymi kłamstwami. To ja jestem prawowitą królową Kastylii! Nie wyrzeknę się tronu dla twojej korzyści. Nigdy!

Z ust pryskały jej kropelki śliny, a całe ciało miała sztywne i napięte. Patrzyłam, jak wyraz twarzy Beatrycze zmienia się z zażenowania na determinację.

– Temu dziecku zdecydowanie potrzeba tynktury na uspokojenie – oznajmiła.

Następnie podeszła, wzięła mnie pod rękę i poprowadziła w stronę galerii. Zostawiłyśmy wściekłą Joannę, która zdawała sobie sprawę, że jej obelgi i protesty zostaną zaraz zignorowane.

Chociaż się nie odwracałam, czułam, że wierci mi wzrokiem dziurę w plecach.

Miesiąc później serdecznie pożegnałam się z ciotką. Stałam na zwodzonym moście, porywiste wiatry trzepotały moim płaszczem, a ja przyglądałam się, jak portugalski orszak powoli się oddala. Miałam za sobą cztery tygodnie wyczerpujących rokowań, podczas których dzielnie walczyłam z porannymi mdłościami. Beatrycze okazała się elokwentną rzeczniczką sprawy portugalskiej, bez wątpienia skuteczniejszą niż awanturniczy Alfons.

Mimo to moje racje przeważały. Uparcie odmawiałam wszelkich ustępstw w kwestii ziem

czy zadośćuczynienia, powołując się na fakt, że to Portugalia najechała nas, a nie odwrotnie. Przystąpiłam na pierwotną propozycję wydania mojej Izabeli za syna następcy tronu i odstąpiłam Portugalczykowi prawa do eksploracji otwartych mórz. W jednej kwestii byłam nieugięta: Joanna musi zrzec się wszelkich roszczeń do korony Kastylii. Jeśli chce, może zamknięta w klasztorze czekać, aż mój syn osiągnie pełnoletność, a wtedy możliwość ich małżeństwa zostanie wzięta pod rozwagę. Mogła też od razu przyjąć śluby zakonne. Aby zapobiec kolejnym spiskom w obronie praw Joanny, zakazałam jej wygłaszania bezpodstawnych sądów co do tego, kto jest jej ojcem.

Na podjęcie decyzji dałam jej sześć miesięcy. Przyglądając się odjazdowi portugalskiej delegacji, zauważyłam, jak zasłony w powozie lekko się rozsuwają i ukazuje się między nimi twarz Joanny. Nienawiść w jej oczach sprawiła, że znieruchomiałam. Bładość Beltranei stanowiła jednak oznakę porażki.

Wolałaby umrzeć, niż przyjąć moje warunki. Tak jak wcześniej jej matka, Joanna była nazbyt próżna, a nie dość roztropna. Wiedziałam, że będzie zwlekać najdłużej, jak się da, odciągając to, co nieuniknione, ale w końcu nie będzie miała wyboru. Uwięziona w klasztornej celi, resztę swoich dni spędzi jako przymusowa oblubienica Chrystusa, zapomniana przez wszystkich.

Nawet pozbywszy się jej na zawsze, z drżeniem rozmyślałam, jaki zamęt mogła wprowadzić do mojego życia, gdyby udało jej się udowodnić to, w co tak gorąco wierzyła.



Po podpisaniu traktatu z Portugalią udaliśmy się z Ferdynandem do Toledo, gdzie 6 listopada powiłam trzecie dziecko.

Tym razem poród był krótki, ledwie trzygodzinny. Kiedy akuszerka podała mi niemowlę, pomyślałam, że to bez wątpienia najpiękniejsza z moich pociech – córeczka była idealna pod każdym względem, miała czuprynkę rudych loków na ciągle miękkim czubku głowy, białą jak mleko skórę i spokojne bursztynowe oczy. Nie marudziła – leżała zadowolona przy moim boku, jakby w ogóle niewzruszona swoim nagłym wejściem na ten świat. Choć powinnam odczuwać rozczarowanie, bo nie była przecież chłopcem, na którego liczyliśmy, kiedy trzymałam ją w ramionach, obudził się we mnie silny instynkt opiekuńczy.

Towarzyszył mu jednak smutek – tak jak moja Izabela, również to dzieciątko miało kiedyś dorosnąć i pewnego dnia opuścić nas, by poślubić władcę w jakimś odległym królestwie. Starłam się, by w kwestiach dotyczących córek emocje nie brały nade mną góry – od początku wiedziałam, że w przeciwieństwie do Jana, który zostanie z nami i przejmie po nas królestwa, infantki miały do odegrania inną rolę.

W tym niemowlęciu było jednak coś niezwykle zniewalającego – jakby przecięcie pępowiny nie do końca nas rozdzieliło. Trzymałam córkę przy sobie, aż do komnaty zakradł się na palcach Ferdynand, stanął przy moim łożu i popatrzył na mnie pytająco.

– Podobno nie chcesz oddać jej mamce. Dwórki są zgorzzone. Myślą, że zamierzasz sama ją karmić.

– Jeszcze nie jest głodna – odpowiedziałam, odsuwając krawędź wełnianego kocyka, który zasłaniał jej buzię. – Zobacz, jak mocno śpi. Odkąd mi ją podali, w ogóle nie płacze. Jest taka spokojna, że aż dziwne. Widziałeś kiedyś tak cichego noworodka?

Podszedł do wezglowia łoża, by obejrzeć córkę.

- Ma rude włosy, jak moja matka.
- W takim razie nazwiemy ją Joanna – odparłam – na cześć twojej matki.
Nachyliłam się i pocałowałam jej ciepłe czółko, na którym życie nie wypisało jeszcze żadnej lekcji.
- Infantka Joanna – powiedział Ferdynand z uśmiechem. – Tak, pasuje do niej.



- Wasze Wysokości, musimy wprowadzić ten edykt w życie.
Siedzieliśmy na zebraniu Rady Królewskiej w toledańskim alkazarze. Na zewnątrz padał chłodny wieczorny deszcz. Było późno. Właśnie dobiegł końca kolejny długi dzień pertraktacji z kortezami złożonymi z trzydziestu czterech delegatów z siedemnastu najważniejszych kastylijskich miast. Dokładaliśmy z Ferdynandem wszelkich starań, by wzmocnić naszą władzę, i właśnie w tym celu opracowaliśmy wieloletni plan rewizji kodeksów i prawa podatkowego.
Teraz zmęczeni i z zapuchniętymi oczami słuchaliśmy de Mendozy i komisji kościelnej, którą dwa lata wcześniej powołał za naszą zgodą do zbadania doniesień o marrańskich herezjach w Kastylii. Ferdynand siedział zgarbiony obok mnie, przykładając dłoń z sygnetami do podbródka i przyglądał się ponuro stosom leżących przed nami dokumentów – rzetelny spis oskarżeń przeciwko księżom, którzy negowali świętość Dziewicy; zeznania świadków, którzy widzieli, jak sąsiedzi jedzą przaśny chleb i zgodnie z żydowskim obyczajem wkładają swoim zmarłym monety do ust; doniesienia o marranach, którzy śliną zmywają olej chrzcielny z czół swoich dzieci; a nawet niepotwierdzone przerażające plotki o torturowaniu chrześcijańskich chłopców w czasie Wielkiego Tygodnia, by wykpić mękę Chrystusa. Wszystkie te relacje prowadziły do jednego, nieuniknionego wniosku.
- Jesteście pewni? – zapytał Ferdynand głosem ochryplym po całodziennych obradach. – Macie absolutną pewność, że te fałszywe przechrzty działają na szkodę Kościoła i jeszcze czerpią z tego zyski?
- Tak, Majestad – odparł de Mendoza i skinął na brata Torquemadę.
Kiedy ascetyczny dominikanin wstał, ogarnęło mnie zdenerwowanie. Pod czarnym płaszczem widać mu było wyraźnie wystające łopatki. Od naszego ostatniego spotkania jeszcze wychudł – tak bardzo, że początkowo podejrzewałam u niego jakąś śmiertelną chorobę. Wyglądał jak kościotrup, nie było na nim nic prócz skóry i kości, a jego pociągła twarz była śmiertelnie blada. To, że w ogóle mógł się poruszać, zakrawało na cud, bo sprawiał wrażenie zagłodzonego i wycieńczonego. W jego oczach jednak niezaprzeczalnie płonął ogień żarliwości. W końcu nastąpiła chwila, na którą od tak dawna czekał.
Zaczął mówić, a ja starałam się ukryć przerażenie.
- To wszystko prawda – powiedział niskim, beznamiętnym głosem. – A to jeszcze nie wszystko. Skala ich zbrodni przerasta naszą wyobraźnię. Oprócz tego, że potajemnie odprawiają żydowskie rytuały, te plugawe przechrzty sprzymierzają się z Żydami i razem rujnują dobrych chrześcijan: udzielają im pożyczek na lichwiarski procent i trzymają łapę na całej gotówce. Jeszcze nie urodził się Żyd, który zostałby cieślą albo robotnikiem, wszyscy szukają wygodnych posadek i żyją z pasożytowania na pracy innych. Mają więcej bogactw niż całe królestwo. Jak Maurowie jedzą na złotych talerzach, gdy wielu głoduje.
Z jego ust nie padło nic szczególnie nowego. Już wiele lat temu, na dworze Henryka, słyszałam podobne oskarżenia. Teraz Torquemada przemawiał jednak do nowej publiczności –

chciał wpłynąć nie na mnie, lecz na Ferdynanda. Przyglądał się mojemu mężowi tak samo wnikliwe, jak niegdyś mnie. Odkrył jego dwie słabości – strach przed szerzącą się herezją i wściekłość z powodu nieustannej biedy, z którą musieliśmy się borykać.

– Mówi brat, że mają więcej bogactw niż my? – zapytał Ferdynand, prostując się. Z jego twarzy zniknęły wszelkie oznaki zamyślenia.

Dominikanin pochylił wygoloną na czubku głowę.

– Tak, Wasza Wysokość. Jeśli zgodzilibyście się na wprowadzenie w życie edyktu Jego Świątobliwości ustanawiającego inkwizycję, z bożą pomocą będzie można zacząć oddzielanie pobożnych od nieprawych. Pozwoli nam to przywrócić świetność nie tylko Kościoła, lecz także waszego skarbcza.

– Jak to? – zapytałam, uprzedzając Fryderyka. – W jaki sposób święta inkwizycja może zasilić nasz skarb?

Torquemada spojrział na mnie z krępującą poufałością.

– Własność skazańców wróci do Korony, Majestad. Był to jeden z warunków, który Wasza Wysokość sama postawiła Jego Świątobliwości, prawda? Czy nie zażądaliście, alby wszystkie funkcje trybunału świętej inkwizycji, od powoływania inkwizytorów po nakładanie kar, pozostawały w waszych rękach?

Zacisnęłam zęby, zmuszając się, by nie odwracać wzroku. Miałam wrażenie, że cofnęłam się w czasie do tej nocy w Segovii, kiedy po raz pierwszy poznałam Torquemadę. Byłam wtedy młodą dziewczyną, która borykała się z wieloma problemami i walczyła z wyrzutami sumienia. Wtedy dominikanin odczytał moje najskrytsze pragnienia i przyniósł pociechę, która pozwoliła mi zebrać siły. Teraz już tak mu nie ufałam. Zasiał we mnie ziarno wątpliwości, zmuszając do złożenia obietnicy, kiedy Henryk był w agonii.

„Wątpliwość to służebnica szatana, którą on przysyła, żeby doprowadziła nas do wiecznej zguby”.

– To z pewnością niemożliwe, żeby mieli aż takie fortuny – odparłam, czując na sobie spojrzenie Ferdynanda, prawie tak samo świdrujące jak Torquemady. – Poza tym nie wyraziłam zgody na podejmowanie żadnych działań względem Żydów. Nowa polityka dotyczy tylko marranów. Powtarzam: tylko tych, których zbłądzili w naszej wierze.

Torquemada stał nieruchomo, nawet nie mrugając. W końcu oderwałam wzrok od niego i spojrzałam na swojego spowiednika, brata Talaverę. Skinął do mnie nieznacznie, by dodać mi otuchy. Jego też coraz bardziej martwiło niezmordowane dążenie Torquemady do wypędzenia Żydów z królestwa. Choć komisję śledczą, którą powołaliśmy, nadzorował de Mendoza, zakonnik dzięki płomiennej retoryce szybko ją zdominował.

– A co z moim programem edukacyjnym? – ciągnęłam. – Kazałam rozesłać po królestwie wykształconych, doświadczonych kaznodziejów, by głosili zasady naszej wiary. Mieli zatroszczyć się o to, by ci, którzy źle zrozumieli albo których wychowano w błędnych przekonaniach, trafili z powrotem do bożej owczarni.

– Nasi duchowni zrobili, co Wasza Wysokość kazała – odrzekł kardynał, odchrząknąwszy. – Wśród tych dokumentów znajdują się sprawozdania osiemdziesięciu księży. Większość niestety jest zgodna co do tego, że herezje marrańskie są zbyt głęboko zakorzenione, by nauczanie doktryny mogło je zwalczyć. Sytuacja jest szczególnie poważna w Andaluzji, gdzie wielu marranów sprzeciwia się Kościołowi, a nawet go atakuje. Ich dusze mogą zostać potępione na wieki. Waszym obowiązkiem jako bożego pomazańca jest je ratować.

Niespodziewanie odezwał się Torquemada.

– Wasza Wysokość zdaje się zapominać, że jeszcze przed koronacją obiecała tępienie herezji. Wycofanie się z danego słowa też będzie aktem heretyckim.

Ścisnęłam mocniej podłokietniki, a do rozmowy wtrącił się Talavera:

– Z całym szacunkiem, ale to ja jestem spowiednikiem Jej Wysokości. Zapewniam brata, że jest oddaną służebnicą Kościoła i wszelkie zarzuty traktuje z najwyższą powagą...

– To nie są zarzuty! – ryknął Torquemada, a jego głos odbił się echem od wybitych drewnem ścian komnaty.

Nigdy nie podejrzewałam, że ma w płucach taką siłę. Ferdynand chyba też nie, bo wyraźnie się skrzywił.

– To wszystko prawda! – Zakonnik wyrzucił ręce przed siebie, zginając chude palce, jakby chwycił niewidoczne płomienie. – Kto temu zaprzecza, wypiera się samego Chrystusa! Lepiej jednookim wejść do królestwa bożego, niż mieć dwoje oczu, a być wrzuconym do piekła.

Zerknęłam ukradkiem na Ferdynanda – przyglądał się zakonnikowi zdumiony. Miał własnego spowiednika z Aragonii, któremu ufał, ale widziałam, że żarliwa wiara Torquemady działała na niego hipnotycznie. Martwiło mnie to, jak charyzma Torquemady wpływa na mojego męża, bo zdałam sobie sprawę, że sama już jej nie czuję. Już nie pokładałam wiary w Torquemadę.

– Ale wśród naszych poddanych zawsze byli marrani i dobrze nam służyli. Skąd mamy wiedzieć, kto jest heretykiem, a kto nie? – Wypowiadając te słowa, Ferdynand wziął mnie za rękę.

Rzadko pozwalał sobie na ten gest w miejscach publicznych. Jego dłoń była ciepła, a ściskające mnie palce przekazywały otuchę. Torquemada być może mu imponował, ale mój mąż najwyraźniej nie zamierzał dać się zmanipulować. Jego praktyczna aragońska natura domagała się, by zanim podejmie decyzję, dostarczone mu dowodów.

– Są Żydzi, którzy naprawdę przyjęli naszą wiarę i wyrzekają się tych, którzy trwają przy plugawych obyczajach – odpowiedział Torquemada spokojnie, jakby przed chwilą wcale nie krzyczał w obecności swoich monarchów. – Ale są też tacy, którzy kłamią. Niełatwo ich odróżnić, szczególnie tu, w Andaluzji, bo od bardzo dawna żyją obok siebie. Właśnie dlatego prosimy, by pierwszy trybunał świętej inkwizycji ustanowić w Sewilli. Będzie to praca wymagająca poświęceń i najlepiej, żeby wykonali ją ludzie o niezłomnych sercach. Kiedy już wykorzenimy zło, Bóg okaże miłosierdzie. Pan utoruje drogę do chwały i jedności w królestwie – będziemy mieć jedną Koronę, jeden kraj i jedną wiarę. Pomoże wam pozbyć się heretyków, marranów i niewiernych, tak żebyście mogli zbudować nowy świat, w którym Hiszpania będzie wiodła prym, a sprawiedliwi będą się radować.

Ferdynand siedział nieruchomo. Zakłopotanie musiało malować mi się na twarzy, bo nagle oświadczył:

– Musimy się z królową naradzić.

Pomógł mi wstać z tronu i pokierował mnie do sąsiedniej komnaty, gdzie blask świec i buzującego piecyka odpędzał mrok i ziąb.

Za arkadowym oknem rozciągała się panorama miasta. W oddali nad brukowanymi uliczkami górowała ozdobna wieża najstarszej katedry w Kastylii – świątynię ku czci Najświętszej Marii Panny ufundował Ferdynand III, postrach Maurów.

Podeszłam do okna, podczas gdy mój mąż zajął się nalewaniem wina stojącego na kredensie. Myślałam o wszystkich kastylijskich kościołach zaniedbanych za rządów mojego ojca i Henryka. Czy ruina, w jaką popadły budynki, i rozpusta duchowieństwa były przyczyną raka, który toczył teraz nasz Kościół? Niedawno wydałam dekret zobowiązujący księży do celibatu i wyznaczyłam radę biskupów, która miała nadzorować reformę wszystkich klasztorów i mianowanie nowych prałatów. Skłoniłam też kortezy do przeznaczenia funduszy na odnowienie zrujnowanych świątyń, w tym toledańskiej katedry, oraz na budowę nowego

klasztoru San Juan de los Reyes, by upamiętnić nasze zwycięstwo nad Portugalią.

– Wszystko, co robię – powiedziałam na głos, słysząc, że Ferdynand stanął koło mnie – robię na chwałę bożą i dla dobra naszego królestwa. Czemu więc mam wrażenie, że z tego chaosu nie ma wyjścia, że nie ma jasnej odpowiedzi i dobrego rozwiązania?

– Jest odpowiedź, tylko nie taka, jaką chcesz usłyszeć.

Odwrociłam się do niego.

– Już czas, Izabelo. Nie możemy już dłużej odpowiadać wymijająco. Jako królowie katolicycy musimy służyć przykładem. Nie możemy już dłużej tolerować herezji na naszych ziemiach.

– Jesteś pewien, że tak należy postąpić? – zapytałam.

– Tak. To Bóg namaścił nas do sprawowania władzy. Nie pozwoliliby nam błędzić. – Ferdynand nachylił się do mnie. Blask świecy łagodził jego mocne rysy. – To nasz święty obowiązek, Izabelo. Oboje o tym wiemy. Czasem musimy działać wbrew temu, co dyktuje nam serce, bo tylko to jest słuszne.

Spojrzałam mu w oczy.

– Jeśli to zrobimy, zginą nasi poddani.

– Tylko ci, którzy są winni i nie okażą skruchy. Pobożnym chrześcijanom nic nie grozi. – Poglaskał mnie po policzku. – Mi luna, nie możesz wątpić. Zawsze się zastanawiasz, czy postępujemy zgodnie z wolą boską, a ja zapewniam cię, że tak. Nie pozostaje nam nic innego. Torquemada jest zbyt zuchwały, ale jego słowa są prorocze: jedna Korona, jedno królestwo, jedna wiara. Nie możemy się zadowolić niczym innym. Budujemy nowy naród na nowe czasy. Właśnie o tym marzyliśmy wiele lat temu. A kiedy już oczyścimy Kastylię i Aragonię, skierujemy nasz miecz na Grenadę. Wznowimy rekonkwistę i pozbędziemy się stamtąd wszystkich niewiernych.

Chciałam dać się przekonać. Chciałam dzielić jego niezachwianą wiarę w nasze przeznaczenie, która nie słabła nawet w obliczu przeciwności. Nagle zaczęłam gardzić swoją wrażliwością, niepraktycznym kobiecym sercem, które tak łatwo było oszukać i zbałamucić. Przestałam sobie ufać.

Wyszeptałam:

– Dlaczego te fałszywe przechrzty się nam sprzeciwiają? Dlaczego odrzucają bożą prawdę i skazują swoje dusze na potępienie? Nie wierzę, że ktokolwiek robi to dobrowolnie. Oni błędzą. Potrzeba im tylko czasu, by zrozumieli, że trwają w grzechu, i mogli odpokutować.

Przyciągnął mnie do siebie. Przytulona do jego piersi słyszałam, jak bije mu serce. Tonęłam w morzu niepewności, a Ferdynand był moją jedyną deską ratunku.

– Heretycy są zatwardziali – odparł. – Nie zadręczaj się ich uporem. Jesteśmy królem i królową. Wszystkie nasze rozkazy służą wyższemu celom. – Chwycił mnie za brodę i podniósł moją twarz do swojej. – Pozwól Torquemadzie przystąpić do dzieła. Może zacząć od Sewilli i pokazać nam, co potrafi. Jeśli jego metody nie będą nam odpowiadać, wtedy zainterweniujemy. Choć to on będzie nadzorował nowe trybunały inkwizycyjne, zgodnie z edyktem papieskim jest odpowiedzialny przed nami – i tylko przed nami.

Milczałam. Trwaliśmy w ciszy, pełnej napięcia i przesyconej moim wahaniem. Przypomniałam sobie rozmowę z Torquemadą i swój opór, kiedy dawno temu po raz pierwszy zwrócił się do mnie w kwestii marranów. „Nawet gdyby moja koronacja miała się odbyć jutro, za nic w świecie nie dopuszczę do prześladowania moich poddanych”.

Odkąd dwa lata wcześniej na plaży wyraziłam zgodę na wysłanie zapytania do Rzymu, wiedziałam, że do tego dojdzie. Ta burza przybierała na sile gdzieś w oddali i była ceną, którą musiałam zapłacić za wszystko, co otrzymałam od Boga.

– Zgodzę się – powiedziałam w końcu – ale tylko pod pewnymi warunkami. Po pierwsze, wszystko, co zostanie skonfiskowane skazańcom, przeznaczymy na budowanie jedności królestwa. Po drugie, inkwizycja zajmie się wyłącznie fałszywymi przechrztami.

– Bien – wymamrotał. – Zajmę się tym. A teraz możemy już wracać?

Znów wzięliśmy się za ręce i udaliśmy się do komnaty, w której czekał na nas Torquemada. Stał cierpliwie, ze złożonymi rękami, jakby z góry znał naszą odpowiedź.

– Niepokoi nas wszystko, co dziś usłyszeliśmy – powiedziałam. – Jak zapewniał brat Talavera, traktujemy to bardzo poważnie. – Przerwałam i omiotłam wzrokiem wszystkich zgromadzonych. – Proszę przygotować dekret do podpisania. Wyrażamy zgodę na powołanie w Kastylii trybunału świętej inkwizycji.

Odwróciłam się na pięcie i wyszłam jak najszybciej, by nie zobaczyli mojego smutku. Kiedy znalazłam się w swojej komnacie, kazałam Inés zgasić wszystkie świece z wyjątkiem wotywnych na ołtarzyku, przed którym uklęknęłam.

– Panie i Zbawco – wyszeptałam – usłysz błaganie swej pokornej służebnicy. Pokaż mi prawdę. Uczyni mnie narzędziem swojej woli. Nie pozwól mi błędzić. Dodaj mi siłę, bym mogła wypełnić swój obowiązek, i skieruj światło swojej łaski na te królestwa, które tyle już wycierpiały.

Pochyliłam głowę i czekałam.

Tamtej nocy Bóg mi jednak nie odpowiedział.

* Brial (hiszp.) – rodzaj długiej jedwabnej szaty dla kobiet (przyp. tłum.).

Część IV



Upadłe królestwo

1481–1492

Rozdział dwudziesty siódmy



Krzykliwe tłumy zebrały się po obu stronach drogi. Mężczyźni ubrani w świeżo uprane kaftany i pludry wymachiwali czapkami, do których mieli przyczepione goździki. Kobiety z narzuconymi na ramiona haftowanymi szalami trzymały za ręce podekscytowane dzieci. Wszyscy przyglądali się naszej kroczącej powoli procesji. Cały dwór jechał na rumakach w ozdobnych uprzężach. Grandowie odziani byli w adamaszek sztywny od złotych aplikacji, a damy miały na sobie strojne płaszcze i powiewające welony. W orszaku podążali też służący w liberiach i srodzy strażnicy, a za nimi ciągnęło się mnóstwo zaprzęgniętych w konie wozów, na których jechał cały nasz bagaż.

Z okna powozu przyglądałam się tłumowi na tle nieznanego krajobrazu soczyście zielonych dolin. Ta żywna kraina, którą odwiedzałam po raz pierwszy, była ojczyzną mojego męża. Staralam się uśmiechać. Poddani Ferdynanda czekali od wielu godzin, czasem nawet dni, ponieważ rozeszła się wieść, że jesteśmy w drodze do stołecznej Saragossy, gdzie nasz dwuletni synek miał zostać zaprzysiężony na następcę przez aragońskie kortezy. Wydarzenie to stanowiło kamień milowy w dziejach naszych dynastii, symboliczną unię dwóch królestw zjednoczonych osobą sukcesora.

Spojrzałam na przód pochodu, który otwierał Ferdynand – na siodle przed nim siedział mały Jan, a mój mąż machał i uśmiechał się do poddanych. Musiałam zacisnąć zęby, by nie rozkazać, żeby natychmiast przyniesiono mi syna.

– Infantowi nic nie będzie – uspokajała Beatriz, która siedziała naprzeciw mnie wsparta na poduszkach. Inés jechała z moimi córkami osobnym powozem. Beatriz niedawno zwierzyła mi się, że w końcu jest przy nadziei, więc nalegałam, by dzieliła pojazd ze mną, wiedząc, jak znojna dla brzemiennej może być podróż. – Tylko posłuchaj, jak Aragończycy mu wiwatują! Poza tym Jego Wysokość i Chacón są przy infancie na wypadek, gdyby się zmęczył.

– Wiem o tym – odparłam.

Podniosłam dłoń i pomachałam, bo zdałam sobie sprawę, że zebrani na mnie patrzą. Też zamierzałam jechać konno obok Jana, ale kiedy opuszczaliśmy alkazar w Segovii, potknęłam się na schodach i skręciłam kostkę, więc pozostała mi tylko podróż powozem, na co teraz nie narzekałam. Wielodniowa peregrynacja z Kastylii, wątpliwa czystość miejsc, w których przyszło nam się zatrzymywać, nieustanne zamartwianie się o świeżą wodę i prowiant, nie wspominając już o trosce o zdrowie syna – wszystko to sprawiało, że nie czułam się najlepiej. Poza tym – pomyślałam, zerkając na skórzaną tekę pełną skarg i petycji – miałam jeszcze wiele do zrobienia, zanim dotrzemy do Saragossy.

– Jego kolki są już łagodniejsze – dodała Beatriz, kiedy niechętnie przestałam machać i opuściłam zasłonkę. – A gorączki nie miał już od ponad miesiąca. To na pewno oznacza, że medycy się nie mylą i jego zdrowie rzeczywiście się poprawia.

– Nie powinni się mylić – wymamrotałam – zważywszy na to, ilu ich najęliśmy i jak dużo im płacimy. – Przerwałam, bo na twarzy przyjaciółki zobaczyłam wyraz smutku i zrozumienia. – Izabela nigdy nie chorowała tyle co Jan – dodałam lekko urywanym głosem. – A Joanna, choć ma dopiero roczek, jest jak żywe srebro. Czemu Bóg tak nas doświadcza? Dbamy o Jana najlepiej, jak potrafimy – cały dwór się o niego troszczy, rzesza medyków omal go nie zamęczyła

swoimi pijawkami i eliksirami. A mimo to nadal ma te wysypki, suchy kaszel, straszne gorączki... – Zadrżałam na wspomnienie wielu bezsennych nocy, które spędziłam przy kołysce syna. – Mam wrażenie, że to jakaś kara.

– Przestań, to nie jest żadna kara – zaprotestowała Beatriz. – Czemu Bóg miałby karać ciebie albo twoje dziecko? Jan po prostu ma delikatne zdrowie. Ale okrzepnie, zobaczysz.

Skinęłam głową zamyślona. Słyszałam powitalne okrzyki i wiedziałam, że dobrze zrobią Janowi, który rzadko brał udział w jakichkolwiek uroczystościach, oraz Ferdynandowi, który z dumą pokazywał syna swoim poddanym. Entuzjazm korzystnie wpływał na samych Aragończyków, którzy zaciekle bronili swojej niezależności, i istniało ryzyko, że trzeba ich będzie nakłaniać do unii z Kastylią. Moje myśli zaprzętały jednak czyhające na każdym kroku niebezpieczeństwa, od niewidocznych kamyków, na których mógł potknąć się koń, po niosące zarazę strupy na wyciągniętych do dziecka rękach.

Wzięłam głęboki oddech i siłą woli skupiłam się na zawartości teki. Kiedy wyjęłam z niej pierwszą partię dokumentów, poczułam ucisk w żołądku. Beatriz musiała zauważyć, że spochmurniałam, bo zaśmiała się i zapytała:

– Znów od Torquemady? O czym tym razem kracze?

Z trudem powstrzymałam śmiech. Niepoprawna jak zwykle Beatriz zaczęła nazywać głównego inkwizytora krukiem, bo nieustannie wieszczył katastrofę.

– Tym razem? – Przebiegłam wzrokiem pierwszy akapit napisanego drobnym maczkiem listu. – Potrzebuje więcej pieniędzy na opłacenie swoich informatorów. Píše, że odkąd powołał w Sewilli pierwszy trybunał, aresztowano ponad osiemdziesięciu podejrzanych. Sześciu zostało w tym tygodniu straconych. Przenajświętsza Panienko, ulituj się nad ich duszą.

Przeżegnałam się. Sama myśl o egzekucjach napawała mnie odrazą. Choć wiedziałam, że nie ma innego sposobu, że tylko ogień może oczyścić tych, którzy nie chcą wyrzec się grzechu, bo ogień piekielny na ziemi może ocalić ich dusze dla nieba – nie mogłam znieść myśli o fetorze palonych ciał w pachnącym pomarańczami mieście.

– To ilu już spalił? Dwunastu? Trzynastu? – zapytała Beatriz, pociągając za nitkę na gorsecie.

Nie odpowiedziałam, tylko oszołomiona czytałam dalej.

– Posłuchaj tego! – wykrzyknęłam. – Píše, że potrzebuje funduszy, bo setki przechrztów uciekają do królestwa Grenady, gdzie Maurowie obiecali im schronienie. – Oderwałam oczy od listu i spojrzałam na przyjaciółkę. – Wolą żyć wśród niewiernych? Przecież trybunał świętej inkwizycji działa w Andaluzji od pół roku. Garstka egzekucji to chyba nic nadzwyczajnego? Torquemada twierdzi, że ten exodus może odbić się na gospodarce południa. Handel zamiera, bo marrani zupełnie bez zapowiedzi porzucają domy i sklepy.

– A czego on oczekuje od ciebie? – zapytała Beatriz. – Nie możesz przecież poprosić Maurów, żeby nie wpuszczali do siebie marranów. Założę się, że ograbiają każdego, kto tylko przekroczy granicę.

Marszcząc brwi, odłożyłam list na bok.

– Coś muszę zrobić. To niedopuszczalne, żeby poddani uciekali, zamiast podporządkować się prawu. Wyślę mu pieniądze, jak tylko dotrzemy do Saragossy. Wydamy też z Ferdynandem dekret zabraniający samowolnego opuszczania tych miast, w których działają trybunały inkwizycyjne. Jak mówi Ferdynand, pobożni chrześcijanie nie muszą się bać, bo nie mają nic do ukrycia.

– Racja – odparła Beatriz.

Cieszyło ją, że zaabsorbowana wiadomościami od Torquemady przestałam zamartwiać się synem.

Otwarłam list z kolejnym sprawozdaniem i szybko pochłonęła mnie praca, która jak zwykle nie zostawiała miejsca na inne zgrzyoty. Przynajmniej tu sama podejmowałam decyzje – w kwestiach dotyczących mojego królestwa to ja byłam najwyższym sędzią, zaraz po Bogu, i rzadko czułam się tak bezsilna jak w konfrontacji z problemami macierzyństwa.

Do Saragossy dotarliśmy dwa dni później. Rozświetlone północne niebo połyskiwało jak srebrne płótno nad szerokim korytem rzeki Ebro, wysokimi wieżami katedry San Salvador i alabastrowymi fortyfikacjami pałacu Aljafería, w którym na świat przyszła moja antenatka, Święta Izabela, królowa Portugalii. To ten alkazar miał być naszą siedzibą na czas pobytu w mieście. Mieszkańcy Saragossy uczcili nasze przybycie wielodniowym świętowaniem. Kilka tygodni później, wyczerpani wypełnianiem licznych monarszych obowiązków, wśród których znalazło się ofiarowanie naręczy kwiatów patronce miasta Virgen del Pilar, razem z Ferdynandem z dumą patrzyliśmy, jak aragońskie kortezy zaprzysięgają naszego syna na następcę tronu.

Zostaliśmy w Saragossie do listopada, a potem wróciliśmy do Kastylii, do naszego zamku w Medinie del Campo, gdzie planowaliśmy spędzić zimę. To tam odkryłam, że tak jak Beatriz też jestem przy nadziei. Tam również pewnego popołudnia otrzymaliśmy wiadomość, która zdecydowała o naszym losie.

Ferdynand siedział przy ogniu, a u stóp leżały mu jego ogary. Izabela i ja wyszywałyśmy obrus ołtarzowy dla miejscowej katedry. Jednym okiem zerkałam na haftujące obok nas dwórki. W związku ze zbliżającym się rozwiązaniem Beatriz postanowiła wrócić do Segovii, żeby być bliżej Cabrery. Zostawiła w zastępstwie gromadkę miejscowych szlachcianek, w większości młodych i nieobytych. Wymagały nieustannego nadzoru, w przeciwnym razie zaczynały zachowywać się niemądrze i nieprzyzwoicie. Nie chciałam zajmować się aranżowaniem pospiesznych ślubów w nagrodę za rozpustę. Jedną z moich nowych dwórek była daleka kuzynka Beatriz María de Bobadilla – ciemnowłosa piękność o zaokrąglonych kształtach i niesamowitych zielonych oczach. Była bardziej wyrafinowana niż jej towarzyszki, świadoma swoich zalet i natychmiast po przyjeździe wzbudziła zainteresowanie mężczyzn. Mnie interesował jednak tylko jeden z nich. Bazyliśzkowym wzrokiem przyglądałam się, jak María wlepia uwodzicielskie oczy w mojego męża.

Do komnaty wbiegła Inés, a za nią odziany w płaszcz młody mężczyzna. Jego liberia była tak oblepiona błotem i kurzem, że nie dało się rozpoznać, komu służy. Padł przede mną na kolana i z kieszeni brudnego kaftana wyjął równie brudny list.

– Przynoszę pilne wieści od markiza de Cádiz – wysapał zachrypłym z wyczerpania głosem. – Miasto Zahara wpadło w ręce Maurów. Mój pan ruszył przeciwko nim i przejął mauretańską twierdzę Alhama de Granada. Jeśli ma ją utrzymać i pomścić upadek Zahary, musi niezwłocznie dostać wsparcie.

Siedząca obok mnie dziesięcioletnia Izabela zamarła i otworzyła szeroko piękne zielononiebieskie oczy. Ferdynand poderwał się nagle, usłyszawszy ostatnie słowa posłańca.

– To niemożliwe – powiedział. – Zahara to cytadela nie do zdobycia, jak górski klasztor. A w Alhamie są te słynne gorące źródła. To ulubione miejsce wypoczynku kalifów, położone blisko Grenady. Emir Ali Abu al-Hasan prędzej rzuciłby się na swój miecz, niż pozwolił komukolwiek zdobyć Alhamę.

– Racja – wtrąciłam, choć serce zaczęło mi bić jak szalone. – Poza tym w czasie wojny z Portugalią zawarliśmy z emirem traktat pokojowy. Nie naruszyłby go tak otwarcie.

– Chociaż jeszcze nie zapłacił nam części uzgodnionego trybutu – dodał cierpko Ferdynand, po czym zbliżył się do posłańca i wyrwał mu z rąk wiadomość.

Pokazałam Inés, żeby naląła biedakowi czarkę wina, a mój mąż złamał pieczęć listu.

Przeczytał go w ciszy, marszcząc brwi, a następnie podniósł na mnie zdziwione oczy.

– To prawda – powiedział pełnym wściekłości głosem. – Al-Hasan rzeczywiście zdobył Zaharę. Ten mauretański kundel zajął miasto, żeby zemścić się za spory graniczne z Cádizem. Maurowie wysiekli wszystkich mężczyzn, a kobiety i dzieci wzięli w niewolę. Przetzymują je teraz w położonej w górach Rondzie. Cádiz w odwecie podstępnie zaatakował Alhamę. Niech Bóg będzie z nim, uderzył w samo serce mauretańskiego królestwa.

Gwałtownie podał mi list. Wzięłam go drżącymi dłońmi i błyskawicznie przebiegłam wzrokiem po liniijkach.

– „Kiedy doniesiono mu o upadku Alhamy, al-Hasan jęknął: »Ay de mí, Alhama!«” – przeczytałam na głos. W komnacie panowała cisza. Czułam ucisk w gardle. – Zgodnie z relacją Cádiza w odwecie emir zaatakował ich z taką siłą, że markiz musiał wysłać wezwania o pomoc do swojej żony i księcia Medyny-Sidonii.

Posłaniec, zwilżywszy gardło winem, wychrypiął:

– Majestad, jak na razie mojemu panu udaje się odpierać ataki al-Hasana i jego zgrai, ale jeśli ma utrzymać Alhamę i odbić Zaharę, będzie potrzebował więcej ludzi. Kazał mi też przekazać Waszej Wysokości, że emir jest w konflikcie ze swoim synem, księciem Boabdilem, który wygnał go z Grenady i odebrał mu tron. Mój pan twierdzi, że ich kłótnie osłabiły całe mauretańskie królestwo.

Izabela wyszeptwała:

– Mamo, czy Maurowie nas skrzywdzą?

Jej drżący, przerażony głos wybił mnie z głębokiego zamyślenia.

– Nie – odpowiedziałam szybko, zwracając się w stronę córki. – Oczywiście, że nie, hija mia. Oni są w Andaluzji. Tutaj nie ma Maurów.

– Ale kiedyś tu byli. – Wlepiała we mnie wielkie, pełne trwogi oczy. – Maurowie władali kiedyś tą częścią Kastylii, prawda? Czemu nie mieliby tu wrócić?

Znieruchomiałam. Zupełnie mnie zaskoczyła i nie wiedziałam, co jej odpowiedzieć.

– Powstrzymamy ich – odezwał się Ferdynand. – Twoja matka i ja zapędzimy zapchłone mauretańskie kundele do morza, choćby nie wiem co. – Spojrzał na mnie. – Izabelo, nie możemy zwlekać. Musimy pomóc Cádizowi. Jeśli zadziałamy szybko, powinno nam się udać obrócić kłótnię al-Hasana i Boabdila na swoją korzyść.

– Na korzyść? – powtórzyłam. – Sugerujesz, że powinniśmy...

Kiwnął głową. María de Bobadilla przyklasnęła podekscytowana.

– Sí, Majestad! – wykrzyknęła z powściągliwością przekupki na targu rybnym. – Maurowie to szkodniki. Jeśli Wasza Wysokość ich nie wytępi, zupełnie nas wyniszczą!

Izabela zbladła. Wiedziała, że w snach będą dręczyć ją demony w turbanach, choć Grenada od wieków była podzielona i osłabiona wewnętrznymi walkami. Przetrwac pozwalały jej tylko strategicznie położone góry oraz dochodowy handel z Turkami i resztą Wschodu.

– Przestraszyłaś infantkę – zbesztalam Marię.

Dwórka zaczęła dygać i przepraszać, przy okazji pokazując wszystkim swój ponętny dekolt. Zauważywszy, że Ferdynand wpatruje się w jej piersi, powiedziałam ostro, dużo ostrzej, niż zamierzałam:

– Jego Wysokość i ja musimy omówić to na osobności. Inés, zadbaj, by posłańcem zajęto się jak należy. Resztę proszę o odprowadzenie infantki na galerię. Dołączę do was, jak tylko będę mogła.

Wyszli, zostawiając mnie sam na sam z Ferdynandem. Czułam, jak zagnieżdża się we mnie zazdrość. Musiałam się jej pozbyć, by poświęcić pełną uwagę słowom męża.

– Izabelo, trzeba ogłosić rekonkwistę. Wiem, że nie tak to zaplanowaliśmy, ale nie

możemy oddać niewiernym nawet skrawka chrześcijańskiej ziemi. Cztery wieki temu mój przodek Ferdynand I wyrwał Zaharę z rąk Maurów. Teraz my musimy ruszyć jej na ratunek.

Przeszedł mnie dreszcz. W ogóle nie byłam na to przygotowana i nie chciałam się nad tym zastanawiać.

– Wiesz dobrze, że nasi przodkowie często popełniali błędy. Każde zwycięstwo nad Maurami okupione było jakąś stratą. Rekonkwistę zawsze łatwiej ogłosić, niż z powodzeniem ją przeprowadzić.

– Musimy spróbować.

Podszedł i położył ręce na moich ramionach.

– To nasz święty obowiązek jako monarchów. Poza tym już najwyższy czas zakończyć osiem stuleci bezczelności niewiernych, niekorzystnych traktatów, niepłaconych danin i kłamstw. Maurowie wiedzą tak dobrze jak my, że ten impas nie może trwać w nieskończoność. Przez wieki kontrolowali najlepsze ziemie w Andaluzji, porty śródziemnomorskie i samą Grenadę. Teraz musimy odzyskać naszą własność.

Spojrzałam w jego płomienne oczy.

– Nie moglibyśmy po prostu sprzymierzyć się z Boabdilem przeciwko al-Hasanowi i wysłać posiłków do Cádiz?

– Tak, właśnie tak zrobimy. Wykorzystamy Boabdila, żeby wbić klin w samo serce mauretańskiego królestwa. Później, kiedy już je osłabimy, dokonamy całkowitego zniszczenia. Grenada i jej bogactwa będą nasze. – Wybuchnął euforycznym śmiechem. – Tylko pomyśl, mi luna: w końcu cała Hiszpania zostanie zjednoczona, będziemy mieć jedną Koronę, jedno państwo i jedną wiarę. Takie jest nasze przeznaczenie. Musimy sprostać temu wyzwaniu i pokazać światu, na co stać Izabelę i Ferdynanda.

Wszystko ostrzegало mnie przed tym kosztownym i potencjalnie tragicznym w skutkach przedsięwzięciem. Nic nie gwarantowało nam sukcesu. Niewielu władcom udało się kiedykolwiek pokonać Maurów, a jeśli nawet, to nigdy całkowicie. Ferdynandowi było jednak tak spieszno, by się wykazać, by przystąpić do najambitniejszej walki w naszym życiu, że wątpliwości zachowałam dla siebie.

Żadne obiekcje i tak by do niego nie trafiły. Nie dało się już powstrzymać paniki, która wybuchnie, kiedy wieść o upadku Zahary rozniesie się wśród dworzan. Niezależnie od wszystkiego, musieliśmy jakoś zareagować. Poza tym Ferdynand miał rację – święta wojna przeciwko Maurom była naszym przeznaczeniem. Jako władcy nie mogliśmy pozwolić, by pozostali na naszych ziemiach i całkowicie kontrolowali bogate południowe tereny. Wolałabym wszcząć wojnę na własnych warunkach, kiedy nasz skarbiec będzie pełny, a sytuacja w królestwie uregulowana. Pragnęłam sama podjąć decyzję dotyczącą tego, gdzie i kiedy będziemy walczyć, bo wiedziałam z historii, że taka krucjata będzie kosztowna, wyniszczająca i niebywale znojna.

Rekonkwista jednak się zaczęła, czy tego chciałam, czy nie.

Kiedy przytuliłam Ferdynanda, wyszeptał:

– Ani jednej wieży, najdroższa. Nie zostawimy im ani jednej wieży, w której mogliby się ukryć.

Podporządkowałam się więc boskiemu planowi.



W styczniu 1482 roku zwróciliśmy się do kortezów o przyznanie funduszy na wojnę i napisaliśmy do Rzymu z prośbą o wydanie edyktu ogłaszającego krucjatę. Wysłuchaliśmy w toledońskiej katedrze mszy, by pomodlić się w intencji pojmanych mieszkańców Zahary i podziękować Bogu za odzyskanie Alhamy. Następnie stanęliśmy z Ferdynandem na obitym złotogłowie podium i ogłosiliśmy, że zamierzamy udać się na południe i przenieść tam nasz dwór, by osobiście nadzorować walkę z Maurami.

Choć sama powstrzymałam się od wyrażania głośno wątpliwości, kortezy nie były tak dyplomatyczne. Przyznały nam tylko tyle środków, by zaspokoić najpilniejsze potrzeby, i zapowiedziały, że nie dostaniemy nic więcej, aż udowodnimy, że przedsięwzięcie jest tego warte. Trwałam wiernie przy boku Ferdynanda, który nie spał, czasem nawet nie jadł, nadzorując wstępne przygotowania i tajne pertraktacje z Boabdilem. Doskonale wiedziałam, że będę zmuszona zostawić dzieci z Beatriz i Cabrerą w Segovii – nie mogłam zabrać ich ze sobą na wojnę, bo nie wiedziałam, co tam zastanę, a ponadto byłam przy nadziei. Już sama myśl o wielomiesięcznej rozłące wprawiała mnie w rozpacz.

Do tego dochodziła jeszcze konieczność ograniczenia mojej świty – służącym trzeba była płacić, a my musieliśmy oszczędzać. Nie było łatwo zdecydować, kto zostanie, a kto pojedzie, ale Marię de Bobadillę odprawiłam natychmiast z mściwą satysfakcją. Nie miałam żadnych dowodów, że robiła coś więcej niż tylko słodkie oczy do mojego męża, ale korzystając z okazji, zaaranżowałam jej małżeństwo z naszym nowym gubernatorem Wysp Kanaryjskich i bezzwłocznie ją tam wyekspediowałam. Kiedy od niechcenia napomknęłam o jej wyjeździe Ferdynandowi, on, ku mojej uldze, w ogóle się tym nie przejął. Perspektywa nurzania miecza w mauretańskiej krwi odsunęła wszystko inne na dalszy plan.

W połowie kwietnia przenieśliśmy dwór na południe, do andaluzyjskiej Kordoby, niegdyś słynnej stolicy Maurów. Miasto szczyciło się imponującą świątynią z czerwonymi kolumnami, która dawniej służyła jako meczet, oraz ufortyfikowanym alkazarem. To w Kordobie Ferdynand i ja spotkaliśmy się z przedstawicielami południowej szlachty i zdecydowaliśmy, że naszym pierwszym krokiem będzie zajęcie Lojy. Miasto było bowiem położone blisko Alhamy i Grenady, więc zdobycie go wzmocniłoby naszą obronę i stanowiło jasny sygnał dla Maurów.

– Al-Hasan nie może myśleć, że się poddamy – powiedział Ferdynand, kiedy przyszedł do jego komnaty, by przyjrzeć się planom. – Zajęcie Lojy uczyni Grenadę jeszcze bardziej narażoną na ataki, a emir dowie się, że z nami nie ma żartów. Pozwoli nam to też odciążyć garnizon Cádiz, który praktycznie sam broni Alhamy. Loja jest tu – dodał, wskazując punkt na mapie. – Jak większość andaluzyjskich miast leży na skałach nad wąwozem.

Spojrzałam na szkicową mapę.

– Jeśli ten wąwóz jest taki stromy, na jaki wygląda, możemy chyba wziąć Maurów z zaskoczenia, tak jak Cádiz zrobił w Alhamie? Będziemy musieli przygotować prawdziwe oblężenie.

Pokiwał głową.

– I tu, najdroższa, zaczyna się twoje zadanie.

– Moje? – Uśmiechnęłam się i położyłam rękę na wystającym brzuchu. – Oczekujesz, że w tym stanie założę kolczugę i ruszę z wami do boju?

Roześmiał się.

– Nie, chociaż to by było widowisko. Bardzo ciekawy pomysł, ale ja potrzebuję, żebyś zadbała o zaopatrzenie dla naszych wojsk. Nikt nie umie oszczędzać lepiej niż ty, a nam marne fundusze od kortezów muszą wystarczyć na jak najdłużej. Trzeba doskonale przygotować naszych ludzi. Nie zapominaj, że ten wilk al-Hasan ma dużo czasu na przygotowania i wezwanie posiłków. Choć Boabdil zobowiązał się na piśmie, że odmówi ojcu pomocy, emirowi nie

zabraknie lanc.

Wzruszyło mnie zaufanie, jakim obdarzył mnie Ferdynand, i cieszyłam się, że mimo znużenia i dużych gabarytów będę się mogła na coś przydać. Zaczęłam ósmy miesiąc stanu błogosławionego i od samego rana czułam się wyczerpana. Wkładałam tylko luźne kaftany, jakie nosiły andaluzyjskie wieśniaczki, by pomieścić wielki brzuch i tak bardzo się nie pocić. W Kordobie latem było bowiem jak w kotłach, jeszcze goręcej niż w Sewilli.

W ogrodach alkazaru kwitły lawenda, jaśmin i róże tak wonne, że wystarczyło zaczepić o krzak rąbką sukni, by uwolnić aromatyczne obłoki. Ja jednak przechodziłam obok, zupełnie nie zwracając na nie uwagi. Godziny od świtu do północy wypełniała mi praca. Dysponowaliśmy bardzo ograniczonymi środkami, więc musiałam wykazać się pomysłowością i ograniczyć dworskie wydatki, tak żebyśmy mieli czym zapłacić za broń, zbroje i namioty, jak również za bydło, kury, świnie, wino, jęczmień i inne zboża – innymi słowy, za wszystko, czego potrzebowaliśmy, by wykarmić naszych żołnierzy w czasie wielomiesięcznego oblężenia. Nocami z pracowitym Cárdenasem ślęczeliśmy nad rachunkami, po kilka razy sprawdzając każdą sumę. Przekładałam pieniądze z własnej sakiewki do skrzyni ze środkami na wojnę, wiedząc, że musimy się zabezpieczyć przed nieprzewidzianymi wydarzeniami.

Pracę musiałam niepodziwianie przerwać, bo 28 czerwca podczas posiedzenia Rady Królewskiej nagle zaczęłam rodzić. Prezentowałam właśnie spis inwentarza, kiedy przeszył mnie taki ból, że zgięłam się wzdłuż. Grandowie zamilkli, Ferdynand szybko pomógł mi wstać, a dwórki zaprowadziły mnie do komnaty porodowej. Tam odeszły mi wody, które rozbrzyźnęły się po moich czerwonych haftowanych pantoflach.

Kolejne dwadzieścia cztery godziny pamiętam jak przez mgłę. Ferdynand trwał niewzruszenie przy moim boku, łamiąc zasadę, że mężczyznom nie wolno oglądać położnicy. Ocierał mi twarz szmatką zanurzoną w chłodnej wodzie z miętą i rzucał rozkazy zmieszanim akuszerkom, które nie wiedziały, jak się zachować w jego obecności. Choć prawie całą moją uwagę absorbowowało zboliałe ciało, czułam, że Ferdynand jest przy mnie, że kładzie mi rękę na czole. Słyszałam też, jak szepcze:

– Mi luna, przyj. Przyj z całych sił. Nie zostawię cię samej.

W końcu nad ranem rozkraczyłam się na stołku i z gardłowym krzykiem wydałam na świat czwarte dziecko – dziewczynkę. Kiedy zabrano ją do mycia, a potem do mamki, ja nadal czułam skurcze i ze zdumieniem patrzyłam, jak wypływa ze mnie strumień krwi. Główna akuszerka wymamrotała, że mam w sobie jeszcze jedno dziecko, bliźnię. Kiedy dzień ustąpił miejsca nocy, pojawił się nade mną cień śmierci. Przez przymrużone oczy widziałam jej widmową postać i rozłożone czarne skrzydła. Akuszerki w końcu przekonały Ferdynanda, żeby wyszedł na korytarz, gdzie zgromadzili się szlachcice. Zamiast niego miejsce przy moim boku zajęła Inés, która zaczęła mnie nakłaniać do podjęcia nadludzkiego wysiłku. Byłam już tak wyczerpana, że nie miałam siły nawet jęczeć.

W końcu oblepiony lepkiem śluzem noworodek wy dostał się na świat. Akuszerka szybko go podniosła. Widząc, że zawija dziecko w całun i przykrywa małą twarzyczkę, zawylałam tak, że mój głos rozniósł się po całym zamku.

Ze łzami w oczach Inés zdjęła z mojego zeszytniałego ciała przemoczoną suknię i ubrała mnie w czystą koszulę nocną. Kiedy przykrywała mnie pachnącą lawendą pościelą, chwyciłam ją za rękę i wyszeptałam:

– Chcę ją zobaczyć, chcę zobaczyć moje dziecko...

Inés pokręciła głową.

– Nie, Majestad – wymamrotała. – Lepiej nie. Teraz potrzebny wam odpoczynek.

Córeczka ma się dobrze, mamka ją karmi. Druga jest wśród aniołów.

Ale nie była. Umarła bez chrztu, jej niewinna duszyczka została skazana na wieczność w czyśćcu. Byłam niepocieszona, nie potrafiłam odpocząć, dopóki Ferdynand nie rozkazał kardynałowi de Mendozie udzielić naszemu dziecku ostatniego namaszczenia i skropić zdeformowanego czółka wodą święconą.

Potem mąż wziął mnie w ramiona, a ja płaczem utuliłam się do snu.

Rozdział dwudziesty ósmy



Ferdynand wyruszył z jedenastotysięczną armią w lipcu. Słońce prażyło tak bardzo, że ziemia pękała niczym garbowana skóra. Z mężem musiałam pożegnać się, spoczywając w łożu – rekonwalescencja po położeniu okazała się frustrująco długa. Nową córeczkę nazwaliśmy Maria, na cześć Najświętszej Panienki. Miała jasne włoski, była spokojna i nie chorowała. Powinnam się cieszyć, że mimo długiego i trudnego porodu córka nie ucierpiała, ale nie czułam z nią żadnej więzi, jakby wszelka radość wyparowała ze śmiercią jej bliźnięcia. Choć akuszerka zapewniała mnie, że z czasem pokocham dziecko, siedząc z obolałymi piersiami, w których stopniowo wysychało mleko, czułam tylko przerażającą pustkę oraz wstyd z jej powodu.

Kiedy czekałam na wieści o oblężeniu Lojy, zmuszając się do spacerów po ogrodzie, przyjechał posłaniec od mojej ciotki Beatrycze z Portugalii. Joanna la Beltraneja, rozgoryczona patową sytuacją, w której ją postawiłam, zdecydowała się przyjąć śluby zakonne i resztę swoich dni spędzić w klasztorze. Poczulałam ulgę. Niedługo potem dostałam wiadomość, że mój dawny mentor, a potem wróg, arcybiskup Carrillo dokonał żywota.

Zaskoczył mnie smutek, który odczuwałam na wieść o jego śmierci, choć ona sama nie była niespodzianką. Od dawna wiedziałam, że Carrillo podupadł na zdrowiu, odkąd kazałam mu przywdziać habit mnicha. Skromne klasztorne życie musiało być trudne dla człowieka, który lubował się w ziemskich uciechach. Jeszcze przez wiele dni po otrzymaniu listu wracał do mnie obraz arcybiskupa w pełni chwały, postawnego księdza wojownika, którego brawura popchnęła mnie w kierunku tronu, a potem obróciła go przeciwko mnie, niczym zazdrosnego kochanka. Choć nie byłam już ufną infantką, którą usilnie próbował urobić zgodnie ze swoją wolą, bez niego świat wydawał się niepełny.

Moje myśli wkrótce zaprzątnęło coś innego, kiedy pierwsi posłańcy zaczęli przywozić wieści z Lojy. Ferdynand pisał, że teren jest skalisty i bardzo niebezpieczny. Nasze wojska musiały się rozdzielić i założyć kilka osobnych obozów, podczas gdy mój mąż, Cádiz, Medina-Sidonia i inni grandowie badali miasto od strony wąwozu, szukając słabego punktu, który można byłoby wykorzystać.

Czekali zbyt długo. Gdy próbowali rozmieścić wojska na mniej wyeksponowanych pozycjach, zostali zaatakowani przez rój Maurów z Lojy, wściekłych z powodu głodu i wielotygodniowego zamknięcia. Doszło do bitwy, w której poległo kilku naszych rycerzy. Drżały mi dłonie, gdy czytałam opis starcia Ferdynanda z wymachującym szablą Maurem, zdeterminowanym, by zdobyć trofeum w postaci królewskiej głowy. Mój mąż ocalał wyłącznie dzięki zacieklej obronie Cádiza.

Kiedy przetrzebione wojska wracały do Kordoby, stałam razem ze świtą w bramie alkazaru. Ferdynand jechał na czele – był spalony słońcem, zarośnięty i zbrzygzany krwią, a w ręce trzymał nasz sztandar, cały w strzępach.

Gdy zsiadł z konia, zmusiłam się do uśmiechu – nadal doskonale pamiętałam nauczkę, którą dostałam w Tordesillas. Chociaż chciałam biadolić nad niesprawiedliwością naszej porażki, przywoływać wielomiesięczne przygotowania i pieniądze wyrzucone w błoto, narzekania i wyrzuty na nic by się nie zdały. Żądza zemsty i duma sprawiły, że zapomnieliśmy, jak trudnymi przeciwnikami są Maurowie. Teraz musieliśmy za to zapłacić.

Z wymęczonej twarzy Ferdynanda wyczytałam, że z ulgą przyjął moją reakcję. Widziałam na niej też upokorzenie związane z koniecznością publicznego przyznania się do porażki.

– Spróbujemy jeszcze raz w przyszłym roku – powiedziałam, kiedy się zbliżył.

– Spróbujemy? – Uśmiechnął się gorzko. – Zrobimy dużo więcej, mój księżycu. Wyrwę wszystkie nasiona z mauretańskiego granatu, jedno po drugim. Następnym razem to my będziemy bezlitośni.

Przemawiała przez niego duma. Tymczasem mieliśmy zdziesiątkowaną armię, którą trzeba było ponownie zebrać, oraz tysiące poległych do pochowania. Musieliśmy zorganizować pogrzeby, zawiadomić wdowy, wypłacić renty. Kordoba wkrótce stała się miastem żałoby. Kiedy Ferdynand zaproponował, bym wróciła do Kastylii i zajęła się tym, co wymagało królewskiej obecności – musieliśmy poprosić kortezy o dodatkowe fundusze – podczas gdy on zamierzał zostać, by bronić granicy, chętnie na to przystałam. Niczego nie pragnęłam tak bardzo jak powrotu do domu.

W Segovii zastałam swoje dzieci zaabsorbowane nauką. Izabela była jak zwykle pogodna, Jan zbyt chudy i blady, nadal podatny na gorączki, Joanna zaś – niezwykle energiczna. Moja młodsza córka miała bujną czuprynę ognistych loków i „temperament pod kolor”, jak często żartowała Beatriz. Przyjaciółka urodziła zdrowego chłopca, którego oboje z mężem ubóstwiali. Otrzymał imię po ojcu, Andrés. Zajęta opieką nad swoim niemowlęciem Beatriz bez słowa spełniała kaprysy Joanny. Moja druga córeczka wcześniej zaczęła wykazywać talent do języków i muzyki, ale była nieposłuszna i nie chciała podporządkować się narzucanemu jej porządkowi dnia. Była zdecydowanie zbyt buntownicza jak na trzylatkę. Odebrałam z nią poważną rozmowę na temat zachowań, które nie przystoją księżniczce, w tym zrzucania pantofli i brodzenia bosą w ogrodowych sadzawkach.

– Infantki nie powinny tak postępować – pouczyłam ją, kiedy rezolutnie oświadczyła, że z gorąca puchły jej stopy. – Dobre maniery obowiązują zawsze.

Joanna wydymała tylko wargi i dalej robiła, co chciała, więc postanowiłam zabrać ją ze sobą do Arévalo na zaległe odwiedziny u matki. Miałam nadzieję, że dzięki czasowi spędzonemu tylko ze mną, z dala od dworskich rozrywek, nabierze choć trochę ogłady. Ku mojemu zażenowaniu podczas dwudniowej podróży zachowanie Joanny było nie do zniesienia – skakała po poduszkach powozu, by wyrzeć przez okno na mesetę, pokazywała palcem wszystko, co zauważyła, i trajkotała nieustannie – podekscytowana paplała i o szybujących nad równiną orłach, i o rozpadających się strażnicach, którymi upstrzone były odległe skaliste wzgórza. Przyglądałam jej się z konsternacją, przypominając sobie opowieści o podmienionych dzieciach. Oczywiście były to bajki, ale chociaż Joanna miała karnację i usposobienie Ferdynanda, czasem, kiedy nasze spojrzenia się spotykały, a ona świdrowała mnie swoimi przenikliwymi oczami, wydawała się znacznie starsza, jakby w jej ciele mieszkała jakaś inna istota.

Uspokoila się wszelako, kiedy dotarliśmy do Arévalo. Odosobniony zamek i ponure niebo musiały zrobić na niej spore wrażenie. Z szeroko otwartymi oczami w milczeniu przyglądała się leciwym służącym, którzy poruszali się po salach niczym duchy i traktowali ją ze sztywnością i zakłopotaniem typowym dla ludzi nieprzywykłych do widoku dzieci. Uspokajałam ją, że nie ma się czego bać, że to kiedyś był mój dom, ale Joanna ożywiła się dopiero, kiedy jeden z zamkowych psów, potomek ukochanego przez mojego brata Alarcóna, zaczął ją obwąchiwać. Tak jak Alfons moja córka umiała obchodzić się ze zwierzętami.

W towarzystwie swojej babki Joanna zachowywała się zaskakująco powściągliwie. Moja matka przebywała w splówałym splendorze swoich komnat, których nigdy nie opuszczała. Miała na sobie staroświecki strój z krótkiego okresu, kiedy zasiadała na tronie Kastylii, i była tak wychudzona, że spod postrzępionych mankietów sterczały jej kościste nadgarstki.

W nieskończoność przyglądała się Joannie, zanim zgięła palec i przywołała ją do siebie. Moja córka ani drgnęła. Czułam, jak mocno trzyma się mojej sukni i choć po cichu zachęcałam ją, by poszła pocałować babcię, stała nieruchomo.

Matka wyszeptwała:

– Tan desgraciada*. Ma urodę, ale nie ma szczęścia, tak samo jak ja.

Przestraszona Joanna wydała cichy okrzyk. Nawet kilkulatka rozumiała wymowę tego osądu wygłoszonego pewnym tonem niczym ponura przepowiednia.

– Mamo, proszę cię – powiedziałam. – Nie możesz mówić takich rzeczy. Ona jest jeszcze dzieckiem.

– Ja też kiedyś nim byłam. – Wyblakłe oczy matki zrobiły się nieobecne. – I ty też.

Młodość przed niczym nie chroni. W końcu życie zrani nas wszystkich.

Już więcej nie przyprowadzałam Joanny do matki. Zostałam na tyle długo, by upewnić się, że w zamku wszystko działa jak należy. Leciwa doña Clara była kaleką – w wyniku katarakty prawie straciła wzrok i kulą od podagry – zatrudniłam więc nową matronę do opieki nad matką. Potem nasze rzeczy zostały spakowane i razem z Joanną wróciliśmy na dwór. Byłam gotowa do walki z kortezami o pieniądze na sfinansowanie kolejnego ataku przeciwko Maurom; planowałam wezwać grandów i skłonić ich do zgody na zwerbowanie ich wasali do naszej armii; zamierzałam napisać do Niemiec i Włoch, by wynegocjować obniżkę cen na duże zamówienie prochu i broni; postanowiłam również spotkać się ze swoim skarbnikiem rabinem Abrahamem Seneorem i ustalić warunki niskoprocentowej pożyczki, której mogliby udzielić nam żydowscy lichwiarze, gdyby fundusze od kortezów okazały się niewystarczające. Jak zwykle pobyt w Arévalo sprawił, że nie mogłam sobie znaleźć miejsca i chciałam jak najszybciej zająć się czymś nowym.

Wkrótce po moim powrocie do Segovii odwiedził mnie mój spowiednik, brat Talavera.

– To od Torquemady – powiedział, kładąc pergamin na moim zasłanym papierami sekretarzyku. – Dowiedział się, że Wasza Wysokość chce pożyczać pieniądze od Żydów, i jest wściekły. Twierdzi, że podczas gdy on walczy, by oczyścić Kościół i zjednać bożą przychylność dla krucjaty przeciw niewiernym, wy lekceważycie zło mieszkające między nami.

Wzięłam do ręki arkusz zapisany charakterystycznym drobnym pismem Torquemady, po czym z westchnieniem odłożyłam go na bok. Bolała mnie głowa i jeśli miałam przeczytać wszystkie jego oskarżenia i wyrzuty, musiałam napić się ziół. Uznałam, że lepiej będzie, jeśli Talavera mi je streści.

– Co jeszcze? Nasz główny inkwizytor zawsze uzupełnia przyganę wskazówkami, jak się poprawić.

Szczupła, porośnięta siwą brodą twarz Talavery rozciągnęła się w uśmiechu. Nie miał zarliwości Torquemady – cechowały go raczej spokój i niezłomność, tak że stopniowo zaskarbił sobie moje zaufanie.

– Obawiam się, że to co zwykle. Uparcie twierdzi, że dopóki Żydzi są na wolności, ich wpływy będą udaremniać wszelkie próby wykorzenia herezji wśród przechrztów. Jego zdaniem nie możemy tego dłużej ignorować. Nalega, by Wasza Wysokość wydała edykt z ultimatum dla Żydów: albo przyjmą chrzest, albo zostaną wygnani. Nieposłusznych ma spotkać śmierć.

– A więc takie ma rozwiązanie? – powiedziałam beznamiętnie. – Píše coś jeszcze?

Talavera westchnął.

– Twierdzi, że są już precedensy. Anglia i Francja wygnały Żydów wiele wieków temu. Tylko nieliczne kraje chrześcijańskie ich tolerują.

– I radzi, żebym przedsięwzięła takie kroki teraz, w samym środku krucjaty? – Starałam

się oddychać spokojnie. – Na zbyt dużo sobie pozwala. Może mu to brat przekazać. Jak już mówiłam, Żydzi zawsze wiernie nam służyli i od bardzo dawna żyjemy po sąsiedzku. Nie mogę podjąć takiej decyzji pochopnie i nie zamierzam tego robić.

– Tak, Majestad – odparł i ruszył do drzwi. Potem przystanął jeszcze i odwrócił się. – Dzień sądu w końcu nastanie – powiedział. – Choć możemy tego żałować, to nieuniknione.

Zamarłam, patrząc w jego ponure oczy.

– Ale jeszcze nie nastał – odparłam. Miałam wrażenie, że moje słowa to tylko puste dźwięki. – A kiedy przyjdzie, może się ochrzczą. Owszem, ci ludzie są zagubieni, nie widzą światła Chrystusa, ale zasługują na odkupienie. Jako ich królowa, muszę się nimi opiekować, nawet kiedy walczę, by skierować ich ku jedynej słusznej wierze. Potrzebuję czasu. Nie jestem cudotwórcą.

Pochylił głowę.

– Żeby ich wszystkich ocalić, chyba się bez cudu nie obędzie.



Kiedy nastała zima, spotkaliśmy się z Ferdynandem w klasztorze Matki Bożej z Guadalupe w Estremadurze. Było to jedno z najważniejszych kastylijskich sanktuariów, w którym przechowywano figurkę Czarnej Madonny wyrzeźbioną przez Świętego Łukasza. Świątynia z zacienionymi krużgankami, dziedzińcami z kolorowych płytek i widokiem na spowite mgłą pasma górskie była miejscem, gdzie znów przebywaliśmy razem, jako rodzina.

Staralam się spędzać jak najwięcej czasu z Izabelą. Miała dwanaście lat i szybko zmieniała się w smukłą piękność – nieskazitelna skóra i jasne loki nadawały jej wygląd anioła. Wszystkie młode dwórki patrzyły na nią zazdrośnie, ale ona zdawała się tego nie zauważać, jakby zupełnie nie zdawała sobie sprawy ze swojej urody. Woląa zajmować się nauką i doskonaleniem portugalskiego – lekcje tego języka stanowiły przygotowanie do ślubu z dziedzicem Portugalii.

Gdy Izabela ćwiczyła na głos, Joanna przyglądała jej się podejrzliwie. Pewnego dnia nie wytrzymała.

– Zachowujesz się tak, jakbyś się cieszyła, że wyjedziesz z Hiszpanii – oświadczyła, a potem zmarszczyła z dezaprobatą nos.

– Moja córeczka – zaśmiał się Ferdynand. – Prawdziwa z niej Hiszpanka.

Porwał ją na ręce. Skrzywiłam się, kiedy Joanna zaczęła pisać i zerwała ojcu czapkę, odsłaniając niemal łysy czubek głowy. Za bardzo ją faworyzował. Nazywał ją nawet pieszczotliwie „Madrecita”**, bo przypominała mu zmarłą matkę. Powtarzałam mu wiele razy, że nie powinien tak jej rozpieszczać, bo zacznie myśleć, że należą się jej większe przywileje niż naszym pozostałym córkom, a tymczasem pewnego dnia ona też będzie musiała przyjąć wyznaczoną jej rolę. Ferdynand jednak tylko połaskotał ją pod brodą i powiedział:

– Moja Madrecita będzie ambasadorką Hiszpanii, niezależnie od tego, gdzie się znajdzie, prawda, maleńka?

Zdecydowane „Sí, Papa!” Joanny wcale mnie nie uspokoiło. Jeśli Ferdynand dalej będzie ją tak rozpieszczał, nasza córka nabierze przekonania, że żaden książę nie jest jej godzien i że żaden nie dorasta do pięt jej ojcu.

Święta spędziliśmy razem. Słuchaliśmy pieśni minstreli, kroiliśmy ciasta, z których wyfruwały stadka przestraszonych wróbli, ozdabialiśmy żłoby figurkami z kości słoniowej.

Śniegu nie było wiele – biała warstewka dodawała świętom uroku, ale mróz nam nie dokuczał. W Wigilię Bożego Narodzenia wyposażeni w świece odbyliśmy procesję do katedry w Segovii. Wysłuchaliśmy mszy o północy, a katedralny chór dominikanów wznosił peany na cześć Dzieciątka. Kiedy klękałam do komunii otoczona dziećmi, z mężem u boku i najdroższą przyjaciółką tuż za mną, czułam ogromną wdzięczność za wszystko, co otrzymałam od Boga.

 Nie miałam pojęcia, jaką cenę przyjdzie mi za to zapłacić.

* Desgraciada (hiszp.) – nieszczęsna (przyp. tłum.).

** Madrecita (hiszp.) – mamusia (przyp. tłum.).

Rozdział dwudziesty dziewiąty



Zostałam obudzona w środku nocy. Choć jako monarchowie mieliśmy oddzielne komnaty, tamtego wieczoru udało nam się z Ferdynandem zjeść razem kolację. Ze względu na liczne obowiązki rzadko mieliśmy okazję przebywać sami i mojemu mężowi zebrało się na amory. Później zasnął w moich ramionach. Leżał z głową na mojej piersi, a ja głaskałam jego szorstkie włosy. Znalazłam wśród nich kilka siwych nitki, co mnie rozczuliło.

Parę godzin później ze snu wybiło mnie głośnie pukanie. Kiedy wyswobadzałam się z uścisku męża, Ferdynand mruknął i schował twarz w poduszkę. Narzuciłam płaszcz i prędko ruszyłam otwierać. Chociaż był już marzec i zima dobiegała końca, kamienna posadzka alkazaru nadal była lodowata, więc gdy dotarłam do drzwi, trzęsłam się z zimna. W korytarzu stała Inés. Miała splecione w warkocz, schowane pod czepkiem włosy i otulała się płaszczem.

– Co się stało? – wyszeptalam, żeby znów nie obudzić Ferdynanda. – Coś nie tak z Janem? Rozchorował się?

– Nie, nie, Jego Wysokość ma się dobrze, śpi smacznie. Chodzi o markiza de Cádiz. Przyjechał i chce zobaczyć się z Waszą Wysokością. Mówi, że to pilne.

Ogarnęła mnie panika.

– Cádiz tu jest? Ale przecież miał nadzorować ostatnią ofensywę w Andaluzji. Ferdynand powierzył mu to zadanie na czas swojej nieobecności.

Mówiąc to, zerkalam w stronę łoża. Mój mąż się nie poruszył, pogrążony w głębokim śnie. Od wielu tygodni pracował bez przerwy – planował nowe strategie bitewne i pojechał aż do Aragonii, żeby od tamtejszych korteżów zdobyć dodatkowe środki. Byliśmy niemal gotowi. Za kilka tygodni ja miałam zająć się mozolną przeprowadzką całego dworu z powrotem na południe, a Ferdynand planował wyruszyć wcześniej i stanąć na czele krucjaty.

– Zaraz do niego przyjdę – powiedziałam, przejeżdżając ręką po rozpuszczonych włosach. – A teraz już idź, zanim obudzisz króla.

Włożyłam czarną suknię, włosy schowałam pod siatkę, a na ramiona narzuciłam wełnianą opończę. Schodząc po oświetlonych pochodniami schodach, słyszałam dobiegające z sali tronowej męskie głosy. Wyprostowałam się i weszłam do komnaty, w której zastałam Chacóna, brata Talaverę i kilku znamienitszych dworzan otaczających Cádiz.

Na mój widok markiz przyklęknął. Przyglądałam mu się ze zdziwieniem i z niepokojem: jego czarny strój był brudny, płaszcz i buty miał oblepione błotem, jakby przyjechał z Andaluzji bez żadnych popasów. Wydawało mi się też, że bardzo się postarzał i wynędzniał.

– Majestad – wyszeptał, a pozostali mężczyźni wbijali w niego oczy – proszę o wybaczenie.

Zirytowana pomyślałam, że pewnie znów pokłócił się z Mediną-Sidonią. Musiało dojść do rozlewu krwi, w przeciwnym razie nie jechałby tak daleko.

– Przebył markiz bardzo długą drogę, by uzyskać moje przebaczenie – zauważyłam. – Proszę wyjaśnić, co mam wybaczyć.

Cádiz milczał. Widząc, że jego oczy wypełniają się łzami, zdziwiona zwróciłam się do brata Talavery.

Mój spowiednik powiedział cicho:

– Ponieśliśmy straszną klęskę.

– Klęskę? – Przeniosłam wzrok na Cádiz, który nadal przede mną klęczał. – Jaką klęskę?

– Niedaleko Malagi – odpowiedział niemal szeptem markiz. – Na przełęczy Ajarquía.

Medina-Sidonia, wielki mistrz Zakonu Alcántara i ja... postanowiliśmy dokonać wcześniejszej inwazji, spalić pola i przygotować teren do przyjazdu Jego Królewskiej Mości i przejęcia Malagi. El Zagal dowiedział się jednak o naszych planach i niespodziewanie nas zaatakował.

Strach, który wcześniej czułam, zaczął dusić mnie niczym wąż. El Zagal był bratem al-Hasana, a zarazem jego rywalem. Ten wzbudzający grozę mauretański wódz kontrolował przełęcze wokół Malagi i samo miasto portowe. Ferdynand od wielu miesięcy planował je zaatakować, ponieważ upadek Malagi odciąłby Maurom źródła zaopatrzenia, a nam usunął ważną przeszkodę na drodze do zdobycia Grenady.

Ton Cádiz się zaostrzył.

– Boabdil musiał go uprzedzić. Liczyliśmy na jego milczenie, ale przechytrzył nas i sprzymierzył się z el Zagalem, myśląc pewnie, że razem pokonają al-Hasana. El Zagal napadł na naszych ludzi na przełęczy. Było ciemno, prawie nic nie widzieliśmy. Niewierni na koniach zalali przełęcz z obu stron, a podlegli im wieśniacy rzucali na nas z góry kamienie. Zapanował zupełny chaos, a my daliśmy się usidlić.

– O Boże. – Przeżegnałam się. – Ile... ilu poległo?

Cádiz wydał z siebie zbolwały jęk.

– Ponad dwa tysiące, w tym trzech moich braci. Boże, miej miłosierdzie. Te arabskie kundłe podcinały im głowy, nabiły je na dzidy i zanosły do Malagi. Ja zdołałem uciec, pieszo, bo zastrzelili mi konia. Widziałem tylu rannych, ludzi umierających samotnie, bez słowa pociechy. Widziałem, jak Cyganie i wieśniacy zakradają się, by ograbić żołnierzy, by poćwiartować ciała próbujące jeszcze złapać oddech...

Zaczęłam słaniać się na nogach, nie mogąc w to uwierzyć. Chacón pospiesznie przy mnie stanął.

– Mój mąż, król... on... on musi się dowiedzieć – wyjąkałam.

– Mamy Boabdila – dodał Cádiz. Był tak poruszony, że zapomniał zapytać, czy może wstać. – Dowiedziałem się o tym tuż przed przybyciem tutaj. Pojmali parszywego zdrajcę. Wyjechał z Grenady, żeby stanąć na czele swoich wojsk. Sądził, że będziemy za bardzo pokiereszowani, by się bronić, ale hrabia Cabry dowiedział się o tym i zaatakował go. Więżymy go w kordobańskim alkazarze. Jego matka, żona sułtana, szleje z rozpacz. Jest gotowa zapłacić każdą cenę za uwolnienie syna...

– I musimy rozważyć jej ofertę – powiedział Ferdynand, stając w drzwiach.

Kiedy mój mąż wkroczył do sali, zarośnięty i ubrany w szkarłatno-złoty płaszcz, wszyscy zamarli. Przyglądałam się uważnie jego twarzy, gdy podchodził do Cádiz, który znów padł na kolana. Spodziewałam się usłyszeć potok obelg pod adresem markiza. Była to dla nas katastrofa. Jedno pechowe posunięcie kosztowało nas utratę ponad połowy andaluzyjskiego garnizonu, do którego ledwie kilka tygodni wcześniej skierowaliśmy nowych rekrutów i dodatkowe fundusze.

Ferdynand jednak tylko stanął przed Cádizem i powiedział cicho:

– Możecie wstać, markizie. Zdaje się, że walcząc w naszym imieniu, doświadczyliście piekielnych męczarni.

Cádiz wstał. Na twarzy malowało mu się przerażenie.

– Wasza Wysokość, błagam o...

Ferdynand podniósł do góry palec, by uciszyć markiza.

– Nie ma czego wybaczać. Bóg, który lepiej niż my zna powody swoich działań, dał nam lekcję pokory. Zdarza się, że ludzie prawi cierpią, ale w końcu Stwórca zawsze przychodzi im

z pomocą. – Uśmiechnął się lekko. – Przecież już sprawił, że zdradliwe szczenie al-Hasana wpadło w nasze sidła.

Kiedy owładnięty emocjami Cádiz przyciskał drżącą dłoń króla do ust, Ferdynand zwrócił się w moją stronę i wyciągnął do mnie rękę. Poczułam, jak jego mocne palce oplatają się wokół moich. Nigdy nie byłam z męża bardziej dumna niż wtedy, stojąc przy jego boku.

Ferdynand oświadczył:

– Musimy uczyć się na błędach. Będziemy opłakiwać zmarłych, pocieszać ocalałych i nigdy nie zapomnimy, że Bóg jest po naszej stronie. Na wszystkie świętości, nie damy niewiernym zwyciężyć.

W kwietniu, miesiącu moich trzydziestych drugich urodzin, wróciliśmy do Andaluzji. Zamieszkaliśmy we wspaniałym kordobańskim alkazarze o pilastrach z czerwonego porfiru i arkadach w kształcie podkowy. Pewnego dnia siedzieliśmy z Ferdynandem pod baldachimem z naszymi symbolami: jarzmem i powiązаныmi w supły sznurami, kiedy przyprowadzono przed nas Boabdila, samozwańczego króla Grenady.

W więzieniu, w którym go zamknęliśmy, nie brakowało mu niczego – zgodnie z naszym poleceniem spełniano wszelkie jego zachcianki. Poza jego zasięgiem była tylko wolność. Wymuskany książę miał oliwkową skórę wskazującą na mieszane pochodzenie, półdługie ciemne włosy i bujną brodę. Jego usta były kształtne, nos długi, a klarowne spojrzenie zdawało się przeczyć jego chwiejnej naturze. Po burzliwych dyskusjach z naszymi doradcami zdecydowaliśmy się go uwolnić, pod warunkiem że odtąd będzie naszym wasalem i sprzymierzeńcem. Miał nam płacić trybut w wysokości dwunastu tysięcy złotych doblas rocznie, zwolnić wszystkich chrześcijańskich jeńców i pozwolić naszym oddziałom przechodzić przez swoje terytoria. W zamian zobowiązalibyśmy się wspomóc go w dążeniach do odebrania Grenady ojcu, al-Hasanowi, z którym był zwaśniony.

Przypuszczałam, że się nie zgodzi, a jeśli nawet, to że napotkamy silny opór ze strony jego matki. Sułtanka może i oferowała ogromny okup za uwolnienie syna, ale jako była więźniarka chrześcijan, później odaliska, była wytrawnym zawodnikiem w grze o władzę. Jeśli ktokolwiek mógł przejrzeć nasze warunki, to właśnie ona. Z pewnością za wyrażenie zgody domagałaby się słonej rekompensaty. Ku mojemu zdziwieniu zgodziła się jednak od razu, ani przez chwilę nie zastanawiając się nad długofalowymi konsekwencjami naszego sojuszu.

Dlatego ta farsowa audyencja – książę w powłóczyściej jedwabnej szacie i w fezie na głowie, który klęka, by ucałować dłoń Ferdynanda i rąbek mojej sukni, uznając w ten sposób nasze zwierzchnictwo, a potem podpisuje nowy traktat – wywołała złośliwy uśmiech na mojej twarzy.

Wstaliśmy i każde z nas uścisnęło Boabdila – Ferdynand ucałował go nawet w policzki, jakby byli braćmi. Ja natomiast trzymałam go w objęciach trochę dłużej, niż to było konieczne, i wyszeptalam mu do ucha:

– Oczekuję, że dotrzymasz zobowiązań. Jeśli ważysz się znów nas zdradzić, obiecuję ci, że nigdzie nie znajdziesz schronienia.

Wzdrygnął się i zrobił krok w tył, by spojrzeć mi w oczy. Nie wiedziałam, czy rozumie kastylijski, negocjacje prowadziliśmy zawsze przez jego tłumacza. Wahanie, które widziałam w jego oczach, powiedziało mi, że zna mój język lepiej, niż dawał mi to poznać.

Skinęłam głową i powiedziałam na głos:

– W ten sposób między naszymi religiami zapanuje pokój.

Ferdynand zaklaskał, na co otworzyły się podwójne kute drzwi z mosiężnymi okuciami i do sali wkroczyli służący obładowani pożegnalnymi prezentami dla naszego szacownego gościa.

Wymieniliśmy z Ferdynandem znaczące spojrzenia, kiedy Boabdil krzyknął

entuzjastycznie i rzucił się oglądać podarunki: ozdobne skórzane siodła dla ośmiu koni, które czekały na niego w stajniach, skrzynie jedwabiu, aksamitu i adamaszku, tłoczoną zbroję płytową z Toledo. Książę zwrócił rozpromienioną twarz do tłumacza i zaczął paplać coś podekscytowany. Następnie sługa przełożył nam słowa księcia:

– Jego Wysokość jest onieśmielony szczodrością Waszych Królewskich Mości. Mówi, że w całym świecie chrześcijańskim z pewnością nie ma wspanialszych monarchów.

Ferdynand zaśmiał się głośno i machnął lekceważąco ręką.

– To tylko drobne dowody naszego szacunku. Królowa i ja ufamy, że Jego Wysokość dotrzyma słowa, jak przystało na prawdziwego księcia.

– Tak – dodałam, uśmiechając się wdzięcznie do Boabdila. – Mam wrażenie, że dobrze się rozumiemy.

Wśród dźwięków rogu i trzepotu sztandarów odprowadziliśmy księcia do bram alkazaru. Bezpieczny powrót do Grenady miał mu zapewnić oddział dwustu osobiście przez nas wybranych rycerzy. Kiedy przyglądaliśmy się, jak nasz nowy lennik odjeżdża z wysoko uniesioną głową, a zgromadzeni przy drodze ludzie zgodnie z moim rozkazem wiwatują i rzucają mu pod nogi kwiaty, Ferdynand wycodził przez zęby:

– Z bożą pomocą jeszcze przed upływem roku będzie lizał kurz z moich butów, kiedy szturmem wkroczę do jego ukochanej Alhambry.

– Amen – powiedziałam i uniosłam głowę.

Przyszedł czas pokazać Maurom, na co naprawdę nas stać.



Po powrocie do Sewilli, gdzie przeniosłam się ze swoim dworem, wezwałam do siebie dzieci. Zanosilo się na długą wojnę, a ja nie zamierzałam rozstawać się z nimi na cały rok, szczególnie że Maria była jeszcze maleńka. Ferdynand ucieszył się na widok okazałej procesji ciągnącej z Kastylii – uwielbiał naszą gromadkę i chaos, jaki wszędzie wprowadzała.

Ja jednak nie pozwalałam próżnować nikomu, nawet własnym dzieciom. Dwórki i szlachcianki, które przybyły ze swiątą, zorganizowałam w sprawne grupy i powierzyłam im nadzór nad zapasami wina, chleba, mięsa i innych produktów. Izabelę i Joannę zaprzęgam do szycia namiotów na przenośne infirmerie, w których miano zajmować się rannymi. Do wprowadzenia tej innowacji zainspirowała mnie straszna opowieść Cádiz o porzuconych żołnierzach dogorywających w przełęczy Ajarquía. Zadałam też o naczynia liturgiczne do poświęcenia meczetów. Kiedy usłyszałam, że Maurowie boją się bicia dzwonów, a do modlitwy nawołuje ich tylko głos muezina, kazałam przywieźć z Galicji wielkie dzwoniska, które wojsko miało wozić w specjalnych ruchomych wieżach, oraz małe dzwoneczki do przyczepienia do żołnierskich rękawów i końskich uprzęży.

W całej Andaluzji zakładano liczne kuźnie, w których wykuwano broń. Do armat potrzebne były ogromne ilości prochu. Sprowadziłam je zatem po obniżonych cenach z Włoch i Flandrii, a następnie kazałam umieścić w przygranicznych magazynach, by były łatwo dostępne. Ciotka Beatrycze przysłała mi nawet tysiąc beczek prochu w prezencie. Nasz zagorzały wróg król Alfons V zmarł, a jego następcą Jan II gorąco popierał naszą krucjatę, bo jego syn miał obiecany ślub z Izabelą.

Codziennie cztery razy chodziłam do kaplicy, żeby wysłuchać mszy i pomodlić się o zwycięstwo. Nocami siedziałam do późna z Ferdynandem, Cádizem i naszymi dowódcami,

omawiając strategię, która zakładała oblężenie setek twierdz i miast. Musieliśmy je zdobyć, by odizolować Malagę, wspaniały port, który jak ostryga otwierał się na Morze Śródziemne i umożliwiał Maurom życiodajny handel. Tylko przejęcie tego miasta i zabicie el Zagala mogło pomścić masakrę pod Malagą, której miejsca w całym świecie chrześcijańskim zaczęło być znane jako „Cuesta de la Matanza”, czyli „Wzgórze Mordu”.

Nie dopuszczałam do siebie myśli o porażce. Nie było godziny, żebym nie żałowała, że sama nie mogę chwycić za miecz i stanąć na czele naszych wojsk. Dziwiłam się, jak kiedykolwiek mogłam uważać, że miejsce kobiety jest w domu, a życie na polu bitwy ryzykować mogą wyłącznie mężczyźni. Musiałam jednak wykazać się cierpliwością, bo odkryłam, że znów spodziewam się dziecka. Czekałam więc, a Ferdynand w błyskawicznym tempie zdobywał kolejne miasta, przyplacając to wieloma ofiarami. Celem, który nieustannie mu przyświecał, było wyrugowanie niewiernych z naszego królestwa i odcinanie kawałek po krwawym kawałku granatu mauretańskiego państwa.

Jesienią 1485 roku mieliśmy już dziewięćdziesiąt cztery twierdze i odebraliśmy Maurom więcej ziem niż jakikolwiek władca chrześcijański przed nami. Malaga, podobnie jak sama Grenada, nadal pozostawała jednak pod władzą emira. Nie łudziliśmy się, że będą to łatwe zwycięstwa – przyparci do muru Maurowie nadal byli nieustępliwi. Przewaga była jednak po naszej stronie, bo świat niewiernych walił się na ich oczach. Rozstawiliśmy w miastach garnizony, które miały ich pilnować, wróciliśmy na zimę do Kastylii, zadowoleni z poczynionych postępów.

W grudniu w pokrytej freskami komnacie pałacu w Alcali, który należał do świętej pamięci Carrilla, urodziłam swoje piąte dziecko. Jak zwykle pragnęliśmy syna, ale rozczarowanie szybko ustąpiło miejsca trosce o naszą córeczkę, która przyszła na świat tak mała, że obawialiśmy się, czy przetrwa. Przygotowywałam się na kolejną stratę, ale dziewczynka wszystkich nas zaskoczyła – nie dość, że przeżyła, to szybko zaczęła wręcz kwitnąć. Po kilku tygodniach w ogóle nie przypominała już mizernego noworodka – miała białą jak mleko skórę i miedziane włosy w tym samym odcieniu co ja, tylko bardziej kręcone.

Ferdynand wyszeptał mi do ucha, że to najładniejsze ze wszystkich naszych dzieci. Nazwaliśmy ją Katarzyna, na cześć mojej babki ze strony ojca.



Genuńskiego nawigatora po raz pierwszy spotkałam w klasztorze Matki Bożej z Guadalupie w Estremadurze, gdzie przyjechaliśmy wkrótce po Nowym Roku.

Przygotowywaliśmy się do wiosennej ofensywy przeciwko Maurom. Udało nam się znacznie ich osłabić, ale potem otrzymaliśmy wiadomość o śmierci naszego wroga, emira al-Hasana. To dało wolną rękę jego bratu, el Zagalowi, który natychmiast zaczął zjednywać sobie Boabdila. Zdradziecki książę połknął haczyk i potajemnie przeszedł na stronę wuja, udając, że nadal jest w sojuszu z nami. Po śmierci al-Hasana mógł przejąć Grenadę i przestało mu zależeć na naszym wsparciu. Choć nie mogłam pogodzić się ze stratą cennych podarków, które mogły być zasilić nasz skarbiec, Ferdynand zapewniał mnie, że złamanie postanowień traktatu przez Boabdila może przysłużyć nam się w przyszłości, kiedy podbijemy Grenadę, a książę będzie na naszej łasce. Ostrzegałam go, że jeśli nas zdradzi, nie znajdzie nigdzie schronienia. Ferdynand był zdania, że wiarołomstwo Boabdila może być dla nas pomyślne, a ja zamierzałam wykorzystać je w pełni. Zachęcony rozwojem sytuacji mój mąż oświadczył, że w tym roku

zaatakujemy Malagę, bo jej upadek osłabi już i tak nadwątloną kontrolę Boabdila nad najważniejszym ośrodkiem – Grenadą.

Tamtego popołudnia stał nad mapami rozłożonymi na największym stole klasztorного refektarza. Z ust wydobywały mu się obłoczki białej pary, choć styczeń nie był szczególnie mroźny. W oglądaniu wyświechtanych map towarzyszyli mu kanclerz Luis de Santángel i kardynał de Mendoza, z którymi omawiał naszą strategię.

Ja siedziałam przy piecyku, grzejąc sobie stopy (od czasu porodu ciągle mi marzły) i przeglądałam korespondencję, której od świąt dużo się nagromadziło. Inés i Beatriz zajmowały się moimi dziećmi: Katarzyna leżała wygodnie w kołysce, Joanna ją bujała, María bawiła się lalkami, a Izabela i Jan po cichu czytali psalmy. Jak to w rodzinach często bywa, najbliżsi wiekiem niekoniecznie najbardziej za sobą przepadali – podczas gdy Izabela i Jan się lubili, Joanna wolała przebywać z Katarzyną. María zdawała się w ogóle nie zwracać uwagi na otoczenie. Miała trzy lata, a jej spokojne usposobienie zadziwiała opiekunki – wszystkie twierdziły, że jeszcze nigdy nie zajmowały się mniej kłopotliwym dzieckiem.

Przeglądałam się właśnie Joannie, która niedawno wyzdrowiała z trzydniowej gorączki, kiedy do refektarza wkroczył Chacón i oznajmił, że o audiencję prosi niejaki Krzysztof Kolumb.

– Przyniósł to – dodał don Gonzalo i marszcząc z dezaprobatą brwi, wręczył mi list polecający z pieczęcią potężnego kastylijskiego granda księcia Medinaceli.

– Chce się z nami zobaczyć teraz? – zapytałam.

Ogarniała mnie senność i rozważałam, czy nie odłożyć listów i nie sprawić sobie rzadkiej przyjemności w postaci popołudniowej drzemki. Poza tym nie byłam odpowiednio ubrana na przyjmowanie gości. Miałam na sobie prostą domową suknię z czarnego aksamitu przepasaną w talii, a włosy przykryte białym welonem i siatką.

– Tak – burknął Chacón. Był już po siedemdziesiątce, zrobił się otyły i jak mastif bronił naszej rodziny. – Twierdzi, że przyjechał aż z południa i koniecznie chce zobaczyć was osobiście. Jest uparty jak osioł. Od ponad trzech godzin czeka na zewnętrznych krużgankach. Mówiłem mu, że Wasze Wysokości są na zebraniu Rady Królewskiej, a potem udadzą się na posiłek, ale on przez cały czas nie ruszył się z miejsca.

Kiwnęłam głową, przebiegając wzrokiem pergamin. Pamiętałam jak przez mgłę, że żeglarz ten był kiedyś protegowanym Mediny-Sidonii. W liście polecającym Medinaceli wyjaśniał, że sewilskiego księcia znużyło zaspokajanie potrzeb Genuńczyka, więc go odesłał. Kolumb zwrócił się wtedy do Medinacelego, który uwierzył w plan nawigatora. Kolumb utrzymywał, że jest w stanie ominąć blokowane od wielu lat przez Turków Morze Śródziemne i dotrzeć do Indii nową drogą przez ocean. Medinaceli gotów był częściowo sfinansować wyprawę i wyposażyć statki, ale Kolumb potrzebował królewskiego przyzwolenia. Gdyby nie otrzymał go w Hiszpanii, zamierzał wyjechać i przedstawić swój projekt królowi Francji.

– Ciekawe – powiedziałam zamyślona. Złożyłam list i wręczyłam go Cárdenasowi, swojemu sekretarzowi. Nagle senność zupełnie mnie opuściła. – Ferdynandzie, słyszałeś? Przyjechał tu ten nawigator.

Mój mąż podniósł wzrok. Miał zarumienione policzki i najwyraźniej był w samym środku jakiejś zażartej dyskusji na temat strategii bitewnych z de Mendozą. Kardynał, choć miał już pięćdziesiąt dziewięć lat i cechował się wytworną elegancją, był doświadczonym generałem, który prowadził nasze oddziały do bitew i miał zdecydowane poglądy w kwestii najlepszej metody zdobycia Malagi.

– Nawigator? Jaki nawigator? – Ferdynand rzucał złowrogie spojrzenia de Mendozie, który jak zwykle obojętny na wybuchy mojego męża spokojnie popijał wino z czarki.

– Ten, któremu patronował Medina-Sidonia. Nie pamiętasz?

Już zadając to pytanie, zdawałam sobie sprawę, że nie wie, o kim mówię. Ostatnimi czasy z trudem przypominał sobie, co jedliśmy na kolację – jego myśli zupełnie zaprzętała krucjata, tak jakby zeszłoroczne sukcesy nie były wystarczające, by wymazać hańbę jednej porażki. Nie zamierzał spocząć, dopóki Grenada nie padnie przed nim na kolana.

– A, tak – powiedział niecierpliwie. – No i...?

– No i przyjechał tutaj, do klasztoru. Chce się z nami zobaczyć.

Ferdynand machnął ręką.

– W porządku. Zobacz się z nim.

Po czym wrócił do sprzecznania się z kardynałem.

Skinęłam na Chacóna.

– Niech wejdzie. Ale proszę go uprzedzić, że ma mówić zwięźle.

Chacón wrócił z wysokim, barczystym mężczyzną ubranym w prosty czarny dublet.

Nawigator zdjął czapkę, odsłaniając gęstą jasną czuprynę przyprószoną siwizną. Gdy mi się kłaniał, zauważyłam w jego postawie pewną wyniosłość – w ukłonie Genuńczyka widać było wrodzoną szlachecką dumę.

Gdy podniósł jasnyniebieskie oczy, zaskoczyła mnie siła jego spojrzenia.

– Majestad – powiedział niskim głosem. – Jestem zaszczycony.

Może i był zaszczycony, ale wcale nie przeprosił za niezapowiedzianie przybycie.

Z trudem tłumiłam śmiech. Musiał rzeczywiście spędzić sporo czasu z Mediną-Sidonią. Tylko dzięki bliskim stosunkom z człowiekiem pokroju księcia mógł nabrać takiej pewności siebie.

– Powiedziano mi, że długo czekaliście. Może napijecie się grzanego wina?

– Nie, dziękuję, Wasza Wysokość. – Nie odrywał ode mnie oczu. Nawet dwórki to zauważyły i zaczęły mu się przyglądać. Większość ludzi nie podniosłaby wzroku bez pozwolenia, nie mówiąc już o odmowie poczęstunku.

– Mam wam wiele do powiedzenia – dodał, a ja z zadowoleniem obserwowałam rumieńce, które pojawiły się na jego wydatnych, dotychczas bladych policzkach. – Czekam bardzo długo, właściwie już dwa lata.

– Na klasztornych krużgankach? – wtrąciła Beatriz, a on spojrział na nią poważnie.

– Czekałbym nawet tam, gdybym dzięki temu miał uzyskać audiencję – odparł, a ja wiedziałam, że mówi poważnie.

– Dobrze więc.

Wyprostowałam się na krześle i starałam się przybrać opanowaną pozę, choć czułam, jak przyspiesza mi tętno. Bez wątplenia miał w sobie pewien magnetyzm, ktoś mógłby powiedzieć nawet, że ma go za dużo. Zgrabna sylwetka, orli nos, zamyślane oczy i bijąca od niego śmiałość sprawiały, że choć nie był szlachcicem, cechował się typowo szlacheckim poczuciem własnej wartości. Stał przede mną z podniesioną brodą, jakby chciał dać mi do zrozumienia, że powinnam była go oczekiwać, że wszystko przed tą kluczową chwilą było tylko preludium do naszego spotkania.

Przez moment też miałam takie wrażenie.

Kolumb zaczął wyłuszczać swoją sprawę. Mówił jak orator – słyhać było, że starannie przećwiczył swoją przemowę, bo przedstawiał argumenty z niezachwianą pewnością. Twierdził, że Ziemia jest kulista, że dysponuje tajnymi mapami, a wielki i niezbadany ocean wcale nie jest tak ogromny, jak się powszechnie uważa. Mówił bez wyraźnego akcentu, zaczęłam się nawet zastanawiać, czy rzeczywiście, jak powiedział, jest synem włoskiego tkacza. Moje wątpliwości rozwiła opowieść o tym, jak statek, na którym w młodości płynął, rozbił się u wybrzeży Portugalii i Kolumb spędził wiele lat w Lizbonie w towarzystwie marynarzy i geografów. To tam natknął się na pisma egipskiego astronoma Ptolemeusza i greckiego matematyka Eratostenesa,

które otwały mu oczy na możliwość dotarcia do odległych krain z mnóstwem przypraw, klejnotów i jedwabiu tylko czekających na zdobywcę. Przeniosłam się z powrotem do czasów dziewczęcych w Segovii, gdzie nachylałam się nad starymi tomiskami i podziwiałam głód przygody, który pcha ludzi w nieznaną. Kolumb musiał instynktownie wiedzieć, w jaką stronę uderzyć – wykorzystał swoją pasję i determinację do zburzenia dzielącej nas bariery.

Oczywiście nie miał dowodu na poparcie swoich nieprawdopodobnych teorii. Domaganie się, bym zaaprobowała wcielanie ich w życie, było skandaliczne, prośba o tytuł i szczodre wsparcie w nagrodę za odkrycia – niemal szaleńcza. Nikt jeszcze nie stanął przed monarchą i nie żądał tak wiele, tak niewiele dając w zamian.

Jednakże kiedy skończył i stał przede mną z rozłożonymi rękami, a jego głos niósł się jeszcze echem, w refektarzu panowała absolutna cisza. Nawet moje dzieci przerwały zabawę, by wysłuchać nawigatora. Zdałam sobie sprawę, że sama mimowolnie nachyliłam się na krzesło i siedziałam z podbródkiem podpartym splecionymi dłońmi, słuchając jak urzeczona.

Po chwili usłyszałam, że ktoś bębni palcami o drewniany stół. Odwróciłam się i zobaczyłam, że to Ferdynand stuka w założony mapami blat. Obok niego siedział jego kanclerz, Santángel, który szeroko otwierał oczy i wydawał się zupełnie nieobecny. Na wąskich ustach de Mendozy pojawił się lekki uśmiech, jakby kardynała bawiła cała sytuacja.

Ferdynand prychnął.

– Bardzo dużo w was ognia. Może bardziej byście się nam przydali do palenia mauretańskich twierdz, panie nawigatorze?

Skrzywiłam się w duchu, kiedy Mendoza rubasznie się zaśmiał. Kolumb, co mu się chwali, pochylił głowę, jakby wiedział, że przemawiają za nim tylko teorie.

– Jesteście świadomi, że prowadzimy właśnie wojnę? – ciągnął Ferdynand, zdradzając, że choć udawał zajętego, słyszał całą naszą rozmowę. – Spodziewacie się, że sfinansujemy całe przedsięwzięcie tylko dlatego, że ręczycie za nie słowem?

– Ta wojna przyniesie światło Chrystusa tysiącom ludzi – odparł Kolumb. – Ja mogę zanieść je kolejnym tysiącom i wybudować dla waszych infantów potężne imperium, takie, w którym słońce nigdy nie zachodzi.

– Zakładając, że się nie mylicie – powiedział Ferdynand. – I że nie spadniecie z krawędzi świata, znikając na zawsze z naszymi pieniędzmi i okrętami.

Kolumb przytaknął.

– Zawsze istnieje ryzyko. Wasze Wysokości jednak nigdy nie bały się ryzykować. Ktoś mógłby powiedzieć, że próba usunięcia Maurów z Grenady po tylu wiekach ich zwierzchnictwa nad tym miastem i wielu nieudanych próbach jest objawem skrajnego szaleństwa.

– Może to i szaleństwo, ale udowodnimy krytykom, że się mylą – odparł mój mąż, po czym spojrzał na mnie. – Czekają na nas ważne obowiązki. Nie czas na mrzonki.

Musiałam przyznać mu rację. W naszym położeniu nie mogliśmy dać nawigatorowi tego, o co prosił. Nie chciałam jednak odsyłać go z pustymi rękami. W głębi serca podzielałam bowiem jego pasję. Wierzyłam, że jego plan zasługuje na rozważenie, choć nie umiałam podać racjonalnego powodu.

– Jeszcze trochę z nim porozmawiam – powiedziałam, podnosząc się z krzesła.

Ferdynand skinął krótko, po czym wrócił do stołu i pstryknął na Santángela, który rzucił się dolewać mu wina. Czar rzucony przez Kolumba przysł. Niespodziewanie powróciło zwyczajne życie – Katarzyna obudziła się i zaczęła płakać, Joanna ją uciszała, a Beatriz pospieszyła, by się nimi zająć. María znów bawiła się lalkami, dwórki wznowiły plotki, a Izabela czytanie ziewającemu Janowi.

Słyszałam to wszystko, ale w ogóle nie zwracałam na nich uwagi. Inés przyniosła mi

płaszcz. Kiedy wkładałam na ramiona podbity rysim futrem brokat, Kolumb nie odrywał ode mnie wzroku.

Skinęłam na niego ręką i powiedziałam:

– Proszę ze mną. Przejdziemy się po krużgankach.

Chociaż Inés szła dyskretnie kilka kroków za nami, dla mnie równie dobrze mogłaby nie istnieć. Moją uwagę całkowicie absorbowwała osoba nawigatora. Był tak wysoki, że musiałam zadzierać głowę, by zobaczyć jego mocny, orli profil. Panująca na krużgankach cisza potęgowała stukot jego obcasów o kamienną posadzkę i szelest znoszonych aksamitnych spodni.

W przytłumionym świetle refektarza jego ubrania prezentowały się korzystniej – w bezlitosnych promieniach słońca widziałam, że nie były nowe. Jeszcze raz uderzyła mnie jego pewność siebie. Niewielu znanych mi ludzi ośmieliłoby się stanąć przed obliczem królowej w czymś innym niż najkosztowniejszy strój, nawet jeśli wymagałoby to zastawienia całego majątku.

Krużganki otaczały klasztorny ogród z ozdobnymi krzewami i rabatkami, w tym czasie bez kwiatów. Widzieliśmy też strzeliste emaliowane wieże pnące się do lazurowego nieba. Wysoko na jednej z nich samotny bocian wił gniazdo. Przystanąłam, by mu się przyjrzeć, a Kolumb wymamrotał:

– To niesamowite, że one zupełnie bez wysiłku docierają tam, gdzie my, przy całej naszej wyższości, nie odważymy się wybrać.

Spojrzałam na niego.

– Mówicie o lataniu czy żeglowaniu?

Uśmiechnął się lekko.

– Dla mnie to jedno i to samo. – Zamilkł na chwilę. – Włoski artysta Leonardo da Vinci jest zdania, że pewnego dnia wybudujemy maszynę, która pozwoli nam pofrunąć. Twierdzi, że będziemy poruszać się po świecie swobodniej niż ptaki.

– To rzeczywiście byłoby cudowne – odparłam. – Ale czy to nie uczyni wszystkiego mniejszym?

– Świat jest mały tylko dla oka, pani. Wyobraźnia nie zna granic.

Nie wiedziałam, co mu odpowiedzieć ani jak zareagować na to, że zrezygnował z tytułu królewskiego i zwrócił się do mnie w nieformalny i niestosowny sposób.

– Jego Wysokość ma rację – powiedziałam w końcu, kiedy dotarliśmy do rogu i kontynuowaliśmy spacer krużgankami wzdłuż kolejnej ściany klasztoru. Na zewnątrz zaczął padać lekki śnieg – delikatne płatki wirowały przez chwilę w powietrzu, zanim opadły na ziemię. – Jesteśmy właśnie w trakcie wielkiej, żmudnej krucjaty, na której koncentrujemy wszystkie nasze wysiłki.

Moja aluzja była wyraźna i miałam nadzieję, że nie będę musiała wyjaśniać mu tego dobitnie: w naszym skarbcu nie było środków na realizację tak ambitnego planu, nie podczas wojny.

Kolumb westchnął zrezygnowany.

– Nie mogę powiedzieć, że jestem zaskoczony. Za granicą Wasza Wysokość jest postrzegana jako wizjonerka, wojownicza królowa, która siłą woli podźwignie zgnębiony naród do potęgi. – Przerwał i wpatrywał się w wirujące płatki śniegu. – Ostrzegano mnie wszelako, że wasze wizje ograniczają się do granic waszego królestwa.

Zaśmiałam się krótko, choć jego słowa mnie dotknęły.

– Nigdy nie przejmowałam się plotkami.

Kolumb odwrócił się w moją stronę. Milczał, a ja czułam się zobligowana wypełnić ciszę argumentami na swoją obronę.

– Ci, którzy mnie krytykują, nie rozumieją moich celów. Chociaż tego nie ogłosiłam,

jestem właśnie w trakcie aranżowania małżeństwa między córką habsburskiego cesarza a moim synem i dziedzicem, księciem Janem. Prowadzę też pertraktacje w sprawie wydania mojej córki Joanny za następcę tronu Habsburgów. Najstarsza Izabela jest już obiecana księciu Portugalii. Mam też nadzieję wydać którąś z naszych infantek za władcę Anglii. Jak zatem widzicie, nie ograniczam się do swojego królestwa, choć obecnie to ono najbardziej mnie zajmuje. W przeciwnym razie nie byłabym dobrą królową. Kastylia musi mieć pierwszeństwo – to przyrzekałam na koronacji.

Skłonił głowę.

– Nie chciałem was obrazić. To dla mnie ogromny zaszczyt, że Wasza Wysokość zgodziła się mnie dziś przyjąć, zważywszy na okoliczności. Zdaję sobie sprawę, że macie teraz dużo zajęć i chwile spędzone z rodziną to rzadka przyjemność.

Niespodziewanie naszła mnie ochota, by położyć mu rękę na ramieniu, jakoś go pocieszyć. Zamiast tego powiedziałam tylko:

– Nie chcę, żebyście przedstawiali swój plan komukolwiek innemu. Choć teraz nie jesteśmy w stanie sfinansować waszego przedsięwzięcia, powołałam specjalny komitet, który przyjrzy się waszym argumentom. Na jego czele stanie mój spowiednik, brat Talavera, człowiek wielkiej mądrości. Przyznam wam też pensję, tak żebyście nie musieli być zależni od innych. Jesteście sami?

– Nie, Majestad. Mam syna, Diega. Pobiera nauki w klasztorze La Rábida.

– A wasza żona...?

Twarz mu pociemniała.

– Umarła wiele lat temu, jeszcze zanim wyjechaliśmy z Lizbony.

– Bardzo mi przykro – wymamrotałam. – Niech spoczywa w pokoju. Postaram się zatem, żeby pensja wystarczała na utrzymanie waszego syna.

Wyciągnęłam do niego rękę. Kiedy nachylił się i lekko dotknął ustami mojego pierścienia, powiedział:

– Dziękuję, Majestad. Jesteście prawdziwie wspaniałą królową i zaszczytem dla mnie będzie służyć wam całym ciałem i duszą.

Zażenowana poczułam, że się rumienię. Co miał w sobie ten człowiek, że reagowałam tak emocjonalnie? Gdybym tak dobrze się nie znała, mogłabym pomyśleć, że mnie zauroczył. Wiedziałam jednak, że to nie tylko ze względu na jego wygląd i sposób bycia zaczynałam do niego żywić głębokie uczucia. Miałam mocne przeświadczenie, że spotkanie z nawigatorem było mi przeznaczone, że zadziałał los, którego nie dało się zmienić ani uniknąć.

Wycofałam rękę i zrobiłam krok w tył.

– Możecie razem z dworem udać się z nami na południe. Muszę jednak was ostrzec, że zadanie, które nas czeka, nie jest łatwe: wymaga wiary i wytrwałości, bo to zadanie powierzone nam przez Boga.

– Nigdy nie bałam się spełniania woli Pana – odparł.

Uśmiechnęłam się, gdy Kolumb się odwrócił i odszedł dumnym krokiem, nawet się ze mną nie pożegnawszy.

Nie należał do tych, którzy wymigują się od bożych misji – to wiedziałam na pewno. Choć dał mi tylko swoje słowo, byłam oczarowana tym enigmatycznym nieznanym, który uchylił przede mną rąbka tajemnicy wielkiego świata.

Przyrzekłam sobie, że jeśli kiedykolwiek będzie nas na to stać, zatroszczę się o to, by mógł odbyć swoją podróż.

Rozdział trzydziesty



Chodziłam tam i z powrotem wzdłuż kolumnady, prążąc się w promieniach bezlitosnego andaluzyjskiego słońca. Wyostrzałam wszystkie zmysły, obserwując urzędników i dworzan, którzy spieszenie przemierzali taras alkazaru. Wyczekiwałam wieści z frontu.

– Gdzież on jest? – zapytałam pewnie już setny raz biedną Inés, która próbowała dotrzymać kroku moim chaotycznym wędrówkom po tarasie. Pot spływał jej z czoła i wsiąkał w wilgotny już gorset. – Jak długo może jechać posłaniec? Ferdynand wyruszył z wojskiem do Lojy ponad dwa tygodnie temu. Od tego czasu na pewno mają już jakieś wieści.

– Pani, Jego Wysokość ostrzegął, że oblężenie Lojy może zająć dużo czasu – uspokajała mnie Inés nie po raz pierwszy. – Mówił, że nie będzie łatwo ją zdobyć, bo księżę Boabdil koniecznie chce ją utrzymać jako część swojej monarszej domeny.

– Nie ma do niej żadnych praw – warknęłam. – Nie po tym, jak odwrócił się od nas i sprzymierzył z tym wilkiem, el Zagalem. – Przerwałam, bo nagle zdałam sobie sprawę, że wyładowuję gniew na Inés, i ogarnęły mnie wyrzuty sumienia. – Przepraszam cię. Wygląda na to, że tracę głowę. Marzę, by coś zrobić. Nie mogę pogodzić się z tym, że rekonkwista mojego królestwa odbywa się bez mojego udziału.

Inés kiwnęła współczująco głową. Oblężenie Lojy miało wymiar symboliczny – to tam Ferdynand poniósł z rąk Maurów pierwszą druzgocącą klęskę. Teraz miasto dostało się pod władanie tej gnidy, Boabdila, który zawarł nowy sojusz z el Zagalem. Nasza decyzja, by odbić miasto i odesłać Boabdila do Grenady, dając mu przedsmak tego, co go czeka, mogła być brzemienne w skutki – niepowodzenie tej kampanii stanowiłoby dla el Zagala i bandy jego wojowników zachętę do zniweczenia naszych wcześniejszych dokonań. Byłby to dla nich sygnał, by przystąpić do oblężeń i wszcząć ataki na kilku frontach.

Właśnie miałam uraczyć Inés kolejną porcją swoich obaw, gdy nagle usłyszałam stukot szybkich kroków i zgiełk wśród dworzan. Odwróciłam się i zobaczyłam, że w moją stronę biegnie posłaniec w naszych barwach, a za nim podekscytowany tłumek. Ukłąkł i wyciągnął w moją stronę kwadratowy kawałek pergaminu.

Nie mogłam się ruszyć. Nie byłam w stanie nawet sięgnąć po list. Wbijałam wzrok w czubek głowy posłańca, więc przesyłkę wzięła od niego Inés. Na moje lekkie, niemal niewidoczne skinienie złamała pieczęć.

– Co... co pisze? – wyszeptałam, czując na sobie oczy wszystkich dworzan.

Inés odpowiedziała drżącym z emocji głosem:

– Loja upadła, Majestad!

– Jadę tam. Nie ma dyskusji.

Doradcy przyjęli moją deklarację ze zdumieniem, które niemal natychmiast zamieniło się w nerwowe protesty.

– Wasza Wysokość nie może tego zrobić. Proszę pomyśleć o waszym bezpieczeństwie, o ryzyku związanym z podróżą. Mauretański zabójca, wypadek na drodze, nie wspominając nawet o warunkach w obozie – na taką wyprawę nie przystoi wybierać się szlachciance, a co dopiero królowej.

Pozwoliłam sobie na uśmiech.

– Nie mam wpływu na wypadki na drodze ani na panujące w obozie warunki – to wszystko jest w rękach Boga. Co do zabójców, to jeśli rzeczywiście stanowią takie zagrożenie, każę wykuć sobie specjalną lekką zbroję, która powinna mnie ochronić.

– Zbroję? – wysapali chórem, jakbym właśnie oświadczyła, że założę saczek.

Musiałam się powstrzymać, by nie zacząć przewracać oczami. Chacón, który siedział w kącie komnaty z rękami założonymi na potężnej piersi, przyjrzał mi się z rozbawieniem.

– No dobrze – odparłam pojednawczo. – W takim razie bez zbroi. I tak byłoby mi w niej za gorąco. Ograniczę się do napierśnika i miecza – dodałam. – Dla ochrony przed jednym z tych wypadków, których tak się obawiacie.

Dworzanie przypatrywali mi się z nieskrywanym przerażeniem. Wydawało mi się jednak, że martwią się nie tyle o mnie, ile o to, że będą musieli mi towarzyszyć. Wszyscy starsi szlachcice woleli trzymać się z daleka od pola bitwy, jeśli to tylko było możliwe. Wysyłali na front swoich wasali, synów lub kogokolwiek innego, kto skłonny był ich zastąpić. Ich tchórzostwo wprawiało mnie w rozbawienie. Cała młodsza szlachta ochoczo ruszyła za naszym sztandarem. Nawet ludzie w średnim wieku, tacy jak Medina-Sidonia, ku chwale naszego królestwa brodzili po kolana we krwi niewiernych.

– Jak mi przypomnieliście, jestem królową – ciągnęłam. – Jeśli w godzinie zwycięstwa stanę przy boku męża, natchnę naszych żołnierzy jeszcze większą odwagą. Zamierzam udać się tam nie jako bojaźliwa kobieta, lecz jako wojownik, gotowy tak jak oni walczyć i umrzeć za Kastylię.

Wychodząc, przy drzwiach minęłam Chacóna, który szeroko się do mnie uśmiechnął. Tydzień później królewski złotnik dostarczył do mojej komnaty piękny tłoczony napierśnik z hartowanej stali. Zdobiał go czarno-złoty ornament treliazowy, a od środka miał wyściółkę ze szkarłatnego aksamitu i barchanu wyprofilowaną tak zmyślnie, że zostawiała miejsce na piersi.

Kiedy złotnik pomógł mi włożyć i zapiąć napierśnik, miałam wrażenie, że zostałam unieruchomiona w kamieniu.

– Jest taki ciężki – powiedziałam, odwracając się niezgrabnie w stronę lustra. – Czy napierśniki zawsze tyle ważą?

Złotnik podszedł, by coś mi poprawić.

– Ten jest najlżejszy, jaki zrobiłem, Majestad. Zbroje noszone przez grandów i Jego Wysokość ważą prawie dwa razy tyle, bo mają więcej części dla lepszej ochrony.

– Dwa razy tyle?

Nagle zaczęłam bardziej doceniać naszych mężczyzn. Próbowалам sobie wyobrazić, jak musi czuć się rycerz, który w takiej właśnie zbroi wspina się po stromym zboczu, a z nieba leje się żar. Odwróciłam się i wzięłam do ręki miecz – był wąski, miał długie, lśniące ostrze i rękojeść w kształcie korony wysadzanej rubinami i szmaragdami. On też był cięższy, niż się spodziewałam. Kiedy znów stanęłam przed lustrem i uniosłam wysoko miecz, wróciło do mnie wyraźne wspomnienie rozmowy, którą w dzieciństwie odbyłam z Beatriz – podziwialiśmy zachód słońca nad Ávila, rozprawiając o zaletach naszej płci.

„Kto powiedział, że kobieta nie może wziąć miecza i krzyża i ruszyć na Grenadę, żeby odbić ją z rąk Maurów?”

– Miała rację – stwierdziłam na głos.

Inés złapała moje spojrzenie w lustrze.

– Kto taki, Wasza Wysokość?

Uśmiechnęłam się tylko i potrząsnęłam głową. Beatriz była jeszcze w Kastylii, gdzie nadzorowała pakowanie dworu i przygotowywała moje młodsze dzieci do podróży do nas, na południe.

Byłaby wściekła, gdyby się dowiedziała, co straciła!

Wyczerpani i zbryzgani krwią żołnierze zaczęli głośno wiwatować, kiedy niespodziewanie wjechałam do ich obozu na białym rumaku, w napierśniku i z ozdobnym mieczem u pasa. Entuzjastyczne okrzyki odbijały się echem od zrujnowanych fortyfikacji pokonanego miasta. Radość żołnierzy utwierdziła mnie w przekonaniu, że postąpiłam słusznie, przyjeżdżając tu jako jedna z nich raczej niż jako wyniosła królowa, która chce przywłaszczyć sobie ich okupione krwią zasługi. Pojmani Maurowie rzucili się na kolana i zaczęli błagać o litość, wycierając czołami obozowy kurz. Ich kobiety nabierały garście spalonej ziemi i lamentując, posypywały nią sobie głowy.

– Spójrz na nich – powiedział z podziwem Ferdynand – wzbudzasz w nich przerażenie.

– I tak powinno być – odparłam.

Weszłam na podium, by przemówić do naszej armii.

– Zasługujecie dziś na najwyższą pochwałę, bo jako rycerze obroniliście naszą religię przed zakusami niewiernych, którzy zagrażają naszemu królestwu. Bóg wie, że działamy w imię sprawiedliwości, i nie zapomni wam trudów, które znosiliście. Naszą nagrodę dostaniemy w niebie. Ja z całego serca dziękuję wam za ofiarność!

Zerwałam z głowy kapelusz z szerokim rondem i frędzlami, wystawiając kasztanowe, pociemniałe z wiekiem włosy na ostre promienie słońca, żeby okazać żołnierzom szacunek za ich odwagę. Rozległy się brawa i wiwaty, które sprawiły, że pojmani Maurowie skulili się i zamilkli. W euforii chwyciłam Ferdynanda za rękę, uniosłam nasze splecione dłonie do góry i zawołałam:

– Tanto monta, monta tanto! Naprzód, na Malagę i do zwycięstwa!

Tamtej nocy Ferdynand posiadał mnie z wyjątkową pasją.

– Jesteś moją wojowniczą królową – wyszeptał w chwili uniesienia. – A teraz daj nam syna, mi luna. Powij nam kolejnego księcia.

Po kilku tygodniach krwawienie mi jednak wróciło. Kiedy Beatriz przyjechała z resztą moich dzieci, zwierzyłam się jej, że od narodzin Katarzyny moje menses stały się rzadsze i towarzyszyły im mocne skurcze, choć nie przekroczyłam jeszcze czterdziestu lat.

Chodząc tam i z powrotem po kordobańskim alkazarze – niespokojna jak lwica w klatce, choć nie nosiłam w łonie dziecięcia, o które bym się martwiła – zdałam sobie sprawę, co muszę zrobić. Gdy tylko nasze wojska zajęły pozycje wokół Malagi, włożyłam napierśnik i powierzwszy młodszym dzieciom opiekę Inés, razem z Beatriz i Izabelą wybrałam się do obozu, by natchnąć naszych żołnierzy nadzieją.

Oglądany po raz pierwszy widok Malagi, z pasmami Sierra Blanca po jednej i szafirowym morzem pod drugiej stronie, zaparł mi dech w piersiach. Gorący majowy wiatr poruszał sztywnymi liśćmi palm daktylowych. Nad wysokimi wałami miasta unosił się wonny dym kadzideł i mocna, trudna do określenia woń piżma, ziół i przypraw.

Maurowie znali nasze zamiary – zdobycie Lojy było dla nich wystarczającym ostrzeżeniem. Kiedy zbliżaliśmy się do Malagi, z blanek patrzyły na nas rozkładające się głowy naszych żołnierzy. Przybyliśmy z pięćdziesięciotysięczną armią, która rozstawiła się na spalonej równinie niczym anioły zemsty.

Miasto o stu dwunastu wieżach obronnych przycupnęło u podnóża masywnej góry jak waleczny lew. Próbowałam po sobie nie pokazywać, jak bardzo martwi mnie to, że będziemy musieli spustoszyć Malagę. Zajęłam się przeglądaniem wojsk i zapasów, jadłam posiłki z naszymi generałami i dbałam, by zbroja i miecz Ferdynanda zawsze były odpowiednio naoilwione, tak by nie zawiodły go na polu bitwy. Choć większości zniszczeń miały dokonać nasze nowe armaty i katapulty, konieczne było też zrobienie wyłomów w murach i zburzenie blanek, z których Maurowie mogli lać na nas gorący olej czy wrzącą smołę bądź też zasypywać

nas gradem zatrutych strzał. Bezpośredniej walki nie dało się uniknąć. W towarzystwie Izabeli obserwowałam z daleka pole bitwy i modliłam się o bezpieczeństwo męża, nieustannie pełna obaw.

Wiele dni ostrzeliwaliśmy mury Malagi. W powietrzu unosiły się duszące drobiny prochu i zaprawy murarskiej, tak że musieliśmy zasłaniać usta i nosy chustkami. Kurz osiadał na wszystkim, dostawał się wszędzie – do skrzyń z ubraniami, łóżek, naczyń. Nawet w jedzeniu i piciu czuliśmy prochowy pył. Kiedy siedziałyśmy z Izabelą w naszym przestronnym namiocie, wsłuchując się w dźwięk dzwonów, w które kazałam bić dzień i noc, pocieszałam córkę, że przecież nie liczyliśmy na łatwe zwycięstwo. Bicie dzwonów mieszało się z jękami naszych rannych i krzykami rozpaczliwej w Maladze ludności. Choć starałam się uspokajać Izabelę, sama zaczęłam się dziwić nadnaturalnej wytrzymałości Maurów. Nasze statki blokowały porty, wszystkie inne drogi do miasta też były odcięte, więc w Maladze musiały szerzyć się głód i choroby.

W końcu, trzy miesiące od rozpoczęcia oblężenia, dostaliśmy wiadomość, że Maurowie chcą rokowań. Stało się jasne, że nie doczekają się żadnych posiłków z Grenady. Miasto przysłało swojego duchownego, który zwracając się do mnie w liście, oddał mi należytą królowej cześć, więc zgodziłam się wysłuchać go w namiocie audiencyjnym. Ferdynand tymczasem odpoczywał po kolejnym wyczerpującym dniu oblężenia. Ubrałam się bardzo starannie – włożyłam purpurową królewską szatę, kornet ze złotymi wykończeniami i diadem z szafirami. W ostatniej chwili, kiedy już miałyśmy wejść do namiotu, Beatriz zerwała mi diadem z czoła i precyzyjnie się przede mnie.

– Co ty wyprawiasz? – syknęłam.

Nie odpowiedziała. Z otwartymi ustami patrzyłam, jak wkracza do bogato urządzonego wnętrza i siada na moim tronie. Byłam zdumiona i wściekła. Czy ona postradała zmysły? Czyżby upał i opary prochu doprowadziły ją do szaleństwa?

Chwilę później do namiotu wszedł rudy markiz de Cádiz w towarzystwie odzianego w płaszcz mężczyzny w turbanie. Nieznajomy podniósł pełne nienawiści oczy na siedzącą wśród moich poduszek Beatriz. Zanim ktokolwiek z nas zdążył zareagować, wysłannik Malagi rzucił się przed siebie z dzikim wrzaskiem, sięgając równocześnie pod płaszcz. Zamarłam na widok zakrzywionego sztyletu, którego dobył.

Beatriz wydała przeraźliwy okrzyk. Ustawieni przed wejściem strażnicy wbiegli do środka, niemal mnie przewracając. Złapali Maura – który wykrzykiwał coś w nieznanym nam języku – i ściskali mu nadgarstek tak długo, aż wypuścił broń. Kiedy upadła na dywan, podeszłam, by ją podnieść.

– Nie! – krzyknęła Beatriz. – Nie dotykaj!

Owinąwszy rękę w rąbek spódnicy, moja przyjaciółka ostrożnie podniosła sztylet za rękojeść i mi go podsunęła. Przeszły mnie ciarki, kiedy wpatrywałam się w grawerowane ostrze pokryte jasnozieloną warstewką.

– Widzisz? – wyszeptała. – Trucizna. Chciał cię ugodzić zatrutym sztyletem.

– Dios mío. – Spojrzałam na nią z niedowierzaniem. – Uratowałaś mi życie. Skąd wiedziałaś?

Wzruszyła ramionami.

– Miałam przeczucie. – Uśmiechnęła się nerwowo. – Wybacz, że tak bezceremonialnie zerwałam ci diadem z głowy. Uznałam, że gdyby mu się udało, to lepiej, żeby zabił mnie niż ciebie.

– Szeźnie – warknął Cádiz. – Powieszony i poćwiartowany na równinie, tak by całe miasto i jego zdradzieccy panowie mogli to oglądać!

Zwróciłam się w stronę niedoszęłego skrytobójcy, którego mocno przytrzymywali nasi strażnicy. W jego oczach nie widziałam strachu, choć przecież musiał wiedzieć, co go czeka. Sądziłam, że nie włada naszym językiem, więc zdziwiłam się, kiedy beznamiętnym, lodowatym tonem, który przyprawił mnie o dreszcze, powiedział:

– Tym razem twój ukrzyżowany bóg cię ocalił. Ale odtąd każde twoje tchnienie, chrześcijańska królowo, jest pożyczzone od śmierci.

Uniosłam głowę.

– Zabierzcie go – wyszeptałam.

Zgiełk obudził Ferdynanda, który chwilę później chwiejnym krokiem wszedł do namiotu. Wziął mnie w ramiona i mocno przytulił.

– Mi luna, najdroższa, kiedy pomyślę, co mogło się stać... – Objął mnie jeszcze mocniej. – Zapchłone mauretańskie kundły nie wiedzą, co to znaczy honor, i pod pretekstem negocjacji przysyłają mordercę. Zabiję go sam, gołymi rękami. Wyrwę mu to parszywe serce. A potem pogrzebię ich wszystkich w ruinach tego nieszczęsnego miasta. Tak mi dopomóż Bóg.

– Nie, proszę. – Wyswobodziłam się z uścisku i zmusiłam się do uśmiechu. Następnie ruchem dłoni pokazałam wszystkim, żeby wyszli.

Kiedy zostaliśmy sami, powiedziałam cicho:

– Straciliśmy już prawie dwa tysiące ludzi, masa dogorywa jeszcze w infirmeriach. Kończą nam się zapasy. Już długo nie wytrzymamy. Ferdynandzie, obawiam się, że musimy szukać porozumienia, nawet jeśli oznacza to wycofanie się spod Malagi. W przyszłości na pewno jeszcze nadarzy się okazja...

– Nie – przerwał mi beznamiętnym tonem. – Nie odstąpimy od oblężenia. Nikt nie będzie groził mojej żonie.

Ruszył do wyjścia, przywołując Cádiza. Kiedy za nimi podążyłam, usłyszałam, jak wydaje markizowi polecenia:

– Wyślij herolda pod mury miejskie. Niech obwieści, że jeśli w przeciągu trzech dni Malaga bezwarunkowo się nie podda, zrównamy miasto z ziemią, a nasz miecz dosięgnie każdego mieszkańca.

– Ferdynandzie – przywołałam go.

Odwrócił się w moją stronę. Miał ciemne, nieprzejednane oczy i bladą twarz. Powstrzymałam się od protestów. Wiedziałam, że muszę zdać się na jego osąd sytuacji.

W trzy dni zrozpaczeni mieszkańcy Malagi zdołali zmusić swoich przywódców do ustąpienia i przystali nam propozycję kapitulacji. Ferdynand podarł ją na oczach przerażonego posłańca.

– Powiedziałem: żadnych warunków. Żadnych.

– Ale, Wasza Wysokość – odezwał się błagalnie mężczyzna na klęczkach. – W tym mieście mieszkają też chrześcijanie i Żydzi. Mój pan, el Zagal, mówi, że ich zabije, jeśli Wasza Wysokość nie przystanie na te warunki.

– Pożałuje, jeśli choć włos spadnie z chrześcijańskiej głowy – odparł mój mąż. – Wszyscy tego pożałujecie. – Nachylił się do mężczyzny, tak że ledwo usłyszałam jego kolejne słowa: – Stracę was, jednego po drugim, na oczach waszych rodzin. Wasze żony będą musiały to oglądać, zanim same zostaną zabite. Nie zostawię przy życiu ani jednego Maura, egzekucje obejmą wszystkich, mężczyzn, kobiety i dzieci. Przekaż to swemu panu.

Posłaniec zaniemówił ze zdumienia. Popatrzył na mnie z niemą prośbą. Stojąca nieopodal Izabela tłumiała płacz. Jej też oblężenie dało się we znaki – schudła i zrobiła się tak blada, że przez skórę prześwitywały jej żyły. Zbliżał się dzień jej ślubu. Nie mogliśmy wysłać jej do Portugalii w tak mizernym stanie. Trzeba było koniecznie położyć kres tej strasznej sytuacji.

Odezwałam się głośno:

– Obiecujemy was oszczędzić, pod warunkiem że postąpicie zgodnie z wolą mojego męża. Macie tydzień na kapitulację, w przeciwnym razie nie ręczę za to, co was czeka.

Posłaniec czmychnął z powrotem do tłącego się miasta. Wcześniej mieszkańcy Malagi obrzucali nas z wałów obelgami. Odkąd jednak wystrzeliliśmy do nich katapultą zmasakrowane bezgłowe ciało niedoszłego zabójcy, zamilkli. Kiedy posłaniec zniknął za masywną bramą, nie było widać już nikogo.

Dwa dni później Malaga się poddała.

Zdobycia tego miasta na rzecz chrześcijaństwa i Kastylii nie traktowałam jako sukcesu. Straciliśmy prawie trzy tysiące ludzi. Los mieszkańców, którzy przetrwali, wcale nie był lepszy. Zmuszeni do jedzenia swoich psów, a potem koni, po wielu miesiącach nieustannego ostrzeliwania, kiedy wkroczyliśmy, stali na ruinach swoich domów, udręczeni i ulegli, wiedząc, że ich los jest w naszych rękach.

Cádiz i pozostali grandowie opowiedzieli się za masową egzekucją. Twierdzili, że mieszkańcy Malagi muszą zapłacić za to, że próbowali mnie zamordować. Poza tym el Zagalowi udało się zbiec przed kapitulacją, w czym ci ludzie z pewnością mu pomogli. Ja jednak nie zgodziłam się, by w moim imieniu popełniono takie barbarzyństwo. Przekonałam Ferdynanda, że mieszkańców Malagi trzeba sprzedać do niewoli, a tych, którzy są w stanie zapłacić okup – uwolnić. W istniejących okolicznościach nic lepszego nie mogłam zrobić. Ferdynand początkowo był nieustępliwy i musiałam przekonywać go kilka godzin, zanim w końcu wyraził zgodę.

W niewoli tych ludzi i tak czekało cierpienie, wielu miało umrzeć. Była to straszna cena, którą musieliśmy zapłacić za naszą krucjatę. Nie byłam dumna z naszego sukcesu, nawet gdy przysłany przez papieża Sykstusa srebrny krzyż został umieszczony na meczecie zmienionym w katedrę Najświętszej Maryi Panny od Wcielenia.

Podczas tych wydarzeń otrzymałam list od swojego skarbnika rabina Seneora, który zajmował się pożyczaniem pieniędzy na wojnę. Komitet Żydów kastylijskich chciał wykupić swoich pobratymców z Malagi. Po długim namyśle przyjął proponowane przez nich dwadzieścia tysięcy doblas i czterystu wychudzonych Żydów: kobiet i mężczyzn, odzyskało wolność.

Było ich stosunkowo niewiele, litość okazaliśmy ledwie garstce. Mimo wszystko bardzo mi na tym zależało.

Rozdział trzydziesty pierwszy



Znajdowaliśmy się co prawda niedaleko Grenady, ostatniego wspaniałego klejnotu w rozpadającym się mauretańskim diademie, gdzie za cynobrowymi ścianami Alhambry chował się Boabdil, ale nasi ludzie byli wyczerpani. Postanowiliśmy zatem wycofać się na zimę do Kastylii.

Z zagranicy zaczęły napływać listy z gratulacjami z powodu naszych niedawnych sukcesów. Nawet Francja, nasz odwieczny wróg, uznała za stosowne przysłać nam zestaw figurek świętych do nowo konsekrowanych kościołów. Na widok posążków Ferdynand prychnął:

– Oczywiście nie złote, tylko pozłacane. Francuzi nawet Bogu ofiarują bezwartościowe błyskotki.

Mnie i tak intrygowało to, że nagle zyskaliśmy bardzo wysoką rangę i moje dzieci zaczęły otrzymywać liczne propozycje małżeństw. Oprócz mariaży z Habsburgami, które już negocjowałam, nowy król Anglii Henryk VII – który, zabiwszy ostatniego Plantageneta, zapoczątkował dynastię Tudorów – usilnie zabiegał o zaręczenie którejś z moich córek z jego niedawno urodzonym synem Arturem. Dzięki takim aliansom stalibyśmy się potężniejsi, a Francję otoczyłaby sieć koligacji, która mogła doprowadzić zachłanny kraj do ruiny. Wszystkie propozycje musiały zostać wnikliwie rozpatrzone, trzeba było wysłać ambasadora na każdy z zagranicznych dworów oraz zwołać posiedzenie Rady Królewskiej. Nasz skarbiec jak zwykle świecił pustkami, więc wystarałam się o kolejną pożyczkę od Żydów z Walencji, dając im w zastaw kilka swoich klejnotów. Był to symboliczny depozyt, za który otrzymałam pieniądze niezbędne do wydawania na dworze wystawnych przyjęć. W ten sposób chciałam zaimponować posłom z zagranicy i przekonać ich o świetności naszego królestwa.

Nadal poświęcałam się także edukacji swoich dzieci i sama się kształciłam. Nie udało mi się jednak poczynić postępów, jakie sobie założyłam. Gdy dowiedziałam się od Cárdenasa o zdolnej uczoniej, którą nazywano la Latina, byłam zaintrygowana. Urodzona w rodzinie drobnych szlachciców Beatriz Galindo została przeznaczona do życia zakonnego. Od najwcześniejszych lat wykazywała się jednak takim talentem do czytania i łaciny, że zamiast do klasztoru wysłano ją na studia do Salerno, gdzie znajdował się jeden z nielicznych w Europie uniwersytetów przyjmujących kobiety. Po uzyskaniu dyplomów z łaciny i filozofii Galindo wróciła do Kastylii i objęła katedrę na uniwersytecie w Salamance – było to możliwe dzięki mojemu edyktowi otwierającemu niewiastom dostęp do studiów. La Latina była tak biegła w językach oraz retoryce i medycynie, że znacznie przewyższała innych wykładowców.

Postanowiłam wezwać ją na dwór.

Kiedy zjawiała się w moim gabinecie – drobna kobieta w skromnej sukni z brązowej wełny i białym lnianym czepku, który przykrywał jej włosy oraz podkreślał błękit łagodnych oczu i rumiane policzki – nie byłam w stanie ukryć zdumienia.

– Jesteś... taka młoda – powiedziałam, kiedy złożyła mi ukłon.

– Majestad, liczę sobie dwadzieścia wiosen. – Miała cichy, ale władczy głos, jakby nigdy nie musiała go podnosić, by zostać usłyszana. – Kiedy miałam dziewięć lat, oddano mnie do klasztoru, gdzie mogłam zostać już na stałe, gdyby przełożone nie zauważyły mojej miłości do nauki. Studiowałam w Salerno, ale odkąd zaczął obowiązywać wasz edykt, wróciłam, by

wykładać i uczyć się pod kierunkiem mojego patrona señora Antonia de Nebrii.

Musiałam wyglądać na zdziwioną, bo dodała:

– Don Antonio jest znany w wśród uczonych zarówno w kraju, jak i za granicą.

Opracowuje właśnie podręcznik gramatyki hiszpańskiej, który chce zadedykować Waszej Wysokości.

– Książkę o gramatyce języka hiszpańskiego? – zapytałam bezmyślnie, przyglądając się wypchanej skórzanej torbie, którą postawiła na podłodze obok mojego sekretarzyka. – Po co? Przecież znam nasz język.

– Wasza Wysokość, starożytni Rzymianie wykorzystali język do budowania imperium. Dzięki ich staraniom łacina tak się rozprzestrzeniła, że używamy jej do dziś. Czy tego samego nie można by zrobić z naszym językiem? Nasze królestwo na pewno zyskałoby na tym, że więcej ludzi potrafi czytać i pisać w rodzimym języku. Choć darzę łacinę najwyższym szacunkiem, wiem, że nie dla wszystkich jest przystępna.

Zamarłam. Nawet nie zadrżał jej głos, kiedy przypominała mi o mojej ignorancji. Nie czułam się jednak urażona – wiedziałam, że nie chce uczynić mi afrontu. Musiała zauważyć moje nieobecne spojrzenie, bo pokazując na wypchany bagaż, powiedziała:

– Wasza Wysokość życzy sobie zobaczyć?

Kiwnęłam głową. Kiedy podniosła skózaną torbę na blat i ją rozpięła, musiałam się powstrzymać, by nie zacząć radośnie klaskać. Czułam się jak dziecko podczas Epifanii. Beatriz Galindo przywiozła z Salamanki kufer pełen książek.

– To jest *De finibus* – powiedziała, podając mi cienki, oprawiony w skórę wolumin – ważny traktat o etyce autorstwa rzymskiego filozofa Cycerona. A to – dodała, sięgając po kolejną pięknie zdobioną książkę w oprawie z cielęcej skóry – jest *Carmen paschale*, oparty na Ewangeliach poemat epicki z V wieku pióra Seduliusza. – Zamilkła na moment. – Wielu twierdzi, że bezwstydnie naśladuje Wergiliusza, ale moim zdaniem jego interpretacja Biblii jest raczej odkrywcza. Pomyślałam, że możemy zacząć od niego, skoro Wasza Wysokość walczy w obronie wiary.

Kusiło mnie, by jak najszybciej zajrzeć do książek, ale na widok zadumanego spojrzenia uczonej ogarnął mnie wstyd.

– Te książki są po łacinie... Obawiam się, że nie dość dobrze ją znam. Uczylam się, kiedy czas na to pozwalał, ale nie zrobiłam dużych postępów. – Zaśmiałam się krótko i z zażenowaniem. – Jak mówiłaś, ten język nie jest dla mnie dość przystępny.

Poklepała mnie po ręce, jakbyśmy były najlepszymi przyjaciółkami.

– Wkrótce będzie – powiedziała. – Jeśli dostąpię najwyższego zaszczytu i będę mogła dawać lekcje Waszej Wysokości. Znam łacinę bardzo dobrze, stąd zresztą mój przydomek. – Uśmiechnęła się, tak że na jej policzkach powstały urocze dołeczki. – Być może w przyszłości najwspanialsze książki będą pisane po hiszpańsku, a Wasza Wysokość stanie się patronką naszego odrodzenia sztuk.

Lała miód na moje serce, bo bardzo pragnęłam zasłynąć jako opiekunka uczonych i artystów. Chciałam zostawić po sobie dziedzictwo, które wykraczałoby poza zwyczajne wojny. Choć walczyłam o polityczne i duchowe zjednoczenie Hiszpanii, wierzyłam, że prawdziwie wspaniałe królestwo, państwo, które ma przetrwać wieki, musi mieć u podstaw piśmienne, wykształcone społeczeństwo.

Podekscytowana i niemal bez tchu otwarłam książkę, a Beatriz Galindo przysunęła sobie krzesło i usiadła obok. Gdy kilka godzin później do gabinetu wszedł Ferdynand, popatrzył z zaciekawieniem na uczoną, która na jego widok pospiesznie wstała i się pokłoniła.

Kiedy mu wyjaśniłam, kim jest, i dodałam, że zgodziła się też zająć edukacją naszych

córek, mój mąż się uśmiechnął.

– Więc w końcu udało ci się znaleźć nauczycielkę niewiastę – powiedział.

Dał Beatriz znak, by się podniosła, zapalił dodatkowe świece – stwierdził, że możemy oślepnąć w tych ciemnościach – a potem ruszył do wyjścia, zostawiając nas z księgami. Jego pobłażliwy uśmiech mówił mi, że jest zadowolony. Wiedział, że dobrze wykształcona żona może przynieść pożytek królestwu.



Kolejne dwa lata upłynęły bardzo szybko. Cádiz, Medina-Sidonia i pozostali andaluzyjscy grandowie bronili granicy, odpierając liczne ataki mauretańskich najeźdźców. El Zagal, który uciekł z Malagi, zostawiając ją na pastwę losu, chciał teraz pomścić utratę miasta, nad którym niegdyś niepodzielnie panował. Jego działania tylko rozwścieczyły Ferdynanda, sprawiając, że mój mąż z jeszcze większą determinacją dążył do unicestwienia buntowniczego przywódcy.

Zgromadziwszy nowe siły i amunicję, wróciliśmy zatem na południe, by zrealizować kolejny etap naszego planu – zdobycie kontrolowanej przez el Zagala twierdzy Baeza.

Odizolowane przez górskie wąwozy i przepastne, porośnięte sadami doliny miasto było jednym z tych ośrodków, w których obecność Maurów była zakorzeniona najsilniej. Ich nienawiść wobec nas, podsycana przez lata niezmordowanej krucjaty, osiągnęła apogeum po upadku Malagi. Cádiz poinformował nas, że el Zagal dowiedział się o naszych planach i wysłał do Baezy swoje wojska. Miało tam na nas czekać dziesięć tysięcy jego najlepszych wojowników. Mieszkańcy zgromadzili zapasy na ponad rok, umocnili fortyfikacje i ogołocili okoliczne ziemie ze wszystkich plonów, tak że wokół Baezy zostały tylko puste sady, gęste kępy drzew, jeżynowe zarośla i wielkie paprocie, które utrudniały nam marsz. Poza tym miasto leżało na stromym zboczu, wśród zalesionych jarów i Cádiz ostrzegał, że oblężenie z pewnością będzie trudne i długie.

Już nieraz słyszeliśmy takie czarne przepowiednie, a potem odnosiliśmy zwycięstwa. Mimo to czułam się rozdarta, kiedy pełna obaw zęgnęłam Ferdynanda. Dowodził czterdziestoma trzema tysiącami żołnierzy, których miał zaprowadzić do doliny Gwadalkiwiru, rzeki nawadniającej sady Baezy. Przez pewien czas zostałam na dworze sama i znów musiałam polegać na posłańcach, by zdobyć wiadomości z pola bitwy. Stało przede mną jednak jeszcze trudniejsze zadanie – miałam przygotować ukochaną Izabelę do wyjazdu do Portugalii.

Opóźniałam go, jak długo mogłam, argumentując, że toczymy wojnę i borykamy się z brakiem pieniędzy, a Izabela jest jeszcze młoda i ciągle potrzebuje bliskości z rodziną. Zbliżały się jednak jej dwudzieste urodziny, a portugalski król zaczynał tracić cierpliwość. Ciotka Beatrycze napisała, że najlepiej przypieczętować naszą ugodę, zanim jakiś inny władca zaproponuje swoją kandydatkę na żonę dla infanta Alfonsa.

– Portugalia jest niedaleko – zapewniałam córkę przy pakowaniu jej rzeczy. – Będziemy mogli odwiedzać cię co roku, a nawet częściej.

– Tak, mamó – odpowiedziała.

Delikatnymi, pozbawionymi jakichkolwiek ozdób paluszkami – przed założeniem ślubnej obrączki nie mogła nosić żadnej biżuterii – starannie składała niezliczone koszule z haftem i koronkowymi wykończeniami, grube opończe i płaszcze z kapturem oraz wystawne suknie obszyte moim ulubionym gronostajem, które specjalnie dla niej zamówiłam. Na wyprawę ślubną

Izabeli wydałam fortunę, której nie miałam – zaciągnęłam kolejne pożyczki, by wyposażyć ją we wszystko, czego może potrzebować niezależnie od klimatu czy pory roku, jakby nie wyjeżdżała za sąsiednią granicę, tylko za ocean, do nieznanego kraju, którego mieszkańcom nie ufamy.

Miałam ściśnięte gardło i z trudem przełykałam ślinę, patrząc, z jakim spokojem moja córka przyjmuje swój los. Niezwykle skrupulatnie przygotowywałam się na ten dzień, ale na samą myśl, że wkrótce będzie z dała ode mnie, poślubiona księciu, którego nigdy nawet nie poznałam, robiło mi się słabo. Musiałam się powstrzymać, by nie wziąć jej w ramiona i już nie wypuszczać. Była pierwszą córką, z którą miałam się rozstać. Jak zniosę coś takiego jeszcze trzy razy?

Beatriz zdawała sobie sprawę, jak bardzo jestem strapiona. Stała u mego boku do samego końca, aż do ostatniego pożegnania na granicy między Hiszpanią a Portugalią, gdzie w akompaniamencie fanfar i łopotu sztandarów przekazałam Izabelę ciotce Beatrycze i jej świcie. Portugalczycy przysłali setki dwórek, szlachciców i urzędników, którzy mieli z należytą pompą zawieźć moją córkę do Lizbony, ale zgodnie ze starym zwyczajem przyszły mąż się nie pojawił, bo nie mógł eskortować narzeczonej.

Kiedy stojąc na targanej wiatrem równinie, przytulałam Izabelę, córka zapytała mnie z wahaniem:

– Myślisz, że będzie mnie tak kochał, jak tata kocha ciebie?

Po raz pierwszy dała wyraz strachowi, który dotychczas zasłaniała przed wszystkimi pogodną miną.

Wzięłam jej twarz w dłoń i wyszeptałam:

– Tak, hija mía, na pewno. Przrzekam.

Próbowała się uśmiechnąć. W tamtej chwili obiecałabym jej wszystko, żeby tylko przestała się bać, ale oczywiście nie mogłam przewidzieć, czy mąż obdarzy ją uczuciem, a ona o tym wiedziała. Ostatni raz spojrzała mi w oczy, po czym odwróciła się śmiało w stronę setek obcych, którzy na nią czekali. Następnie przeszła kilka kroków po trawie i znalazła się w swoim nowym królestwie.

Beatriz stała tuż obok i razem przyglądałyśmy się, jak moje dziecko znika w tłumie Portugalczyków. Otoczyli ją i zaprowadzili do klaczy, na której miała podróżować. Z Kastylii pozostały jej już tylko ubrania, które miała na sobie, i skrzynie z wyprawą ślubną.

Wracając do Sewilli, myślałam, że zaraz pęknie mi serce. Nie byłam w stanie wydusić z siebie ani słowa i milczeniem odpowiadałam na troskliwe pytania dwórek. Bałam się, że jeśli pozwolę sobie na jakikolwiek wyraz smutku, wybuchnę płaczem na oczach wszystkich. Przez kolejne dni tęskniłam za Izabelą po cichu, ogarnięta poczuciem bolesnej bezsilności. Nawet wgnieciona poduszka na parapecie w wykuszu, gdzie popołudniami lubiła razem ze mną czytać, dotkliwie przypominała mi o jej nieobecności. Pozostałe córki nadal były za małe, by zapełnić pustkę po Izabeli, natomiast czas i uwagę jedenastoletniego Jana pochłaniały książęce zajęcia, dzięki którym miał zmężnieć. Nawet pogoda odzwierciedlała mój nastrój – przez Andaluzję przetoczyła się fala rzadkich na południu ulew. Rzeki wylały, niszcząc zbiory i porywając całe wioski niczym domki z klocków.

Kilka miesięcy po wyjeździe Izabeli dostałam od Ferdynanda list spod Baezy.

Sytuacja jest rozpaczliwa. Miasto jest szatańsko odporne na nasze ataki, niewierni napadają nas w środku nocy i ulatniają się jak mgła, zostawiając trupy w kałużach krwi. Ulewy zamieniły nasz obóz w morze błota, tak że prawie nie da się rozbijać namiotów ani zadbać o te kilka koni, które nam jeszcze zostały. Od deszczu gnije pasza, tak jak wszystko inne w tym przeklętym miejscu. Kazałem naszym ludziom karczować połacie lasów i sadów, bo ziemia jest zbyt mokra, żeby można ją było podpalić, ale to praca na wiele miesięcy, a nam kończą się

zapasy. Istnieje ryzyko, że w obozie wybuchnie krwawa biegunka, bo Maurowie zatruli nam studnie, wrzucając do nich trupy. Zdychają nam konie, a morale jest tak niskie, że wielu żołnierzy zapowiada dezercję. Twierdzą, że Bóg się od nas odwrócił...

Wezwałam Radę Królewską.

– Musimy natychmiast wysłać posiłki królowi i jego armii. Potrzebują bydła, broni, medykamentów i prowiantu. Maurowie mają w Baezie zaopatrzenie na kilka miesięcy, więc nie możemy liczyć na to, że głód skłoni ich do kapitulacji. Jeśli chcemy wygrać, nam też nie może niczego zabraknąć.

Rada przyjęła moją deklarację w ponurej ciszy. W końcu przerwał ją kardynał de Mendoza.

– Majestad, na przygotowanie ekspedycji Jego Wysokości przeznaczylismy już wszystko, co mieliśmy. Biorąc jeszcze pod uwagę niedawne wydatki na wyprawę infantki Izabeli... obawiam się, że już nic nie zostało.

– Nic? – powtórzyłam z niedowierzaniem. – Jak mam to rozumieć?

– Dosłownie: w skarbcu nie ma wystarczających funduszy na pokrycie waszych potrzeb.

– Niemożliwe! – wykrzyknęłam, nie chcąc dać wiary jego słowom.

Na widok posępnych twarzy siedzących wokół stołu doradców z żalu zakłuło mnie serce. Zdawałam sobie sprawę, że nie poskąpiłam na wiano Izabeli – córka bardzo mnie frasowała i w ogóle nie dopuszczałam do siebie myśli, że Baeza może tak długo nam się opierać.

– Ale na pewno jest coś, co możemy zrobić – powiedziałam do de Mendozy.

Kardynał westchnął.

– Zawsze istnieje możliwość podniesienia podatków, ale szlachta niechybnie będzie się buntować, a wszelkie podwyżki i tak muszą uzyskać zgodę kortezów...

– To się będzie ciągnąć miesiącami! Mam zostawić króla i armię pod Baezą zupełnie bez pomocy, błagać szlachtę o wsparcie i czekać, aż kortezy się zdecydują? Mości panowie, od królewskich doradców oczekuję lepszej rady.

Nikt się nie odezwał, ale ich spuszczone oczy i rzucane na boki spojrzenia były dla mnie wystarczającą odpowiedzią. Nie mieli nic do zaproponowania.

– Dobrze – oświadczyłam. – W takim razie zadecyduję sama.

Skinęłam ręką, żeby wyszli, rozczarowana ich zupełnym brakiem inicjatywy.

Nie podniosłam nawet oczu, kiedy pospiesznie opuszczali komnatę. Kiedy w końcu uniosłam głowę, napotkałam stalowe spojrzenie de Mendozy. Sześćdziesięciokilkuletni kardynał zrobił się śniady i żylasty, bo brał bezpośredni udział w krucjacie – wiele razy wiódł nawet oddział swoich wasali do ataku. Stał się moim przewodnikiem w rządzeniu Kastylią – z pasją traktował kwestie architektury i edukacji, ale też z oddaniem nadzorował nasze nowe Święte Oficjum. Tak jak ja pragnął, by zjednoczona Hiszpania stała się potęgą na miarę innych europejskich królestw, wspinałym państwem, którego sława niosłaby się szeroko, a wszystkie narody zabiegałyby o jego względy.

– Wiem, co sobie Wasza Wysokość myśli – powiedział. – I błagam, nawet się nad tym nie zastanawiajcie. Zbyt wiele już razy uciekaliście się do tego rozwiązania. Oni i tak kontrolują już Iwιά część waszego majątku. Czy żeby wygrać tę wojnę, Wasza Wysokość zamierza oddać Żydom całe królestwo?

– Wiecie, że zastawiłabym nawet własną koszulę, gdyby to było konieczne.

– Nie możecie tak postępować. – Kardynał zbliżył się do mnie. – Torquemada obserwuje każdy wasz krok. Już raz Wasza Wysokość mu odmówiła, kiedy postulował wypędzenie Żydów. Jak tylko rekonkwista dobiegnie końca, ponowi prośbę. Wasza Wysokość nie może dać im nad sobą takiej władzy, że będą w stanie stawiać opór.

– Rekonkwista jeszcze się nie skończyła – odparłam. – A jeśli rada nie potrafi mi pomóc, nie mam wyjścia. Przekażcie rabinowi Seneorowi, że chcę się z nim widzieć.

– Majestad, zaklinam was. Co jeszcze macie do zastawienia?

– Lepiej, żeby Ekscelencja nie wiedział, skoro tak was to martwi – odpowiedziałam, spoglądając znacząco na drzwi.

De Mendoza wyszedł bez słowa. Kiedy czekałam na rabina, zajrzała do mnie Inés, żeby zapytać, czy czegoś mi nie trzeba.

– Tak, przynieś mi szkatułkę ze ślubnym naszyjnikiem.

Przyglądała mi się zaskoczona, aż w końcu cmoknęłam ze zniecierpliwieniem.

– Mam ci powtórzyć? Zrób, co każę. Natychmiast.

Gdy spełniła polecenie, podniosłam wieczko kasetki i długo patrzyłam na okazały naszyjnik z rubinami i perłami, który Ferdynand przysłał mi przed ślubem z Aragonii. Paradowałam w nim wiele razy, ku zazdrości całego dworu. Był namacalnym symbolem naszej miłości, i, po koronie, najcenniejszą rzeczą, jaką posiadałam.

Zdecydowanym ruchem zatrasnęłam szkatułkę i zamknęłam oczy.

– Panie, niech moje poświęcenie godne będzie twego boskiego wspomnienia – wyszeptalam.

Jeszcze tego samego wieczoru powierzyłam szkatułkę rabinowi Seneorowi na przechowanie w zamian za pokaźną osobistą pożyczkę. Potem zebrałam swoją świtę i następnego ranka mimo gwałtownej burzy bezzwłocznie ruszyliśmy do Baezy.

Lepkie błoto w wąwozach usuwało się spod końskich kopyt, a na niektórych odcinkach drogi były całkowicie zrujnowane, tak że musieliśmy budować tymczasowe mosty nad rwącymi potokami. Kiedy kuliłam się w siodle i mrużyłam oczy przed siekącym deszczem i śniegiem, sama zaczynałam wątpić, czy Bóg nadal jest po naszej stronie. Nigdy wcześniej nie widziałam większej nędzy niż ta zastana w obozie pod Baezą.

Ferdynand, który wyszedł z namiotu, by nas powitać, był wychudzony i zablocony, a pod oczami miał ciemne sińce, świadczące o bezsennych nocach. Panujący wokół niego bezład odzwierciedlał rozpaczliwą sytuację, w której znalazła się nasza armia: garstka koni, która się jeszcze ostała, była pokaleczona i koścista; zagrody dla bydła były zupełnie zniszczone i puste; cały obóz tonął w błocie i gnoju, w których brodzili półnaczy mężczyźni o apatycznych twarzach, podczas gdy reszta kuciała na widoku i opróżniała trzewia z krwawej mazi. Zaatakował mnie odór rozkładu, powietrze przesycala zgniła woń śmierci.

Kiedy mąż pocałował mnie na powitanie i oprowadził po obozie, zdałam sobie sprawę, że była to najgorsza sytuacja, jakiej kiedykolwiek przyszło nam sprostać. Straciliśmy ponad połowę armii, reszta żołnierzy albo była chora, albo powoli umierała na biegunkę. Gdy odwiedzałam zatłoczone infirmerie z długimi rzędami zawszonych, prymitywnych posłań, leżący na nich mężczyźni podnosili wzrok i łkali jak dzieci.

Tamtego wieczoru powiedziałam Ferdynandowi, że wystarałam się o dodatkowe pieniądze.

– Przywieziemy ziarno i wykopujemy nowe studnie – pocieszałam. – Odbudujemy podmyte drogi i zwerbujemy wszystkich Andaluzyjczyków. Jeśli będzie trzeba, możemy posłać do Kastylii po nowych rekrutów i zebrać dodatkowe fundusze. Nie poddamy się. – Sięgnęłam przez stół i chwyciłam go za rękę. – Nigdy.

– Twoja siła jak zwykle przynosi nadzieję – odparł. – Ale nadzieja nie zdobędzie tego miasta, mi luna. Zbliża się zima. Jak mamy ją przetrwać? Kiedyś radziłaś mi, żebym wycofał się spod Malagi, a ja odmówiłem. Obawiam się, że teraz to ja muszę wybrać odwrot.

Jeszcze nigdy nie był tak przygnębiony, sprawiał wrażenie człowieka, z którego ktoś

wyszał wszystkie siły. Wtedy zrozumiałam, że wyczerpał swoje pozornie nieskończone rezerwy – miał trzydzieści siedem lat, a w tym wieku większość królów zbiera już plony swoich wcześniejszych zwycięstw. Przez cały okres naszego małżeństwa zaznał tylko kilku miesięcy pokoju – zawsze był na wojnie albo się do niej przygotowywał. Teraz siedział zniechęcony i zmęczony wojną, obwiniając się o klęskę naszego marzenia o zjednoczeniu całej Hiszpanii.

– Nie – powiedziałam cicho – nadzieja nie zdobędzie tego miasta. Ale my tak. Musimy to zrobić. Już tyle osiągnęliśmy. Zostaw to mnie.

Westchnął i pokiwał głową.

– Jeśli ktokolwiek może podbić Baezę, to właśnie ty, mi luna.

Nie sądziłam, że kiedyś usłyszę z jego ust takie słowa. Co prawda w głębi duszy wiedziałam, że docenia i podziwia mój hart ducha, ale nie spodziewałam się, że powierzy mi tak ważne zadanie jak oblężenie miasta. Gdyby mi się nie udało, najprawdopodobniej cała krucjata zakończyłaby się klęską. Oznaczałoby to kolejne dziesięć lat drobnych utarczek, długich oblężeń i nierozstrzygniętych bitew. Wiosną i latem za cenę krwi, potu i złota wydzielalibyśmy Maurom to, co zagarnęli zimą. W końcu wyczerpałyby się nam fundusze, a nowych źródeł już nie dałoby się znaleźć – papież i katoliccy monarchowie Europy chcieli, by niewierni zostali pokonani i wypchnięci za Gibraltar, ale nikt nie kwapił się do finansowania krucjaty.

Zdobycie Baezy było niezbędnym preludium do podboju Grenady. Miałam pewien pomysł, jak tego dokonać, który, choć ryzykowny, mógł się powieść.

Zostawiłam Ferdynanda, by kilka dni odpoczął, a sama spotkałam się z naszymi dowódcami w celu omówienia sytuacji. Choć brakowało nam niemal wszystkiego, zauważyłam, że mamy pod dostatkiem drewna – zostało po wcześniejszych próbach wykarczowania lasu odgradzającego nasz obóz od miasta. Wymyśliłam, że zbierzemy to drewno i zgromadzimy dodatkowe, a w tym czasie sprowadzę zapasy i specjalistów doświadczonych w zdobywaniu upartych cytadeli.

Zebrałam zdolnych do pracy żołnierzy i kazałam im wyrąbać wszystko, co się dało. Wcześniej wycięli część lasu wokół obozowiska, tworząc labiryntową ścieżkę do zuchwałego miasta na wzgórzu, ale oszczędzili drzewa owocowe, bo nadal byliśmy narodem pamiętającym głód. Teraz kazałam im wyciąć każdziuteńkie drzewko, spalić i zrównać z ziemią wszystko bez wyjątku, tak by oczyścić duże połacie ziemi. Z uzyskanego drewna kazałam wznieść palisady, wysokie mury i wieże – w ten sposób powstał nowy fort, rywal Baezy, stojący w wykarczowanej dolinie jak ogromny muchomor.

To w nim okopaliśmy się na zimę, a fortyfikacje chroniły nas przed napadami Maurów. Chociaż padał śnieg i było za zimno na bezpośrednią walkę, nie pozwoliłam, aby pogoda pokrzyżowała mi plany. Kupione za pieniądze z naszyjnika bydło, prowiant, działa i maszyny oblężnicze kazałam przewieźć w krytych woskowanym płótnem wozach przez zdradzieckie przełęcze. Wiosną na oczach zdumionej Baezy mieliśmy zmontować nasz oblężniczy arsenał.

– Potrzeba nam więcej ludzi, szczególnie arkebuzerów, kanonierów i łuczników – stwierdził Ferdynand, który już nieco wydobrzał i pomagał odtwarzać naszą armię z typową dla siebie dbałością o szczegóły.

– Już po nich posłałam – zapewniłam. – Choć mam nadzieję, że nie będą potrzebni.

Podeszłam do swojego przenośnego pulpitu i ze sterty dokumentów podniosłam list, który wręczyłam mężowi. Pisanie go zajęło mi sześć tygodni, mozoliłam się na każdym słowem, każdym zwrotem, aż miałam pewność, że wszystko jest jak należy.

Ferdynand przeczytał list w całkowitej ciszy, a potem podniósł wzrok.

– Izabelo, to, co proponujesz – zaczął ostrożnie – to najzwyczajniejsza zdrada. Owszem, Boabdil to bezbożnik, honoru ma tyle co pospolity kundel, ale nawet on nie zgodzi się na te

warunki. Nie by na tym nie skorzystał, oferujesz mu tylko zachowanie życia, a o nie się teraz nie obawia.

– Czyżby? – Spojrzałam mu w oczy. – Przecież już raz się nam sprzedał, prawda? Nie jest aż takim głupcem, by się nie zorientować, że w końcu znów do niego przyjdziemy, albo z propozycją układu, albo z wojskiem szturmującym jego bramy. Kiedy zdobędziemy Baezę, już nie będzie miał z kim nas zdradzić. Uważam, że w tej sytuacji moja oferta jest całkiem rozsądna.

– Rozsądna? – zaśmiał się Ferdynand. – Chcesz, żeby wyrzekł się wszystkiego i obrócił przeciwko swoim pobratymcom. Jeśli na to przystanie, jest jeszcze podlejszym tchórzem, niż sądziłem. – Zamilkł, a po chwili na jego twarzy pojawił się pełen podziwu uśmiech. – Nie wiedziałem, że stać cię na coś takiego.

– Kiedy chodzi o nasze królestwo, to stać mnie na wiele więcej.

List wysłałam do Grenady potajemnie. Nie czekaliśmy długo na odpowiedź – już po kilku tygodniach moi posłowie przynieśli wiadomość, że, tak jak się spodziewałam, Boabdil ochoczo przystał na moje warunki. Po otrzymaniu pisemnego potwierdzenia wystosowałam list do el Zagala. Wiedziałałam, że utrzymuje on szpiegów w Grenadzie i ze swojej cytadeli bacznie obserwuje wszystkie moje poczynania. Był jednak bezsilny, nie mógł w żaden sposób na mnie wpłynąć.

Propozycja, którą mu złożyłam, była prosta – jeżeli nie chce kolejnej druzgocącej porażki, takiej jak ta w Maladze, musi się poddać. Ostrzegłam go, że jeśli odmówi, tym razem nie okazemy litości – każę swoim ludziom zrównać Baezę z ziemią, zabić wszystkich mieszkańców, a zgliszczą posypać solą. Jeśli jednak przyjmie moją ofertę, będę litościwa. Oszczędzę go i pozwolę mu zamieszkać w Alpuharze, gdzie w wyznaczonej mu domenie będzie mógł żyć ze swoimi ludźmi w pokoju i bez przeszkód praktykować swoje zwyczaje. Dodałam, że zapewne zdaje już sobie sprawę, iż ostateczne zwycięstwo będzie nasze – nie ustąpimy, nawet gdyby miało nam to zająć całe życie. Z satysfakcją wspominałam też, że jego bratanek Boabdil nie ruszy mu z pomocą, a na dowód załączyłam podpisany duplikat nowego traktatu z tym zdrajcą. Widniało w nim zobowiązanie, że kiedy el Zagal zostanie pokonany, Boabdil odda nam wszystkie swoje włości w zamian za gwarancję bezpieczeństwa.

Na odpowiedź czekałam miesiąc, podczas którego nasi ludzie zgromadzili całą broń pod murami Baezy i wykarczowali resztę wspaniałego lasu. W końcu przyszła wiadomość od el Zagala.

Był już zmęczony wojną. Dziękował mi za propozycję, ale wolał wyjechać do Afryki Północnej. W kwestii swojego bratanka napisał tylko:

„Niech Grenada upadnie”.



Pierwszy raz ujrzeliśmy Grenadę wiosną 1491 roku, po tym jak zniszczyliśmy wszystkie okoliczne vega*. Znów rozkazałam potraktować sady, pola pszenicy i gaje oliwne kosami oraz ogniem, tak by pozbawić uwięzionych mieszkańców wszelkich źródeł pożywienia.

Choć otaczała je pogorzelnisko, jeszcze nigdy żadne miasto nie wydawało nam się tak piękne jak ta rozległa metropolia, którą od niepamiętnych czasów pragnęliśmy zdobyć – naszym oczom ukazała się bajeczna twierdza na tle ośnieżonych pasm górskich. Nad jej murami wyrastały miodowe wieże Alhambry w girlandach z cyprysów i sosen. Wewnątrz, w labiryntach wąskich uliczek, tłoczyły się tysiące uchodźców, Żydów, Maurów i fałszywych przechrztów,

którzy w Grenadzie schronili się przed naszą krucjatą.

Boabdil w ostatniej chwili odstąpił od naszej ugody – kiedy usłyszał o upadku Baezy, musiał stawić czoła brutalnej rzeczywistości. Najwyraźniej nie spodziewał się kapitulacji wuja. Pospiesznie poobsadzał mury załogą i przysiągł, że będzie bronił Grenady do ostatniego tchu. Byłam oburzona, że tak rażąco lekceważy uzgodnione warunki, ale ponieważ skrawki niegdyś potężnego mauretańskiego emiratu leżały nam teraz u stóp, uznaliśmy z Ferdynandem, że nasze ostatnie zwycięstwo musi być bezkrwawe. Przyszedł czas, by granatowiec sam, bez przymusu oddał nam swoje owoce. Rozłożyliśmy zatem jedwabne namioty, jakbyśmy byli na wakacjach, i przywieźliśmy dzieci, by mogły oglądać to przełomowe wydarzenie.

Naszą rodzinę dotknęło nieszczęście – ledwie dziewięć miesięcy po ślubie mąż Izabeli, młody portugalski książę, zmarł tragicznie po upadku z konia, a ona wróciła do nas jako wdowa. Wyjechałam po nią aż na granicę i byłam zaskoczona, jak bardzo się zmieniła. Była chuda jak patyk, nosiła czarną wdowią suknię, a piękne włosy miała zgolone do samej głowy. Nieustannie albo szlochała, albo deklarowała chęć wstąpienia do klasztoru. Ku mojemu przerażeniu twierdziła, że Bóg musi chcieć ją dla siebie, skoro tak ją doświadcza. Próbowałam ją przekonać, że choć niektórzy rzeczywiście dostają od Pana powołanie do służby wyłącznie jemu, jej reakcja wydaje mi się odpowiedzią na bezbrzeżny smutek. Moje słowa w ogóle jednak do niej nie trafiały. Nie chciała żadnej pociechy. Musiałam nawet zatrudnić medyka i wyznaczyć służących, którzy mieli dbać o to, by jadła i spała, a także ograniczać czas spędzany przez nią na klęczkach w kaplicy.

Kiedy zostawałam w komnacie z dwórkami, dzieliłam się z nimi swoim rozczarowaniem:

– Wysłałam do Portugalii złotą infantkę, a z powrotem dostałam czarną zjawę! Co jej się tam stało? To, że moja córka chce ofiarować się Bogu, jest godne pochwały, ale ona ma rolę do spełnienia na tym świecie. Klasztor nie jest jej przeznaczeniem.

Inés westchnęła smutno.

– Biedaczka musiała bardzo kochać tego księcia.

Beatriz popatrzyła na mnie, a w jej oczach wyczytałam swoje własne głęboko skrywane obawy. Izabela zachowywała się tak jak moja matka, była melancholijna i miała skłonności do dramatyzowania. Przerażało mnie to.

Postanowiłam podjąć zdecydowane kroki – zakazałam jakichkolwiek rozmów o klasztorach, nawet jeśli były one dla mojej najstarszej córki pociechą. Posłuchali mnie wszyscy z wyjątkiem Joanny, która jak zwykle bezlitośnie dręczyła Izabelę. Jedenastoletnia Joanna nie pozwalała sobie na słabość i nie tolerowała jej u innych.

– Wyglądasz jak wrona – stwierdziła moja druga córka, kiedy pewnego wieczoru siedzieliśmy po kolacji w dużym namiocie, do którego wpadał ciepły wiatr.

Na łąkach wokół Grenady błyszcząły ogniska, jakby z nieba spadło tysiąc gwiazd. Nasi żołnierze przygotowywali się właśnie do snu.

– Ciągłe ubierasz się na czarno i użalasz się nad sobą – ciągnęła. – To przesada. W końcu nie byliście małżeństwem nawet rok. Niemożliwe, żebyś aż tak bardzo go kochała.

Izabela zeszytywniała, zaciskając palce na obrusie ołtarzowym, który właśnie wyszywała.

– A kim ty jesteś, żeby to osądzać? Co ty wiesz o miłości czy o stracie, rozpuszczony bachorze?

– Może i jestem rozpuszczona – odparła Joanna – ale przynajmniej wiem, że nigdy nie będę kochać nikogo tak, żeby zatracić samą siebie.

Izabela wydała oburzony okrzyk, a ja powiedziałam ostro:

– Dość tego. Koniec tych zwad. Jeśli już musicie się kłócić, nie róbcie tego w mojej obecności. – Spojrzałam na nie z naganą. – Co was napadło?

Izabela odwróciła wzrok, Joanna wystawiła język. Odłożyłam robótkę. Nie byłam zwolenniczką kar cielesnych, ale zuchwałość Joanny przekroczyła wszelkie granice. Już miałam ją uderzyć, kiedy nagle zamarłam.

– Co to za zapach? Dym? – spytałam.

Joanna poderwała się, zrzucając na ziemię poplątane nici, i podbiegła do drzwi namiotu.

– Mamo, zobacz! – krzyknęła. – Obóz się pali!

Rozpętało się istne pandemonium. Guwernantki i damy dworu pospieszyły w głąb wielkiego namiotu, by zabrać Katarzynę i Marię, które tam spały, ja natomiast ze starszymi córkami wybiegłam na zewnątrz. Z przerażeniem patrzyłam, jak płomienie przeskakują z namiotu na namiot niczym zwinne diablęta, podpalając aksamity, jedwabie i brokaty. W kilka minut trawiły wszystko, co napotkały na swojej drodze. Wokół słychać było krzyki dworzan i żołnierzy oraz ujadanie psów. Przestraszone konie rżały, zrywały się z postronków i w panice puszczały się galopem na oślep. Nie wiedziałam, dokąd mam iść. Dym był już tak gęsty, że oddychanie przychodziło mi z trudem. Nagle jakby spod ziemi wyrósł markiz de Cádiz, cały w sadzy.

– Majestad, proszę za mną, szybko!

– Gdzie mój mąż i syn? – zawołałam, kiedy przeprowadzał mnie przez płonące obozowisko w stronę pobliskiego wzgórza, które mogło nam dać schronienie.

– Są bezpieczni – odpowiedział. – Pożar zaczął się w moim namiocie, gdzie spali, ale zdołali w porę uciec. Ogary króla zaczęły szczebrać, jak tylko zobaczyły płomienie.

– Gracias a Dios.

Przytuliłam mocniej Katarzynę. W rozświetlającym ciemność blasku pożogi zobaczyłam twarz Joanny. Moja córka była blada, miała szeroko otwarte oczy i usta – na jej obliczu malowało się coś na kształt radości, jakby całą katastrofę zorganizowano wyłącznie ku jej uciesze. Nie mogłam w to uwierzyć. Czyżby nie miała w sobie ani krzty strachu, nie zdawała sobie sprawy ze skali zniszczeń, z tragedii, która działa się na naszych oczach?

Jakby czytając mi w myślach, Izabela wyszeptała:

– Ją to nie obchodzi. Myśli, że to zabawa. Ona niczego nie szanuje.

Uciszyłam ją. Niosłam na rękach Katarzynę, Beatriz prowadziła Marię i w ten sposób dotarliśmy na szczyt wzgórza, z którego rozciągał się przerażający widok na gorejący obóz. Z ciemności wynurzył się Ferdynand, a tuż za nim jego wierne ogary. Nieopodal zauważyłam naszego syna, ciągle jeszcze w koszuli nocnej, dzierzącego miecz w wysadzanej klejnotami pochwie. Z okazji trzynastych urodzin został niedawno pasowany na rycerza i nawet w łóżu nie rozstawał się z bronią. Kiedy zobaczyłam Jana, jego potargane jasnozłote włosy i wysmarowaną sadzą twarz, a potem zdałam sobie sprawę, że nic mu nie jest, do oczu napłynęły mi łzy ulgi.

Joanna rzuciła się w objęcia ojca. Ferdynand otoczył ją ramieniem, a potem przyciągnął nas wszystkich do siebie i razem przyglądaliśmy się, jak płonie nasze wielkie aksamitne miasto. Kaprys losu spowodował, że dowód naszej pychy spalił się doszczętnie.

Później Joanna upierała się, że to Maurowie musieli posłać do obozu płonąca strzałę, która zapoczątkowała pożar, choć skruszony Cádiz zapewniał, że ktoś, być może jeden z psów, przewrócił lampkę oliwną, od której zajął się jego namiot. Jakakolwiek byłaby przyczyna pożaru, straciliśmy w nim wszystkie rzeczy, łącznie z ubraniami. Zamówiłam nowe z Sewilli, a tymczasem suknie i inne szaty musiałyśmy pożyczać od dwórek.

Mieszkańcy Grenady stali na murach i głośno z nas szydzili. Najwyraźniej uważali, że pożar będzie naszą zgubą, ale my się nie zniechęcaliśmy. Obóz być może obrócił się w popiół, ale determinacji nie straciliśmy. Na zgliszczach kazałam wybudować nowe miasto, tym razem z kamienia. Postanowiliśmy nazwać je Santa Fe, na cześć świętej wiary, która ocaliła nas od

śmierci w płomieniach i pozwoliła znaleźć bezpieczne schronienie.

Na widok naszych kamieniarzy przy pracy mieszkańcy Grenady przestali nam ubliżać. Santa Fe nie było tylko miastem – stanowiło też deklarację naszej niezłomności. Jeśli zaszłaby taka potrzeba, moglibyśmy latami mieszkać na tym skrawku Andaluzji nieskażonym obecnością Maurów. W odpowiedzi Boabdil ostrzeliwał nas z armat i przysyłał ludzi do nękania naszych żołnierzy. Jednakże wraz z nadejściem zimy w Grenadzie pojawił się głód i mieszkańcy zaczęli się buntować. Ich desperacja i wściekłość tak przybrały na sile, że Boabdil nie miał wyjścia i musiał przystać na proponowane przez nas warunki – jego ludzie mieli zostać objęci pełną amnestią oraz zachować prawo do kulturowania swoich zwyczajów, używania rodzimego języka i noszenia tradycyjnych strojów. Obiecaliśmy, że tym, którzy zechcą wyjechać, nie będą stawiane żadne przeszkody, zapewnimy im nawet transport; tych, którzy zdecydują się nawrócić, chętnie przyjmujemy do naszego Kościoła, a chrzest święty zmyje ich winy. Ponadto jako nasz wasal Boabdil dostanie tę samą domenę w Alpuharze, którą wcześniej odrzucił jego wuj el Zagal. Pod żadnym pozorem nie będzie jednak mógł wrócić do Grenady. Pod tym względem byłam nieugięta.

W styczniu 1492 roku posłowie Boabdila dostarczyli nam akt kapitulacji.

Kiedy wkraczaliśmy do upadłego miasta, ostatniego bastionu Maurów, prószył drobny, przypominający pył śnieg. Mieszkańcy stali wzdłuż drogi w pełnej napięcia ciszy i przyglądali się, jak herbowe sztandary naszej szlachty łopoczą na mroźnym wietrze. Wielu naszych dworzan włożyło tradycyjne haftowane kaftany w stylu mauretańskim na znak szacunku dla wspaniałej cywilizacji, która zostawiła na tych ziemiach trwałe ślad. Od czasu do czasu dobiegał nas lament niewidocznej kobiety, która zza witrażowego okna obserwowała nasze wojska – Maurowie zdawali sobie zatem sprawę, że świat, który znali, przestał istnieć.

Kapitulację przyjęliśmy przy bramach Grenady z rąk Boabdila, który padł przed nami na kolana. Ferdynand zsiadł z konia i objął go jako swego wasala. Teraz, po tryumfalnym zwycięstwie, mogliśmy pozwolić sobie na wielkoduszność.

Ręce Boabdila drżały, a w oczach miał łzy, kiedy przekazywał nam klucze do miasta.

– Tyle pozostało z naszego imperium – powiedział łamiącym się głosem. – Wasze są odtąd zdobyte przez nas skarby, nasze królestwo i my sami. Taka jest wola Allaha.

Za nim na pięknym arabskim rumaku siedziała krępa kobieta opatulona czarną szatą i welonem. Z jej obwiedzionych kohlem oczu wзираła nienawiść. Miałam wokół siebie swoje córki, wszystkie ubrane w nowe szaty z brokatu i z zasłoniętymi na modłę mauretańską twarzami, choć zafascynowana całym wydarzeniem Joanna zdążyła już podnieść welon, żeby lepiej widzieć. Spojrzawszy na kobietę w czerni, wiedziałam od razu, że to sułtanka, matka Boabdila, która z ogromną determinacją broniła swojego syna. W jej zadziornym spojrzeniu odnajdywałam zupełnie bezpodstawną dumę. Nie miałam wątpliwości, że to ona przysłała do mojego namiotu zabójcę i własnoręcznie zatrąła sztylet.

Kiedy odjeżdżała razem z synem, odwróciła się i po raz ostatni zmierzyła mnie wzrokiem. W jej oczach nie było rozpaczy ani skruchy, wyłącznie wściekłość, że udało mi się coś, w czym ona poniosła klęskę.

Biegając pod górę drogą ruszyliśmy do Alhambry. Gdy zbliżaliśmy się do sławetnego pałacu, wzniesionego na krwi i legendach, pochyliłam się w siodle i miałam ogromną ochotę puścić się galopem wprost do ogromnej cynobrowej bramy. Byłam jednak królową, a nie zuchwałą młodą infantką jak Joanna. Z wiekiem zrobiłam się tęższa, podobnie jak mój posunięty w latach Canela, który już dawno przestał mi służyć. Tego dnia jednak znów dosiadłam ukochanego ogiera, którego grzbiet pokrywał rząd haftowany złotą nicią. Choć towarzyszący mi od samego początku Canela nie był już tak silny i rączy jak za młodu, unosił wysoko dropiaty łeb

i szedł żwawo, jakby rozumiał wagę wydarzenia.

Naszym oczom ukazał się pałac położony na płaskowyżu. Jego miodowe mury zdawały się przyglądać nam z wyrzutem. Ci sami architekci, którzy wybudowali Alhambrę, na zlecenie jednego z moich przodków wzniesli też alkazar w Sewilli. Stosowali się przy tym do arabskiego zwyczaju, zgodnie z którym władcy nie mogą afiszować się z bogactwem, żeby nie wzbudzać zazdrości. Wiedziałam, że za skromnymi murami kryją się niezrównane skarby – alabastrowe komnaty ze sztukaterią i koronkowymi łukami; wspaniałe dziedzińce i arkady; kolumny zgrabne jak tancerki; pełne nenufarów sadzawki, w których odbijało się błękitne niebo, nadając marmurowi ścian lazurowy odcień; ogrody z różami, lawendą i jaśminem, których woń przesycała cały pałac, oraz sale o cedrowych sklepieniach, chłodzone zmysłnymi bagdhirami i oświetlane słońcem wpadającym przez umieszczone pod sufitem otwory.

Choć o tym wszystkim wiedziałam, nawet ja nie byłam przygotowana na wspaniałość i ogrom opuszczonego pałacu. Otomany i pikowane poduszki leżały w nieładzie, jakby siedzący na nich ludzie przed chwilą poderwali się do ucieczki, a zapach kadzideł unosił się w powietrzu jak przejmujący lament.

Urzeczona Joanna biegała na paluszkach po pałacu, ciągnąc za sobą małą Katarzynę. Potem wymyślała niestworzone historie o konkubinach wyskakujących z wież i mściwych duchach zmarłych kalifów. Mnie jednak, gdy przemierzaliśmy niekończący się ciąg pokojów, w których promienie zimowego słońca odbijały się od fajansowych płytek, najbardziej uderzyła cisza – była tak absolutna, że słyszałam bicie swojego serca i stukot obcasów o marmurowe posadzki.

Miało się wrażenie, że nikt nigdy tu nie mieszkał. Po burzliwych wiekach wspaniałości i wojennej chwały potężni Maurowie przestali istnieć.

Na zewnątrz na szczycie pałacu nasi ludzie umieścili krzyż z kutego srebra. Rozległy się wystrzały armatnie, a po nich krzyki heroldów:

– Grenada! Grenada dla naszych władców, króla Ferdynanda i królowej Izabeli!

Ferdynand chwycił mnie za rękę. Jego dłoń była szorstka, pokryta odciskami od miecza. Kiedy spojrzałam na męża, w jego oczach zobaczyłam pasję.

– Udało nam się, mi luna – powiedział. – Zwyciężyliśmy. Hiszpania jest nasza.

Uklękliśmy razem, by podziękować Bogu.

A zatem stało się.

* Vega (hiszp.) – łąki, tereny zielone (przyp. tłum.).

Rozdział trzydziesty drugi



Listy z gratulacjami zaczęły płynąć do nas ze wszystkich ważniejszych dworów Europy. W Rzymie nowo wybrany papież Rodrigo Borgia, który przybrał imię Aleksander VI, poprowadził specjalną procesję i odprawił w naszej intencji mszę w Bazylice Świętego Piotra w Rzymie. Nadał nam też honorowy tytuł królów katolickich i obrońców wiary.

Choć cieszyły mnie te wyrazy uznania, chciałam jak najszybciej wrócić do normalnego życia. Dekada wojen dobiegła końca i przyszedł czas, by zacząć uzdrawiać i jednoczyć nasz kraj, zatroszczyć się o przyszłość infantów i pracować ku chwale Kościoła. Rezydując wygodnie w Alhambrze, postanowiłam najpierw zająć się dziećmi. Musiały koniecznie wrócić do przerwanych studiów, by przygotować się do zadań, jakie pewnego dnia przyjdzie im wypełniać.

Ścisłego nadzoru wymagała przede wszystkim Joanna. Buntownicza natura i zamiłowanie do ekscentrycznych wycieczek do ogrodów, gdzie zaciągała małą Katarzynę, przyćmiewały jej imponujące postępy w nauce. Izabela też przysparzała mi zmartwień – wyszła już z najcięższej żałoby, ale nadal utrzymywała, że ma powołanie do życia zakonnego. Nie chciała słyszeć o kolejnym małżeństwie, choć Portugalia przedstawiła jej kolejnego kandydata w osobie wuja zmarłego męża.

María natomiast okazała się balsamem dla mojej zbolącej duszy – była spokojnym dzieckiem, które ani nie odnosiło spektakularnych sukcesów, ani nie ponosiło sromotnych porażek. Ukochanego Jana otoczyłam szczególną opieką, podejrzewając, że nie powiję już więcej dzieci. Moje krwawienia już niemal całkowicie ustały. Na szczupłych ramionach Jana spoczywały teraz wszystkie nasze dynastyczne ambicje – to on miał być pierwszym monarchą władającym zjednoczonym królestwem. Osobiście nadzorowałam jego lekcje, by mieć pewność, że posiadzie trudną sztukę rządzenia.

Wythnienie w rodzinnym gronie okazało się krótkie. Ledwie kilka tygodni po zdobyciu Grenady dostaliśmy od naszych żydowskich bankierów list z prośbą o pilną audiencję.

Kiedy stanęli przed nami, brodaci, z zatroskanymi twarzami i w ubłoconych po długiej podróży szatach, spodziewałam się najgorszego. Na pewno dotarły już do nich pogłoski o oskarżeniach Torquemady, który utrzymywał, że rzesze zdradzieckich Żydów uknuły spisek, by podjudzić przechrztów do buntu i obalić inkwizycję. Z pewnością wiedzieli też o zamieszkach w Kastylii i Aragonii, gdzie ich pobratymców posądzano o krzyżowanie chrześcijańskich dzieci i inne straszliwe zbrodnie. Zgodnie z przewidywaniami de Mendozy, do doniesień o rzekomych bezceństwach Torquemada dołączył ponowną prośbę o wydanie edyktu nakazującego wszystkim Żydom przejście na katolicyzm pod groźbą konfiskaty dóbr i wypędzenia z kraju.

Nie dawałam wiary tym oskarżeniom, choć publicznie wyrażałam należytą konsternację. Nigdy w życiu nie widziałam, żeby Żyd kogokolwiek krzywdził, nie mówiąc już o zabijaniu niemowląt, by wykpić naszego Zbawiciela. Nie mogłam już jednak dłużej zaprzeczać, że napięcie, które z powodu braku zaufania do sefardyjczyków od wieków między nami narastało – niczym trucizna zawsze obecne pod powierzchnią szczytnej idei convivencii – po upadku Grenady sięgnęło zenitu. Torquemada donosił, że w całym królestwie pobożni chrześcijanie jednoczyli się, by atakować getta, plądrować żydowskie sklepy i wyrzucać Żydów na bruk. Główny inkwizytor twierdził, że ludzie nie chcą już dłużej tolerować w swoim gronie morderców

Chrystusa, że Hiszpania nie zamierza już dłużej im pobłażać.

Chociaż nie dysponowałam na to żadnymi dowodami, uznałam, że rzekomo spontaniczne zamieszki stanowiły część planu Torquemady. Inkwizytor chciał postawić mnie i Ferdynanda w sytuacji bez wyjścia. Rozesłał po całym królestwie agentów, którzy pod egidą inkwizycji podsycali strach i panikę, by zmusić mnie do zrobienia czegoś, czego dotychczas odmawiałam. To, że Torquemada próbował mną manipulować, doprowadzało mnie do pasji, ale zmanipulowana czy nie, musiałam zmierzyć się z konsekwencjami. W imię ochrony ludzi, którzy nie wyznawali naszej wiary, nie mogłam ryzykować, że w kraju wybuchną rozruchy.

Mimo to, patrząc na sześciu zgarbionych mężczyzn, którzy przyjechali aż z Kastylii, by się z nami zobaczyć, pożyczyci nam miliony na krucjaty i nadal mieli w zastawie moje najcenniejsze klejnoty, czułam ciężar ich strachu, jakby był mój własny. Przypomniałam sobie, jak wiele lat wcześniej stałam w obliczu tego samego dylematu i nie zważałam na słowa doradców. Uznałam wtedy, że zmiana wielowiekowej polityki tolerancji byłaby lekkomyślna.

Kiedy posunięty już w latach rabin Seneor pokłonił mi się, trzymając w drżących dłoniach obitą błękitnym aksamitem kasetkę z moim ślubnym naszyjnikiem, przypomniałam sobie słowa Talavery: „Dzień sądu w końcu nastanie. Choć możemy tego żałować, to nieuniknione”.

Wyczerpany podróżą rabin odezwał się cicho:

– Przychodzimy, by błagać Wasze Wysokości o oddalenie wniosku głównego inkwizytora, który domaga się usunięcia nas z królestwa. Jak wiecie, zawsze wspieraliśmy was we wszystkich przedsięwzięciach, jak tylko mogliśmy. Proszę powiedzieć, czego Majestades potrzebują od swoich najpokorniejszych sług. Proście o cokolwiek, a my to dostarczymy.

Ferdynand spojrzał na mnie ostro. Kiedy Żydzi podeszli do naszego podwyższenia, wyraźnie zeszywniał, a jego twarz przybrała nieprzenikniony wyraz, jak zawsze, kiedy mój mąż czuł się atakowany. Był zwolennikiem inkwizycji – podejrzewałam, że nie darzy Żydów szczególną sympatią, choć służyli nam jako skarbnicy. Zastanawiałam się, jak teraz zareaguje.

– Nie chcemy od was niczego więcej poza posłuszeństwem – odezwał się nagle. – Choć możemy tego żałować, przyszedł czas, byście udowodnili waszą lojalność nie tylko pieniędzmi.

Zdziwiło mnie, że niemal powtórzył słowa Talavery. Nie spodziewałam się tego ani ja, ani Seneor, który zbladł i powiedział do mnie:

– Majestad, błagamy was jako naszą królową. Jest nas tak wielu i jesteśmy tacy bezsilni. Apelujemy do waszej wielkiej mądrości.

To był błąd. Nic nie mogłoby rozwścieczyć Ferdynanda bardziej niż lekceważące pominięcie i zwrot bezpośrednio do mnie. Zanim zdążyłam odpowiedzieć, mój mąż wycelował palcem w rabina.

– Myślisz, że możesz mi się sprzeciwiać? – powiedział cichym, złowrogim głosem. – Ja też tu rządzę. Pokładam serce w Bogu i odpowiadam przed nim – i tylko przed nim.

– Ferdynandzie – wymamrotałam – proszę cię, wysłuchajmy ich.

Kiedy mój mąż, błąd ze zdenerwowania, oparł się o tron, powiedziałam do Seneora:

– Co według was powinniśmy zrobić?

On szybkim ruchem ręki przywołał jednego ze stojących za nim towarzyszy. Z grupy odzianych na czarno postaci wystąpił młody Żyd o kościstych policzkach i zatroskanych piwnych oczach. Był to rabin Meir, zięć Seneora, kolejny z zaufanych dworskich skarbników.

– Idź – poinstruował go teść. – Przynieś to.

Meir z dwoma towarzyszami wyszli pospiesznie z komnaty. Chwilę później wrócili, dźwigając ogromną skrzynię, którą położyli u stóp naszego podium. Rabin Meir uniósł oporne wieko. W środku znajdowało się kilka worków, wszystkie przewiązane sznurkiem

i przypieczone czerwonym woskiem.

– Trzydzieści tysięcy dukatów – wyjaśnił Seneor. – Zebraliśmy je w naszych gminach, by pokryć zobowiązania Waszych Wysokości. Wasi wierzyciele zgodzili się też anulować wam wszelkie osobiste długi i zwrócić oddane pod zastaw klejnoty bez żadnych opłat.

Zaschło mi w gardle. Znowu spojrzałam na Ferdynanda. Drżała mu skroń, z czego wywnioskowałam, że jest poruszony. Odkładając na bok kwestie religijne, prawda była taka, że borykaliśmy się z brakiem funduszy, bardziej dotkliwym, niż byliśmy gotowi przyznać. Stojący przed nami Żydzi najlepiej o tym wiedzieli. Tylko oni zdawali sobie sprawę, jak korzystne dla naszego skarbcza byłoby trzydzieści tysięcy dukatów, nie wspominając nawet o anulowaniu wszystkich nagromadzonych przez całą wojnę pożyczek.

– Mężu – zaczęłam – czy zgadasz się przystać na tę propozycję?

Ferdynand milczał. Siedział nieruchomo i tylko ledwie widoczne drżenie świadczyło o tym, że się zastanawia. Po chwili głośno wypuścił powietrze i otworzył usta, by zabrać głos. Przeszkodził mu jednak zgiełk przy wejściu. Z przerażeniem zdałam sobie sprawę, że wychudzona postać, która się do nas zbliża, to Torquemada. Oczy niczym agaty błyszczały na jego zabiedzonych twarzy, która teraz, po latach, wzbudzała we mnie jeszcze większą fascynację i trwogę.

Wzrok Torquemady spoczął na otwartej skrzyni. Zakłuło mnie serce, gdy inkwizytor błyskawicznie podszedł do naszego podwyższenia.

– Słyszałem, że przyjmujecie tych parszywych kłamców przed swoje oblicze, ale nigdy nie sądziłem, że zobaczę coś takiego. Judasz Iskariota sprzedał Jezusa za trzydzieści srebrników, a teraz wy chcecie znowu go sprzedać, za trzydzieści tysięcy. Oto on. Weźcie go i przehandlujcie!

Zerwał z szyi krucyfiks, rzucił go nam pod nogi i wybiegł. Potem zapadła grobowa cisza. Spoglądając na krzyż, Ferdynand wyszeptał:

– Zostawcie nas.

Rabin Seneor zaczął ciężko dyszeć i rzucił się na kolana.

– Nie! – wrzasnął Ferdynand. – Natychmiast!

Ruszyli do wyjścia. Kiedy zamykały się za nimi podwójne drzwi, rabin Meir obejrzał się i popatrzył na mnie z wyraźną rezygnacją.

Siedziałam nieruchomo. Skrzynia i szkatułka z naszyjnikiem ślubnym nadal leżały na ziemi, ale w ogóle nie zwracałam na nie uwagi. Nie spodziewałam się, że Ferdynand wpadnie w taką wściekłość. Miałam wrażenie, że sam widok Torquemady wymachującego krucyfiksem obudził w moim mężu jakieś dzikie, dotychczas ukryte instynkty.

W końcu odezwał się drżącym głosem:

– Te dukaty są splamione krwią. Torquemada ma rację. Kupiliśmy zwycięstwo za nieczyste pieniądze i teraz musimy za to odpokutować. Trzeba wydać ten edykt, Izabelo. W naszym królestwie nie może ostać się ani jeden Żyd. W przeciwnym razie czeka nas potępienie.

Z trudem przełknęłam ślinę. W ustach i gardle miałam tak sucho, jakbym właśnie zjadła garść piasku.

– Zwycięstwo kupiliśmy za pożyczki – zdołałam wydusić. – Tak jak wielu władców przed nami. Dobrze wiesz, że Żydzi od zawsze zajmowali się naszymi finansami. Od niepamiętnych czasów służą nam cenną radą i są naszymi zaufanymi skarbnikami. Co bez nich poczniemy, jeśli odmówią konwersji?

Przejechał ręką po podbródku. W ciszy słychać było nawet chrzęst mierzwionej brody.

– Mam rozumieć, że ty mogłabyś z tym żyć? – Odwrócił się i wbił we mnie wzrok. – Byłabyś w stanie żyć z obawą, że możemy po wsze czasy płonąć w piekle za to, że im

pomogliśmy?

Nie drżałam. Nie odwróciłam wzroku, by uniknąć jego spojrzenia. Popatrzyłam mu prosto w oczy i zatraciłam się w ich otchłani. Zmusiłam się, by zobaczyć i poczuć katusze, o których wspominał, doświadczyć męczarni, które mogą przypaść nam w udziale, jeśli pójdę za głosem serca.

– Nie – wyszeptalam i pochyliłam głowę, jakby ciężar decyzji już spoczął na moich barkach. – Nie mogłabym z tym żyć. Nie mogłabym obciążyć tym Hiszpanii. To może jednak oznaczać wygnanie całego narodu. Jak mam wziąć na siebie taką odpowiedzialność?

Ferdynand nachylił się i wziął mnie za rękę.

– Nie mamy wyboru. – Zbliżył sobie moją dłoń do ust. – Potrzebujesz więcej czasu? – wymamrotał, a ja skinęłam głową, tłumiąc gorzkie łzy, które cisnęły mi się do oczu. – Uszanuję każdą decyzję, jaką podejmiesz – powiedział. – To ty musisz zdecydować, to zawsze była tylko twoja decyzja. To ty jesteś królową Kastylii.

Tamtej nocy klęczałam w swojej komnacie, której mozaikowe ściany ciągle były przesiąknięte wonią piżmowych perfum odalisek. Za oknem kłaskały słowiki. Przed sobą miałam ołtarz, a na nim iluminowane *Godzinki*, złote lichtarze oraz Dziewicę. Maryja miała pełną słodyczy twarz i powłóczyste liliowe szaty. Stała na chmurze i zaraz miała zostać wniebowzięta...

Żydzi mieli dzieci, synów i córki. Byli rodzicami, dziadkami, krewnymi. Czy mogłam to zrobić? Czy miałam prawo jednym ruchem pióra przekreślić wielowiekową tradycję convivencii? „To zawsze była tylko twoja decyzja”.

Tkwiłam przed ołtarzem całą noc, aż ostatnia świeca wotywna zgasła z sykiem, zamieniwszy się w kupkę stopionego wosku. Cała zdrętwiałam i trudno mi było się podnieść. Biłam się z myślami i nie mogłam podjąć ostatecznej decyzji. Zastanawiałam się, jak wpłynie ona na moją spuściznę. Lękiem napawało mnie to, że na zawsze stracę spokój ducha i do końca swoich dni będę się borykać z konsekwencjami tego wyboru. Do tej pory unikałam radykalnych rozwiązań – szłam na ustępstwa i szukałam wszelkich możliwych sposobów, by zmniejszyć pogłębiającą się przepaść między nami a nimi. Teraz nie miałam już wyboru.

Jeśli nadal broniłabym Żydów, zraziłabym do siebie poddanych królestwa, o które przez całe życie walczyłam. Odmowa wydania edyktu oznaczałaby też wyparcie się tego Boga, dzięki któremu zatryumfowałam, Boga, który pozwolił mnie, marnej kobiecie, kruchej istocie z kości i prochu, dokonać tego, co przez wieki nie udało się moim przodkom – wygnać niewiernych i zjednoczyć Hiszpanię pod berłem jednego władcy i w imię jednej wiary.

Ryzykowałam swoją nieśmiertelną duszą, która będzie wszystkim, co pozostanie mi w godzinie śmierci.

Nastał świt, kryształowy i nieśmiały, jak zwykle w górach.

Po tym jak się wykapałam, posiliłam i dałam Beatriz opatrzyć swoje krwawiące kolana, wysłałam wiadomość do doradców, by przygotowali edykt, znany później jako edykt z Alhambry.

Zgodnie z wolą monarchy wszyscy Żydzi, którzy nie przyjmą wiary katolickiej, muszą opuścić kraj.



– O co chodzi? – Ze znużeniem podniosłam wzrok na Chacóna.

Olbrzymi brzuch starego koniuszego wystawał spod luźnego kaftana. Don Gonzalo poruszał się teraz znacznie wolniej i z wyraźnym trudem z powodu nawracających ataków podagry. Umysł miał jednak tak samo sprawny jak dawniej i nadal czuwał nad Janem, podążając za nim krok w krok. To, że pojawił się u mnie w popołudniowej porze, kiedy większość dworzan przesyiała największy upał, a ja zajmowałam się korespondencją, oznaczało, że chodzi o coś ważnego.

– Ten nawigator – powiedział, marszcząc brwi. – Znów tu jest. Czeka na zewnątrz. Najwyraźniej nie rozumie słowa „nie”.

Westchnęłam, patrząc na swoje splamione atramentem palce.

– Dobrze, dajcie mi chwilę.

Wstałam, a Cárdenas podniósł na mnie wzrok. Pracował z Luisem de Santángelem nad planem uzdrowienia naszych finansów. Chociaż edykt o wygnaniu miał zacząć obowiązywać dopiero w maju, już jego ogłoszenie zasiało chaos w całej Kastylii, tak że podatki i inne opłaty przestały regularnie spływać.

Sama byłam zasypywana listami od burmistrzów i urzędników ze wszystkich zakątków królestwa, którzy nie całkiem rozumieli, jakie są moje zamiary. W efekcie musiałam opracować dokładne zasady egzekwowania edyktu. Kazałam podać do wiadomości, że Żydzi, którzy zdecydują się opuścić Hiszpanię, muszą to zrobić do końca lipca z jednego z wyznaczonych portów. Mają zakaz wywozu złota, srebra i bitych monet, ale mogą zabrać ze sobą inne kosztowności. Domy i sklepy zobligowani są sprzedać lub przekazać poświadczonym chrześcijanom. Niechętnie zgodziłam się też na to, by wszystkich wyjeżdżających przeszukiwano w portach i konfiskowano im wszelkie zakazane przedmioty, które ukrywali. Konieczne zależało mi na tym, by strata podatków i innych dochodów będąca konsekwencją edyktu nie doprowadziła do gospodarczej ruiny kraju.

Ogromnie pomagał mi w tym Santánel, który sam był marranem. Do przyjęcia chrztu udało mu się przekonać rabina Seneora i jego rodzinę, ale inni wpływowi Żydzi, którzy od lat mi służyli, dostarczając wyposażenie dla armii i finansując kolejne kampanie, nie pogodzili się z moim edyktem i podburzali członków swoich gmin do stawiania oporu. Naraziło to Żydów na wyzysk i złe traktowanie ze strony urzędników odpowiedzialnych za ogłoszenie i egzekwowanie edyktu, choć na mocy tego dokumentu do czasu wyjazdu Żydom przysługiwała królewska ochrona. Zahartowałam serce na pełne niedowierzania i strachu okrzyki, na dochodzące z placów jęki i błagania o litość, bo nadal miałam nadzieję, że drastyczne środki, tak jak w przeszłości, doprowadzą do masowej konwersji i nie dojdzie do ogromnego exodusu ludzi, którzy od wieków nazywali tę ziemię swoim domem.

Mimo wszystko, niezależnie od rezultatów, to Kastylia była dla mnie najważniejsza.

Moje królestwo musiało przetrwać.

Inés zakrzętała się koło mnie, troskliwa jak zwykle.

– Czy mam przynieść Waszej Wysokości szal? Na zewnątrz nadal jest chłodno.

Przytaknęłam z wdzięcznością i brudnymi od atramentu rękami wygładziłam pomietą suknię. Pozwoliłam, by Inés przykryła mi ramiona długim wełnianym szalem, a potem razem z nią przeszłam do przedsionka, cały czas rozmyślając o tym, że nawigator ma talent do zjawiania się, kiedy najmniej się tego spodziewam. Na szczęście Ferdynanda nie było, bo pojechał na polowanie. Po latach wojny bierność dworskiego życia sprawiała, że mój mąż stał się gburowaty i niecierpliwy. Przez ostatnie kilka miesięcy bardzo trudno było z nim wytrzymać. Nie chciałam, żeby wyładowywał swoje frustracje na Kolumbie, który przecież nie ponosił żadnej winy za nasze ciągle niezdecydowanie co do jego przedsięwzięcia.

Kiedy weszłam do sali audiencyjnej, Kolumb ukląkł. Pokazałam mu, żeby wstał.

Zwróciłam uwagę, że od naszego ostatniego spotkania zeszcupiał, a kaftan i płaszcz miał dużo lepszej jakości – kosztownego czarnego aksamitu nie powstydzilby się żaden grand. Jasnyniebieskie oczy nawigatora były urzekające jak dawniej, podobnie jak jego głos.

– Majestad – zaczął bez żadnych wstępów – sześć lat czekam na waszą odpowiedź.

– Odpowiedź? – Uśmiechnęłam się wymijająco. – O ile wiem, moi doradcy poinformowali was, że wasz plan przepłynięcia oceanu, choć godny podziwu, jest nierealistyczny i zbyt ryzykowny. Moglibyście nawet przyplącić to życiem.

– Jak wiecie, niestraszne mi niebezpieczeństwo – odparł. – Poza tym Wasza Wysokość cały czas wypłaca mi pensję, choć doradcy sugerowali, by ją wstrzymać. Może się mylę, ale miałem wrażenie, że królowa Kastylia sama podejmuje decyzje.

Spojrzałam na niego zamyślona. Beatriz z Joanną siedziały w alkwie nieopodal i przyglądały się nam z nieskrywanym zaciekawieniem. Nawigator zawsze intrygował moją przyjaciółkę, a Joanna, w głębi duszy też żadna przygód, podzielała tę fascynację.

– Proszę ze mną, przespacerujemy się po ogrodzie – powiedziałam.

Wyszliśmy na Dziedziniec Lwów i ruszyliśmy w kierunku otoczonej kamiennymi bestiami fontanny. Kolumb zachowywał się swobodnie, jakbyśmy przechadzali się sami, bez dworskiego orszaku deptającego nam po piętach. Po raz kolejny uderzył mnie jego niewymuszony sposób bycia – Genuńczyk sprawiał wrażenie człowieka przeświadczonego, że ma na świecie ważną rolę do odegrania.

Wiosenny dzień był, jak to się często zdarza w górach, raczej rześki, ale przynajmniej nie powtórzyły się ulewy, które rok wcześniej o tej porze podtopiły Andaluzję. Cieszyło mnie słońce, choć nie dawało zbyt wiele ciepła. Zamknęłam oczy i podniosłam brodę, by oświetliły ją słoneczne promienie. Miałam wrażenie, że od wieków nie byłam na powietrzu, z dala od obowiązków.

Gdy otwierałam oczy, zobaczyłam, że Kolumb przygląda mi się zdezorientowany.

– Nie wyrazicie zgody – powiedział.

Pokręciłam głową.

– Nie mogę... To jeszcze nie jest odpowiednia pora. Wiem, że już to ode mnie słyszeliście, ale mamy teraz wiele pilnych zobowiązań, ciągle pozostaje nam jeszcze tyle do zrobienia. Waszego planu nie da się zrealizować. Nawet gdybyśmy mieli dość pieniędzy, większość doradców twierdzi, że to czyste szaleństwo.

– Wydawało mi się, że Wasza Wysokość może stosować się do tych rad, które uzna za słuszne – odparł. – Zwłaszcza że, zdaniem niektórych, postępowanie Waszej Wysokości od samego początku było szalone.

– Śmiecie mi robić wyrzuty? – zapytałam ostrym tonem.

Pochylił głowę, a w promieniach słońca łysina na jej czubku była dobrze widoczna. Nawigator tracił swoje brązowe włosy – postarzał się, tak samo jak ja. Było to dla mnie bolesne przypomnienie, że oboje jesteśmy śmiertelni.

– Nigdy bym nie śmiał – zapewnił. – Chodziło mi o to, że Wasza Wysokość zawsze postępuje zgodnie z własnym sumieniem i właśnie dlatego zaskarбилиście sobie dużo większy szacunek niż którykolwiek z waszych poprzedników. Jestem pewny, że wasze panowanie przejdzie do legendy. Chciałbym tylko jakoś się do tego przyczynić.

Mój gniew natychmiast wyparował.

– Też tego chcę – odparłam cicho. – Chętnie przyjmujemy was na dworze. Mogę powierzyć wam jakąś ważną funkcję. Jestem pewna, że się nam przysłużycie.

Uśmiechnął się, ale jego oczy pozostały smutne.

– Dziękuję, Majestad. Obawiam się jednak, że tak jak wasze serce należy do Kastylia,

moje pragnie być na morzu.

Skłonił mi się nisko, choć jeszcze nie pozwolił mi odejść. Zanim zorientowałam się, co robi, poczułam, jak mocnymi palcami otwiera moją dłoń i kładzie na niej jakiś mały przedmiot.

Potem ruszył pospiesznie do wyjścia. Przez chwilę stałam w ciszy. Dopiero kiedy zniknął, spuściłam wzrok, żeby obejrzeć podarunek, nadal ciepły od jego ręki.

Był to maleńki galeon z różowego złota.

Obraz zamazał mi się przed oczami. Usłyszałam, że krzyczę:

– Zatrzymajcie go! Przeprowadźcie go z powrotem.

Chacón ruszył za nawigatorem.

– Jej Królewska Mość ma chyba jakiś sekret – powiedziała szelmowsko Beatriz.

Odwracając się do niej tyłem, przycisnęłam mały galeon do serca.

A potem się uśmiechnęłam.



W piątek 3 sierpnia 1492 roku don Krzysztof Kolumb, świeżo mianowany wielkim admirałem i włączony w poczet dworzan, wypływa z portu Palos. Ma trzy okręty: Niña, Pinta i Santa María. Wśród wiwatów załogi staje na dziobie Santa Marii, a wiatr mierzwi mu przyprószone siwizną włosy. Patrzy przed siebie, zawsze przed siebie, wbijając wzrok w horyzont.

Wyobrażam sobie, jak żeglujecie z prądem, mijacie klasztor, w którym uczy się jego syn, i przepławia się przez rzekę Saltes, by dotrzeć do ogromnego słonego morza, którego prądy doprowadzą go na Wyspy Kanaryjskie, a potem na ogromny ocean.

Nie mam pojęcia, co znajdzie; nie wiem, czy w ogóle cokolwiek znajdzie. Czy uda mu się odkryć wymarzoną drogę do Indii? Czy napotka gwałtowne burze i spienione bałwany, miejsca, gdzie toną statki i grasują morskie potwory? Jest uzbrojony tylko w wiarę i marzenia – tak samo jak wiele lat wcześniej pewna infantka, kiedy po raz pierwszy opuściła swój dom w Arévalo i wyruszyła w nieznaną.

Nie, nie wiem, co odkryje Kolumb. Jednego jednak jestem pewna: wróci. Jesteśmy podobni, nawigator i ja. Wiele lat temu nikt nie wierzył, że zostałam stworzona do rzeczy wielkich.

A teraz jestem Izabelą, królową Hiszpanii.

Posłowie autora



Każdy, kto zgłębia dzieje Izabeli Kastylijskiej, prędzej czy później stwierdzi, że królowa jest fascynującym, ale i trudnym przedmiotem badań. Heroiczna i pełna sprzeczności Izabela wymyka się kategoryzacjom – władczyni, która z godną podziwu determinacją dążyła do zjednoczenia państwa, z powodu zbyt żarliwej pobożności odpowiada też za straszne prześladowania określane mianem hiszpańskiej inkwizycji.

Panowanie Izabeli stworzyło podwaliny imperium, które za rządów jej wnuka Karola V niesamowicie się rozrosło, by osiągnąć szczyt potęgi pod berłem jej prawnuka, Filipa II. Nadane przez nią statuty i kodeksy, uniwersytety, które pomogła ufundować, dopuszczenie kobiet do wykładania, liczne odnowione przez nią klasztory, nad którymi sprawowała pieczę, oraz cień bigoterii i prym Świętego Oficjum – wszystko to składa się na jej dziedzictwo. Królowa wywarła tak ogromny wpływ na swój kraj, że okres jej rządów stał się symbolem świetności – w Hiszpanii epoki izabelińskiej kwitły sztuki plastyczne, muzyka i architektura, to wtedy powstały załączki literatury narodowej. Niektóre dzieła z tamtego okresu możemy podziwiać do dziś.

Izabela nie spodziewała się, że przyjdzie jej zasiąść na tronie. Zachłanna szlachta i nieudolni władcy sprawili, że odziedziczyła zubożałe i rozczłonkowane królestwo z głębokimi podziałami społecznymi. Z pomocą równie wybitnego męża, Ferdynanda Aragońskiego, stworzyła nowoczesne renesansowe państwo, gotowe do odegrania ważnej roli na światowej arenie. Ponadto wykazała się też niezwykłą przenikliwością, dając wiarę teoriom nieznanego genuńskiego nawigatora. Dzięki wsparciu królowej odkrył on tak zwany Nowy Świat, rozszerzając horyzonty Europejczyków poza ich kontynent.

Wiele stuleci po przedwczesnej śmierci Izabeli (zmarła w wieku pięćdziesięciu trzech lat) królowa nadal wzbudza zarówno podziw, jak i pogardę. Niektórzy twierdzą, że zasługuje na najwyższe uznanie, bo wbrew wszelkim przeciwnościom udało jej się wstąpić na tron i przeprowadzić kraj przez burzliwe wojny do zwycięstwa. Zdaniem innych Izabela była zacofaną fanaticzką, która wywołała falę prześladowań – twierdzą, że to przez królową tysiące Żydów straciło środki do życia, wielu jej własnych poddanych zginęło, a Ameryki zostały splądrowane.

Nie należy zapominać, że tak jak my wszyscy, Izabela też czasem błędziła – królowa była zarówno wytworem swoich czasów, jak i kobietą wyjątkową. Lekceważyła konwenanse, ale czasem postępowała zgodnie z nimi. Samodzielny wybór męża w czasach, kiedy niewiele księżniczek by się na to odważyło, oraz wiara, że Bóg osobiście ją ukarze, jeśli nie wypełni jego woli, obrazują dwoistość natury Izabeli. Nie była ani świętą, ani ofiarą. Podejmowała decyzje, które uważała za najkorzystniejsze dla kraju, choć z perspektywy bardziej oświeconej epoki niektóre z nich zasługują na potępienie. Oczywiście nie mogła przewidzieć, że odkrycia Kolumba doprowadzą do zniszczenia barwnej i bogatej cywilizacji ani że kolejni władcy doszczętnie ograbią podbite ziemie. W swoim testamencie Izabela zawarła postanowienia wobec rdzennych mieszkańców odległych krain, których nigdy nie widziała – chciała, by „traktowano ich łagodnie” i nawracano na chrześcijaństwo, a nie skazywano na niewolnictwo. Jej wolę zlekceważono.

Kolejną ciemną plamą na reputacji królowej było wygnanie Żydów w 1492 roku. Setki lat

później trudno stwierdzić, co czuła Izabela wobec ogromnej tragedii spowodowanej jej edyktem. Wydaje się mało prawdopodobne, żeby nie zdawała sobie sprawy z konsekwencji swojej decyzji. W dokumentach, które się zachowały, nic nie wskazuje na to, by żywiła osobistą urazę do Żydów – wielu z nich, na przykład rabin Seneor, służyło jej wiernie na dworze. Pewne jest natomiast, że tak jak wszyscy europejscy monarchowie za jedyną uprawnioną wiarę uważała katolicyzm. Źródła historyczne wskazują też na to, że wiele środowisk próbowało wywierać na Izabelę presję – przez Kastylię przetoczyła się nawet fala brutalnych powstań antyżydowskich, które sprawiły, że po podbiciu Grenady królowa musiała podjąć zdecydowane działania. Szczególnie interesujący jest pogląd, że Ferdynand naciskał na nią, bo miał własne powody, dla których domagał się wygnania Żydów. Izabela rzeczywiście mogła mieć nadzieję, że edykt doprowadzi do masowej konwersji, a nie do banicji jej żydowskich poddanych. Jeśli tak, to nie doceniła, jak niezłomna może być społeczność, która przetrwała wiele wieków, kurczowo trzymając się najdroższej wiary. Jakkolwiek by było, wbrew opiniom jej najzgorzalszych krytyków należy wątpić, że królowa od początku planowała wygnanie, wykorzystując bogactwa Żydów w czasie wojny, a potem pozbywając się ich po zwycięstwie. Najprawdopodobniej początkowo opierała się wydaniu edyktu i dopiero stopniowo przekonano ją, że to nieuniknione. Kiedy zaś podjęła już decyzję, tak jak w wypadku wszystkich swoich przedsięwzięć, była nieugięta.

Ustanowienie przez królową hiszpańskiej inkwizycji jest solą w oku nawet jej największych wielbicieli i kolejnym argumentem dla krytyków. W niniejszej powieści przedstawiam jedną z możliwych dróg, która doprowadziła Izabelę do pojęcia tej dziejowej decyzji. Wybrałem tę interpretację, opierając się na szczegółowych studiach osobowości Izabeli i jej sposobu postrzegania świata. Choć nie staram się jej usprawiedliwiać, należy wspomnieć, że jej silna niechęć do przemocy jest udokumentowana. Źródła mówią, że istotnie nienawidziła *corridy* i zakazała organizowania walk byków na swoją cześć, choć jej rozkaz często lekceważono. Nie znalazłem też żadnych wzmianek o tym, że królowa osobiście uczestniczyła w autodafe, podczas którego palono heretyków. Moim zdaniem nie można również zapominać, że inkwizycja, w łagodniejszej postaci, funkcjonowała długo przed panowaniem Izabeli. Wyjątkowość inkwizycji hiszpańskiej polegała na tym, że ograniczyła się do tak zwanych fałszywych *conversos*, czyli przechrztów, których oskarżano o potajemne wyznawanie judaizmu. Oczywiście skala terroru wprowadzonego przez Święte Oficjum znacznie przerosła oczekiwania Izabeli. Zważywszy na usposobienie królowej, można założyć, że nie bez oporów przystała na prześladowanie swoich poddanych. Ostatecznie musiała jednak uznać, że cel uświęca środki. To kolejny przykład jej wewnętrznych sprzeczności, jeszcze jedna decyzja, która kłóci się z humanizmem królowej. Nie można zapominać, że dla ludzi tamtej epoki od wiary zależało życie wieczne duszy, a nakazy, które wprowadziła, nie wypływały wyłącznie z żarliwej pobożności. Inni władcy równie gorliwie wyznawali katolicyzm i z reguły za pomocą wszystkich dostępnych środków zabraniali jakichkolwiek odstępstw od uświęconej doktryny. Jak na ironię, to właśnie te zakazy utorowały drogę do reformacji.

Życia tak skomplikowanego jak życie Izabeli nie da się zamknąć w ograniczonej liczbie słów. Chociaż starałem się przedstawić ją jak najrzetelniej i zgodnie z prawdą historyczną, przyznaję, że na potrzeby fabuły pozwoliłem sobie na pewne odstępstwa w datach i wydarzeniach. Jednym z nich są okoliczności pierwszego spotkania Izabeli i Ferdynanda. Tradycyjnie przyjmuje się, że narzeczeni zobaczyli się dopiero w wieczór poprzedzający ich ślub. Uznałem jednak, że Ferdynand jako postać kształtująca charakter Izabeli musi pojawić się na wcześniejszym etapie akcji i stąd spotkanie w Segovii, tuż po przybyciu infantki na dwór. Zmieniłem też rok urodzin Joanny la Beltranei (przyszła na świat w 1462, nie 1464), tak by zbiegły się z przymusową przeprowadzką Izabeli do alkazaru, skróciłem dziesięcioletnią walkę

o zdobycie Grenady oraz zmienilem datę śmierci Alfonsa Portugalskiego, męża młodej Izabeli (zmarł już po pożarze w obozie). Przybliżyłem też nadanie Izabeli i Ferdynandowi tytułu królów katolickich, które w rzeczywistości nastąpiło w 1494 roku. Ponadto usunąłem kilka pobocznych wydarzeń, by uzyskać bardziej potoczystą fabułę. Jediną fikcyjną postacią w książce jest Inés – chociaż Izabela miała dwórkę o tym imieniu, nie ma dowodów, że się z nią zaprzyjaźniła. Imię ulubionego rumaka królowej też się nie zachowało, więc nazwałem go Canela, na cześć dzielnego araba, na którym za młodu jeździłem w Hiszpanii.

Muszę też wspomnieć, że forma adresatywna, którą się posłużyłem, jest późniejsza – „Majestad” pojawiło się dopiero za panowania wnuka Izabeli, Karola V, który uznał, że „Wysokość” używane też wobec książąt, uwłacza jego godności.

Czytelnicy ciekawi, co stało się dalej, mogą przeczytać moją pierwszą powieść, *Ostatnia królowa*, która opowiada o losach córki Izabeli, Joanny. Osobom zainteresowanym poszerzeniem wiedzy na temat życia i czasów Izabeli polecam poniższe pozycje. Zaznaczam, że niektóre książki dostępne są tylko po hiszpańsku.

Manuel Fernández Álvarez, *Isabel la Católica*, Madrid 2003.

Tarsicio Azcona, *Isabel la Católica. Vida y Reinado*, Madrid 2004.

Martin Hume, *Queens of Old Spain*, London 1906.

Junta de Castilla y León, *Isabel la Católica. La Magnificencia de un Reinado*, Valladolid 2004.

Henry Kamen, *The Spanish Inquisition. A Historical Revision*, London 1997.

Peggy K. Liss, *Isabel the Queen. Life and Times*, New York 1992.

Townsend Miller, *The Castles and the Crown. Spain 1451–1555*, New York 1963.

Townsend Miller, *Henry IV of Castile*, New York 1971.

William H. Prescott, *History of the Reign of Ferdinand and Isabella the Catholic*, New York 1872.

Nancy Rubin, *Isabella of Castile. The First Renaissance Queen*, New York 1991.

M. Isabel de Val Valdivieso, *Isabel la Católica y Su Tiempo*, Granada 2005.

Specjalna nota od C.W. Gortnera

Co roku w Hiszpanii tysiące chartów, zwanych galgos, odnosi obrażenia w czasie polowań, a po krótkim sezonie łowieckim jest porzucanych lub zabijanych. Wiele osób i grup, zarówno w Hiszpanii, jak i poza nią, z oddaniem walczy przeciwko złemu traktowaniu galgos, jednego z najstarszych atrybutów hiszpańskiej szlachty. Więcej informacji znaleźć można na stronach internetowych www.galgorescue.org i www.baasgalgo.com.

Dziękuję za okazanie współczucia.

Podziękowania



Na początku chciałbym z całego serca podziękować swojemu partnerowi Erikowi, który nieprzerwanie mnie wspiera, oraz naszemu ukochanemu corgi Parisowi. Wyrazy wdzięczności kieruję też do swojej agentki Jennifer Weltz z agencji Jean V. Naggar. Jennifer to mój sprzymierzeniec, przyjaciel i wojownik, bez niej czułbym się zupełnie zagubiony. Ona i jej współpracownicy – Tara, Laura, Jessica, Elizabeth i Alice – to najlepsze przedstawicielki, jakie autor może sobie wymarzyć. Mam też szczęście, że moim redaktorem jest Susanna Porter, która zawsze we mnie wierzy. W pracy redakcyjnej wspiera ją także Priyanka Krishnan. Wnikliwość Susanny i Priyanki znacznie wzbogaciła tę powieść. Dług wdzięczności mam też wobec Kate Norris, która dokonała skrupulatnej i rzetelnej korekty, oraz niezwykle kreatywnych pracowników wydawnictwa Ballantine. W Wielkiej Brytanii moja książka ukazała się nakładem wydawnictwa Hodder & Stoughton, w którym również trafiłem na wspaniałych redaktorów, Suzie Dooré i Francine Toon.

Ogromnie wdzięczny jestem wielu blogerom, którzy uczestniczyli w moich wirtualnych wycieczkach, a w szczególności Lizzie Johnson piszącej blog *Historically Obsessed*. Dziękuję też swoim niezmordowanym przewodniczkom po internetowej dżungli: Cheryl Malandrinos z *Pump Up Your Book Promotion* i Amy Bruno z *Historical Fiction Virtual Tours*. Dzięki tym paniom promowanie moich książek jest świetną zabawą.

Jestem zaszczycony, że tyle klubów książki zaprosiło mnie do dyskusji. Rozmawialiśmy na żywo, przez telefon i przez Skype'a. Kontakt z czytelnikami z całego świata i omawianie fascynujących postaci historycznych zawsze jest dla mnie ogromną przyjemnością. Szczególne podziękowania kieruję do klubów z okolic San Francisco, które przyjęły mnie winem i śmiechem i które zawsze mnie wspierają. Słowa wdzięczności kieruję też do personelu księgarni Bookshop West Portal za to, że świetnie eksponuje moje książki.

Na zakończenie chciałbym podziękować tobie, czytelniku. Wiadomości i uwagi, które od ciebie otrzymuję, umilają mi długie godziny spędzane przy biurku. Mam nadzieję, że jeszcze przez wiele lat będę dostarczał ci przyjemnej lektury.

Więcej informacji o moich książkach znaleźć można na www.cwgortner.com.